

Miłość w przyrodzie

Członkami Działu Przyrody w Krakowie

Miłość w przyszłości

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

72863

Wilhelm Bölsche

25 10 6

Miłość w przyrodzie

Przekład

D-ra Maurycego Bornsteina

Warszawa: G. Centnerszwer i Spółka.

Kraków: Spółka Nakładowa «Książka».

1906.

Wilhelm Bölsche

Miłość w przyrodzie

K. 828/49



72863

Warszawa: G. Centnerszwer i Spółka.
Kraków: Spółka Nakładowa 'Sisakm'.
1906

PRZEDMOWA TŁOMACZA.



dziemy, jako ciury, za wspaniałym rydwanem nauki europejskiej... Kwiaty wonne, jakie spadają, podejmujemy, o ile nam sił starczy, z drogi, po której się toczy, i niesiemy dodom, ażeby je nadal pielęgnować. Zabiegamy koło nich, jak umiemy, a kwiaty mimo wszystko więdną, woń tracą swoją pierwotną, nie sprawiają rozkoszy nikomu, nie orzeźwiają nikogo w ciężkich chwilach życia... Snać duszno im tu, brak im tej atmosfery, której dla rozkwitu dalszego potrzeba, brak troskliwości co z ukochania płynie... Wiedza wogóle, a nauka specjalnie, nie wyłobila sobie jeszcze trwałego łożyska w duszach naszych, nie stanęła jeszcze w szeregu naszych pragnień i ukochań, a jest jeszcze wciąż owym pokostem zewnętrznym, który tak łatwo zrzucić, zetrzeć i pod nim pustkę obnażyć. I tę obojętność uczuciową w stosunku do nauki znać na naszej literaturze popularnej. Ażeby wiedzę popularyzować nie dość jest jeszcze coś wiedzieć, coś umieć, nie dość nawet posiadać umiejętność jasnego i przystępnego wykładu, trzeba jeszcze czegoś nierównie ważniejszego: miłości dla wiedzy. Samemu ją mieć w sercu trzeba i przez to sprawiać, ażeby promieniowała z kartek na czytelnika.

I tę oto niezbędną, naszem zdaniem, cechę, która wynosi talent popularyzatorski na wyżyny apostołstwa, posiada w wysokim stopniu Wilhelm Bölsche. Przyrodzawstwo współczesne z jego nicią przewodnią, darwinizmem, ściślej mówiąc ewulucjonizmem, tak wżarło się w jego mózg i krew, że stało się dla niego nie tylko wyznaniem myślowem, naukowem, ale oraz dotarło do najwewnętrzniejszych zakątków jego duszy, przejęło go nawskroś, jako indywiduum, przestąpiło szranki jego sfery emocjonalnej, wrażeniowo-uczuciowej, stało się dla niego kultem, religią... I dlatego w wędrówce swojej po wielkiej świątyni przyrody, świątyni nieprzebranych skarbów i cudów, umie on łączyć spostrzeżenie naukowe z religijną niemal ekstazą, której daje wyraz w obrazach o dużej wartości artystycznej, w nieskończonych porównaniach i analogiach. I to, co na pierwszy rzut oka może uprzedzić niejednego do książek Bölschego, stanowi dla mnie przynajmniej o ich cenie wysokiej, bowiem szerzą one nie tylko wiedzę samą, ale i kult dla wiedzy, świadczą o tem, że nie można i nie należy jedynie rozumieć zjawiska przyrody, że trzeba klękać jeszcze u ołtarzy jej cudów, wchłaniać blask ich całym jestestwem i podnosić dusze do tych wyżyn doskonałej harmonii, jaka rozbrzmiewa dookoła, niby hosanna nadziemska.

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy, jako całość samodzielna, oddajemy do rąk czytelnikom w przekładzie polskim, to jeden z hymnów, jakie śpiewa Bölsche na cześć przyrody. To hymn o miłości. Chwilami może się wydać dziwaczny, groteskowy, to podnoszenie popędu płciowego zwierząt do wyżyn najświętszego z uczuć ludzkich, ale jeżeli ową hyperbolę autora wyro-

PRZEDMOWA.



siążka moja zwraca się do tych wszystkich, którzy myślą rozumnie i mają odwagę stworzyć sobie własny pogląd na świat. Świat — to grzązkie bagno, i kto je przebrnąć pragnie, tego nie powinny trwożyć żadne potęgi nieba ani piekła. Oczywiście, mam tu na myśli ludzi dojrzałych. A dojrzałym jest każdy, kto raz przeżył tę chwilę słoneczną, kiedy weszło w nim pragnienie poznania, kiedy pojął, że całe to przelotne życie ludzkie z gorączką tych marnych kilku lat i wszystkimi rozczarowaniami jest bezdennem głupstwem, jeżeli nie nadać mu większej wartości przez poznanie, przez — »myśl« — ten jedyny punkt świetlany w otaczających nas, grozy pełnych, ciemnościach. Kto szuka poznania, nagim jest, jedna go tylko okrywa szata, — szata prawdy. Ale też zmierza on z żelazną mocą ku jednemu świetlanemu celowi, i nie masz dla niego żadnych nieporozumień. Z takim człowiekiem mogę się porozumieć — pozostali są mi obojętni. Fakty, które tworzą tu dla mnie rusztowanie, wybrałem mniej lub więcej szczęśliwie z dziedziny nowoczesnych badań fizyologicznych i zoologicznych. Faktów tych powiązanie i ich oświetlenie filozoficzne jest wyłącznie subiektywne, i ja sam biorę za to na siebie całą odpowiedzialność. Kto sam obejmuje wzrokiem to morze faktów, temu nie będę zwracał specjalnej uwagi na to, jak wszystko znajduje się tam w nieustannym biegu i często starzeje się wprost w oczach. Ale gdyby pominąć nawet dużą część szczegółów, to pozostaje jednak myśl przewodnia całości i wpływ swój roztacza daleko

po za tę lub ową nitkę pajęczą faktu poszczególnego. A potężny szaniec raz zdobytych faktów zasadniczych dziś już zaprawdę trudno jest zniweczyć, choćbyśmy pozostawili jak najszerze prawa sceptycyzmowi, za którym ja sam wreszcie najgoręcej przemawiam. Formę, w której się będę wypowiadał, uważam za najodpowiedniejszą dla dopięcia pożądanego celu. Wydaje mi się, że sztuka jest właśnie owym pomostem, który łączyć winien dziedzinę wiedzy ścisłej, gdzie nagromadza się pewne fakty zupełnie lub też nawpół prawdziwe, i popularyzację jej w tych sferach, gdzie wymagane są już szerzej rzucone linie ogólnych myśli i światopoglądów. I wszystkie środki, jakimi sztuka rozporządza, winny być w tym celu zużytkowane: od barwnego patosu począwszy, a skończywszy na jaskrawym humorze. Rozumie się, że sztuka ma jeszcze cele zupełnie inne. Ale i tu ma jeden z wielu cel mały, sympatyczny, a jednak niezmiernie ważny, jeżeli uprzytomnimy sobie, ilu ludzi chce myśleć i tylko w tem jednym znajduje zadowolenie, którzy jednak nigdy nie opanowaliby pewnych ciężkostrawnych faktów naukowych. Tom niniejszy stanowi całość w sobie zamkniętą; odsłania on poprostu przed czytelnikiem część drogi naszej i nie wymaga przeto żadnych komentarzy. A z treści samej wypływa, że nastąpić może część następna, i tak też będzie. Ta druga część poświęcona będzie wyłącznie człowiekowi samemu.

Friedrichshagen pod Berlinem, w sierpniu 1898 r.

Biały tu blask ponad ziemią spoczywa i morzem
I wonny drga eter w bezobłocznej toni.

Goethe (Fragment z „Nausikaa“)



I tam opowiadać ci będę... W miejsce pełne czaru uprowadzić cię pragnę... Na wschód od San Remo, w raju Rivieri, wpija się w szerokie morze ostrzem swym brunatna skała Capo Verde. Na tle miękkiej zieleni wybrzeża sterczą, niby gród jakiś bajeczny, złomy skalne, które niegdyś, przed lat milionem, były również miękkim dnem morskiem. Niebieskie morze Śródziemne, wydźwignęło je w te złomy skalne. A uczyniło to nie siłą bezwzględną pięści; pieściło je delikatnem dotknięciem swych rąk białopienych cichutko i bez przerwy, w nieskończonym okresie czasu. I oto spoczywają nadgryzione, obnażone warstwy skalne, niby szkielety jakiegoś bardzo dawnego zwierzęcia-olbrzyma, który znalazł ongi śmierć nagłą nad wód brzegami. Skały tworzą zagłębienia z cicho płynącą płytką wodą o barwie zielonawej; na wodzie powstają i nikną fioletowo czerwone cienie chybotających się roślin morskich. Tylko na samym skraju skalnym błyszczą w słońcu wieniec z piany napływających bezustannie wolnych fal morskich, niby zwiewne ruchy oślepiająco białych skrzydeł.

A w oddali — już tylko niebieski, sinoniebieski czar... Na samym szczycie przylądka stoi samotny kościółek o ścianach bladożółtych i bladoróżowym dachu, pod wezwaniem Madonna della Guardia. Pomiedzy nim a skałą lśni w słońcu przełęcz górską, obwieszona krzakami janowcu, niby kulami złotymi, zaś ponad nią unosi się gorący zapach — pył fioletowej macierzanki.

Kościółka strzeże gromada starych cyprysów. Wydaje się, jakoby los-kruk rozpostarł tu przez chwilę pióra swych skrzydeł czarnych ponad tem zaświatowem objawieniem jasnych, w rozblasku konających barw. Stoją cyprysów blade pnie bez ruchu wobec błękitu bezkresnego, ponad płonąca w słońcu, żółta skała. Obok kościółka — równie skromna oberża, jak śnieg biała, o zielonych okiennicach. Wewnątrz — parę kiwających się stołów, łyk dobrego wina krajowego. Z nad urwiska przechyla się wdół drzewo figowe, pokryte teraz, w kwietniu, młodziutkimi, zielonymi pędami, które wyglądają zewsząd z szarego gąszcza krzewów, jak delikatne macki polipów.

Jak tu błogo!

Wzrok błądzi z ponad olśniewającego błękitu morskiego hen ku dolinom, ku pagórkom, w stronę lądu. Na tarasach łąk szmaragdowych, którym kwitnący w przepychu lwi ząb odcień nadaje złotawy, wszędy porozrzucane korony drzew oliwkowych, niby srebrnoszare chmury. Oto w pobliżu ponad jednym brzegiem skalnym strzela w błękit nieba jakieś samotne drzewo oliwkowe, od wiatrów opętane. To majaczy się, jako ciemna sylweta, to znów rzuca migotliwe blaski od srebrnych liści swoich, a tak klasycznie szlachetne jest w kształcie, jak gdyby stworzone było przez artystę. W oddali, gdzie drzewa oliwkowe zlewają się w jednolity szary obłok, widać tam i sam, jakby z łamigłówki wyjętą, małą, czerwono-białą wioskę. Gdzie góry stają się bardziej strome, żółcieją kamieniołomy, porośnięte czarną wełną lasu, a ponad tem fioletowe wyżyny, gdzie wszystko spływa w jeden ton. Wreszcie ponad lekkuchnym błękitnym fioletem parę wierzchołków, pokrytych oślepiająco białym śniegiem.

Bladożółty motyl w czarne prążki chyboce się sennie. Z morza idzie cichy wietrzyk, cichy, a jednak olbrzymiejący na tej wyżynie, gdzie wszystko płynie z bezbrzeżnej dali morskiej ku bezkresnym błękitom nieba.

A teraz morze samo. W rozblasku południa błękit morza promienieje i przybiera odcień mleczny, wiatr ściele po nim prawie białe pasma, a w dalszej perspektywie zlewa się ono zupełnie z białym, o zlekka niebieskawym odcieniu widnokręgiem, tworząc biały, wonny akord światła. Tylko tam, gdzie ponad morzem stoi słońce, widać gloryę srebrną; od przodu błyszczą na uroczym miękkim błękitcie porozdzielane kosmyki srebrne, a w oddali olbrzymie jezioro szczerego, cicho migocącego srebra bez żadnej przymieszki błękitnej.

Oto w tej chwili właśnie w sam środek tej masy srebra wjeżdża małe czółno żaglowe. Samo ono wydaje się srebrem, tylko troszeczkę mniej przezroczystem, i oto chwieje się ono w świetle, jako obce światło, wyzwolone ze świata wszystkich naturalnych, szorstkich barw, niby holender latający jakiegoś wiecznego, migotliwego, słonecznego snu, który śni się tylko w taką godzinę południa, kiedy pomiędzy niebem a oceanem szerzy się blask, ponad siły ludzkiego wzroku...

Tu będziemy mówili o miłości.

Czy znasz starą księgę z wczesnych dni chrześcijaństwa: dyalog filozoficzny Minuciusa Feliksa »Oktawiusz?« Jest to może najmiłsza apologia młodego chrześcijaństwa, pozbawiona wszelakiego proselityzmu. W okresie burz, kiedy ziemia jęczała pod orężem cesarzy, a nowa wiara ginęła na arenie pod stopami panter, prowadzi młody filozof przyjaciół swoich na morze błękitne, nad jego brzeg przy Ostii. Odpoczywa-

jąc na miękkim piasku, szukają oni barwnych muszli i zabawiają się ciskaniem płaskich kamyków, które skaczą po nieruchomej, srebrnej, lustrzanej toni. Zdaje się, jakoby w ciszy tej sielanki ginęły wszystkie burze świata i wszystek jego pył, wygnane różdżką czarodziejską poza jakieś niewidzialne szranki.

»I tu, w tem dobrym miejscu mówiliśmy o Bogu« — powiedziane jest w tej książce.

A my o miłości mówić będziemy.

I poprzez nasze dni przewala się burza. Wszystko znajduje się w ciągłym wirze, o każdą najprostszą sprawę toczy się walka. Rozsypują się w gruz światopoglądy, i pyłem nieprzejrzanym przesycone jest powietrze. Któż nie odczuwał gorącej potrzeby otoczyć się również takim murem tajemniczym w chwili, kiedy pragnąłby pomyśleć, kiedy pragnąłby rozważyć jakiś wielki problemat świata?...

O wielu rzeczach chciałbym z tobą pomówić... O tem, jak miłość wschodziła poprzez czasy ubiegłe... Jak się stawała w zwierzęciu, i jak się stała człowiekiem. Człowiekiem dzikim — i człowiekiem ducha. Muszę opowiadać rzeczy przykre i miłe. Spojrz tylko tam, w ten bezbrzeżny blask morza. Z tego niepokalanego błękitu powstało życie i przeobrażało się bez przerwy w tysiączne postaci, wzwyż ku sobie samemu. Spojrz w niebo, w jego czystość bezmierną, oślepiającą. Z tej błękitnej, odwiecznej przestrzeni posypały się światy, jako pył srebrny... Ile trwogi, ile obłądnej ohydy kryły i kryją w sobie potopu tego otchłanie... A mimo to wszystko jest ten błękit cudowny, w którym kąpie się dusza, jak w ukojenia toni... Czyż może to nie być symbolem? Symbolem tego, jak wszystko zło poszcze-

gólne spływa wreszcie w jednolite, niepokalanie czyste światło? A samo niebo? To niebo, w którym spoczywa tyle tęsknoty i rozpaczki ludzkiej, tyle szamotań i walk ludzkości, że każda gwiazda mogłaby być krzyżem nadgrobnym, to niebo, które nas wszystkich mrocznych gości na tej mrocznej ziemi, obejmuje właściwie, jako trumna... i ono wszak zlewa na nas taki sam, niepokalany przepych swych błękitów?

Wydaje mi się, że na takim miejscu wieść można tylko cichą samotną rozmowę, jak gdyby zmiłkła wszystka burza świata i jak gdyby dwoje ludzi wymawiało najświętsze słowa tak bezpretensjonalnie, jak bawią się dzieci rzucaniem na wodę kamyków płaskich.

Można wtedy mówić o wszelkiej pierwotności i dziwności, jak gdyby wszystko już było bardzo bliskie zlania się z odwiecznym, promiennym błękitem i chwiała się tylko tuż obok jeszcze, jako srebrna chmurka, podobna do tej srebrnej łodzi, drżącej tam w blasku słońca na morzu.

Wszak jesteśmy oboje rozsądnymi ludźmi, co siebie wzajem rozumiemy — nieprawdaż? Zawrzyjmyż więc umowę, iż żadne gąszcze, ani upiory najdziksze nie zdołają nas odstraszyć od tej krótkiej wędrówki drogą prawdy, jaką społem przejść zamierzamy. Z błękitu w błękit pójdziemy. Wszystko podrożne przyjmijmyż więc śmiało, ochoczo, z pogodnym spokojem ducha.

Będziemy mówili o miłości.

O miłości we wszechświecie, o ile my, ludzie dzisiejsi, z naszą odwagą i w skromności naszej wszechświat objąć jesteśmy w stanie. Żyjemy w innych czasach, pod innym znakiem, aniżeli ów stary Minucius Feliks. I on, kiedy z przyjaciółmi swymi na Ostyjskim

brzegu o Bogu rozmawiał, myślał wtedy o miłości. W owe czasy zdawało się, że na ziemi, pośród upadłych, grzesznych, umęczonych ludzi miłość umarła właściwa. Zdawało się, że zstąpiła ona ponownie na ziemię z błękitu mistycznego, z poza granic wszelkiej rzeczywistości i wszystkiego, co było poznane, w przeciwieństwie do przyrody, przez odwrócenie jej najistotniejszego życia. Nie było żadnej nici, któraby wiązała ten i tamten świat. Grzech i upadek wyobrażały rozwój naturalny, zaś wszystko światło biło z owego mistycznego, pozaświatowego, mżącego błękitu. Ale od tego czasu upłynęło znowu prawie dwa tysiące lat! W ludzkości rozżarzył się młody, płomienny duch, co się wzwyż przebojem rwie, duch badawczy, poznający duch, co ów stary świat rzeczywisty przeczuwa i ujmuje, jako nową jakąś zdobycz; poraz pierwszy z całą mocą narzuca się świadomość nowego świata, świata bez zasłony, bez rysy, bez mistycznej dwoistości.

Przyjrzyj się temu białemu kościółkowi tam naprzeciwko, pomiędzy cyprysami czarnymi jak kruki. Oto są owe chwile prastare, których echo dziś jeszcze słyszemy. Wewnątrz żółtawej wieżyczki z małą kopułką wisi zielony od starości dzwon; wydzwania on miłość nie z tego świata. Ale przyjrzyj się uważniej. Krzyż, co wznosi się nad kopułą ku bezkresnym, cudownym błękitom, posiada u samej góry jakieś długie, podejrzone ostrze. To piorunochron; stanowi on podwójne świadectwo o czasach nowych; nad krzyżem mistycznym metalowy trzon, który ukróca gromy niebieskie przy pomocy praw fizyki — przy pomocy nauki.. I woła na trwogę stary, zielony dzwon, kiedy czarna groźna chmura zwiesza się ponad tą wolną wyżyną, jak ptak

drapieżny, i drapie swymi ognistymi pazurami — ale piorunochron jest silniejszy — to jest krzyż naszych czasów.

Więc kiedy mówić mamy o miłości, to mowa nasza musi być inna w tych naszych dzisiejszych zupełnie odmiennych czasach. Przyjrzyj się tam temu pięknemu motylowi, jak majestatycznie opuszcza się on ku macierzance. Z niższych zwierząt, aniżeli ten kołyszący się motyl, powstałeś, człowieku, ty, jako człowiek, według nauki współczesnej. Ród twój wywodzi się z prątworów, mniej jeszcze doskonałych, aniżeli owa macierzanka, co się nieruchomie w płomiennem słońcu kąpie. Twory groteskowe bez śladu twojej postaci były już »tobą«. Pełzały one nad brzegiem morza wtedy, kiedy brzeg ten był miękkim łem, co dzisiaj tworzy owe, jak stał, twarde zręby skał, o które tu u spodu przyłodka rozpryskuje się w pianę błękitna fala. I oto związany jesteś z tymi wszystkimi tworami, co przed wiekami były już tobą, a jednak nie tem, co ty — związany jesteś dzięki olbrzymiej, wszechświatowej potędze miłości, potędze tworzenia, wiecznego odradzania się i stawania. Po tysiakkroć, po milionkroć razy już tam, w otchłaniach prabytu twego, kochał, cierpiał i krwawił, byłeś ukrzyżowany, skonałeś i jednak znowu zmartwychwstałeś dnia trzeciego. Tam, w praprzyszłości, w niezmiernym łańcuchu wszystkich tych prajaźni twego własnego ja, które dziś na Capo Verde przeżywa pośród pięknej przyrody swój cichy Wielki Piątek, tam spoczywa rozwiązanie wszystkich twych zagadek, twych najgłębszych tajemnic, które omotują cię niby siatka, przez srogi los rzucona, niby czarna pajęczyna, na

której, jako rosy krople, błyszczą łązy twoje... Tam również spoczywa rozwiązanie zagadki twej miłości.

I więcej, aniżeli wszystkie od starości zielone dzwony, mówi ci o tem oto ten motyl, co spoczywa obecnie bez ruchu na fioletowych kwiatach, jakby odrzucony tem słońcem świętecznym. Więc pozwól, że o nim właśnie i o stworzeniach jemu podobnych opowiadać ci będę. Opowiadać ci o tem będę w takim duchu, jakiego dawniej nigdy jeszcze nie odczuwano.

Ale zamknij jeszcze oczy na chwilę. Niechaj ci zniknie z przed oczu cały ów obraz, pełen ciszy uroczystej; ów kościółek biały z krzyżem i piorunochronem, owe czarne cyprysy, srebrno-sine morze. Niechaj wszystko w ciemnościach utonie — a ty przypomnij sobie dwa fakty ze swego życia, fakty, któreś przeżył, które znów powróciły, ażeby ponownie zniknąć... Muszę ci o nich przypomnieć, ażebyś zrozumiał istotną treść tego, o co mi chodzi.

Dwie chwile przypomnij sobie, kiedyś zaprzepaścił swoje »ja« w miłości, kiedyś je zatracił pośród pulsującego życia bez śladu trwogi przed śmiercią, kiedyś umarł, jako »ty«, cieleśnie i duchowo, ale umarłeś dla nowego życia.

Przypomnij sobie...

Dawałeś miłość swoją kobiecie, i sam ją brałeś wzajem — miłość zmysłową. W wyobraźni twojej tłoczą się do tej chwili obrazy brzydkie, lub takie, które kiedyś uznawałeś przynajmniej, jako brzydkie. Są one jednak jednocześnie cudownie rozkoszne. Przypominasz sobie teraz niepokoje i błędy młodości. Przywołujesz przed sąd pamięci owe chwile okrutne, co w pył ścierały bezlitośnie złoty przepych twych snów na wzór

tęgo, jak złociste listowie pogrąża się w kałużę. Ale obok tego przychodzą ci na pamięć owe chwile złote, które tworzyły z ciebie nowego człowieka, o jakim nie marzyłeś nawet w swych snach niedoświadczonych, owe chwile prawdy pośród miłości zmysłowej, które święte były, jak każda chwila, w której istotna objawia się prawda; chwile, kiedy oślepił cię przykry blask, który jednak był światłem promiennem, co dusze hartuje i spiżu trwałość nadaje ludzkiemu »ja«.

Twoje »ja« utonęło zmysłami w innym »ja«; ukażało się, wypłynęło ono na nowo — i znowu byłeś sobą. Ale pewnego dnia zjawiono się jeszcze inne — spojrzaly na ciebie dziecięca niebieskie oczy, w których było coś z ciebie; powstało nowe życie, zagadek pełne, nowy człowiek, który jednak zawierał w sobie część ciebie samego... Zjaw wielkiego misteryum.

Przypomnij sobie.

Nastaly później inne jeszcze chwile. Wtedy również zatraciłeś siebie, lecz znowu inaczej. Zlałeś się duchem z inną istotą; dusze wasze stopiły się w jedność; i było obojętne, czy to był mężczyzna, czy kobieta.

I nie skończyło się na jednym człowieku. Miłość ta wezbrała i objęła wszystkich — i stała się wszechmiłością. Święte, dalekie cele rozszerzyły twój ciasny widnokrąg. Twoje »ja« stało się dźwiękiem jakiegoś wszechmelodyi... tym razem wszechmelodyi ducha.

I z ducha, co wzbił się ponad indywidua, zrodziły się nowe sny, nowe ideały i dzieła. Sklepił się nowy błękit niebieski, z którego sypały się światy, jako pył srebrny. Powstał związek duchów, potoczyło się życie poza jednostkę. Życie, które przejmą kiedyś dzieci twoje, kiedy duch w nich się zbudzi, kiedy w nich »ja«

na tyle dojrzeje, ażeby utonąć całkowicie w otchłaniach wielkiej melodyi.

Ażali te obie chwile, które wspominasz, nie były najpotężniejsze, najcudowniejsze w twojem życiu? Jakaż potęga owładnęła wówczas tobą? Ażali jaźń twoja zdarła tajemniczą zasłonę z owego zatracania siebie i zmartwychwstawania?

Od tych wspomnień i od tego pytania chciałbym rozpocząć z tobą gawędę.

Istotę tego, co omówić ze sobą mamy, posiadasz w sobie, jako przeżycie najgłębsze. Musi ona być w tobie samym, jeżeli mamy się porozumieć. Dwukrotnie przeżyć musiałeś ową świętą chwilę, kiedy olśniła cię powódź światła, kiedy zrozumiałeś, że w tych najszczytniejszych, błogosławionych chwilach miłosnych twego bytowania nie padasz pokonany przemożną siłą grzechu, ale że wstępujesz w kręgi jakiejś świętości, czegoś, co wyższe jest ponad ciebie, w kręgi głębokiej, sinea wszechświatowej fali, która ongi ciebie samego wyniosła na powierzchnię, a teraz przeszła ponad tobą.

Tylko w ten sposób jedynie może mowa moja przykuć cię do siebie, jeżeli ciągle myśleć będziesz przytem o sobie. Wszak o tobie właściwie toczy się opowiadanie. A wszechświatowe dzieje miłości, o których mam ci opowiadać, są w tym sensie tylko rozdziałem twoich własnych dziejów. Będzie to prawspomnienie, co sięga daleko wstecz poprzez przestrzeń i czas do tych wszystkich pradawnych braci w świecie zwierzęcym i roślinnym i wraca do ciebie znów, ażeby się wcielić w czyn — w twoją miłość.

Spojrz odnowa... Coraz niżej przed oczyma naszemi spada cisza południowa na dnie morza. Słychać zaledwie

trwożliwe świergotanie ptactwa wśród srebrnego oliwek listowia; głuchy, jakby w podziemiach ginący łoskot pociągu, co przebiega w tunelu przez Capo Verde; a potem jeszcze ostatni podzwiek dzwonów wioskowych w dolinie. Widać teraz wszędzie, jak kołyszą się cicho i sennie motyle ponad złotym janowcem i fioletową macierzanką. Nad ziemią i morzem drga teraz jakby zapach czystości, jakby pierwszy poranek tworzenia. Nie wierzymy już więcej w tworzenie się, tylko w stawanie się wierzymy jeszcze, w stawanie się według odwiecznego biegu praw przyrody, w stawanie się przez miłość. Tu jest świat wiecznym dniem wiosennym. Od wiosny, która otacza nas tu taką niewymowną słodyczą, pójdziemy naprzód w słońce tej wiecznej wiosny.

Trzy nasuwają mi się obrazy, kiedy spoglądam w dół, na migocący srebrem błękit tego morza. Wydaje mi się, że w nim właśnie jest droga, którą powinna byłaby kroczyć historia miłości.

Trzy obrazy — trzy stacje..

Dziwny wieczór letni nad rzeką. Upał parny dyszy ponad tobą. Gdzieś w jakiejś oddalonej obłoków warstwie przemknęła skra elektryczna.

Ponad wodami, zapadającymi w ciemność, wisi księżyc, jak kwiat maku o groźnej czerwonej barwie.

Jest to chwila zmartwychwstania dziwnego rodu zwierzęcego. Bez dźwięku, niby duchy wyłaniają się ponad falę drobniutkie, delikatne postaci, tak delikatne i przeźroczyste, jak gdyby każda z nich utkana

była wyłącznie z najdrobniejszego pyłku bezbarwnego światła.

Nasamprzód jest ich tylko kilka, które jakoś giną w oparze; później jest ich coraz więcej, jest ich wiele, wreszcie tysiące, miryady, jak gdyby szara fala stała się nagle wiośnianem, pełnem kwieciami, drzewem, z którego sypią się naokół niezliczone, śnieżnobiałe płatki kwietne...

Na dalekiej wieży kościelnej bije dziewiąta. Echo uderzeń zegara unosi się ponad sennymi polami.

I jakgdyby to bicie godziny jakąś uroczną zakłęło potęgę, wszystkie te małe twory wyrrywają się ponad oporną powierzchnię fali ku gorącej atmosferze wieczora... Pobłyskują srebrne skrzydełka, powiewają niby zasłony wiotkie z perłowej macicy, toną, stapiają się ze sobą, tworząc miękkie, w świetle księżycowym błyszczący obłok, który lśni ponad mroczną powierzchnią wody, jakgdyby ona sama własne promieniowała światło... A obłok przewala się coraz dalej, przez całą szerokość fali. Na brzegu, gdzie olchy drzemią, mży bez przerwy jakby deszcz jaśniejących w świetle księżycowym płatków, u czarnych gałęzi olch wieszają się jakby jakaś piana świetlna... piana, z której rodzi się Afrodyta, bogini miłości.

Bowiem te wszystkie szalejące elfy, przeżywające godzinę burzy, to owady z rodzaju jednodniówek. A to chwila ostatnia ich życiowego blasku, którego użycza im błogosławieństwem brzemienny szal miłosny, oto zapłodnienia godzina burzliwa, która stanowi koronę ich życia całego...

Każda z tych rozpląsanych w srebrnym oparze ba-chantek ma za sobą długi okres pracy, jako indywi-

duum. Żyła ona od dwóch, trzech lat w ile lub piasku nadbrzeżnym, jako brzydka żarłoczna gąsienica. Żarła, grubiała, liniała od czasu do czasu. I choć mała, była jako ów barbarzyński, bezwzględny rabuś, co z najwytrwalszą energią dzień w dzień walczył o utrzymanie siebie, jako jednostki. Dostyc miało czasu to małe, obdarte, zajadłe zwierzątko, ażeby w rozmaitych kierunkach wyćwiczyć się w walce o byt. Wiecznie w niebezpieczeństwie i w obawie być samemu zjedzonym, albo z głodu umrzeć, zdołało ono jednak z niepomiernym wysiłkiem ostać się do chwili, kiedy dosięgło pewnej miary życia, pewnego punktu w swym rozwoju indywidualnym.

I oto nagle, w ten parny wieczór sierpniowy, około godziny dziewiątej, przełom w całym istnieniu, nad śmierć dziwniejszy, zmartwychpowstanie dla nowej postaci życia, dla nowego żywiołu, dla zupełnie odmiennego celu...

Ostatnie, gwałtownie następujące po sobie linienia przetwarzają ciało z gąsienicy, przystosowanej do życia w głębinie wodnej, na ową kryształowo-jasną postać sylfidy, co skąpana obecnie w księżycowej światłości, miasto w fali mętnej, mży ponad wodą, jako płynne srebro. Z dawną postacią zewnętrzną znikł jednocześnie naczelny cel dawnego życia — odżywianie się. Delikatne, oskrzydłone ciało nowej jakby istoty nie posiada już więcej zdolnych do użytku narządów trawienia... W nicość zapadły nagle lata rabunku, dławienia i wchłaniania innych tworów, lata walki niszczyielskiej. Natomiast powstały narządy nowe i widać, jak prężą się pożądliwie na przezroczystym ciele: narządy miłości.

I oto życie, długie jeszcze, czy krótkie, posiada cel nowy, cel, co sięga poza indywiduum.

W księżycowym oparze mieni się rozlicznymi barwami obłok, jak piórko lekkich, oskrzydłych istot powietrznych. Nie stanowią one już rzeszy samotników, którzy zdawali się istnieć tam w głębi obok siebie w jednym miejscu, jakby przez przypadek zaklęte, a każdy z nich właściwie szedł uparcie własną drogą i walczył o własne obrane przez siebie miejsce, a wzajem najwyżej wyrywali sobie pożywienie...

Tam chmura burzą brzezienna niedaleko czerwieni księżycowej drga w dreszczach gwałtownych od iskry elektrycznej... Tak samo całym obłokiem chwiejących się w powietrzu owadów wstrząsa jedno niewypowiedziane pragnienie połączenia się, zlania własnego indywiduum z innym w rozlewnej chwili miłosnej rozkoszy, co przetapia wszelką jedność i skończoność we wspólność i wieczność gatunku... Wszyscy pragną być we dwoje, i w ogniu tych pragnień niedawni samotnicy tłoczą się wzajem ku sobie, i w zupełnym zapomnieniu o sobie, pełni uczuć towarzyskich.

...Wciąż nowi bracia i nowe siostry wychylają się z czarnej bezdni, w dążeniu ku przepychowi przesyconego burzą powietrza i księżycowego rozblasku — i na falach powietrznych, odurzone wirem niezliczonego tłumu, chwytają się wzajem w pary i spełniają wielki akt nowego celu życia: akt zapłodnienia w ekstazie takich dreszczów błogich, jakie przeniesć zdoła aż do zatracenia swego ten drobny, jak kwiat delikatny ustrój, za jedną chwilę zupełnego wyzwolenia i harmonii.

Ponad pola upałem dyszące, spragnione rosy, co po burzy padać zwykła na nie, znowu płyną dźwięki

wioskowego zegara; bije dziesiąta. Szał miłosny owadów dosięgnął szczytu. Nasze elfy to wynurzają się na powierzchni wody, to znikają, tworząc białe świetlne wysypki, które bez przerwy zapadają się i powstają odnowa. A u brzegu wiruje obłok, jak nieprzejrzana zadymka śnieżna. Ty sam, jako wędrowiec samotny, w jednej chwili otoczony jesteś tym obłokiem, wszystek pokryty jesteś tak, że z trudem musisz torować sobie drogę. Łódka znika za tą żywą zasłoną. Na stopniach, prowadzących do łodzi roi się na wysokości kilku cali, warstwa za warstwą, wiruje w oszołomieniu; owady latają bez końca, chwytają powietrze, szukają się wzajem, aż wreszcie omdlewają z rozkoszy, wyładowanej tak burzliwie...

Atoli pośród tej hosanny widać już omdlewanie. Para za parą kończą dzieło swoje. Chwila szczęścia — i wiosna minęła. I oto wir opada, jak powiędłe liście. Samica rzuca zapłodnione jajka w wodę i umiera, jako ofiara. Zdaje się, jakoby to biedne miękkie ciało sylfidy zabite zostało przez nadmiar szczęścia, przez rozkosz miłości i rozkosz matczyną, przeżyta w ciągu jednego mgnienia. A samiec odegnany precz przez wiew powietrza, co idzie od chmury burzą brzemiennej, ginie jednocześnie ze swoją kochanką, zabity przez piorun miłości, który wszystkie zmysły jego rozżarzył i odebrał mu je też nazawsze w tym szale miłosnym... Całe to słabe życie skruszyło się w chwili, kiedy wszystkie struny jego wyśpiewały swą najpotężniejszą pieśń, pełną nigdy przedtem niedoścignionej harmonii.

Przewala się pierwszy grzmot w oddali. Wiatr, z cicha zawodząc, wpada w sitowie nadbrzeżne. Godzina jedenasta. Rozwiał się widmo elfów morskich. Ciemna,

bezustannie wdał sunąca powierzchnia rzeki pochłonęła, splukała mirjady białych trupów — ucztę weselną dla małych rybek srebrnych w głębinach wód. Ostatni słabi maruderzy, ze śmierci stygmatem, opadną z deszczem. Dwie godziny tylko — i przemiął cały szal weselny, spełnione zostały wszystkie cele nowej istoty, aż po śmierć samą. A pośród samej bachanalii szła śmierć i żęła snop za snopem, aż ostatni błyszczący pyłek srebrny przyjęty został napowrót na łono fali — rodzicielki i przez prąd uniesiony precz w otchłanie nocy.

Pewien stary grek powiada: »szczęśliwe stworzenie, tak szybko żyło, że oprócz śmierci nie mógł osiągnąć go żaden ból własny, — ani zasmucić widok czyjegoś bólu.

Dwie godziny. Ale w ciągu tych dwu godzin jednego wieczora, kiedy w powietrzu wisała burza, utrwalony został gatunek na lata całe naprzód. Zapłodnione jaja — pogrążone cichutko w głębi wodnej, jak te tysiące trupów, ofiar miłości — same nie są trupami, przeciwnie, pełne najbujniejszego życia, na drogach tajemnicy ukształtują się z czasem, jako gąsienice. A po latach długich znów nastąpi zmartwychwstanie, szal bakchiczny, miłości spełnienie i śmierć ofiarna.

Dwie godziny — ale w ciągu tych dwu godzin powtórzyło się widowisko, na które patrzą już lat miliony.

Jednodniówka jest starszą od człowieka. Tęcza jej wzlotów weselnych sięga jednym końcem swoim daleko wstecz, w pradawną historię ziemi. Widziała ona już błękitne morze praformacyi dewońskiej, kiedy nie było ani gór, jak dzisiaj, ani żadnej rzeki. Była obecna już w chwili, kiedy wiatr hulał po lasach, pośród wysokich,

jak drzewa, paproci i skrzypów, którymi dziś, jako węglem czarnym, podsycaamy ogniska nasze na kominkach. Wykwitły ongi z wód owe miłości żądne elfy, jako białe, połyskujące w księżycowych promieniach obłok świetlany — jak dziś, tak i ongi, w pełnej wydarzeń epoce jurasowej, kiedy pływał Ichtyosaurus i polatywał przez powietrze jaszczur-ptak Archaeopteryx. Cudowny sen ziemski jednodniówki pozostał ten sam i wtedy, kiedy zamiast paproci palmowej z owej epoki jurasowej zwieszały się w okresie trzeciorzędowym ponad prądem, unoszącym muchy jednodniówki, gałęzie gaju sosnowego. Z gałęzi tych spływała złota smoła, co stwardniała później w bursztyn... Dziś jeszcze widać często w jego wnętrzu wiotkie ciało jakiejś pradawnej muchy-sylfidy.

Dopiero w tym okresie trzeciorzędowym ukazał się człowiek.

W ciągu tych lat tysiąca jego stawania się, od dzikiej epoki kamiennej począwszy z mamutem i niedźwiedziem jaskiniowym, aż do świętych chwil, kiedy naradzać się poczęła kultura, przez cały ten niezmierny okres czasu towarzyszył mu bądź nad rzeką samotną, bądź nad cichym stawem ów wiecznie jednaki bieg życia jednodniówki. Przeżywała ona chwile swych wzlotów i wtedy, kiedy człowiek czytał nasamprzód w gwiazdach nad Eufratem, kiedy rozmyślał o tajemnicach życia nad Nilem, kiedy w nagrodę za ten świat, pełen trosk i pomroków, stwarzał sobie nad Ilissos inny, wyższy, świetlany świat z rytmu i marmurów.

I wiecznie to samo. Wiecznie ta zagłada jednostek dla gatunku, ten sam szal zmysłów — wszystko stłoczone w krótkim momencie, ta sama nagła, niewyjaśniona

przemiana celów. Dwie godziny, w ciągu których jednostka prawie w chwili śmierci staje się historią świata, ogniwem w łańcuchu, który ciągnie się aż po dzień dzisiejszy od pierwszych dni stworzenia, ciągnie się pomiędzy zamierzchłymi, bajecznymi lasami, pośród potworów nieznanych, pośród gwiazd, co z dawien dawna pogasły albo precz się potoczyły.

Jednodniówka nie myśli. Budzi się ona, szaleje, płodzi się — i ginie. Ale ty, samotny, późny epigonie tego niskiego świata zwierzęcego, ty, któryś odbiegł od niego tak niezmiernie daleko, stoisz na brzegu i patrzysz się nieruchomo na te małe blade trupy, po uczucie miłosnej pozostałe, i myślisz; myślisz nad tajemnicą, jaką kryje w sobie ten taniec miłości i śmierci...

Co to jest miłość?



oniec... Teraz znów inny obraz, odbijający swą dziwaczością prostacką od tamtego, pełnego tragicznej słodyczy. Ale ton zasadniczy jest ten sam w obu.

Czy słyszysz, jak wiatr gwiżdże i woda pluszcze? Norwegia... Wiew szorstkiego powietrza morskiego, przesyconego solą i zapachem rybim. Fale rozpryskują się o granitowy brzeg. O ten prastary brzeg! Tu wznosiła się już olbrzymia warownia skalna wtedy, kiedy reszta Europy stanowiła jeszcze archipelag koralowy, dookoła którego pływały smoki z formacji jurasowej. Stąd stoczyły się później na obumierające, mroźne pustkowie północnych Niemiec wały lodowców... Wielki, groźny, tajemnic pełny, zaczarowany zamek na drodze, którą szła historia ziemi, zamek sięgający pochodzeniem swem tych czasów, kiedy Wikingowie na łodziach-smokach wyruszali stąd w nieznaną olbrzymią srebrnopienną pustynię wód ku wulkanom islandzkim, z których biją krasne płomienie, ku zielonym latoroślom winnym mitycznej Ameryki z roku tysięcznego.

Atmosfera upiorów... Nad lądem ciężą chmury deszczowe. Ponad skałami przymorskimi błyszczy szorstkie, płowe światło. Jest coś, na niebie i wodzie, jakgdyby z otwartego morza zbliżała się rzecz niepojęta — holender latający, jak go sobie wymarzyła legenda, z upiornie czarnymi linami okrętowemi na tle żółtego, jako siarka, nieba; albo bajki rybackiej szatańska dłoń, co wysuwa swe olbrzymie czerwone pazury ponad grzebieniami z piany morskiej. Ptaki morskie wydają smutne okrzyki.

Atmosfera upiorów... Ileż rzeczy przypląnęło już ludziom właśnie do tego brzegu. Tu po raz pierwszy

dokładniej poznano wieloryba, to olbrzymie zwierzę ssące otwartego morza. Tu narodziła się legenda o Kraku, co z otchłani wyłonił się, jako wyspa, i tonąc znowu zatopił olbrzymiemi swemi pajęczemi ramionami największy okręt. Legenda ta znalazła wyjaśnienie dzięki mątwom olbrzymim, co w otchłaniach morskich żyją... Tu wciąż odnowa ukazywał się wąż morski z falującą grzywą, wijący się w groźnych, nieprzerwanych skrętach, od których gotowała się woda fiordu, — owe zjawisko tajemnicze, tak stare, jak istnienie ludów, uprawiających żeglugę morską, a mimoto wciąż niewyjaśnione. W otchłaniach tego morza, tam, gdzie w pewnem oddaleniu od skalnego wybrzeża ono nagle spada w przeraźliwą głębię, jakgdyby ocean pograżał się w inny, głębszy, i bliższy środka ziemi — tam żyje liliowiec, w królewskim pióropuszu na mocno osadzonej łodydze, podobny do jakiejś lilii cudownej na tle barwnych głębin koralowych; w rzeczywistości jednak jest to zwierzę, które obcem się czuje w swoim otoczeniu, to maruder samotny z błękitnego dziwomorza okresu kredowego, kiedy olbrzymie lilie wodne chybotwały się i mieniły, jako lasy palmowe głębin morskich, i kryły w zakątkach swych przebrzydłe gady owych czasów, jak dziś dżungla indyjska daje schronienie królewskiemu tygrysowi.

Azali znów zbliża się teraz ku brzegowi jeden z owych cudów morza?

Zmierzch rozsnuwa po morzu swe chłodne cienie. Ale oto błysnęły wody same, jakby światłem magicznem, które zdaje się zbliżać do starego granitowego brzegu z otwartego morza. Blask odbija się w jarze, w powietrzu, i widać, jak się zbliża tam w oparach srebrnych.

Wprawdzie potężniej daleko, ale w sposób zbliżony, zdala na niebie ukazuje się podróżnikowi podbiegunowemu odblask lodowy, wskazujący na bliskość mas kryształowych, które zamkną mu drogę, jako forpocztę pustyni, co stacza się ze skostniałego bieguna kuli ziemskiej, jakgdyby tam łączyła się kraina odwiecznego, niszczącego zimna grobowego swobodnych przestrzeni międzyplanetarnych z olbrzymią, szumiącą kulą, co wiruje dokoła słońca obarczona na swej cieplej powierzchni środkowej ciężarem istot żyjących.

Lecz o tej porze nie poruszają się tędy lody. To lśnienie srebrzyste wielogłowego dziwotworu, co się tu coraz to bliżej i bliżej pomyka. I nie jako pojedynczy potwór jawi się to w dali. Na nieogarniętej przestrzeni morza stłoczone przewala się to w zamięcie, niby wyspa srebrzysta od chmury zwierząt rojna.

Śledź to ciągnie, milionową zbliża się ławicą.

Blask świetlny na mgłach, to odbicie niezliczonych błyszczących ciał, które, opanowane masowym szalem, dążą ku samej powierzchni morza, i ponad nią nawet, aż tam znów tworzą się wypukłości, niby olbrzymi żółw, którego gładki grzbiet odbija światło księżycowe. Ale nawet w prastarych epokach bajecznych zwierząt-olbrzymów, nigdy nie było takiego wielkiego żółwia. Wyspa z ryb żywych roztacza się na długość i szerokość mili. Ponad tem unoszą się gromady białych mew, jakgdyby ponad jedną z tych samotnych skał morskich, gdzie gnieźdzą się zazwyczaj miryady hałaśliwego ptactwa morskiego.

To tu, to tam wybłyśnie ciało jakieś pojedyncze, jakgdyby ze wzburzonego, szumiącego żywiołu wybu-

chały biało-niebieskie płomyki, jakgdyby wyspa owa wyładować się chciała w drgawkach wulkanicznych.

Podobny, zda się, miałibyśmy widok, gdyby ręka jakiegoś olbrzyma rozpostarła w poprzek morza sieć i zwolna zbliżałaby się z nią do lądu, tłocząc przed sobą wszystkie twory żywe z całego wód rojowiska, aż wreszcie w zanurzonej sieci niestarczyłoby miejsca dla owej masy żywej, spiętrzyłaby się ona u brzegu, niby olbrzymia piramida tych żywych, drgających istot, którym to życie w głębinach wód nadaje tak nieraz dziwaczne, potworne kształty.

Tytanem tym jest miłość.

Śledź pojedynczy ginie na otwartym morzu, jako pyłek w powodzi słonecznego światła. Dotąd jeszcze człowiek nie zdołał nawet dociec, gdzie właściwie kryje się on w cichych, beznamiętnych okresach swego życia: czy w otchłaniach dolin podmorskich, czy też, co prawdopodobniejsze, na nieznacznej głębi na otwartym morzu, zdala od brzegów.

Aż oto nagle, jakgdyby zagrzmiął odgłos trąby z wizyi starego proroka, który kazał w dolinie pozbierać kości swoje. Poprzez najtajniejsze wnętrza wszystkich tych istot, samotnie rozsianych po oceanie, przemknęło niejasne pragnienie cieśni, pragnienie płytkiego dna pomiędzy skałami, gdzie można lubieżnie tłoczyć się obok siebie. A są w tem pragnieniu obrazy wczesnej bardzo młodości. Kiedyś wszystkie one urodziły się tu, w cieśninach nadbrzeżnych, zanim ujrzały otwarte morze.

Któż wiedzieć może, jakiej wyrazistości dosięga teraz w tem nagłym, a tak głębokim podnieceniu ogólnym, ów dawno wypełzły obraz, związany z pewnym,

określonym miejscu. To pewna, że następuje obecnie zupełna przemiana w zwyczajach życiowych. Śledź przebiega ku brzegom. Zrazu skupia się tylko w gromadki, jednym ożywione hasłem. Gromada łączy się z gromadą. Jest to jakieś nieskończone, niejasne, ślepe poprostu kierowanie się w jedną stronę; chcąc wyobrazić sobie tę niezmierną przestrzeń oceanu, skąd miłość spędza masy owych tworów, doznaje się w głowie uczucia zamętu. Wreszcie dno staje się płytkiem i upragniony brzeg jest już blisko. Wszystkie promienie tego ruchu masowego dążą teraz do jednego punktu... i z ciemnych wód przebłyskuje srebrna wyspa, utworzona z milionów owych tworów, która rzuca blask swój aż pod obłoki.

Ale jest chwila, kiedy w tym olbrzymim tłumie ryb ruch ustaje i następuje zastój. Na skutek panującego tłoku wyładowuje się nagle wszystka hamowana dotąd namiętność miłosna — w taki sposób, że zjawisko to, jak cała zresztą ta burza masowa, ma w sobie prawie coś brutalnego, a w każdym razie coś tytanicznego. Fale morską pokrywają nagle gęste obłoki męskiego płynu nasiennego, obłoki tak potężne, że ocean na dalekiej przestrzeni przybiera odcień mętny, że cała wyspa srebrna rozkoszą upojonych ryb kąpie się w nich — i pływa.

Ale jednocześnie i ciało samicy przebiega ta sama iskra najwyższego uczuć wyładowania i w obłoki nasienne padają miliony, miliony nagle rzuconych jajeczek. Na te jajeczka działa swobodnie pływające nasienie, jak złotodajne źródło życia: nasienie otacza je, obejmuje, poprostu wchłania je w siebie, a później w każdą komórkę jajową wdraża się komórka nasienne, stapia

się z nią i w ten sposób budzi w niej właściwą siłę twórczą, dzięki której wykwitnie z niej istota nowa...

Nieporównane to widowisko!

Płodzenie, jako akt gromadny. Od konwulsyjnego, dzikiego wylewu uczuć miłosnych ocean wznosi się i burzy. Każdy osobnik płynie pośród siły życiowej milionów, oddając wszystko do źródła ogólnego, i stamtąd też czerpiąc wszystko.

Tak myśl naiwna wyobrażała sobie kiedyś akt stworzenia: w jakąś wielką, świętą godzinę wylała ongi ręka potężnego Boga niewyczerpane nasienie wszystkiego, co żyje, w martwą pustkę oceanu. Z wyżyn obłocznych rzucił Brahma złote jajo, z którego po zapłodnieniu w Bogu, wyłoniła się stubarwna opona życia...

Atoli żadna fantazyja poetycka nie mogła wymarzyć całej groteskowej, bezlitosnej zarazem potworności, jaką nadała w rzeczywistości przyroda tej orgii rybiej.

Jednoczą się tu momenty wzniosłe z komicznymi i budzącymi grozę.

Oto na ten srebrny kłęb z miłości oszalałych ryb, której potęga wyładowuje się w nieprzerwanych strumieniach, jakby po oberwaniu się chmury, na te miliony skrzących się, drgających ciał, zmysłowo poruszanych pletw i wielkich, nieruchomych, jak w tęsknocie jakiejś zastygłych oczu — spadają wszystkie plagi Egiptu. Dawniej każda z osobna kryła się w głębinach lekko, zwinnie, niby akrobaci w żywiole morskim — a teraz, jako gęsto zbita masa, zespolona w dzikim szale miłosnym, są one prawie bezbronne i narażone na wszelakie klęski.

A klęska czycha tuż. Dzicy rabusie zbliżają się gromadami ku wyspie miłosnej, zdaleka już wabione przez olśniewający blask, który jak rozpalona pochodnia we-

selna, żarzy się w obłokach. Dla nich ów kłębek weselny nie stanowi nic innego, jak olbrzymi, bardzo pożądanym spichlerz żywego mięsa.

Z nad powierzchni morza biją na kilka metrów wysokie fontanny pyłu wodnego ze stłumionym, rozlegającym się daleko hałasem, jakgdyby gejzery kipiały w otchłani tajemnej: oto zbliża się olbrzym-wieloryb, kolos długości około 30 metrów. Mechanicznie rozwiera on tylko swą bezdenną gardziel, i oto wraz z gwałtownym prądem wód wpadają w nią setki miłością rozplomienionych śledzi, które on później swym wielkim, mięsistym językiem zwolna rozciera o twarde podniebienie paszczy bezzębnej, dopóki nie stają się przydatnymi do przełknięcia. Za wielorybem ciągną pomniejszych ssawce morskie, wesołe delfiny i psy morskie, a potem o nie mniej niszczycielskich zapędach gromada prawdziwych ryb, jak łupaki, sztokwisze, pomuchle, wreszcie i rekiny, których straszne zęby rozcierają miękkiego śledzia, jak masło. A z góry, z obłoków zmierzchowych napadają bez przerwy roje skrzydlate krwiożerczych mew i twarzym dzióbem odrywają kawał za kawał z żywej tarczy srebrnej, jak chciwi poszukiwacze skarbów, urywający cośnecóż po wierzchu z ukrytej w głębinach żyły kruszcowej.

Aż oto wreszcie zbliża się najniebezpieczniejszy łowca - człowiek. Poprzez mgłę suną na łodziach szeregiem rybacy z sieciami. Wdzierają się nieubłaganie w sam środek, tam, gdzie rój weselny jest najgęstszy. Łódź staje nieruchoma w ciżbie, bywa chwilami podnoszona z nad powierzchni morza przez przypływy szalu miliardów ryb — wiosło, wtłoczone w ich

masę, bywa porywane i przez chwilę trzyma się prosto dzięki zwartej masie, otaczającej łódź.

Oka sieci pokrywają się gęstym, opornym śluzem: dostały się one w morze spokojnie pływającego nasienia; wkrótce potem uginają się pod ciężarem samych ryb. Ale napróżno próbują owe twory bezbronne obezwładnić przeciwnika samą potęgą szalu, któremu uległy miliony z nich. Śledzie wrzucane bywają przy pomocy szufli w łódź wprost z powierzchni, z pośród chwil rozkoszy wyrwane. Później oddzielne części roju wślazane bywają przez sieci w wąskie ramiona fjordów, gdzie padają gromadnie w objęcia nieubłaganej śmierci.

I tak oto znika wreszcie wyspa srebrna, ze wszystkich stron niszczona. Na miliony rozkoszujących się miłością osobników spadł jakby dzień sądu ostatecznego. Atoli ów wielki, tajemniczy cel spełnił się. Z jaj zapłodnionych, o które nie dbał żaden z napastników, powstanie rzesza drobniutkich nowych rybek. W swoim czasie powędrują one znowu z nad brzegów na pełne morze, aż wreszcie i na nie w pełnym wybujałym rozkwicie ich dojrzałości, przyjdzie chwila tęsknoty, tej tęsknoty, co porywa je za sobą ku brzegom, na miłość i śmierć ofiarną. I później wyłoni się znów z ciemnych głębin nowa, srebrnym blaskiem promienna, wyspa miłości...

I te oto gody weselne ryb powtarzają się od niepamiętnych czasów. I ryba jest o wiele, wiele starszą od człowieka. W jej dzikim, nieruchomem spojrzeniu przegląda prastary świat, który oglądał ten różnobarwny ogród ziemski jeszcze bez człowieka. I więcej jeszcze. Człowiek nie mógłby wcale powstać, gdyby przedtem nie było ryby. Na miliony lat przedtem czło-

wiek był rybą, jakąś prarybą czasów zamierzchłych, w której tkwił zaledwie zawiązek tego, co kiedyś miało się stać człowiekiem.

W tęsknocie miłosnej szukają się dziś wzajem i znajdują mężczyzna i kobieta; — w jasnym świetle dziewiętnastego wieku, w 19 wieków po narodzeniu się wielkiego reformatora, poza którym w tyle biegnie historia ludzkości w dal niepamiętną, aż do krwawej mgły pierwszych zaczątków. Z płomiennych dreszczów tej chwili miłosnej wyrastać poczyna w łonie matki dziecko. I po tylu tysiącach lat, od czasu powstania człowieka na ziemi, po tych wędrówkach, które przebył duch ludzki, od mżących przedświtów aż do promiennego południa kultury: po tylu tysiącach lat, dokonywa się głęboko w łonie brzemiennej matki, nad tylko co załęgłym zarodkiem wielkie, znamienne misterium...

W ciemni macicznej, gdzie niema ani lądu, ani morza, ukazują się na drobnym delikatnym pączku przyszłego homunculusa szpary skrzelowe u szyi, które potrzebne są rybce po to, ażeby ze swego żywiołu wodnego wydobywać specjalnym, sztucznym sposobem tlen odżywczy. I występują kończyzny w postaci krągłych pletew. Jeszcze raz, jakby we mgle, ukazuje się na chwilę chwiejny obraz praryby, która kiedyś w zamierzchłej przeszłości dała życie istotom wyższym. Istoty te rozwijały się wciąż dalej wzwyż ku człowiekowi, co wyłonił się z ich korony, jako płomienny, nowy, wyższy świat, ku człowiekowi, co dźwiga na swych barkach wszystkich smutek i wszystką radość stworzenia...

Tak więc i ten dziki, groteskowy obraz jest najściślej z tobą związany.

Znowu stoisz, spóźniony marzycielu, na skale granitowej i myślisz, rozważasz.

A z tego rozgwaru dziko tłoczących się ryb powstaje znowu to samo pytanie:

Po co? Co to jest miłość?

I jak ongi głos Jehowy rzekł do Hioba: »Opasz biodra swoje, jak mąż, chcę cię pytać, ucz mnie!« — tak i ty wołasz ku miłości w tym jej widmowem objawieniu.

Odpowiedzi! Morze, to prastare, szare morze, które pochłonęło światy, szemrze i szumi i wchłania miliony w miłości oszalałych ryb. I milczy.

Wyżej!

Musisz pójść o wiele wyżej jeszcze, ażeby mózdz wyobrazić sobie, co to wszystko znaczy, co miało na celu i czego dopięło. Opasz biodra swoje, ja cię poprowadzę.



zwyż! Obraz trzeci!

Obraz, który wylania się cichy i wspa-
niały ze szczytów płomienistych wszyst-
kiego, co ziemskie.

Patrząc na jeden z tych świętych
skarbów ludzkości, na których spo-
czywa blask wielkiej godziny wszechświatowej, jednej
z takich godzin, kiedy jednemu człowiekowi udał się
czyn potężny, olbrzymi: odnalazł on w sobie ducha
wielu stuleci, jakie przeżyła ludzkość walcząca. Poprzez
kryształowe wysokie okno sączy się złote światło ja-
snego dnia jesienno — i delikatną falą, jako glorya
święta, połyskuje ponad Madonną sykstyńską Rafaela.

Za słabym wydaje się tu wyraz »świętość«. Po-
chodzi on z tej dziedziny myśli, — gdzie to, co jest
najwznioślejszego, może być uzmysłowane, tylko jako
luka w tym stubarwnym świecie rzeczywistym, luka,
która prowadzi w ową bezbrzeżną ciemność, gdzie oko
wyteża się aż do wysiłku krwawego, ażeby odkryć
blade, jako duchy, gwiazdy pozaświatowego objawienia.

Wielcy mistrze odrodzenia nie malowali luk. Kiedy
Rafael stworzył dla Matki Boskiej z Dzieciątkiem ten
kształt indywidualny, w jakim widzimy ją dziś jeszcze,
to złożył on tam wszystko, czego doświadczyła po owe
czasy ludzkość w miłości.

Wszystko, co przejęła była jeszcze ze świata zwię-
rzonego, oraz wszystko, co ją w szeregu stuleci ponad
zwierzęcość wyniosło. Potęga wielkiego artysty zespo-
liła to wszystko w jeden moment.

Atoli poza płótnem przesuwają się w procesyi
ziemskiej niezliczone pokolenia ludzkie. A ponad pro-
cesyą, powiewają jako chorągwie, i nazwy narodów,

wielkich ognisk kulturalnych i idei. Przecudowne oczy tego dziecięcia, to nie są luki — nie spoglądają one nieruchomie z rzeczywistości we wieczną ciemność. Ale jest w nich coś, jakgdyby senne marzenie o bezkresnych przestrzeniach i nieskończonym różańcu godzin — coś z pełnego wspomnień snu ludzkości, którą potęga artysty na jedną chwilę zakłęła w postać indywidualną.

Trwały, zasadniczy rys Rafaelowskiej madonny — to kobiecość jej postaci. Prawdopodobnie w otoczeniu Rafaela istniały kobiety, które były do niej zupełnie podobne i w których widzieć można jej model ziemski. Z chwilą jednak, kiedy zgasł Rafael, jako osobnik ludzki, Rafael, którego czaszka śpi w starej pogańskiej okrągłej kaplicy rzymskiego Panteonu, z tą chwilą również zapadło się w nicość to wszystko, co go najbardziej z ziemią wiązało, pod zaklęcia czarem rzucone zostało w wielką przepaść zapomnienia również wszystko to, co jest w tym indywidualne — być może i cienie silnych, namiętnych, miłością dyszących dziewcząt, które mogłyby zamącić wierzącemu ascecie zapamiętanie się w Madonnie. Zginęło to wszystko w niepamięci wraz z wieloraką inną różami ukwieconą miłością ludzką, która odczuwać musiała, jako coś sobie bliskiego, los jednodniówek z ich dwiema godzinami szału miłosnego... Ale ze wszystkich cech indywidualnych pozostaje w Madonnie jedna tylko: kobiecość.

Zjawia się na ziemi człowiek w dwoistości płci swojej. Mężczyzna i kobieta. Nie zostało to dopiero osiągnięte na przestrzeni dzielącej goryla od Rafaela. Zaczęła się ta dwoistość z wystąpieniem wyższego rozwoju organicznego, i to zarówno w świecie zwierzęcym, jak i roślinnym. Parła ku temu głęboka konie-

czność przyrodnicza, o której ci później opowiadać będę. Twór jednokomórkowy najniższego rzędu, znajdujący się jeszcze poza zwierzęciem i rośliną, rozmnaża się przez dzielenie — i każda nowopowstała cząstka stanowi nowego osobnika. Ale ten sposób był zarzucany w miarę tego, jak ustroje rozwijały się coraz dalej — już nawet w czasach prastarych przez większość roślin i zwierząt poniechaną została. Gdyby prawdziwą była legenda indyjska, według której człowiek miał powstać z różowego kwiatu lotosu przez gorący pocałunek złotego spojrzenia boskiego, już musiałby po tym kwiecie odziedziczyć dwoistość płci. Wprawdzie lilia wodna ma jeszcze w jednym kielichu kwietnym oba rodzaje narządów płciowych; ale słupek wymaga zapłodnienia przez pyłek nasienny z innego kielicha, tak, że już i tu dla właściwego zapłodnienia potrzeba życia podwójnego, dwoistego, sił dwu oddzielnych osobników.

W rzeczywistości zaś człowiek nie jest dzieckiem rośliny, choć pięknie brzmi owa legenda. Powstał on ze zwierzęcia. Najprostsza postać dwoistej miłości płciowej, jaką widzimy w kwiecie lotosu, wcześniej poniechaną została w świecie zwierząt wyższych, u kręgowców, już przez ryby nawet, na korzyść zupełnego podziału na pierwiastek męski i żeński, z których każdy uosabia prawdziwą płć, z męskim lub żeńskim narządem płciowym, z męskim lub żeńskim światem uczuć płciowych. Począwszy od ryby niemasz już odstępstwa od tej trwałej zasady. Od ryb przeszła ona do płazów, gady odziedziczyły ją po płazach, a zwierzę ssące od gadów. W łańcuchu wstępującym ssawców małpie przypadła rola bezpośrednia przekazania dwoistości płciowej człowiekowi. I człowiek wkracza do historii, jako męż-

czynna i kobieta. I Adam przed stworzeniem Ewy stanowi również, jak ów człowiek z kwiatu lotosu zrodzony, piękną bajkę... To prawdziwy dziki praczłowiek, co polował na mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego i leniwca-olbrzyma i od pierwszego dnia obejmował dziką swą pratarzyszkę w jaskini lub dole jakimś piaskowym, które służyły mu za kryjówkę.

Madonna Rafaela, najwyższy symbol kobiety, trzyma na ręku dziecko. Wobec czysto ludzkiej, podniesionej tylko do ideału najwyższego, postaci, jaką nadał Madonnie swej mistrz, nie należy zaraz przypominać sobie misteryum religijnego, jakim otoczył dogmat chrześcijański powstanie tego właśnie dziecka, jako dzieciątka Jezusowego i tem samem wysunął je zupełnie poza szranki wszystkiego, co ogólnoludzkie. Zwykły spostrzegacz, którego nie dotyczą te problematy, widzi tylko w cudownym nieziemskim blasku — matkę. A w tem misteryum »niepokalanego poczęcia« było jednak coś, co dało możność artyście otoczyć typ matczyny, typ dojrzałej kobiety lekkim, niedostrzegalnym prawie powiewem niepokalanego, dziewiczego czaru.

I przez to Madonna w obrazie Rafaela wyobraża już więcej niż zwykłą matkę, wyobraża kobietę-człowieka: w tej jednej postaci zbiega się szereg całych momentów; cała historia kobiety, jako indywiduum.

Poprzez czarujący błękit tej szaty wzrok ludzki wyobraża sobie ciało, które niosło we wnętrzu swoim dziecko. Biała chustka, zarzucona na kaftan czerwony, kryje wstydliwie pierś, która dawała dziecku pierwsze pożywienie. Wszystkie te akty najściślejszego zespolenia matki z dzieckiem nie wskazują na nic nieziemskiego, rozważane wyłącznie z ludzkiego punktu widzenia, ale

wskazują w granicach historii człowieka przedewszystkiem i na to, co sięga wstecz poza człowieka, taksamo, jak i dwoistość jego płci. Wskazuje na rodzaj zwierzęcy, z którego powstał; tylko, że punkt wyjścia jest teraz znacznie bliższy. Cóż wie o tych zjawiskach kwiat lotosu — płód jego polatuje ponad wodami, szuka sobie miejsca i wzrasta, jako obca roślina. Co może wiedzieć o tem wszystkim mucha jednodniowa; umiera ona prawie w tej samej chwili, w której została matką... Dopiero w dziedzinie najwyżej rozwiniętych kręgowców widzimy dążenie konsekwentne do pewnego trwałego celu. Od promiennych barw Madonny Rafaela cofa się wzrok twój w dal, na dzikie bagna australskie. Tam kryje się zwierzę, najniżej wśród ssawców stojące, które dziś stanowi jeszcze wzór pierwszych ssawców na ziemi. To t. zw. dziobak. Kładzie on jeszcze jaja, jak gad; brak jeszcze tu zupełnie owego najściślejszego zespolenia, jakie istnieje u ludzi — pomiędzy dzieckiem a organizmem matki. Ale jeden z dwóch gatunków tych zwierząt, które się ostały, nosi już jaja ze sobą w miękkim worku skórnym. A młode, które się tu wylęgnie, ssie mleko z gruczołu matczynego. Jest to prawzór matki w rozumieniu ludzkim. Od tego punktu począwszy następuje szereg coraz to nowych postaci zwierzęcych: ssawce, które już wogóle jaj nie kładą, ale noszą w sobie młode swoje i długo jeszcze odżywiają je w ciele swoim przy pomocy wspólnego obiegu krwi, która, jako święte źródło życia, z żył matki przesiąka w żyły niezrodzonego jeszcze płodu, a potem karmią je jeszcze po urodzeniu u prawdziwych piersi matczynych. I tu również małpa przekazuje dziedzicznie człowiekowi, gotowe już zupełnie prawa naturalne.

A jednak: kiedy myśl twa, która od promiennego przepychu Madonny sykstyńskiej odwróciła się była ku dziobakom, i teraz znów dosięga człowieka, to wydaje się, jakoby zbyt brutalnie, zbyt nagle opadła wielka zasłona, która ongi, w prastarych czasach spajała ze sobą człowieka i zwierzę.

Pojęcie macierzyństwa odziedziczone zostało od zwierząt w całym łańcuchu postaci demonicznych, poczynsz od groteskowego dziobaka wzwyż ku orangutangowi i goryłowi; z chwilą jednak, kiedy to pojęcie wkracza w dziedzinę historii ludzkości, wybucha ono płomieniem zupełnie odmiennym. Oto przyroda w całym promiennym blasku swoim wyzwala z siebie kulturę.

I po prawiekach przyrody następują tysiące lat rozwoju ludzkości — kultura. Wtedy już to wszystko, co odziedziczone zostało po zwierzętach, nie przechodzi wprost z pokolenia w pokolenie, jako wiecznie niezmiennie dziedzictwo zwierzęce.

Ciało Rafaelowskiej Madonny, mimo całego uroku, jednak jest jeszcze symbolem organicznej zasady dwupłciowości, a dziecko na obrazie każe pamiętać, że to jest matka. Atoli jednocześnie postać ta unosi się jakby w jakimś wyższym świecie, jako kreacya wolnego ducha ludzkiego.

Taksamo i miłość wznosiła się coraz to wyżej w historii ludzkości, jako coraz lotniejsza postać promienna, u której stóp zapadało się w głąb wszystko, co zwierzęce, co brutalne.

Człowiek stał się człowiekiem.

Na surowem podłożu jego zwierzęcości, niby na cokóle granitowym, tworzyły się w nim samym nowe nawarstwienia duszne.

I oto strzelają one ku górze, jako świątynia, której marmur śnieżny ku świętym wznosi się błękitom.

Brak odpowiedniej analogii dla odtworzenia obrazu, jaki oczyma duszy widzimy. Wiemy tylko o jednej, jedynej ludzkości, co w długim okresie czasu od chwili, kiedy w oddali błyszczał zielonym światłem wszechświat cały, aż do epoki zwartego łańcucha żółtych gór granitowych, rozwijała się z pośród masy postaci zwierzęcych. Czy na innej jakiejś planecie, ślącej ku nam białe lub czerwone światło, powstało również coś podobnego pod zaklęciem tych samych sił, o tem nauka milczy... Domyślać się zaledwie wolno. Nieświadomość nasza w tym względzie otacza »planetę życia« ze wszech stron aż po przestrzenie gwiazdne, niby bezbrzeżna, naga pustynia, i stwarza dla nas w każdym razie stanowisko wyodrębnione, uprzywilejowane, wobec którego milknie wszelakie porównanie.

Atoli oczyma duszy dojrzeć można, jak owa jedna, jedyna, nieporównana ludzkość przekształcała na tej planecie pojęcia swoje, a pomiędzy innemi i pojęcie miłości.

Powstało ono samo z siebie i wyrosło ponad siebie. Tak, jak ująć je pragnie przy pomocy symbolu ta Madonna, w jego najszczytniejszym wyrazie, olśniewa ono potęgą, do której miłość zwierzęca pozostaje w takim samym stosunku, jak proste legowisko z gałęzi, przygotowane w gąszczu wyspy Borneo przez orangutanga, wobec Panteonu Fidyasza lub kopuły Piotrowej Michała Anioła. W tych budowlach promiennych znajdujemy nietylko ciała znikomych indywidualów, ale poza tem żyją w nich myśli lat tysięcy, wyzwolone dla jakiegoś wyższego życia...

W prometeowej kuźni ludzkości, gdzie od wieków przekazywany, ciemny kruszec przetapiał się w ogniu ducha dla nowego życia, chuć i żądza w zwykłej miłości płciowej stała się wszechobejmującą siłą i tęsknotą wyższego, nowego, uduchowionego rzędu. Popęd, który zbliżał ku sobie obie płcie, który sprawiał, że osobnik sam zatracał się w płodzeniu nowych indywiduów — popęd ten rozwijał się w nieskończonych przemianach wzwyż aż do tęsknoty za wspólnem zjednoczeniem wszystkich na zasadzie miłości idealnej, aż do potęgi, któraby pozwalała na takie zjednoczenie się.

I bezbrzeżna błogość, zupełna niepamięć zjednoczonych osobników płciowych dla świata całego, dla bólu i śmierci, zwały się z tęsknotą za harmonią całego świata, za jakimś wzwyż ku światłu wiodącym porządkiem wszechrzeczy, ponad człowieka i ponad jego miłość.

I obok siły rozrodczej, która wciąż stwarzała jakieś nowe życie w odwiecznym rozumieniu tego wyrazu, zjawiał się nowy popęd, podsycany ową tęsknotą za harmonią — popęd do własnej, uduchowionej, harmonijnej twórczości odrębnego rodzaju: pośród starej przyrody stwarzał sobie człowiek nową, uduchowioną, a własną przyrodę w kamieniu i barwie, w mowie rytmicznej i w czystym dźwięku...

Miłość stała się miłością ludzką.

Stała się sprężyną podniesienia religijnego.

Stała się sztuką.

O tem wszystkim opowiada ci właśnie Madonna Rafaela.

Dziecię, które tuli się do pięknej piersi tej kobiety, nietylko jest zwykłym dziećciem ludzkim, spłodzonym w uścisku miłosnym dwojga ludzi według odwiecznego

prawa przyrody, obejmującego również płodzenie się ryb i jednodniówek. Dziecię to jest jednocześnie symbolem miłości wszechludzkiej. W tem właśnie, co dziecko owo wynosi ponad zwykłą miarę, miłość występuje jakby wyzwolona ze swego pierwotnego pochodzenia, do nowego wyższego bytowania gotowa.

Istnieją zwierzątka morskie na dnie morza, z których jaj rozwija się polip, mocno do dna przytwierdzony; w pewnym okresie dojrzewania nagle odpada korona tego polipa i płynie bez przeszkód w bezmiar tego oceanu, jako cudnie piękne ciało, przezroczyste, niby dzwon szklany, o barwie błękitnej bławatka, a nocą własnem oświetlony światłem, jak gwiazda złota. Tak samo z miłością. Zdaje się, jakoby przerwany został młodzieńczy, niedojrzały okres dojrzewania w tym celu, ażeby na jego miejsce rozpoczął się wolny, bez porównania bogatszy okres wędrowania. Miłość błądzi — błądzi po wszystkich krajach, pośród ludzkości, jako wartość duszna. I zamiast zwykłego związku płciowego pragnie ona związku społecznego wszystkich jednostek dla wspólnej pracy, wzajemnej pomocy w celu osiągnięcia możliwej sumy szczęścia.

Rafaël miał na myśli zupełnie określone zjawisko z historyi człowieka na ziemi, kiedy tworzył to dziecko o wielkich, płomiennych oczach ludzkości, oczach, których nie posiadało nigdy żadne dziecko, możliwych tylko jako symbol budzących się ze snu oczu ludzkości, które, niby olbrzymi pęk, rozwierają się przed widzem w tem spojrzeniu dziecięcym. Wtedy wzrok duszny Rafaëla sięgał przeszło półtora tysiąca lat wstecz i zatrzymał się na bardziej ku wschodowi leżącym kącie morza Śródziemnego, tam, gdzie pomiędzy morze i pustynię wtłoczone

jest wąskie pasmo lądu stałego. To jest owo morze, po którym Fenicyanie ongi przewozili na zachód złoto kultury. To jest owa pustynia, na której białej powierzchni wcześniej jeszcze, w zaraniu wszelkiej tradycyi, wyłoniły się od strony wschodu pierwsze narody kulturalne, jako cienie z przepastnych, tajnych głębin.

A kiedy wzrok Rafaela błędził po owym starym lądzie, to natknął się na zielone wzgórze palmowe ponad błyszczącym błękitem morza. Na tem wzgórzu objawił samotny myśliciel lekliwemu tłumowi z głębin serca swego ewangelię o przebudzeniu się miłości wszechludzkiej. I odtąd było już to słowo na świecie i już umrzeć nie mogło. Pojęcie tego wyrazu istniało wprawdzie już wtedy od dawien dawna. Nie powstało ono w jednej godzinie, nie wyszło ono z ust jednego człowieka. Przynajmniej na tysiąc lat przed Chrystusem świat we wszystkich głębiach swych brzemienny był tą ideą. Tylko teraz właśnie nagle wybuchła ona płomieniem swym, ogarnęła narody, podobnie do tych tajemnych źródeł gazów podziemnych w Baku, znanych pod nazwą ogni wiecznych, które wydobywać się mogą z ziemi niewidzialne poprzez wieki całe, dopóki ręka czyjaś, chociażby ręka dziecka, nie rzuci iskry i w ten sposób nie wzniesie pożaru, co znów płonąć może przez wieki..

A i wtedy wyraz »miłość«, ta iskra chwilowa, co rzuciła nagle z ciemności ów bezprzykładny snop światła, wydał się tak olbrzymim, że ziemia zdawała się być dlań za małą. Naturalny bieg rzeczy miał być przerywany. I wierzono wtedy, że piorun miłości wszechludzkiej błysnął z jakiegoś innego, nieznanego dotąd świata, z jakiejś ciemnej chmury, leżącej poza wszystkim, co ziemskie, poza całą dotychczasową drogą,

którą szedł rozwój ludzkości. I wśród tych dreszczy przerażenia przerwany został związek pomiędzy miłością a miłością. Miłość wszechludzka nie miała — według pojęć ówczesnych — nic wspólnego z miłością płciową. Nie miała ona być pękiem, a meteorem, co spadł na ziemskie posiewy miłosne, jako coś, co jest im obce zupełnie, co je niszczy nawet.

Takie pojmowanie rzeczy było za czasów Rafaela prawie panujące. Dziś żyje ono właściwie tylko w przekazywanej święcie tradycji. Nam wydają się dość wielkimi cuda rzeczywistości, cuda naturalnego rozwoju, ażeby i chwila tak potężna, jak objawienie miłości wszechludzkiej, mogła być przez nie w zupełności objęta. Tu nie trzeba jeszcze jakiegoś specjalnego cudu. Właśnie wtedy, kiedy i w tem objawieniu staramy się dojrzeć tylko zgodne z prawami przyrody i niezbędne w rozwoju ludzkości *stawanie się*, wtedy przejmuje nas dreszcz najwyższego dostojęstwa.

Teraz dopiero właśnie obraz staje się tak potężnym, że wywołuje uczucie zawrotu. Oko patrzy weń, jakby w lejek, gdzie podnoszą się i opadają okruchy jednostek, w nicość zapadłych, i idei przebrzmiałych co potonęły w morzu niepamięci, jak uwiędłe listowie — unoszą się i opadają, jak cienie podziemnego świata Homera, co dźwięki wydają ptaszęce i podobne są do nietoperzy. Nie powstaje wcale myśl, że rzeczywiście istnieć może przepaść pomiędzy jedną miłością a drugą. Cała olbrzymia surowa podwalina miłości płciowej, — począwszy od zwierzęcia, — ryby i muchy jednodniowej — potrzebna jest poto, ażeby wielki twór ludzki — miłość duchowa — stać się mógł ogniwem rozwoju organicznego. Dzikie, samotne, w walce o pożywienie

zaszczute osobniki musiały się przez miłość płciową ukrócić, znaleźć się wzajem, jako samiec i samica, jako matka i dziecko, jako ród węzłami krwi związany. Z miłości płciowej wyrosły związki społeczne, najwpierw w świecie zwierzęcym, zaś później, jako coś trwałego, niewzruszonego wśród ludzi. I przez długie lat tysiące i tu powstawały owe związki społeczne dzięki krwi, tej gorącej krwi, co źródło swe miała w narządach płciowych i tam żar wchłaniała.

A potem powoli, bardzo powoli wszystko to przeobrażało się w ducha.

I oto jest wielka, zasadnicza a tajemna epopeja ludzka — jak z krwi oparów wyłonił się duch. I to jest zarazem historia wszechludzkiej miłości.

Na gruncie realnego powinowactwa krwi, niby skromny pierwiosnek, który pod promieniami zimowego słońca bladą jeszcze zachował barwę, weszło idealne pojęcie duchowej jedności pochodzenia, pojęcie świętości i nietykalności jednostki bez względu na wszelkie pożądanja płciowe.

Olbrzymi jeszcze pozostawał krok do chwili, w której pojęcie to mogło być rozszerzone na ród, nie związany bezpośrednimi węzłami krwi; albo na naród cały, którego krew mogła kiedyś w mitycznej praprzyszłości tętnieć jeszcze w zgodnym rytmie.

Ale tymczasem pierwiastek duszny rósł wciąż dalej w gwałtownem tempie.

I pojęcie duchowe, które stworzyło »naród«, stało się później również pomostem poprzez naród ku wspólnocie wszystkich ludzi kulturalnych, a w końcu wszystkich ludzi wogóle.

I patrząc w ten ferment rozwojowy w lejku, czujesz

jakby błyskawicę, która wzrok twój gwałtownie rwie
wzwyż.

Zdawało ci się, że stoisz na brzeżku i patrzysz
tylko w dół. Aż oto wir cię porywa i jesteś w samym
jego środku.

Pod tobą z głębiny ciemnej wznosi się wir ku
górze i przewala się poprzez ciebie w promiennych
postaciach w przeczuwaną zaledwie przyszłość, za coraz
dalsze zasłony z mgły i oparów utkane. Kiedy wszech-
ludzka miłość stała się słowem na owem wzgórzu
palmowem ponad błyskotliwym morzem, słowo to obej-
mowało sobą, niby obręcz złota, nietylko niezmierną,
w otchłaniach przeszłości ginącą pracę; już zaznacza
ono to wszystko, co stać się miało prawdą przez pracę
następnych tysiącoleci. W tym jednym wyrazie »wszech-
miłość« zawarte było najgłębsze rozumienie tego wszyst-
kiego, w co dzisiaj wpatrzeni jesteśmy oczyma duszy
naszej, jako w najśmielszy ideał przyszłości społecznej.

Ideał społeczny... Jaki opar dymu, jaka krwi fala
wdziera się przez to pojęcie w jasną, do okrucieństwa
prawie jasną rzeczywistość dnia naszego. Ale i to wreszcie
jest tylko kwestyą miłości. Jest to kwestya, dotycząca
łańcucha owych czuć, które mimo biegu rzeczy i ich
przemiany trzymane są przez wyraz »miłość« w wiecznie
jednakim, stalowem spojeniu; kwestyi tej zawiązek
tkwi w owych jednodniówkach; w samotnych, zaborczych
poczawkach — indywiduach budzi się popęd zmysłowy
i powołuje je do wspólnego życia płciowego bez trosk
o byt, w ciągu dwu godzin szczęściem jasnych; w tych
rybach, które z głębin oceanu wypiera miłość płciowa,
aż dopóki nie ukazą się na powierzchni w postaci wysp
srebrnych, jako społeczność rozmnażających się istot

płciowych, dla których wążki, płytki fiord stanowi jedno jedyne łoże ślubne.

Wszystko to rozwijało się wciąż dalej, wciąż wyżej i uduchowiło się przez ludzkość. Stało się nowem słowem w owe dni święceń, które opiewa ewangelia, a czynem staje się dopiero pośród nas, pośród tysięcy i milionów krzyżów, wznoszących się niewidzialnie ku temu jednemu, który legenda przyoblekła w święty blask lilii przecznej; wydziera się ono z ciemnych jam okiennych współczesnego wielkiego miasta, z fabryk, gdzie żelazne koło przewala się po drgających w bólu ciałach ludzkich, z więzień, lupanarów, domów dla obłąkanych i przytułków.

A ponad to wszystko wznosi się jednak zwycięsko jako miecz i ogień naszych czasów, jako ciche, zapóźnione światełko u najodleglejszego wyjścia olbrzymiego w ciemnościach tonącego szybu, w którym się wszyscy dusimy...

Czy czujesz już teraz, na jakich chwiejesz się wyżynach?

Czy słyszysz, jak nowy głos, niby odgłos trąby, miesza się z twojem dawnem pytaniem: Co to jest miłość?

Atoli Rafael pragnął wznieść się wyżej jeszcze. Jego Madonna wylania się z jasnych obłoków. Promienieje ona jakimś blaskiem wszechświatowym, który zdaje się wytryskać z najtajniejszych głębin wszystkich rzeczy, z poza wszystkich słońc i planet wszechświata. Jej stopy nie potrzebują ziemi, jak gdyby istniała w takiej przestrzeni, gdzie wszystkie siły ciężenia się

równoważą. Rafael nie marzył tylko o kobiecie, ani o ludzkości nawet w postaci kobiecej. O Madonnie marzył. Tworząc tą miłością wyanielone twarze kobiety i dziecka, marzył on o miłości, tętniącej aż do istotnego serca świata. Wszystkie tajniki nieba i ziemi posiadał jej łono. Stała się symbolem świata oraz symbolem jego wyzwolenia.

I nowa, niezmierzona wędrówka ludzkości staje przed twemi oczyma. A miłość idzie pośród, jako Ahaswer niestrudzony. Miłość stała się wiarą, miłość stała się religią. Zrazu naga, dzika i pierwotna — potem doskonali się coraz bardziej, krwi się wyzbywając i stając się duchem.

Zmienne obrazy przesuwają się przed twoim wzrokiem. Oto święte gaje Hierapolisowe. Męskie narządy płciowe, wykute w kamieniu, o rozmiarach olbrzymich, prężą się ku błękitom, jako symbole boskiej siły płodności. Oto świątynia Astarty, gdzie prostytutka jest ofiarą boską, gdzie oddają się młode dziewczęta, aby w ten sposób okupić sobie wyższą religijną czystość. Zapłodniona, rodząca kobieta staje się Izydą, wszechmacierzą, której łono wiecznie odnowa świat rodzi. W Eleusis płodzenie staje się misteryum, gdzie zwykle ziarno kłosu — to cud, co zbawia wiernych.

A potem w tym świecie zjawia się Chrystus. I oto nagle zdobywa sobie olbrzymie znaczenie ów idealny rozwój miłości płciowej, mający na celu wyzwolenie społeczne przez wspólną, uduchowioną miłość-pracę.

I przejawia się ten rozwój w takiej formie, która grozi zagładą skrajnemu kultowi ciała, kultowi rozmnażania się, kobiecie samej. Atoli jednak kult ten znów podnosi głowę. Na gruzach jaskrawych cokółów tych słupów,

co ongi otaczały świątynię wszechmacierzy Izidy, miłości żaru pełną, oraz owianą gorącą atmosferą płodzenia i rozradzania się, wzrasta kościół Maryi z blado-złotymi gwiazdami na dyskretnym błękitcie. I jest to znowu to samo, tylko dosięgło tu niewymownej miękkości w wyrazie uduchowionego ideału. I oto teraz czczonem jest jako coś nieskończonego, obejmującego wszechświat cały: nietylko dziki szal płodzących, błogości pełen ból rodzących kobiet, ale i czystość Dziewicy, czystość rozkwitającej dopiero miłości.

Z tego na świat poglądu wyrósł Rafael. Jego wiara w to, że w sercu świata stoi kobieta, złała się w nim z wiarą, że miłość wszechludzka nie z człowieka samego powstała, a zstąpiła z niebios. Przy piersi Madonny, która stała ponad słońcem i ziemią, spoczywało w wyobraźni Rafaela Dzieciątko Boże, co niosło z tamtego świata przykazania owej miłości wszechludzkiej. Ale i to dziś przebrzmiało, przebrzmiało bez echa.

Jakie jest pochodzenie tego cudownego dzieła, które obnosi na sobie dookoła słońca od 400 lat prawie stara ziemia? Gdzie wyrosło ono z pradrzewa wszechrzeczy w wielkim ogrodzie świata, pomiędzy okiem ludzkim, a gwiazdą podwójną?

Jest to sztuka.

Od Madonny wzrok swój przenosisz na tłum podobnych skończenie pięknych kobiet. Jedne malowane, jak ta oto, farbami na płótnie; inne wykute w marmurze w całej okazałości swych kształtów. Wenus z Milo z jej potężną, niezwalczoną, pogodną czystością. Pieta Michała Anioła, której potęga rozplywa się we współczuciu miłosnem.

We florenckiej Trybunie jasna, jak jutrzeńka, naga Wenus Tycyanowska, przeżywa raz jeszcze we śnie najrozkoszniejsze chwile swoje. Jest to ściśle spokrewnione ze sobą bractwo, co wyłania się gdzieś w cichej piękności swojej z rwącej, zmiennej, szarej fali pokoleń ludzkich.

Żadna z tych kobiet nie »żyła« nigdy w prostym ludzkim rozumieniu tego wyrazu. Żadna nie powstała przez akt cielesny organicznego rozmnażania się. A jednak stoją one w całej swej piękności pośród nas. Stoją oto, stworzone z bezgranicznej, płomiennej miłości, zupełnego zapamiętania się ludzkiego indywiduum w czemś nowem, w czemś innem, w »tworzeniu«; są one przeniesieniem we własnem »ja« najwyższego ideału na coś innego, trwałego, co ma przetrwać śmierć tego »ja«. Wydał je duch, stworzyła je ręka, aż do najslabszego mięśnia gorącym tchnieniem ducha owiana, dla tej samej przyrody, tej samej rzeczywistości, do której należy również i dziecko spłodzone w uścisku miłosnym

— ale jednak stanowią one pośród tej rzeczywistości byt odrębny, którego nie pokrywa pojęcie owego dziecka, oraz nie obejmuje stwarzanie nowego życia na drodze płciowej.

A za tymi obrazami, za tymi posągami nowy szereg postaci, nieskończony korowód królów myśli i potęgi, którzy wszyscy odnowa do życia wstają, kiedy rozbrzmiewa słowo wieszczca; kiedy rozbrzmiewa mowa rytmiczna, nie zasłyszana nigdy w całym tym rozgwarze głosów przyrody, jakgdyby to była jakowaś mowa z nadświata; kiedy rozlega się czysty dźwięk, co grzmi hosanną, jak głos najistotniejszej harmonii wszechświata... A wszystko to zrodzone zostało z tej najgorętszej miłości duchowej i rzucone w świat rzeczywisty, jakgdyby duch, który z miłości zmysłowej stworzył wszechludzką, wreszcie ujął również w ręce swoje misteryum tworzenia czegoś dla nowych, cudownych celów...

Po raz trzeci wielkie przeobrażenie. Miłość stała się sztuką.

I miłość leży na drodze, wiodącej od krwi do ducha. I ona nie spadła na ziemię, jako obcy jej meteor. Stworzył ją ten sam człowiek z krwi i kości, który płodził dzieci według niezłomnych praw przyrody. Człowiek, co powstał ze zwierzęcia. Od tego zwierzęcia odziedziczył on już zarodek sztuki; a zwierzę posiadało go w godzinach swych miłosnych.

Czy słyszysz rytmu pełną pieśń słowika... widzisz, jak motyl kołysze się w swej precudownej, stubarwnej szacie?...

Jakaż daleka droga — stamtąd wzwyż! A jednak była to właśnie ta droga.

Z ciemnych głębin wszechświatowego rogu obfi-

tości spłynęły ku nam wartko poprzez wieki — światło, barwy, dźwięki i wszelakie wiązadła rytmiczne.

Aż oto na ogrzanej przez słońce ziemi ukazały się twory żyjące. Odczuwają one światło, chwytają dźwięk zrazu niejasno, blado. Potem walka o byt i rozwój stwarzają dla nich narządy zmysłowe o trwałej wartości, oko i ucho. Pierwszy ich cel — to samoobrona.

Pełne lęku spojrzenie rzuca wokoło siebie zwierzę i drży przed niebezpieczeństwem. Wszystko dookoła napada na nie, albo też ono samo dba oto, ażeby się utrzymać i napada, wtedy wszystko dookoła staje się zdobyczą, która z dziką chciwością może być schwytana i poszarpana. Aż oto nagle błysnie w życiu indywiduum chwila o innej zupełnej wartości. Miłość. Zwierzę pożąda innego z tego samego gatunku. Szuka go nie jako wróg, ale z tęsknotą miłosną, oczyma pełnymi miłości. W takich oczach po raz pierwszy zaśnił promień ideału. A potęga miłości stworzyła po raz pierwszy »piękno«, w czynnym znaczeniu tego wyrazu, w owych kochających się tworach. Motylowi ubarwiła skrzydła, ptaka przybrała w ślubną sukienkę, słowikowi skomponowała pieśń. Miłość była zwierciadłem, co skupiło w jedno ognisko, zrazu powierzchownie tylko, wszystek rytm, wszystko porozrzucane na ślepo piękno żywej przyrody...

A tymczasem coraz bardziej rósł duch. Prócz tego zewnętrznego, patrzącego oka, powstało to wewnętrzne, twórcze oko: wyobraźnia. Powstał duch ludzki. Człowiek nie stwarzał sobie samemu na ciele żadnych barwnych skrzydeł, żadnych piór weselnych. Wszystko to widział on tylko wewnętrznym okiem ducha, w wyobraźni swej — jako światło i harmonię, jako tęsknotę

i ideał. Podobnie nie potrzebował już więcej lwich pazurów i pancerza: on myślał tylko i w wyobraźni widział narzędzie swej obrony. Ale ręka jego, jeszcze miękka i plastyczna, pozostająca cała pod kierunkiem mózgu, wyrabiała później w istocie te narzędzia z kamienia, rogu i metalu, oddawała je życiu rzeczywistemu przez samodzielnie twórczą pracę i położyła kamień węgielny pod technikę, jako jądro całego przyszłego panowania nad przyrodą... I tą samą ręką stworzył człowiek również wszystko: te obrazy pełne rytmu, tęsknoty i piękna, które widział w wyobraźni swej — stworzył sztukę świadomą, jako plód najwyższego zmysłu twórczego, jako źródło, skąd w przyszłości człowiek miał czerpać pomysły do rozszerzenia pojęcia przyrody.

Tysiąclecia szedł człowiek po tej drodze, i powstał Rafael, jego Madonna. Rozkwita nowe królestwo przyrody: nie gwiazda, nie przedmiot nieorganiczny, nie roślina lub zwierzę, nie człowiek nawet w sensie tworu organicznego, ale dźwięki, postaci, wytwory sztuki. Świat pełen żaru, przepojony gorącym tchnieniem miłosnym, przejęty wszystkimi dreszczami nieokiełznanej twórczości, a jednak mimo to opromieniony świętym blaskiem, wyzwolony ze wszystkich mroków ziemi i uniesiony w czysty błękit atmosfery duchowej.

To jest miłość, która dosięgła wyzryn — miłość w rozkwicie najwyższym. Stąd, z kopuły złotej, musisz jej się przyjrzeć, ażeby mózg domyśleć się, co było na początku. Musisz sprawić, ażeby ten blask złoty oświecił ci mroki, w których pograżone są pierwociny wszyściego. Dlatego też uczyniłem cię świadkiem tańca jedno-

dniowego, oraz dziwaczego po nocy korowodu śledzi. Tam w dole, w głębi szarego pramorza kipi ta sama potęga naturalna, co z błękitnego zwierciadła ku słońcu się wznosi, jako purpurowy kwiat lotosu. I dlatego właśnie, że tak jest, cała przeszłość nie może być czemś jałowem; musi ona wydać ci się szlachetnym zawiązkiem tego, co miało przyjść. Wszystko tu ma swe znaczenie istotne. I na muchy jednodniowe nad stawem i na ryby w oceanie pada światło z wyżyn naszych. Zdaje ci się, jakgdyby to były pradusze miłości, pragnące z mroków się wyzwolić, jakgdyby to były senne widziadła ducha miłości, który rwie się w górę. Ta ryba, ta mucha jednodniowa to zwiastuny Chrystusa, Goethego, Rafaela; zwiastuny ewangelii, Fausta i Madonny; zasiew, z którego wzejść miała miłość wszechludzka, gwiazdny sen człowieka, jego sztuka.

A teraz zejdz ze mną napowrót w głąb, na najniższy szczebel.

Zacniemy od początku, o ile wogóle jest jakiś początek. Będziemy gwarzyć sobie mile i spoglądać spokojnie, bez pośpiechu tam, gdzie błysnie nam jakieś światło, gdzie okaże się nam coś zasadniczego, pierwotnego. Wiemy, jak wielkie w ostatecznym rezultacie powstają rzeczy; ale teraz tę wszystką wielkość sprowadzimy raz wreszcie do możliwie małych rozmiarów, do najmniejszego niebieskiego płomyka w głębiach szybu.

Podaj mi rękę; muszę cię nasamprzód z zupełną powagą sprowadzić do szybu i uczynić cię świadkiem cudownego misteryum. Powołaj do życia całą swą wyobraźnię i chodź za mną bez lęku.

Kto się orłem rodzi,
 Górne temu sięgi:
 Ponad serafim,
 W nieb tysiãczne kręgi.

Angelus Silesius.

Światło sztuczne o sile nadzwyczajnej oświecili nam świat podziemny, gdzie zazwyczaj głęboka panuje ciemność. Przedmioty, wyłaniając się nagle w blasku jaskrawym, wydadzą się nam powiększonymi do jakichś bajecznych rozmiarów. Wzrok twój błądzi po olbrzymiem sklepieniu. Z przepastnie ziejącej głębi szybu przewala się ku tobie coś niezwykłego: jakaś wielka błyszcząca kula, nie promieniująca własnego światła blaskiem, a prześwietlona sztucznem światłem naszym. Kula nie buja właściwie swobodnie, jak gwiazda we wszechświecie, co w szerokiej przestrzeni dzięki sile ciężkości utrzymuje się w równowadze. Wydaje się, jakgdyby kulę naszą popychano wzdłuż szybu. A uważniej się przyglądając, widzisz, jak z dolnej warstwy szybu przebłyskuje coś, jakgdyby kłosa olbrzymiego pola zbożowego, zwilżonego rosą. Ta kula zroszona, niby piłka elastyczna, płynie zwolna dalej na tym snopie, poruszana lekkim falowaniem morza kłosów.

Przezroczystość powierzchni kuli pozwala w miarę tego, jak się zbliża, wejrzeć potrosze w jej wnętrze. Jej warstwa najbardziej zewnętrzna wydaje się zupełnie jasną, na podobieństwo szkiełka zegarkowego, bezbarwną, ale przytym dość grubą. Na niektórych przezroczystych miejscach, najbardziej ku powierzchni zbliżonych, rozpoznajemy w tej jednostajnej otoczce coś w rodzaju struktury w postaci wązkich kanalików, przerywnających poprzecznie pokrywę kuli i ustanawiają-

cych otwartą komunikację pomiędzy powietrzem dookoła i wnętrzem kuli.

To wnętrze, główna masa całej kuli, odcina się jaskrawo od szklanej otoczki i przebłyskuje blado żółtą barwą. Wspomniane kanały nie dochodzą do samego wnętrza. Natomiast miga tam ogromna liczba stałych, bezładnie porozrzucanych ciał, pomiędzy które wciska się przezroczystsza masa podstawowa, niby płyn lepki. A w jednym miejscu, prawie na samym środku, odcina się od otoczenia jakby druga kula, — jeszcze bardziej na wewnątrz leżąca, kula-jądro, jaśniejsza od żółtawej masy głównej; w jednym punkcie tylko tkwi w niej jeszcze jakieś ciemne ciało, zdające się pływać we własnym z kolei płynie, podobnie, jak ta kula wewnętrzna pływa we większem morzu olbrzymiej kuli żółtej. Od owego najbardziej wewnątrz leżącego ciała rozchodzą się nitki, połączone ze sobą na podobieństwo siatki i delikatnie rozgałęziając się, tworzą w całej kuli środkowej rodzaj rusztowania.

A po za tymi szczegółami, dość jaskrawo zresztą uwydatnionymi, nie możemy nic innego wykryć w naszej kuli tajemniczej, choćbyśmy jaknajsilniej wzrok nasz wyteżali: być może, że światło nasze jest niedostateczne. Atoli zaciekawienie twoje wzrasta z chwilą, kiedyś zauważył, że zachodzą w kuli jakieś zmiany. Można się było tego spodziewać, sądząc z miękkości jej masy wewnętrznej. A jednak to, czego jesteś świadkiem, jest mimo to w wysokim stopniu uwagi godne i pozwala domyślać się jakichś sił mistycznych, które najwidoczniej czynne są w tym tworzywie świata podziemnego.

Niezależnie od powolnego posuwania się naprzód kuli całej na grzbiecie olbrzymiego snopa, mała kula

wewnętrzna nagle i zupełnie samodzielnie opuszcza swoje dotychczasowe miejsce w samym środku ciała i zaczyna przesuwać się ku powierzchni zewnętrznej otaczającej ją kuli głównej. Jednocześnie staje się ona mniej wyraźną, chwilami tak niewyraźną, że zdaje się prawie, jakoby rozplynęła się zupełnie w żółtawej masie podstawowej, jakoby była przez tę ostatnią wypróżniona i pochłonięta... Jednakże wpatrując się uważnie, można dojrzeć jeszcze do cienia podobną pozostałość, zaś po pewnym czasie zarysy jej stają się znowu wyraźniejsze.

A tymczasem mała kula lub przynajmniej to, co pozostało z jej pierwotnych części składowych, dotarła w swym ruchu odśrodkowym do brzoza, do tego miejsca, gdzie wielka kula żółtawa odcina się od przezroczystej szklistej otoczki. Tutaj przedstawia kula znów obraz wyraźniejszy i, zdaje się, jakoby była w przedniu zasadniczych przeobrażeń. Zamiast okrągłego tworu z siatką włókienek i jądrem, zjawia się w oczach naszych przedmiot wrzecionowaty o dwóch końcach, skąd rozchodzą się gwiazdzisto promienie. Jeden koniec dotyka brzoza wielkiej kuli, i ma się to wrażenie, jakgdyby ten wewnątrz leżący mały twór chciał wydostać się zupełnie nazewnątrz z masy podstawowej.

I w rzeczy samej wysuwa się naprzód jego ostrze zewnętrzne, uwypuklając przytem część wielkiej kuli i tworząc w ten sposób, jakby brodawkę. Czekasz, rychło przebita zostanie i powłoka szklista. Ale to nie następuje. Natomiast teraz dopiero możesz zauważyć, że otoczka ta i żółta masa wewnątrz nie przylegają do siebie zupełnie ściśle, ale pozostawiają pomiędzy sobą wąską przestrzeń, w którą wgłębia się

owe wypuklenie brodawkowate, nie rozsadzając przy-
tym otoczki zewnętrznej.

Czy wszystko ciało wrzecionowate przedostanie się
w tę nowoutworzoną przestrzeń? Wydaje się to trud-
nem, i nie dochodzi też do tego. To parcie naprzód
raczej nagle ustaje: natomiast całe wrzeciono odrazu
pęka. Jedna jego połowa, która wraz z wypukloną
częstką masy, leżącej u brzoza, tworzyła na ciełe kuli
coś w rodzaju brodawki, rozluźnia zupełnie węzły, łą-
czące ją z owem wielkiem ciałem kulistem: brodawka
jakby się oddziela i wreszcie, jako osobna mała kulka,
zajmuje wąską przestrzeń pomiędzy żółtą kulą główną,
a przezroczyłą powłoką szklaną.

A tymczasem druga połowa wrzeciona znów dała
nurka w głąb wielkiej kuli. Wydaje się jednak, że da-
leka jeszcze jest chwila, kiedy skończą się tam wszyst-
kie jej ruchy i przeobrażenia. Bezpośrednio potem zdu-
miewasz się, widząc, że znów przybrała postać skoń-
czoną wrzecionowatego ciała o 2-ch końcach. I po raz
wtóry jej koniec zewnętrzny wypycha brodawkowatą
wypukłość poza granicę żółtej kuli w wąską przestrzeń
pomiedzy kulę i powłokę szklaną. Po raz wtóry pęka
w środku wrzeciono, i zupełnie tą samą drogą do pierw-
szej małej kuli, która już pływa w ogólnej otoczce obok
wielkiej kuli, niby złożone jajo, przyłącza się druga taka
sama kulka.

Po tym drugim akcie wydaje się, jakoby rzeczy-
wiście to czynne ciało wewnętrzne było bardziej wy-
czerpane. Powraca ono znów na swe dawne miejsce
mniej więcej na środek wielkiej kuli. Po dojściu do tego
miejsca wydaje się ono znowu kulą centralną, jak na
początku, tylko z tą różnicą, że po dwukrotnem dzie-

leniu się jest teraz o wiele mniejsze. I to ciało twarde, które poprzednio w niej się znajdowało, znikło najwidoczniej na skutek jej wędrówek i dzielenia się. W całej kuli następuje spokój. Tylko jak przedtem, tak i teraz, faluje mokra powierzchnia snopu, na której kula spoczywa i cicho posuwana jest naprzód. I teraz właśnie zdaje się nawet, że fale te przyniosły kulę na takie miejsce, gdzie po za wąską bramą rozszerza się sklepienie: i zdaje się jakoby szyb tu przekształcał się w jakąś halę.

W jakież to świat uniosła nas nasza wyobraźnia? Ażali przyglądaliśmy się przewrotom upiornym w jakimś praświecie, w jednej z owych mgławic kosmicznych, co były na początku wszechrzeczy? Czy może drganiom jakiejś planety, co nie zastygła jeszcze zupełnie, planety, dookoła której płynie, niby woda wrząca, biała opona z obłoków, jak to się dzieje z Jowiszem, tym olbrzymem naszego systemu słonecznego, którego kula istotna zdaje się tylko czasami przebłyskiwać poprzez oponę, jako ciemnoczerwona plama? Może owe obydwa małe ciała, które zrodziły się wobec nas z naszej kuli, choć nie odpadły od niej całkowicie, to twory jakiejś gwiazdy rodzącej, do naszego księżyca podobne, o którym również istnieje urojone mniemanie, jakoby kiedyś oderwał się, jako pęk, od wielkiej kuli ziemskiej i jednak nie mógł odtąd już nigdy ująć urokliwej sile przyciągającej tej ziemi?

Nie, nic podobnego nie było.

W najśmielszej fantazyi nie opuszczaliśmy ziemi. Pozostawaliśmy na jej zamieszkałej powierzchni, w sa-

mym rozgwarze ludzkim. I z pośród osobników ludzkich obraliśmy sobie jednego: człowieka—kobietę w jej latach dojrzałości płciowej. I oto spojrzeliśmy w głąb pewnych narządów ciała kobiecego w czasie, kiedy to ciało »żyło« normalnie, a owe narządy właśnie sprawały uwagi godną czynność. Niechaj będzie obojętne jakieśmy tego dokonali. Może wiek przyszły wynajdzie wreszcie odpowiednie do tego przyrządy; przyrządy, które analogicznie do naszych promieni Roentgena prześwietlą całe ciało ludzkie podczas jego czynności normalnych, które może zdolne będą odtworzyć na białym ekranie dokładny obraz wszystkich najpodobniejszych części wewnętrznych i jednocześnie przedstawić te wszystkie części i odbywające się tam ruchy w ogromnem powiększeniu.

Ale wszystko jedno, czy to się kiedyś zrealizuje pośród nas: tymczasem oddała nam tę samą przysługę wyobraźnia; oświetliła nam wszystko i wyolbrzymiła do dowolnych rozmiarów.

Misteryum, którego oto byliśmy świadkami, misteryum, które zdaje się, nie dobiegło jeszcze końca, to były zjawiska, odbywające się w ludzkim jaju kobiecym krótko lub też bezpośrednio przed wielkim aktem zapłodnienia tego jaja przez nasienie męskie.

Kobieta wytwarza jaja w celach przedłużenia gatunku tak samo, jak kura np., z tą tylko różnicą, że jaj tych nie składa: wszystek rozwój przedwstępny odbywa się wszak konsekwentnie aż do końca w macicy samej, w »łonie matczynem«. Zresztą jaja ludzkie wytwarzają się zupełnie tak samo, jak jaja kurze, w specjalnym narządzie t. zw. jajniku. Każda normalnie rozwinięta kobieta ma w sobie od dzieciństwa dwa jaj-

niki, podobnie do tego, jak posiada dwa płuca, dwie nerki, dwie półkule mózgowe. W tych jajnikach tworzą się tysiące jaj, z których każde po dojściu do zupełnej dojrzałości i po zapłodnieniu, wydać by mogło nowego człowieka. Niezbędnem jest do tego zapłodnienie. I oto właśnie w celu przygotowania się do tego aktu, w którym musi wziąć udział jeszcze drugi, męski twór, jajo podlega tym swoistym procesom, w których rozgwar wprowadziła nas poprzednio wyobraźnia nasza.

Sklepienie, w które nas ona przeniosła, to jeden z obu t. zw. jajowodów kobiecych (wyolbrzymiony do rozmiarów bajecznych). Te jajowody łączą właściwie jajniki z większem wydrążeniem, stanowiącem macicę.

Kula, która toczyła się ku nam w tem sklepieniu, to jajo samo.

W warunkach, odpowiadających rzeczywistości, wydałoby się ono oczom naszym, jako zaledwie dostrzegalny punkt. Szklista powłoka otacza żółtawą masę żółtka. W tej głównej części całej zawartości jaja pływa t. zw. pęcherzyk zarodkowy, który z początku zawiera w sobie jeszcze specjalną plamę zarodkową. Musimy sobie wyobrazić, że to jajo wydostało się już z jajowodu, gdzie tkwiło dotąd na podobieństwo pączka w specjalnej otoczce, w t. zw. pęcherzyku Graaff'a.

Teraz oto znajduje się na drodze z jajnika do macicy w pośredniczącym szybie jajowodu.

Mokre włosy żytnie, które sterczały, jak się zdało, w szybie i niosły kulę naszą miękkim falowaniem swoim, to w rzeczywistości nic innego, jak delikatne, włoskowate wyrostki t. zw. komórek migawkowych, któremi wyłożone są wszystkie ścianki całego narządu płciowego kobiety i których ruch przeprowadza

przez jajowód do macicy wolne, ku zapłodnieniu dążące jajo.

A tymczasem w samym jaju dokonywa się ostatni jeszcze, niezbędny proces dojrzewania, który wyprzedzić musi owo oczekiwane zapłodnienie. Widzieliśmy już, na czem on polega. Jądro jaja czyli t. z. pęcherzyk zarodkowy opuszcza od czasu do czasu swoje miejsce, przeobraża się i przyczynia się przez akt dwukrotnego podziału swego do utworzenia dwu małych ciałek pomiędzy powłoką szklaną i żółtkiem.

Ciałka te nazywamy »ciałkami biegunowemi«. Dotąd niewiadomo absolutnie, co one oznaczają.

W każdym razie tworzenie się ich wskazuje, że już teraz w jaju kobiecym, przed zapłodnieniem jeszcze, budzi się samodzielne, bujne życie wewnętrzne. Tajemne siły są już w pełni działania, jak w jakimś budzącym się do życia świecie, a kiedy następuje zapłodnienie, to zastaje ono już wszystko w stanie wrzenia, w stanie pełnym oczekiwania czegoś.

Z dziedziny suchych wyjaśnień powrócimy znów do obrazu, jaki stwarza wyobraźnia nasza o tych rzeczach. Jajo przedostało się przez wązką szparę jajowodu do macicy. I oto odbywa się sprawa o wysoce dramatycznym napięciu: sprawa zapłodnienia.

Nasza wielka kula opuściła szyb i weszła do hali. W tej hali zbliżają się teraz ku niej jacyś obcy goście o swoistej postaci. W porównaniu z kulą — to karły. Natomiast suną one naprzód w okazałej liczbie, w ruchu bardzo zwawym. Zdawać by się mogło na pierwszy rzut oka, że zbliża się gromada upiornych miętusów.

Gruba głowa przechodzi ku tyłowi bezpośrednio prawie w dość długi ogon. Jeżeli przypatrzeć się bliżej, to rzekoma głowa okazuje się zwykłym krążkiem, który widziany z boku ma kształt gruszki i na obu powierzchniach ma wgłębienia w postaci miedniczek. Żadnej struktury wewnętrznej, ani wogóle żadnych narządów dopatrzeć się w nim nie można. Do tego krążka, do tej widocznie najważniejszej części małego potworka przyłącza się rzekomy ogon, zrazu jako jeszcze zgrubiała nitka, która później staje się coraz cieńszą.

Zrazu zbliżają się wszystkie z pewnej określonej strony hali, zresztą zupełnie bezładnie.

Ruch ich jest przytem skoczny: główna część ciała idzie przodem, a za nią w drganiach posuwa się ogonek. Aż oto nagle znajdują się one w pobliżu wielkiej kuli i odrazu wydaje się, jakgdyby zdążyły do jednego wspólnego celu. Wydaje się, jakgdyby z kuli wydzielał się ku nim jakiś oddech, jakiś zapach, który ich nagle zniewala do skupiania się w jednym kierunku, jak to bywa u motyli, kiedy w parny wieczór letni rzucają się gromadnie na rozkosznie pachnący kwiat...

Rojem otaczają one kulę dookoła. Teraz dopiero, kiedy są tak blisko, jaskrawo uwydatnia się kontrast pomiędzy nimi a kulą, jak są małe w porównaniu z nią. Owe wązkie kanały w napiętej powłoce szklistej, które zauważyliśmy na samym początku, stanowią dla ogoniastych przybyszów dostatecznie obszerne przejście, przez które przedostać się mogą do wnętrza kuli. A tam właśnie najoczywiściej zmierzają. I oto już kilka z nich jednocześnie wyciągnięte wzdłuż kanałów, wślizgują się, jak jamniki w głąb kotła. Wydaje się, jakgdyby odbywał się tu wyścig, kto pierwszy dostanie się do wnętrza,

po między otoczkę szklistą i żółtą masę, stanowiącą zawartość kuli — (w przestrzeń, gdzie pierwiej złożone zostały »ciałka biegunowe«).

Jeden z napastników jest na przedzie. I nagle, w chwili, kiedy widzimy, jak główka jego przedostaje się z kanału w otwartą przestrzeń wspomnianą, w żółtej masie kuli nieoczekiwane czyni się ożywienie.

I tam wydaje się teraz, jakgdyby jakiś nagle obudzony zmysł zwiastował zbliżanie się pierwszego zuchwałego napastnika. Akurat naprzeciwko tego miejsca, gdzie on wysunął swą główkę z kanału otoczki szklistej, żółta kula tworzy, jakby na powitanie, wzniesioną wyniosłość, która wdraża się w wolną przestrzeń. Jedna chwila: i główka owego obcego tworu schwyciła tę niby wyciągniętą ku niemu rękę — pograża się wprost w tę wyniosłość żółtawej masy. A masa ta, jakby sama zadowolona z tego, otacza główkę dookoła, ażeby już nigdy jej nie wypuścić.

Napróżno czekają inni, spóźnieni nieco napastnicy, wychylając się teraz również ze swych kanałów ku wnętrzu, rychło spotka ich takie same przyjęcie uprzejme ze strony żółtej masy. Ale im kula względów nie okazuje — przeciwnie: zaledwie ów pierwszy, ów najszczęśliwszy gość pograżył się w niej po głowę, wszystka żółta masa pokrywa się natychmiast mocną, odrębną zupełnie otoczką, która uniemożliwia odtąd przedostawanie się do wnętrza jej miękkiego ciała. Wszystko, cokolwiek znajduje się poza tą nową otoczką, musi wreszcie po beznadziejnem wyczekiwaniu marnie zginąć.

Natomiast odważny zwycięzca, ów pierwszy napastnik, czuje się, jak się zdaje, wciąż doskonale wewnątrz kuli. Przez krótką chwilę chyboce się jeszcze to

w jedną, to w drugą stronę jego ogonek ponad miejscem, które pochłonęło jego główkę, — ale potem wydaje się, jakgdyby ogonek obumierał, jako coś zupełnie zbytecznego, a wszystko, co później się dzieje, wydaje się wyłącznie pracą wewnętrzną owej główki, — i to pracą bardzo intensywną.

W przejrzystej masie widać teraz wyraźnie, jak ten mały, ale energiczny gość, pogrążając się zrazu coraz głębiej w żółtawą istotę, przebiera w rozmaitych świecących ciałkach i ziarenkach, które się w niej znajdują. Nie kończy się jednak na bezładnem szperaniu. Czy jakaś siła elektryczna, czy inna może swoista siła tego przybysza: dość, że na pewnej głębokości przerywa on to zwykłe, bezładne grzebanie i układa dookoła siebie w postaci pięknego, równomiernego systemu promieni najbliższe części żółtawych mas kuli.

Ma się to wrażenie, jakgdyby wschodziło małe słońce wewnątrz kuli samej. I podobnie jak słońce prawdziwe, wschodząc coraz wyżej i wysyłając swe promienie na przestrzeń daleką, budzi wszędzie stworzenia do życia i ruchu, tak samo i to głęboko ukryte słońce naszej kuli, rosnąc wciąż i rosnąc, wywiera nagle cudownie podniecający wpływ na coś, co znajduje się w sercu samej kuli, co przez czas dłuższy spoczywało zupełnie beczynnym, a może w istocie spało nawet.

Ow mały pęcherzyk, którego losy poprzednio tak dokładnie już poznaliśmy, zaczyna się nagle poruszać. Promienie istoty żółtej wydłużyły się aż do niego. Siła, która promienie owe wytworzyła, udziela się teraz, jak widać, bezpośrednio i jemu; jest to ta siła, której źródłem jest ów nowy przybysz natrętny. I mała kula środkowa porusza się i poczyni powoli posuwać się

naprzeciw gościowi, obdarzonemu widocznie jakąś siłą magiczną.

Posuwa się ona w promienistej masie, jak zwierzątko jakieś.

Atoli nie zdążyła ona jeszcze ujść daleko, a oto tuż przedmiot jej tęsknoty, co wybuchła tak nagle. Pierwotna główka »miętusa« uległa jednocześnie pewnym zmianom od chwili, kiedy stała się małym słońcem w wianku promieni; teraz sama ona wydaje się pęcherzykiem, bardzo podobnym do owej małej kulki — jądra z przeciwka, tylko o wiele mniejszym. I oto ten nowy pęcherzyk porusza się gwałtownie ku starymu pęcherzowi środkowemu, w tempie daleko szybszem, aniżeli to, które zainicyował ten ostatni.

Wkrótce dosięgnął swego *vis-à-vis*. Pierwotna kulka-jądro zachowuje się w najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu tak, jak gdyby chciała gościa objąć w ramiona. Wypuszcza ona palcowate wyrostki, które układają się dokoła owej kuli, tuli przyjaciela do siebie, wgłębia się ku wewnątrz na miejscu zetknięcia... i nagle znikły dwie kule, zlały się ze sobą, stały się jednością. Słońce promieniste, które wniósł ze sobą natrętny przybysz, płonie teraz w pełnej glorii dookoła nowo powstałej wspólnej kuli środkowej, — a wielka kula żółta posiada, jak przedtem, tak i teraz znowu tylko jedną jedyń, w samym środku, pływającą kulę wewnętrzną, jedno jedyne »jądro«.

Rozumiesz, co się stało, biorąc rzecz ogólnie. Dla wyjaśnienia szczegółów potrzeba kilku zaledwie wyrazów. Zjawisko, którego świadkiem byłeś tym razem,

rozegrało się całe wewnątrz macicy kobiecej, a więc wewnątrz tego samego narządu, gdzie później przebywa i dojrzewa dziecko aż do przyjścia na świat.

Nosicielka tej macicy bezpośrednio lub też nie bardzo dawno przed aktem, któregośmy byli świadkami, weszła w stosunki z drugą ludzką istotą. U tej ostatniej, jako kompensata za jajniki kobiece, znajdowały się pewne narządy, które zwykły wytwarzać w wielkiej liczbie owe miętusowate twory, które, jakieś to widział, wdzierały się, jako obcy przybysze do macicy kobiecej. Te mikroskopijnie małe ciała o niezmiernej żywotności nazywamy ciałkami nasienne lub zwierzątkami nasieniami. Nie są to jednak bynajmniej żadne specjalne »zwierzątka«, ale małe produkty lub kawały, wyzwolone z żywego ciała mężczyzny, tak samo, jak jaja z jajnika kobiety.

Akt przenoszenia się jednych tworów na drugie już poznałeś. Przyroda pomyślała o tem, ażeby macica kobieca, gdzie jajo czeka zapłodnienia, połączona była ze światem zewnętrznym przejściem swobodnem. I z chwilą kiedy owe ciałka nasienne rzucone zostały w to przejście, dzięki własnym ruchom przedostają się w górę do samej macicy. W razie, jeżeli wszystko dzieje się pomyślnie, natrafiają wprost na świeżą kobiecą komórkę jajową.

Jedno z nich wdziera się aż do kuli żółtkowej jaja. Pęcherzyk zarodkowy jaja zlewa się z główką ciała nasiennego... zapłodnienie w istotnem znaczeniu tego wyrazu dokonało się.

A to, jak się to odbyło, widziałeś szczegółowo. Istota tych sił wyjątkowych i »sympatyj«, które się przy-

tem ujawniają, stanowią jeszcze i dla współczesnej nauki zupełnie nie wyjaśnioną zagadkę.

A teraz nawias jeszcze. — Widziałeś w wyobraźni coś, czego żaden najbardziej pomysłowy badacz dotąd nigdy jeszcze nie spostrzegął, jako proces rzeczywisty, odbywający się wewnątrz ciała. Znane jest jajo ludzkie, znane są ciała nasienne, poznane są ogólne warunki całej sprawy, oraz późniejszy rozwój małego człowieka z zapłodnionego jaja. Natomiast nikt dotąd nie spojrział jeszcze wewnątrz siebie dla sprawdzenia owych bardzo subtelnych szczegółów. Atoli jedna rzecz jest równie pewna. Co dotyczy specjalnie aktu samego zapłodnienia — poczynając od chwili, kiedy wydzielają się owe mistyczne ciała biegunowe, aż do zlania się jądra jajowego z główką ciała nasiennego — wyższe zwierzęta są do siebie bajecznie podobne. Wszędzie prawie powtarza się zupełnie ta sama sprawa, a w jej istocie, w samym schemacie, niema, zda się, żadnej różnicy.

A więc w rzeczywistości nie czynimy żadnego skoku, jeżeli na zasadzie tego, co jest u zwierząt, gdzie przypadkowo zdołaliśmy wysledzić dokładnie całą sprawę, wnosimy wprost nawet co do pewnych szczegółów o tem, jak sprawy te odbywają się u ludzi i stosownie do tego fantazyujemy. Do zwierząt takich należy np. jeż morski. Jest on na tyle uprzejmy, że dostarcza przezroczyстых jaj, które pozwalają się zapładniać sztucznie przez żywe nasienie samca nazewnątrz ciała samicy i bezpośrednio pod mikroskopem badacza. I widzisz tu wszystko jak na dłoni.

Jeżeli jeszcze pozatem dodasz to, co wiadomo o najbliższych krewnych człowieka — ssawcach, i z temi wiadomościami zastanowisz się głębiej nad stosunkami

anatomicznymi, dotyczącymi ciała ludzkiego, — to nie powstanie już żadna wątpliwość, że obraz twój w grubych zarysach — a wszak niczego więcej ci nie dałem — ma znaczenie i w stosunku do człowieka. A więc!

Na tem miejscu nie będę rozpatrywał bliżej, co dzieje się z zapłodnionem jajem ludzkim, i jak ono staje się gotowym człowiekiem. Jest to w szczegółach jeszcze długa, nadzwyczaj skomplikowana historia. Z dawnego jaja i nowej główki nasiennej powstało coś nowego, jednolitego, coś, co zawiera w sobie jednak materję z dwu źródeł: część od ojca, zaś część od matki.

Zaraz potem żółtko wraz z jądrem swym wewnątrz otoczki jajowej dzieli się teraz znowu na dwie części, później na cztery i t. d., aż wreszcie tworzy się cała kupka jakby cegiełek organicznych, z których powstać może budowa — cud ciała dziecięcego. Owe żywe cegły układają się w warstwy, a z każdej takiej warstwy rozwijają się pewne narządy i systemy narządów. Wszystko to kurczy się, fałduje, grupuje, jak w jakimś istotnym kotle czarodziejskim, z którego ukazać się ma *homunculus*. Ni stąd, ni z owąd zjawia się rdzeń kręgowy, to głowa, to znów oczy, nogi. Przez długi czas całość wydaje się jeszcze jakimś ogoniastym potworkiem, z którego mógłby tak samo powstać prosiak albo zajac. Ale potem i ten okres przemija, i oto wreszcie w istocie powstaje pocieszne, maleńkie, ale najprawdziwsze stworzenie ludzkie, które osiągnąć musi jeszcze pewnej wielkości i wagi, ażeby po gwałtownym zerwaniu wszelkich cielesnych więzów, łączących go z matką, wydostać się nazewnątrz na świat przez otwór macicy

i wreszcie otwór zewnętrzny w ciele kobiecem. Ten »poród« właściwie stanowi koniec sprawy, którą rozpoczęło stanowczo i nieubłagane »splódzenie«, — a mianowicie: zamyka proces tworzenia się nowego człowieka, zdolnego do życia samodzielnego.

I jeszcze jedno tylko wiedzieć musisz, ażeby cały ten proces zrozumieć.

Powiedziałem ci, że zarówno jajo kobiece, jak i męskie ciałko nasienne wyobrażały każde mały »kawałek« żywej substancji, która oderwała się od żywego kobiecego lub męskiego ciała. Nauka w mowie swej określa to nieco ściślej, stosując w tym razie wyraz, który nieraz jeszcze napotkamy w tych wywodach naszych. Mówi ona: jajo i ciałko nasienne stanowią każde jedną, żywą, od rodzicielskiego ustroju oderwaną »komórkę«. Potrzeba jeszcze oto, ażebyś uprzytomnił sobie dość prosty zresztą fakt przyrodniczy, który nie przeszedł jednak jeszcze dotąd do naszego konwencyonalnego wykształcenia ogólnego.

Wyobraź sobie wielki dom z ogromną liczbą pokojów. Pokoje są rozmaitej wysokości i wielkości i rozmaicie umeblowane. Jeden pokój służy do tego celu, inny do innego celu: sypialnia, jadalnia, kuchnia i t. d. Więc pokoje możliwie najbardziej różnią się pomiędzy sobą, choć naogół spełniają tylko różnolite funkcje jednego wielkiego gospodarstwa domowego. Atoli, jeżeli zbadasz ściany poza meblami i obiciem, to znajdziesz wszędzie jedno i to samo: wszędzie natkniesz się w tych ścianach na jednakowe składowe części budowli, a mianowicie na cegły.

Ściana może być wysoka lub niska, może być ściana salonu, kurytarza lub nawet ustępu: zawsze składa się ona z jednorodnych cegieł, które leżą jedna na drugiej sklezione ze sobą, i cały dom z nich właściwie się składa, jako z materiału podstawowego. A teraz przyjrzyj się jakiemuś zwierzęciu, np. psu. I on jest wielkim, skomplikowanym domem w swoim rodzaju. Jeżeli wejrzysz w jego ciało, to znajdziesz komory i przejścia rozmaite.

Oto serce, oto oba skrzydła płucne, tam znów żołądek, кишки, — słowem rozmaite narządy. Różnią się one oczywiście wyglądem, a cele ich są jeszcze bardziej różne: serce pompuje krew, w płucu się ona oczyszcza, w żołądku i кишkach przetwarzają się pokarmy i t. d.

A jednak, gdybyś i tutaj poddał badaniu ściankę takiego narządu, gdybyś wyciął kawałek кишки i położył go pod dobre szkła powiększające, zobaczyłbyś coś podobnego do tego, co było z prawdziwą ścianą domu. Ta ścianka кишки nie składa się oczywiście z cegieł; ale składa się również z pewnych małych części, które prawie jak drobne kamyczki przylegają jedna do drugiej i stanowią równomierną ściankę кишки tak samo, jak owe cegły składają się na masywną ścianę domu. Pomijając mikroskopowy wymiar tych »cegiełek«, zasadniczą różnicę stanowi to, że nie są to twory mocne, w rodzaju kamieni, ale wszystkie bez wyjątku stanowią miękkie zlepki zupełnie swoistej jakiejś masy. Kiszka, to część, jeden »pokój« żywego ustroju — zwierzęcia, psa np., i »żyje«, dopóki cały pies żyje. Zaś życie tego psa, jak wszystko życie na ziemi, związane jest z pewną materią ożywioną o niezwyklej mieszaninie chemicznej. Każda »cegiełka« кишки odpowiada skupieniu tej materii

żywej. Niezliczona masa takich skupień składa się na kiszkę i warunkuje jej »życie«. I nie tylko tworzą one ściankę кишки, ale i warunkują to wszystko, co się w niej odbywa (pod tym względem w każdym razie ścianka owa o wiele przewyższa mur z cegieł prawdziwych złożony).

A teraz weź dla przykładu inny »pokój« żywego domu, zwanego psem, np. płuco. Oglądaj kawałek płuca pod drobnowidzem. W płucu odbywają się sprawy, mające inne znaczenie dla całego ustroju psa, aniżeli sprawy w kiszki. A mimo to: podobnie jak w naszym prawdziwym domu te same cegły tworzą ścianę salonu i ścianę ustępu, tu na ściankę płuca składają się, leżąc na sobie na podobieństwo cegiełek, zupełnie podobne, nawet w istocie swej jednakowe części żywej materii, jakie widzieliśmy w ściance kiszki. Wprawdzie czynność ich jest tu w płucu inna, aniżeli w kiszce. To jednak nie obniża wartości tego zasadniczego faktu, że w istocie są one zarówno tu, jak i tam, właściwą częścią składową w budowlu żywego narządu.

I w ten sposób możesz całego psa na kawałki podzielić aż do najmniejszego skrawka skóry, aż do każdego kawałka mięśnia lub każdej kropli krwi: zawsze okaże się ten sam podstawowy element w postaci małych zlepeków żywej materii, które leżą wzajem na sobie, zupełnie jak cegły, i zupełnie tak samo tworzą ciało psa, jak cegły prawdziwe tworzą dom istotny.

Trzeba było wynaleźć odpowiedni wyraz, i wreszcie przyjęto konwencyonalnie jeden nie bardzo zły, ale też nie zupełnie trafny: owe poszczególne skupienia żywej materii nazywamy »komórkami«: cały pies ze wszystkimi swymi narządami co do jednego utworzony jest

z miliardów takich żywych »komórek« — stanowi on wielki gmach, którego cegłą pojedynczą jest »komórka«. Przyzwyczajenia życiowe, »czynności« tych komórek są bardzo rozmaite. Komórki kiszkowe wchłaniają soki pożywne, komórki płucne przetwarzają powietrze potrzebne ustrojowi, komórki mózgowe odczuwają, rozumują i rządzą, niby władza zwierzchnia, całym ustrojem cielesnym — i t. d. Ale komórki same mimo tych funkcyj najróżnolitszych pozostają w istocie swej tak, jakby równymi sobie i stanowią wszystkie wzór zasadniczy jednorodnej »cegiełki życia«.

Pies, którego obraliśmy, jako przykład, jest zwierzęciem stojącym na stopniu rozwoju, stosunkowo już bardzo wysokim. Weź zwierzę o niższym ustroju, np. dżdżownicę. Znajdziesz wtedy to samo. I ona nie składa się z jednolitej materii życiowej, ale i tu okazuje się ona przedewszystkiem rozczłonkowaną na »komórki«, i niezliczona liczba takich komórek tworzy jej ciało, jej narządy. Jest ona mniejsza od psa i nie ma tak skomplikowanych narządów; a składa się też z mniejszej liczby komórek, — podobnie jak chata zawiera mniej cegieł, aniżeli pałac. Jest to jednak jedyna różnica istotna. Na samym dole drabiny rozwojowej znajdziesz twory żywe, które składają się wreszcie z jednej tylko komórki.

Jedna jedyna cegła, położona na nagą rolę tworzy »dom« sam w sobie: tak też i tutaj. Jeżeli teraz zwrócisz się do roślin, to znów zobaczysz, że wyższe rośliny składają się z wielu milionów komórek: oto to drzewo oliwne naprzeciwko w każdym liście posiada cały bezmiar komórek, a ile takich liści drży przy wiatru powiewie.

A teraz pójdźmy wzwyż ponad psa, ku tobie samemu, do człowieka. I ty ze zwierzęcia powstałeś, i ty, językiem zoologicznym mówiąc, jeszcze teraz jesteś zwierzęciem. I twoje płuco, twoje kiszki, twój mózg wykazują jaknajwyraźniej budowę z oddzielnych, odwiecznych cegiełek. Ciało twoje, twoje narządy, całe twoje »ja« stanowi jedną wielką cudowną budowlę, z miliona drobnutkich komórek złożoną, tak samo jak pies, dżdżownica i drzewo oliwkowe.

Aliści przedtem mówiliśmy o kilku narządach twoich w szczególności. O narządach płciowych u mężczyzny i kobiety. Są to właściwie narządy takie same, jak wszystkie inne. Czy weźmiesz jajnik kobiecy, czy kiszkę, czy płuco — zawsze mieć będziesz przed sobą narząd. I jajnik, zarówno, jak i męski narząd nasienny są też oczywiście, jako prawdziwe narządy, złożone z komórek. Tylko, że te komórki i tu mają swoje specjalne nawyknięcia, swoją zupełnie odrębną »pracę«, im tylko w całym wielkim ustroju ludzkim przypadającą w udziale. Nie wchłaniają one pokarmów, jak kiszka, ani krwi nie pompują, jak serce. Ich zadanie jest niezwyklej uwagi godne.

Wyobraź sobie pokój w domu o wspomnianych ścianach z cegieł. W tym pokoju straszy jakieś widmo. Od czasu do czasu rusza się coś w ścianie, obicie odstaje, i ze spojenia cegieł wypada jedna na środek pokoju. W chwilę po wypadnięciu zaczyna się czołgać po podłodze, prześlizguje się poprzez drzwi i wreszcie wydostaje się zupełnie po za próg domu. A tam na zewnątrz domu po wielu przygodach, zetknąwszy się z drugą jakąś cegłą wolną z domu sąsiedniego, urasta w nowy samodzielny mały domek.

Literalnie tak samo dzieje się z naszymi ludzkimi domami komórkowymi: mężczyzną i kobietą. Od czasu do czasu wyzwała się ze ścianki komórkowej męskiego narządu nasiennego jedna komórka i opuszcza zupełnie swój dom rodzicielski. Tam, w jajniku, również zerwała jedna komórka spoidło, łączące ją z innymi komórkami, i również powędrowała sama kawałek drogi.

I oto spotykają owe obiedwie wolne komórki... a co się z nimi później dzieje, toś już widział. Jajo i ciało nasienne są niczem innym, jak dwiema komórkami oddzielnymi tego rodzaju, które od narządu swego odpadły. I przez to, że zapłodnienie łączy ich i zlewa w jedność, tworzą one kamień węgielny, ową pierwszą komórkę-podstawę, na której wzrośnie nowa budowla komórkowa, nowy ustrój, nowy człowiek.

Oto w jaki sposób przebiegają zwykle te sprawy. Muszą one oczywiście posiadać w sobie potęgę stworzenia czegoś nowego. Tego cegła uczynićby nie zdołała. Tu więc spoczywa wielka tajemnica życia.

W naszym prostym wzorze domu z cegieł tajemnicy tej być nie mogło i nie było jej też potrzeba, bowiem przedewszystkiem powinieś sobie wogóle uprzytomniać historię o »komórce« jedynie w związku z aktem rozrodczym. Zapamiętaj ją sobie dobrze, nieraz jeszcze do niej powrócimy.

Orzeł bystre oko
Wraża wprost, w słońca twarz:
Tak i ty w wieczny grom,
Gdy serce czyste masz.

Angelus Silesius.



więc tak przedstawia się akt rozrodczy u ludzi ze stanowiska nauki współczesnej. Oto tak powstaje człowiek nowy, o ile wogóle stać nas dzisiaj na sięganie do samego jądra rzeczy.

Gdybyś się nawet nie wiedzieć jak wykręcał, nic ci nie pomoże: z tem małym słońcem wewnętrznym i tą zwycięską »kijanką«, co pokonywa to serce słoneczne i z nim się zlewa, stoisz oto w samym środku całego problemu miłosnego: nasamprzód, jako człowiek, zaś po za tym w tym sensie, że wszystko dalsze pojmowanie przyrody wytryska dla nas, niby w promieniach bezkresnych, z tego jednego środkowego punktu: »człowiek« na cały świat poznawalny.

Możesz odjąć wszystko słowu »miłość«: cały błękit, ponad nią rozpięty, wszystko co z niej wrosło w ducha, w kulturę, w ludzkość idealną, we wzniosłość religijną i sen harmonii pełny o sztuce. Tylko tego prostego, realnego aktu rozrodczego nie możesz jej ująć, bowiem inaczej całe pojęcie rozplywa się bez śladu.

Wiem dobrze, że jest bardzo wielu takich ludzi, którzy wzdrygną się przed takim zdaniem, którzy całe to moje opowiadanie poprzednie osądzą, jako okrutne. Atoli są to ludzie, którzy nigdy nie przeżyli głębokiego dreszczu myśli filozoficznej; ludzie, co nigdy nie walczyli ze światem pod egidą: »Nie daję ci spokoju, a ty mnie błogosławisz«; ludzie, co nigdy nie uświadomili sobie, że błogosławieństwo to płynie wszędy, że niema dla

niego nic złego, ani gminnego. Ten akt rozrodczy pełen jest błysków filozofii, niby błyskawicą brzemienna chmura. Cóż oni wiedzą o tem! Ci właśnie, którzy wrzeszczą z największem oburzeniem z powodu niemoralności w omawianiu tych kwestyj, to są przeważnie ci sami, którzy w rzeczywistości akt ten uważają za głupią frazkę. Nigdy nie odczuwają oni tej ogromnej powagi, jaką nadała mu przyroda. Dla nich mówić o filozofii rozradzania się, to conajmniej żart, jeżeli już nie uważać tego za niemoralne.

I ci głupcy nawet czują, że słońce, które oto tam pali się nad srebrnem morzem, stanowi coś wzniosłego, coś, co rwie duszę ludzką w nieskończoność. Czują tej olbrzymiej płomienistej gwiazdy potęgę, która trzyma naszą małą ziemię, niby maleńki biały żagiel na bezkresnym błękitnym widnokregu morza, co od Europy do Afryki sięga; czują oni to słońce z jego ciemnymi plamami, w których utonąć by mogła ziemia czterokrotnie; z jego czerwonymi wyniosłościami, gdzie tryska w powietrze na wysokość $\frac{1}{2}$ miliona kilometrów żarzący się wodór. A jednak: ażali to inne, maleńkie słońce, które tworzy się tu z ciała nasiennego i komórki jajowej, nie jest w swoim rodzaju, dla ciebie zwłaszcza, o wiele potężniejsze i ważniejsze, aniżeli owa płomienna planeta na niebie? Prawdziwe słońce codziennie wschodzi ponad tobą i zachodzi. Wchłaniasz w siebie jego potęgę. Dzięki niemu planeta twoja toczy się, nie zbaczając, po niewzruszonym torze. Ze wszystkiego, co cię otacza, jest ono być może obok ziemi samej najsilniejszą potęgą zewnętrzną, która się tobie przeciwstawia. Atoli przez komórkę jajową wiążesz się z wewnętrznem życiem kosmosu, udział bierzesz w korowodzie jestestw ży-

wych, nie tylko jako widz, ale oraz jako działacz samodzielny. Sam stajesz się pośród tego szeregu kosmosem. To słońce nie tylko zzewnątrz ponad tobą się wznosi, ale przerzyna twoją własną ścieżkę, oraz pośród dreszczów świętych czujesz, jak wskroś ciebie samego przechodzi.

Dzięki temu słońcu zbliżasz się do tajemnicy wszelkich tajemnic: do problemu życia i śmierci.

Pójdźmy przez chwilę dalej u tego węgła...

Wiadomości nasze o decydującym akcie rozrodczym rozszerzyły się wszak teraz niezmiernie, jako »wiedza«. Dla ludzi wieków ubiegłych cała realna strona tej sprawy tonęła jeszcze w nieprzejrzanym mroku. Zalegała tu prawie taka ciemność otchłanna, jak we wnętrzu ciała kobiecego. Widziano tylko przedwstępne momenty samego aktu. Widziano, jak w słońcu, przy blasku księżycowym i wśród nocy gwiazdzistej budzą się uczucia miłosne między mężczyzną a kobietą, owe uczucia, które już od tysiąca wieków historii kultury obejmowały sobą tyle idealnego czaru, coraz pojemniejsze się stawały. Widziano burzę zmysłów, którą dziś uważamy za wyraz wszystkich z prawieków nagromadzonych instynktów naturalnych, wyzuty z naleciałości kultury; widziano, jak wśród tej burzy lgnęły ku sobie nieprzeparcie obie płcie, aż dosięgły punktu kulminacyjnego w płciowym złączeniu się... Potem zasłona spadała. I po wielu miesiącach powstawał, jako coś zupełnie nowego, absolutnie bez związku z całym obrazem, »nowy człowiek«. Zrazu pukał tylko zlekka, jak gdyby był tylko narządem, spoczywającym pod ciepłą

powłoką w ciemnościach ciała matczynego, zaś potym pośród męczarni matki, męczarni, przypominających bóle przedśmiertne, zjawiał się gwałtownie na świecie, w gotowym, zda się, rynsztunku, z oczyma, z możliwością oddechania i poruszania się. A to co było pomiędzy jednym a drugim faktem, pozostawało ciemnym misteryum.

Teraz poszliśmy już o wiele dalej.

Około roku 1590, a więc akurat w sto lat po czynie Kolumba, wynaleziony został mikroskop. W kilkadziesiąt lat później, pewien student holandczyk odważył się położyć pod te soczewki powiększające ciepłe, żywe nasienie męskie.

Wkrótce rozeznał on w niem owe kijankowate drgające ciała: ciała nasienne. Odkrycie to zostało potwierdzone i dalej opracowane przez pierwszego znakomitego histologa XVII. wieku Leeuwenhoek'a. Najserdeczniejszy przyjaciel Leeuwenhoek'a, Regnier de Graaf, odkrył jednocześnie, od jego imienia odtąd zwane, pęcherzyki w jajniku kobiecym, gdzie powstają jaja kobiece: Graaf sądził mylnie, że są to jaja same. Prawdziwe jajo samo ujrzał po raz pierwszy wielki Karol Ernest v. Baer o wiele później, w roku 1827.

Od tego czasu zaczęto pojmować w ogólnych zarysach sprawy, dotyczące aktu rozrodczego, z nowoczesnego punktu widzenia. Owe szczegóły o wytwarzaniu się ciałek biegunowych i zlewaniu się główki ciała nasiennego z jądrem kuli jajowej, spostrzeżone były nie wcześniej, jak w roku 1875, i opracowywane mozolnie w ciągu ostatnich dwu dziesiątków lat. W każdym razie w przestrzeni, gdzie dawniej noc panowała zupełna, mamy kilka gwiazd, a snując analogię dalej, mamy nawet już dziś trwałą drogę mleczną. Sprawa,

która kończyła się ongi w chwili, kiedy mężczyzna przerywał stosunek z kobietą, dla nas dopiero w tej samej chwili się rozpoczyna: teraz dopiero poczynają się tajemnicze praktyki pomiędzy ciałkiem nasiennem i jajem, które wiodą dopiero do ostatecznego zapłodnienia, przybierając postać, którą już poprzednio zdążyliśmy poznać. A końcowy poród dojrzałego dziecka wydaje się nam już potem znowu zwykłą konsekwencyą tych najwnętrznieszych wydarzeń.

A jednak, mimo ten olbrzymio powiększony zakres naszej wiedzy, dotyczącej prawdziwego przebiegu rzeczy, pozostaje jednak nietkniętą najgłębsza jej istota, stanowiąca jądro filozofii rozmnażania się, która w rzeczywistości jest równie stara, jak filozofia ludzka wogóle.

Od czterech tysięcy lat przynajmniej dochodzą jej odgłosy poprzez zmienną falę światopoglądów, niby wielka melodia, która już nigdy zmilknąć nie mogła, skoro raz potracone zostały pewne struny myśli ludzkiej.

A że jednak wciąż stanowi ona punkt wyjścia całej naszej mądrości, tej po za mikroskopami i teoryami fizyologicznymi, więc powtarzamy z niej coś dziś jeszcze, choć w istocie jestto wszystko szare, jako pył mumij. Eufkrat, Nil, Ganges i Ilissos śpiewną falą się toczą. Wobec tych prastarych idei Chrystus jest — epigonem.



a filozofia obejmuje najprostsze, zasadnicze fakty życia ludzkiego.

Człowiek staje się nagle, jako indywidualium, w samym środku życia, czuje swoje własne »ja«, czuje się żywym i kroczy świadomie naprzód. Nie zdoła jest sięgnąć pamięcią do punktu, skąd wzięła początek jego egzystencja. Nie uświadamia sobie bezpośrednio tego, że kiedyś go nie było, ani tego, że w przyszłości kiedyś go nie stanie. Atoli uczy się, a przede wszystkim uczy się dwu rzeczy.

Samo życie nieubłagane stawia mu przed oczyma fakt śmierci.

Istnieje pewien okres czasu dla życia indywidualnego. Niema tu znaczenia ani wielka wartość duchowa indywidualium, ani jego bezwartościowość pod tym względem: nic nie chroni od tej kosi, która wszędzie brzęczy. Pochowano Patroklesa, ale i Tersites pewnego dnia musiał uwierzyć w śmierć. Czytasz w Jobsiadzie wielki rejestr umarłych, jako żart udatny. Imiona wszystkich bohaterów wszechświatowych uszykowane są tam w rymy dziwaczne, a przy każdym jest dopisek, że i ten umarł. I Cezar, i Aleksander, i Arystoteles, i Szinderhannes, i kandydat Jobs. Brzmi to śmiesznie; ale poza tym komizmem kryje się utajony tragizm, który wkracza w dziedzinę okropnej powagi, kiedy uprzytomnić sobie rzeczywiście, jakie hekatombi z ludzi dotąd powstały bez względu na ich wartość lub bezwartościowość, na ich wielkość idealną lub zupełną śmieszność. Jednostka w latach bytowania swego na ziemi poznaje ludzi szczęśliwych i zwycięskich, którzy przewędrowali niepoznane powiaty ziemskie, — którzy zagłębiali się

w szyb przedświatowych otchłani i polatywali oczyma duszy poprzez drogi mleczne i dale Syryuszowe. I na co się zda cała ta duszy rozlewność. Pokolenie tych badaczy, jako indywiduów, przetrwało lat sto — i oto na opustoszałej planecie ziemi wlecze się jeszcze kilka zgrzybiałych, prawie lub zupełnie ślepych staruszków. Jeszcze ćwierć wieku — i oto zapanowała cisza pustyni, owa cisza na gwieździe wymarłej, którą wyobrażamy sobie może na naszym księżycu, albo też w snach, kiedy, jako mary, powstają przed nami w głębiach wszechświata kędyś zlodowaciali satelici jak noc ciemnych, zagasłych słońc.

Oto jest jedno pewne spostrzeżenie — śmierć.

A teraz drugie. Człowiek poznaje równie realne, a jednak cudowne zjawisko, które opromienia go, jak słońce jakieś wieczne, tak samo, jak śmierć, niby cień wieczny, kładzie się na wszystkie jego nadzieje.

To zjawisko — to akt tworzenia.

Kobieta rozplómienia jego zmysły, uczucie niezmierniej błogości rozlewa się w nim przez chwilę. Ale samo ono zaraz znika, jak pierzchają wszystka rozkosz, wszystka potęga, pozostawiając tylko po sobie cień — wspomnienie; i wraz ze wszystkim, co indywiduum posiada, pogrąży się wreszcie w śmierci otchłanie. Atoli z aktu, który się dokonał pomiędzy mężczyzną i kobietą, niezależnie od tego wszystkiego, powstaje coś nowego zupełnie — nowy człowiek. Ten, który go zrodził, ma może lat trzydzieści. Dożyje nawet lat 90-ciu, ale wtedy umiera. I nowy człowiek, którego tamten zrodził, może dożyć lat 90-ciu, więc przetrwa o 30 lat dłużej od tamtego; a jeżeli w ciągu swych lat 90-ciu znowu dopeł-

nił aktu rozrodczego, to pozostanie na ziemi jakaś żywa istota, która przetrwa pewien okres czasu po jego śmierci.

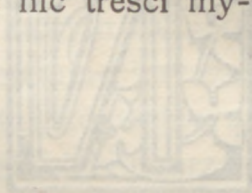
Dzięki takiej zwykłej sztuczce rachmistrzowskiej widzimy, że akt rozmnażania się niweluje przynajmniej w części niszczące działanie śmierci. Zamiast w wieczną otchłań się zapaść wraz z pierwszą śmiercią hekatombą pierwszego stulecia, wije się ludzkość poprzez wieków tysiące, niby pnąca się roślina, na małym łanie, który zajmuje za każdym razem pokolenie nowopowstałe, wyprzedzając swoich rodziców.

I stoi oto człowiek wobec tych dwu faktów zasadniczych, wobec śmierci i tworzenia — stoi tak dawno już, jak dawno wogóle myśleć umie. Niejasno przeczuwać mógł je już małpolud, taki, jakim go odtworzył Gabryel Max, z owym pierwszym błyskiem wschodzącej myśli popod zgrubiałymi, jeszcze zwierzęcymi kośćmi, wystającymi na miejscu brwi. Potym przemyśliwać poczyna dziki człowiek jaskiniowy, co na mamuty polował. Tu napięta została po raz pierwszy i wije się odtąd w nieskończoność nić mitu. Atoli do tego miejsca powracał również bez przerwy, jak do góry magnetycznej, każdy głębiej myślący mędrzec, który przez służbę swoją dla prawdy doskonalił stopniowo mózg ludzkości. I najskromniejszy śmiertelnik zawsze pojmował tego mędrca właśnie ze względu na prostotę tych faktów zasadniczych. Zawsze i wszędzie.

Pod ciemno zielonym baldachimem, rozpiętym nad czarnymi pniami świętych drzew oliwkowych, nad Gangesem, pod baldachimem, w którym, jak w żywej świątyni, zamykał się świat cały; w obliczu nieba gwiazdzistego, jak eter czystego, na przezroczych wzgórzach Peruańskich; nad bezkresnymi, zgniło-żółtymi wodami

Chin, albo tam, gdzie żarem płonąca pustynia rozplywała się w błyskotliwe fata morgana.

Rozmnażanie okazało się jedyną niedwuznaczną postacią nieśmiertelności w istnieniu ludzkim. Dzięki niemu istniała wogóle ludzkość, istniała myśl poprzez pokolenia, trwała tradycja, snowała się nić treści myślowej.



Nie osiągnie człowiek
Pełni szczęśliwości,
Zacz nie wchłonie jednią
Wszelkiej odmienności.

Angelus Silesius.



nieśmiertelność!

W migotliwym blasku, jaki bije z tego wyrazu, urastają naraz tysiącolecta myśli ludzkiej w słupy olbrzymie, co dźwięk wydają potężny, dźwięk, który z rozmaitych względów przywodzi na pamięć ów stary głos znakomitego posągu Memnona w Egipcie.

Wiadomo ogólnie, że co do pochodzenia tego głosu walczyły ze sobą o lepsze setki zdań, wygłaszanych przez podróżników, a dziś niewiadomo jeszcze, ażali zawdzięcza on swe pochodzenie oszustwu kapłanów, złudzeniu zmysłów, czy też jakiemuś realnemu działaniu mechanicznemu (w każdym razie działaniu słońca).

Od czasu, kiedy w historii myśli ludzkiej zakiełkowało poznanie filozoficzne naturalnego biegu rzeczy, dotyczących śmierci i rozmnażania, od tegoż czasu istnieje dwojakie rozumienie pojęcia nieśmiertelności. Teoretycznie nie wykluczają się wzajem te dwa sposoby ujęcia przedmiotu, przyznać jednak trzeba, że wychodzą z wręcz przeciwnych sobie założeń.

Pojęcie jednostki — to jeden punkt wyjścia. Jednostka to coś najwznioślejszego. Jednostka — to świat sam sobie, który wciąż rozwija się wzwyż. Powstaje z ciemności, oraz zmierza ku ciemnościom, ale wciąż naprzód postępuje. Takie rozumowanie zdobyć się musi na krańcową próbę nadania zupełnie odmiennego znaczenia zasadniczemu faktowi istnienia ludzkiego. Nie do-

puszcza ono możliwości, ażeby śmierć stanowiła kres wszystkiego. Może ona być jedynie dziwnym etapem rozwoju jednostki w jej pielgrzymce światowej; etapem, na którym znika ona poprostu z pola widzenia dla tych, którzy jeszcze nie dosięgli tego stopnia rozwoju, t. j. dla żywych, nie idzie jednak zatym, ażeby ona przepadała bez śladu. Ten widomy okres, w którym zamyka się życie ludzkie, owe 50 do 100 lat, albo mniej jeszcze, są z tego stanowiska tylko jakąś przelotną konstelacją, — natomiast owa istotna gwiazda jednostki lśni poprzez wieków tysiące. Ma ona swe słońce ukryte, dookoła którego krąży, — pewnie jeszcze, aniżeli krąży planeta dookoła widomego słońca naszego systemu. Planeta może wszak spaść, spłonąć; zaś jednostka nieśmiertelna nigdy. To pojmovanie rzeczy z niebywałą energią zdobywało sobie uznanie w dziedzinie myśli ludzkiej. A podsycane było przez zuchwałość jednostek, w których wrzał bunt przeciwko temu, ażeby świat, ów pstry kalejdoskop, wiecznym miał być, zaś ich »ja«, co królować zdawało się ponad tą szumiącą falą zjawisk, spaść miało pewnego dnia z drzewa tego świata, niby liść bez wartości. Podsycane było to rozumowanie przez najtajniejsze poczucie nielogiczności zjawiska, której nie chciano dać sobie narzucić. I myśl ta rosła, przybierana zarówno w najcudowniejsze, najidealniejsze, jak i w najbanalniejsze formy. Poczawszy od Platona, dla którego ziemską rzeczywistość jednostki była tylko szybko przemijającym bladym snem pośród wyższego o wiele, idealnego jakiegoś istnienia po za czasem i przestrzenią, a kończąc na wielkim Fechnerze, który przypuszczał, że dusza ludzka sięga po za śmierć, biegnąc równolegle z owymi mechanicznymi falami, które

kiedyś z każdej jednostki wypromieniowały i oraz po jej śmierci płyną w nieskończoność w mechanice świata, wyobrażając działanie następcze.

Ale myśl ta przybierała też inną formę i zestawiana była z nikłym obrazem domu wychowawczego, gdzie po zamknięciu półroczu nauczyciel rozdaje świadectwa, zaś uczniowie otrzymują kary za to, czego ich należycie nie nauczono.

Systemy filozoficzne powstają i przemijają, każdy nowy filozof to Samson, co kruszy kolumny swego domu. Dogmaty kościelne, które skamieniały ponad tymi systematami, zwalane bywają przez huragan myśli i w końcu tylko ich ułamki unoszą się w pustej przestrzeni, niby pył meteorów. Oceniaj rzeczy sam, jak zechcesz, pewnem jest tylko jedno, że w miarę zbliżania się do czasów obecnych ponad tą dziedziną gromadzą się coraz ciemniejsze wały chmur. Jeżeli chodzi o nasz cel, to możemy pozwolić chmurom tym spoczywać... wiemy wszak oboje, jaka wielka kwestya kryje się po za nimi. Wystarczy tylko to zaznaczyć. Niechaj wielki sfinks spoczywa na tym miejscu, a my nie pytajmy teraz nawet, ażali piasek, w którym teraz jest pogrzebany, podniesie się lub opadnie...

Obok wiary w nieśmiertelność jednostki bez porównania pewniejszym okazuje się poznanie owej drugiej drogi, którą kroczy nieśmiertelność, drogi, na której nie masz wprawdzie ocalenia dla jednostki, ale jest ono przynajmniej dla ludzkości. Jest to droga przez rozmnażanie, przez miłość.

W zasadzie i to pojmowanie jest prastarą mądrością. Nasuwa się ona tak łatwo, że musi już bardzo dawno istnieć.

Te parę tysiącoleci myśli ludzkiej są wobec takich prostoty pełnych wniosków logicznych w istocie tylko strażą nocną, w myśl zwrotu biblijnego. Ojciec umierający błogosławi dziecko swoje: i oto cały proces rozumowania nabiera wyraźnych zupełnie konturów. Ojciec umiera, — co znów objaśnić sobie można za każdym razem zgodnie z pierwszym, wzmiankowanym powyżej ujęciem kwestyi. Ojciec umiera, ale dziecko żyje, i dzięki niemu linia rodu ciągnie się dalej.

Miliony takich linii krzyżują się, płaczą ze sobą, tworzą nowe: i oto powstaje ludzkość. Dziecko stworzy wnuki, od wnuków wywiodą się prawnuki. A wszystko na tej samej ziemi, na której wyrósł najstarszy praszczur wiadomy, pod tym samym słońcem, które dostarczało mu ciepła i światła. Na wiecznej ziemi, — popod wiecznym słońcem: — wieczny człowiek, wsparty na misteryum miłości, które czyni go nieśmiertelnym.

Aczkolwiek pogląd ten sam przez się jest stary, nie ulega wszakże wątpliwości, iż w miarę zbliżania się do terażniejszości odmładza on się coraz bardziej, staje się coraz to żywotniejszym. Oczywiście należy tu uczynić pewne zastrzeżenie. Uwzględniwszy je ma się wrażenie, że rozstępują się chmury coraz to szerzej.

Jedno pytanie musi wszakże i tu stanąć w poprzek rozumowaniu.

»Wieczna ludzkość!« — powiadamy.

Wieczna ziemia, — wieczne słońce!

Czy w naszym współczesnem pojmowaniu rzeczy może być wogóle cośkolwiek, co dałoby się pomyśleć, jako »wieczne?«. Epoka dawna sięgała zaledwie na parę stuleci wstecz w życiu ludzkości. Wzrok jej nie cofał się nawet po za okres kulturalny. Współczesny badacz-

przyrodnik natomiast kładzie ci rękę na ten oto bronzowy, przez fale morskie rozdarty, odłam skalny. Skąła ta sięga pochodzeniem swym tych czasów, kiedy ludzi wcale nie było... A ziemia cała? Czy i ziemia nie jest dla nas tylko pojęciem względnym? Ażali nie jest ona tylko pyłkiem świetlnym, co się z czasu otchłani wyłonił, połyskuje i rozwiewa się wnet: »żyje« i przepada? Ażali to »wieczne słońce« nie jest snem tylko, wyśnionym przez nas samych od tego czasu, kiedy wiemy, że wszystkie gwiazdy stałe to słońca, że i te gwiazdy stałe również w jesiennej płoną czerwieni, jak ziemski jakiś gaj dębowy; że i one podlegają katastrofom, od których giną w płomieniach, jak młody dąb od pioruna; że przestrzeń lodowata ich żar chłonie serdeczny, aż kostnieją wreszcie w zimnych, śmiertelnych dreszczach?

I w samej rzeczy nasuwa nam się tu dzisiaj nowy zupełnie obraz, nowy zupełnie sposób ujęcia zjawisk wszechświata, dzięki czemu i ta idea nieśmiertelności, idea wieczności przeobrazić się winna w sensie logicznym, zanim gotowa będzie do użytku.

Zarówno niezłożonym, jak i wysubtelnionym umysłem czasów minionych, brak było zupełnie jednego pojęcia, które nam w krew i ciało weszło: pojęcia rozwoju. W samej istocie swej nie wypływa ono z tego, co objęte jest wyrazem »wieczne«. Ale przez brzmienie tego wyrazu nadaje ono obrazowi rzeczywistemu urok zmiany wiecznej, urok bezmiernego bogactwa. Rzuca ono poprzez jednostajnie biały obłok wstęgę świetlną, z której

nagle wyłania się kwietny, wiosną dyszący krajobraz, gdzie wszystko w żywym znajduje się ruchu: na drzewach pąki rozkwitają, góry prężą się i pękają, morze wznosi się i szumi. A pośród ciemnego błękitu, nad odmienionym widnokregiem rozkwitają nowe gwiazdy, jak-gdyby i w zimnym wszechświecie cudowna zbudziła się wiosna.

Podczas tej jednej »straży« w historii kultury ludzkość w rzeczy samej czuwała. Wtedy myśliciele twórczą wykonywali pracę, wtedy wynalezione zostały narzędzia, nagromadzały się księżnice, wznosiły się muzea i obserwatoria. Jeżeli dziś, w końcu tej straży nocnej, powiadamy, że człowiek przez rozmnażanie, przez miłość, najbardziej oczywisty bierze udział w »wiecznym« życiu kosmosu, to właśnie z temi pojęciami »człowiek« i »kosmos« współdzwięczy unisono wszystka owa gorąca praca tej wielkiej straży nocnej.

Widzimy, jak kosmos obejmuje nietylko tonącą w ciemnościach wieczność, która jest jeno melodyą, a nie obrazem; obejmuje on również olbrzymie rzeczywiste dale przestrzeni i czasu. Widzimy, jak ludzkość, jako całość, wynurza się plastycznie w jasnej panoramie, która rozwiera się przed nami w tej świetlnej wstędze wielkiego obłoku.

I o tem, co się dopiero stanie, marzymy również w kręgach miłości.

Zamiast pospolitego wyrazu »wieczny« uczuwamy nieprzeparty popęd do szukania miłości w tym kosmosie, co się staje, co zwolna wyrasta z błękitnego morza-czasu, niby wyspa jakaś różnobarwna.

Oto, co jest właściwie nowego w tem, co nasze

czasy dodają do starego, prostego obrazu faktów rzeczywistych.

Płynie ku nam sznur złoty. Sprobujmy na chwilę uwiązać naszą łódź, ażeby się przekonać, jak daleko zajedziemy. Przy współczesnych środkach napewno lepiej popłyniemy, aniżeli gdybyśmy to czynili pod hasłem nieśmiertelności jednostki. Ta droga okazała by się dzisiaj zawodną odyseą. Urocze, nagie syreny zwabią i zjedzą podróżnika, jeżeli im się odda; cyklopy zamkną myśliciela w swej jaskini tak, że może być szczęśliwy, jeśli uda mu się umknąć, kryjąc się pod brzuchem kozła; cyrce-czarodziejka filozofów w osłów przemienia zaklęciem. I lotofagowie, u których łykając chciwie słodczy, zasypia się snem wiecznym...

Nasza droga jest prostsza, choć również nie pozbawiona zupełnie elementu bajki.

Prowadzi ona poprzez olbrzymie bajeczne powiaty współczesnych badań przyrodniczych.

Tęcza błyszczący ponad błękitem. Tęcza miłości. Jeden jej koniec ujrzałeś już. Lśni po nad prostym aktem rozrodczym człowieka, który dokonywa się pomiędzy ciałkiem nasiennym a jajem; tego byłeś świadkiem. Sprobujmy dosięgnąć drugiego punktu oparcia tęczy, choćby przelotnie nasamprzód; sprobujmy sięgnąć tam, gdzie miłość wogóle poraz pierwszy wkracza w pole widzenia przyrodnika-badacza.

Rozpatrywać jakieś zjawisko ze stanowiska współczesnego badacza przyrody, to znaczy umiejscowić je w przestrzeni, gdzie panuje milion przestrzenny, milion milowy, a dalej wznieść je ponad przeszłość, w której rachuba czasu odbywa się również na miliony, na lat miliony.

Strzaskany jest błękitny dzwon kryształowy ze złotymi gwoździami, wyobrażającymi gwiazdy, dzwon, pod którego sklepieniem żył spokojnie człowiek starożytny, jak za szybą oranżeryi; pod którym wierny ogrodnik niebieski hodował rozmaity owoc, z nasienia ludzkiego zrodzony, subtelny, oraz pospolity. Strzaskał się i rozpadł w gromadę poszczególnych świecących pyłków światowych. Pomiedzy tymi pyłkami przestrzeń pusta za-lega, przestrzeń lodowato-zimna, bezpowietrzna. A pyłki owe wydają się tylko pyłkami, bowiem przestrzeń pomiędzy nimi a nami ulega wszechwładzy milionów przestrzennych.

Po tamtej stronie, po za dostępną nam przestrzenią, płoną słońca-olbrzymy, z których światło płynie potężnymi strumieniami, płynie, płynie w najodleglejsze dale wszechświata.

Niewiarogodną jest szybkość tej fali świetlnej: z szybkością, przewyższającą 40 tysięcy mil w sekundę, przelewa się ona w przestrzeń. A jednak trzeba całych czterech lat, ażeby światło z najbliższej gwiazdy stałej dostało się do naszego ludzkiego oka, tu na ziemi. Na południowym niebie płonie gwiazda centaura, najwspanialsza i najjaśniejsza ze wszystkich gwiazd podwójnych. Owe cztery lata, w ciągu których biegnie ku nam jej światło, stanowią w stosunku do liczby mil na sekundę kilka bilionów mil prawdziwej odległości — tej gwiazdy od nas.

A ona ze wszystkich niezliczonych gwiazd stałych na firmamencie uważana jest za najbliższą! Światło innych dosięga ziemi dopiero po setkach lat. Dziś, kiedy je oglądamy, mogą one wyglądać zupełnie inaczej, niż wtedy, kiedy wysłały ku nam promień światła, który

teraz wreszcie nas dosięgnął. I naodwrot, jeřliby słaby odblask naszej ziemi mógł być spostrzegany tam w górze, to ziemia nasza ukazałaby się w tej postaci, jaką miała przed dziesiątkami, przed setkami lat: bez kolei żelaznych, bez wieży Eiffła, bez kanału Sueskiego, z wyspą Ksakatau na drodze Sundajskiej przed strasznym wybuchem wulkanu, wybuchem, od którego w r. 1883 wyleciała owa wyspa w powietrze. Być może odległości innych gwiazd sięgają tysiący takich lat, w ciągu których światło ich nas dosięga; a każdy rok ma 365 dni po 24 godziny, a godzina ma 60 minut, minuta 60 sekund — a każda taka sekunda równa się 40 tysiącom mil odległości...

Do niedawna sądzono, że na takich odległościach znajdują się t. zw. plamy mgliste, niezorganizowane masy gazów, mające często wygląd normalnych zarodków, tworzących się dopiero systemów światowych. Dziś budzą się pewne skrupuły w tym względzie: być może właśnie te bezpostaciowe obłoki niebieskie są nam poczęści bliższe, aniżeli przypuszczaliśmy. Ale to nie zmienia postaci rzeczy: cyfry mil dla poszczególnych jeszcze jako tako wymiernych gwiazd stałych są tak olbrzymie, że najśmielszy fantasta kosmiczny może doznać uczucia zadowolenia.

Oto przestrzeń, w którą rzuca się przyrodnik. Powiadam: rzuca, bowiem ty i my wszyscy jesteśmy ro-bactwem na tej grubej kuli ziemskiej, która od czasów niepamiętnych ciśnięta została w przestrzeń i toczy się po swojej drodze eliptycznej, znajdując się pod wpływem tysięcy fal świetlnych, owych bliższych i dalszych światów srebrnych, i zachowując przytem zupełnie te

same prawa, według których po niej samej toczy się kula armatnia.

Niemniej przerażającym jest ogrom czasu. Kiedy ludzie siedzieli bezpiecznie pod błękitnym kloszem kryształowym, niby spokojnie dojrzewające owoce w oranżeryi, hodowane przez ogrodnika w mistycznym jakimś celu, — wtedy rachuba lat minionych była prostą rozrywką. Chodziło wszystkiego o parę tysięcy lat wstecz. Wtedy nie było miejsca dla najtroskliwiej pielęgowanych artystycznych drzew genealogicznych.

Zmilkł rozgwar ludów, i z bezbrzeżnego błękitu wyłonił się ogród, pełen kwiatów różnobarwnych. Oto wśród świętej ciszy jednego poranka, poranka o wszechświatowym blasku, całował Adam Ewę; — ciszę tę mąciło tylko ciche czołganie się węża, wraz z którym przyczołgało się na wilgotną od rosy rajską łąkę całe niewypowiedziane nieszczęście czasów następnych. Jeszcze króciutki okres czasu — i oto Bóg cisnął ziemię w przestrzeń, a słońce o drżący firmament niebieski cisnął owym wspaniałym rzutem twórczym, który może wyczuł całkowicie i odtworzył w sztuce jeden Michał Anioł z pośród wszystkich wierzących i niewierzących chrześcijańsko-dogmatycznej ery, kiedy stworzył swój obraz na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej.

I dzisiejsza nauka nie zmogła sztuki ani indywidualnej potęgi twórczej owego nieśmiertelnego obrazu na kopule. Uderzyła tylko żelazną dłońią w ową idealną kopułę, pod którą kryła się cała ta tradycja, jako rzekomo prawdziwa tradycja historyczna. W tyle po za owymi kilkoma tysiącami lat istnienia ludzkości po

za tymi kilkoma dniami, w których dokonał się ów twórczy rzut bajeczny, rozwarły się wrota, poprzez które ukazała się znowu prawdziwa nieskończoność.

Więc oto mamy teraz miliony lat, nie miliony przestrzenne. Miliony lat nieubłaganego historycznego rozwoju.



la miary czasu zwróć uwagę przelotną na fakt, że stary Cheops egipski, którego imię nosi wielka piramida, dzieło bezsprzecznie wysoko już rozwiniętej kultury, żył na 3000 lat przed Chrystusem, a więc prawie okrągłe 5000 lat przed nami. Istnieją napisy z Cheopsa czasów, wskazujące na świątynie z bajecznej przeszłości, które, ongi zasypane w piasku, naówczas odnowa zostały wykryte. Wielki sfinks w Cheopsa czasy był już tak stary, że musiał być naprawiany. W jakich otchłaniach czasu ginie tu już kultura ludzka, kultura, co dzieła stwarzała, wobec których dziś jeszcze stoisz zdumiony, z uczuciem pewnej niemocy...

A oto, dzięki najnowszym badaniom, znamy o wiele prostszą i starszą pra-kulturę, która poprzedzała jeszcze okres używania metali, posługiwała się narzędziami z kamienia i przy ich pomocy pokonywała zwierzęta - olbrzymy, co już były zupełnie wymarły wtedy, kiedy rozpoczynało się piśmienne przekazywanie faktów. Ta prastara kultura, której istnienie w Europie środkowej stwierdzają ślady niewątpliwe, ginie, licząc wstecz, w epoce, zwanej przez współczesnych Geologów epoką lodową. Według rachunku astronomicznego, który zasługuje z wielu względów na wiarę, okres rozkwitu tej epoki lodowej (albo raczej epok lodowych, bowiem były tu przerwy i nawroty) sięga po za rok stutysięczny przed Chrystusem. A jednak czaszki ludzkie z ostatnich okresów epoki lodowej albo nawet może z samego początku tego olbrzymiego szmatu czasu nie są bardzo podobne do małpich. Zaś z drugiej strony uzasadnione zostało teoretycznie, że człowiek pierwotnie powstać

musiał z postaci zwierzęcych, do małp podobnych. Znamy obecnie z Jawy małpę, pochodzącą z końca epoki trzeciorzędowej, a więc tej epoki geologicznej, która poprzedza epokę lodową i bezsprzecznie sięga bardzo daleko wstecz poza owe 100,000 lat; a małpa ta miała już zupełnie prawidłowe nogi ludzkie i chodziła, trzymając się zazwyczaj prosto, jak człowiek. Wtedy prawdopodobnie miało miejsce właściwe »stawanie się« człowieka. Pojmujesz, w jak dalekie powiodło cię to czasy — a przecież człowiek ze wszystkich ważniejszych postaci zwierzęcych uważany jest bezwarunkowo za najmłodszy twór.

W pierwszej połowie owej epoki trzeciorzędowej wznosiły się jeszcze w Niemczech wysokie drzewa palmowe. Lasy magnolij i wiecznie zielonych dębów ciągnęły się aż do podbiegunowej pustyni lodowej, do krain dziś zupełnie jałowych.

A przecież sama nazwa »epoka trzeciorzędowa« (t. j. trzecia wielka epoka historii ziemi) wskazuje ci już na to, że chodzi tu o późną, względnie młodą epokę. Niezmierzone okresy dzielą ją od owej epoki jurasowej, kiedy dzisiejsze góry Jura osadzały się w głębi morza w postaci poziomej warstwy łu, który później stwardniał i dzięki twórczym siłom skorupy ziemskiej wyniósł się wysoko ponad powierzchnię wód w postaci gór. W morzu jurasowem pływał Ichtyosaurus, którego nie zna już epoka trzeciorzędowa. I oto tak idzie to wciąż wstecz — ku prastarym okresom rzeczy ziemskich. I sięgamy w ten sposób lasów epoki węglowej, owych tajemniczych lasów-olbrzymów, których resztki skamieniałe w piecu dziś spalamy, jako geologowie praktyczni. Sięgamy chwili, kiedy po raz pierwszy wogóle ukazały się istoty

organiczne. Tu bezsprzecznie z milionami mamy do czynienia. A jednak i to było znowu tylko stopniem, — bez wątpienia stopniem wysokim, na bezkresnej drabinie.

Czy ziemia była może nasamprzód kulą płomienną? Czy musiała się najwpierw skupić jakaś luźna materya wszechświatowa, ażeby ziemia powstać mogła? Czy istniał być może taki praokres, kiedy wszystkie planety stanowiły ze słońcem jedność, a jeszcze dawniej, być może słońce samo, wyodrębniło się dopiero z kosmosu? Najśmielsza myśl nie zdoła tego przemyśleć należycie. Ale również najśmielsza cyfra lat blednie wobec tego ogromu czasu. Przewalają się wstecz, wstecz, w otchłanie czasu szare korowody milionów lat, tak samo, jak tam we współczesnym wszechświecie ginęło wszystko w otchłaniach przestrzeni.

»Bowiem spójrz: chcę stworzyć nowe niebo i nową ziemię«. I rzeczywiście dostąpiliśmy dziś nowego nieba i nowej ziemi, o których kiedyś mówiła nam wizya proroka. Nowa przestrzeń, nowy czas. W takim otoczeniu wszystkie stare pojęcia same przez się nowy przybierają wygląd. Na najdrobniejszą rzecz pada odblask tego, w rzeczy samej nowego kosmosu; i pomimo woli doszukujemy się jego znaczenia, które teraz dopiero stało się kosmicznem. Być może, że ten oto blok granitowy był również świadkiem owych ogniem ziejących dni przedhistorycznych rozwoju ziemi. Być może, że ten oto ułamek grafitu powstał wtedy, kiedy ichtyosaurus zerował drapieżnie na dnie koralowym; a ten niepokąźny kawałek meteorytu pochodzi być może z głębin przestrzennych, przebiegał być może dale Syrjuszowe i stanowi szczątek jakiegoś świata, który kwitł na długo

przed wszelaką kulturą ziemską, zamieszkiwany był przez ludzi, owiany ich tęsknotą — zaś w pewnej chwili przebrzmiałych już przerażeń rozpadł się na drobne ułamki. A świat ten jest tak być może odległym od nas, że światło, które stamtąd ongi promieniowało, dziś jeszcze dosięga naszego oka...

Największe, najgłębsze sprawy ludzkości muszą wobec takiego stanu rzeczy inne otrzymać oświetlenie. A więc i miłość również. Oko nasze szuka jej w otchłaniach prabytu, w czasie i przestrzeni...

Jest w Stutgarcie uświęcony zakątek, — uświęcony dla przyrodnika. Oto zwykłe, białe ściany bez ozdób wszelakich. U ścian tych w długich szafach leżą szeregiem odłamki kamieni ciemnych, na których wzrokiem badawczym spostrzegasz pewne zarysy, przywodzące ci na pamięć mniej lub więcej połamane szkielety zwierząt. Są to płyty czarnego grafitu jurasowego w tej formie, w jakiej łamany bywa u stóp szwabskich gór. A na płytach tych skamieniałe szczątki wielkiego płazu, zamieszkującego głębiny morskie, o silnych płetwach, olbrzymich oczach i pysku krokodylim z okropnymi zębami. Ten potwór to ów sławny ichtyosaurus, pół-ryba, pół-jaszczur. Płyty kamienne, które przechowały dla cię ostatnie resztki jego istnienia, najwidoczniej w wysokim stopniu odpornego i imponującego, powstały w głębiach oceanu, zrazu jako miękkie masy iltu, w tym czasie, kiedy nie było jeszcze Alp, a morze śródziemne zalewało przestrzeń całą aż do Szwabii. Ten okres oddalony jest od nas przez szereg lat, dla którego wyraz »milion« nie wystarcza w żadnym razie; należałoby tu

jeszcze dokonać mnożenia: przez ile? to pytanie pozostawmy na razie na uboczu.

A mimo to ta cieniów gromada, pozostała po ichtyosaurusach, które niegdyś żyły na ziemi rzeczywiście, opowiada nam o miłości.

Pomiędzy żebrami takiego ichtyosaurusa leżą zgrabne miniaturki wielkiego potwora-matki: niezrodzone jeszcze młode, które wraz z brzemienną matką zaduszone zostały jeszcze przed urodzeniem podczas jakiejś burzy i pochowane w ile morskim. Ichtyosaurus jaj nie składał, ale donaszał swe małe i wydawał je na świat, jako żywe potomstwo, podobnie, jak to czyni nasza jaszczurka górską o szafranowo-żółtym brzuchu.

Bez wątpienia, małe owe poczęte zostały w normalnym akcie miłosnym, jak to się dzieje dzisiaj ze wszystkimi płazami, ze wszystkimi kręgowcami: przez cielesne złączenie się komórki nasiennej i jajowej, przez akt, dokonany wspólnie przez samca i samicę, akt, któremu również towarzyszyło gorące pożądanie miłosne. Ichtyosauury były w większości wypadków olbrzymiami zwierzętami: miały długości do 10-ciu metrów. Kiedy ich olbrzymia pletwa pionowa smagała fale w szale miłosnym, musiało to być widowisko potężne. Być może samcy toczyć musieli naprzód zażarte boje o posiadanie samicy, jak to bywa dzisiaj pośród naszych małych jaszczurek, kiedy baraszkują wiosną na zielonych kopcach: stają one do pojedynku i nie wcześniej zwykli zaprzestawać walki, dopóki jednemu z obu rywali nie zostanie odgryziony zgrabny ogonek jaszczurczy. Tam musiała to być w każdym razie walka, od której morze kipiało, jak od biblijnego Lewiatana. Być może wtedy pomiędzy szczęśliwym zwycięzcą a tak krwawo zdobytą samicą

spełniał się szalony akt miłosny w ten sposób, jak to czynią wieloryby, które nie są wprawdzie płazami, a ssawcami, jednak pod wielu względami więcej podobne są do ichtyosaurów, niż jakiegokolwiek inne zwierzę z żyjących lub wymarłych.

Samiec-wieloryb i jego samica, niekiedy olbrzymy o długości z górą 20-tu metrów, przyjmują dla aktu spółkowania w wodzie kierunek pionowy i obejmują się wzajem swymi potężnymi przednimi płetwami. Jednocześnie samiec chlaszcze ogonem po morzu fal, tak potężnie, że morze burzy się i kipi. A ichtyosaury zapewne jeszcze podczas tego ryczały, na podobieństwo ich bliższych krewnych, krokodyłów. Być może, wznosił się jeszcze ponad miejscem ich miłosnego szału ów obłok przejmującego zapachu piżma, zapachu, który wydają krokodyle w okresie parzenia się.

Oto w ten sposób wyczarowała przed nami wyobraźnia idyllę miłosną, którą dzielią od nas najpewniej już lat miliony. Jak odległe są to czasy, pojdziesz najlepiej, jeżeli pomyślisz sobie, że ta fala srebrnopienna, którą wzburzył akt spółkowania ichtyosaurów w okolicy mniej więcej dzisiejszej Szwabii, rozprysnąć się mogła w oczach tych kochanków o skałę jakiejś wyspy koralowej na podobieństwo fal dzisiejszego morza południowego. Po nad odłamek koralowym powiewały wielkie wiechcie silnych paproci palmowych i palm sago, jakie dzisiaj rosną w krajach podzwrotnikowych i dostarczają nam gałęzi palmowych dla naszych pogrzebów. Albo chwiała się zielonożółte listowie owych pięknych drzew Ginkgo, które dziś hodowane są jeszcze tylko w świętych gajach Chin i Japonii, drzewa z natury swej iglaste, mające wszakże jasne wystrzępione liście, które kiedyś

wyobrażały dla Goethe'go poetyczny symbol miłości, co z dwojga jedność tworzy: »Nie czujesz że w pieśniach moich, żem jednią jest i dwoistością...«

Tak jaskrawo zmartwychwstaje przed nami ze swoją miłością ichtyosaurus... Podobnie wyobrazić sobie można, że oto podnoszą się wszystkie te dziwaczne potwory, na płytach kamiennych odcisnięte, w szklanych trumnach naszych muzeów pochowane; wszystkie owe upiory straszliwe, które, licząc od dziś wstecz do epoki ichtyosaurów przepłynęły morze, przemierzyły przestworza i ziemię. U nich wszystkich można sobie wyobrazić uczucia miłosne, szal miłosny i miłosne pozy, i wytworzyć potworną gehennę rozkiełzanych namiętności, wobec których ziemia drży, ocean wzbiera i odwieczne wałą się puszcze.

Wszystka ta miłość czasów dawno minionych skostniała jest i martwa. To wszystko miłości pełne szkielety w muzeach ludzkości. Szkielety i kamienie, na których badacz nakleja kartę z dziwaczną nazwą.

I choćby nie wiedzieć jak potężne były owe »namiętności« płazów, to jednak czasu szmat olbrzymi, jaki nas dzieli od nich, sprawia, że stają się one jakimś dalekim, ginącym akordem nawpół przebrzmiałej już melodyi. I takimi niksującymi, zaledwie dosłyszalnymi dźwiękami sięga melodia owa jeszcze o wiele głębiej w mrok czasów. Ichtyosaurus, należący wprawdzie do bardzo dawnej przeszłości, stoi jednak już wysoko na organicznej drabinie rozwojowej, na której szczycie — bez względu na jakiegokolwiek spory co do kwestyi poszczególnych — stoi również człowiek. Wciąż jeszcze pozo-

stajemy tutaj w pewnym sensie w »rodzinie«. Atoli ta linia rozwoju biegnie nieprzerwanie jeszcze wstecz po za ichtyosaurusą daleki drogi szmat, który liczyć wypada na lat miliony znowu.

Mówimy często symbolicznie, obrazowo o ostatnim brzegu poznania. Opuszczone wybrzeże; nic—jeno piasek i piany morskiej płątki. A dalej bezkresne, srebrnoszare, zamglone morze niepoznawalnego z białym wińnokręgiem, rozpiętym ponad wiecznością niepojętą.

Przyrodnik, który śledzi życie organiczne na ziemi aż do dni bardzo odległych, zna takie wybrzeże. Leży ono namacalnie na krawędzi tradycyi ziemskiej. I w samej rzeczy chodzi tu o wybrzeże.

Szwecya. Znajdujesz tam prastare piaskowce, które osiadły jako najniższa warstwa kambryjskiego okresu w rozwoju skorupy ziemskiej. Te kamienie kambryjskie są nieporównanie starsze od owego grafitu jurasowego, gdzie spoczywają atlantosaurusy, archeopterysy, ichtyosaurusy. Ale przed badawczym wzrokiem przyrodnika i owe kamienie rozwierają się, jako książka. W tych drobnych śladach, które tam w Szwecyi na nich pozostały, ujawnia się cały rozgwar życia jakiegoś przedświatowego brzegu morskiego. I choć spiętrzyły się nad nim miliony lat, niby wieża,—stary piasek, w kamień skupiony, zachował jednak niewidzialne prawie ślady. Oto ślady, jakie pozostawił pełzający robak, rak, lub ślimak. Oto z czterech części złożony, o wyglądzie grubego krzyża, odlew żołądka jakiegoś szklatego mięczaka, którego burza rzuciła o brzeg; zginął on później w płytkiej wodzie nadbrzeżnej, podobnie, jak to się dzieje dziś jeszcze z jego towarzyszami niedoli, co mienia się barwą błękitną u wschodniego wybrzeża morskiego.

Oto linia zygzakowata, którą nakreśliły w delikatnym ile piaskowym, lekko przez fale poruszane zielone porosty wybrzeża.

Właściwie nie ma w sobie nic nadzwyczajnego to stare wybrzeże kambryjskie w Szwecyi. A jednak sprawia ono na badaczu zupełnie swoiste, magiczne wrażenie. Jest to ostatnie wybrzeże z życiem organicznem z tych wszystkich, które są mu dostępne. Z okresu poprzedzającego warstwę kambryjską Szwecyi, z warstw skalnych, które są jeszcze starsze, nie mamy ani jednej resztki roślinnej, lub zwierzęcej. Kamienie z epoki bezpośrednio poprzedzającej kambryjską, znajdują się w jakimś odrębnym stanie, któremu prędzej czy później uleść musiały. Ich wewnętrzna budowa zupełnie jest przekształcona: jeżeli nawet zawierały resztki organiczne, to rozpuściły się one w masie ogólnej i stały się niewidzialnymi. Nie widać tu już ani muszli, ani skorupy rakowej, ani odciśniętego kształtu liścia. Owo wybrzeże szwedzkie jest to ostatnie nasze wybrzeże z punktu widzenia bezpośredniej, namacalnej tradycyi. Tu nic się urywa.

Zwierzęta, które żyły na wybrzeżu kambryjskim, miały swoje życie miłosne — któżby chciał temu przeczyć? Raki, które tam pęzwały, należały najpewniej do rodzaju t. zw. trylobitów; były to dziwaczne twory, dziś już w tej postaci nie istniejące zupełnie, których niezliczone gromady igrać musiały w morzach tej i następnej epoki... Właśnie z badań nad takimi trylobitami, pochodzącymi z czeskich skał epoki kambryjskiej (które, jak się zdaje, nie zawierają wprawdzie pokładów wybrzeża morskiego, natomiast pokłady głębin morskich) poznanym został cały rozwój młodych. Znajdujemy tam niezliczone drobniutkie czarne kulki, zapewne jaja. A obok cały łań-

cuch poczwarek albo stanów młodocianych, — aż do gotowego raka ostatecznie. I tam niewątpliwie odbywały się akty miłosne, a ze względu na nie, istnieć musiały i uczucia erotyczne!?

Żyją obecnie pewne gatunki raków, u których nie każde jajo samicze wymaga bezpośredniego zapłodnienia przez samca, ażeby być zdolnem do rozwoju — występuje owo dziwne zjawisko t. zw. partenogenezy czyli dzieworództwa. Atoli obok tego zdarza się i tu od czasu do czasu istotne zapłodnienie. Nasze najbardziej znane rakowate, jak rak rzeczny, homar, raczek morski, mazynet: wszystkie one zapładniają się normalnie. Jaja zapłodnione są u nich pielęgnowane często z wyrafinowaną pieczołowitością: specjalne skrytki i jamki ciała samiczego służą do ochrony jaj, albo też są one troskliwie przechowywane, osłonięte wyrostami odwłoka, jak to każdy wie o naszym raku rzeczny. Owe dawne trylobity przechowywały może swe jaja w zrobionych przez się zagłębieniach w piasku nadbrzeżnym, niby w gniazdach, podobnie do tego, jak czyni to dziś żyjący rak-mięczak, który właśnie największe w budowie ciała swego wykazuje pokrewieństwo z trylobitami. Może młode, samodzielnie już pływające, lecz słabe jeszcze latorośle trzymały się jeszcze przez czas pewien matki i u niej szukały schronienia przed niebezpieczeństwem na podobieństwo naszych młodych raczków rzecznych, których jedyną ucieczką jest matka, jak kura dla piskląt.

Wybrzeże kambryjskie to ostatnie znane nam wybrzeże, na którym żyły istoty organiczne, zwierzęta i rośliny, więc i życie miłosne tego wybrzeża stanowi ostatni

etap w i d o m e j miłości, o ile umiemy historycznie śle-
dzić ją w otchłani milionów lat minionych.

I tu zrywa się nić, co ku dawniejszej jeszcze prze-
szłości poprowadzić by nas mogła.

Ale na chwilę odrzucimy wogóle precz teleskop ge-
ologiczny.

Trzeba nam podążyć za jedną myślą.

Założyliśmy nieśmiertelność rodzaju ludzkiego, za-
warowaną przez miłość. Nauka współczesna miała temu
pojęciu nowe odsłonić perspektywy,

I oto nagle jesteśmy na wybrzeżu kambryjskim.
Jak przez mgłę widzimy, że miłość jeszcze tam pano-
wała.

Atoli gdzież jest człowiek?

Ażali ów piaskowiec szwedzki, co niegdyś był tak
delikatnym iłem piaskowym, że pozostały na nim ślady
ścieżek po przejściu robaka, po wielonożnym raku, nie
wykazuje gdziekolwiek wyraźnego odlewu stopy ludz-
kiej? Nagiej stopy kobiecej, jakiejś pradziewoi kambryj-
skiej na starym wybrzeżu, która właśnie szła może
ku rozkoszom miłości w glori słońecznej o ginącym
gdzieś w dalach nieskończonych blasku?

Tu oto staje woprzek wszelkiemu fantazyowaniu
tego rodzaju myśl nawskroś współczesna. Myśl o po-
tędze żywiołowej, co zdruzgotała całe światopoglądy,
jak padający blok marmurowy. Myśl, która jednak w isto-
cie swej jest tak prosta, że zdumienie nas ogarnia, jak
można było kiedykolwiek mieć co do niej wątpliwości.

Na owym kambryjskim prawybrzeżu i licząc z góry,
wcześniej jeszcze na brzegach owego oceanu podzwro-

tnikowego, po którym pływały ichtyosaury, nie było jeszcze ludzi. Były tylko istoty, które kiedyś miały się stać ludźmi. Mnożyły się one, wobec odwiecznego odumierania jednostek, stały na straży swego istnienia, zupełnie tak samo, jak człowiek dzisiejszy, stosując wielką zasadę nieśmiertelności poprzez miłość. W biegu lat milionów dosięgły postaci ludzkiej. I ona była tą właśnie, która odtąd przez rozradzanie się została nadal zachowana.

Wracamy na chwilę do zwykłej sceny, którą uznaliśmy wyżej jako punkt wyjścia wszelkiej filozofii miłości. Ojciec umierający, co dziecko swe błogosławi, — oto ocalone istnienie ludzkości poprzez śmierć jednostki. Pomyśl głębiej nad tą sytuacją. Spójrz dziecku w oczy i ojcu. Ażali zupełnie są do siebie podobni? Obaj są ludźmi. Jest jednak różnica. Różnica, co nie polega jedynie na tem, że z jednej strony jest młodość, zaś z drugiej starość. Dziecko zostanie mężczyzną, a jednak pod pewnemi względami różni się od ojca, i od matki również; od rodziców swoich i przodków naogół. Bo wiem nie jest to jedynie nowe indywiduum w tym rozumieniu, że chodzi na własnych nogach, zamiast pozostać w ciągu życia całego zrosniętym z rodzicami, niby narząd ich ciała, i nie w tym rozumieniu, że żyje ono nadal, wyzwalając energię tworzenia wtedy, kiedy ojciec, jako starzec spróchniały umiera.

Jest ono indywiduum wogóle, poprostu czemś zupełnie odrębnym pośród całej ludzkości, co była przed nim, co po nim będzie i co istnieje obok niego.

A mimo to mówimy: ludzkość żyje w nim nadal i indywidualność jego jest ogniwem w łańcuchu owym nieśmiertelnym, zagwarantowanym przez miłość.

To dziecko znowu dzieci mieć będzie, które znowu będą inne.

Dzieci te pozostaną może w otoczeniu podobnem do rodzicielskiego i to otoczenie pozostawi wnukom pewne cechy przynależności do przodków, której inni ludzie zupełnie nie posiadają. Zaś wnukowie wyemigrują bodaj, w inny wejdą zespół warunków.

Uczy nas historia, jak powstają nowe ludy ze zmieszania starych.

Narody rasy romańskiej powstały w ten sposób już we względnie późnej epoce historyi ludzkości. Współczesne narody Ameryki tworzą się dzisiaj tak, że ma się wrażenie, jakoby wyrastały w oczach naszych. A mimo wszystko, jak długi okres czasu dzieli później naród od narodu pośród ludzkości! Jakże śmiałym, — jak daleko sięgającym jest pogląd, uznawany bez skrupułu od wieków przez naiwniejszych wyznawców biblii, że murzyn i anglik powstał pierwotnie z tego samego szeregu pokoleń, który unieśmiertelnił się dzięki rozmnażaniu; murzyn, zamieszkujący zarośla australskie i anglik, który go wytępił i na tem samem miejscu, gdzie ongi rosły jego lasy eukalyptusowe, pełne kangurów i zwierzęta z dziobami, zakłada wielkie miasta, dymem fabryk owiane, otoczone siecią kolei żelaznych i rządzone według współczesnych praw konstytucyjnych.

Myśl ulega tu rzeczywiście przeobrażeniu, ale przeobrażenie to jest konieczne. Wzniesć się musi ona właśnie do poglądu, że miłość zapewnia pokoleniom nieśmiertelność, że natomiast nic ją nie obchodzi, czy pokolenia te, jako indywidua i szeregi indywiduów tak odbiegają od siebie, że wreszcie — po kilku wiekach — wnuki

i prawniki oddalają się od przodków swoich aż do niepoznania.

Współczesny przyrodnik nadaje tej myśli poprostu cechy nieograniczonego uogólnienia. Zadaje on sobie pytanie, czy łańcuch jednostek, który tu zawiera w sobie, jako ogniwo, negra australskiego, zaś tam Anglika, nie zawierał również kiedyś takiej postaci zwierzęcej, którą musielibyśmy dziś, gdyby istniała, przyrównać, ba nawet ze względu na cechy najważniejsze zidentyfikować z małpoludem lasów podzwrotnikowych, z gorylem lub orangutanem?

A wszak wszystkie wiadomości nasze z bardziej odległej przeszłości przemawiają niewątpliwie za takim stanem rzeczy.

Idąc wstecz po za epokę lodowatą, nie znajdujemy nawet śladów człowieka. Brak tam nie tylko rzeczywistych kości ludzkich, ale i śladów jakiegokolwiek kultury. Dzisiaj kultura ta stanowi zasadniczą cechę sztafażu dla całych części świata.

Wyobraź sobie np., że dzisiejsze terytorium europejskie, zasłane ruinami przemysłu ludzkiego, zapadło się w głębokie pokłady epoki kamiennej. Zaś tam nic więcej nie widzisz. Tylko taki sam las dziewiczy, jaki dziś zielenią swą bajeczną czaruje samotnego wędrowca w nowo odkrytych dziedzinach ziemi. A w tym lesie pierwotnym widzisz tylko zwierzęta, stojące pod względem organizacyi niżej od człowieka. Pośród jaskrawego kwiecia tych drzew prastarych, gdzie słońce tka delikatne smugi świetlne w tajemniczą zielenią, skaczą małpy. Dlaczegoż one stanowić nie mają dalszych ogniwi wstecznych owego łańcucha pokoleń, który dziś zwie się ludzkością?

Znów nieskończony okres czasu — i oto w lesie paproci palmowych i araukaryi, skaczą zwierzęta workowate o długich ogonach, kryją się w mokradłach istoty w rodzaju dziobaka. Zgodnie z systematyką, ustaloną dziś wreszcie przez naukę, po żarliwej, niezmordowanej pracy, owe workowce i dziobaki, znajdują się mniej więcej w tym samym stosunku do małp i ssawców, małpom podobnych, jak te ostatnie do stojącego na wysokim stopniu rozwoju człowieka. Znajdują się one o jeden stopień niżej ze względu na budowę kości i mózgu, oraz ze względu na to, że pozwalają dojrzeć zupełnie swojemu potomstwu przed urodzeniem się samym.

W owe czasy workowców i dziobaków, odpowiadające mniej więcej epoce ichtyosaurowej, niema ludzi, podobnie jak i w starym, podzwrotnikowym lesie, przez małpy zamieszkałym. Atoli małp również niema. Dlaczegoż to, co później stało się małpą, a wreszcie człowiekiem, nie mogło mieć wtedy postaci zwierzęcia workowatego i dziobaka?

I wciąż tak samo wstecz.

Cofamy się w okresy, skąd nie przekazany został najmniejszy ślad dziobaka, lub zwierzęcia workowatego, wogóle jakiegokolwiek ssawca. Natomiast ocean roi się od niezliczonych ryb. To, co później żyło na lądzie stałym, oddychało płucami, karmiło swoje małe i znane jest przez nas, jak dziobak, w owe czasy miało najprawdopodobniej skrzydła na szyi i pletwy na ciele.

Dziobak, zwierzę workowate, małpa i człowiek wówczas istniały, — jako ryba.

Wreszcie na wybrzeżu kambryjskim, gdzie leży kres naszego poznania przyrodniczego, były one zapewne jeszcze robakiem, zwierzęciem, które pod wzglę-

dem swej organizacyi cielesnej stoi o wiele niżej od ryby, wyobraża sobą mianowicie o wiele prostszy schemat, który w rybie okazuje się znacznie więcej skomplikowanym.

Ten proces myślowy wstaje przed oczyma twej duszy w całej swej potędze, nie pozbawionej jednocześnie prostoty. Nigdzie przerwy w łańcuchu miłosnym pomiędzy robakiem kambryjskim, a człowiekiem dzisiejszym. Nieprzerwany szereg następujących po sobie pokoleń. Atoli w tym następstwie dokonywa się powolna zmiana w wyglądzie indywiduów zwierzęcych, taka sama zmiana, jaka dzieli ciebie, człowieka dni dzisiejszych, od starego krzyżaka lub rzymianina w todze z czasów Cezara, albo pasterza z mitycznej patryarchalnej epoki żydowskiej, od których ty pochodzisz złączony z nimi silnym łańcuchem niezliczonych historii miłosnych, uścisków i urodzeń, nie będąc sam dzisiaj ani bojownikiem jerozolimskim, ani senatorem rzymskim, ani mistrzem krzyżackim. Nie jesteś również dziewczęciem z praepoki kambryjskiej, co szła po owym ostatnim zamglonym wybrzeżu w objęcia miłości. Atoli w owym robaku, który trwożliwie szukał tam schronienia w piasku na czas odpływu, zawarte są już potencjalnie wszystkie dziewczęta — ludzie czasów przyszłych...

Dopiero przez uświadomienie tej zasadniczej myśli nauki Darwina ostać się może twierdzenie o »nieśmiertelności przez miłość«; teraz dopiero po linii rzeczywistych faktów geologicznych, dotrzeć możemy do samego wybrzeża kambryjskiego... Powróćmy więc do niego.

Prawybrzeże! Wybrzeże kambryjskie nie może być rzeczywistym wybrzeżem pierwotnym. Właśnie na-

uka Darwina wzbrania takiego poglądu. Wprawdzie meduzy, robaki i raki, jakie tam zastajesz, są to formy organiczne, stojące niżej od jakiejś muszki np. lub człowieka. Stanowią one jednak tylko stopień, po za który zniżyć możesz jeszcze niżej. Dziś jeszcze żyją na ziemi całe gromady istot żywych o budowie znacznie prostszej, a więc stoją one zgodnie z szematem rozwojowym znacznie niżej od robaka, a tembardziej zaś od raka.

Robak składa się, jak i ty, z komórek. Komórki te układają się w ciele jego w narządy, panuje pomiędzy nimi podział pracy: jedne tworzą jeden narząd, inne znów inny. I choć pod względem organizacyi cielesnej stoi od ciebie robak niżej, to w tym względzie wykazuje jeszcze wielkie podobieństwo z tobą. Atoli napotykasz dziś jeszcze pośród nas żyjące twory, które zupełnie żadnych narządów nie posiadają, a składają się z nieorganizowanej masy zupełnie jednorodnych komórek. I nawet możesz pójść dalej wstecz po za stadyum, gdzie brak wszelkich narządów.

Słyszałeś o bacylusie, przynajmniej o bacylusie cholery, który jest tej choroby przyczyną, albo conajmniej zjawia się zawsze jednocześnie z tą okrutną chorobą. Miliardy podobnych bakteryj, wszystkie tak małe, że stają się widocznymi dopiero pod drobnowidzem, unoszą się w powietrzu, roją się w wodzie. O tem czytasz w pismach. Ale czem jest taka bakteria? Jest to żywa istota, i właśnie jej życie intensywne czyni ją w pewnych warunkach tak niebezpieczną. Ale czyż jest ona zwierzęciem, czemś w rodzaju robaczka o minimalnych rozmiarach ciała? Albo czy jest rośliną, jakimś wodorostem lub grzybem? To ostatnie określenie słyszy się często, i w istocie naprowadza na to stosowana

wprost nazwa naukowa »grzybek rozszczepiony«. Atoli od rzeczywistego grzyba różni się bakteria jeszcze znacznie: posiada ona organizację o wiele niższą, zaś nieporównanie niższą od robaka.

Ani wyraz »zwierzę«, ani »roślina« nie określa jej należycie. Jest ona przedstawicielem takiego prąkrólestwa, skąd powstało zarówno zwierzę, jak i roślina, skąd powstały dopiero te dwa królestwa w drodze specjalizacji.

Bakteria wyobraża sobą tylko jedną jedyną komórkę, jedno skupienie żywej materii, jedną cegiełkę w naszym poprzednim obrazie, który dzięki swej możności »samodzielnego istnienia« stanowi właśnie matkę »domek« dla siebie.

W ten sposób dotarłeś w istocie do czegoś najniższego, najprostszego pośród form zwierzęcych, jakie dziś znamy na ziemi.

Mówiłem ci, że jeżeli sięgniemy wstecz po za kambryjskie wybrzeże, to nie znajdziemy nawet śladów zwierzęcych i roślinnych. Oczywiście, że przyczyna tego jest czysto zewnętrzna: starsze jeszcze osady ilu i piasku dzięki specjalnej sprawie krystalizacyjnej porzucane zostały, niby motyką, tak że wszelkie przekazywanie form organicznych wykluczone jest samo przez się. Niema jednak dobrej racyi, dla której wyobraźnia nasza miała by się dać kierować temu zjawisku czysto zewnętrznemu i prawdopodobnie następczemu. Jeżeli po kambryjskim wybrzeżu łążyły już robaki, jeżeli morze opłukiwało tam meduzy, to najprawdopodobniej był przedtem taki okres, kiedy w jakimś morzu pierwotnym, dziś już zupełnie nieistniejącym, rozwinęły

się takie robaki i meduzy z prostszych jeszcze istot zwierzęcych.

I wreszcie musiało gdzieś rzeczywiście istnieć jakieś pierwotne wybrzeże krańcowe, na którem były tylko najprostsze twory organiczne; twory takiej kategorii, która nie dopuszcza jeszcze wyraźnego podziału na zwierzęta i rośliny, a z której rozwinąć się miały dopiero w następstwie, jako dwa pnie równoległe, zarówno prawdziwe zwierzęta, jak i prawdziwe rośliny; twory, w rodzaju tych istniejących dziś jeszcze w takiej masie bakteryj, których ciało całe stanowi jedno, jedyne, pozornie dość jednorodne skupienie żywej materii, — jedną komórkę.

I bakteria »kocha«, to znaczy: wykazuje ona zjawiska zapładniania i rozmnażania się, dzięki czemu z żywych indywiduów powstają nowe. Oczywiście, dzieje się to wszystko w sposób zupełnie pierwotny. Wszystko do tego stopnia uprościło się w bakteryi, sprowadzone zostało do jednej jedynej cegiełki, że i miłość zdaje się istnieć tam w możliwie najbardziej rozrzedzonym wyciągu. Zaraz na tem miejscu powiemy o tem słówko, tymczasem właśnie zaznaczymy tylko nagi fakt. Wilgocią przepojone powietrze pierwotne, w którym roiły się bakteryje, lub owa prawoda, w której się one snuły, lub wreszcie owo prawybrzeże iłowe, gdzie pełzały, — wszystko to było już widownią najprostszych zjawisk, dzięki którym indywidua wytwarzały z siebie nowe, — odbywało się już tam rozmnażanie, istniała miłość. Nie jest to chwiejna jakaś hipoteza, jest to prosty wniosek logiczny. Podobnie jak niegdyś astronomowie na podstawie zaburzeń w sile ciężenia wykombinowali sobie Neptuna przy Uranie, nie

widząc go przedtem bezpośrednio, tak samo stwarza sobie i nasza fantazyja biologiczna owo przedkambryjskie wybrzeże z jego czystą miłością bakteryj, zdając sobie dokładnie sprawę z tego faktu, że nauka zapewne nigdy nie wykryje widomych śladów tego wybrzeża.

Atoli teraz, drogi mój towarzyszu, sytuacja się wikła. Po drabinie Darwina zeszliliśmy dość do szybu milionów lat, jak można było najgłębiej. Szliśmy od najbardziej skomplikowanych do najprostszyc tworów, od człowieka do bakteryi. Teoryą naszą sięgnęliśmy nawet po za wiedzę. Ale teraz stanęliśmy w miejscu krytycznem. Darwin ściska nam dłoń i odchodzi. »Na początku była bakteria«. Ale skąd się ona wzięła?

Znasz piękną legendę indyjską. Świat spoczywa na słońiu. Słoń stoi na żółwiu. Ale kto podtrzymuje żółwia? Kapłani mówią: jestto boskie misteryum.

I my z naszą bakteryą, co była na początku, mamy to wrażenie jakgdybyśmy stali na żółwiu. Zaś wyraz »mysteryum« zapewne nie zdoła cię zadowolnić.

Wreszcie jedna pozostaje prawda. I przyrodnik z ostatecznemi zagadkami świata styka się już z królestwem mistycznym, przynajmniej w tym sensie, że tu nauka jego pogrążyć się poczyna w ciemność zupełną. Skąd w ostatecznym rezultacie wyłonił się świat cały, jak poczęły się owe wielkie zasadnicze ruchy we wszechświecie, co wyobrażają owe prawa natury «rozwojowe». Wszystkie te pytania zapadają się przed oczyma przyrodnika w otchłań ogólnych kwestyj teoryopoznawczych. A to w języku praktycznym nic innego nie znaczy, jak że giną we mgle tajemnicy.

Atoli przykrem jest to, że o ile się zdaje, to najdal-

sze pojęcie »kresu« w przyrodzie nie zlewa się jeszcze wcale z pojęciem naszego wybrzeża z bakteriami.

Wybrzeże to istniało na ziemi. Przypuściwszy nawet, że powierzchnia ziemi znacznie różniła się od dzisiejszego jej stanu, co dotyczy rozkładu wód i lądów, a być może również, że względu na temperaturę ogólną, w każdym razie przyznać musimy, że już musiała być wtedy podobną do dzisiejszej. Atoli istnieje teraz uznawana powszechnie hipoteza, według której w dawnej bardzo epoce cała kula ziemską była podobno rozżarzoną masą, małym słońcem, dookoła którego kołysał się ognisty opar z metali i wydobywały się słupy gorącego wodoru.

W takiej atmosferze, gdzie metale przechodzą w parę, gdzie żelazo unosi się w postaci obłoku, a ze względu na straszliwe gorąco nie może wreszcie dojść do skutku żadne połączenie chemiczne pomiędzy elementami podstawowymi, — w takiej atmosferze nie może wytrwać najbardziej nawet wytrzymała bakteria. Składa się ona przecież z jednej tylko komórki, ale ta jedna komórka zawiera w sobie właśnie ową substancję (istotę) chemiczną, na której według przyjętych obecnie poglądów polega »życie«, a ta substancja umiera, skoro rozgrzewa się ją do tego stopnia, że jej skład chemiczny ulega zniszczeniu...

W owej epoce ogólnego żaru, w jakim znajdowała się ziemia, nie mogły tedy istnieć bakterie w naszym rozumieniu tego wyrazu.

Jeżeli hipoteza ta jest wiarogodną, to dopiero pośród procesu rozwojowego ziemi była zapewne taka chwila, kiedy bakterie dopiero powstały, zaś przedtem nigdy nie istniały. I najoczywściej, jeżeli istotnie tak

rzeczy się mają, chwila ta przypada na ten okres, kiedy żar ziemi ochłonął zrazu tak dalece, że nastąpiła temperatura, przydatna dla życia bakteryj.

Mając na uwadze nasze środki poznawcze, nie powinniśmy naturalnie taką hipotezę o pierwotnym rozżarzonem stanie ziemi uważać za niewzruszoną. Najsilniejsze poparcie znajduje ona we wnioskowaniu na zasadzie analogii. Gdziekolwiek z naszego ziemskiego obserwatorium rzucimy wzrokiem we wszechświat, wszędzie migają przed oczami naszymi fazy ciągłego procesu oziębiania się, jakiemu podlegają ciała niebieskie. Obłoki, mgławice wydają się nam tworam kosmicznymi, które są jeszcze w stanie lotnym, w jakim byłaby ziemia nasza, gdyby ją ogrzać do możliwie wysokiej temperatury. Pewna liczba gwiazd stałych wykazuje stan białego żaru. Słońce nasze, które w ogólnej budowie wszechświata nie wyobraża nic innego, jak taką samą gwiazdę stałą, jest natomiast już trochę mniej rozżarzoną i zaliczanem bywa do typu żółtych gwiazd, a wielu astronomów sądzi, że plamy słoneczne stanowią zapowiedź jeszcze bardziej umiarkowanego, poczynającego się dopiero stadyum, które nazwać by było można żarem czerwonym. Co do niektórych innych gwiazd stałych jest prawie pewne, że już istotnie ostygły do słabego żaru czerwonego. Wobec faktu, że przestrzeń wszechświatowa jest lodowato zimna, łatwo jest wyrozumieć, dlaczego w ciągu niezliczonych szeregów lat gorąco wszędzie się zmniejsza. Ale najprawdopodobniej na samym początku panował wszędzie żar, doprowadzony do najwyższego stopnia. Więc dlaczegożby z ziemią nie miało być to samo? Taka malutka, jaką jest, oddawna już dziś ostygła do tego stopnia, że nie pro-

mienieje już więcej własnem światłem, ani własnem ciepłem, które zmierzyć by się dało. I to jeszcze popiera naszą analogię, że księżyc o wiele mniejszy od ziemi jej satelita, wykazuje pewne cechy, które pozwalają przypuszczać, że jest on być może w stadium jeszcze bardziej posuniętym, to znaczy jeszcze więcej wystygłym, niż ziemia.

To wielkie wnioskowanie na zasadzie analogii popierane jest jeszcze przez inne wtórne znaczenia motywy. Przemyśleć sobie można szereg przeobrażeń aż do kresu, kiedy ziemia, jako pierścień płonący, oderwała się ongi od słońca. Ziemia byłaby niejako słońca potomkiem, zaś księżyc z ziemi by się wywodził. A słońce naturalnie z innych znowu gwiazd stałych. Ten sposób rozumowania, przedstawiający w kwestyach poszczególnych wiele trudności, ma jednak tę jedną wielką wartość, że trzyma nas wciąż w atmosferze pojęć rozwojowych. I ziemia, i słońce, wszystkie wreszcie systemy gwiazd i mgławice, okazują się w tym świetle, jako latorośle jednego jedyne go kosmicznego drzewa-olbrzyma, co rośnie wciąż i rośnie od lat milionów. Zaś hipoteza o pierwotnym rozżarzonem stanie ziemi jest jednym z logicznych wniosków tego poglądu, i jeżeli całość wydaje się z ogólnych logicznych zasad wychodząc, prawdopodobną, to wniosek ten znowu znajduje przytem nowę dla siebie poparcie.

I takich motywów jest więcej. Jeżeli zespolim je wszystkie, to zauważysz zapewne, że każdy z nich poszczególnie wzięty nie mógłby wprowadzić wystarczyć na poparcie hipotezy o praziemi, płonącej, niby słońce; natomiast wzięte razem wszystkie wystarczają, ażeby tymczasem przynajmniej nadać możliwie najlepsze za-

rysy czerwonej mgły, która zwykła unosić się ponad taką prafantasmagoryą.

A więc w ogólnym rozwoju wszechrzeczy fantazyą naszą sięgamy o wiele dalej wstecz poza owe pierwotne wybrzeże, przez bakterye zamieszkałe. Dopiero owe potworne tworzenie się systemów, odrzucanie pierścieni, kosmiczne zgęszczanie i stygnięcie — stanowią kres, poza którym fantazyja nasza pada omdlała w objęcia zupełnie czegoś Niepojętego, w objęcia misteryum. Zaś w zakresie tych krańcowych momentów rozwojowych rozpoczyna się natychmiast poza owym pierwotnym wybrzeżem bakteryjnym żar czerwony kuli ziemskiej, który zdaje się zakreślać już cel bakterjom, życiu, miłości...

Jeszcze raz dobrze sobie uprzytomnij: w pierwotnej bakteryi tkwi już człowiek, najstarszy człowiek, w tym sensie, że łańcuch tworzenia, ulegający zmianom przez rozwój, zachowuje nieprzerwaną ciągłość wewnętrzną. Od człowieka do bakteryi ciągnie się mocna, nigdzie niezrywana nić nieśmiertelności przez miłość.

Ale co dalej? Skąd wzięły się pierwsze bakterye w okresie przejściowym pomiędzy rozżarzoną do czerwieni a ostygłą ziemią?

Przyrodnik nagłem cięciem urywa całą kwestyę. Wszystko, począwszy od bakteryi z czasów przedkambryjnych, aż do człowieka dzisiejszego, biegnie wzdłuż złotej liny przeznaczeniowej, której imię jest rozradzanie się. Pierwsza zaś bakteria miała powstać — przez samorództwo.

Jestto pojęcie najzupełniej odrębne. Rozważania nasze, które miały za punkt wyjścia wielki obraz rozrzedzenia się płciowego u dzisiejszego żywego człowieka, i zeszyły potem w szyb prawiaków minionych, szukając najgłębszego, filozoficznego sensu tego zjawiska, muszą tu przez chwilę się zatrzymać.



amoródtwo!

Jeżeli zajrzysz do zwykłego podręcznika i odszukasz rozdział p. t. »Rozmnażanie«, to przeważnie napotkasz dwójne określenie. Nasamprzód — znajdziesz o zwykłym rozmnażaniu się, t. j. o tem, któremu sam zawdzięczasz swoje istnienie, a potem spotkasz się z wyrazem »samoródtwo«. Zazwyczaj rozdział taki opatrzony bywa uwagą, że samoródtwo nigdy przez oko ludzkie nie było spostrzegane, że więc w istocie nigdy się nie zdarza. Atoli odpowiednio do swego zabarwienia darwinistycznego zastrzega się taka książka otwarciem, lub oględnie w tym sensie, że samoródtwo musiało jednak kiedyś przynajmniej istnieć, biorąc rzecz ze stanowiska historycznego: a mianowicie na początku wszelakiego życia wogóle.

Kiedy czytam taki rozdział, brzęczy mi cicho w uszach znakomita odpowiedź Kandydata Jobsa:

»Z dwóch części dobre składa się kazanie:
Pierwszej — nikt nigdy nie pochwyci wątku.
Drugą — kiep pojmie z samego początku«.

Zaprawdę, samoródtwo stanowi najbardziej zawity rozdział w całej filozofii rozradzania się.

Podręcznik słusznie twierdzi: nie było ono dotąd nigdzie spostrzegane. W czasach starego Arystotelesa stwierdzano jeszcze z zadowoleniem, jak myszy i pchły rozwijały się z ekskrementów.

»Robaki« w serze powstały rzeczywiście samorodnie z sera samego. I jeszcze aż do naszego stulecia, właściwie aż do czasów niedawno zmarłego Leukarta, trwał pogląd, jakoby tasiemiec w ciele stanowił sierocy

wytwór własnych swoich trzewi. Wszystko to uznane zostało dzisiaj za nonsens: mysz w twojej podłodze, oraz pchła w twojem łóżku, robak w odleżałym serze limburgskim, jakoteż tasiemiec twoich trzewi, zrodzone zostały według tych samych praw, jak i wszystkie wyższe zwierzęta. Istnienie ich na wielkiem drzewie życia zależy niezbytnie od ciągłego, nieprzerwanego rozmnażania się. Ale i tam, gdzie podejmowano ściśle naukowe poszukiwania, nawet nad najniższymi tworami, nad dzisiejszą bakterją — wszystkie doświadczenia pozostały bezowocnymi. I jedno z dwojga przypuścić wobec tego należy: albo w istocie nigdzie dziś niema samoródtwa, albo też środki nasze są zbyt słabe, aby je wykryć.

Jeden tylko czynić należy wyjątek — dla owego »pierwszego razu«, dla pierwszych bakteryj na ziemi. Dla tych bakteryj przyjąć należy coś, co odróżniałoby je zasadniczo od wszystkich ich potomków, aż do ciebie włącznie. Ujawniały one wprawdzie akty miłości w sensie najzwyczajniejszego rozmnażania się. Atoli same na sobie nie doświadczyły żadnych.

Zdaje się, że w istocie tutaj dotarliśmy do miejsca »powstania miłości«. Wyobraź sobie — o szczegóły w tych starych historyach niewiele wszak chodzi — wyobraź sobie jak na pograniczu morza, powietrza i ziemi, na wybrzeżu morskiem chociażby, powstał z »martwej« materji, z jakiejś nieorganicznej mieszaniny pierwszy bacylus; chwila jego powstania byłaby również chwilą narodzenia się miłości, jako jednej z tych wszystkich cech, z którymi na świat przyszedł. Dlaczego, mówiąc ściśle, mógł to być tylko jeden je-

dyny bacylus i jak dzięki niezwykłemu procesowi, t. z. dzieleniu się samoistnemu, mógł on stworzyć sam swoją Ewę — o tem opowiem ci zaraz coś więcej. W każdym razie: ten pierwszy bacylus był Adamem życia — oraz Afrodytą.

Jestto więcej, niż żart, jeżeli wspominasz tu o starym micie, według którego Afrodyta, łaską błogosławionej chwili, wyszła z piany w swej nagiej piękności kobiecej...

Zaprawdę, wielka to droga od surowej masy materii życiowej jednej »komórki«, którą wyobraża tak pierwotny bacylus, aż do skończenie wspaniałego, nagego ciała kobiecego, które miłość najwyższą opromienia pięknnością. Aliści w ostatecznym rezultacie droga ta zrozumiała się staje sama przez się przez ową zdolność miłości, ów dar miłości.

Bakterya stwarza niezliczone potomstwo, na które bezustannie działają warunki zewnętrzne i wewnętrzne, aż dopóki w łańcuchu z miriadów miłości splodzonych indywiduów nie powstała z bezkształtnego tworu Afrodyta, t. j. idealnie piękna, naga postać kobieca. Mit zbliża to wszystko nieco i wyprowadza wprost Afrodytę, jako taką, z piany. Przyrodnikowi potrzebne są jeszcze do tego kilka milionów lat i szereg uciesznych postaci zwierzęcych, w które wcielały się ogniwa życia wzwyż aż do człowieka, przez miłość zrodzone, a więc: jamochłony, robaki, ryby, płazy, dziobaki, workowate, wreszcie małpy i małpoludy. W zasadzie jednak niema to wielkiego znaczenia. W każdym razie wydaje się, że miłość powstała ongi z ładu, w jakiś święty dzień przeszłości białej, pozbawionej wszystkich barw ziemskich, jakie znamy.

Ucłoń krok jeszcze na drodze, którą prowadzi cię

ta myśl, i oto dotrzesz do miejsca, gdziebym cię chciał widzieć. W królestwie baśni starogreckich powstała Afrodyta w pianie przez akt jakiś mistyczny. Geja, bogini ziemi, płodzi Uranusa, twórczą potęgę nieba. Uranus płodzi z własną matką swoją Tytanów. Tytan Kronos pozbawia ojca męskości i ciska jego członek rozrodczy do oceanu; ten pogrąża się w srebrnopiennej fali, i z tej piany wyłania się Afrodyta. Bogowie i mistyka...

Teraz rozważ, dlaczego współczesny przyrodnik stworzył hipotezę samoródtwa, które istnieć musiało na owej granicy życia, w owym okresie czerwonego żaru, którym zionęła kiedyś ziemia.

W ściśle naukowej formie powstała owa hipoteza w naszym stuleciu stopniowo, jako na darwinizmie oparta hipoteza, sprzeciwiająca się twierdzeniu, które żadną miarą nie wypływało z badania i myślenia naukowego, ale przeciwnie związane było z pewną mistyką i niewzruszenie trwałą tradycją.

Zespolone z dogmatyką religijną tułało się ono przez długi czas jakby bezdomnie, kiedy nagle w samej geologii naukowej ujrzało dla siebie deskę ratunkową. Nasamprzód była ziemia w ogniu — nie było możliwości istnienia dla żywej materii na ziemi. Zaś po tych powstało już życie w dającej się ująć postaci. Więc filozofowie, którzy stali na gruncie pewnych dogmatów religijnych, wyprowadzali z tego wniosek, że w tym miejscu właśnie wmieszać się musiał jakiś »cud twórczy«. Pierwsza bakteria rzucona była ręką Boga dzięki jakiemuś aktowi mistycznemu. A jeżeli mówić tu z naszego stanowiska, to i miłość »stworzona została« na

owej granicy żaru, nieprzystępnego dla życia, i chłodu, w którym życie było już możliwe.

Jest coś tragicznego w tem, jak podobne teorie mistyczne w ciągu naszego stulecia szukają sobie miejsca w logice rozumu ludzkiego.

Nasamprzód trwała niewzruszenie tradycja: sześć dni stworzenia — literalnie sześć dni — i wszystko w ciągu tego czasu powstało: ziemia, światło, robactwo, kwiaty, ptaki niebieskie, Adam, oraz Ewa z jego biodra — wszystko, jako boski akt twórczy, wszystko za jednym zamachem rzucone zostało w rzeczywistość z niepojętych mistycznych otchłani, jak na obrazie Michała Anioła.

Potem zwolna zbliża się nauka, wysysając soki z tej tradycji, pozbawiając ją sił, niby zły polip morski. Nie można było tak poprostu negować znacznej części geologii z jej olbrzymimi okresami czasu, z nieskończonymi epokami geologicznymi, które następowały po sobie, jak oddzielne akty tytanicznego dramatu współczesnej estetyki, co odrzuca z uśmiechem wszystkie arystotelesowe »jedności«. A tymczasem szmat darwinistycznego rozwoju również stawał się coraz większego uznania godnym.

»Stworzenie«, ten piękny poemat, co pod zaklęciem ciasnej dogmatyki zabłąkał się w dziedzinę »wiedzy«, beznadziejnie bił skrzydłami ponad huczącymi wodami geologicznych podziemi. Aż oto naraz jeszcze jeden jednak punkt, którego wody nie dosięgły — to w ciemnościach tonąca chwila pierwszego zjawienia się »życia«. Wszak tu przynajmniej jest już początek bezwzględny, bez wszelakiego rozwoju.

I oto umęczona trzepotaniem się myśl metafizyczna

spoczęła na niezajętym miejscu mapy wszechświata, jak jeden z owych biednych motyli, co w oczach żeglarza lata odurzony pośród lin okrętowych; a żeglarz przygląda mu się z bolesnym współczuciem i z myślą o tem, jak łatwo jego samego niełaska tego żywiołu zagnać by mogła, kędyś w obce kraje... Jeżeli Bóg nie brał żadnego udziału w bólach, jakie towarzyszyły historii ziemi: to tu jednak ręka jego grała jakąś rolę — tu, przed powstaniem pierwszej bakterii...

Aż oto wystąpiła energicznie hipoteza samoródtwa, wzbraniając i tej ostatniej pozycji mistycznym pojęciom o stworzeniu świata. Wymagała ona, ażeby i tu uznać zjawisko mechaniczne. Z mistycznego skarbcza pojęć o świecie, znasz zapewne piękną legendę o kamieniach, które przemówiły, skoro zamilkła głupota ludzka. Tak samo i tu, kiedy głos życia zdawał się odmawiać posłuszeństwa, wtedy niez mordowany badacz do życia powołał martwą materję: wyrzekł wyraz samoródtwo — t. j. wywiódł pierwsze przejawy życia wprost, bez współudziału sił mistycznych, z nieożywionej, surowej materji nieorganicznej, która atoli siłą praw swoich wykazuje tendencyę do rozwoju.

Musisz się dobrze przejąć treścią tego przeciwieństwa, ażeby pojąć zasadniczo, co znaczy właściwie i co z konieczności znaczyć może hipoteza samoródtwa. Ażeby uchylić ów mistyczny akt z jego gwałtownością nieumotywowaną, musi ona sama od samego początku poddać się czarowi idei rozwoju. Samoródtwo w żadnym razie nie może wyobrażać skoku: musi ono być mostem.

Z chwilą, kiedy następuje dokładne porozumienie się co do tego punktu, teoria samoródtwa traci, we-

dług mego zdania, bardzo wiele cech czegoś nadzwyczajnego. Nabiera ona nieporównanie więcej ruchliwości, staje się dla dalszego myślenia bramą otwartą, zamiast być rygłem. A to jaknajbardziej sprzyja rozwiązaniu naszego problematu miłości.

Zastanów się raz jeszcze jaknajdokładniej nad tem, co powiem. Jeżeli mówię, że materya nieorganiczna, pozbawiona życia i życiu obca, pewnego dnia nagle stała się bacylusem, żywą komórką, to jestto niewątpliwie skok. W takim zdefiniowaniu obie te rzeczy zasadniczo różnią się między sobą. Ja jednak ustanawiam pomiędzy nimi akt, który z jednej czyni drugą. Jest on bezwątpienia i pozostanie aktem gwałtu.

Atoli inaczej rzecz się przedstawia, jeżeli mówię, że bacylus »rozwinął się« z materyi nieorganicznej, która nie była jeszcze bacylusem. Tem samem z góry przypuszczam coś pokrewnego pomiędzy nimi. Materya nieorganiczna mogła stać się bacylusem; musiała ona więc mieć w sobie już warunki ku temu, zupełnie tak samo, jak bacylus nie mógłby nigdy stać się człowiekiem, gdyby nie miał w sobie coś pokrewnego z człowiekiem, gdyby już nie posiadał w sobie czegoś, co mogło wzwyż do człowieka prowadzić. Twierdzenie nasze z jednej strony wywodzi bacylusa z materyi nieorganicznej, według praw natury, zaś z drugiej z konieczności zakłada w tej materyi pewne przepowiednie co do przyszłego istnienia bacylusa — a więc przepowiednie życia. Musiały już w materyi nieorganicznej istnieć pewne zarodki życia, ażeby mogło ono ujawnić się w tej formie, jaką wykazuje bacylus. Nie należy tego oczywiście rozumieć w tym sensie, jakoby bacylusy od wieków schowane były w »masowej« przyrodzie, jakby

w zamknięciu; rozumieć to należy natomiast, w sensie rozwoju, jako możliwość, zdolność do życia, która stosownie do warunków wzrosnąć mogła i rzeczywiście wzrasta.

Ażeby mózdz z materji nieorganicznej w jednej jakiejś chwili wywieść życie, np. zrozumieć zjawienie się pierwszej bakterji na ostygłej tylko co ziemi, musisz z konieczności wyobrazić sobie tę materję nieorganiczną jako jakieś wielkie wszechobejmujące pojęcie ogólne, które z samego początku zawierało i dotąd zawiera w sobie również korzenie tego, co nazywamy organicznem lub żywem.

Zaś co do szczegółów, jakimi chciałbyś to sobie później ubarwić, możliwą jest w tym względzie ogromna rozmaitość.

Dostępna nam przyroda nieorganiczna dzieli się, jak wiesz, na szereg stałych materji zasadniczych czyli elementów. Takim elementem jest złoto, ołów, tlen powietrza, wodór wody, sól w soli kuchennej, oraz rtęć w twoim termometrze i t. d. Mógłbyś sobie przeto wyobrazić, że którykolwiek z tych elementów zasadniczych obdarzony został z dawien dawna specjalną właściwością życiową.

Dziwnym trafem oto w życiu i istnieniu wszystkich komórek, począwszy od bacylusa, a na tobie, jako na człowieku skończywszy, we wszystkich tworach organicznych, gra taką wyjątkową, ba prawie zasadniczą rolę jeden element — węgloród. Więc mógłbyś wreszcie pomyśleć, że on to właśnie jest pierwszym źródłem życia.

Kiedy ziemia rozżarzona była do białości, jak Syryusz, i nie zawierała jeszcze w łonie swego straszego pieca chemicznych połączeń z elementów zasadniczych, — kiedy więc napewno nie było jeszcze na niej gęstawej masy komórkowej, żywego bacylusa, wtedy swobodnie płynący w tej rozżarzonej atmosferze czysty węgloród, mógłby być uważany jako zapowiedzią brzemienne stadium rozwojowe »życia«, gdzie istniał już potencjalnie bacylus, tak samo, jak później w bacylusie istniał człowiek. Skoro temperatura spadła i umożliwiła dostateczną liczbę połączeń chemicznych na ziemi, wtedy natychmiast część ziemskiego węglorodu stała się komórką, bacylusem, »życiem« w znaczeniu ściślejszem. Już ten bardzo niezłożony pogląd, któremu trudno odmówić słuszności na zasadzie danych nam nielicznych wprawdzie punktów oparcia, prowadzi cię jednak sam przez się o cały olbrzymi szmat dalej.

Zapewne węgloród różni się od innych elementów zasadniczych przyrody, swemi zupełnie indywidualnemi, odrębnymi właściwościami. A mimo to zaliczasz go do tych elementów, tak samo, jak mrówkę i małpę również podprowadzasz pod jedną rubrykę »zwierzę«. Mrówka i zwierzę pod wielu względami są sobie bardzo dalekie, ale mimo to znajdują się one w pewnym stosunku pokrewieństwa ze względu na swe właściwości. Darwin mówi ci nawet wprost, że znajdują się one ze sobą w stosunku ze względu na wspólne pochodzenie pierwotne, które łączy je historycznie, choć dziś obie stoją na dwóch dość oddalonych od siebie końcach wspólnego pnia genealogicznego. To samo zupełnie dzieje się z elementami, ze złotem, żelazem, siarką i węglorodem. O jednych mówimy, że są więcej ku sobie zbliżone,

o innych znów, że stoją dalej od siebie. Zapewne, że mamy do czynienia z rozmaitym stopniem pokrewieństwa, jednak w ostatecznym rezultacie mają one wszystkie coś wspólnego.

Darwinistyczne idee rozwojowe z oględnością krytyczną, przeniesione w dziedzinę współczesnej chemii, pozwalają ci zrozumieć, że i tu ogólnie systematyczne pokrewieństwo najprawdopodobniej nie jest niczem innym, jak pokrewieństwem w sensie rodowodu. Przypuścić można, że elementy dzisiejsze rozwinęły się dopiero wzajem ze siebie w biegu historycznym.

Chemik spekulatywny doby dzisiejszej marzy tak samo prawie, jak dawny alchemik, (tylko z tą różnicą, że mrzonki jego oparte są na myśleniu bardziej metodycznym!), ażali te elementy, dzisiaj tak ściśle zróżnicowane, nie musiałyby poprostu przejść znowu inwoluacji, i spłynąć wszystkie wreszcie w jeden jedyny praelement, gdyby poddać je działaniu olbrzymio wysokiej temperatury?

I astronom, który w pewnych olbrzymich słońcach, pośród nieba gwiazd stałych, znajduje przy pomocy analizy spektralnej coraz to mniej elementów, aż wreszcie owe zupełnie lotne mgławice zdają się być tylko obłokami z dwu czy trzech elementów — astronom ów duma nad tem, czy nie napotkalibyśmy tam jeszcze takich stanów pierwotnych, gdzie istniało by tylko parę zasadniczych elementów, zamiast wielu, które wykazują nasze słońce mniej rozżarzone, oraz nasza ziemia ostygła?

Wobec tego trudno sobie wyobrazić, ażeby i twój węgloród z jego właściwością życiową mógł pozostać izolowanym ponad owoczesną do biała rozżarzoną ziemią i ponad słońcem; — spływa on w nieskończony

kosmiczny szlak rozwojowy elementów zasadniczych wogóle. Gina również w głębokich otchłaniach tego wszystkiego odrębne właściwości węgłorodu z jego indywidualnością.

I oto łańcuch, co u szczytu swego miał bacylusa, tonie wreszcie we wszechświecie, wraz ze ścisłym pierwotnym ograniczeniem do węgłorodu. Droga prostej konsekwencji tonie on wreszcie w ostatnim wielkim misterium...

Mając ten cel na oku, możesz jednak z samego początku skierować rozmyślenia swoje na odmienne tory. Możesz bez specjalnego uwzględniania węgłorodu wziąć sobie za zupełnie ogólnikowy punkt wyjścia twierdzenie, że wszystka materya nieorganiczna z samego początku jest w pewnej mierze »ożywiona«. Dopiero pod zakłębieniem pewnych okoliczności zewnętrznych wyłaniać się się z niej mogą pewne postaci takiego życia. I oto jedną taką postać mamy przed sobą na naszej ostyglej planecie w łańcuchu istot żywych od bacylusa do człowieka; postać, najbardziej odpowiadającą pod każdym względem danym tu warunkom przystosowania. Atoli ten widomy dla nas świat węglowodorowych komórek, istniejący na ziemi od chwili jej ostygnięcia, stanowi w samej rzeczy jeden tylko łańcuch rozwojowy z niezliczonego szeregu »możliwych« wogóle.

Jeżeli pragniesz popuścić cugli fantazyi swojej, to możesz sobie wyobrazić, że szereg, poczynający się od bacylusa, rozwinął się już z innych szeregów, odpowiednio inaczej przystosowanych, mianowicie nie do względnie chłodnych, ale do wyższych temperatur.

W okresie, kiedy ziemia rozżarzona była jeszcze do czerwieni, mógłby istnieć już szereg istot żywych, oczywiście z takiej materii złożony, która wytrzymywała takie gorąco, nie rozkładając się. I tak samo dalej wstecz. Całe nasze t. zw. »życie« z jego określoną materią komórkową byłoby w tym sensie tylko przystosowaniem się do pewnej temperatury, które powstało z innych przystosowań w taki sam organiczny sposób, jak np. w zakresie naszych istot żywych zwierzęta lądowe, jako nowe przystosowanie, rozwinęły się ze zwierząt wodnych.

Myśl ta sama przez się jest interesująca również ze względu na dające się z niej wyprowadzić wnioski co do przyszłości.

Kiedy powstały pierwsze bacylusy, było na ziemi najniezawodniej bardziej gorąco naogół, aniżeli dziś. W biegu lat milionów spadła zapewne temperatura do pewnego stopnia. I linia życia na ziemi coraz bardziej przystosowywała się do tego spadku temperatury.

Zjawiły się zwierzęta ciepłokrwiste z ich silnym uzbrojeniem przeciwko większemu zimnu. Wreszcie powstał człowiek, który wynalazł środek radykalny: sztuczne wytwarzanie ognia; człowiek, co dziś obojętnie znosi bezsłoneczną zimę podbiegunową. Ażali człowiek ze swoim wynalazczym geniuszem wyobraża nową, a ostateczną postać przystosowania z przyrodą, postać, która pozwoli życiu rozwijać się wciąż dalej aż do epoki najsroźszego zimna? Ostygłą będzie wtedy nie tylko ziemia, co ongi umożliwiło powstanie bacylusa, ale stygnięcie dotknie już i słońca i pogrąży tym samym ziemię w bezkresną zimę podbiegunową? Ażali człowiek, uzbrojony w olbrzymie maszyny swoje, roz-

wiąże kiedyś z łatwością problemat zimna przestrzeni wszechświatowych? Dalekim jest człowiek od tego, ażeby w chwili przyszedłego zlodowacenia świata, przekształcić się z całą swoją kulturą w mumię lodowatą, jak to chętnie już dziś prorokują nasi trwożliwi prorocy.

Ażali nie należy raczej przypuścić, że jako człowiek i dzięki swej kulturze stanie się niejako bacylusem nowej ery życia, która urąga kilkuset stopniowemu zimnu, jak ongi pierwszy bacylus urągał spadkowi temperatury od żaru czerwonego do czterdziestu kilku stopni ciepła?...

Ale to tylko zaznaczyliśmy mimochodem.

Najistotniejszym z tego wszystkiego powinno ci być przeświadczenie, że i to drugie rozumowanie prowadzi życie twoje w jej rozwoju domniemanym bez wszelakiej przerwy w otchłanne przestrzenie gwiazdzone i zarazem odsuwa problemat życia w sferę nieujętych dotąd ostatecznych przyczyn wszechrzeczy.

Zdolność wszytkiej materji do niewstrzymanego rozwoju życiowego staje się zupełnie naturalnie objawem zasadniczym materji i tym samym ginie w otchłaniach podstawowej tajemnicy, która otacza istotę tej materji wogóle. W tym sensie ta droga prowadzi zupełnie do tego samego celu, jak każda inna.

Jedna rzecz tylko pozostaje ci do rozważenia w obu możliwych tu rozmyślaniach — a jestto właśnie to, co naprowadzi nas właściwie znowu na nasz problemat miłości; na chwilę tylko zboczyć musimy z prostej drogi.

Musi się z konieczności nasunąć pytanie, jakie z widomych objawów życiowych bacylusa zechcesz

podciągnąć pod rubrykę owej ogólnej zdolności życiowej całej materii (albo ściślej mówiąc węgłorodu), a jakie z nich pominiesz. W sensie praktycznym jestto właściwie najdrażliwsza w całej sprawie kwestya. Stosownie do tego, jakie wnioski uznasz za słuszne logicznie, wyciągnąć z nich możesz jaknajdalsze konsekwencye. Ażali »czucie« stanowi tę podstawę, która już z góry zawarta być musi w możliwości rozwoju komórki, podstawa, która by w takim razie miała gdzieś bezpośredni kontakt z materią nieorganiczną? Pytanie to dlatego zwłaszcza jest tak ważnem, że czucia nie można sobie dobrze wyobrazić bez świadomości. Ażali atom węgłorodu, albo może każdy atom wogóle jakiegoś elementu posiada już czującą świadomość? A dalej? Czy »pamięć« jest zasadniczą właściwością materii.

Rozumiesz, że sprawy stają się teraz coraz zawilszemi. Wkraczamy w dziedzinę »duszy«. Czy będziesz rozumiał pod »duszą« tylko wytwór materii; czy będziesz uważał ją w myśl teorii paralelizmu za zjawisko, odwiecznie towarzyszące pewnym sprawom fizycznym; czy też wreszcie całą pozorną różnicę pomiędzy duchowem i mechanicznem złożysz poprostu na karb sposobu naszego spostrzegania, przy którym jedna i ta sama rzecz dwojako może się nam przedstawiać; jakkolwiek — psychiczne cechy życia wraz z mechanicznymi ześlizgują ci się pod palcami w świat nieorganiczny. Ażeby nie wpaść w rozumowania zbyt dalekonośne, ograniczymy naszą kwestyę jaknajściślej. I rozradzanie się, miłość należą również do zasadniczych przejawów życia już u bacylusa. I oto powstaje pytanie, ażali powinniśmy odsunąć jeszcze te objawy wstecz poza bacylusa, w świat nieorganiczny. Inaczej

mówiąc, a raczej używając poprzedniego naszego zwrotu symbolicznego, zapytamy: jeżeli Adam tonie w prami-sterium wszechrzeczy nieskończenie daleko poza bacylusem i całym ziemskim rozgraniczaniem pomiędzy organicznem i nieorganicznym, — czy wtedy i Afrodyta sięga pochodzeniem swym tak daleko wstecz?

Wydaje mi się, że doprowadziłem cię w całym tym długim rozumowaniu do takiego punktu, na którym przyznać musisz, że jestto możliwe. Zresztą jednak jesteśmy tu otoczeni mgłą, w której z konieczności ustać muszą odpowiedzi bezpośrednie. Powstaje tylko pytanie, jaką moc nadać pragniesz jeszcze dalej idącym a n a l o g i o m. Od tego wszystko zależy.

W procesie rozradzania się spostrzegasz u istot żywych całą masę zjawisk. Najbardziej zasadnicze zjawisko dla rozradzania się ludzi poznałeś wyżej dokładnie. Inne opiszę ci jeszcze w przyszłości. Dla pewnej liczby takich zjawisk można w dziedzinie t. zw. materii nieorganicznej znaleźć pewne podobieństwa i analogie.

Czy chodzi o istotę niżej czy wyżej stojącą na drabinie organizacyjnej, o bacylusa czy o człowieka, dla możliwości rozradzania się wszędzie zasadniczą np. kwestyą jest istnienie indywiduum.

Ty jesteś takim indywiduum, żona twoja, twój syn; tak samo indywiduum stanowi oto wróbel, jak i jaszczurka. Wprawdzie po bliższem wejrzeniu w całą sprawę zwrócisz uwagę na to, że w świecie zwierzęcym i roślinnym pojęcie indywiduum nie daje się zawsze tak łatwo ująć. Nie idzie za tem jednak, ażeby z dobrą racją nie można było wygłosić twierdzenia, że cała

historia miłości w zakresie istot żywych jest właściwie tylko urywkiem, rozdziałem z książki daleko obszerniejszej, z historii indywiduum, chociażby organizacja jego była najprostsza; chociażby był bacylusem, t. j. chociażby składał się tylko z jednej jedynej komórki w przeciwieństwie do ciebie, który składasz się z miriadów komórek. Atoli musi istnieć indywiduum, ażeby procesowi rozradzania się nadać cechy logiczności: ażeby z jednego mogło powstać dwoje, musi przedewszystkiem istnieć to jedno, jako takie. Już rozradzanie się bacylusów opierało się na istnieniu oddzielnych indywiduów. Co dotyczy ciebie, t. j. człowieka, to niezbędne są nawet, jako warunek aktu rozrodczego, dwa indywidua. Atoli przypuściwszy nawet, że potrzebna jest tylko matka sama dla zrodzenia dziecka, to przecz istnienie tego indywiduum, matki, jest już warunkiem koniecznym i niezbędnym.

Rzecz interesująca, że najoczywiściej już przed bacylusem, w prostej »nieorganicznej« przyrodzie rozpoczął się był proces tworzenia indywidualności. Przykład najjaskrawszy stanowi kryształ. Przyjrzyj się pięknemu złomowi kryształu górnego; albo podziwiaj śliczne kryształy śniegu, co osiadają w dzień zimowy na twym czarnym płaszczu. Atoli są jeszcze inne zwiastuny natury pokrewnej. Przez teleskop spostrzegasz w przestrzeni wszechświatowej cały łańcuch następujących po sobie faz indywidualizacji w królestwie gwiazd. Bezkształtna plama obłoczna rozpada się na gromadki gwiazd, gdzie słońce pobok słońca leży. Każde poszczególne słońce, jak się zdaje, rozpada się znów na planety, każda większa planeta — na księżyce. Jako rezultat wyłania się nieskończony szereg ściśle wyodręb-

nionych indywiduów, które wprawdzie stanowią naogół systemy, atoli poszczególne każde stanowi zamkniętą w sobie »całość« i samodzielnie dalej się rozwija. A ziemia, jako całość, jak jaskrawo zaznaczone indywiduum stanowi. Dalej, w dziedzinie chemii, która najwnikliwiej zagłębia się w badanie małej wewnętrznej istoty materii nieorganicznej, napotykasz znowu wszędzie małe i najmniejsze indywidualności pośród połączeń i elementów. Na ich grze wzajemnej i działaniu indywidualnem zbudowana jest istota chemii, i chemik w wyliczeniach swoich wywodzi ich istnienie, jako konieczność logiczną, nawet tam, gdzie ustaje wszelka możność widzenia. Już poszczególne minerały, a przedewszystkiem elementy mają w sobie coś indywidualnego; atoli poza temi wybitnemi różnicami gatunkowemi wyłaniają się dopiero, jako ostatnia instancja, zarówno w połączeniu chemicznem, jak i w elemencie, właściwe indywidua — cząsteczki i atomy, — zaś pomiędzy nimi atom chemiczny wyobraża najbardziej wyodrębnioną i najtrwalszą postać indywidualizacji w całym świecie materjalnym, jaką tylko możemy sobie wyobrazić.

Zwróć uwagę na inny fakt. Zasadniczym przejawem rozradzania się jest podział indywiduum w celu stworzenia istoty nowej. Od ciebie oddzielają się ciała nasienne, od kobiety — komórki jajowe. Z obu tych elementów połączonych powstaje człowiek. U niższych zwierząt podział często jest o wiele radykalniejszy: zamiast oddzielania się drobnutniej tylko cząstki całe rodzicielskie indywiduum rozpada się na dwa kawały i więcej, a następuje to wyraźnie po osiągnięciu pew-

nego wzrostu. Bacylus odżywia się i rośnie aż do pewnego stopnia, aż nagle ma się to wrażenie, jakgdyby nowa jakaś i odrębna siła naturalna obejmowała go w swoje panowanie. Dotąd jakaś siła naturalna trzymała go spodem, jako indywiduum; i powiększaniu się jego z początku nic nie przeszkadzało: siła ta zdawała się odpowiadać stopniowemu powiększaniu się. Ale kiedy wzrost przekracza pewną granicę — wyłania się nagle owa inna siła; rozrywa ona poprostu indywiduum i ono rozpada się na dwie części: na dwa nowe indywidua. A wtedy mówimy poprostu, nie znając bliżej istoty czynnych przy tem sił: że indywiduum rozplodziło się. Z tobą nawet w zasadzie nie dzieje się nic innego, niż z bacylusem. Rośniesz od dziecka, zrazu tylko, jako pojedynczy człowiek, jako indywiduum, jako »ty!« Ale ty odżywasz się dobrze, rośniesz wciąż, pewnego dnia stajesz się młodzieńcem — i nagle zbytek twego pożywienia nie idzie już wprost bez przerwy na twój wzrost, na rozwój zarostu i t. p., ale w rezerwoarze twego narządu płciowego odpadają od ciebie liczne ciała nasienne, które wszystkimi drogami dążą do ucieczki od ciebie, od twego indywiduum, ażeby znaleźć każde dla siebie komórkę jajową kobiecą, wespół z którą mogłyby stworzyć nowe indywiduum, nowego, od ciebie niezależnego człowieka.

A teraz obok tego przyjrzyj się nadwyraz prostemu nieorganicznemu zjawisku. Oto wisi kropla sklepienia pieczary. Przesiąkła ona przez szparę w kamiennym suficie i oto dzięki działaniu pewnej siły naturalnej utrzymuje się w równowadze.

Wisząc tak, wyobrazić może ona przez krótką chwilę indywiduum zamknięte w sobie. Przez szparę

w dalszym ciągu sączy się woda. Przez pewien czas kropla nasza spokojnie wchłania ją w siebie i przetwarza ją na część składową swojej indywidualności. Oczywiście, że przytem rośnie. Siła naturalna, która ją utrzymuje, zdaje się jednak zrazu dotrzymywać kroku temu wzrostowi i działa tak samo, jak poprzednio. Atoli rośnie ona szybko bardzo — i wogóle wszystko się kończy wreszcie. Kropla, bez przerwy odżywiana, staje się za »ciężką«. Olbrzymia siła przyciągająca ziemi, siła, co działa w górę z dna pieczary, przemaga tamtę względnie słabą siłę naturalną, która trzymała dotąd kroplę u sklepienia kamiennego. Za jednym zamachem kropla nagle się rozpada na dwoje — tylko mała reszotka pozostaje wierną dawnemu miejscu u góry, zaś część oderwana z płuskim spada. Górna reszotka kropli uzupełnia się, rosnąc odnowa dzięki odżywianiu się przez szparę w suficie, zaś ta u dołu tworzy nową kroplę, i oto mamy zamiast jednego — dwa indywidua. Czyż nie jestto analogia? Uczynisz zarzut, że tu chodzi poprostu o siłę ciężenia, podczas kiedy tam w procesie rozradzania się czynne są zupełnie inne, z wewnątrz działające siły. Oczywiście, że przez myśl mi nie przejdzie twierdzić, że bacylus, który się dzieli, lub ty, kiedy wydzielasz z siebie ciała nasienne, zmuszeni jesteście do tego przez zwykłą siłę ciężenia. Atoli nie chodzi tu zupełnie o rodzaj sił; chodzi o analogię całego zjawiska; chodzi o to, ażebyś pojął, że i w świecie nieorganicznym wydaje się zupełnie zrozumiałym podział, jako skutek nadmiernego wzrostu.

A oto trzecia kategoria. Cała dziedzina rozradzania się przesiąknięta jest, jak sam to widzisz, zjawiskami,

które w języku duszy zwiesz sympatyą. Wszystka »miłość« w znaczeniu ściślejszem tu należy. Mężczyzna i kobieta szukają siebie wzajem, czują ku sobie zdecydowaną sympatyę i wreszcie rozplomienia się w nich miłość, pełna tęsknoty i pożądania; czują się wzajemnie ku sobie pociąganyymi... W tym ostatnim wyrazie tkwi już poprostu owo słowo mechaniczne, używane w świecie nieorganicznym zamiast pojęcia sympaty — przyciąganie.

Wprawdzie to przyciąganie często odbywa się na drodze dość skomplikowanej, działa nie bezpośrednio, a przy pomocy narządów zmysłowych, i ustrój nerwowy wymaga często pośrednictwa wrażeń wzrokowych a przede wszystkim prawdopodobnie słuchowych: wszakże w istocie samej, w jądrze rzeczy pozostaje »przyciąganie«.

Przypomnij sobie przedewszystkiem owo »zjawisko pierwotne«, które wzięliśmy byli za punkt wyjścia: jak komórka nasienna podczas ludzkiego aktu płciowego przedostaje się do komórki jajowej. Być może, iż w tym końcowym i zasadniczym akcie miłości droga prowadzi jeszcze przez działanie jakiegoś zmysłowe. Za takim przypuszczeniem przemawia wiele, w każdym razie tutaj niewątpliwie chodzi o wrażenie węchowe, jakie dojrzała i gotowa komórka jajowa i jej jądro wywierają na ciało nasienne. Już napewno trudno zaprzeczyć, że całe to dyskretne zjawisko wykazuje rozpaczliwe podobieństwo do pewnych postaci zwykłego, ogólnie w świecie nieorganicznym znanego przyciągania.

Sumienni i nazbyt już może krytyczni badacze tego aktu nad jajami zwierzęcymi nie zawahali się zestawić go z »przyciąganiem elektrycznym«. W jajach t. zw. ogórków morskich (zwierzątek, pokrewnych rozgwiaz-

dom i jeżom morskim) wykazano pod drobnowidem takie atakowanie jaja przez ciała nasienne, dalej ich odskakiwanie, podobne atakowanie i przyklepanie się, słowem taką zmienną grę, że poprostu narzucało się badaczom jej podobieństwo do skoków ciałek w przewodniku maszyny elektrycznej, naprzemian to przyciąganych, to znów odpychanych.

Podobny szal spostrzegany bywał również w jajach roślinnych, np. u znanego porostu, który znajdujesz wszędzie na północnym wybrzeżu morskim: tu ciała nasienne przypuszczają do tego stopnia gwałtowny atak (zważ tylko: dzieje się to u rośliny!), że cała kula jajowa względnie olbrzymia i mało ruchoma, zaczyna kręcić się od uderzeń dookoła swej osi.

A teraz przypomnij sobie, jak wszędzie pełno jest w tak zwanej nieorganicznej, »martwej« naturze bezpośrednich sił przyciągających, które zdają się poprostu działać pomiędzy jednym ciałem a drugim.

Ciążenie, przystawanie, przyciąganie magnetyczne i elektryczne, powinowactwo chemiczne: cały świat mechaniczny, jak go widzimy, opiera się właściwie na tych siłach przyciągania.

Naturalnie, że i tu wmówić bym ci nie chciał, ażebyś utożsamiał poprostu pociąg erotyczny z tą lub inną postacią ogólnego przyciągania materialnego. Od długiego czasu dowolne identyfikowanie miłości z magnetyzmem np. wytwarza dosyć zamieszania w świecie, w którym myśli się tylko przez pół lub przez ćwierć, a do-
tąd nie poprowadziło nawet o cal naprzód. I ciążenie i miłość są również zjawiska tak różne, jak tylko różnić się mogą pomiędzy sobą dwie rzeczy we wszechświecie. Jeślibyś z okna wypadł, wzięłaby cię siła ciążenia

w swe straszne szpony, bez względu na to, czy zmysły twoje są silnie zamroczone, czy jesteś głuchy, ślepy i nieczuły, czy też zachowałeś całkowitą wprawność wszystkich zmysłów. Chwyta cię ta siła, stosując się do rzeczywistej masy twego ciała, a nie bacząc zresztą na nic innego. Popęd miłosny natomiast właśnie zmysłów twoich potrzebuje, nie troszcząc się ani przez chwilę o stosunki grawitacyjne. Więc mieszać tego wszystkiego w żadnym razie nie powinieneś.

A jednak i tu ostaje się zasadnicza analogia: rozradzanie się, miłość posługują się takimi środkami, wyzwalają takie siły, które w naturze naogół istnieją już wszędzie i — w zasadzie tak samo regulują kompas twój na ziemi i twoje własne stanowisko w systemie słonecznym, jak rządzą losem ciałek nasiennych.

Samo przyciąganie prowadzi cię zaraz w tę dziedzinę, która od czasu wspaniałej poezji Goethego stanowi grunt klasyczny dla swobodnych analogii pomiędzy zjawiskami erotycznymi i nieorganicznymi: w dziedzinę chemicznego powinowactwa z wyboru. Wprawdzie i tu wtedy dopiero analogia staje się przejrzystą, jeżeli tymczasowo pominiesz jeszcze najzawilsze problemy duchowego życia człowieka i pozostaniesz znowu przy komórce jajowej i ciałku nasiennem.

Nasienie, jako przedstawiciel męskiego indywiduum, obarczony, rzecz prosta, trwałem po nim dziedzictwem, a więc sam w pewnej mierze uprawniony do tytułu zupełnie określonej indywidualności — napotyka jaje, które jest w identycznym położeniu z tą jedyną różnicą, że wyobraża sobie indywiduum odmiennego, żeńskiego rodzaju. Następuje akt zapłodnienia i oboje zlewają się ze sobą: powstaje oto nowe trzecie indywiduum,

które, czemkolwiek będzie samo, mężczyzną czy kobietą, posiada coś po ojcu i po matce, ale jest jednak czemś trzeciem samodzielne i nowe, i tak jednolitem, że większą jednolitość trudno sobie wyobrazić.

A teraz połącz ze sobą w przyjaznych warunkach pewne elementy chemiczne: według prawa zupełnie ściśłego atom zderza się z atomem i jako rezultat powstaje również absolutnie nowe, trzecie ciało, które nie jest już więcej ani jednym, ani drugim. Wodór, który w naszej przeciętnej temperaturze jest gazem, łączy się z tlenem, również gazem — i obydwie te gazy tworzą wodę, jako rezultat zespolenia swego, płynną, pod każdym względem odmienną.

Podobnych analogii jest więcej jeszcze. Dziwne prawa rządzą połączeniem się nasienia z jajem. Nie możesz stworzyć człowieka przy pomocy nasienia samego: wszędzie, gdzie istnieje płciowe rozmnażanie się, potrzebną jest do tego jeszcze indywidualnie różna od nasienia komórka jajowa. Atoli różnica ta pomiędzy jajem a nasieniem znów ściśle jest ograniczona. Próżnym będzie twój trud, jeżeli swe własne żywe ciała nasienne, gotowe do miłostnego związku, zetkniesz z komórką jajową jeża morskiego! Nasienie jeża przypuści do niej atak szalony, zaś obce nasienie pozostanie bezczynnym, nie tkni jej poprostu, i żaden akt rozrodczy nie może wtedy dojść do skutku. Panuje tu istotne »powinowactwo z wyboru«, które rządzi grą miłosną w ramach zupełnie określonych praw. I zupełnie tak samo dzieje się z elementarnymi atomami. I tu nie istnieje ślepy związek każdego z każdym. I tu panuje zacięty dobór nadających się partnerów, i tu z pomiędzy wielu dobierają się tylko pewne atomy — i tu

mamy przed sobą wspaniałą grę tajemniczego powinowactwa z wyboru.

Atoli znowu i tutaj w dziedzinie tego powinowactwa analogia oczywiście nie jest identycznością. Organiczny proces miłosny, sprowadzony nawet do pierwotnej postaci miłości dwu komórek — nasiennej i jajowej, — jak wszystko co organiczne, — czyni wrażenie czegoś nieskończenie zawilego i wysubtelnionego, z czym gra atomów w żadnym razie iść nie może w porównanie. I jeżeli mówisz nawet »o miłości i nienawiści atomów«, to tem samem nie utożsamiasz tych dwu zjawisk.

Ze stanowiska pewnych przesłanek logicznych nie można przecież temu zwrotowi nic poważnego zarzucić. Mówiłem już, że przesłanki życia zapadają wszędzie tuż przed nami w świat nieorganiczny; a wraz i psyche, i pierwiastek duchowy sięgają po za bacylusa wstecz, w świat nieorganiczny.

Jeżeli mówisz o nienawiści i miłości atomów, to popełniasz w sensie odwrotnym ten sam błąd, jakgdybyś w stosunku do nasienia i komórki jajowej mówił o »przyciąganiu«, — a więc o pojęciu pierwotnie czysto mechanicznem. Kiedy mówisz o nasieniu i komórce jajowej, wtedy najbliższem ci jest samo przez się duchowe ujęcie całej sprawy z rozkoszą zmysłową i jej odczuwaniem, bowiem widzisz, jak z takiej zapłodnionej komórki jajowej wyłania się człowiek, i wiesz, żeś sam z takiej komórki powstał. Zaś w chemicznem powinowactwie z wyboru najbardziej nadaje się zrazu pogląd mechaniczny, którego wyrazem na wzór jakiejś siły ciężenia lub siły magnetycznej jest »przyciąganie«.

Atoli żadna istotna racja logiczna nie może ci przeszkodzić odwrócić te poszczególne komentarze, albo

przynajmniej rozszerzyć je w sensie duchowym dla atomów. Że w organicznym rozmnażaniu się zachodzą również zjawiska psychiczne, to wszak nie jest twoim bezpośrednim spostrzeżeniem, a tylko wnioskiem logicznym. Wnosisz na zasadzie siebie samego, — jak zresztą wogóle przypuszczenie istnienia innych dusz po za twoją własną jest tylko takim wnioskiem, nie zaś spostrzeżeniem: u współbraci twoich, z którymi wiążą cię jaknajzażyłsze stosunki, nigdy zmysłami nie spostrzeżasz duszy, jeno działanie mechaniczne, które dopiero później na zasadzie wniosku, opartego na analogii, uduchawiasz według własnego wzoru w tym porządku i rodzaju. Jeżeli pod tym ostatnim względem powinowactwa z wyboru organiczne i chemiczne znakomicie sobie odpowiadają i jeżeli zresztą nie masz żadnych skrupułów z przeniesieniem pojęcia duszy po za świat organiczny, możesz również ze spokojem stosować swój wniosek i do atomu, i zamiast przyciągania i odpychania mówić o miłości i nienawiści.

Nie idzie za tem jednak, ażebyś właściwą treść tych zjawisk już zupełnie utożsamiał. Ażali nie widzisz tej przepaści, jaka dzieli ciebie, człowieka z jego obejmującą wszechświat psychiką, od bacylusa, mimo, że obaj wykonujecie zjawiska prawdziwie duchowe? Jakaż istnieć może otchłań różnicy, (kto wie czy nie bardziej jeszcze olbrzymia, niż poprzednia) pomiędzy aktem miłosnym dwu komórek organicznych, z których każda odpowiada np. bacylusowi, a »miłością« pomiędzy parą atomów tlenu i wodoru w akcie chemicznego zespalandia się.

A więc po raz ostatni powtarzamy: nie oczekujemy identyczności, ani jej nie znajdujemy. Nie wymagamy,

ażebym bacylus, ten etap rozwojowy przyrody o zupełnie skończonej organizacyi, albo komórka jajowa, jako taka, zawarte już były w atomie. Stosunku takiego nie należy się zgoła dopatrywać, podobnie jak w bacylusie i komórce jajowej nie można przypuszczać istnienia człowieka, jako homunkulusa, którego dojrzeć będzie można kiedyś przez szkła powiększające. W świecie nieorganicznym szuka tylko podstawy, w której widzimy, jako siłę, zawiązek tego, co w bacylusie i dalszych jego etapach rozwojowych przyjęło pewną, prawdopodobnie raz jeden tylko powstałą, postać przystosowywania się.

I to właśnie, jak sądzę, wykazały ci analogie, brane wszystkie *cum grano salis* (z zastrzeżeniem). Wydaje się, jakoby wszystkie poszczególne pierwiastki pojęcia miłości, rozmnażania się, snowały się już wszędzie w świecie nieorganicznym.

Bacylus i jego potomność wzwyż aż do człowieka zogniskowały je tylko w sobie — że powtórzę tu raz już użytego obrazowego przedstawienia rzeczy — jak w soczewce.

Możemy w tem miejscu spokojnie opuścić pojęcie samoródtwa.

I Afrodyta spływa w miarę możności w nieskończony błękit kosmicznego rozwoju ogólnego, staje się elementem, atomem, gwiazdą, pra-substancją — ostatecznym wreszcie misteryum...

Błąkaliśmy się po drogach mlecznych, na kresach ciemnych otchłani przyrody. »Wtedy był świat, jako głębokie wód przezrocze, zaś na nim błyszczały roje świetlnych wyp«. W otchłannym błękicie tej głębi wodnej

kona w blasku drugi koniec wielkiej tęczy miłości. Najśmielszy nurek myśli nie zdoła go tam dosięgnąć.

Atoli wzrok twój spostrzega i teraz jeszcze w górze, pod różnobarwnym łukiem tęczowym, szereg postaci, niezliczony, przeciągający przed tobą tłum: to widome postaci miłości, począwszy od zaczątków życia na ziemi, aż do ciebie. Miriady dziwacznych stworów rojami unoszą się w powietrzu, jak muchy jednodniowe, tłoczą się, jak ryby w oceanie, coraz wyżej i wyżej poprzez lat miliony, wzdłuż brzęczącego łańcucha których toczy się historia ziemi, od bacylusa do człowieka. Fantasmagoria potężnie i staje się wizją dantejską. Piekło, czyściec i raj.

Była naówczas ziemia, i zamieszkaną też była w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu. Powstały wtedy pierwsze postaci życia tego samego rodzaju, do którego my sami kiedyś mieliśmy należeć. A wraz z nimi zjawiała się miłość, w ściślejszem, wyższem znaczeniu tego wyrazu...

W tem miejscu podejmę znowu przerwane opowiadanie.

Pamiętasz, że nasz punkt wyjścia, ów kamień graniczny, na którym igrały różnolite barwy jednego końca tęczy, — to był twój własny akt zapładniania. Z ciebie, jako z mężczyzny, wyzwała się jedna jedyna komórka — ciało nasienne — i łączy się z jajkiem, z komórką kobiecą, w ten sam sposób wyzwoloną. Ze związku tych obu komórek powstaje nowy człowiek. Atoli w zaraniu życia ziemskiego, w pradawnej przeszłości, na długo jeszcze przed owem kresowem wybrzeżem kambryjskiem nie było ani mężczyzny, ani kobiety, nie było ani męskiego nasienia, ani kobiecego jajka. Natomiast

były stwory, z których kiedyś w nieskończonym łańcuchu rozwojowym ludzie powstać mieli.

Te stwory były tak proste, jak tylko można sobie to wyobrazić. Każdy z nich stanowił jedną jedyną żywą komórkę, zupełnie tak samo, jak każde twoje ciało nasienne dziś jeszcze jedną komórkę stanowi, jak każde jajko kobiece nie jest niczem więcej, niż komórką pojedynczą. Akt miłosny pomiędzy ludźmi polega na tem, że obie te komórki pojedyncze zespalają się ze sobą. Wszystek rozwój polega na nieskończonym łańcuchu aktów miłosnych — rozwój, począwszy od bacylusa jednokomórkowego wzwyż aż do człowieka. Na czem więc polegał akt miłości owych pierwotnych jednokomórkowych istot na samym początku linii rozwojowej? Ażali cała jednokomórkowa istota z owych czasów, podobna do dzisiejszego ciała nasiennego, szukała drugiej takiej samej jednokomórkowej istoty, oraz miłość swoją objawiała w ten sposób, że stapiała się z nią w jedność, jak stapia się ciało nasienne z jajkiem?

Tu musisz przedewszystkiem na jedno zwrócić uwagę.

Ten akt, który spostrzegasz u siebie samego, nie jest tylko aktem miłości, aktem zapłodnienia wogóle. Jest już czemś więcej: jest aktem płciowym. Dwu płci potrzeba, ażeby się mógł dokonać, mężczyzny i kobiety; każde winno mieć specjalne narządy płciowe i substancje płciowe. Płcie te, jako takie, spełniają akt płciowego zapłodnienia.

I nowa, wielka urosła dla ciebie kwestya. Ażali miłość w sensie zapłodnienia, rozmnażania się, miłość, pojmowana, jako podstawa nieśmiertelnego ostawiania się poprzez indywidualum, zaczęła się była w samem zara-

niu życia na ziemi, mając dwie płcie w swem rozporządzeniu i ujawniając się w prawdziwym akcie płciowym? Albo też już to było etapem w rozwoju nie tylko miłości wogóle, ale rozwoju w zakresie poznawalnej jeszcze pramiłości najelementarniejszych form życiowych na ziemi?

Zrozum mię dobrze. Dla obrazowości przypomnij sobie biblijną legendę o stworzeniu świata. Bóg tworzy Adama z nieorganicznej bryły ziemi dzięki jakiemuś mistycznemu samoródtwu. Adam z kolei tworzy bezpłciowo z żebra swojego, przy pomocy boskiej, Ewę. Z Ewą łączy się dopiero sam dla płciowego zapłodnienia, i Ewa wydaje na świat prawdziwe dzieci, jak to codziennie bywa wśród ludzi. W tej legendzie, jak widać, zapłodnienie płciowe jest dopiero ostatnim trzecim stopniem. Gradacya jest taka: samoródtwo, — potem zwykle rozmnażanie się bez dwojga rodziców, coś w rodzaju pączkowania, wprost z ciała jednego jedynego indywiduum — wreszcie zapłodnienie płciowe pomiędzy mężczyzną i kobietą. Wprawdzie legenda przetwarza pierwsze i drugie na swój mistyczny sposób, ale to mogliśmy pominąć; wszak widziałeś, jak pojęcie samoródtwa bez mistycyzmu, z czysto naukowego punktu widzenia, zrozumieć się daje, zaś istotny akt zapłodnienia jest nawet w biblii wszelkiego mistycznego pierwiastku pozbawiony. Dlaczegożby nie zastanowić się przez chwilę, żali nie można byłoby etap drugi przyjąć również jako symbol istotnego jakiegoś zjawiska pierwotnego, zupełnie bez mistycyzmu? Przecież w takiej starej legendzie ludów tkwić musi jednak pomimo wszystko pewna logika, jako źródło doszukiwania się przyczyn, jeżeli już nie może być mowy o żadnej wiedzy współ-

czesnej. Nasz Adam to pierwszy bacylus: jakiś prątów jednokomórkowy, w którym istniał już, jako pierwszy zawiązek, człowiek narówni z wszystkimi innymi późniejszymi stworzeniami. Ażali ten pierwszy bacylus istotnie nie rozmnażał się nasamprzód na podobieństwo owego legendowego Adama bez płci podwójnej? Ażali nasamprzód nie rozpadł się, do pewnego stopnia samodzielnie, na Adama i Ewę, t. j. na bacylusa męskiego i żeńskiego?

Dźwięczy w tem trochę nuta scholastycznej subtelności w rozumowaniu, nieprawdaż? A jednak jest to nie tak trudne do zrozumienia. Gdzie scholastyk, filozof-metafizyk, lub ktoś wierzący, pochyleni nad tekstem starej książki, istotnie wszyscy wpaśćby musieli w bezpłodne rozstrząsanie i przeżuwanie szczegółów, tam badanie przyrody roztaczać przed tobą poczyna dziś cudowny problemat, który po zgłębieniu istoty samego aktu płciowego zapłodnienia, wtóre pod względem powagi zajmuje miejsce w całym poemacie miłosnym.



ajka...

Była sobie kiedyś we wszechświecie jedna gwiazda pękata. Astronomowie sąsiedniej okolicy świata obserwowali ją już od bardzo dawnego czasu i uważali nie za gwiazdę pojedynczą, ale za planetę, w większym znajdującą się zespole. W prastarych legendach przetrwało u nich jeszcze podanie, że gwiazda ta była kiedyś, jako krew czerwona i że przy pomocy analizy spektralnej można było stwierdzić u niej własne światło. Ale to musiało być już bardzo dawno. To słabe bardzo światło, które dziś z niej promieniuje, musi być niezawodnie tylko odbłaskiem jakiejś bliskiej, o wiele większej i jaśniejszej gwiazdy, dookoła której nasza gwiazda w ciągu roku raz jeden się obraca.

Na tej to gwieździe wyrosło pokolenie wesołych karzełków.

Nikt nie wiedział, skąd się wzięli. Czy spadli pewnego dnia z błękitnego nieba, jako twarde, przez zimno utrwalone mumie, w których życie spało, jak pod zaklęciem hipnotycznym? Albo też może niektóre ostre i o twardych kantach kryształą górne ich szybu zrobiły się nagle miękkie i ruchome i wyłonili się z nich istotni karzełkowie w spiczastych czapkach?

Tego już nikt nie wiedział; dość że byli.

Żyli oni każdy dla siebie, jak zjadliwi samotnicy, zajmowali się według upodobania polowaniem i połowem ryb i przy sposobności porządnie sobie wzajem dopiekali. Atoli najdziwniejszem było to, że wśród tego karlego plemienia nie było ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju. Wszyscy byli sobie zupełnie równi, pomijając to, że jeden był, być może, grubszy i mocniejszy w ra-

mieniu, niż drugi, albo że istniały pomiędzy nimi inne podobne małe różnice, które jednak nic wspólnego nie miały z właściwościami samca lub samicy. A mimo to miewali oni dzieci i to w sposób najdziwaczniejszy pod słońcem.

Znasz historię o złym karzełku, co w rozpaczy schwycił się jedną ręką za koniec brody, zaś drugą za duży palec u nogi i odważnie za jednym zamachem rozdarł siebie na dwie części. Otóż nasi karzełkowie byli właściwie wszyscy takimi desperatami z tą tylko różnicą, że uprawiali to nie ze strachu samego i nie jako system przydatny do unicestwienia siebie, a zrobili sobie z tego zwykły sport bez złych następstw. Jeżeli któryś z nich najadł się do syta, i przybrał postać okrągłej kuli, a wzrost jego osiągnął pewnej miary, której przekroczenie w karlim świecie uważane było za nieprzyzwoite, wtedy — trzask — rozłupał się pośrodku na dwoje i oto leżały już dwie jego połowy.

Szczególne jednak w tym było jedno: nie odbywało się to zupełnie tak, jakgdyby ktoś z nas dostał się pod nóż rzeźniczy. Każda połowa pozostała przy życiu i dobrem zdrowiu, tak że po kilku dobrych biesiadach i szybkim wzroście stawała się znów proporcjonalnie zbudowanym karłem, który osiągał zupełnie tej samej wielkości, jak ten stary nierozdarty karzeł. I to właśnie nazywało się u nich, że rodziły się dzieci — właściwie strasznie głupie jest to wszystko, nieprawdaż?

Atoli odbywało się to w dalszym ciągu, a pokolenie karłów mnożyło się przytem, jako piasek nad brzegiem morza. Dopiero po długim okresie czasu popsulo się coś w całej sprawie tak, że przyszłość jej przedsta-

wiać się poczęła trochę chwiejnie. A stało się to w ten sposób. Kiedy ów pierwszy karzeł rozdarł siebie, to pierwotnie głównym warunkiem było to, ażeby obie części stanowiły dokładnie dwie połowy. Tylko wtedy części te miały dostateczną siłę, ażeby osiągnąć w krótkim czasie zwykłych rozmiarów. Ale oto zdarzało się coraz częściej, że owe karły pod tym względem postępowali lekkomyślnie i niedbale. Czy dlatego, że niektórym wskutek złego odżywiania brakło sił do rozdarcia się na dwoje, zaś inni rozwijali w sobie nadmiar sił, — dość, że akt rozpadania się na dwie części był na przemian to niedostateczny, to znów nazbyt silny. Jedne karły rozdzierali siebie tak niedbale, że jedna część stanowiła około $\frac{3}{4}$ poprzedniego ciała, zaś druga zaledwie ćwiartkę. Oczywiście, że w takim wypadku rozwój tej drugiej części pozostawał w tyle i musiał rozpaczliwe czynić wysiłki, ażeby dotrzeć do normalnej wielkości.

Aliści ta postać dzielenia się nie była jeszcze najgorsza. Jak to często bywa, bezmyślna a nadmierna gorliwość więcej jeszcze szkody przynosiła, niż niedbalstwo. Inne karły, którzy długi okres czasu tuczyl się mięsem egipskim, z chwilą nastania pory rozmnażania się zabrali się do tego z taką energią, że zamiast na dwie części dzielili się zaraz na 4, 8, nawet 12 i wiele więcej młodych karzełków. Dzieci było zaprawdę dosyć, ale jednocześnie były one tak drobniutkie, takie karzełkowate, że nie starczyło już najsytniejszego pożywienia, ażeby dać mu się rozwinąć do jakich takich przyzwyczajonych rozmiarów. Rzecz w istocie przedstawiała się marnie. W ostatnim przynajmniej wypadku groziło po prostu niebezpieczeństwo, że w całym pokoleniu karzełków, żyjących pośród najlepszych warunków zewnątrz-

nych w kraju mlekiem i miodem płynącym, zaczęłyby coraz bardziej zmniejszać się wzrost, i wreszcie mogliby naprawdę wszyscy wymrzeć przy zastawionym bogato stole, bowiem pewna wielkość i siła stanowiły nieodzowny warunek rozmnażania się. Co było robić? Pewnego dnia konieczność przyrodnicza nasunęła zabawne wyjście z tej sytuacji.

Oto był sobie taki dziesiątyny ułamek karzełka, co już od pewnego czasu czynił rozpaczliwe wysiłki, ażeby przez obfite pożywienie wzmódcz się na siłach. Biegał tu i ówdzie i wszędzie wszystko pożerał, ale wszystko to nie pomagało dość szybko. Nagle spotyka to porykujące lwiątko drugie tego samego pokroju, co i ono, takiego samego drobnutkiego karzełka, pochodzącego z masowego podziału. Ten drugi jest w tym samym położeniu, jak nasz przyjaciel, i on marzy o jakimś pysznym kęsie, który odrazu siłą by natchnął jego małe nóżki, ale nie znajduje nic podobnego. Obaj oni oglądają się wzajem, i każdy, zda się, myśli sobie: oto byłby dla ciebie dobry kąsek. I w istocie: oto napadają na siebie, teraz biorą się za bary. Zdaje ci się, że wszak jeden z nich będzie silniejszy, zabije i pożre drugiego; wstrętny ludożerca, dla którego ostatnia najlepsza pomoc, najsilniejszy eliksir stanowi ciało karzełka-druha!

Atoli co się dzieje? U tych karzełków widocznie dzieją się rzeczy waryackie. Obaj zapaśnicy objęli się mocno wzajem, ale w chwili najmocniejszego uścisku przyszła im, zdaje się, zupełnie inna myśl. Po co zabijać drugiego? Ażali nie są ciałem z tego samego ciała i krwią z tej samej krwi? Dlaczego nie wchłonąć się wzajemnie, żyjąc dalej pełnem życiem? Coraz silniej przyciskają się ku sobie, aż wreszcie pękają małe ich

ciała i sok życiowy przepływa od jednego do drugiego: jeszcze jedno zderzenie, i obaj stali się jednością. Przejmuje ich ogromna błogość: błogość wielkiej sytości. Przecież w istocie »pożarli się« wzajem, jako dwa lwy, tak że nawet nie pozostały ogony. Atoli żaden w tym pożeraniu nie doznawał bólu śmierci, życie jedno całe przeszło w drugie życie. I oto teraz w tem oto nowopowstałym ciele podwójnym jest siła podwójna w porównaniu z każdym poszczególnym ciałem poprzednim. Teraz dosięgnąć pełnego wzrostu — toż to igraszka. Wkrótce będzie to dokonane — a wtedy znowu nastąpi rozdzieranie się samodzielne, rodzenie dzieci, rozmnażanie się karlego rodu w nieskończoność — hosanna!

W jednakowych warunkach zewnętrznych powtarzał się ten proces dość często, a wtedy stopniowo utrwałała się ta tradycja u wszystkich karzełek, mających skłonność do wielokrotnego dzielenia się, i w razie niezwykle drobnych rozmiarów własnych stapianie się w jedność z towarzyszami niedoli stało się tu zwyczajem stale praktykowanym, tak samo, jak było zwyczajem ogólnym płodzenie dzieci przez dzielenie się.

Jedną tylko jeszcze przy tem zdobywano naukę, w każdym razie bardzo ważną.

Karzełki nasze, jak już mówiłem, żyli od początku samotnie. O braci swoich własnych troszczyli się tak samo niewiele, jak o obcych. Atoli teraz, kiedy stapianie się w jedność przynajmniej dla tych najmniejszych stało się kwestyą życia, jakby życie samo nasunęło im również tę prawdę, że istnieje różnica pomiędzy bliskimi krewnymi a obcymi. Naogół biorąc, rzecz się tak miała, że młode karzełki z jednego gniazda pochodzące, rozpraszały się natychmiast w rozmaite strony, nie oglą-

dając się wzajem na siebie. Ale z chwilą, kiedy nastąpiła moda stapiania się wzajemnego, zdarzało się naturalnie dość często, że właśnie dwaj bracia spotykali się jeszcze w jakimś momencie krytycznym i zrastali się ze sobą odnowa. W następstwie jednak stopniowo i dość regularnie okazywało się, że takie zrastanie się z własnym bratem przedstawiało mniej pomyślne szanse, aniżeli zrastanie się z zupełnie obcym, przypadkowo napotkanym karzełkiem.

I do prostego zwyczaju stapiania się ze sobą wogóle przyłączył się inny, polegający na tym, ażeby możliwie omijać własnego braciszka, a dawać pierwszeństwo dla tych celów obcemu.

A to z kolei miało nowe następstwa. Małe dziesiętne ułamki karzełków, pochodzące z jednego i tego samego podziału jeszcze bardziej, niż poprzednio, przyzwyczaili się do wędrowania. Ze względu na prawie jednakowy wygląd było przeważnie rozpaczliwie trudno na razie rozróżnić, czy napotkany po drodze karzełek jest bratem, czy też obcym. Natomiast na obczyźnie, daleko od wszystkich braci wogóle, zniknęło prawie zupełnie to niebezpieczeństwo. A więc dalej na wędrowkę! Stała się ona już teraz nie tylko kaprysem, ale celem życiowym. I małe te karzełki stopniowo tak się w to wdroszyli, że trudno było ze względu na ich żwawy krok poznać, że to są ci sami, co poprzednio. Wkrótce same wędrowki były źródłem nowych postępów dla całej sprawy. Słyszeliśmy teraz wciąż o tych ułamkowych karzełkach, którzy pochodzili z pęknięcia jednego starego karła na dwanaście części i więcej. Ale przypominasz sobie, że poprzednio wspominaliśmy i o innych karłach, którzy rozpadali się wprawdzie na dwa kawały,

ale na dwa niejednakowej wielkości. Takich karzełków również była dostateczna liczba na szerokich przestrzeniach karlego królestwa. Mówiłem ci już, że i tu mniejszy z dwu zrodzonych karzełków miał po podziale również ciężką przeprawę przed sobą, ażeby przez usilne odżywianie osiągnąć normalnej wielkości. Ale zwyczaj łączenia się wzajemnego nie wszedł był jeszcze tutaj w modę. Taki nierówny karzełek, pochodzący z podziału na dwoje, był, — jak rozumiesz dobrze — jeszcze olbrzymem w porównaniu z tymi dwunastymi lub dwudziestymi ułamkami; to też metoda łączenia się nie była tu jeszcze niezbędna. Owszem, często stawiało ich stosowanie tej metody w przykre poprostu położenie, wtedy mianowicie, kiedy oba kawały były już za duże i, zrastając się ze sobą, tworzyły całość, wybiegającą poza normalną wielkość. Słowem: zasadniczo nie sprzeciwiano się tu tej metodzie, ale nie poszukiwano jej też. Połączenie się dwu braci zresztą było tu po za tem wyłączone (bowiem wogóle nie było współbraci o jednakowej wielkości), więc i z tego względu powstrzymywano się w daleko znaczniejszym stopniu od wędrowania, i ten rodzaj karzełków wiódł życie bardziej osiadłe, grając rolę raczej wyczekującą, niż czynną.

Aż oto nastąpiła chwila, kiedy na tych względnie dużych i osiadłych karzełków natknęli się wędrując owi mali karzełkowie. Hej-że, co za kąsek! Napewno jest on obcy, bowiem jest o wiele większy i zresztą po tuszy zaraz można go odróżnić od pałaczkowatego, wędrującego karzełka. Jest tylko kwestya, ażali ten grubas zgodzi się jeszcze na związek? Ależ naprawdę: zgadza się. Wszakżeż i jemu samemu brak jeszcze do pełnego wzrostu małego dodatka, a oto, jakby z nieba spadłszy,

napatoczył się właśnie obcy przybysz-karzełek, akurat stanowiąc tę brakującą mu część, ani za wiele, ani za mało. A więc otwarte objęcia — chlast — połączyli się — i oto powstał najpiękniejszy karzełek.

Był to dla obu stron wypadek szczęśliwy. Musiał też być wyzyskany na przyszłość. I, zda się, nowe ogłoszone zostało hasło: szukać tylko takich wielkich, leniwych karłów. Żadnych więcej związków z współbraćmi, ani nawet z byle jakim obcym, a tylko wyłącznie łączyć się z tymi osiadłymi karłami-przybyszami, o wyglądzie różnym od nich...

Z biegiem czasu obie partye przywykły wzajem do siebie, jak gdyby tak być musiało, że jedna napotyka drugą. Wielkie karły oczekiwali małych, zaś małe spodziewały się zastać wielkich. Teraz dopiero właściwie zapewniony był los małych karzełków aż do najmniejszego, nawet mogli oni bezpiecznie stać się jeszcze mniejszymi, bowiem była zawsze w odwodzie druga partya »wielkich« dzięki swym stałym wielkim rozmiarom. Hej-że, jak się teraz wszystko pięknie składało! Starodawne, proste płodzenie dzieci stało się wprawdzie obecnie naogół sprawą bardziej skomplikowaną. Teraz hasło nie brzmiało tak prosto, jak dawniej: jedz, rośnij i dziel się. W okres wzrostu wplatał się teraz jeszcze specjalny dodatek: i szukaj sobie towarzysza w nieco odmiennym od ciebie rodzaju — albo czekaj w nadziei pozyskania sobie takiego wędrującego ku tobie towarzysza — a potem oddaj mu się aż do zupełnego samounicestwienia w nim: dopiero z was obojga powstanie owo stworzenie gotowe, co rozmnażać się będzie dalej przez podział. Atoli o ile piękniejszym, o ile pewniejszym stał się tym samym w zasadzie swej całej

proces życiowy! O ile dawniej zwykle odżywianie się nadmierne było właściwą treścią życia karzełka od urodzenia aż do dnia, w którym sam ulegał podziałowi, o tyle teraz przeżywał on jeszcze cały romans, polegający na szukaniu, nadziejach, wyczekiwaniu i ziszczaniu się pragnień, na błogiem samounicestwieniu się w związku z towarzyszem, na poczuciu dwoistości w znajdowaniu współtowarzysza, zamiast dawnej dwoistości lub wielorakości, które przejawiały się w ostatecznej rozłące.

Taki stan rzeczy wyobrażał jakby najwyższy szczebel rozwoju. W zasadzie nie mogło to ani zniknąć kiedykolwiek, ani zostać przewyciężonem. I właściwie z czasem przyłączyły się do tego tylko jeszcze pewne zjawiska czysto wtórnej natury. A mianowicie.

Nasamprzód zapewne w tobie samym powstawało pytanie: a jakżeż dzieliły się później te karzełki, które powstały ze związku takiego małego karzełka-wędrowca z dużym, osiadłym karłem? Widziałeś wszak, że karzeł wędrowny zawdzięczał istnienie swe podziałowi karła-ojca na 12, 20 albo i więcej jednakowych części, natomiast karzeł osiadły powstawał z podziału na dwie (i to nierówne) części.

Oto, cała sprawa wkrótce ułożyła się zupełnie spokojnie. Odpowiednio do warunków, w jakich odbywał się proces stapiania się dwu karłów, warunków, które wyłaniały się z pewną celowością, nowopowstały karzełek uprawiał to jedną, to drugą metodę dzielenia się. W ostatecznym rezultacie zawsze rodziło się tyleż karłów, uprawiających dzielenie się podwójne, jak i tych, co dzieliły się na mnóstwo części wielorakich, i przytem

w takiej liczbie, jaka potrzebna była dla zagwarantowania obu grupom utrwalenia się rodu. Jedno tylko wszędzie okazywało się dodatkiem. Przypominasz sobie, że owe karzełki, mnożące się przez podział na dwie nierówne części, dawały w rezultacie swego podziału część większą, jakby matczyną, i mniejszą część, wyobrażającą jakoby córkę. Ta metoda „nierównego” podziału stopniowo przekazywaną była dziedzicznie wszystkim potomkom, tym nawet, którzy dzielili się nie na dwie, a na dwanaście i dwadzieścia części. I u tych ostatnich podział odbywał się teraz w ten sposób, że stary karzeł oddzielał wprawdzie od siebie całą mnogość małych cząstek, pozostawiał jednak część większą, jakby nierówną resztę swojego ciała. A więc — z jednej strony odbywał się nadal podział na dwie części — większą i mniejszą, zaś z drugiej — podział, przypuśćmy na 20 części — jedną wielką i 19 mniejszych. Pozostałe w obydwu wypadkach części główne były dostatecznie wielkie, ażeby bez zlewania się z kimkolwiek, dzięki zwykłemu odżywianiu się, znów osiągnąć normalną wielkość. W obu wypadkach zrazu pozostawały one poprostu na miejscu, zaś tylko owe 19 małych karzełek wyrywały się z jednego, i jeden z nich napotykał wreszcie maleńkiego karzełka innego pochodzenia dla dokonania szczęśliwego związku.

W następstwie powstało pewne udoskonalenie. Owa duża część karzełka, pozostała po dokonanym podziale, z 19-tu małymi karzełkami nie puszczała już samopas na wędrowną tę wesołą zgrai. Sama ona, wraz z całą kolonią odbywać zaczynała ową wędrowną. Szukała sobie karzełka innego gatunku, karzełka, który odłączał właśnie od ciała swego część mniejszą.

I przylegając ściśle do tego drugiego karzełka, wypuszczał jednego ze swych 19-stu małych karzełków, dawał mu się prześlizgnąć ku towarzyszowi i połączyć się tam z wyzwalającą się cząsteczką.

Ta metoda była w każdym razie udoskonaleniem całej sprawy pod względem pewności. Jednocześnie wskazywała ona w każdym razie na zmianę w postępowaniu karłów, która zapowiadała się bardzo znamienne. System stapiania się wzajemnego wogóle po raz pierwszy znosił klątwę pustelniczego życia i ponurej samotności, ciężącą nad plemieniem karłów. Teraz widocznie płodziło to dalsze następstwa. Owo pozostawanie wspólne dwudziestu karzełków — części pod przewodem jednego większego karła wykazywało pierwszy początek społecznego związku braterskiego w celach wspólnego bytowania i pożytku — stanowiło przejaw znamieny!

Ale to pominąć możemy. Utrwał sobie, proszę, raz jeszcze doskonale w pamięci obraz końcowy. Oto dwa karły. Jeden z nich oddziela od ciała swego 19-tu małych karzełków, drugi — tylko jednego, ale dość dużego. Pierwszy porusza się w kierunku drugiego i, przystępując do niego na odległość bardzo bliską, puszcza jednego ze swych 19-tu malców na młodego karzełka — potomka swego towarzysza. Ze związku obu młodych powstaje nowy karzeł pierwszego lub drugiego rodzaju...

... Rzuć krainę baśni. Cóżeś widział? Podobno kiedyś było coś...? Ależ gdzie to wszystko było?

Owi karzełkowie stanowią w istocie plemię, którego ziemia wszędzie jest pełna. To są potwory jednokomórkowe. Ani zwierzęta, ani rośliny, a raczej jeszcze

ani zwierzęta, ani rośliny! Są to w istocie po największej części karły, najmniejsze karzełki, jeżeli bierzesz je w porównaniu do siebie (t. j. do zwierzęcia, stojącego na wysokim stopniu rozwoju) albo do ryby, ostrygi, lub wreszcie do rośliny kartoflowej. Łąd, powietrze i morze są wszędzie tego pełne, choć po większej części są one właściwie tak drobne, że gołem okiem wcale ich dojrzeć nie możesz. Poprzednio wciąż używałem dla nich nazwy »bacylusów«, bo chciałem nawiązać je z jakimkolwiek choć w części znanem ci pojęciem. Ale bacylusy stanowią w nieprzebranej masie tylko pewną grupę, zaś obok nich istnieje cała mnogość innych gatunków. Pomimo niezwykle prostej budowy — wszak całe ciało ich stanowi tylko jedna komórka, jedna jedyna cegiełka organiczna, a w tem ciele o narządach prawie że mowy jeszcze być nie może — pomimo to gatunki te wykazują pomiędzy sobą niektóre różnice.

Zaś z drugiej strony znowu cała kultura ludzka z jej rolnictwem i wytwórczością byłaby prawie niemożliwa bez pomocy pewnych pożytecznych karzełków tego rodzaju, którym zawdzięczamy najważniejsze zjawiska rozkładowe i fermentacyjne. Gdziekolwiek wzrokiem rzucisz, wszędzie od samego urodzenia, oplata cię, niby siecią, praca tych dzieci trzeciego królestwa. Kiedy jajko i ciałko nasienne raz jeszcze, zda się, stają się wolnymi jednokomórkowymi istotami wewnątrz wyższego organizmu, ażeby spłodzić ciebie samego, aż do śmierci, kiedy bakterye jednokomórkowe inaugurują proces gnicia, który ciało twoje zwraca ogólnej wielkiej przyrodzonej wymianie materji.

Atoli te pratwory jednokomórkowe wzbudzają na-

sze najwyższe zainteresowanie nie dlatego jedynie, że są dla nas tak »aktualnymi«. Są one czemś więcej jeszcze. Są one najoczywiściej mało lub wcale niezmiennymi wizerunkami naszych najstarszych przodków na ziemi.

I wszystko jedno, czy są one dzisiaj dzięki nigdy nieprzerwanej ciągłości życia bezpośrednimi i niezmiennymi potomkami owego pierwotnego pokolenia na ziemi, tak samo, jak rośliny i my zwierzęta stanowimy jego pośrednie i zmienione potomstwo, — czy też powstawały one, wciąż, po milion razy, według starego wzoru dzięki nieprzerwanemu samoródtwu — w każdym razie są one portretami naszych najstarszych protoplastów. A ich zwyczaje życiowe wciąż jeszcze odtwarzają tam mniej lub więcej ściśle przypuszczalne nawyki życiowe owych praszczurów naszych. — I miłość ich jest cieniem, ostatnią w oko nasze padającą projekcją świetlną »pramiości« na ziemi.

Zwłaszcza pod względem trybu życia. Jedne odżywiają się na wzór roślin (i z tego gatunku prawdopodobnie w następstwie rozwinęły się rośliny), t. j. bezpośrednio materyałami nieorganicznymi. Inne natomiast odżywiają się wyłącznie tym pierwszym gatunkiem, a więc postępują tak, jak zwierzęta, które z nich się rozwinęły, t. j. nie mogą nigdy bezpośrednio rozkładać mineralną zawartość gruntu i przetrawiać ją, tylko używają dla pożywienia swego innych zwierząt, a przede wszystkim roślin. Atoli i w rozmiarach, w charakterze i w samym istnieniu, lub nieistnieniu t. zw. jądra w komórce i po za tym w pewnych cechach zauważyć można różnice dość znaczne. Spoglądasz oto w olbrzymie królestwo życia organicznego, co rozlewa się po

ziemi na równi z królestwem roślinnym i zwierzęcym, które, jako takie, nie wyobrażają nic innego, jak dwa konary owego wielkiego pierwotnego królestwa, konary, co rozwinęły się wspaniale, podczas kiedy masa owych istot jednokomórkowych dziś jeszcze w pradawnej swej postaci krąży dookoła kuli ziemskiej. Ty sam, ty co się panem ziemi zwiesz, na każdym kroku napotykasz to wszechobecne królestwo karłów. Czy pełnymi ustami wdychasz powietrze, czy łyk wody bierzesz, wszędzie wraz z powietrzem i wodą łykasz bacylusy. Biada ci, jeżeli istnieje przeciwieństwo pomiędzy komórkami twego ciała, a hordą takich jednokomórkowych napastników! Te karły, jako bacylusy cholery kładą was, ludzi, jak żyta kłosa żółte, a walka z żadnym innym stworzeniem na ziemi, z tygrysem, czy też z wężem jadowitym i dziś jeszcze dla człowieka kulturalnego nie jest tak zajadłą i tak wątpliwą co do zwycięstwa, jak z tymi prakarłami w postaci pojedynczej komórki.

A oto miłość ta, sama przez się już interesująca, wykazuje ci całą mnogość różnych postaci: wszelakie jakby metody, próby, waryacje zmieniają się tu kalejdoskopowo i na pierwszy rzut oka w sposób dość nieprawidłowy. Atoli jeżeli uważniej spojrzysz, to powstaje w umyśle twoim przypuszczenie. Owe liczne, często zewnętrznie nieznaczne odmiany w miłości istot jednokomórkowych wydają ci się dość znamienne, jako rozmaite rozproszone tam i sam reminiscencye pewnej określonej linii rozwojowej, po której kroczyły czasy najodleglejsze — linii rozwojowej w miłości.

Mimowoli zabierasz się do uporządkowania sobie tych wszystkich spraw w umyśle. Wydaje się, jakoby ten oto żyjący jeszcze twór jednokomórkowy zachował

w pamięci jeden stopień rozwoju i wyobraża go dziś jeszcze wytrwale w sposobie miłowania, a inny znów inny stopień i t. d. Czyżby nie można było odtworzyć tu całego łańcucha logicznego?

I uświadamiasz sobie natychmiast następującą rzecz pierwszorzędnej wagi. Liczne metody, któremi posługuje się miłość dzisiejszych tworów jednokomórkowych, sprawiają wrażenie, jakgdyby wałęsały się jeszcze tu i owdzie wszystkie deski i pale wielkiego, prastarego mostu, mostu, łączącego najprostszy sposób rozmnażania się wogóle z zapłodnieniem płciowym. Wśród wyższych zwierząt i roślin spostrzegasz, jak to płciowe rozmnażanie odbywa się już regularnie; wśród niższych widzisz je jeszcze jakby niedoskonałym, idącym, jakby po grudzie, opornie. Ale twory jednokomórkowe, jak się zdaje, poprostu po raz pierwszy odkryły dopiero wogóle drogę, która wiodła do zapłodnienia płciowego.

Na miejscu karłów wyobraź sobie teraz komórki— a zrozumiesz moją bajkę.

Nie wyobraża ona nic innego, jak próbę niewyszukanego symbolu, mającego na celu uplastycznienie ci raz jeszcze owej drogi. Jeżeli nie zechcesz ani jednego słówka nawet z tej bajki na wagę złota ocenić, to jednak zapamiętasz sobie, że taki, a nie inny był bieg tych spraw.

A u istniejących dziś tworów jednokomórkowych na ziemi napotykasz jeszcze zjawiska, równoległe do tamtych, rozsiane na podobieństwo oddzielnych odłamów ruin.



arzelki nasze, jak się zdaje, z samego początku wykazywały indywidualność: stanowiły one rzeszę oddzielnych istot. Tak też wyobrażać sobie musimy jednokomórkowe twory pradawnej przeszłości, od których poczęło się życie w naszym rozumieniu, i oto dziś jeszcze napotykamy ich miriady na ziemi. O jakimś jednolitym praeile, z którego rzekomo powstać miały dopiero te praindywidua, nie poucza nas ani teoria, ani praktyka, ani przeszłość, ani terażniejszość; jeżeli istotnie miał on istnieć kiedykolwiek, było to bądź co bądź jeszcze przed wszelakim prawdziwym »okresem miłosnym«.

Z samego początku historyi były karły zindywidu- alizowane, ale były one przytem jeszcze zupełnie bez- płciowe, nie było wśród nich ani samców, ani samic. Taki stan wykazują dziś jeszcze twory jednokomórkowe: jest to poprostu zasadnicza cecha całego trzeciego kró- lestwa. Napróžno szukałbyś »samca« lub »samicy« po- śród maleńkich bezkształtnych grudek śluzu w ile na- szych wód, w t. zw. amebach, lub u któregoś z po- pularnych bacylusów. Nie są one jednym, ani drugim, ani nawet t. zw. hermafrodytami, lub obojniakami, które na jednym ciele dwojakię posiadają narządy płciowe. Nie: nie mają one właśnie wcale narządów płciowych. Wszystkie są sobie równe, i choć »mają dzieci«, to w żaden sposób nie mogą mieć ich dzięki zapłodnieniu płciowemu.

Odbywa się to u nich zupełnie tak samo, jak u owych karzelków.

Posiadają oni zdolność wchłaniania w siebie pe- wnych obcych substancji w ten sposób, że przetwa-

rzają je zupełnie w sobie na własną materię życiodajną. To wchłanianie i przetwarzanie potrzebne jest dla t. zw. przemiany materii, co stanowi zjawisko podstawowe całego życia. Stare cząsteczki składowe ciała zużywają się w procesie życiowym i muszą być wydzielane. Więc trzeba ten brak skompensować — i to właśnie dzieje się dzięki jedzeniu i trawieniu. To, co my, jako najwyżej uorganizowane zwierzęta dziś jeszcze czynimy, czyniły i czynią już również twory jednokomórkowe: odżywiają się, trawią i w ten sposób utrzymują się przy życiu — bez ustanku uzupełniają się dzięki przemianie materii.

Ale na tem nie koniec. Dziecko, które je, uzupełnia się nie tylko poprostu przez przemianę materii: powiększa się ono jeszcze pozytywnie — rośnie. Podobnie dzieje się z naszym jednokomórkowym pierwotniakiem, z naszym »karzełkiem«. I on przyjmuje nadmiar pożywienia, staje się większym: rośnie. Aż oto wzrost ten dosięga pewnej miary i wtedy jakby w tym małym organizmie wyzwalala się jakaś siła odrębna: rozszczepia się, dzieli się na dwie części... »ma dzieci«, to znaczy: poprostu rozpada się na dwoje dzieci. Najwidoczniej i ta zdolność jest taką samą koniecznością i cechą zasadniczą żywota jednokomórkowego, jak odżywianie się i wzrost; musi ona wypływać z zasadniczych potęg tego życia, których istoty nie umiemy jeszcze zgłębić, a przyjąć je musimy poprostu, jako coś, co jest dane niezmiennie. Wydawać się może poniekąd, jakoby »rozszczepianie się« pierwotniaka, ta najprostsza postać rozmnażania się, nie była wyłącznie tylko dalszym ciągiem wydzielania w przemianie materii, podobnie jak wzrost uważać można za pozytywny ciąg dalszy

nadmiernego odżywiania się. Ale to jest obojętne: w każdym razie fakt sam pozostaje niezmiennym, z żelazną koniecznością narzucającym się faktem. Każda ameba dzisiejsza odtwarza przed tobą poprostu to zjawisko; jej miękkie ciało śluzowe po osiągnięciu pewnych rozmiarów, zamiast rosnąć w dalszym ciągu, przepukła się pośrodku, wpukliny te dokoła stron stają się coraz głębszemi — pozostaje w pewnej chwili tylko cienka niteczka żywej materii, łączącej obie części ze sobą, aż wreszcie i ta nikta się zrywa — i oto masz przed sobą, zamiast jednego, dwa twory: każdy jest dokładnie o połowę mniejszy od dawnej ameby, stanowi jednak zamknięte w sobie indywiduum, gotowe do odżywiania się i wzrastania do dawnych rozmiarów matczynych, ażeby później znowu uleść rozszczepieniu. U bacylusów cały ten proces wzrostu, podziału, powtórnego powiększania się części i ponownego ich dzielenia, odbywa się często z niesłychaną szybkością, tak że w ciągu kilku godzin, a nawet prędzej niż w godzinę wyłaniają się gwałtownie całe pokolenia, jakby pod nożem jakiejś maszyny, obracanej z zawrotną szybkością.

Gdyby ta swobodna i bystra fala rozplodowa nie napotykała na drodze swojej pewnych naturalnych przeszkód, byłaby jedna jedyna taka hodowla bacylusowa wypełniła w ciągu paru dni oceany i wzniosłaby góry wysokie; dreszcz przerażenia przejmuję nas, kiedy uprzytomnić sobie chcemy taki rozgwar miłości; i naogół w królestwie tych napozór najmniejszych karzełków wszystkie zjawiska przyrody mają właśnie pozory czegoś wyolbrzymionego, demonicznego.

Ale idźmy dalej ze zbiegiem wydarzeń wśród karzełków. Jęły się one rozbieżnych metod, dotyczących dzielenia się: to jeden rozszczepiał się nie na dwie połowy, a na dwie nierówne części, to znów inny rozpadał się na całą masę drobnych cząstek. Obie metody spotykasz dziś jeszcze u współczesnych ci jestestw jednokomórkowych.

Wśród licznej rzeszy t. zw. infuzoryów czyli wymoczków, a więc w grupie istot, które również bezsprzecznie należą jeszcze do prakrólestwa jednokomórkowego, spostrzegasz, że dzielenie się na połowę zastąpione jest przez najprostszą postać t. z. pączkowania. Zamiast, żeby wymoczek rozszczepiał się w celach rozrodczych na dwie równe połowy, oddziela się tylko od ciała drobna część, niby pączek: jestto jeszcze wprawdzie podział na dwie, ale za to bardzo nierówne części.

Natomiast u większej jeszcze znacznie liczby prawników jednokomórkowych nie napotykasz już wcale podziału na dwie części, zastąpionego przez rozpad tworu rodzicielskiego na całą gromadę samodzielnych cząstek. Sposób ten w jego bardziej rozwiniętej i zmienionej już nieco postaci zazwyczaj nazywa się »tworzeniem spor«: komórka tworu pierwotnego, jakby pękając, rozpada się na cały obłok lotnych komórek lilipucich (»spor«), z których każda stanowi teraz samodzielne nowe indywiduum. Jednak w istocie mamy tu do czynienia z ową drugą metodą podziału, uprawianą przez karłów!

Naszym drobnutkim karzełkom, zbyt małym i bezsilnym, ażeby móżd się utrzymać przy życiu, groziła śmierć, kiedy w ostatniej chwili przyszło z pomocą złą-

czenie się dwu takich liliputów. I oto fakt zasadniczy tego zjawiska — stapianie się w jedną dwu jednakowych małych komórek w celu wzmożenia się na siłach — możesz dziś jeszcze jaknajlepiej spostrzegać u niezliczonej masy istot jednokomórkowych, jako to: u hurmaczków (gregarina), roznózków (rhizopoda), wymoczków (infusoria) i wielu innych. Większość tych istot dziwacznych poprostu podniosło to, jak się zdaje, do potęgi stałego nawyknienia, ażeby za każdym razem doprowadzić niebezpieczeństwo życia swego do ostateczności i później dopiero jakby zgodnie z jakimś ustalonym programem, zastosować ów środek ratunkowy.

Dzielią się poprostu bez końca, aż wielkość części oddzielnych spada do minimum, — potem pozwalają dwu indywiduom wejść ze sobą w związek, dzięki czemu odnowa następuje szybkie, masowe powiększenie się, a całe pokolenie zdobywa nową energię życiową.

Nie może być chyba żadnej wątpliwości, że to zjawisko w istocie swej i przebiegu wyobraża dla ciebie jakiś zamierzchły etap na drodze, którą kroczyła miłość.

Ta zwykła koniugacya (taką nadano nazwę temu zjawisku) dwu jednorodnych, ale bardzo małych i bardzo słabych tworów jednokomórkowych, wyobraża w znaczeniu ścisłym pierwszy zaczątek miłości płciowej, oraz miłości wogóle, w zakresie bardziej ograniczony ujętej.

Rodzaje nie różnią się tu jeszcze od siebie postacią zewnętrzną, — a oba twory koniugujące, wyglądają wszak zupełnie jednakowo. W niektórych wypadkach możesz taką jednorodność postaci zewnętrznej spostrzedz jeszcze dziś po za królestwem pierwotniaków nawet.

Wiesz już, że rośliny i zwierzęta rozwinęły się dopiero w biegu historii naturalnej z trzeciego, jednokomórkowego królestwa. I oto u najniższych prawdziwych już roślin nawet napotykasz zjawisko koniugacyi dwu zupełnie jednakowych drobnych indywiduów roślinnych, tak podobnie zbudowanych, że łatwo je zamienić wzajem. Oto cienkie, szmaragdowo-zielone nici wodorostów na piasku nadbrzeżnym stawu i w korycie studni. Wodorosty — to najniższe rośliny. Każda nić składa się z luźnego łańcucha komórek. O pewnej porze rozpada się każda z tych komórek oddzielnie na całą kolonię, cały rój drobniotkich komóreczek. Komóreczki te, jako twory nadzwyczaj żywe i ruchliwe, mkną natychmiast w dal po wodzie. Jeżeli dwie takie komóreczki, pochodzące wprawdzie z dwu rozmaitych kolonii, ale zresztą zupełnie podobne do siebie w swej postaci zewnętrznej, ze sobą się spotykają, to nie wymijają się wzajem, ale raczej stykają się ze sobą, jakby nagłą sympatyą zdjęte, mocno do siebie przylegają i wreszcie stapiają się ze sobą w ostatecznym uścisku, tworząc jedno ciało. Tak dzieje się to jeszcze dziś u prawdziwych wodorostów! Dlaczegoż nie przypuścić wobec tej niezwyklej logiki całej sprawy, że cała przeszłość prastara kroczyła właśnie tą drogą, która wiodła naogół do zjawiska koniugacyi, a tem samem w biegu historii do zapłodnienia płciowego.

Oczywiście, pewne tajemnice pozostają przytem niewyjaśnione. Atoli są one właśnie wszędzie, jeżeli chodzi o wyjaśnienie istoty zjawisk życiowych. Jak to jest możliwe, ażeby dwa zamknięte w sobie indywidua, bądź

małe, bądź duże, jednakowe lub niejednakowe mogły wogóle wzajem z sobą się zlewać przy życiu? Jaka zaczyna tu nagle działać »sympatya«, co komórki żywe prze ku połączeniu się wzajemnemu, jak atomy dwu elementów w tworzeniu się połączenia chemicznego? Tego zaprawdę nie wiemy! Atoli musisz uprzytomnić sobie, że nie znamy również wewnętrznych przyczyn, dla których potrzebna jest przemiana materji w komórce — dlaczego ma miejsce wydzielanie i asymilowanie nowych cząsteczek, dlaczego istnieje wchłanianie i jego przeciwieństwo, wzrost i dzielenie się samodzielne. Zastanawiając się nad tem zjawiskiem żywego zlewania się dwu komórek, ma się również to wrażenie, jakoby tu ulegał tylko przeobrażeniu jeden z innych procesów. Mówiłem ci już, że najprostsze fakty w życiu komórki sprowadzić się dają najoczywiściej do zwykłej przemiany materji, są to: wchłanianie, mające na celu zastąpienie niezdolnej do użytku materji komórkowej — oraz wydzielanie, mające na celu usuwanie tych nieużytecznych cząsteczek, jako też nieprzetworzonych części wchłoniętych. W następstwie prostego nagromadzenia się cząsteczek, występuje zjawisko wzrostu, a wzrost, jak się zdaje, staje się znów przyczyną jakiegoś wyższego, żywego wydzielania, a mianowicie rozradzania się przez podział, albo przynajmniej przez odszczepienie pączka. Mógłbyś bez trudu ciągnąć dalej to rozumowanie i powiedzieć: jak zwykle wchłanianie musi kompensować to, co ginie przez wydzielanie, tak samo w pewnych okolicznościach musi również pewien specjalny rodzaj wchłaniania kompensować brak, powstający przez zbyt energiczne wydzielanie podczas rozmnażania się. Ponieważ jednak rozmnażanie się stanowi »wydzielanie żywe«,

musi więc również odbywać się »żywe wchłanianie«, to jest, musi żywa materya, jako taka przepłynąć w żywą komórkę. Gdybyś zechciał wyrazić się w sposób bardzo niesubtelny, mógłbyś rzec tak oto: zjawisko płodzenia dzieci jest tylko wyższą postacią wydzielania ekskrementu, zaś miłość w sensie zlewania się dwu indywidualów w celu stworzenia trzeciego jest tylko w y s u b t e l n i o n ą postacią wchłaniania. Atoli rozumiesz sens ściślejszy tego, co było powiedziane, — rozumiesz, co to ma wszystko znaczyć, jeżeli pozostawić na stronie paradoksalne żarty, a zupełnie trzeźwo pomyśleć nad tem. Trzeba wyznać, że mimo to wszystko nie trafiamy w istotę rzeczy, zarówno na początku, jak i w końcu naszego łańcucha rozumowań, bez względu na to, czy mamy do czynienia z »prostemi«, czy z »wysubtelnionemi« zjawiskami. Wchłanianie i ekskrement pozostają w końcu taką samą głęboką i wzniosłą zagadką życia, jak rozmnażanie się i miłość. I jedna tylko zdaje się przebłykiwać świadomość, że te ostatnio wymienione pojęcia zajmują na drabinie rozwojowej miejsce wtórne, wyższe, naczelne.

Następny obraz w naszej bajce jest nieco drażliwy. Karzełki ze względów utylitarnych przywykły do tego, ażeby w celach koniugacyi nie wstępować w związki z najbliższymi spokrewnionymi braćmi swymi, a z obcymi przedstawicielami tego samego rodu. Tu spoczywa wielki problemat dla całej dziedziny badań nad życiem i jego przejawem — miłością.

Problemat krzyżowania się i braku doboru.

Przyjrzyj się raz jeszcze wspomnianym powyżej małym zielonym nitkom wodorostów, — owym najniższym roślinom, które już wprawdzie wywyższyły się ponad proste jednokomórkowe twory, ale jeszcze uprawiają najprostszy sposób zlewania się w jedno dwu jednakowych indywiduów.

Oto widzisz dwie takie drobniutkie cząsteczki wodorostów, jak krążą w wodzie i szukają sobie towarzysza do koniugacyi. Są to prawdziwe siostry, pochodzące z jednej rozszczepionej komórki. Teraz spotykają się — ale wymijają się wzajem. Nie pragną siebie! Ale oto w następnej chwili każda z nich znalazła jakąś obcą, nie siostrzaną komórkę błędzącą — i następuje pomiędzy nimi natychmiast akt jaknajściślejszego złączenia. Dlaczegoż siostra siostrą pogardza?

Przypatrz się znów czemuś innemu. Oto wyższe rośliny. Tu mamy już istotny podział na rodzaje: narząd żeński w kwiecie — to słupek, a męskie narządy — to pylniki nasienne. Ale mniejsza o to. W każdym razie widzisz w ogromnej większości wypadków oba narządy (żeński i męski), które mają połączyć się dla aktu rozrodczego, tuż obok siebie w tym samym kwiecie. Te wyższe rośliny nie wysyłają już żadnych ruchomych komórek — tułaczek, jak owe wodorosty. Kwiat, jako i cała roślina, są umocowane na jednym miejscu. Tym szczęśliwszym wydaje się fakt skupienia obu części płciowych na jednym i tym samym kwiecie. Pylnikom wypada, zda się, tylko w określonej porze strącić swe komórki nasienne, a padną one na słupek i zapłodnią przez zlanie się obopólne narząd kobiecy.

Aliści takie mniemanie jest nader dalekie od prawdy. W 99 wypadkach na sto napotykasz najbardziej wyrafi-

nowane środki zapobiegawcze, mające na celu przeszkodzić temu zlaniu się komórek, temu zapłodnieniu w obrębie jednego i tego samego kwiatu. W niezliczonych wypadkach cały kwiat jest tak zbudowany, że pomimo bezpośredniego sąsiedztwa samozapłodnienie staje się niemożliwym. Natomiast kwiat, choć sam nieruchomy, przystosowany jest budową swą jaknajlepiej dla przyjęcia odwiedzin pewnych, ruchliwych, z kwiatka na kwiatek tułających się owadów.

Owady te, — pszczoły, trzmiele, muchy, motyle — wabi ku sobie roślina barwą, zapachem i słodką wydzieliną miodu. Ażeby dotrzeć do miodu, muszą one wleźć w kwiat albo sięgnąć ryjkiem. Przytej sposobności kwiat posypuje owad swym pyłem, t. j. komórkami nasiennymi, a owad, lecąc teraz dalej do drugiego kwiatka tego samego gatunku, przykleja bezwiednie te komórki nasienne do żeńskiego narządu (rylca i słupka) i pośredniczy w ten sposób w zapłodnieniu skrzyżowanym, które najoczywiściej dla całej sprawy utrzymania się przy życiu również i dla tych roślin stanowi ważny, nawet niezbędny warunek.

Oto tutaj mamy ten sam fakt, co i tam, choć o wiele więcej skomplikowany: nasienie bratnie na własnym kwiecie bywa z trwogą omijane, — natomiast nasienie obce, które muska owad, najdoskonalej sprzyja zapłodnieniu! Chcę ci dać przykład, bowiem sprawa ta jest pod każdym względem interesującą.

Zerwij sobie tam u stóp drzew oliwkowych jedną z tych dziwacznych blade-zielonych łodyg, na których wielki liść otacza, zda się, swój kwiat, jak zwinięta chora-giewka. Jestto t. zw. arenowiec. Otwórz z siłą pochewkę kwiatu. Patrzysz w jej głąb, gdzie stanowiła okrągławe

sklepienie, i masz wrażenie, że spoglądasz w głąb jakiegoś kotła. I oto w chwili, kiedy łamiesz jego ściankę, wyfruwa cały rój malutkich czarnych komarów. Zdaje się, jakby nagle wyswobodzone zostały z więzienia. Ale w jaki sposób dostały się do wnętrza? Oto masz przed sobą jeden z najcudowniejszych mechanizmów całego świata roślinnego; mechanizm, mający na celu zapłodnienie skrzyżowane.

Aronowiec wydaje zgniły zapach, który wabi małe muchy-ścierwowce, i one włączają z góry w otwartą tutkę zieloną. Ku nim sterczy z otwartego również od wierzchu kociołka mięsista (jędrna) główka, wierzchołek właściwego kwiatu (a raczej kolonii kwietnej), który bez specjalnej otoczki, jako naga oś, wznosi się wewnątrz kociołka ku górze. Owady po tej kolbce złączają w dół i dostają się do samego kotła. Tu jest im dobrze w rozwiniętej roślinie; podczas kiedy na dworze pada chłodna rosa, tu wewnątrz rośliny panuje temperatura niezmiernie łagodna, a z ścianki wewnętrznej kociołka aż tryska sok, jak dla uczyty najobfitszej. Złączając w dół potrafiły one niebacznie wianek uginających się szczoteczek, który obecnie, na wzór sieci do łowienia ryb lub pułapki na myszy, zamyka im bezlitośnie odwrót. Co czynić? Mali więźniowie przez parę dni wiją się niespokojnie na wszystkie strony, choć są wprawdzie dobrze najedzeni i ogrzani w swym więzieniu, i czekają. Tymczasem w roślinie odbywa się szczególny jakiś nowy proces, którego muszki zrazu zupełnie, widocznie, nie spostrzegają, gdyż nie obchodzi ich, jak się zdaje, wcale.

Na osi kociołka znajdują się tuż obok siebie, jeden nad drugim, dwa wianki męskich i żeńskich narządów płciowych. Sądząc z ich bezpośredniego i tak niebez-

piecznego sąsiedztwa, zdawałoby się, że mogą one jak najłatwiej połączyć się ze sobą płciowo, a latanie muszek mogłoby tylko sprzyjać temu połączeniu.

W ten jednak sposób kojarzyłyby się małżeństwa we własnym domu rodzicielskim, a tego właśnie nie życzy sobie roślina, żadną miarą tego nie chce. Cóż więc robi? Owe dwa wianki kwiatowe nie dojrzewają jednocześnie, a jeden po drugim; nasamprzód wianek żeński, dopiero później męski. Więc podczas kiedy więźniowie kręcą się jeszcze niespokojnie, męski wianek nagle dojrzewa płciowo i wydziela z siebie grubą warstwę »pyłu kwiatowego«, t. j. prawdziwego nasienia męskiego. Muchy są gęsto tym pyłem obsypane nie wiedząc nic o tem; bowiem czeka ich teraz coś o wiele ważniejszego. Oto nagle wiotczeje i więdnie sama przez się owa szczeniarka u góry, jakgdyby okres dojrzałości płciowej wyczerpał wszystką jej siłę: droga ku słońcu stoi znowu otworem, i owady radosnym rojem wylatują. Ale to niczem znów tak bardzo aronowcom nie grozi! W chwilę po wyzwoleniu te same muszki znów oto ulegają pokusie, jaką przedstawia dla nich miły ich powonieniu odór zgnilizny i włączają w łodygę drugiego kwiatu. Hyc! znowu przeszkodziły się i znów są wewnątrz. Po raz wtóry czeka ich parę dni więzienia.

Ale teraz uważnie przypatrz się temu, co się dzieje na długo przed nastąpieniem chwili dojrzałości płciowej w tym drugim kwiecie. Oto na długo przed tą chwilą, zaraz wtedy, kiedy przedostają się do wnętrza owi goście, dojrzewają tutaj żeńskie części osi w kociołku naszym i gotowe są do zapłodnienia. Tym dojrzałym żeńskim częścią kwiatka przynoszą teraz muszki naprawdę dojrzałe nasienie męskie innego, obcego aro-

nowca w całej masie — i kręcąc się poprostu, bezwiednie, ale zupełnie naturalnym sposobem przylepiają je na najodpowiedniejszym miejscu. Ażali nie jest to niezwykłym podejściem, mającym na celu unikanie małżeństw pomiędzy braćmi? Niektóre gatunki aronowca mają nawet dwie sieci w kociołku, jedną u wejścia przed męskim kwiatem, drugą pomiędzy męskim i kobiecym. Dolna sieć więzi nasamprzód włączając muszki przez chwilę na dolnym pięttrze u żeńskich kwiatów, druga zatrzymuje je na drodze powrotnej raz jeszcze w pasie męskim w celu obsypania ich pyłem.

I takich sztuczek jest, jak powiedziałem, legion cały. Tam, gdzie tego przenoszenia pyłu z jednego kwiatu na drugi nie załatwiają owady, pośredniczy w tej czynności wiatr, ten wiatr, który ciebie samego obsypuje pyłem kwiatowym, kiedy wiosną mijasz leszczynę. W rzadkich wypadkach udaje się nawet i wyższym roślinom przewyciężyć w danym razie zupełną swą stałą nieruchliwość. W błękitnych wodach jeziora Garda napotykasz ładniutką roślinkę wodną, *Vallisneria* zwaną, u której nigdy oba rodzaje narządów płciowych nie mieszczą się na jednym kwiecie, a której jednak nie trzeba żadnego owadu dla zapłodnienia. Jeden jej kwiat, który zawiera tylko żeński słupek, rośnie na długiej łodydze od dna ku powierzchni wody; zaś jej drugi wyłącznie męski kwiatek, który wytwarza lepkie nasienie, już jako pączek odrywa się w głębi wód od swej łodygi, pływa w wodzie ku powierzchni i żegluję wesoło z wiatrem, jak wolne, małe czółenko, po tafli lustrzanej jeziora, póki nie natknie się na żeński kwiat, który zapłodnić może, przybijając doń, jak do lądu...

Ale idź dalej jeszcze, ku wyższym zwierzętom. Zapytaj doświadczonego hodowcy bydła, co myśli o zaniechaniu doboru, albo, ściślej mówiąc jeszcze, o kazirodstwie. Jeżeli zwierzęta, np. świnie, z tej samej rodziny, a przede wszystkim rodzeństwo parzyć wciąż pomiędzy sobą i nie odświeżać krwi ich jakąś domieszką obcą, to w szeregu pokoleń wytwarzają się najdziwaczniejsze objawy zwyrodnienia. Zwierzęta słabną, żyją krótko, aż wreszcie ginie zdolność rozrodcza zarówno w męskim, jak i w żeńskim rodzaju.

Każdy hodowca bydła wie, że musi tu ostrożnie postępować, że zaniechanie doboru, doprowadzone do przesady, spowoduje nieubłagane szkody, — mówi ci on prosto: że parzenie się wśród własnej rodziny jest czemś »nienaturalnem«, czemś, co osłabia, co spowoduje do zwyrodnienia, wreszcie do wygaśnięcia całej odnośnej rodziny.

Wreszcie przypomnij sobie siebie samego. Czy ożeniłbyś się ze swoją siostrą, czy wyszłabyś za męża za brata? Prawo w znaczeniu jurystycznym surowo zabrania ci tego we współczesnym państwie kulturalnym? A na czym opiera się to prawo? Opiera się ono na poglądach moralnych, które są nieskończenie starsze od wszystkich naszych państw współczesnych, starsze nawet od całej naszej kultury. Dzikie ludy bez państwa i bez paragrafów prawa, ludy, stojące prawie po za wszelką kulturą tak samo, jak i my, uznają za pogardy godne małżeństwa pomiędzy rodzeństwem lub pomiędzy rodzicami a dziećmi.

Czy poglądy te, które panują pośród nas dawniej i bardziej nieubłagane niż piramidy, niż religie i korony królewskie, są tylko dziwactwem mistycznym

ludzkości? Lekarz, którego kodeksem moralnym jest statystyka, odpowiada: nie. Wykazuje ci on w szeregach liczb, że istnieje ogromne prawdopodobieństwo takiego samego niebezpieczeństwa dla ludzi, jak i dla świń, od zaniechywania prawa doboru lub, co gorsza, od kazirodztwa. Potomstwo małżeństw, skojarzonych pomiędzy bratem i siostrą, lub pomiędzy ojcem a córką, tak samo tu, jak i tam, wykazuje cechy zwyrodnienia. Jeżeli zechcemy być powściągliwymi, to powołamy się w tym względzie na zdanie ogromnej większości lekarzy. Sprawa staje się jednak prosto »okropnie prawdopodobną«, jeżeli rozważyć, że człowiek jest tylko poszczególnym okazem w królestwie życia, i że głosy potępienia dla kazirodztwa zwałają się na niego, jako huk burzy, z roślinnego i zwierzęcego świata.

Cóż to ma wszystko znaczyć? Darwin odpowiada ci na to jednym słowem: prawo natury. Prawo natury sprzeciwia się kazirodztwu wśród żyjących istot. Najwyższym tego wyrazem jest nasz wstręt do małżeństw pomiędzy rodzeństwem. Zaś jako pierwszy prawie przejaw tego prawa posłużyć by mógł fakt owego wstrętu, jaki okazują błędzące cząsteczki komórek wodorostów wobec łączenia się z bratnimi komórkami kolonii, z tego samego podziału wytworzonej. A jako pierwszy wyraz symboliczny moglibyśmy przytoczyć naszą bajkę o karłach, która ma wyobrażać istotny stan pierwotny całej sprawy.

Uważałbym za możliwe przypuścić, że pierwotnie wzgląd pożytku mógł być stanowić punkt wyjścia dla późniejszego »prawa przyrodzonego, wymierzonego przeciw kazirodztwu«. Rozumie się, że to wszystko, co nasamprzód jako »nieużyteczne« wciąż było tępięne,

później zgodnie z jakimś »prawem« w sensie darwinistycznym dzięki specjalnym odziedziczonym środkom obronnym musiało przestać istnieć. Takie zjawisko np. jak zanikanie zdolności rozrodczej u potomków z małżeństw pomiędzy rodzeństwem, należałoby uważać właśnie za coś wtórne, co rozwinęło się dopiero następnie. Atoli możliwe jest, że w tym wszystkim pierwotnie już tkwiło zasadnicze prawo organiczne, na podobieństwo prawa przemiany materii, prawa wzrostu, rozmnażania się itd. W świetle tej hipotezy owi prakarzelkowie znajdowali się może poprostu jakby a priori pod zaklęciem jakiegoś prawa biegunowości, które odpychało »jednorodne od jednorodnego«, tj. prawdziwego brata, od prawdziwego brata, i pierwotnie już kazało omijać brata, a zwracać się ku obcemu przybyszowi, kiedy chodziło o konjugację. W każdym razie trudno będzie teraz sprawę tę całkowicie rozwiązać, tylko rzecz główna polega na tym, że pozostaje niewzruszony sam fakt, jako taki. Uprzywilejowane było łączenie się obcego z obcym, a nie brata z bratem.

Ale bez względu na objaśnienie, fakt ten sam już siłą logiki wskazuje dalszą drogę naszym wywodom.

Dawanie pierwszeństwa obcym towarzyszom dla aktu łączenia się płciowego zmuszało małych karzelków do wędrowania. Podczas tych wędrówek napotykali oni pewnych obcych nieruchliwych karłów, pochodzących z nierównego podziału na dwie części, i z nimi w najbardziej pomyślny sposób przywykli się łączyć. W ten sposób zjawiała się ta różnorodność współtowarzyszy konjugacji; dwupłciowość wykwitła

w tym sensie, że już teraz po wyglądzie zewnętrznym można było odróżnić coś małego, ruchliwego, szukającego, od czegoś większego, mniej ruchliwego, wyczekującego.

Spójrz na siebie samego, coś jest najwyższej uorganizowaniem zwierzęciem na ziemi. Ażali nie dostrzegasz jeszcze w sobie samym wlokącego się za tobą cienia tego prastarego zjawiska z bajki o karłach — pierwotniakach?

Nasamprzód widzisz jeszcze u siebie stałą, wybitną różnicę w postaci zewnętrznej obojga rozmnażających się indywiduów. Nie tylko brat omija brata i szuka obcego człowieka dla aktu płciowego, ale pozatem szuka on jeszcze człowieka zasadniczo różnego od siebie pod względem cielesnym; jako mężczyzna, szuka on kobiety, zaś kobieta naodwrot mężczyzny szuka. A spojrzysz teraz uważniej w oczy temu przeciwieństwu. Czy widzisz ślad tej prastarej bajki o karzełkach, bajki o ruchliwej komórce, co szukała, i o tej drugiej, osiadłej, co czekała?

W olbrzymich trybach życia i kultury ludzkiej kobieta również stanowi jedno kółko: bierze ona żywy udział w tysiącnych ruchach fizycznej i umysłowej natury, i ta własna jej ruchliwość wzrasta właśnie w oczach naszych niepowstrzymanie. Atoli jeżeli pośród tego wszystkiego wzrok swój stale skierowywać będziesz w stronę samego życia płciowego, to spostrzeżesz, że zawsze jeszcze mężczyzna jest tu tą stroną, co daje, a kobieta tą, co przyjmuje. Sięgnij wyobraźnią wstecz ku owemu tajemniczemu przejawowi twego ludzkiego zapłodnienia. W ciemnej otchłani kobiecych narządów płciowych spostrzegasz to samo przeciwieństwo, w rozmiarach małych, najściślejszych, ale też

najbardziej decydujących. W istocie i komórka jajowa żyje życiem własnem. Wyzwala się z jajnika olbrzymiego (w porównaniu z nią) ustroju kobiecego dzięki aktowi rozszczepienia zupełnie tak samo, jak ów osiadły w jednym miejscu karzełek oddzielił się od swego karzełka-rodzica dzięki energicznemu ruchowi. Komórka ta wędruje przez jajowód do macicy, a więc porusza się przez pewien czas sama naprzeciw nasieniu męskiemu. Ale i owi karzełkowie z bajki, którzy naogół względnie osiadłe wiedli życie, również się prawdopodobnie poruszali trochę, choć o wiele mniej, niż inni. I niema żadnej wątpliwości, że kiedy widzisz oto, jak ciała nasienia wchodzą w macicę i otaczają jajko, to masz zupełnie to wrażenie, że teraz dopiero przybywa owa czynna, właściwie ruchliwa potęga, która całkowicie odpowiada owym wesołym wędrowcom z bajki. Nawet różnica, dotycząca rozmiarów, ściśle zachowana jest w stosunku ciała nasiennego do jajka. Jedno ciało nasienne przedostaje się do jajka — i oto masz znowu równoległe zjawiska, dotyczące obecnie jądra jajka i główki ciała nasiennego.

Oboje się ruszają; ale jedno bardzo wolno, natomiast druga szybko, jak strzała. Wreszcie, jako korona wszystkiego, następuje zlanie się tych dwu tworów, które przysparza siły dla nowego rozwoju całkowitego: ten sam akt ostateczny tu, co i tam, jako rezultat przeciwieństwa pomiędzy ruchomym i nieruchomym, dużym i małym, pomiędzy karzełkiem męskim — męską komórką a karzełkiem żeńskim — komórką żeńską.

Ale to, co człowiek odtwarza ci tylko jeszcze w postaci najwnętrznego aktu, to samo widzisz bezpośrednio u całego szeregu dwu żyjących jeszcze ko-

mórek pojedynczych. Oto kręci się w wodzie szybkim ruchem wirowym drobna zielona kuleczka, o grubości niespełna milimetr wynoszącej. Rozpatrujesz ją pod drobnowidzem i przychodzisz do wniosku, że jestto nie pojedyncza komórka, poszczególny twór żyjący, ale cała ich gromadka, tysiące takich tworów, które mocą jakiejś najprostszej spójni społecznej łączą się ze sobą i tworzą ruchomą kulkę. Badacz nazywa te dziwaczne twory »volvox«, kulistym wodorostem albo zwierzątkiem kulistym. W rzeczywistości nie są to właściwie ani zwierzęta, ani rośliny, a tylko żyjące towarzysko pierwotniaki, bliższe w każdym razie roślinom, aniżeli zwierzętom. Czynniki społeczny, który tu już się ujawnia, pozostaw tymczasem na uboczu, a zwróć tylko uwagę na poszczególne twory takiej kuli volvox'a i badaj ich rozmnażanie się. U rozmaitych odmian takich stworzeń spostrzegasz, jak to się zresztą zdarza często u dzisiaj żyjących pierwotniaków, wszelakie metody rozmnażania, istniejące jeszcze obok siebie. Widzisz zwykle dzielenie się komórek, widzisz rozpad ich na mnóstwo małych ruchliwych komóreczek, widzisz wreszcie konjugację takich zupełnie jednakowych jeszcze komórek. Ale oto dalej spostrzegasz już wyłaniającą się różnicę pomiędzy dwiema komórkami, podlegającymi konjugacyi, a mianowicie różnicę w ich rozmiarach; aż wreszcie napotykasz wyraźnie zaznaczone przeciwieństwo. U właściwego, zwykłego Volvox'a bywa często tak, że w jednym okazie tego gatunku wytwarzane bywają w celach rozrodczych wyłącznie wielkie, nieruchliwe komórki, zaś w drugim natomiast tylko małe, bardzo żywo się poruszające — i wtedy małe, ruchliwe odszukują dla konjugacyi owe wielkie, nieruchliwe.

Podobne zjawiska spostrzegać możesz jeszcze dokładnie na trochę więcej rozwiniętych, prawdziwych roślinach. Idź na wybrzeże północnego morza i poszukaj sobie ciemno-zielonego fukusa, opłukiwanego tam wszędzie przez fale, rośliny stojącej na bardzo niskim szczeblu rozwoju. I na niej po jednej stronie oddzielają się równomiernie wielkie, spokojnie wyczekujące komórki, zaś po drugiej jakby wylatują małe, chyżo się poruszające. I tu istnieje stałe odnajdywanie się wzajemne i konjugacja tych dwu wyraźnie już różnych gatunków komórek. Interesującym jest przytem badanie tego, z jaką pewnością owe komórki wędrownie, które zrazu przez wodę splukane roją się bezładnie, umieją wykrywać i ujmować te inne komórki, znajdujące się w stanie spoczynku. Istnieje przypuszczenie, że komórki ostatniego typu przesycają wszystką wodę najbliższą wokoło pewnymi substancjami (kwasami organicznymi), które stanowią nęcącą podniechę dla małych komórek wędrownych.

W naszej bajce o karłach wyrażałem się wprawdzie tak symbolicznie, jakgdyby karzełki wzajemnie się widziały. Atoli dla jednokomórkowych pierwotnych zwierząt i roślin bez specjalnych narządów zmysłowych musisz ten symbol brać zupełnie ogólnikowo. Tam, gdzie nie było oka, a w każdym razie czucie świetlne było jeszcze niedostateczne, ażeby w każdym poszczególnym wypadku dać towarzyszkowi obraz drugiej komórki, tam prawdopodobnie trzeba było się zadowolić samymi podniehami chemicznymi, które działały na węch albo na smak, podniehami, które, zapamiętajmy to sobie, u ustrojów wyższych nawet, zaopatrzonych w sprawne narządy wzroku, bezsprzecznie grają jeszcze

wybitną rolę we wszystkich sprawach, dotyczących miłości. Nawiązując to do naszej bajki, możesz sobie w sposób bardzo prosty wyobrazić, że karzełek-poszukiwacz węszył swego towarzysza albo czuł go po smaku przepojonej nim wody na długi czas przedtem, zanim go zobaczył.

Mógłbym ci jeszcze opowiedzieć całą masę faktów, które ilustrowałyby historię o karłach z tego punktu widzenia. Ale z wszystkich tych faktów właściwie wynika jedno: gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie widzisz, że podział na płcie ujawniał się nasamprzód jako różnica w rozmiarach obu łączących się komórek. Do tej różnicy przyłącza się później różnica w stopniu ruchliwości: jedna komórka jest więcej, druga — mniej ruchliwą. Nasza historia z karłami wykazuje ci niejako na jednym przykładzie, jak obie różnice rozwinęły się same przez się mocą najprostszyc przyczyn. Atoli ważnem jest, ażeby wiedzieć jeszcze fakt następujący.

Całe ogromne masy żyjących jeszcze istot jednokomórkowych zupełnie niezależnie od rozmnażania prowadzą naprzemian to osiadłe, spokojne, to znów ruchliwe, tułacze życie. Ma się to wrażenie, jakgdyby te pierwotniaki już od samego początku zachowywały u siebie tę alternatywę w sposobie życia, dla wszelakich zwykłych celów przydatną. W ciągu życia jednego i tego samego indywiduum widzisz czasami najbardziej uderzającą kolejność w następowaniu po sobie okresów osiadłego i ruchliwego; przekonywasz się, jak w okresie trawienia, w czasie wysychania miejsca, które zamieszkują, lub w celu obrony przeciwko wszelakim zewnętrznym szkodliwościom i niebezpieczeństwom, swobodnie tułające

się pierwotniaki nagle osiadają w jednym miejscu i otaczają się błoną, w której przeżywają okres spokoju. Kiedy przyczyna przygodna lub niebezpieczeństwo mijają, osiadła komóreczka przedziera się znowu wesołą tułającą się tu i owdzie komórkę. Zaiste nie jest to nic dziwnego, że ten skądinąd już rozpowszechniony i często praktykowany zwyczaj znalazł również zastosowanie i w życiu miłosnem i tam zyskał wielkie, zasadnicze znaczenie. Przy zlewaniu się dwu komórek oddawano pierwszeństwo takiej kombinacji, w której jedna strona wiodła osiadłe, a druga ruchliwe życie. Z chwilą, kiedy raz było to już ustalone i łączyło się jednocześnie z różnicą w rozmiarach, mógł się drogą naturalną wytworzyć, jako rezultat, taki stan rzeczy, że ruchliwość stała się mniej lub więcej stałą cechą jednej (męskiej!) połowy, zaś naodwrot osiadłość — cechą »kobiecości«.

Koniec idylli karlej stanowi prostą bardzo konsekwencyę poprzedniego — sam zresztą zdążyłeś już zapewne to zauważyć. Atoli w istocie sprawy wypada tu uczynić nagły i ogromny zwrot. Obie partye karzełek upodobniają się względem siebie przez to, że dzielą się na części »nierówne«: to znaczy, że każdy karzełkrodziciel dzieli się w jednym i drugim wypadku na jedną większą część główną i na jedną albo wiele mniejszych części odszczepionych, które wyobrażają naprzemian to małych (męskich) »karzełek tułaczy«, znów względnie większych (żeńskich) karzełek osiadłych. Cóż to znaczy innymi słowy?

To znaczy: ani męska, ani żeńska część odtąd

nie rozpadała się wprost bezpośrednio na swych potomków, jeno przy sposobności odszczepiały od siebie tylko, jako potomstwo, mniej lub więcej obszerną część masy swego ciała. U »mężczyzny« rozpadała się ta część na masę małych tułaczy, u »kobiety« tworzyły się jedna lub nawet więcej wielkich córek osiadłych. W przekładzie na język »komórki« brzmi to w sposób następujący: dwa twory jednokomórkowe, męski i żeński, ujawniały odtąd męskość swoją i kobiecość tylko w ten sposób, że każde z nich poświęcało oznaczoną część swego ciała dla celów rozrodczych: męska część rozpadała się na mnóstwo męskich komórek wędrujących, zaś druga tworzyła jedną lub więcej kobiecych komórek, wiodących żywot spokojny.

Wykonaj znów szybko salto mortale od takiego pierwotniaka do siebie samego, do człowieka. Na czem polega różnica? Oto dwa indywidua ludzkie rozmaitej płci: mężczyzna i kobieta. Przystępują oni do aktu rozrodczego. Cóż się dzieje nasamprzód? Oboje dzielą się. Ale jak? Przecież ani mężczyzna ani kobieta nie rozrywają się dla dokonania aktu miłosnego poprostu na dwie połowy, jak karzełki albo bacylus? Nie, na dwie połowy nie rozpadają się oni. Aliści i karzełki obu płci tego naszego ostatniego wyższego gatunku również nie czynią tego więcej. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta gatunku ludzkiego nasamprzód się dzielą na dwie części, ale na dwie części nierówne. Od ciała-olbrzymia zarówno mężczyzny, jak i kobiety odszczepiają się małe cząsteczki. Te cząsteczki przy uważnym rozpatrywaniu składają się u mężczyzny z grudki drobniotkich, ruchomych komórek-tułaczek, t. zw. ciałek nasiennych; a u kobiety składają się one z wielkiej, dojrzałej

komórki, poruszającej się powoli w stronę macicy, komórki »spokojnej« — t. z. komórki jajowej. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta wiedzą, że nic im z tego nie przyjdzie, jeżeli produkty swego podziału puszczą samopas na wyprawę miłosną. Trzeba do tego specjalnego zbliżenia obu dorosłych rodziców: kiedy się oni spotykają, jakgdyby sami pragnęli jeszcze raz stopić się wzajem w jedno ciało wzorem owego zamierchłego zwyczaju przodków, — wtedy dają możliwość jednemu z ciałek nasiennych dosięgnąć komórki jajowej i tu wewnątrz ciała kobiecego w istocie doprowadzić do aktu połączenia, który jakby przysparza obu komórkom »żywej karmi« dla stworzenia nowej istoty żywej.

Ależ wtedy nie byłoby znaczniejszej różnicy? Nasi karzełkowie ostatniej kategorii z ich aktem miłosnym mogliby być uważani pod względem spraw miłosnych już z a ludzi?

Tak, w pewnej mierze wydaje się tak w rzeczy samej. Uplastycznij to sobie jeszcze trochę, ażeby zrozumieć to zupełnie dokładnie. Pojedyncza komórka lub pojedynczy karzełek — wszak nazwa jest już dla nas teraz pustym dźwiękiem — zużywa tylko małą część swego ciała, dla celów rozrodczych. Ta częśćka po jednej stronie staje się wszystka komórkami męskimi, po drugiej — jedną albo wieloma komórkami żeńskimi. U ludzi jest to już więcej wyspecjalizowane. Tu ta częśćka ciała już z góry jakby zaopatrzona jest w specjalny sztyl na którym widnieje napis: »Tu odbywa się proces rozrodczy«: tworzy ona narząd rozrodczy. Narząd ten ma za cel główny wytwarzanie komórek męskich względnie żeńskich. Ale obok tego ma niektóre inne cele pożyteczne. Toruje np. drogę, gdzie

odbywa się spotkanie komórki męskiej z kobiecą: stanowi nietylko rezerwoar wewnętrzny niezupełnie jeszcze dojrzałych komórek rozrodczych, ale i pełni zewnętrzną funkcję, jako narząd rozrodczy każdego indywiduum. I tak dalej. Tego powinienesz być się jeszcze z bajki o karzełku i z tego, cośmy mówili o ustroju jednokomórkowym domyślać — właściwie nie jest to nic nowego, ale wydaje się wciąż jeszcze nader prostą konsekwencyą wywodów poprzednich.

I w istocie łatwo sobie uzupełnić w ten sposób bajkę o karzełku, który przecież tak czy owak rozumiany był, jako symbol.

A więc karzełek męski i żeński — taki byłby koniec bajki — zdobyli prawidłowe narządy płciowe, zupełnie takie same, jakie posiada człowiek dorosły. Ale jeżeli chodzi o istoty jednokomórkowe, tych właściwych pierwotniaków, to wyłania się jeden punkt, który należałoby omówić.

Jest to ogromnie proste i zrozumiałe. Z chwilą kiedy u tworów jednokomórkowych nastąpił podział na płcie, rozwinęły się w nich stałe narządy płciowe z wewnętrznymi rezerwoarami dla nasienia i jajek i zewnętrznymi przystosowaniami płciowymi, przeznaczonymi dla przenoszenia odnośnych produktów. A skoro to już raz było »rozwinęte«, to jednokomórkowy pierwotniak był już jakby w rzeczy samej pod względem rozwoju płciowego zasadniczo zupełnie podobnym do najpóźniejszej uduchowionej istoty ziemskiej, do wysoko rozwiniętego nad-zwierzęcia — do człowieka.

Twór jednokomórkowy i człowiek mieli teraz nietylko komórkę życiem obdarzoną z człowiekiem wspólną, ale i nieskończenie ważny pod jednym względem narząd. Cze-

góż brakowało mu jeszcze, ażeby stać się zupełnym człowiekiem? Brakowało mu wielkości. Ależ tę mógł osiągnąć dzięki wzrostowi. Istnieją dziś jeszcze twory bliskie jednokomórkowym, które nie tylko nieodznaczają się rozmiarami drobnowidzowymi, ale, przeciwnie, dosięgają wielkości jednego metra (cewiopławy). A czegoż więcej brakowało? Całej masy innych narządów: żołądka i kiszek, mózgu i rdzenia, płuc, serca, żył i wielu innych. Ale dla czegoż nie zdobyć i tych, skoro zdobyty został jeden narząd o takiej doniosłości? Istnieją jednokomórkowe rośliny pierwotne i twory, bezpośrednio poprzedzające pod względem rozwoju rośliny właściwe, oraz istnieją podobne do zwierząt jednokomórkowe wymoczki, a więc prawdziwe, choć względnie bardzo wysoko rozwinięte twory jednokomórkowe, których bezsprzecznie jednokomórkowe ciało wykazuje już w rzeczy samej najdziwniejsze załączki narządów innego rodzaju. U tylko co wspomnianych cewiopławów, mieszkańców wody, największych tworów jednokomórkowych, jedna olbrzymia komórka daje obraz ogólny, podobny wprost łądząco do rośliny wodnej, stojącej na wysokim stopniu rozwoju, posiadającej najzawilsze narządy: podziemne korzenie i naziemne zielone gałęzie, z językowatymi liśćmi o zębatych brzegach. A poszczególne takie cewiopławy stanowią właściwie jeszcze najlepszy wzór istotnego płciowego rozmnażania się w obrębie jednej komórki! A jeszcze bardziej interesującymi są zjawiska u wymoczków, już więcej do zwierząt podobnych — tworów jednokomórkowych.

Mówiliśmy już powyżej kilkakrotnie o procesach wchłaniania i wydzielania u jednokomórkowców. Ale jak to się odbywa u takiego najpierwotniejszego tworu,

u bacylusa czy ambey? Czy ma on żołądek i kiszki, jak my? Bynajmniej. Wchłania on w dosłownem znaczeniu całym ciałem swem i całym ciałem również wydziela. Jeżeli karmisz amebę zabarwionem ziarnkiem jakiejś materji pożywnej, przekonywasz się wtedy, jak ziarnko to wejść może w miękkie ciało komórkowe w każdym miejscu dowolnem, jak ono w całej komórce w jednaki sposób bywa rozpuszczane i przetwarzane i jak wreszcie w każdym dowolnem miejscu jakaś resztką ziarnka, do użytku niezdatną, może być wydzieloną, jako ekskrement. Zupełnie tak samo rzecz się ma z wchłanianiem powietrza, — z oddychaniem, tak samo z czuciem, którem, zdaje się, równomiernie obdarzone jest całe to małe ciało, — a wreszcie wyżej już sły-
 szaleś, że to samo powiedzieć można o ich miłości wtedy, kiedy się dzielą całkowicie i całkowicie się ze sobą zlewają: powiedzieć można wtedy, że te ameby drobne w bezpośredniem dosłownem znaczeniu tego wyrazu »kochają całym ciałem«.

Atoli inaczej rzecz się ma, jeżeli chodzi o jednego z grupy wymoczków. Składa się on jeszcze z jednej komórki, jak ameba; ale przyjrzyj mu się, jak on wchłania i trawi. Na pierwszy rzut oka spostrzegasz sformowany, niezmienny otwór ust, przez który przechodzi zarówno stały, jak i płynny pokarm. Te »usta komórkowe« prowadzą przeważnie do krótkiego kanału, pasz-
 czy, — której ścianka zaopatrzona jest często w pałeczki, jak w więcierzy, które zapewne grają niejako rolę zębów. Często usta mają już wargi, nawet długi ryjek do ssania. Często również spostrzedz można otwór i na przeciwległym końcu ciała, »odchodowy otwór komórki«. Brak tylko żołądka właściwego: pomiędzy pasz-

czą a otworem odchodowym pokarm leży poprostu swobodnie w masie komórkowej. Ale widzisz już i tam, że pokarm ten porusza się według pewnego planu, że przetwarzany bywa przynajmniej na wzór tego, jak się to odbywa w żołądku, i nieświadomie szuka się wtedy ażali u jakiegoś wymoczka, stojącego na wysokim szczeblu rozwoju, nie powstała jednak już pomiędzy paszczą a odchodowym otworem jakaś stała rurka lub pęcherzyk, — jako pierwszy załączek żołądka lub кишки.

A gdyby tak było w istocie, to nic prostszego, jak wyobrazić sobie dalsze rozczłonkowanie ciała na narządy poszczególne, dalszy »podział pracy« w obrębie tych narządów, zupełnie tak samo, jak przy wyodrębnieniu się narządu rozrodczego... i oto mielibyśmy przed sobą prostą drogę od wymoczka aż do człowieka.

Nie. Istotny postęp od pierwotniaka do człowieka i wogóle do wyższego ustroju nie szedł w rzeczywistości taką prostą drogą, ale o wiele więcej skomplikowaną. I o tem niepowinniśmy zapominać, chociażbyśmy mieli napotkać w łańcuchu logicznym naszych wywodów o miłości jakiś zawilszy węzeł albo nawet przerwę.

Załączki narządów u cewioplawów i wymoczków wyobrażają wyjątkowe tylko i bezpłodne próby. Przez długi okres czasu, zanim wystąpiły czynnie i sposobność miały się rozwinąć, miarodajnym stał się dla dalszego rozwoju jeden punkt widzenia, dający się niedwuznacznie określić przez jeden tylko wyraz: »społeczny«.

Już w końcu bajki o karłach skierowałem uwagę czytelnika na czynnik społeczny. To, że karzełek — albo pierwotniak — nie odszczepiał od ciała swego na-

tychmiast swych ciałek nasiennych lub jajeczek, ale zrazu zatrzymywał je przy sobie — to w istocie swej było już rzeczywiście bardzo pierwotnym aktem społecznym.

Takie akty społeczne w zakresie szerszym musiały nabrać wybitnego, nawet decydującego znaczenia dla życia pierwotniaków, w tym czasie właśnie, kiedy poczęła torować się droga ku osiągnięciu owego najwyższego szczebla miłości. Nie szukając nawet, natknęliśmy się już poprzednio przy omawianiu istniejących jeszcze dotąd istot jednokomórkowych na taki ogólny fakt o charakterze społecznym — na kulę Volvox. Cóż ona wyobrażała?

Kilka tysięcy drobniutkich jednokomórkowców, dających się jeszcze zupełnie wyraźnie rozpoznać, jako indywidua jednokomórkowe, tworzą razem dzięki pewnego rodzaju luźnemu związkowi względnie wielką zieloną kulę, która, niby jednolicie całkowity ustrój, szybkim ruchem pływa po wodzie.

Uprzytomnij sobie dobrze, że te komórki nie są »zlepione« ze sobą mocą jakiegoś aktu miłosnego, któryby z tysiąca zlewających się kulek poszczególnych stwarzał jednolitą wielką kulę, niby jedną olbrzymią masową kulę miłosną. Ma się wprawdzie to wrażenie, jak gdyby cząstki, składające Volvox, nauczyły się poniekąd czegoś od miłości: podchwyciły one mianowicie zasadę, której uczyła tak dobitnie miłość: że we dwoje lepiej się dzieje, niż samemu. Atoli tym razem nie doprowadziły one tej zasady do potęgi właściwej zasady miłosnej, nakazującej istotne stopienie się wzajemne. Ułożyły się one tylko blisko siebie, jakby zczepiły się ze sobą i, dzięki naturalnej przepuszczalności ich ścia-

nek, stworzyły łatwą i niczem nie skrępowaną wymianę materij płynnych — ale pozatem nic więcej.

Atoli tę powściągliwość pod jednym względem powetowały sobie później, dzięki postępowym tendencyom pod innym, a mianowicie, że zlepiły się ze sobą powierzchni już, nie parami, ale po dziesięć, sto, tysiąc, nawet po dwanaście tysięcy, jak to bywa w zwykłych kulach Volvox'a. Poprzez związek miłosny z jego nieograniczoną intensywnością, która dotyczyła jednak wszędzie tylko dwojga współ-towarzyszy, doszły one do związku społecznego o większej daleko ekspansywności, dając natomiast możność przystąpienia do związku wzajemnego tysiącom indywidualów.

A teraz znów uczynić skok do siebie samego. Do kogóż, ty jako człowiek, więcej podobny jesteś w budowie swego ciała: do jednokomórkowego pierwotniaka, czy też do kuli Volvox? Przypomnij sobie naszą gawędę o komórkowej budowie twego ciała. Czem-że jest pojedynczy jednokomórkowy pierwotniak, pojedyncza ameba, czy pojedynczy bacylus? Jest to jedna komórka, t. j. jedna cegiełka życia. A czem ty jesteś? Związkiem miliarda komórek, t. j. domem olbrzymim, składającym się z niezliczonych takich cegiełek. A czem jest kula Volvox? Stanowi ona związek kilku tysięcy takich cegieł, luźno ze sobą zlepiionych. Teraz jest zupełnie jasne: kula Volvox'a wyobraża istotną drogę pomiędzy jednokomórkowym pierwotniakiem i człowiekiem. Jest drogą, wiodącą poprzez związek społeczny wielu komórek, wielu żywych cegiełek do budowli wyższego rzędu: nasamprzód małe lepianki, później chaty, później pałace, wreszcie katedry wyniosłe, z których duch ludzki spogląda w niebo gwiazdziste...

Wprawdzie ta kula Volvox sama, dzięki systemowi oddychania pokrewną jest bardziej roślinom, aniżeli zwierzętom... Z niej prawdopodobnie rozwinął się w prostej linii nie człowiek, a wyżej uorganizowany świat roślinny. Ale wszak i ten oto cyprys czarny stanowi olbrzymią wieżycę z wielu, wielu milionów komórek-cegiełek złożoną. A zresztą wzięliśmy Volvox jedynie, jako następczący się przykład. Volvox'owi odpowiadają bliżej świata zwierzęcego stojące takie pierwotne związki komórkowe u wspomnianych powyżej prawdziwych wymoczków, a więc również u samej podstawy królestwa zwierzęcego, np. opisana przez Haeckla Magosfera, albo norweska kula-migawka, gdzie 30 i kilka do 60-ciu gruszkowatych komórek tworzą również jedną wspólną kulę, nie stapiając się ze sobą. Więc wychodzi na jedno.

Ale teraz jeszcze chwila skupionej uwagi. Tu człowiek, tam kula Volvox'a, jeszcze dalej ameba jednokomórkowa. Ażali różnica polega jedynie na tem, że ameba stanowi niejako jedyną izolowaną cegiełkę, kula Volvox — stowarzyszenie kilku tysięcy takich cegieł, tworzących razem pływającą kulę, a człowiek wyobraża olbrzymią budowlę z myriada takich cegieł.

Nie, nie tylko na tem.

Przypomnij sobie, com ci już raz kiedyś opowiadał. Opowiadałem, że ciało ludzkie, podobnie jak ciało psa lub dżdżownicy nie stanowi jedynie olbrzymiej bezładnej grupy komórek. Mamy tu do czynienia z subtelnie urządzonym »domem«. W tym domu grupy komórek, jak cegły wielkemiejskiej budowli współczesnej, tworzą osobne »pokoje«, dla rozmaitych celów przeznaczone: tworzą całą masę narządów. Tu kiszka, która trawi, tam płuco, gdzie krew się oczyszcza i nowych nabiera

właściwości, tam wreszcie mózg, gdzie odbywa się »myślenie«. I wyraz o niezwyklej prostocie rozwiązuje zagadkę tego całego ustroju domowego: »podział pracy«. Do wyrazu »społeczny« dołączamy drugi, równie dobrze obejmujący pewien zakres zjawisk, jak i pierwszy.

Miriady komórek, które tworzą ciało ludzkie, nie tylko stanowią związek społeczny, ale nadto w tym zrzeszeniu społecznym zapanował nader rozumny i szczęśliwy podział pracy. Z miriada komórek tylko pewna liczba zajęta jest wchłanianiem: one tworzą narządy odżywcze człowieka, np. кишки. Pewna liczba komórek wyłącznie słucha: tworzy ona twój narząd słuchu aż do odpowiedniej części mózgu. Pewna znów liczba innych komórek obarczona jest tylko obowiązkiem patrzenia: tworzą one aparat wzrokowy, począwszy od oka zewnętrznego aż do mózgu.

I tak dalej. Atoli ze względu na to, że wszystkie komórki poszczególne i wszystkie poszczególne narządy, z tych komórek powstałe, znajdują się jednocześnie w ścisłym związku społecznym ze wszystkimi innymi, — każda praca poszczególna przynosi jednocześnie korzyść wszystkim innym komórkom: kiedy komórki kiszkowe wchłaniają, to zdobyte w ten sposób pożywienie krąży również swobodnie przez wszystkie inne komórki, które same bezpośrednio nie mają własności chłonnej, — komórki wzrokowe, słuchowe, ruchowe i wszystkie inne komórki ciała ludzkiego, mniejsza o nazwę, są z tego samego źródła żywione i wzmacniane; a więc powiedzieć można, że komórki kiszkowe wchłaniają i dla nich.

Nie podobna jeszcze, oczywiście, takiego cudownego podziału pracy zauważyć u ameby lub bacylusa, bo-
 wiem niema tam jeszcze wcale społecznego zrzeszenia
 się komórek — jest wogóle tylko jedna komórka, która
 sama stanowi całe ciało i naturalnie również wszystko
 sama czynić musi jednocześnie: i wchłaniać, i oddy-
 chać, i czuć i t. d. Ale nawet w kuli Volvox nie widać
 jeszcze prawie nic z tego wspaniałego podziału pracy.

Jest tu już wprawdzie związek społeczny; ale je-
 szcze każda komórka zrzeszona wchłania tu np. dla
 siebie, niema jeszcze »kiszki« w sensie specjalnej grupy
 komórek chłonnych, stworzonej przez podział pracy, ko-
 mórek, które, jako narząd wchłaniający, wchłaniałyby
 na korzyść całej kuli komórkowej. Ów bardziej zaawansowany
 podział pracy r o z w i n ą ł się, oczywiście, dopiero po
 drodze, wiodącej od kul komórkowych, podobnych do
 Volvox'a, aż do człowieka.

Ze podział pracy powstał na drodze rozwoju, na-
 rzucało się to bezpośrednio i było prawie zrozumiałe
 samo przez się, skoro raz stwierdzonym został fakt
 zrzeszenia się społecznego wielu komórek. Wystarczy
 zastanowić się nad jednym przykładem. Weźmy wchła-
 nianie.

Kilkadziesiąt komórek skupia się ściśle wzajem,
 tworzy zrzeszenie społeczne w postaci pływającej kuli.
 Każda komórka posiada cienki, chwiejący się wyrostek,
 niby włos wystający, przy którego pomocy pływała
 w wodzie, jako istota pojedyncza. Teraz wszystkie wy-
 rostki chybczą się razem i przywykają do pewnego
 rytmu, z którym zgodnie płynie ruchem wirowym cała
 kula. Nie jest to jeszcze samo przez się podziałem pracy,
 jest to tylko pierwszy czyn społeczny; ale musi on

z chwilą, kiedy się zjawił, sam przez się doprowadzić do pierwocin podziału pracy.

Na początku wszystkie komórki kuli wchłaniają każda dla siebie. Ale ponieważ ścianki komórek, któremi one ściśle wzajem do siebie przystają, przepuszczalne są dla płynów, więc zupełnie naturalnie przetworzone soki odżywcze przepływają z komórki do komórki, z jednej jakiejś, która w danej chwili wchłania i trawi do otaczających komórek, które nie wchłaniają. Byłaby to tylko wciąż jeszcze zwykła konsekwencya życia gromadzkiego, choć przyznać należy, że w pewnych warunkach konsekwencya ta dla komórek sąsiednich przedstawia już znaczne korzyści. Ależ oto zrozumiałą jest rzeczą, że takie komórki wchłaniające i trawiące leniwsze są od innych, że od czasu do czasu niedbalej poruszają swym wyrostkiem-wiosłem, a być może jest on zupełnie nieruchomy. I nie potrzebują go też, bowiem inne — i to znów stanowi prostą konsekwencyę zrzeszenia społecznego — żywo poruszające swym ogonkiem i chyżo wiosłujące komórki sąsiednie ciągną je wszak za sobą.

Bacność! Już tu poczyna się korzyść w z a j e m n a: jedna komórka wchłania za kilka otaczających, zaś te ostatnie natomiast posuwają ją w ciągu tego samego czasu naprzód bezpłatnie. A poruszanie się naprzód jest samo przez się znowu źródłem nowych zasobów żywności, i, jeżeli nasza komórka wchłaniająca traci nawet nieco soków odżywczych na korzyść swych sąsiadek, to ma ona wkrótce dzięki ruchowi postępowemu, w którym bierze udział podczas wchłaniania, nowe szanse świeżego pożywienia, którego w innych warunkach byłaby pozbawiona. A ile popłynęłoby korzyści, gdyby z tego

pożytecznego stosunku wzajemnego udało się wytworzyć prawdziwy podział pracy?

Z pięciu komórek np. objęłaby powiedzmy poprostu, jedna, chociażby środkowa, całe odżywianie już za wszystkie cztery otaczające, a wzamian za to i dla wspólnego celu byłaby ona stale i intensywnie posuwana przez owe cztery pozostałe? Jedna wchłaniałaby tylko pożywienie i w tym kierunku ześrodkowałaby wszystkie siły swoje; zaś inne miałyby tylko obowiązek poruszania wszystkich komórek i w tej czynności ujawniałyby całe swe uzdolnienie.

Odrzućmy spostrzedz można niewątpliwy pożytek z takiego obrotu rzeczy. A na tym najprostszym przykładzie spoczywa według wszelakiego prawdopodobieństwa jądro całego zawiłego procesu rozwojowego, który odbywa się pod tym względem pomiędzy kula Volvox i człowiekiem.

Na kuli wspomnianej następujący bieg rzeczy był zrozumiały prawie sam przez się. Kula komórkowa poruszała się z przyzwyczajenia w ten sposób, że jeden biegun był stale zwrócony ku przodowi; nieuniknionem więc było, że ten naprzód podany biegun, względnie komórki, które się tam znajdowały, otrzymywały największą część płynącego im naprzeciw pożywienia. Stopniowo na tym biegunie rozwijał się trwały ród komórek o zdecydowanym charakterze wchłaniającym. One dostarczały całemu ustrojowi soków pożywnych, a za to w nagrodę, a raczej mówiąc ściślej, poprostu ze względów użyteczności, posuwane naprzód były przez resztę komórek, składających ciało drobnoustroju. Ale przestrzeń na biegunie chłonnym komórki była ograniczona, i, ze względu na powiększanie się całej kolonii, rozsze-

rzenie tej przestrzeni przyniosło by dużą korzyść. Co robić? Wyobraźmy sobie kulę ziemską i przypuśćmy, że na jej biegunie północnym pada deszcz gołąbków. Pochwycić je może tylko tych kilku ludzi, którzy znajdują się na samym biegunie, a jeżeli niema dostatecznej liczby rąk, to błogosławieństwo wraca w górę i gołąbki ulatują napowrót w przestrzeń. Co przedsiębiorą sprytnie głowy, ażeby pomnożyć liczbę rąk pomimo ograniczonego miejsca? Wykopią oni dookoła bieguna jamę i ustawią ludzi pionowo jednego nad drugim na szczeblach drabin. Można byłoby zająć wyższe szczeble, ale byłoby to już przedsięwzięciem karkołomnym, bowiem drabiny utraciłyby równowagę. Na wszelki wypadek bezpieczniejsze są szczeble niższe. Tak samo dzieje się i z komórkami wchłaniającymi na biegunie wirującej kuli z komórek. Tworzą one jamkę, zagłębienie, wreszcie dziurę poprostu, której ściany i dno same zajmują. Prąd wody wtłacza pływające cząsteczki pożywienia w głąb bieguna kuli, a wtedy komórki wchłaniające mogą je tu bezpiecznie i spokojnie przetwarzać. Jakiż jest rezultat tego?

Z chwilą kiedy najbardziej ku przodowi wysunięty biegun kuli zagłębia się lejkowato, z kuli tworzy się kielich. Wreszcie wewnątrz kuli tworzy się wpuklina, która ku przodowi otwiera się »ustami«, a ścianka kuli składa się z dwu warstw komórek: tych, które pierwotnie stanowiły jej ściankę, oraz tych, które z bieguna stopniowo się wgłębiły na podobieństwo wpuklonego palca od rękawiczki.

Ścianka zewnętrzna zawiera wyłącznie komórki ruchowe, ścianka wewnętrzna natomiast tylko wchłaniające. I oto zamiast zwykłej kuli z komórek powstaje

związek komórek z pierwszym podziałem pracy. Dziura na biegunie to w samej rzeczy usta; ścianka zewnętrzna to skóra z narządami ruchu; ścianka wewnętrzna — to normalny żołądek albo jelito. Od takiego tworu do człowieka pozostaje już niepomiernie mniejszy krok do zrobienia; bowiem wykazuje on podział pracy w pełni rozwoju: ma usta, skórę, jelita, jak człowiek. Nie jest to już poprostu piramida komórkowa bez treści wewnętrznej: posiada on niejako dwie włożone w siebie »komnaty«, z których jedna jest wyraźnie jadalnią i zaopatrzona jest w drzwi. Jest to już w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu projekt »domu«, jeszcze bardzo prosty wprawdzie, ale dzieli go od człowieka jedynie właśnie prostota, a nie sam rodzaj budowli.

Wszystkie wyższe »budowle« zwierzęce, — człowiek, pies, ostryga, dżdżownica, rozgwiazda morska — wszystkie one jednako wraz z całym skomplikowanym rozkładem ich salonów, gabinetów, ganków i komnat wytwornych pośród ich ciała wielokomórkowego, wszystkie one dadzą się sprowadzić do tego pierwszego, prostego domku, gdzie po raz pierwszy wprowadzony został podział pracy. Haeckel przezwał go »Gastraea« od wyrazu gaster (żołądek) — t. j. pierwsze zwierzątko z żołądkiem. Wszystkie wyżej uorganizowane zwierzęta wywodzą się z niego, jako z pnia pierwotnego. Robaki i polipy, raki i owady, muszle i mątwy, ryby, żaby, jaszczurki, ptaki, ssawce, wreszcie sam człowiek. I człowiek pochodzi od owej pierwotnej gastraea, od tego pierwszego związku komórek, w którym konsekwentnie przestrzegany był podział pracy pomiędzy komórkami ruchowymi i wchłaniającymi, pomiędzy skórą i jelitem...

A teraz spostrzegasz tę olbrzymią różnicę? Chciałeś człowieka wyprowadzić w łańcuchu nieprzerwanym istot od wymoczka, który w swej pojedynczej komórce wytworzył sobie usta i otwór oddechowy. Napróżno! Nigdy nie uda ci się zdobyć bezpośredniego połączenia pomiędzy pierwotniakiem (choćby posiadał nawet w swej komórce 100 narządów) a olbrzymim gmachem, z komórek złożonym — człowiekiem.

Ma się wprost to wrażenie, że zrzeszanie się społeczne wielu komórek, dokonywane w celu wytworzenia wspólnymi siłami jakiegoś indywiduum wyższego rzędu, z podziałem pracy w narządach komórkowych, sparaliżowało i odsunęło na dalszy plan zwykłe tworzenie się narządów oraz wogóle dalszy rozwój indywidualny tworów jednokomórkowych. W sprawie rzeczywistego rozwoju postępowego pozostało to gdzieś na jakiejś bocznej, opuszczonej ścieżce. Wyższe ustroje na ziemi i człowiek nie powstały z wymoczka, jako takiego. Wszystkie te ustroje wraz z człowiekiem mają swą podstawę w państwie wymoczków, w zrzeszeniu społecznym wielu wymoczków, które stopniowo rozwinęło się do potęgi podstawowego źródła nowych wyższych indywiduów.

W tem powstawaniu nowych indywiduów z zrzeszeń społecznych mamy przed sobą bezwątpienia proces sam przez się niezwykle dziwny. Człowiek jest jednostką, jest »ja«, prawdaż? Jest dla siebie poprostu przykładem, prawzorem indywiduum wogóle. A jednak ongi miał on wraz z całą ludzkością powstać w ten sposób, że wiele milionów drobnych indywiduów-komórek złączyły się ze sobą społecznie i splotły tak ściśle, że całość znowu

przedstawia się, jako »ja«, jako indywiduum, nawet jako istotny typ takiego jednolitego »ja«.

Cała ta sprawa jest godną niezwyklej uwagi zwłaszcza z punktu widzenia »duszy«. Proszę pomyśleć: 50, przypuśćmy, komórek wstępuje do takiego społecznego związku. Dochodzi to do skutku również bez bezpośredniego stapiania się nasamprzód już dlatego, że ścianki komórek są przepuszczalne: soki odżywcze np. mogą swobodnie krążyć przez wszystkie komórki. I oto w ten sposób zupełnie zrozumiały stają się pod względem cielesnym »jednością« wyższą. Ale jeżeli wyobrazić to sobie teraz pod kątem »duszy«.

Każda komórka poszczególna, każda komórka pierwotna, z której powstało wszystko późniejsze, miała niewątpliwie od samego początku swoją małą indywidualną duszę, swoją »duszę komórkową«. Dziś jeszcze każdy bacylus, każda ameba, każdy wymoczek posiada własną duszę w tym rozumieniu. Jakkolwiek ująć pojęcie duszy jako takiej — już wyżej pozostawiłem pod tym względem swobodę zupełną — to jednak tego prostego faktu pominąć nie sposób. Nie ma on sam w sobie nic cudownego, jest on owszem przypuszczeniem, które poprostu samo się narzuca. Każdy twór jednokomórkowy ma swą oddzielną duszyczkę. On czuje, orientuje się w sposób najpierwotniejszy co do otoczenia, zdobywa doświadczenie, stanowi więc, co najważniejsza, jednostkę oczywiście i pod względem duchowym, tak samo, jak wyobraża sobą jednostkę fizyczną, jako wyodrębniona komórka.

I oto takie twory jednokomórkowe skupiają się wzajem, tworząc kulę, zwaną Volvox. Zrazu każda poszczególna komórka kuli zachowuje swe istnienie

indywidualne, a więc i swą duszę. Ale pomimo to znać już niebawem pierwociny jakiejś, że się tak wyrażę, fluktuacyi psychicznej, zupełnie tak samo, jak zwy- czajne skupienie wielu komórek w postaci kuli stanowi wszak już conajmniej zarodek jakiegoś cielesnego zjed- noczenia, jakiejś nowej, wyższej organizacyi. Łatwo spostrzedz, że grudka naszych komórek znajduje się pod jednolitym jakimś kierunkiem duchowym, że wtedy, kiedy kula, jako całość, płynie, poruszana przez ty- siące migawkowych nici komórkowych, wśród owych licznych dusz komórkowych panuje niejako »wspólna myśl« nad zgodnym orientowaniem się w sensie pew- nego wspólnego ruchu, oraz kieruje nimi »wspólna wola«. Atoli może mnie tu spotkać zarzut, że jest to jednak znacznie odmienne od tego, co się dzieje z armią żołnierzy, którzy maszerują w zgodnym rytmie. Tak, musi tu oczywiście być coś innego, coś więcej. Fi- zyczne skupienie się komórek, które zrazu prowadzi do bardziej przypadkowej wymiany materyi odżywczej, a w końcu do prawidłowej komunikacyi soków itd., musiało wśród tej grudki komórek budzić stopniowo coraz silniejsze, mówiąc wciąż obrazowo, zlewanie się duchowe, o którym zrzeszenia społeczne wśród ludzi zrazu nie dają ci żadnego pojęcia lub przynajmniej w naszym zdawkowym pojmowaniu nie zwykły go dawać. I bez względu w danym razie na podział pracy sam przez się, który wreszcie, na podobieństwo spe- cyalnego narządu odżywczego w postaci żołądka, stworzył również u zwierząt wyższych specjalny »na- rząd duszy«, jako środkowy punkt orientacyjny w po- staci mózgu, bez względu na to, powtarzam, rezultat był oczywiście ten, że całe państwo komórek pozy-

skąło świadomość jednolitego »ja«, tego »ja« właśnie, które odczuwa w sobie człowiek. Jak to się stało, że miliony duchowych »ja« zjednoczyły się ze sobą w jakiejś najbardziej tajemniczej twórczości dusznej, aż wreszcie powstało jakieś nad-»ja«, które odnowa objęło treść tych milionów jako całość... jak to się stało, oto jedna z tych najciemniejszych kwestyj, których rozwiązanie nęcące ginie w nieskończoności zagadnień. Zaprowadziłyby nas ona na »duchowe« drogi mleczne, tak samo jak przedtem błędziliśmy po nich, szukając odpowiedzi na zagadki w ustroju cielesnym. Może warto tylko podznaczyć sobie ten punkt wyjścia, ażeby kiedyś przy sposobności mózdz się nad tem zastanowić.

Teraz nie możemy się zbyt w to zagłębiać, bowiem w rozgwarze kwestyj wymknie się nam z ręki nasz sznur złoty — miłość. A więc zajmijmy się teraz kwestyą, jak rozwijała się miłość wobec owego faktu olbrzymiej wagi, faktu społecznych zrzeszeń z podziałem pracy. Zajmijmy się tą kwestyą, zamiast błądzić po wszystkich bocznych ścieżkach duchowych, gdzie tysiącoletni mech myślowy tłumi odgłos kroków człowieka i pochłania wszelki ślad, a w końcu przepaść wypadłoby chyba bez echa w bajeczno zielonym zaczarowanym lesie Merlinowskim.

Rzecz przedstawia się w zasadzie bardzo prosto, o wiele, wiele prościej, aniżeli owa kwestya duszy, zaś w istocie swej nie jest niczem innym, jak konsekwencją logiczną wywodów poprzednich.

Doprowadziliśmy prahistorję miłości do tego miejsca, gdzie w każdym poszczególnym tworze wielokórkowym oddzielała się część, jako zrab płciowy,

rozrodczy. Zdawałoby się, że oto nastąpił pierwszy podział pracy ze względu na akt miłosny: nie rozpadało się już odtąd całe ciało komórkowe na same komórki nasienne, ale tylko jeden zrąb był na ten cel przeznaczony, i tam miał miejsce rozpad na komórki nasienne. Porównaliśmy to ze zwierzęciem wyższym, z człowiekiem samym, i widzieliśmy, że owa zarezerwowana dla celów specjalnych część ciała rozwinęła się u mężczyzny i u kobiety w ten sposób, że stanowi już prawidłowy »narząd rozrodczy«.

A tymczasem wyrozumieliśmy, że ustrój ludzki nie może być rozpatrywany poprostu równolegle z pierwotniakiem jednokomórkowym, ale że człowiek wyobraża sobą olbrzymie stowarzyszenie społeczne takich jednokomórkowych ustrojów. W tym stowarzyszeniu każdy narząd również stanowi tylko pewną grudkę komórek, które związane są z innymi stosunkiem podziału pracy.

To samo jest z narządem płciowym człowieka. Narząd męski, wytwarzający nasienie, nie jest już tylko zrębem zarezerwowanym w jednokomórkowym ciele, ale stanowi odnośny dział komórek w wielkim związku komórek, dział, który mocą podziału pracy wytwarza komórki nasienne w zastępstwie wszystkich innych tak samo, jak dział jelitowy za wszystkie komórki skutecznie trawienie, jak dział mózgowy dba o oryentowanie się ogólne wszystkich komórek, a dział rdzeniowy i dział kończyn dolnych zarządza poruszaniem się ciała itd. I tak samo dzieje się u kobiety z jej jajnikiem.

Jedna tylko pozostaje przytem kwestya interesująca i godna zastanowienia. J a k i e k o m ó r k i nasamprzód

połączyły się ze sobą, np. podczas powstawania takiej kuli Volvox?

Sądźmy, że rzecz się tak miała.

Czytelnik przypomni sobie, że w prawdziwej koniugacji miłosnej, dokonywanej we dwoje, okazało się już bardzo wczesnie rzeczą niezmiernej wagi, ażeby łączyli się ze sobą tylko indywidua obce, a nie brat z bratem. Na tej podstawie urosła w biegu historii naturalnej cała różnica pierwotna pomiędzy płciami, całe wszechświatowe i historyczne znaczenia przeciwieństwo pomiędzy »mężczyzną« i »kobietą«.

Ale ta świeżo wyłaniająca się zasada związku społecznego wielu komórek nie miała nic do czynienia z zespalaniem się w sensie miłosnym. Było to zrzeszanie się w celach samoobrony, a nie akt rozrodczy.

Samo przez się było zrozumiałe, że takie zrzeszenia o charakterze samoobronnym właśnie z samego początku (w przeciwieństwie do tego, co się działo w sprawach miłosnych) tworzyły się z rodzeństwa, z komórek jednego pochodzenia, jednego pierwotnego podziału zespolonej męskiej i kobiecej komórki. A wszędzie tam, gdzie wyodrębnienie płciowe przedtem już powstało i było odziedziczone, składały się one oczywiście bądź z braci, bądź z sióstr. I jako fakt najnaturalniejszy, powstawały wciąż kule bratnie na wzór Volvox'a, składające się bądź z takich komórek, z których każda wytwarzała małe komórki męskie, bądź z takich, z których każda dostarczała wielkie żeńskie komórki. Dla zapłodnienia każda kula poruszała się ku innej o płci odmiennej, a z wytworów, powstałych po koniugacji, wyrastały obok siebie w ogromnej liczbie poczęści znów męskie, poczęści żeńskie komórki po-

jedyńcze, które niebawem odnowa (zapewne już mocą odziedziczonej skłonności) zrzeszały się w braterskie i siostrzane związki.

Mówiąc nawiasem, zaznaczymy, że musiały zresztą już z początku samego powstawać, od czasu do czasu, kule mieszane, zrazu takie, w których łączyły się ze sobą bracia i siostry. Prawdopodobnie z początku samego zdarzał się również często fakt, że z konjugacji męskiej i kobiecej komórki w akcji rozrodczym powstawała nietylko prawdziwa męska albo prawdziwa kobieca komórka, ale taka, co dzieliła się na sposób mieszany: poczęści na sposób męski, poczęści na żeński.

Taki mieszany sposób rozmnażania się prowadził również w następstwie do mieszanych zrzeszeń. Nie należy jednakowoż zapominać, że i taka kula mieszana, która w tym ostatnim wypadku wytwarzała nadal z każdej komórki ciała nasienne i komórki jajowe, nie była wolna od trudu szukania sobie dla celów rozrodczych drugiej takiej kuli mieszanej. Wszak należące do niej komórki były, mimo różnej płci, jednak prawdziwym rodzeństwem i potrzebowały dla krwi swej nowych pierwiastków przez krzyżowanie. Ten trzeci wypadek jest sam przez się pouczający, i należy go sobie zapamiętać specjalnie, bowiem masa zwierząt i niezliczona liczba roślin, należących do wielokomórkowych doskonale rozwiniętych ustrojów, zachowała się jeszcze dotąd, jako istoty dwupłciowe. Ale i tu wszędzie musi hermafrodyta pomimo swej dwupłciowości za każdym razem szukać w celach miłosnych drugiej istoty dwupłciowej i skrzyżować się z nią, zapobiegając zniweczeniu swego gatunku. Później powrócimy jeszcze do tego

tematu — tu wspomnieliśmy o tem wszystkim tylko w nawiasie.

Pozostańmy przy zwykłym wypadku: mamy przed sobą kulę w rodzaju Volvox, której komórki pojedyncze są wszystkie rodzaju męskiego i wyłącznie wydzielają komórki nasienne, oraz drugą taką kulę, gdzie odwrotnie wszystko jest rodzaju żeńskiego. Teraz wstępuje w swe prawa zwolna podział pracy, który stopniowo surową grudkę komórek kuli zamienia w organizowaną budowlę. Widzieliśmy już, jak tworzyły się np. skóra, żołądek, usta, — jak podział pracy stwarza w rzeszy komórkowej te pierwsze narządy. Czemużby to samo, co dzieje się tam z wchłanianiem, nie miało mieć przed tem lub po tem miejsca z miłością?

Każda komórka rzeszy odczuwa pierwiastkowo potrzebę wchłaniania i wydzielania w tym samym stopniu, w jakim odczuwa również, jako potrzebę, czynności wyższe dzielenia się samoistnego i wyprawiania odszczepionych cząsteczek ciała na szukanie przygód miłosnych. A jednak widzimy, jak stopniowo znaczna część komórek zrzeszonych odwyka od właściwej czynności przyjmowania pokarmów z zewnątrz (i zarazem wydzielania nieużytków nazewnątrz), bowiem pewna liczba komórek przyjęła tę czynność na siebie w zastępstwie reszty. Te inne komórki otrzymują oczyszczone soki życiowe dla skompensowania strat, podczas przemiany materii, wprost od tamtych komórek, nie troszcząc się zupełnie więcej ani o przyjmowanie pokarmów, ani o trawienie. Czemuż zupełnie to samo nie zachodzi lub nie miało zachodzić przedtem z rozmnażaniem się?

Już w pojedynczej komórce istniała ta prerogatywa,

nawet podział pracy pewnego rodzaju, polegający na tem, że nie miała ona już potrzeby rozpadać się całkowicie na części rozrodcze, ale zachowywała sobie dla tych celów tylko pewną część ciała. O ileż korzystniej przedstawia się cała sprawa, kiedy ze 100 komórek 99 może skasować u siebie nawet ów kącik zarezerwowany, natomiast całe rozmnażanie przejmuje na siebie jedna komórka i dzieli się sama, w zastępstwie wszystkich innych, na komórki nasienne lub jajowe!

Myśl ogólna jest tak doskonała, że nie ma chyba potrzeby rozwodzić się nad nią dłużej. Na wzór tego, jak w związku komórek mógł się wytworzyć przewód pokarmowy, ogólny »narząd chłonący«, jakby biuro chłonne z wyodrębnionym biegiem interesów, z których korzyści stawały się jednak własnością ogólną całego związku — zupełnie tak samo wytworzyć się mogły, również w ogólnej masie komórek, osobne wydziały z funkcją rozrodczą, osobne narządy rozrodcze: tu męskie, które wytworzyć miały dla całego rodu dostateczną liczbę komórek nasiennych, tam znów żeńskie, gdzie odbywało się masowe wytwarzanie jajeczek za wszystkich obywateli państewka komórkowego.

Oczywiście, co do szczegółów jest jeszcze wiele kwestyj. Narząd chłonny chłonił i trawił odtąd za wszystkie komórki. Dobrze. Ale działało się to w ten sposób, że skuteczniał on właściwą »twardą« pracę, ale z rezultatów korzystały również wszystkie inne komórki i narządy w postaci niebezpośredniego wprawdzie, ale tem niemniej realnego pożywienia. Narząd rozrodczy (męski albo kobiecy, albo nawet obojniaczy) również spełniał odtąd za wszystkich ciężką pracę rozrodczą; ale czy

wzajemian za to otrzymywał on w jakikolwiek sposób zasilki od innych?

Tu rozpoczyna się dziedzina faktów, których rozwoju w przeszłości niepodobna wyjaśnić sobie z tego względu, że nie wiemy jeszcze, jak te rzeczy stoją u najwyżej uorganizowanych istot dzisiejszych, nawet u człowieka samego.

Ciemną jest jeszcze sama przez się kwestya w jakim stosunku pozostają wszystkie komórki ciała ludzkiego z nowymi wytworami w naszych narządach płciowych. Ażali, pomimo podziału pracy, albo właśnie dzięki niemu, każda z tych miriadów komórek, które stanowią ciało ludzkie poza narządami płciowymi, znajduje się jednak w tajemniczym związku wewnętrznym z tym narządem i każdą poszczególną wytwarzaną tam komórką nasienną? Kwestya ta jest aktualną i dla wyższych ustrojów łącznie z człowiekiem samym i wkra- cza w obręb badań, nad którymi dzisiejsi uczeni zacięte wiodą spory. Jestto dziedzina t. z. »dziedziczności«.

Właściwie poruszyliśmy już raz tę kwestyę zgruba — a mianowicie w historyi o karłach. Powiedziane tam było, że z potomstwa tych karzełków, którzy połączyli się ze sobą, jako samiec i samica, wyrosły p o c z ę ś c i osobniki męskie, p o c z ę ś c i żeńskie. Cóż kierowało tą alternatywą? Jestto ta sama kwestya aktualna, którą poruszył wiedeński profesor Schenk: od czego zależy w płciowym rozmnażaniu się, gdzie mężczyzna i kobieta łączą się ze sobą w sposób normalny i wywołują zlanie się w jedno dwu komórek nasiennej i jajowej, od czego zależy powstawanie chłopca lub dziewczynki? Oboje powstają naprzemian w jednym, mniej więcej, stosunku procentowym.

Ale gdzie tkwi przyczyna? Nikt tego nie wie — zapewne nie wie tego również i profesor wiedeński. A jeżeli nie wiemy nawet, jak się to dzieje u człowieka, to jakżeż rozwikłać mamy tę zagadkę w komórkach pierwotnych? Powyżej zręcznie ominąłem tę całą kwestyę i wolno mi było to uczynić z tego względu, że w istocie zupełnie luźno związana jest ona z przewodnią ideą całości. Pozostaje właściwie tylko nieznaczną luką.

Ale teraz znów napotykamy tę samą lukę. Dopiero co słyszeliśmy pytanie, dotyczące tego, co określa płęć dziecka? Teraz kwestya ta staje przed nami w odmiennej postaci: chodzi o to, jaki wpływ posiadają komórki ciała całego wogóle na akt twórczy? Trzeba dobrze wyrozumieć, o co tu chodzi. Oto człowiek. Ma on pewien określony kształt twarzy: taki kształt nosa, piwne oczy o charakterystycznym wyrazie, na lewym policzku ma on, przypuścmy, piętno matczyne. Dziś człowiek ten płodzi dziecko. Dzieje się to nie w ten sposób np., że całe ciało jego dzieli się na dwie części, przyczem i twarz rozpadałaby się również na dwie części; ale dziecko człowiek płodzi przy pomocy narządu płciowego: oddziela od siebie jedną małą komóreczkę nasienną, ta znajduje sobie komórkę jajową kobiety, stapia się z nią w jedno — i z wytworu tego procesu wyrasta nowy człowiek, chłopiec, albo dziewczynka, — dlaczego? tego już nikt nie wie. Ale mniejsza o to: niechaj będzie chłopiec. Przychodzi on na świat... i oto ma twarz, podobną do ojcowskiej, te same oczy, to samo piętno na policzku. W jaki to sposób było możliwe? Proszę sobie wyobrazić przez chwilę, że człowiek w samej rzeczy rozpadł się całkowicie na dwie połowy, jak pierwotniak jednokomórkowy. Wtedy jego połowa, t. j.

dziecko, otrzymałaby jedno z jego oczu i być może właśnie przypadkowo ów policzek z piętnem. Nie byłoby wtedy w tem wszystkim nic dziwnego... Lecz w danym wypadku? Oto pamiętać należy, że wydzielenie z siebie ciała nasiennego, zamiast podziału na dwie części, jest skutkiem całego szeregu czynników: po 1-sze, ma ono swe źródło w zjawiskach, których widownią była owa historia o karłach pierwotnych; po 2-gie — w zrzeszeniu się społecznem niezliczonych komórek w celu utworzenia ciała ludzkiego; po 3-cie — w podziale pracy, który wytworzył narząd płciowy. On ześrodkowuje w sobie wszystką płciową siłę rozrodczą tego zrzeszenia. W chwili kiedy narząd ten wydziela ciało nasienne, powtarza się raz jeszcze, symbolicznie niejako, proces dzielenia się całego ciała. I co najdziwniejsza, że oto ten narząd oczywiście mocen jest w pewnych warunkach wtłoczyć w jedną jedyną drobną komórkę nasienną tak wierny obraz całego zrzeszenia komórkowego, że wreszcie w dziecku wyłonić się mogą zupełnie wyraźnie oczy ojca, piętno matczyne i t. d. Cóż to za czary? Któż nadaje temu narządowi taką potęgę? Czyż nie znajduje się on w stałym, a tajemniczym związku z wszystkimi komórkami, co umożliwia mu otrzymanie z każdej komórki pewnego udziału w celu oddania go komórce nasiennej.

Istnieli bardzo mądrzy ludzie, którzy wyobrażali to sobie w sposób bardzo realistyczny. Podobnie jak jelita trawia same, a później siły odżywczej udzielają wszystkim komórkom, tak samo i narząd płciowy sam miał wytwarzać substancje rozrodcze, ale przytem otrzymywać

miał od każdej poszczególnej komórki trochę siły odżywczej, która (przeniesiona być może w postaci drobniutkiej cząstki komórki) miała właśnie sprzyjać dokładnemu odtworzeniu każdej poszczególnej komórki w ciele tworu, pochodzącego od komórki nasiennej, t. j. w ciele dziecka. Każda komórka piętna matczynego np. również dostarczała ponoć narządowi płciowemu drobniutkiej cząsteczki materiału, który będąc wchłoniętym przez każdą komórkę nasienną, mógł również taką cząstką piętna obdarzyć znów przygodnie każde dziecko, z tego nasienia pochodzące! Darwin nadał tej teorii formę najściślejszą i ochrzcił ją mianem »pangenetycznej«. Jasna, że gdyby tak rzeczywiście było, to dałoby się łatwo całą sprawę wtłoczyć w nasz łańcuch rozwojowy. Ale właśnie jest wielka kwestya, czy tak jest.

Właściwie nie omawialiśmy kwestyi dziedziczności, ale przedstawiliśmy tylko hipotezę, podaną przez mądrego człowieka. Są jeszcze inne hipotezy. W dziedzinie dziedziczności roi się i przelewa od hipotez w obecnej chwili, — a żadna właściwie nie jest przekonawająca. Pogląd Darwina jest jakby najprostszy, najprymitywniejszy, — najbardziej jednakowoż się nadaje do jasnego postawienia samego problemu. Ale jest więcej niż prawdopodobne, że w rzeczywistości sprawa przedstawia się o wiele bardziej zawile. Przytoczymy jeszcze poważny zarzut przeciw teorii, zarzut, który poprowadzi nas o krok dalej w dziedzinę współczesnych rozpraw naukowych o dziedziczności.

Jeżeli każda komórka związku komórkowego nie przestaje w ciągu całego życia bezpośredni wywierać wpływ, w sensie Darwina, na każdą komórkę nasienną, to słusznem byłoby co następuje.

Przypuśćmy, że dany człowiek nie miał od urodzenia piętna na twarzy. Aż tu pewnego razu ktoś przez nieostrożność poparzył mu policzek tak, że utworzyło się piętno, blizna. Potem płodzi on dziecko; skądinąd cała twarz podobna jest do ojcowskiej twarzy. Ale czyż będzie miało ono również i bliznę? Gdyby spoglądać na to ze stanowiska darwinistycznej teorii dziedziczności, to dlaczegóżby nie miało jej mieć? Wszak i te zmienne na skutek oparzenia komórki udzieliły swoich cząsteczek komórce nasiennej w narządzie płciowym, przy której pomocy spłodził on dziecko — więc znak po poparzeniu musiałby również ujawnić się u dziecka. Darwin i liczny szereg innych uczonych zapewniają, że przypadki podobnego dziedziczenia często właśnie się zdarzają. Temu zaprzecza właśnie cała szkoła, która skupia się dookoła Weismana. Twierdzą oni, że odziedziczenie takich świeżo nabytych cech, nigdy i nigdzie nie było jeszcze dotąd spostrzegane. Jeżeli tak jest w istocie, to twierdzenie to oczywiście stanowi ciężki zarzut przeciwko tamtej całej teorii o nieustannym związku każdej komórki zrzeszonej z każdą komórką nasienną w narządzie płciowym. To też Weismann postawił zupełnie inną teorię dziedziczności. Ale znów pytanie, czy Weismann ma słuszność? Przeciwko jego teorii znów występuje bardzo ogólnikowo tylu innych, którzy wcale nie byli zwolennikami owej teorii Darwina, a kruszą kopie swe na korzyść innych teoryj dziedziczności. Koniec końców stoimy nad otchłanią rozumowań, gdzie najwidoczniej w zakresie punktów najbardziej spornych nie ustalone jest z absolutną pewnością najprostsze nawet spostrzeżenie. A dopóki tak jest, nie może być nigdy trwałego gruntu pod nogami.

Niechaj tymczasem walczą ze sobą obozy wrogie — my zaś nie zapuszczajmy się zbyt głęboko w ten labirynt, tak samo, jak to uczyniliśmy w obec kwestyi o duszy. Już z samej istoty problemu miłości wypływa, że wszędzie jądra rzeczy sięga. Tu wytryskują wtedy wszystkie wody głębin, jak w zbyt śmiało drażonym szybie, — nawet te zupełnie czarne, wielkie podziemne potoki, na których chybczą się, niby jakaś warstewka chwiejna, wiedza i światopogląd współczesnego człowieka.

Nie, trzymajmy się roztropnie z wielkim rozmachem nakreślonej linii, bez zagłębiania się w ciemne dziedziny kwestyj specjalnych, popod którymi tuż znajdują się purpurowe otchłanie, zaludnione salamandrami i smokami.

Wydaje nam się, że owa linia szeroko zakreślona, jest już, jako całość, zupełnie jasną dla czytelnika. Wiedzie ona od pierwotniaka jednokomórkowego, bezpłciowej istoty, co w celach rozrodczych rozdzierał się prosto na dwie części, aż do istoty wyższej, która stanowi zrzeszenie wielu komórek, choć jako całość — w sposób zaiste cudowny — wyobraża sobą znowu prawdziwe, jednolite indywiduum; a pozatem dzieli się na narządy, dzięki zasadzie podziału pracy i posiada taki narząd, co służy wyłącznie dla celów rozrodczych, że pominiemy już kwestyę, w jakim związku znajduje się on z wszystkimi innymi komórkami ciała, i czy wogóle taki związek istnieje. Narząd ten może być męski lub żeński; wydziela odpowiednio do warunków komórki nasienne lub jajowe, albo jedno i drugie, które łączą się ze sobą podczas aktu płciowego; zaś na sku-

tek łączenia się komórek odbywa się wreszcie »właściwe rozradzanie się«, powstaje nowa istota.

Z powodu powstawania tej nowej istoty należałoby wtrącić tu ważną uwagę, która wprawdzie raz jeszcze wkracza w dziedzinę drażliwego problemu dziedziczności, ale już w ten sposób, że odsłaniają się nam mniej zasadnicze strony tej kwestyi.

Rozważmy i porównajmy dwa szeregi zjawisk. Oto mamy przed sobą kulę, z komórek złożoną, na wzór kuli Volvox. Co poprzedza ją w rozwoju historycznym? Cały szereg szczebli. Ongi istniały wyłącznie istoty jednokomórkowe. Rozwój ich szedł w tym kierunku, że szukały się one wzajem po dwie: jedna ruchliwa, druga leniwa; jedna mała, druga większa. Stapiały się w jedno i stwarzały dzięki podziałowi całą masę nowych istot jednokomórkowych. Zapewne w ciągu długich czasu okresów postęp na tem się zatrzymał.

Potem nastąpił dalszy etap rozwojowy: wiele takich istot jednokomórkowych zrzeszyło się ze sobą w związek. W tem zrzeszeniu powstał pewien podział pracy. Niektóre komórki przyjęły na siebie wyłącznie czynność rozrodczą, odtąd same dzieliły się w kuli komórkowej na męskie nasienne i żeńskie jajowe komórki.

Zjawisko to w całym swym przebiegu poznaliśmy dokładnie poprzednio, prawdaż? Wprawdzie nie stanowi ono w rozwoju momentu światoburczego, ale jednak wyobraża sobą dość znaczny szmat historii, który naogół rozciągał się na dość długi okres czasu i sięga

przeszłości bardzo dawnej, jeszcze wstecz po za ów brzeg kambryjski...

A teraz raz jeszcze obejrzyj sobie poszczególną taką kulę Volvox, ale tym razem zapomnij o wszystkim, co mogłoby ci przywieść na pamięć jej historię, proces jej pierwotnego stawania się, odległe okresy rozwoju. Weź tę małą kulę wielokomórkową, jako oddzielny twór dzisiejszy, żyjący pod promieniami słońca naszego, jako punkcik zielony, sunący tu w tej chwili ochoczo po sino-kryształowej fali. Jak twór ten »powstał«, jako indywiduum, sam przez się? Względnie niedawno temu stanowił on jeszcze jedną komórkę, jedną ruchliwą komórkę jajową. Do tej pojedynczej komórki przyłączyła się jeszcze jedna drobniejsza komórka, ruchliwa komórka nasienna. Obie te komórki stopiły się w jedną całość i wytworzyły z siebie przez podział cały rój nowych istot jednokomórkowych. Te ostatnie utworzyły związek społeczny pomiędzy sobą; w związku tym powstał pewien podział pracy, który w kuli naszej teraz zaraz doprowadzi pomiędzy innymi i do tego, że niektóre komórki znowu odpadną, jako komórki jajowe i odnowa rozpoczną bieg procesu rozrodczego...

Czyż oba te zjawiska nie są prawie równe sobie: owo prastare, co spełniło się prawdopodobnie już kiedyś w okresie przedkambryjskim przed istnieniem człowieka, i to drugie, zupełnie nowe, które teraz jeszcze co chwila przed oczyma ludzkiemi się powtarza?

To są jednakowe zjawiska. Każda kula Volvox odbywa w swym rozwoju indywidualnym dziś jeszcze zupełnie taki sam mały szereg etapów, przybiera te same formy, które występowały w czasach prastarych, kiedy wogóle po raz pierwszy z pierwotniaków jednokomór-

kowych rozwinęły się w przebiegu historycznym kule Volvox.

Tylko jedna różnica jest ustalona. To, co w kuli Volvox toczy się szybko w nieprzerwanem tempie jedno po drugim, jak w przekręconej sprężynie zegara, to samo w owe czasy odległe, podczas pierwotnego rozwoju, następowało prawdopodobnie po sobie bardzo wolno, krok za krokiem w niezmiernych szeregach pokoleń. Bardzo, bardzo powoli musiał ów szereg pokoleń zamierzchłych wyszukiwać każdy etap, w dodatku pośród tysiącznych powikłań i przeszkód, stopniowo musiał pokolenie za pokoleniem odkrywać szczeble poszczególne, musiał się z nimi oswajać, zdobywać je. Dzisiejsza kula Volvox znajduje się oczywiście w stosunku do tych starych pokoleń, jak spadkobierca do zdobywającego mienie. Pokolenie dzisiejsze »odziedziczyło« cały ten łańcuch rozwojowy, który narówni z tą lub ową stroną jego istnienia przeszedł mu w krew i ciało, został bez poprawek niejako od początku samego przez nie przejęty, jak jakaś odwieczna tradycja rodowa, został mu wszczepiony, jako ślepy akt odruchowy. Z chwilą, kiedy Volvox wytwarza z siebie komórkę nasienną, pojedynczą, swobodną komórkę, wydaje się, jakgdyby tę komórkę opanowywało uparte prastare jakieś wspomnienie, niby prawdziwe wyobrażenie natrętne: ona nie może już inaczej, ona musi odnowa pójść dawną drogą wzwyż do prawdziwej kuli.

I znów wyłania się nam przytem napotykanym ów tajemniczy fakt, spoczywający u podstawy życia, »dziedziczność«. Ale tym razem wyłania się nam to zjawisko

w takich okolicznościach, kiedy co do faktu samego wprost żadnych niema wątpliwości.

Spróbujmy ten prosty fakt, którego uczy nas kuli Volvox, ująć wreszcie w jakąś formę naukową, w jakieś »prawo«. Moglibyśmy naprzykład powiedzieć, że każda poszczególna kula taka, dzisiaj napotykana, przebiega w swym rozwoju indywidualnym bardzo szybko, niejako automatycznie, jeszcze raz te same etapy rozwojowe, które ongi w biegu historii naturalnej przebiegali jej przodkowie, kiedy w rozwoju swym dosięgali wogóle kuli Volvox.

Z całego przedstawionego tu przez nas przebiegu rzeczy widać, że w »prawie« tem niema żadnych czarów. Jedyne, ciemne trochę punkt, to »dziedziczność« sama, ale tu właśnie stoimy znów — trzymajmy się już tymczasem tego punktu widzenia, — wobec takiego samego zasadniczego zjawiska, jak wchłanianie, wzrost, dzielenie się samoistne, zespalandie się miłosne itp. Wydaje nam się, że właśnie przykład nasz z kulą Volvox posiada takie cechy, że właściwie trudno sobie wyobrazić, jakby sprawy pójść miały i n n y m torem.

Ale teraz uświadomić sobie musimy, że »prawo« daje nam w ręce klucz do wszystkich faktów w rozwoju życia miłosnego u wyższych istot na ziemi żyjących. Niejako samodzielnie wykryliśmy wielkie t. zw. zasadnicze prawo biogenetyczne. Pierwszy Hückel utrzymał pojęcie tego prawa i tak je nazwał od greckich wyrazów: »bios« — życie i »geneza« — rozwój, t. z. zasadnicze prawo rozwoju życia.

Po raz tysięczny musimy prosić czytelnika, ażeby wrócił myślą do tej prostej historii człowieka, której bohaterkami są dwie komórki, nasienna i jajowa, do

tej pysznej historyi, od której poczęła się nasza przechadzka miłosna i o której mówiliśmy, że na niej spoczywa jeden koniec wielkiej tęczy miłosnej rozpiętej nad starą naszą planetą. Ale tym razem wreszcie i tutaj znajdziemy zaklęty klucz złoty.

Sam człowiek ze wszystkimi swemi mirjadami komórek, z narządami, w których komórki te uprawiają podział pracy, nie jest, jak widać z wywodów powyższych, niczem innym, tylko najwspanialszym oraz najwyższym ciągiem dalszym owego rozwoju, który wydał kulę komórkową w postaci Volvox lub jemu podobnych. Bez względu na olbrzymie różnice, jakie człowieka dzieli od tych tworów, bez względu na jego wyżyny umysłowe oraz najwyższy wyraz człowieczeństwa, wszystkie zasadnicze czynniki jego organizacyi już w pewnej mierze istnieją w tych tworach, a nawet dalej wstecz w owej gastraea: są tu komórki, co skupiły się mocno wzajem dla zrzeszenia społecznego; jest podział pracy, co prowadzi do powstawania narządów, zaś pośród tych narządów istnieją przedewszystkiem również narządy rozrodcze, męskie u mężczyzny, a kobiece — u kobiety.

Pomiędzy człowiekiem a gastraeą lub Volvox'em ciągnie się niewątpliwie niezmierny łańcuch dalszych historycznych etapów rozwojowych.

Pierwszy Volvox i pierwsza gastraea żyli najpewniej na długo przed owym okresem kambryjskim, który sam przecież sięga wstecz poza człowieka na wiele milionów lat. Z gastraei wytworzyć się musiał nasamprzód robak, z robaka najdawniejsze, najprostsze zwierzę kręgowie, coś w tym rodzaju, jak dzisiejsza ryba Amphioxus. Z tego stworzenia powstał minog, z minoga

ryba, podobna do naszych rekinów, z rekina powstała ryba-salamandra, potem salamandra, płaz, dziobak, zwierzę workowate, półmałpa, małpa - gibbon, małpolud; wreszcie powstał człowiek sam, człowiek, który przyrodę przekuł na kulturę w czerwonych błyskach swego sztucznie wytworzonego ogniska...

Niezmierny łańcuch rozwojowy, stokroć bardziej olbrzymi niż ów mały szereg istot pomiędzy tworem jednokomórkowym a Volvoxem lub gastraeą! A jednak w zawartych tam założeniach podstawowych nic się nie zmieniło na przestrzeni tego całego łańcucha, co zda się, ciągnie się od nieba do ziemi. Wraz z Volvoxem, spełniło się prawo biogenetyczne, i człowiek mu również podlega. Spełniało się ono i wówczas, kiedy ty, czytelniku, byłeś w łonie matki, i spełnia się w chwili, kiedy dziecko płodzisz. Przypatrzmy się temu raz jeszcze.

W narządzie rozrodczym ciała kobiecego — a więc w tej dziedzinie jej wielokomórkowego ciała, gdzie na skutek podziału pracy komórki wyłącznie służą procesowi rozmnażania się — oddziela się jedna jedyna, mała, nieruchliwa komórka jajowa. Jedna jedyna komórka! Dzięki mężczyźnie zjawia się podczas aktu miłosnego druga jeszcze mniejsza komórka pojedyncza: ruchliwa komórka nasienna. Obie komórki — dokładnie przypatrywaliśmy się już temu małemu misteryum — stapiają się ze sobą w jedno i wytwarzają z siebie przez rozpad rój nowych tworów jednokomórkowych. Ten rój nowych tworów jednokomórkowych łączy się w związek społeczny; w tym związku społecznym powstaje pewien rodzaj podziału pracy, nasamprzód w sensie grupowania się komórek w narządy...

Należy zwrócić tu baczną uwagę: człowiek to już

nie Volvox, a jednak i on przebiega raz jeszcze w łonie matki całą tę linię rozwojową, która historycznie doprowadziła do Volvox'a, i którą ten ostatni, jako indywiduum, zgodnie z prawem biogenetycznym jeszcze powtarza. I musi się tak dziać, bowiem człowiek wyniósł się w przebiegu historyi naturalnej ponad Volvox'a lub przynajmniej podobne mu formy zwierzęce, a istnienie człowieka na ziemi obejmuje poprostu sobą istnienie Volvox'a, jako jeden z poprzedzających etapów rozwojowych.

Alści człowiek w rozwoju swym nie zatrzymuje się na tym szczeblu. Zarodek ludzki w łonie matki musi więcej jeszcze objąć, według prawa biogenetycznego musi odtworzyć w swym rodzaju nie tylko Volvox'a, bowiem wybiegł historycznie po za niego poprzez olbrzymi łańcuch przodków, od Volvox'a wzwyż do człowieka ciągnący.

Można się przekonać naocznie, jak oto z zarodka ludzkiego — z prostej grudki komórek — wyrasta twór o dwu warstwach komórkowych, zupełnie tak samo, jak w gastraei, utworzyły się dwie takie warstwy — skóra i jama chłonna. Z tych dwu warstw tworzą się następnie cztery, jak u robaka, i z nich powstają narządy, budową zbliżone do narządów robaka. Oto zauważyć już można załążek rdzenia, potem najprostszego kręgosłupa bez czaszki jeszcze, jak u bezczaszkowego Amphioxus'a, stojącego na bardzo niskim szczeblu rozwoju. Potem tworzy się czaszka, ale zrazu taka, jak u bezskrzelowego minoga. Obie pary kończyn występują w postaci pączków, przypominających za ledwie pletwy, na szyi tworzą się szpary skrzelowe: jest to stadyum, zapowiadające rybę. Ale oto niepowstrzymany w swym biegu

automatyczny rozwój, prowadzi już ku formom, które tą lub ową cechą swą przypominają płaza, dziobaka i zwierzę workowate. Wreszcie małpka i człowiek. Tak powstaje człowiek, mężczyzna czy kobieta, król czy żebrak, Spinoza czy Hieronim Jobs, święty czy rozbójnik...

Człowiek w rozwoju swym jeszcze raz staje się tym, czem był kiedyś; to wszystko byli przodkowie. Z chwilą, kiedy człowiek powstaje, kiedy odrywa się, jako indywiduum, od olbrzymiego drzewa ludzkości, własny rozwój jego raz jeszcze przebiega w szumnym, burzliwym pędzie całą drogę od bacylusa do człowieka. Wprawdzie odbywa się to niezmiernie szybko, tak szybko, że całe okresy wyłaniają się zaledwie w półmgłę, niby cienie. Droga jest zbyt olbrzymia, w najszańszym pędzie jeszcze zbyt dużo byłoby potrzeba czasu dla jej przebycia. Dlatego też niejednen etap bywa przeskoczony, zatarty; ale co dziwna — nic zasadniczego nie bywa pominięte. Przedewszystkiem najtrwalszym okazuje się ów najodleglejszy tor, po którym biegł rozwój naturalny, jakgdyby rzeczy najstarsze ostawały się najlepiej. Są one też najważniejsze. Nasamprzód musi z dwu zlewających się ze sobą komórek wytworzyć się pień podstawowy zrzeszenia komórkowego, a z niego dopiero pierwszy załążek narządu. Później zdarzyć się nawet może niejedno uchybienie, ale całość olśniewa jednak swym przepychem.

I teraz dopiero wyłania się misteryum całe.

Teraz rozumiesz, czytelniku, nasze odległe wędrówki aż na wybrzeże kambryjskie i dalej wstecz jeszcze?

Czy widzisz, jak się ono wyłania, jak się wyłania również wybrzeże jurasowe, gdzie żyły dziobaki i workowate, a jeszcze dawniej o wiele przed nimi owo pra-

wybrzeże z gastraeą, pra-Volvoxem i pierwotniakami. Czy widzisz oczyma duszy, jak wyłania się to wszystko w głębi samego łona matki-człowieka, spowite w magiczną purpurę tajemnicy, i jak dziś jeszcze podporządkowuje sobie wszystkie zjawiska, jak panuje nad otchłannem, ciemnym królestwem ziemskim, na którym wyrasta różany snop w postaci młodego ludzkiego ciała...



amotny gaj sosnowy w Marchii. Leżysz plecami na dywanie z wrzosów usłanym, i dzięki szparze w lesie, uczynionej przez nasyp kolejowy, patrzysz bezustannie w błękitne o jedwabistym połysku niebo. Wszędzie las i las w oddali. Pnie wysokie o surowej, ciemnej czerwieni, a ponad nimi szaro-zielona wełna pajęczyny iglastej, poprzetykanej wszędy błyskami słonecznej poświaty o połysku brązowym. Leżąc na trawie, ma się to wrażenie, jakgdyby w dole był drugi mały las zaczarowany — nieprzejrzany dywan paproci, z wzorem koronkowym, o intensywnej zielonej barwie. W głębi lasu unosi się szaro-złoty opar, podobny do upału samego, którym dyszą wszystko dookoła.

Leży się i myśli o wszystkich tych cichych odgłosach, o tem ledwie słyszalnym, a jednak wciąż bez przerwy tętniącym życiu lasu. Życie, wszędzie życie, życie organiczne: świat zwierzęcy, roślinny. W gąszczu nawołują się z cicha tam i sam zięby. Odezwie się kukulka, niby za lasem, gdzieś bardzo daleko, przebrzmiały odgłos dzwonka. Na błękitnym pasie nieba błysnie nagle biały brzuszek mknącej w dal jaskółki. Niby oderwana plama czerwona skacze wiewiórka z jednego pnia czerwonego na drugi ponad zielenią paproci. Obok słabo coś trzeszczy; to maszerują mrówki w długim, brązowym korowodzie. Mrówkolew, ten owad dziwaczny, sypie za nimi piasek ze swego małego lejka. Trzmiel owłosiony, niby niedźwiedź, głucho zapada we wrzos. A w powietrzu, na tle mżącego oparu leśnego, bezustanny wahadłowy ruch innych owadów, podobny do falowania świetlnych punktów złotych, a od czasu do czasu po-

śród tego przewinie się srebrnem pasmem sznur napowietrzny pajęczyny.

Wzrok ogarnia nieskończone światy życia, i ty oto jesteś z nimi nierozłącznie związany. Bowiem wszystko stanowi jedną jedyną falę życia na ziemi: i sosna, i paproć, i owad, i ptak — i ty, i wszystko to w ruch wprawia jednakie prawo, wszystko czerpie siły od słońca, od tego słońca, dookoła którego krążycie z waszą starą ziemią. Wszystko to, sosna i paproć, mrówki, jaskółki, wiewiórki i człowiek, to dzieci światła, przez duch kołysane, rodzeństwo od samego początku planety, związane wzajem całymi milionami lat; jeno wśród odmiennych losów wędrówki waszej ku odmiennym doszłście celom.

Wszyscy jesteście dziećmi lądu, i tu ściślejsze już łączą was węzły; jesteście dziećmi wielkich wysp ziemskich, dookoła których płynie błękitne morze, podobne do właściwej ziemi w jej pierwotnej postaci. Kiedy patrzysz teraz w niebo, to ci się wydaje, jakoby tam w przeczystym eterze, odbijały się, jak w zwierciadle, owe głębie morskie, które las przed tobą chowa. I w morzu nieskończone wre życie. Sterczą z głębi drzewa koralowe, okryte nie listowiem zielonym, lecz żółto-pomarańczowymi ustami żarłocznych polipów; swawolą srebrne ryby; płynie w cichym, długim szeregu rzesza mieniających się barwami tęczy dzwonów — to chełbie, najbajeczniejsze ze wszystkich dzieci morza. Życie, wszędzie życie zarówno w morzu, jak i na lądzie. W jednej kropli rosy jest świat cały, mirjady drżących dusz. A wszędzie tęsknota pomiędzy dwojgiem. Sosna i liść paproci, zięba i mrówkolew, jaskółka i wiewiórka, srebrna ryba i owo wielkie różnobarwne oko morza —

chełbia, — wszystko kocha, wszystko marzy, jak ty marzysz miłośnie o swej ukochanej. Wszystko stanowi jeden jedyny wielki łańcuch życia i miłości.

Przytul głowę do złomu granitowego, co ongi zniesiony tu został przez lodowce epoki lodowej w tę piaszczystą równinę zdala, z Norwegii — i przymknij oczy na chwilę.

Przed oczyma duszy powstaje z otchłani zapomnienia stara legenda... I przyszedł Jakób do miejsca, i został tam przez noc, bowiem słońce już było zaszło. I wziął kamień, położył go sobie pod głowę i ułożył się do snu. I śniła mu się drabina, co końcem dotykała nieba, a aniołowie Pana wspinali się i wstępowali po niej i schodzili.

Przyrodnik współczesny dotknie się twego czoła, i oraz tobie wyrośnie w wyobraźni drabina niebiańska. Człowiek — to niebo ziemi, on pierwszy świadomie spojrział w złote, gwiazdziste niebo, ponad nią rozpięte. On sam współ z nią dźwignął sobie ojczyznę na nadziemskim firmamencie ducha. On stworzył Boga w sztuce, w ideale, w prawdzie, w sobie samym. A ku temu człowiekowi wzwyż wspina się olbrzymia drabina tworów. Przeróżne formy ustrojów, żyjące jeszcze, jak i dawno już zanikłe, wstępują po niej i schodzą: wszystkie te formy życia, co głębiej tkwią w ziemi, niż człowiek! Olbrzymim pasem, o, współczesny marzycielu, jest drabina twoja niebiańska, z każdą latoroślą swą, każdą gałęzią.

U dołu komórka pierwotna, pierwszy twór żywy, co nie jest jeszcze ani rośliną, ani zwierzęciem. Potem stowarzyszenie komórek, jakieśmy to widzieli w postaci płynącej kuli Volvox. Takie stowarzyszenia ko-

mórkowe z jednej strony rozwijały się i dosięgły postaci rośliny i paproci, sosny, macierzanki z tego gaju; z drugiej znów dzięki podziałowi na dwa listki zarodkowe: skórny i jamochłonny, dzięki pewnemu odmiennemu podziałowi pracy odpowiednio do innego sposobu oddychania i odżywiania wydały gastraeę, ów twór pierwotny z żołądkiem, ustami i skórą. A dalej, powyżej nad gastraeę, powstało całe wielopostaciowe królestwo zwierzęce, coraz wyżej pnąc się po drabinie, aż wreszcie na samym szczycie stanął człowiek o przesłonecznionem oku Goethego.

Opasz biodra swoje i pójdź za mną. Wspinamy się teraz po tej drabinie zwierzęcej w górę, poza szczebel gastraei.

Najstarsze prapostaci znów giną u stóp naszych we mgle. A obok nas przesłania się również mrokiem niezmierną, równoległe stojąca drabina roślinna.

Głęboka przepaść dzieli wyższą roślinę od wyższego zwierzęcia, stojącego pod względem organizacji ponad Volvox i gastraeę. Roślina bierze z powietrza kwas węglowy, a wydziela tlen, ową substancję, która stanowi właśnie czynnik zasadniczy w przemianie materii u zwierząt. Korzeniem tkwi roślina w ziemi i przetwarza w sobie bezpośrednio substancje mineralne, czego nigdy nie bywa u zwierząt. Komórka zwierzęca dla nieustannego odnawiania się i wzrostu potrzebuje materii, przetworzonej już uprzednio organicznie, bądź zwierzęcej, bądź roślinnej — bezpośredniego przetwarzania minerałów nie jest już zdolna dokonywać. Więc choć zwierzę od rośliny na drzewie rodowem daleka bardzo dzieli przestrzeń, to okazuje się jednocześnie, że co do warunków swego istnienia jest ono od niej zależne. Nie dowodzi to jednak jego niższości; prze-

ciwnie zwierzę jest naogół ogniwem wyższem. Wyobraża ono życie, któremu nie trzeba już głębokiej otchłani ziemskiej i jej duchów życiowych, w ciemnościach pograżonych, takie życie, które już samo wymaga przetworzonego, na światło dzienne wydobytego życia.

Ze zwierzęcia w epoce największego rozkwitu wyrasta potem człowiek, który, jako istota absolutnie po dwakroć wyżej stojąca duchowo, obejmuje sobą zwierzę, tak samo, jak zwierzę stanowi stopień wyższy w stosunku do rośliny, roślina zaś w stosunku do padoku ziemskiego. I w miłości wszędzie u zwierząt napotykamy niewątpliwie zasadę wyższą. Wszak zbliżamy się przez nie do człowieka, którego miłość stanowi dopiero klucz do owych wyższych spiętrzeń, jak miłość wszechludzka, miłość wszechświata, stwarzanie miłości przez sztukę.

Skoro raz już postanowiliśmy pójść po tej drodze jednostronnej, wspinać się po niej musimy teraz bardzo, bardzo stopniowo.

Przy pomocy prawa biogenetycznego dowiedliśmy, jak człowiek, bądź to mężczyzna, bądź kobieta, związany jest bezpośrednio z całym owym najodleglejszym szmatem rozwojowym organicznej miłości na ziemi. Właśnie ten »najstarszy« okres miłości ludzkiej okazuje się zupełnie naturalnie najważniejszym. Bowiem obejmuje on cały akt rozrodczy i jego następstwa najbliższe: a więc dla mężczyzny całkowitą, że tak powiem, stronę miłości w znaczeniu ściślejszym branej, zaś dla kobiety przynajmniej jej część najważniejszą pod względem duchowym. Atoli nie należy zapoznawać faktu, że przez wykazanie tej łączności, przez to określenie temat nasz

wcale jeszcze nie został wyczerpany, prawdę mówiąc, jest on teraz zaledwie wszczęty. Widzimy dopiero szeroko zakreśloną linię, której początek ginie w pomrokach dziejów; pozatem nic więcej. Obecnie mamy przed sobą nową pracę. Pomiedzy gastraeą i człowiekiem znajdujemy niewysłowienie olbrzymi szereg zwierząt wyższych z ich tysiäcznymi postaciami miłości. Wszystkie mają jakąś cechę wspólną, i tę łatwo czytelnik wszędzie wykryje. Ale owych wariantów, owych tysiäcznych możliwości ujawniania się jednego, pierwotnie danego motywu nie znamy jeszcze dotąd. A jednak z tego chaosu wyłonił się człowiek, jako wielki, bajecznie cudowny wypadek poszczególny.

Przedewszystkiem nie wypadnie nam już teraz śleźć za niechybnie prostą jakąś linią. To będą obrazy poszczególnne, kalejdoskopowe. W przelocie pokażą ci one cały świat zwierzęcy, z szybkością wizyi wprawdzie, z niewyraźnie zaledwie zarysowanym systemem. Tu i owdzie tylko jakaś wstęga świetlna załśni.

Ale znów dojdziemy do człowieka, a wtedy odnowa skierujemy nasze kroki na tory jednolite.

Przygotuj się czytelniku: nieraz będziesz miał teraz to wrażenie, jakgdybyś przechodził przez piekło. Ale jednak nie jest to piekło żadne.

Jestto cicha wędrówka poprzez stare komnaty, gdzie stoją stare szafy z maryonetkami twego własnego słonecznego świata; komnaty, w których sam kiedyś mieszkałeś, i takie, co położone są obok i stoją tak niezmiennione ze starymi sprzętami. I tobie samemu zdarzało się tak samo, żeś w lata męskie, być może z pierwszym puszkim dojrzałości, wracał dodom w dawne miejsca swej młodości. Wszystko wydawało ci się dzi-

wnie małym, zakurzonem, — sprzęty domowe praojców; niejedno wydało ci się głupiem, dziecięcem, nawet dziecinnem i tak naiwnem, żeś śmiać się musiał. Śmiałeś się, boś wracał z pod tak gorącego wszechsłońca, po tyłu gwiazdnych wędrówkach. Stara mateczka, dla której w jej ciasnym pokoiku z bzowym kwiatem i spłowiałymi starymi hatami, świat stanął w jednym miejscu, o ścianę tylko granicząc z Kopernikiem, Darwinem i kwestyą społeczną... a ty jednak uśmiechasz się, rozumiesz wszystko, i jednak cię to wzrusza. Tu czujesz wiew swej młodości, swej pierwszej miłości, która do ciebie przysła, i tej pierwszej, która cię odeszła. Wtedy to wszystko nie było śmieszne zupełnie.

Tak też spójrz na dawny świat zwierzęcy. Chełbia, rak, mrówka, gwiazda morska, ryba — to wszystko odpowiada owej mateczce z kwiatem bzowym, do której ty, jako dziecko świata, powracasz w cichą godzinę zmroku. Wracasz, jako dziecko świata, do starych karzełków, którzy cię kołysali! Pomarszczeni są już dziś, nieprawda? Ale myślisz przytem, i oto myśl staje się cichą, wielką, tajemniczą gazą różaną, która swem kwieciem i cierniami spowija całą twą miłość przebrzmiałą. Pośród róż płomieni widzisz wieczne gwiazdy; niema kąta na ziemi, gdzieby ich nie było. A z ich dróg mlecznych dźwięczy pieśń wszechświatowa o duchu: »Spójrz, jestem przy was po przez wszystkie dni, i aż do końca świata pozostanę...«

Wyobraź sobie śliwkę.

Wyobraź sobie dalej, że śliwka ta ma u jednego końca usta, że wewnątrz jej jest wydrążone i że usta te

prowadzą do tego wydrążenia; że ścianka wokoło składa się z dwu skór, i że skóra zewnętrzna posiada małe wyrostki czy włoski. Śliwka wpada do oceanu. Nagle włoski poruszać się poczynają według pewnego taktu, tak, że cały twór szybko naprzód płynie. Drogę zastępują mu małe zwierzątka — cap, i otwór je pochłania. Są one teraz w wydrążeniu, jak w prawdziwym żołądku, — skóra wewnętrzna, jedna z owych dwu w ściance śliwki, opanowuje te zwierzątka pochłonięte w ten sam sposób, jakby to uczyniły ścianki naszego żołądka i kiszek z befsztykiem lub pieczenią gęsią: przetwarza je i trawi. Wobec braku otworu odchodowego resztki niestrawione muszą być znów przez usta wypłute.

Po za tem, kiedy »śliwka« nasza jest rodzaju męskiego, wydziela ona od czasu do czasu małe ruchome komórki nasienne, które oderwały się od jej skóry podwójnej. U »śliwki« żeńskiej tworzą się natomiast wielkie, leniwe komórki jajowe. A istnieć mogą i takie śliwki, co w jednym ciele obie substancje płciowe posiadają.

Bowiem to, cośmy dla plastyczności obrazu przedstawili, jako śliwkę, nie jest niczem innem, jak gastraeą, owem prazwierzęciem z pierwotnym żołądkiem lub kiszka, ową zasadniczą prapostacią rodową wszystkich prawdziwych zwierząt wyższych. Jestto grudka komórek, która wytworzyła z siebie indywiduum wyższego rzędu, i gdzie nastąpił już podział pracy w najpierwotniejszej formie. Popierwsze wyodrębniły się już komórki tego zrzeszenia społecznego w dwie kategorie: jedna stanowi »skórę« (co wszystko osłania i posuwa), druga — »żołądek« (co wchłania i trawi). Zaś powtóre, pod względem płciowym doszły komórki do stadyum, na

którym zresztą była już kula Volvox: nie każda komórka pływającej śliwki wytwarza osobno części nasienne i jajowe, ale pewna grupa komórek wzięła na siebie tę pracę za całą kolonię, — sama zarządza całą sprawą rozrodczą, która zresztą stale polega na tem, że komórka jajowa musi połączyć się z komórką nasienną drugiego, obcego indywiduum, ażeby powstać mogła istota nowa. Ta ostatnia zgodnie z prawem biogenetycznem, rozwija się znów samodzielnie, i z poszczególnej, ze spółkowania powstałej komórki wytwarza się grudka komórek o budowie gastraei.

Pójdźmy nad staw jakiś, weźmy kupkę owych popularnych pływających roślinek, znanych pod nazwą kosaćców. Rzuć je po przyjsciu do domu w miednicę, a skoro się znowu wyprostują, przy pomocy najslabszego szkła powiększającego odszukaj na nich bardzo drobne, centymetr może lub mniej długości mające, zielone pączki lub rozwarte kielichy, które zrazu wyglądają, jak roślina-pasożyt, lub pewien gatunek ukrytych kwiatów kosaćcowych. Aliści wkrótce ruchy tych tworów zdradzają, że mamy do czynienia ze zwierzątkami, które wprawdzie jednym brzegiem są zazwyczaj przymocowane, ale jednak posiadają niewątpliwie wszystkie cechy zwierzęce. Jest to t. zw. hydra, albo polip wód słodkich, jedno z najbardziej interesujących zwierząt pośród całego pół miliona znanych na ziemi gatunków zwierzęcych. Weź je teraz pod silniejsze powiększenie, przypatrz mu się uważnie, rozłóż je na części. Cóż widzisz? Oto masz przed sobą ową śliwkę; istotnie widzisz typową jeszcze gastraeę, zwierzątko, składające się tylko z ust, wgłębienia żołądkowego, ścianki żołądkowej i skóry, oraz mające po jednym otworze do wy-

dzielenia komórek jajowych, lub nasiennych. Jedna tylko różnica: ta gastraea już nie pływa. Przywykła już do osiadłego trybu życia, czepiając się podłoża (np. liścia). I w oczywistym związku z tą zmianą trybu życia zamiast narządów ruchu, które dawniej posuwały ją naprzód i pędziły pożywienie do ust, powstały u niej t. zw. »ramiona polipowate« t. j. małe wyrosłe dookoła ust, wyrosłe, które pomagają jej chwycić pożywienie i ładować je w usta.

Tu na najprostszym przykładzie widać, jaki mógł być pierwszy etap rozwoju gastraei. Powstały osiadłe »śliwki żołądkowe« z wiankiem ramion chwytających dookoła otworu ust: polipy. Tylko hydra (stułbia) żyje w naszych wodach słodkich, — ogromna większość polipów zamieszkuje morze. Należy do nich również owa piękna pstra róża morska, którą widzieć można w akwariach. Olbrzymie kolonie takich polipów tworzą »ukwiały«, a rusztowanie wapienne, przez nich wydzielane, stanowi później koral — biżuterię kobiet. W morzach gorących krajów podzwrotnikowych piętrzą się ogromne wyspy koralowe, a w zamierzchłych okresach historii ziemi powstawały z nich skały, które dziś podziwiamy, jako wysokie góry, np. wierzchołki dolomitowe naszych Alp. W dalszym przebiegu rozwinęły się z polipów meduzy (stułbiopławy), oraz pokrewne gąbki, którym zawdzięczamy nasze gąbki do mycia. I wszędzie typ tu pozostaje jednakowy: zawsze pozostaje ciało, które rozwinęło się z gastraei, ciało w postaci kielicha, otwarte tylko na miejscu ust, zaś naprzeciwległym biegunie zamknięte, bez otworu odchodowego.

Atoli polip wyobraża tylko jedną możliwość dalszego rozwoju gastraei. W tym samym stawie, gdzie szukasz stułbii, napotkać można wszędzie zwierzątka inne, również na bardzo niskim jeszcze szczeblu organizacyjnym stojące i po części dość jeszcze blisko spokrewnione z gastraeą; jedne z nich pływają, inne łążą; cały tłum postaci, objęty jednak jednym stałym mianem: robak. Jeżeli z gastrei wyrósł polip, który swój otwór ustny, zaopatrzony w ramiona chwytające, zwracał ku górze, to w robaku widzimy tę samą gastreeę, która tu samą budowę ciała swego przystosowała do poruszania w jedną stronę, bądź do pływania, bądź do łożenia.

Ciało się tu wydłuża, usta pozostają zawsze na przodzie, ale z tyłu stopniowo tworzy się odwłok tak, że ciało zamiast kielicha staje się podobnem do rury. W masie komórek u potomków robaków, dzięki podziałowi pracy powstaje coraz więcej narządów, czy to narządy zmysłowe (oczy, uszy itd.), czy specjalne narządy wydzielnicze, lub naczynia dla obiegu soków (krwi), albo wreszcie zewnętrzne narządy ruchu, jak pletwy, a ostatecznie i kończyny. W miarę przybywania tych narządów, grupują się one coraz wyraźniej parami po obu stronach ciała. Jelito pozostaje podłużną osią główną, ale inne narządy grupują się po prawej i lewej stronie, zgodnie z tą samą zasadą, jaką kieruje się dziś jeszcze budowniczy przy budowie okrętu lub powozu, tj. z zasadą najkorzystniejszego rozmieszczenia części poszczególnych dla postępowego ruchu w jedną stronę. Spójrz, człowieku, na siebie samego: sam jesteś jeszcze w ten sam sposób »dwustronnie« zbudowany; wyobrażasz sobą — biorąc nasze porównanie — niby

śliwkę rozciągniętą, z jednym żołądkiem i jednym otworem ust, jedną kiszka i jednym otworem odchodowym w pośrodkowej linii ciała, natomiast posiadasz po jednej ręce, po jednej nodze, po jednej nerce, po jednym narządzie nasiennym lub jajniku z każdej strony; z prawej i lewej strony masz po jednym uchu do słyszenia dwustronnego oraz mózg masz nawet na dwie części przepołowiony. A wszystko jest w człowieku tak urządzone dlatego, że sam on pochodzi wszak w ostatecznym rezultacie wprost od robaka z symetrycznie po obu stronach ciała umieszczonymi narządami. Atoli robak z chwilą, kiedy gastraea kształt jego przybrała, musiał dopiero to ugrupowanie narządów zdobyć, jako coś nowego, jako cechę dla siebie charakterystyczną, jako pierwszą cechę, pierwszą, jeżeli posuwać się w kierunku od dołu ku górze, któraby ostatecznie wyraźnie odróżniała go zarówno od zwykłej gastraei, jak i od owego etapu rozwojowego gastraei: polipa; miało to być coś specyficznie »robaczego«, co wraz z robakiem zjawiało się po raz pierwszy w królestwie zwierzęcem.

A więc teraz zrozumiały jest rozwój dotychczasowy, prawdaż? Z jednokomórkowego pierwotniaka w sposób przedstawiony powyżej rozwinęły się zwierzątka kuliste na podobieństwo Volvox'a, stanowiące prototyp każdego zrzeszenia społecznego. (Cóż to za doniosłe narodziło się pojęcie!) Z Volvox'a dzięki podziałowi pracy powstała gastraea, i tu jest próg prawdziwego królestwa zwierzęcego. Po za gastraeą dalsza droga się rozdwaja. Gastraea, wiodąca życie osiadłe, wyrastająca na podobieństwo rośliny, niby kwiat w postaci kielicha, wydaje polipa i gąbkę; zaś gastraea mająca podobieństwo do rury, rozwijająca się z prawej i lewej strony, łącząca

lub wijąca się naprzód, przekształca się w robaka, a dalej już w nieskończoność wzwyż aż do człowieka samego.

Po obu stronach mamy wprost nawał materiału dla naszych wywodów o miłości. Istne karykatury miłości. Czy znasz pyszne stare obrazki Tenniers'a, np. ten oto, wyobrażający pokusy św. Antoniego. Zamiast pięknych kobiet, tłum straszliwych poczwar i potworów, pół-szkielety i pół-zarodki; pół-jeź i pół-czarownica. A święty Antoni siedzi bezradnie nad budującą księgą. I dla nas oto wschodzi w czerwieni księżyc takiej nocy widmowej, a na drogach rozstajnych wyją wilkołaki i dziki zaczarowane. Mamy jednak zakłęcie, którego, jako i wielu innych rzeczy, brak było w budującym traktacie świętego Antoniego, — mamy pogląd darwinistyczny, który w całym tym dziwów rozgwarze przepiękny upatruje rozwój. Aż wreszcie zapadają się wszystkie widma, jak puste łuski — i wyłania się wtedy w rzeczy samej blaskiem świętym spowita kobieta w dyskretnej nagości bogini... Afrodyta, miłość ludzka, słodki kwiat lotosu, co wykwita, niby z wód czarnych, z pośród tego rozgwaru widmowego tysiąca postaci, w których przejawia się miłość zwierzęca.

Pragnąłbym zatrzymać przez chwilę uwagę czytelnika na polipie. Przez chwilę tylko; ale mam nadzieję, że będzie ona pouczająca. Na polipie i jego świcie.

Mogę ci zaraz zaoszczędzić pomyłki, która mogłaby w przeciwnym razie uczynić nudną całą dalszą naszą pogawędkę o miłości.

Mała stułbia, polip naszych wód słodkich, siedząca

na liściu kosaćca — i homo sapiens, najwyższa lato-rośl małego rodzaju na samym szczycie najwyższej uorganizowanych zwierząt kręgowych — mają oboje aż do gasterai wstecz, do tego pływającego zwierzątka w postaci brzucha, jednych i tych samych najstarszych przodków. A ponieważ zasadnicze prawo biogenetyczne dotyczy jednak ich obu, to i pochodzenie ich, jako indywiduów, jest bardzo podobne, przynajmniej do pewnego stopnia. Jest narząd płciowy męski i żeński, komórka nasienna atakuje jajową, zapłodnione jajo dzieli się, powstaje skupienie komórek itd., aż powstaje z jednej strony stułbia, z drugiej — człowiek. Tak samo dzieje się wszak nie tylko z polipem i człowiekiem, ale również z robakiem i rakiem, z pajakiem i chrabąszczem, z gwiazdą morską i ostrygą, z małwą i z rybą prawdziwą, z żabą i ptakiem. I oto nasuwa się zarzut, ażali wobec tego zasadniczego podobieństwa historia miłości nie będzie okropnie nudną, ażali nie będzie ona wiecznie jednakiem motaniem jednej nitki, jak w chińskim kółku, służącym do modlitwy, czego snadnie moglibyśmy sobie oszczędzić?

W chińskim kole modlitewnym Tschuan szeleści w ciągłym ruchu wirowym wiecznie ten sam pasek papierowy, i po tysiąc razy czyta się wciąż to samo: »*Om mani padme, hum*« — »Klejnot w lotosie, Amen«. Tak samo i tu wciąż kręci się, jak w młynie: szlak miłosny w postaci mężczyzny i kobiety, komórka jajowa, komórka nasienna, konjugacya, ponowny podział, skupienie komórek — bim, bam — aż do końca. — *Om mani padme, hum!*

Atoli natura nie jest jednak tak nudną. Spójrz przez teleskop: masz tam planety rozmaite: duże, małe, białe,

czerwone, zielonawe, biało-żółte, Venus, Mars, Neptun, Jowisz, Saturnus — a wszystkie one podlegają jednakiemu prawu ciężenia, z którym zgodnie toczą się dookoła słońca. I to mogłoby być nudne: a jednak każda planeta stanowi świat o odrębnym przepychu: Venus ze swymi białymi wałami obłocznymi, Mars ze swymi czerwonymi pustyniami i zielonawymi pasmami wegetacyjnymi, olbrzymi Jowisz ze swymi wstęgami dymu o barwie łososia i krwawymi plamami purpury, Saturnus ze swym przejmująco wzniosłym systemem pierścieni — niewyczerpana mnogość dla studyów, nad którymi jeszcze lat tysiące ślęczyć będzie ludzkość.

I oto każda poszczególna grupa zwierzęca, nawet każdy gatunek stoi przed tobą właściwie, jako taka planeta oddzielna, stanowiąca największego podziwu godną indywidualność, choć podlega temu samemu, co i wszystkie inne, zasadniczemu prawu. Jak dzięki różnicy w ukształtowaniu pomiędzy np. Jowiszem, Saturnem i ziemią, p o m i m o wspólnej im wszystkim siły zasadniczej, ziemia ta staje się właściwie dopiero zrozumiałą dla ciebie i interesującą, tak samo i życie miłosne człowieka nabierze dopiero właściwego w twych oczach oświetlenia, kiedy przedtem przejdiesz, nie zbacząc z drogi, poprzez wszystkie możliwe odmiany, w jakich przejawia się miłość na całym pozostałym obszarze królestwa zwierzęcego. A jak obszerne jest pole dla tych wariantów, mimo zasadniczego podobieństwa w pierwotnej drodze, jaką kroczą wszystkie stworzenia, o tem dać może wyobrażenie najlepsze ten oto przykład wstępny, po za polipa wybiegający.

Kochasz, — jako człowiek. Zapamiętaj sobie cztery, niewzruszenie trwałe, tezy z twego życia miłosnego.

Popierwsze: miłość ludzka dotyczy dwojga, mężczyzny i kobiety. Kobieta ma jajniki, ty masz ciałka nasienne, każde z dwojga ma narząd dla siebie.

Powtóre: jeżeli mężczyzna i kobieta kochają się wzajem, to jako płód miłości powstaje znowu prawdziwy człowiek — dziecko, które jest jeszcze wprawdzie »małym« człowiekiem, ale od chwili urodzenia jest bezsprzecznie »człowiekiem«, a nie inną jakąś istotą.

Potrzenie: dziecko, które płodzicie, musi żyć na świecie długi szereg lat, musi osiągnąć zupełnej dojrzałości cielesnej, zanim samo stanie się dojrzałym płciowo i będzie w stanie płodzić lub rodzić dzieci. Nigdy nie bywa tak, ażeby jeszcze nieurodzone dziecko, w łonie matki pozostające, lub tylko co urodzone dziecko, mogło »jako dziecko« wydawać już znowu na świat dzieci.

I wreszcie jeszcze jedno: jakieśmy już widzieli, człowiek właściwie i pierwotnie stanowi państwo w sobie, społeczne zrzeszenie miliona komórek, a jednak człowiek, jako indywiduum, choć ściśle bardzo wyodrębnione (jako istotny typ wszelkiej indywidualności!) jest jakby indywiduum drugiego stopnia, które powstało, zda się, dzięki tajemniczemu związkowi miliona najprostszych indywidualności. Ale mniejsza o to: na wszelki wypadek człowiek, jako taki, jest znowu indywiduum trwałym. Z takich indywiduów składa się ludzkość. Może się zdarzyć, że wiele takich indywiduów ludzkich znowu czynią coś wspólnie: łączą się w kółka przyjacielskie, towarzyskie, stanowią ciało społeczne lub państwo. Wprowadzony został pewien podział pracy tak, że np. jeden buty podszywa, drugi pisze gazety, a inny jeszcze przygotowuje kiełbasy.

Każdy związek miłosny dwojga ludzi jest również niczem więcej, jak takim współdziałaniem.

Ale mimo to nigdy nie zdarza się, ażeby całkowite indywidua ludzkie w rzeczy samej odnowa zrastały się ze sobą, jak to bywa z komórkami. Najściślejszy związek państwowy nie stwarza w rzeczywistości potwora o stu głowach i stu ramionach. Najkonsekwentniejsze stowarzyszenie nie prowadzi do powstawania człowieczego króla-szczura, gdzieby 50 lub więcej indywiduów zrastały się ze sobą odwłokami. I nawet najpłomienniejsza miłość między dwojgiem ludzi, miłość, której pragnieniem jest wzajemne pochłonięcie się, nie doprowadza do tego, żeby mężczyzna i kobieta stopili się ze sobą trwale i utworzyli na drodze płciowego stosunku zwierzę podwójne.

Uzbrojony w te cztery tezy zasadnicze, zastukaj teraz do zaczarowanego zamku. Jest on z kryształu błękitnego, a mieszkają w nim piękne, różnobarwne i przezrocze elfy. Jedne siedzą na ziemi, niby przepyszne kielichy kwiatowe. Inne pływają, jak wielkie mieniące się dzwony, poprzez błękitną poświatę. Jesteś u polipów i meduz.

A teraz użyj swych czterech tez, jako miary.

Już zaraz na wstępie mały zielony polip-stułbia, zamieszkujący wody słodkie, obala pierwszą twoją tezę ludzką. Jedno i to samo indywiduum z przodu, blisko wianka macek, wytwarza nasienie, a dalej ku tyłowi jajka. Rozumie się, że zapładnianie musi być zobopólne, przez wymianę produktów płciowych z dwu indywi-

duów — wszak znasz już tajniki prawa konjugacyi, nieregulowanej dobozem.

Różnica jednak w stosunku do człowieka pozostaje w pełnej sile. A sprawa staje się jeszcze zawilszą, jeżeli nadmienimy, że mała hydra wogóle może nie uprawiać jeszcze płciowego stosunku w celach rozmnażania się. Zbliża się ona pod tym względem jeszcze do tego, czego świadkami byliśmy w naszej historii o karłach, gdzie nowe indywidua powstawały wprost przez »pączkowanie«, przez oddzielanie kawałka ciała, który natychmiast, bez potrzeby łączenia się z obcą istotą, staje się na podobieństwo pączka nowem samodzielniem stworzeniem. Tak samo i hydra może wypuszczać z siebie bezpośrednio małe polipki, zupełnie na podobieństwo tego, co się dzieje z geranium: można je sztucznie rozmnażać nie tylko przez nasienie kwietne, ale prosto przez płonki. W roślinie wydaje się to zrozumiałem samo przez się, że obok płciowego zapładniania istnieje jeszcze w dalszym ciągu zwykłe pączkowanie. Ale tę samą cechę napotkać jeszcze można wszędzie u zwierząt niższych. Wprawdzie, im wyżej po drabinie rozwojowej wznosił się dany ród zwierzęcy, tem więcej jako jedynie przydatna okazać się musiała miłość płciowa. I temu zawdzięcza człowiek, że sam on dziś płodzić może dzieci tylko przez akt płciowy, że później kobieta wydać je musi na świat, — zamiast żeby mężczyźni lub kobiety od czasu do czasu wyrastali jeszcze mali chłopcy, lub małe dziewczęta na plecach, kolanie, lub nodze, jak główki sałaty na płodnej grzędzie warzywnej.

Ale przejdźmy do drugiej tezy naszej. Z łona matki-człowieka wychodzi znów człowiek-dziecko. Wydaje się to wszak absolutnie zrozumiałem samo przez się?

Zobaczmy. Mówiliśmy już o tem, że z owej najprostszej postaci polipa, z miłutkiej małej hydry rozwinęły się w następstwie również owe wspaniałe meduzy, których pełne jest każde wybrzeże morskie. Znamy je dobrze. Po przypiływie gwałtownym leżą one na białym piasku wybrzeża, jako gładkie mieniające się płytki galaretowe, schnąc beznadziejnie. Ale na otwartem morzu z pokładu okrętu widzieć je można, jak w pełnym swym przepychu ciągną powoli często w długim korowodzie te najbardziej podziwu godne twory morza, mieniając się wszystkimi barwami, tworząc widowisko bajeczne. Pośród tej bezbrzeżnej głębi morskiej czują się one zupełnie bezpiecznymi, choć pozbawione zupełnie punktu oparcia, urągają swem elastycznym szklistem ciałem potędze oceanu, co łamie jak słomkę olbrzymi okręt, wytwór rąk ludzkich.

Meduza taka to zwierzątko, stojące pod względem organizacyi wyżej od gastraei. Cały twór podobny jest do pływającego dzwonu, którego części zewnętrzne stanowią jedyny w swym rodzaju wspaniały narząd do pływania. Przez rytmiczne kurczenie się tego narządu zwierzątko zdolne jest do pływania. Na dolnym brzegu dzwonu zwieszają się liczne cienkie macki, które parzą na podobieństwo pokrzywy. A jako serce dzwonu, znajdujemy znany nam już prawdziwy żołądek gastraei, z otworem ust na dole i z ramionami do chwytania dookoła. Ma się zupełnie takie wrażenie, jakgdyby oderwany został od podłoża mały polip — hydra i rzucony w wodę z ustami w dół zwróconymi, a w górnych częściach jednocześnie rozszerzony, przybierając postać pięknego pływającego dzwonu. Rozumiemy już teraz dobrze, że ta meduza powinna »wyrodzić się« od owej

hydry. Ale teraz przyjrzyjmy się rozwojowi takiej meduzy, jej historii miłości i rozmnażania się.

Wszystkie prawie meduzy są rozdzielnopłciowe: samiec z nasieniem i samica z jajkami. A więc pod tym względem są bardziej podobni do człowieka, niż stułbia. Są to oczywiście stosunki pierwotne i dalekie od ludzkich, że wytwory płciowe wydzielane bywają przez usta. Ale usta i żołądek stanowią tu jeszcze zasadniczą, integralną część całego ustroju, a tylnych otworów, jak rzyć, np. niema jeszcze właściwie zupełnie, tak że rzecz cała nie jest jeszcze tak bardzo dziwną. Jeżeli ustrój poprostu wypłuka przez usta resztki niestrawione, zbyteczne, dlaczegóżby nie miał on również przez usta dzieci płodzić, jak zresztą u człowieka odbywa się to przez tenże kanał, którym wydziela się mocz, a więc również niezuty produkt przemiany materii. Sposób tylko jest trochę niezwykły, ale rzecz w osnowie swej pozostaje ta sama.

I dalej właściwie również idzie sprawa pozornie gładko. Komórka nasienna wyszukuje komórkę jajową — i teraz, zdawałoby się, powstanie nowa meduza. Gdyby tak było, nie poruszałibyśmy tutaj tej całej historii...

Z zapłodnionego jajka meduzy wyłania się swobodnie przytwierdzony do podłoża polip o charakterze podobnym do naszej hydry. Siedzi, jako kielich z żołądkiem wewnątrz, z ustami na końcu górnym i maczkami dookoła — żyje, odżywia się i wydaje się zupełnie dorosłym stworzeniem. Ma się to wrażenie, jakie miało by się wtedy, gdyby kobieta pewnego dnia zległa i zamiast dziecka wydała na świat dojrzałą zupełnie salamandrę lub dziobaka. Cóż z tem robić? Chwilę cierpliwości! Wyobraźmy sobie, co następuje. Mamy przed

sobą filiżankę od kawy. Nagle z filiżanką dzieje się coś niezwykle dziwnego; rodzą się z niej małe filiżanki, a mianowicie w ten sposób, że w środku wyrasta nowe dno; pomiędzy tem ostatniem a poprzedniem jeszcze jedno, i w końcu otrzymujemy jakby trzy mniejsze filiżanki, jedna w drugą włożone. Aż tu nagle: górna filiżanka spada — i oto mamy osobną, nową filiżaneczkę; wkrótce potem to samo dzieje się z drugą; a ponieważ pozostaje również i dolna, choć zmniejszona, więc mamy wszystkiego 3 filiżanki zamiast jednej.

Z prawdziwemi filiżankami udałaby się ta manipulacya oczywiście chyba tylko w zaczarowanym serwisie pana pastora z Resau. Ale z polipem, który powstał z jajka meduzy, udaje się to codziennie przed naszymi oczami.

Oto siedzi polip, istotnie trochę z postaci swej podobny do małej filiżanki... Wydrążenie filiżanki stanowi tu żołądek polipa, a otwór górny — to jego usta. A teraz co następuje?

W żołądek wrastają polipowi ścianki poprzeczne; od zewnątrz w odnośnych miejscach całe zwierzątko się zwęża. Wydaje się, jakoby i tutaj zamiast jednej filiżanki tworzyło się kilka, cały szereg takich filiżanek, które stoją jedna w drugiej. Nasamprzód tylko górna filiżanka posiada zębaty brzeg odpowiadający mackom. Ale wkrótce i na dole wyrastają dookoła każdego miejsca zwężenia macki, w postaci wianka. Aż tu nagle, górna filiżanka z pierwotnym otworem i wiankiem macek odrywa się i staje się samodzielnem zwierzątkiem, — potem to samo dzieje się z następną itd.

I co dziwna: oderwane niby — filiżaneczki nie padają zaraz na dawne swe podłoże i nie stają się polipami.

Natomiast wywracają się, otwór ust zwracają ku dołowi, na grzbiecie ich tworzy się garb, i przyplływają w otwarte morze — stają się meduzami.

Cóż z naszą drugą tezą, dotyczącą spraw miłosnych człowieka? Z człowieka rodzi się człowiek. A tu z meduzy powstaje polip, a z polipa znów meduza...

Atoli z poprzednich wywodów nauczyliśmy się czegoś, i oto tu miejsce najlepsze do zużytkowania naszych wiadomości. Powiadamy sobie, że wszak nic w tem wszystkim niema cudownego: poprostu, ni mniej, ni więcej, tylko wykazało tu swoją władzę zasadnicze prawo biogenetyczne. Meduza historycznie wywodzi się z polipa; a więc w rozwoju każdej jednostki powtarza się przedewszystkiem stadyum polipa, zaś później dopiero po przewyciężeniu tego etapu rozwija się prawdziwa meduza. Stąd wniosek, że w całej sprawie niema ani trochę więcej cudu, niż w tem, że człowiek w łonie matki raz jeszcze otrzymuje szpary skrzelowe, jak ryba, lub ogonek, jak mała.

I wistocie pod jednym względem jest w tem rozumowaniu sporo racyi. Wszak rzeczywiście meduza historycznie pochodzi od polipa, a fakt, że w rozwoju poszczególnych indywiduów-meduz wyłania się raz jeszcze polip, najpewniej wyobraża naogół tylko wspomnienie i repetycyę historyczną w myśl zasadniczego prawa biogenetycznego, zupełnie tak samo, jak skrzele i ogon dziecka w łonie matki.

Atoli pozostaje mimo wszystko coś niezwykłego, coś bardzo niezwykłego. Rozważmy to dobrze...

Zgodnie z naszym porównaniem, możnaby polipa, powstającego z jaja meduzowego, uważać za zarodek,

za niedojrzałą meduzę, podobnie do zarodka ludzkiego w łonie matki, przypominającego jeszcze rybę.

Aliści »embryon meduzy« jest tu jednocześnie dojrzałym zupełnie tworem! On nie przeobraża się w meduzę, rosnąc stopniowo, dopóki nie dojrzeje, tak jak to się dzieje z zarodkiem ludzkim, który rodzi się wreszcie, rośnie i w końcu staje się dojrzałym człowiekiem. Embryon-polip meduzy zachowuje się już zupełnie tak samo, jak dorosłe zwierzę: rozmnaża się samodzielnie.

Istotnie, czyni on to niewątpliwie. Bowiem czemuż jest to rozpadanie się filizanki, jeżeli nie rozmnażaniem? Wprawdzie nie jest to rozmnażanie na drodze płciowej, ale widzieliśmy już wszak właśnie u prawdziwego polipa-hydry, że u tych nisko stojących zwierzątek płodzenie dzieci na drodze płciowej nie jest jeszcze jedyną i bezwzględnie potrzebną formą rozmnażania się. Jeszcze obok tego istnieje zwykle, dawne pączkowanie bez właściwego aktu miłosnego.

A więc, dokładnie mówiąc, rzecz się ma w ten sposób: embryon meduzy pod postacią polipa »pączkuje« — wydaje z siebie całą piramidę młodych meduz. A one otrzymują jeszcze narządy dla innej, już prawdziwie płciowej metody rozmnażania, wytwarzają nasienie i jajka, i w ten sposób cały bieg spraw może znów normalnie rozpocząć się od początku.

Rozumiemy teraz, że jednak istnieje olbrzymia różnica w stosunku do człowieka. Zarodek ludzki, do ryby podobny, poprostu rosnąc przybiera postać ludzką, a kiedy człowiek osiąga pewnego wieku, to staje się dojrzałym płciowo i zdolnym do płodzenia dzieci. Natomiast embryon meduzy o postaci polipa już jako

taki jest zdolnym do rozmnażania się i wydaje z siebie cały pęk gotowych meduz drogą pączkowania, zamiast, żeby poprostu, rosnąc, z czasem przybrać postać jednej takiej meduzy.

I oto, jak widzimy, zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do trzeciej tezy o miłości ludzkiej i zaraz niedwuznacznie zwężiliśmy jej zakres przynajmniej dla naszego przypadku. Obie tezy nasze — druga i trzecia — pod względem swej nietrwałości zależne tu są jedna od drugiej. Albowiem przyjąć można, że z meduzy powstaje inne zupełnie zwierzę, polip, i on znów stwarza meduzy — wtedy upada druga teza, tj. dzieje się tak, jakgdyby kobieta wydała na świat kangura lub dziobaka, a te zwierzęta wydawały dopiero człowieka. Albo też, jeżeli przyjmiemy polipa, wykluwającego się z jajka meduzy, za embryona lub poczwarkę, za »niedojrzałą meduzę« — to wtedy upada trzecia teza, bowiem mamy niedojrzały embryon (co brzmi już samo przez się paradoksalnie), który, jako taki, dojrzewa i płodzi małe.

... Doznajesz, czytelniku, uczucia lekkiego zawrotu? Ale to nic, musisz mi dalej towarzyszyć. I księga miłości w przyrodzie ma miejsce, gdzie nowicyusz doznaje takich uczuć, jak poczciwy Sancho, o którym Cervantes mówi w ten sposób: »I szedł już spokojnie dalej, bowiem był już zupełnie pewny, że pan jego istotnie oszalał«. Musimy czytelnika naszego zobowiązać większą jeszcze przysięgą, bowiem teraz czwartą podejmiemy tezę. Tu uzbroić się winniśmy przeciwko jednemu z największych organicznych cudów, jakie istnieją wogóle na tej starej, dziwów pełnej ziemi.

Gdyby znajomość świata zwierzęcego, mimo wszystką popularyzację, nie była dziś jeszcze tak zamkniętym pałacem, do którego od czasu do czasu wniść się odważa kilku wtajemniczonych, to oddawna już zastanowić by musiało wszystkich polityków, socyologów i filozofów to niezwykle zjawisko, które mamy teraz właśnie opisać, — i musieliby oni myśleć nad niem i uczyć się. Ale nie wiem, ilu jest ludzi na świecie, którzy wogóle kiedykolwiek słyszeli chociażby nazwę tego zjawiska. Ty czytelniku, nie znasz go napewno, i gdybym chciał zakpić z ciebie i wmówić ci, że opowiadałem ci coś o Marsie, uważałbyś to za niezwykle wesołą satyrę, mającą na celu ośmieszyć ludzkie stosunki społeczne, a więc za coś *ad hoc* stworzonego, co nosi na sobie piętno nieprawdopodobieństwa.

Czwarta teza twoja brzmiała w ten sposób, że całe indywidua ludzkie nie mogą już, jako takie, zrosnąć się znów ze sobą, na podobieństwo tego, jak zrosły się ze sobą poszczególne komórki, tworząc ciało ludzkie. Żaden łącznik społeczny, nawet miłość, nie mogą stworzyć nic podobnego. Bracia Syamscy — to potwór, a nie etap dalszego rozwoju. Ideał społeczny ludzkości opiera się właśnie na tej niezależności i cielesnej samodzielności poszczególnych indywiduów ludzkich. Bierze cię chęćka uczynić dygressję socyologiczną, a ja już naprzód, na znak uznania dla twojej zachcianki, dłoń ci ściskam. Ale mimo to jeszcze u węgła wielkiego zaklętego zamku-zwierzyńca, gdzie stoimy obecnie, zatrzymuje cię jedno niewzruszenie prawdziwe zjawisko i wymaga całego wysiłku umysłu, choć zrazu wydaje się, jakoby urągało wszystkim wysiłkom myśli ludzkiej.

Oto płynie chełbia lub meduza — jedno indywiduum.

W zasadzie jest ona takim samym tworem pojedynczym, jak człowiek. Tak samo, jak i on, składa się z grudki komórek. Komórki te zawarły pomiędzy sobą najściślejszy związek, zupełnie jak twoje, tak, że w rezultacie powstało nowe, wyższe, znów atoli w sobie zupełnie skończone indywiduum, zupełnie takie same, jak i ty. Wśród komórek nastął podział pracy zupełnie tak samo, jak to miało miejsce w twojem ciele. Tworzą one narządy, nie w takiej wprawdzie ilości, jak komórki ciała ludzkiego, ale jednak kilka bardzo ważnych, jak np. żołądek, pęcherz do pływania, jakiś prosty ustrój nerwowy, a przede wszystkim pewne grupy komórkowe, wydzielające nasienie i jajeczka. Słowem, każda poszczególna meduza nie stoi jeszcze naogół, jako zwierzę, na tak wysokim stopniu rozwoju, jak człowiek, atoli, patrząc na nią, jako na indywiduum, trzeba przyznać, że dorównywa pod tym względem człowiekowi, że jest tą a nie inną pojedynczą chełbią zupełnie tak samo, jak dany człowiek jest pewnem określonem, o pewnem nazwisku indywiduum, zaopatrzonem w papiery legitymacyjne, niejako uznanem i zapisanem przez policję.

Takie pojedyncze chełbie napotkać można, jakieśmy już powiedzieli, w morzu, przeważnie w wielkich skupieniach. Dlaczegoż by nie? Prowadzą one właśnie życie towarzyskie, a mimo to każda zachowuje sama swoją indywidualność. Aż oto nagle w piękny błękitny lub żółtopomarańczowy szereg chełbi wciska się jakiś twór, pozornie zupełnie odmiennego gatunku. Chwytasz go z trudem, badasz i stwierdzasz, że jest to niby meduza, a jednak coś innego. Cóż to jest takiego?

Wyobraźmy sobie, że wyłowiliśmy tuzin meduz i porznęliśmy każdą na części, rozłożyliśmy na oddzielne

narządy. Oto tu mamy oddzielnie dzwon do pływania służący, tu żołądek z otworem ust, tu znów macki, łechcące jakoś dziwnie skórę, niby pokrzywa, wreszcie narządy płciowe męskie lub żeńskie. Przypuśćmy, że narządy te z całego tuzina meduz zdobyte ułożyliśmy w porządku na kupkę, na podobieństwo tego, jak to się czyni z różnobarwnymi różami i gwoździkami, zerwanymi z grządki kwiatowej i rozłożonymi według barw. Więc oto w jednym miejscu powstała np. kupka dzwonek pławnych, w innym kupka, złożona z żołądków, opatrzonych gębami i t. d. A potem moglibyśmy ten cały materiał dowolnie w bukiet ułożyć, bukiet z chełbii, który teraz jako jedna całość posiadałby u jednego końca dwanaście dzwonek pławnych, u drugiego dwanaście żołądków z gębami, w trzecim miejscu dwanaście bądź męskich, bądź żeńskich narządów płciowych, wreszcie gdzieindziej jeszcze olbrzymi pęk łechcących macków.

Chełbie są to twory takie barwne, takie do kwiatów podobne, że znaleźć by się mogła jakaś delikatna ręka, która utworzyła by z nich bukiet, jakby z georginii lub róż, z których również wszak obcina się zawsze tylko pewne narządy i łączy je w sztuczną wiązanekę?

Ale oto dzieje się rzecz cudowna. Ażali istotnie w głębinie, w tych błękitnych kryształowych pałacach oceanu, żyje jakiś wodnik Boecklinowski, który z barwnych meduz małych w chwilach wolnych splata takie wianki, ażeby ustroić weń swoją najmiłszą zielonooką nimfę? I, być może, wyslizgnął mu się z rąk taki wianek ze zwierzątek, uniesiony został przez fale, aż wpadł w ręce przyrodnika-szperacza?

Bowiem twór, który zwrócił naszą uwagę, jako pozornie zupełnie dziwaczna meduza, i leży teraz oto

przed nami rozczłonkowany — to jest właśnie ni mniej, ni więcej, tylko istotnie taka »wiązanka«. Tylko z tą różnicą, że »żyje«, jako całość.

Nie stworzył go w rzeczywistości żaden wodnik, nie został on sporządzony doraźnie przy pomocy noża. Sam on, jako całość, płynie po morzu, jako zamknięty w sobie ustrój, do życia i miłości zdolny. Przed nami leży t. z. cewiopław lub chełbia zrzeszona.

Cewiopław jedną cechą przedewszystkiem różni się zasadniczo od każdej pływającej sobie swobodnie chełbii. Chociażby te ostatnie utworzyły szereg z dziesięciu tysięcy pływających jedno za drugim indywiduów, to jednak każda z nich pozostałaby zwierzęciem osobnem. Cewiopław natomiast nie jest jednym zwierzęciem: sam jest już wiązką wielu zwierząt, kolonią, społecznem stowarzyszeniem lub jakkolwiek to nazwać zechce czytelnik. Kupka pojedynczych meduz, spleciona w jedną całość, jak król-szczur — oto cewiopław.

Znasz wszak to miłe stworzenie, zwane w nauce przyrodniczej królem-szczurem. W jakiejś belce spróchniałej lub w dziurze starego śpichrza, gdzie roi się od szczurów, słyhać czasami w ciągu długiego czasu wstrętny chrzęst i pisk, przewyższający jeszcze zwykły hałas szczurzy. Wreszcie cierpliwość się wyczerpuje, bierze się siekierę i rąbie się belkę spróchniałą. Wtedy wyskakuje potwór, który utworzył się w ciasnym brudnym gnieździe szczurzym przez okropne wyniszczenie lub chorobę: około 20-u szczurów, a czasem i więcej skłębiło się ze sobą wzajem i zlepilo długimi ogonami, tak, że żaden z nich nie może się oderwać i oto muszą tak żyć wspólnie mocą przymusu, tworząc taką syamską dwudziestkę. Oto jest ów sławny »król-szczur«.

13m Nie stanowi on oczywiście w sobie monarchii, ale wysoce niepraktyczną republikę z musu, która występuje na tle wolnego aż do anarchii życia szczurów po prostu tylko, jako czasowa choroba. Wyobraźmy sobie jednak plastycznie taką kolonię szczurzą ze zrosniętymi ogonami i zastanówmy się nad istotą takiego zjawiska. Zobaczymy wtedy, że zjawisko to ma w sobie cechy odrębne. Ogony tak się pono zrastają, że przez nie odbywa się obieg krwi od jednego szczura do drugiego. Znajdują się one wzajem do siebie w tym samym stosunku, co matka do swego dziecka, nie wydanego jeszcze na świat. Dziecko w łonie matki otrzymuje jeszcze krew matczyną; nie potrzebuje odżywiać się samodzielnie, bowiem karmi je krew matki; nie ma potrzeby specjalnie dla siebie oddychać, bowiem krew matki już za nie również oczyszcza się i odnawia, płuca matki za nie już oddychają. A gdyby tak owa dwudziestka szczurów, dostatecznie w krew zaopatrzona, zaczęła wprowadzać pewnego pięknego dnia podział pracy pomiędzy swymi całkowitymi indywiduami na podobieństwo tego, cośmy spostrzegali już raz w komórkach pierwotnych?

Odtąd pięć szczurów, przypuśćmy, tylkoby wchłaniało pożywienie i trawiło; inne pięć tylkoby gryzło w chwili, kiedy zbliżałby się nieprzyjaciół; a jeszcze inne pięć tylkoby biegały i ciągnęłyby za sobą inne. Ponieważ każdy szczur prócz tych pierwszych pięciu również otrzymuje krew odżywcza, więc wystarcza, jeżeli żre tylko te pięć szczurów; tak samo dostatecznem jest, że gryzie tylko pięć szczurów, bowiem przez to samo już każdy inny jest broniony. Wreszcie trzecia piątka wlecze za sobą wygodnie wszystkie inne. Każda

z tych kategorii niema przecież, prócz swej czynności, nic innego do roboty, więc wszystkie siły swe może zestrzelić w jednym kierunku.

W ciągu krótkiego czasu konsekwentny podział pracy pociągnie za sobą ślady w ustroju cielesnym naszej kolonii szcurzej. Owe pięć szcurów, co nic nie robią, tylko żrą, będą miały żołądek o coraz intensywniejszej wydajności pracy, natomiast skądinąd zmarzną, nogi im się skurczą, i stopniowo zupełnie okuleją. U następnych pięciu, co bezustannie tylko syczą i kąsają, wzrastać będzie wciąż odwaga i chęć kąsania, natomiast żołądek, pozostawiony bez użytku, wciąż będzie się kurczył i niedołęźniał: wszak go nie potrzebują zupełnie. I do czego to w końcu doprowadzi?

Część szcurów, stanowiących »króla«, będą tylko żołądkiem, inne tylko kąsającymi łbami, a jeszcze inne tylko nogami do skakania. Gdyby ktoś obejrzał teraz niespodzianie tego potwora, to sądziłby, że ma przed sobą nie 20 prawdziwych szcurów, ale jednolite jakieś stworzenie najdziwaczniejszego gatunku o pięciu kąsających łbach, pięciu żołądkach, dwudziestu (4 razy po pięć) nogach i t. d. A środkowy kłęb zrosniętych ogonów wydawał by się właściwym ciałem tego szalonego potwora, tego kolektywnego szcúra, stworzonego na modłę Cerbera.

Ale ze szcurami nie dzieje się nic podobnego, a biedny król-szcúr jest raczej wszystkim innym, niż Cerberem piekielnym: jest on niczem więcej, jak wytworem smutnego przypadku, załęgłym w gnieździe niezdrowym.

Natomiast u naszego cewioplawa, sprawa ma się tak w istocie.

Kupka chełbii zrosła się ze sobą, a przytem tak ściśle, że przez oś wspólną, jak tam przez ogony naszych szczurów, krążyć mogą soki odżywcze, zaś jednocześnie dzięki ruchowi postępowemu, mającemu swe źródło u jednej krawędzi tego zrzeszonego tworzywa, cały łańcuch chełbii posuwa się naprzód, jako jedno indywiduum i płynie, jako całość. Z chwilą, kiedy dokonał się zrost, rozpoczął się również i tu podział pracy.

Część chełbii zajęła się wyłącznie wchłanianiem; inne wprowadzały tylko w ruch dzwon pławny; część miała obowiązek obrony całego pnia, zaś inne jeszcze poświęciły się wyłącznie rozmnażaniu. A cóż było naturalną konsekwencją tego? Dzięki temu, że każda poszczególne chełbia, wchodząca w skład zrzeszenia, zaprzęgała do pracy wyłącznie tylko jeden z wszystkich swych narządów, stopniowo doprowadziła ona inne narządy do zaniku, — aż wreszcie znikły one zupełnie. Te oto chełbie w górze łądygi, co tylko rozwierają i zamykają swe dzwony pławne, ażeby całość płynąć mogła po błękitnem morzu, są w istocie tylko już dzwonami pławnymi bez żołądka, bez komórek płciowych, bez wici. Te dalej ku dołowi, podobne do rozwartych kielichów polipa, tak długo grały rolę »żołądka, gębą opatrzonego«, aż wreszcie, zatraciwszy dzwon pławny, stały się »zwierzętami-żołądkami« o polipowatym wyglądzie. I tak dalej. Inne jeszcze chełbie nie są już niczem więcej, jak wiciami dla obrony i łowienia zdobyczy, z innych wreszcie wytworzyły się tylko składy dla nasienia i jajek.

Słyszeliśmy już o zwierzęciu, składającym się z wielu

komórek — wszak sam człowiek jest takim zwierzęciem. Tu mamy przed sobą zwierzę, złożone z wielu zwierząt. W zwierzęciu wielokomórkowym z komórek przez podział pracy powstawały narządy. Tu mamy stworzenie wielozwierzęce, w którym wiele zwierząt wielokomórkowych znowu przetworzyło się na zwierzęta-narządy i jako całość, stanowią jakiś »nad-ustrój«, — przypominający teraz w istocie Cerbera lub Briareusa, o postaci dziwniejszej, aniżeli wymyślełby ją mogła najbardziej cudowna legenda. Cięższe działo przeciwko naszej czwartej tezie ludzkiej trudno byłoby wytoczyć. A dla pełni obrazu dodajmy jeszcze, że ta chełbia zrzeszona lub cewiopław należy częstokroć do najwspanialszych, pod względem estetycznym, tworów w całej naturze. Najlepszy znawca ich, Haeckel, opisuje je, jako pływającą łodygę kwiatową, pokrytą nie prawdziwym kwieciami, a przezroczystym różnobarwnym kryształem. Te pływające ogrody o piękności niewysłowionej, kręcą się we wszystkich kierunkach po ciemno-błękitnej cieśninie Mesyńskiej, tam gdzie przyroda i po za tem już nagromadziła rozrzutnie wszystkie cuda swoje. Napotyka je żeglarz w oceanie podzwrotnikowym, jako t. zw. pęcherz morski lub Physalia. Na zwierciadlanej toni płynie pęcherz morski, wielkości główki dziecięcej, jakby ze srebra dętego zrobiony, co mieni się błękitem niebios, fioletem i purpurą; na wierzchu, niby koronę, ma grzebień o połyskliwej czerwieni karminu, a ku dołowi zwieszają się chełbie wchłaniające, płciowe i broniące o barwie delikatnego błękitu ultramaryny.

I cała ta lśniąca świątynia barw kocha oczywiście również. Atoli miłość ta jest jeszcze specjalnie pouczającą, bowiem wykazuje ci jednocześnie, jak powstaje

»indywidualnie« (o ile można tu użyć tego wyrazu) ten dziwotwór zrzeszony.

Pomiędzy zwierzętami pochłaniającymi pokarm, zwierzętami, zarządzającymi ruchem całego pnia i temi, które przeznaczone są dla jego obrony, siedzą, jak już wspominaliśmy, zwierzątka płciowe męskie i żeńskie, bądź jedno i drugie na jednej i tej samej łodydze, bądź męskie lub żeńskie, każdego rodzaju osobniki płciowe — z osobna. W zewnętrznej postaci swej najbardziej jeszcze podobne są do chełbii z płaszczem w postaci dzwonu i z wyrostkiem u spodu dzwonu, przypominającym z wyglądu otwór ust. Atoli jeżeli przyjrzeć się uważniej, to zauważyć można, że owa rzekoma gęba jest zarośnięta, bowiem i tu również pożywienie przedostaje się bezpośrednio, w postaci soków odżywczych, od towarzyszy kolonii, specjalnie poświęcających się tej czynności. Natomiast ścianka owego wyrostka wydziela w niezmiernie obfitej liczbie bądź jajeczka żeńskie, bądź męskie komórki nasienne. A zachowany tu jeszcze dzwon pławny ma to jedynie znaczenie, że pozwala w pewnych warunkach takiej chełbii płciowej w okresie zupełnej dojrzałości zerwać związek z innymi, odzyskać samodzielność i na własną rękę pożeglować trochę po otwartym morzu w celu złożenia tam części ładunku płciowego. Bowiem istota rzeczy pozostaje oczywiście i tu absolutnie jednaką i wiecznie jednaką niezbędną: komórka nasienne i jajowa dwu różnych »nadzwierząt« muszą się odnaleźć wzajem i połączyć, ażeby bieg spraw zaczął się odnowa. Z produktu takiej koniugacji »nasienia i jajka państwowego« tworzy się nasamprzód zupełnie normalnie zwierzątko —

chełbia. Z tej jednej chełbii pierwotnej wyrasta później przez pączkowanie (a więc bezpłciowo!) jakby z jakiegoś zrazu samotnego, ale obdarzonego niezwykłą pewnością ojca narodu, cały rój innych chełbii, które w sposób wyżej opisany sprzyjają utworzeniu się »państwa«.

Tutaj prawdopodobnie uitorowana jest już zupełnie droga prosta: niema już owych przejść od jaja chełbii do polipa, a od niego dopiero znowu do chełbii, co, jak widzieliśmy było prawidłem dla rozwoju poszczególnych chełbii innego rodzaju: tu z jajka odrazu wyłania się chełbia pierwotna, a z niej przez pączkowanie tworzy się cała łodyga chełbiasta z jej podziałem pracy. Aliści szczegóły tego zjawiska są dziś przez najlepszych nawet badaczy rozmaicie objaśniane: nam wystarczyć powinien niewątpliwy fakt zasadniczy, że z jednego zapłodnionego jajka cewiopławu powstaje odnowa całej cewiopław z jego złożoną organizacją.

Tak samo, jak prawdopodobnie dzieje się z królem-szczurem, i tu wszystkie obywatelki królestwa chełbiastego są rodzeństwem jednego pomiotu, z tą tylko różnicą, że tu nie rodzi się naraz, jak u szczurów, wiele chełbii, ale nasamprzód z jednego jaja tworzy się jedna chełbia, która później (na podobieństwo owych poczwerek polipowych z historii naszej o filiżankach) wydaje z siebie następczo pewną liczbę chełbii-siostr.

Nie powinno to czytelnika wprawiać w niemile zdziwienie, że tu dla odmiany, gotowy już twór wytwarza z siebie gromadkę rodzeństwa. Można to włączyć do szeregu cudów, jakie wykazuje całe to pokolenie.

W zasadzie jednak zachwiane są teraz wszystkie nasze cztery tezy ludzkie, prawda? Wszystkie cztery

utonęły w jednej melodii, której motywem są polip i chełbia...

Oba te twory są jednak dopiero pierwszym drobnym pyłkiem świetnym w tem rojowisku, co wspina się po nad gasteraę ku wyżynom królestwa zwierzęcego.

Przejdźmy teraz z kolei do drugiego typu, którego przedstawicielem jest — robak.



wybijam poprostu pierwszego lepszego potworka, z którego czytelnik mieć będzie prawdziwą rozkosz: tasiemca czyli solitera.

Ale przedtem jeden jeszcze przynajmniej tęgi łyk, jakby przed uciążliwą podróżą! Należy nam się uzbroić do walki z jednym pojęciem, jednym problematem, jak gdybyśmy ze smokiem walczyć mieli.

Zanim zajmiemy się opisem życia miłosnego solitera, pozwolę sobie na krótką wycieczkę w dziedzinę ogólnie przyjętej obecnie teoryi o nieśmiertelności duszy.

Przypomnijmy sobie jeden z najtrwalszych fundamentów tej teoryi, — ową kolumnę, którą ludzie w myślach swoich i tęsknotach wciąż tę teorię podpierają. Pragniemy, ażeby indywiduum, dusza, »ja« każdego człowieka nie ginęło bez śladu nie tylko w ten warunkowy sposób, że żyć będzie dalej w dzieciach swych i wnukach, ale bezpośrednio po śmierci własnej. I stosujemy przytem bardzo proste samo przez się rozumowanie: zapewne, uprawnieni jesteśmy do twierdzenia, że człowiek żyje dalej w dzieciach swoich. Przynajmniej żyją w nich częściowo nasze cechy, niejako odłamki naszego własnego »ja«, często pewne talenty, pewne dobre i złe skłonności, wszelakiego rodzaju właściwości osobiste, które oczywiście przeniesione zostały na potomstwo podczas aktu rozrodczego; wszak ten ostatni polega na realnem odszczepianiu się cząsteczki cielesnej, komórki nasiennej lub jajowej, — nie ma więc w tem żadnego cudu. Możliwem jest również, a w warunkach normalnych nawet prawdopodobnem, że te dzieci znów dzieci spłodzą własne, którym przekazane

będą dalej pewne cechy naszego charakteru i t. d. — możliwym jest przynajmniej taki rzeczywisty nieskończony łańcuch, dzięki któremu ciągnąć się będą w nieskończoność i utrzymywać przy życiu ułamki i resztki jakiegoś określonego indywiduum. »Ale — słyszemy zarzut z głębin naszej myśli badawczej — w najlepszych nawet warunkach jednak cała sprawa przedstawia się w ten sposób jednostronnie i połowicznie«. Dziś oddziela się od człowieka komórka nasienna, mikroskopowo drobna cząsteczka jego fizycznego »ja«, cząsteczka, o której dziedzictwie i otrzymanej przez nią wyprawie na drogę życia sam wie rozpaczliwie niewiele. Atoli on sam, nie troszcząc się zupełnie o to, co z owej komórki wyrośnie, zostaje 30, 40 i więcej lat po tym akcie rozrodczym całkowitem indywiduum, żyje sobie dalej, rozwija się, myśli, bogaci się, w tych latach dopiero spełnia na świecie, być może, co ma najlepszego do spełnienia albo wogóle teraz dopiero robi cośkolwiek, co może być brane poważnie: i czyż wszystko to, co objęte jest wyrazem »ja« może znajdować się po za wszelką drogą wiodącą ku nieśmiertelności?

Weźmy zaraz jaskrawy przykład w osobie Goethego. Goethe spłodził z Chrystyaną Vulpius syna, owego znanego nieszczęśliwego Augusta, którego smutny los odczuwał ojciec aż do samej śmierci. Od tego syna pozostało dwu również dostatecznie znanych, w chorobie stężyłych wujów w Weimarze, których najlepszym dziełem życia był testament; ci nie pozostawili już potomstwa. Tu przerywa się już wogóle zupełnie linia miłosna Goethego, o której coś wiadomo. Krótka to »nieskończoność« — ale to tylko nawiasem. Przypuśćmy, że ciągnęłaby się ona wciąż dalej. Porównajmy! Miejmy

wciąż na myśli indywiduum Wolfganga Goethego z jego działalnością tytana jeszcze po r. 1789, kiedy spółdony został August. Czyż ta indywidualność nie wyobrażała sobą niezrównanie drogocenniejszą część, (niż ta odszczępiona w postaci komórki nasiennej), która w rozumnie zorganizowanym świecie miała wszelkie prawo do innego, odrębnego rodzaju nieśmiertelności duszy, posiadającego większą siłę odporną i oraz więcej przedstawiającego gwarancyi, aniżeli ów szereg następujących po sobie komórek zarodkowych? Kiedy w rozprawach nad tą kwestyą dochodzi się do tego punktu, stawia się poprostu postulat, wypowiada się twierdzenie, że po za tą nieśmiertelnością warunkową, co biegnie szlakiem aktów miłosnych i potomstwa, musi istnieć jakaś specjalna nieśmiertelność dla rodzicielskiego indywiduum, które pozostaje po dokonaniu aktu płciowego, i w tym miejscu jeszcze wydaje się okrzyk: czyż może być inaczej? Wyobraźmy sobie, jakby to być mogło, gdybyśmy nie wpadli na tę myśl o innej nieśmiertelności. Przyjmijmy na chwilę, że akt rozrodczy stale, z żelazną koniecznością przyrodniczą musiałby być uważany za akt ostateczny, końcowy każdego rozmnażającego się indywiduum.

Człowiek żyje, rozwija się, spełnia to, co mu w życiu spełnić wypadło, wreszcie płodzi dziecko — i w tej samej chwili pada martwy, albo lepiej jeszcze, poprostu przeobraża się bezpośrednio w dziecko swoje; matka tonie w akcie rozrodczym, jakby w jakimś źródle o tajemniczych własnościach odmładzających, nagle znika, a zamiast niej zjawia się dziecko małe, którego soki odżywcza wchłonęły to wszystko co poprzednio wchodziło w skład indywiduum fizycznego

matki. I w ten sposób wprawdzie sprawa nie przedstawiałaby się w stanie skończonym. Jednak mielibyśmy wtedy przed sobą bardziej namacalnie rozwiniętą linię nieśmiertelności: wtedy przynajmniej dla tego indywiduum, które dosięga okresu rozmnażania się, nie istniałaby śmierć w pewnym, uwarunkowanym znaczeniu, przyobrazając się w proces radykalnego odmładzania się.

Jedno ciało nasienne lub komórka jajowa, potrzebne do zapłodnienia, pochłaniałyby niejako całe dorosłe indywiduum rodzicielskie w celu rozpoczęcia odnowa całego procesu. Można byłoby wtedy przypuszczać, że przy akcie tak radykalnym przekazywanie dziecku cech charakteru z ojca i matki odbywałoby się intensywniej, bowiem nowe indywiduum zawsze obejmowałoby całe zasadnicze dziedzictwo starych. Śmierć byłaby niejako głębokim snem nocnym, z którego budziłby się człowiek o tych samych cechach, ale jakby zepchnięty na niższy szczebel drabiny życiowej i obdarzony odmłodzoną siłą dla zapoczątkowania nowego życia. A czemuże są właściwie nasze wspomnienia? Znaczkki w mózgu, dość niewyraźne po części i z biegiem lat się zacierające. Prawdziwe pismo w postaci notatek i pamiętników ma już dziś dla nas samych ewentualnie więcej wartości, przynajmniej jeżeli chodzi o dłuższy przeciąg czasu.

Może jakimś wynalazczemu umysłowi przyszłości uda się fotograficznie, że tak powiem, rzutować pamięć nazewnątrz ażeby cała lub zasadnicza jej treść mogła być przekazywaną i wtedy jeszcze, kiedy dany mózg uległ już zagładzie. I czyby w ten sposób to nowonarodzone, odmłodzone »ja« nie mogło

odświeżyć na nowo starych wspomnień? Można by tu było fantazyować jeszcze w nieskończoność.

W świetle tych poglądów zlanie się mężczyzny i kobiety i wytworzenie tej trzeciej istoty byłoby wysoce interesującym i jednocześnie naprawdę zawrotnie skomplikowanym. Ale, zdaje mi się, dobrze by było, gdyby cała ta piękna historia uplastyczniła się mogła w sensie starej bajki o odmładzającym źródle i stworzyła kanon logiczny, według którego cały łańcuch, ewentualnie w nieskończoność idący, spokrewnionych pokoleń wydawałby się w ciągu lat tysiąca jednym i tym samym indywiduum; życie tego indywiduum, rozciągnięte w ten sposób na olbrzymi szmat czasu, byłoby tylko przerywane przez pewne momenty głębokiego, odmładzającego, odnawiającego siły snu, tak samo, jak życie poszczególnych jednostek przerywane jest przez tyle i tyle nocy zwykłego snu, podczas którego i świadomość na pewien czas okazuje się przerwana (oczywiście również w celu odświeżenia sił, tylko w prostszej postaci).

Ale po tej całej fantasmagoryi marzyciel dodaje z powagą, że tak właśnie nie jest. Indywiduum rodzicielskie w ustrojach wyższych nie przeobraża się właśnie bez reszty w dziecko, ale owszem pozostaje owa olbrzymia reszta, pozostaje np. cały Goethe, o którym wspominaliśmy powyżej. A że tak nie jest i tak być nie może, to nasz optymizm musi szukać sobie innych gwarancji.

Tu oto jest miejsce, gdzie ominąwszy zupełnie swobodnie kwestyę nieśmiertelności i Goethego, przykuć chciałbym uwagę twoją, czytelniku, do czegoś zupełnie

innego, a mianowicie, do owego miłego tasiemca właśnie. Na co ci się to przyda, sam łącno sobie uświadomisz.

Tasiemiec jest dla nas ludzi przykrym towarzyszem. Należy on do najzłośliwszych pasożytów naszego ciała, a sposób jego życia wśród ciemni kanału jelitowego czyni go ponadto typem istotnym czegoś nieapetycznego. A jednak dzieje się z nim to samo, co z mięsem ludzkim w następującej anegdocie.

Misyonarz wygłasza z zapalem filipikę przeciwko spożywaniu ludzkiego mięsa i piętnuje to, jako grzech i zarazem, jako objaw niewyrobionego smaku.

Dziki człowiek, zmiażdżony wymową misyonarza, zdobywa się na ostatni wysiłek odporny swego sumienia barbarzyńskiego i odpowiada: może w istocie jest to grzechem, ale o tem, że to mięso nie jest smaczne, nie ma pan żadnego wyobrażenia. Tasiemiec jest naszym śmiertelnym wrogiem, ale twierdzić z tego względu, że jest on tworem nieinteresującym, równałoby się zupełnej ignorancyi.

Ze stanowiska naiwnego spostrzegania przyrody, które nie dba o żadne zatargi wojenne, tasiemiec jest jednym z najbardziej pouczających tworów na ziemi, prawdziwym cudem przyrody. Zarówno badaczom, jak filozofom dostarczał nieskończenie wiele tematów do jaknajzarliwszej pracy; już od długiego czasu wije się on poprzez historję filozofii. Przypuszczano, że powstaje on dzięki samoródtwu z produktów trawienia ciała ludzkiego (a więc z materyi martwej). Stosownie do tego, czy takie samoródtwo było dla filozofii materyalistycznej lub teologicznej przydatne lub czy,

przeciwnie, bywało przez nie zarzucane, prezentowano tasiemca, jako przykład odświętny, lub też napadano nań z zaciekłością. Wreszcie istotne, rzeczowe badania wykazały, że całe to majaczenie senne o samoródtwie tasiemca jest niczem więcej, jak bańką mydlaną. I badania te jednocześnie wykryły tajniki życia miłosnego tego potworka w przepastnych uchyłkach naszego wytwornego ciała i rozwiązały szereg zagadek, którym nie sprostałby żaden najśmielszy w poglądach swych filozof.

Tak miłość we wnętrzu żywego szybu prowadzi nas w dziedzinę t. zw. w języku naukowym rozmnażania się za pomocą »mamek« lub »karmicielek«. Nie powinieneś przytem wyobrażać sobie mamek ze Sprewaldu, w czerwone przyodzianych spódnice. I znowu zoolog podaje ci możliwie najgorszą nazwę, i ażeby dotrzeć do jądra rzeczy, snuć musisz nić myśli swej przynajmniej tak długą, jak rozwinięty tasiemiec barani, mający długości 60 okrągłych metrów. Wreszcie jednak znajdziesz po za nazwą coś, co warte było tego trudu i co pozwoli ci pojąć, że nie jest tak łatwo nadać temu zjawisku jakieś dobrej nazwy, istotnie z danem pojęciem sprzężonej.

Historia zaczyna się dość prosto, ażeby później uledez zawikłaniom, które przechodzą jeszcze labirynty miłosne w Rolandzie Szalonym Ariosta. O nich powiedziano kiedyś, że są tak nieskończone, jak tasiemce, nie zdając sobie sprawy z tego, jak wspaniale czarowną bajkę w oczach samego mistrza Ludwika stanowiłyby dopiero dzieje miłości samego tasiemca. Przypuśćmy, że w głębiach ciała twego, czytelniku, spoczywa sobie spokojnie tasiemiec. Musimy wszak teraz przyjrzyć się całej sprawie z jego punktu widzenia, a więc przypuszczam,

że czytelnik nie jest człowiekiem, który ze stanowiska tasiemca »chybił w wyborze zawodu swego«, ale że jest owszem normalnym jego posiadaczem.

Ale i wtedy jeszcze można wybierać pomiędzy t. zw. uzbrojonym tasiemcem, którego długość przeciętna nie przewyższa $3\frac{1}{2}$ metra, a nieuzbrojonym, o długości 8-miu metrów nawet i wreszcie szerokim, który może dojść do 9-ciu metrów długości. Wszystkie trzy mają swe życie miłosne, każde z pewnemi odmianami.

Wyzbij się na chwilę zupełnie pojęcia brzydoty, wstrętu. Wreszcie i własne twe ciało w jego najsekretniejszych przejawach życiowych nie przedstawia nic odstrasżającego. Musisz się jednak zagłębić myślą w arkany tego ciała, niby kielbasa, co połyka samą siebie; zagłębić się myślą w swój kanał kiszkowy w chwili, kiedy trawi.

Najlepiej jest tak, jak to przedtem uczyniliśmy z macicą: wyobrazić sobie wszystko wyolbrzymione i zalane błękitnym blaskiem elektrycznego światła...

Otwórz oczy... Krocysz po olbrzymiej galeryi, gdzie wre intensywna praca... Jesteś we wnętrzu fabryki chemicznej, w wielkim stylu urządzonej. Oto pracownie, gdzie przetwarza się materiały surowe, gdzie wśród szumu i drżenia przelewa się coś, kształtuje i przesuwa; pompy, które nabierają drogocenne płyny i przepychają je dalej w niezmierny rwący potok innego przemysłu maszynowego. Jakby windą spływają raz po raz z szerokiej hali (z żołądka) odnośne chemikalia, już mniej lub więcej przetworzone, dla dalszych etapów przygotowane. Natychmiast przejmują je wielkie retorty i pompy, segregują, przetwarzają i przesuwiają dalej. Część materiału, jako bezużyteczna, bywa

wydzielana i splukiwana jakbądź w najgłębszy szyb. Ale reszta tak długo podlega przekraplaniu i przekształcaniu, dopóki przez liczne, niezmiernie kunsztowne przyrządy ssące nie bywa, jako ekstrakt najczystszy, przeprowadzona do jakiegoś nadsystemu szeroko rozgałęzionych rur, gdzie krąży jeszcze według starego rytmu wspaniały płyn czerwony.

Ten płyn — to krew twoja. Dzięki chemicznej i mechanicznej pracy w laboratorium kiszki, wszystko pożywienie, przygotowane już w ustach i żołądku, jakby na stacyach poprzedzających, przekraplane jest w ekstrakt pożywny. Ten ekstrakt wprowadzony jest potem w obieg krwi, dzięki czemu wypełniona jest jego rola, jako paliwo i siła ruchoma o wiele obszerniejszego jeszcze systemu maszynowego, niż same kiszki. Co najcudowniejsze, że cała ta skomplikowana produkcja fabryczna odbywa się napozór zupełnie automatycznie: nawet światła jej nie trzeba, w głębokich ciemnościach działają tam retorty, pompy ssą płyny, materiały rozpuszczają się, oddzielają i oczyszczają, dopóki z chaosu nie poczną wydzielać się klarowny, czerwony strumień. Niezrównany dreszcz przed czymś wzniosłem przejąć by musiał każdego, kto zwiedziłby to wszystko, jak zwiedza człowiek rzeczywistą pracownię, wspaniale urządzoną, fabrykę, w której ziszczone by były wszystkie ideały automatów przyszłości.

Ale oto w ten przepyszny systemat maszynowy wsunął się niepostrzeżenie tasiemiec.

Cała wielka produkcja w hali, z tą olbrzymią pracą przetwórczą w celu odżywiania wspaniałego zespołu maszyn, jest mu najzupełniej obojętną. Znajduje się on w położeniu małego fabrykanta, któremu dzięki prze-

myślnej drapieżności udało się kilka własnych drobnych maszyn, służących dla jego celów prywatnych, niepostrzeżenie w ten sposób połączyć z wielkim motorem, że otrzymuje on siłę ruchową stamtąd, nie mając potrzeby ani zużywać paliwa, ani wytwarzać siły przy pomocy drogich przyrządów; nie ma on do tego prawa, ale skorzystał z nadarzającej się okazji, uczynił to i śmieje się cichaczem. Zupełnie tak samo postępuje tasiemiec w kiszkaach twoich.

Jako zwierzę, stojące na pewnym stopniu rozwoju, jako »robak« ma on swój własny ustrój cielesny. I jemu potrzeba, jako paliwa, podtrzymującego płomień życia, pewnych materyałów odżywczych, które zgodnie z prawem ogólnem, powinny byłyby być wchłoniętymi przez usta, przetworzonymi w kiszkaach i wcielonymi w ustrój w postaci ekstraktu, jako źródło sił życiowych. Ale po co pracować samemu!

Kiedy w wielkiej fabryce, którą wyobrażają kiszki ludzkie, retorty zajęte są gotowaniem, pompy są w ruchu, i sączy się szlachetny ekstrakt odżywczy z aparatu destylacyjnego, tasiemiec leży sobie niepostrzeżenie w ciemnym kącie fabryki, pocichutku połączył swój pas transmisyjny lub przewodnik z olbrzymim systematem automatycznym i po prostu ssie sobie głębokimi łykami czystą, klarowną siłę odżywczą, jakgdyby sam był rezerwoarem krwi wielkiej fabryki, która sama krwi potrzebuje. Chytry ten gość rozwiązał sobie pod stołem niezwykle łatwo wielki problemat społeczny: pokazał na przykładzie, jak drobny przemysł utrzymać się może wobec miażdżącej siły wielkiego przemysłu, wciskając się weń po prostu niepostrzeżenie, korzystając z jego dochodów, jako na-

rząd, a pomimo to ostając się samemu ze swoją własną drobną produkcją.

Jego położenie w najświętszym wnętrzu obcej fabryki pozwala mu obywać się bez takich rzeczy, które w innych warunkach są najpotrzebniejsze. Nie potrzeba mu już więcej otwartego sklepu, któryby utrzymywał ciągły kontakt pomiędzy nim a światem zewnętrznym i tem wszystkiem, czego on dostarcza; nie potrzeba mu gęby, która nasamprzód ordynarnie wchłania pożywienie, i w samej rzeczy niema też gęby. Nie potrzeba mu własnego żołądka ani jelit własnych: sok pożywny dochodzi go bezpośrednio, bowiem ludzki żołądek i ludzkie kiszki za niego już przetwarzają surowe pożywienie w taki sok odżywczy. Będąc pozbawionym gęby i żołądka, wchłania on po prostu obcy, ludzki płyn odżywczy całą powierzchnią swego ciała. Jako idealny typ żarłokaleniucha, gwiżdże sobie na zasadę, która głosi, że kto nie pracuje, ten również nie powinien jeść, i tyje w swem lenistwie beztroskiem pośród najintensywniejszej pracy, wręcz dookoła. Ukryty w ciemnościach przepastnych tych hal wielkiej fabryki ludzkiej pozostaje on niezauważonym w niezliczonej liczbie przypadków, i tylko kierownicy fabryki tam w górze, w mózgu, zaznaczają od czasu do czasu niezrozumiały deficyt, porównywając dopływ sił i istotny przyrost siły, w postaci krwi: cyframi wykazują niejako obecność współbiednika, nie znajdując go, jako ukrytego pod stołem laboratoryjnym, rzeczywistego pasażera, przemykającego się bez biletu. A on tymczasem, utuczony, wysoce zadowolony ze swego genialnego rozwiązania problemu społecznego, wyzbyty z wszelkich innych trosk, kroczy ku celowi swego życia przez — miłość.

I choćbyś był najnabożniejszym i najwstrzemię-
 żliwszym ascetą, który zaprzysiągł wyrzec się miłości
 zawsze — to jednak nie mocen jesteś przeszkodzić temu
 lekkomyślnemu gościowi swemu w wypełnieniu wielkiego
 prawa natury bez względu na całą surowość twoich
 własnych obyczajów i twej świętości, pozostającej
 w sprzeczności z naturalnym biegiem rzeczy... I wypełnia
 on też to prawo w głębiach twych jelit z bezprzykła-
 dną energią nawet — choć, przyznać trzeba, że w dzi-
 wnych trochę warunkach.

Wyobrażasz sobie mniej więcej, jak wygląda ta-
 sиеmiec. Na przodzie t. zw. łeb ze specjalnymi narzą-
 dami, przyssawkami, (które mylnie uważane są za oczy)
 albo haczykami, które służą do tego, ażeby ucześcić się
 ścianki kiszki; głowa zwęża się ku tyłowi, tworząc
 jakby szyję, na której jest osadzona. Wreszcie następuje
 nieskończony łańcuch t. zw. członów, które w oczach
 profana nadają dopiero właściwie całości wygląd »ro-
 baka« i, jak wiadomo, łatwo się odczepiają. Ogólny ten
 obraz przez wspomnienie naszkicowany, należy jednak
 jeszcze wykoncypować sobie trochę dokładniej pod
 względem zoologicznym.

To, co nazywamy łbem i szyją, jest już właściwie
 tasiemiec sam, prawdziwy robak, należący do rzędu
 t. zw. płazińców, które stoją w systemacie na stopniu
 znacznie niższym, niż owi najbardziej znani przedsta-
 wiciele pokolenia robaków: dżdżownica i pijawka. Taka
 głowa solitera z przyssawkami i szyją może znajdować
 się w kiszce ludzkiej bez wszelkich dodatków, a jednak
 już stanowi prawdziwe, zamknięte w sobie indywiduum-
 solitera. Zawiera ono pewne zalążki mózgu (wprawdzie
 bez oczu i uszu); odżywia się w przedstawiony powyżej

sposób ekstraktem odżywczym przymusowego gospodarza swego, w którego domu mieszka, i byłoby skończone zupełnie, gdyby posiadało jedno jeszcze: mianowicie narządy płciowe. Ale tego ani śladu!

Wesoły ten współbiesiadnik nie jest ani męskiego, ani żeńskiego rodzaju, ani również hermafrodytą, któryby łączył w sobie jedno i drugie. A jednak warto go teraz obserwować. Najadł się do syta i czuje się zdolnym do najdojrzalszych czynów. W miejscu, gdzie kończy się tępo rzekoma szyja (właściwie tylny koniec ciała całego robaka), rozpoczyna się nagle »pączkowanie« w postaci nowego, młodego tworu. Mówimy o »pączkowaniu« (lepszego wyrażenia i tu również nie mamy), bowiem w rzeczy samej ten młody twór powstaje zupełnie tak samo, jak pączek roślinny: wyrasta on po prostu z tylnego końca ciała rodzicielskiego zwierzęcia bez specjalnego aktu rozrodczego. I na podobieństwo pączka również nie oddziela się odrazu od swego rodzica, a pozostaje z nim związany, tak, że ma się wrażenie, jak gdyby owej głowie robaka przybył dalszy człon.

Łączność pomiędzy nimi nie zrywa się i wtedy nawet, kiedy od robaka pierwotnego oddziela się drugi pąk-robak i wsuwa się pomiędzy pierwszą latorośl i robaka-rodzica. Oba pąki, oznaczone jako »dwie« jednostki przez powierzchowne wgłębienie, ale w rzeczy samej nie oddzielone od siebie, stykają się teraz ze sobą i ze swym rodzicem, niby początkowe ogniwa łańcucha.

Niezadługo łańcuch znów się powiększa. Energia miłosna pierwotnego tasiemca okazuje się nadal przy dobrem odżywianiu po prostu niewyczerpaną; pączek za pączkiem ztyłu wyrasta, człon za członem wsuwają się w łańcuch, tak, że wreszcie owa pierwsza latorośl

tasiemca oddzielona jest nieskończonym prawie szeregiem później zrodzonego rodzeństwa od swego rodzica, albo też, co w danym wypadku znaczy to samo, jest z nim przez ten szereg złączona. Zamiast jednego indywiduum przechowuje odtąd fabryka chemiczna twoich jelit całą rodzinę, która w skupionym, ścisłym szeregu tworzy wreszcie ów olbrzymi twór, który, jako całość, znany jest dopiero profanom, jako właściwy »tasiemiec«, bowiem teraz dopiero, jako całość, na pierwszy rzut oka, wygląda właściwie, jak olbrzymi robak z łbem i pierścieniami. Ale najbardziej interesującą jest rzecz następująca.

Małe robaczki, które powstały przez pączkowanie, nie zupełnie podobne są do swego rodzica. I one mają swe nerwy i pewne resztki narządów, wchłaniają sok odżywczy, słowem są prawdziwymi małymi tasiemcami. Ale pozatem posiadają jeszcze zupełnie rozwinięte narządy płciowe, a mianowicie męskie i żeńskie w jednym i tem samym ciele. Każdy mały robak wytwarza w sobie ciała nasienne, które mogą być wyprowadzane nazewnątrz przez członek rozrodczy, mający możność wysuwania się, a prócz tego mają i jajnik z pochwą, przez którą tłoczą się nazewnątrz jajeczka. I podczas kiedy stary tasiemiec wciąż jeszcze przejawia swą zdolność miłosną przez pączkowanie, budzi się już w tych młodych tasiemcach ta sama miłość, z tą tylko różnicą, że tu niema pączkowania, a wszystko odbywa się na prawdziwej drodze płciowego rozmnażania zwierzęcego. Człony tasiemca, będąc jednocześnie męskiego i żeńskiego rodzaju, zapładniają się wzajem parami, ściśle zespolone ze sobą w kiszce ludzkiej; odbywa się to w ten sposób, że każdy z nich udziela sąsiadowi

nasienia dla zapłodnienia jajek i jednocześnie dostarcza mu jajeczek dla jego nasienia. Samozapłodnienie jest i tu, jak się zdaje, tylko wyjątkowym wypadkiem, jak wszędzie zresztą w hermafrodytyzmie.

Natychmiast po dokonaniem zapłodnienia jajeczek ciała nasienne zsychają się, ale jajka zwykle otaczają się mocną błoną, w której po większej części zaraz jeszcze w łonie matki rozwija się zarodek młodego tasiemca-wnuka. Olbrzymia jest liczba jajek, które wytwarzają się podczas tych aktów miłosnych w młodych, przez pączkowanie powstałych tasiemcach.

T. z. uzbrojony tasiemiec (t. j. uczepiony przy pomocy wianka haczyków umieszczonych dokoła łba) zazwyczaj wytwarza za sobą w postaci łańcucha przez pączkowanie do tysiąca i więcej młodych, dwupłciowych tasiemców. Każdy z tych młodych milutkich tasiemców wytwarza znów wewnątrz siebie około 50,000 normalnych zapłodnionych jajeczek: to daje w rezultacie okrągłą liczbę 50 milionów wnuków.

Z chwilą, kiedy zjawiają się dojrzałe jajka, kończy się istotne zadanie życiowe drugiego pokolenia tasiemców. Niemożliwym jest, ażeby cały ten łańcuch z tysiącem członów stale trzymał się w żywym człowieku. Jeżeli nawet łeb przy pomocy swych haczyków i przysawek jest mocno przytwierdzonym i czasami pozostaje w swem ukryciu lat 12, ssąc pożywienie i pączkując, to jednak krańcowe ogniwa łańcucha stopniowo wciąż się odrywają i znikają przez upust, kędy wielka fabryka chemiczna wydziela niepotrzebne i niespożytkowane resztki. Często są one jeszcze wypchane dojrzałymi jajkami, niekiedy znów są już puste — w ostatnim wypadku jajka same, rozumie się, dostają się do kanału

wydzielniczego. Teraz rozumiesz, do czego cała rzecz zmierza...

Młode tasiemce, oderwane od swych łańcuchów rodzinnych, splukane z wiecznie zastawionego stołu wielkiego laboratorium, gwałtownie strącone w przerażającą otchłań, zrazu wewnątrz samej fabryki, zaś później wogóle wygnane zupełnie z budynku fabrycznego nazewnątrz, — poruszają się jeszcze wprawdzie troszeczkę tam w dole, gdzie roi się od okropności... a potem marnie giną i jako dowód swego istnienia, pozostawiają tylko jajeczka. Takie jajeczko jest bardziej trwałe. Tymczasem wszak nie potrzebuje ono pożywienia, a rozkładającym wpływom okropnego otoczenia stawia opór twarda, chemicznie odporna błona. Ale cóż się z nim staje wobec tego wszystkiego? Oto przede wszystkim podlega ono temu samemu losowi, co całe otoczenie, w którym się znajduje.

A drogi mogą tu być rozmaite. Jedno wędruje w dal, na łono pięknej, szerokiej, zielonej przyrody; inne pogrąża się w rozlewne, przeczyste ramiona wód i płynie w kryształowo-zielone morze i błękitne rzeki. Jeszcze inne pożerane jest przez świnie z naiwnością stworzenia cierpiącego nieobłudnie głód, stworzenia, dla którego wszystko jest czyste. Są i takie jajeczka, które padają na nagą skałę, gdzie dla żywego stworzenia niema sposobu ostania się. Natomiast trzy inne ewentualności zastają, o ile się zdaje, owo trzecie pokolenie tasiemców odpowiednio przygotowane. Oto bydlę pasie się na łące. Nagle jajko takie z zarodkiem tasiemca wewnątrz zostaje przez nie połkniętem i wpada

do żołądka. Oto szczupak chciwie i odważnie łyknie sobie wody — i zarodek tasiemca, co po pęknięciu otoczeki wirował sobie w wodzie, nagle znalazł się w żołądku rybim. Pocziwa stara maciora pochrząkuje na śniadaniu — i oto trzecie jajko tasiemca, które, być może, nie wydostało się jeszcze nazewnątrz z obumierającego ciała matczynego, natychmiast po odbyciu drogi przez straszną czeluść z góry na dół, znów pograża się w jakąś nową ciepłą głębię — w żołądek świński.

Ale w każdym z tych trzech wypadków ma się to wrażenie, jakgdyby ten mały zarodek wiedział dokładnie, co począć ze sobą. Jeżeli jest jeszcze w otoczce, to rozpuszcza się ona teraz poprostu w soku żołądkowym, i zarodek odzyskuje wolność. Przy pomocy swoich haczyków wdraża się on w ściankę żołądka, przebija ją na wylot i wędruje sobie po ciele, wyszukując najlepsze części mięśniowe. Tam usadawia się na stałe, odrzuca haczyki i pęcznieje, przybierając postać dużego pęcherza. Profan napotykać go w tej formie nazywa go teraz robakiem-pęcherzem lub wągrem, nie wiedząc o tem, że ma przed sobą tasiemca zamaskowanego.

Wągr wydaje się być skazanym na bezczynność. Samodzielnie nie może on już się wydostać z wnętrza ciała swego gospodarza. Nie posiada również narządów płciowych, tak że i w tym kierunku nie może działalności rozwinąć. Ale po krótkim przeciągu czasu zaczyna jednak przejawiać się w nim utajone dotąd życie.

Na podobieństwo tego, jak w początkach naszego romansu miłosnego powstało przez pączkowanie, jak u roślin, pierwsze pokolenie młodych tasiemców, tak

samo we wnętrzu wągra wrasta w jego pęcherz, niby zaostzony czopek, łebek z szyjką, który teraz wyobraża sobą ni mniej, ni więcej tylko pierwotnego tasiemca z łebkiem, takiego, jakiegoś widział wyżej w jelitach człowieka.

W niektórych gatunkach tasiemców nie kończy się wewnątrz wągra na jednym łebku — stopniowo wyrasta przez pączkowanie coraz więcej, albo bezpośrednio, jako czopki wewnętrzne pęcherza wągrowatego, albo też w ten sposób, że wągr przez pączkowanie wydaje z siebie młode wągry, z których każdy później wytwarza swego własnego tasiemca.

Ale trzymajmy się już najprostszego wypadku, t. j. jednego łebka w pęcherzyku.

Sytuacja i tak jest już dość niepowszednia. Wągr siedzi odcięty od świata w mięśniach świni, rogatego bydła lub szczupaka. A w tym wągrze tkwi tasiemiec dotąd ściśle jeszcze z nim związany, jako pączek, w takiej postaci, która rozwijać się może dalej samodzielnie tylko w kiszki człowieka i tam dopiero stwarzać nowe pokolenia tasiemców. Jakaż na to rada. Wągr wraz z łebkiem tasiemca czekają, nadziei pełne. I oto nastaje chwila, kiedy bydło lub świnia idą do szlachtuza i wiszą później u rzeźnika w postaci mięsistych ćwiartek tylnych wraz z pęcherzem wągra i główką tasiemca. I wybija godzina, kiedy i szczupak wpada w sieć. — I oto nastaje zwrot w losach tasiemca.

Czy, jako biedny poeta, podtrzymujesz płomień swego geniuszu na poddaszu najtańszą kielbasą wątrobianą z cebulą, czy obdarzasz mięso świńskie surową pogardą, a napawasz się w nabożnym spokoju swą rybą piątkową — to jest obojętne: spożywasz jedno lub drugie wesoło

— a później okazuje się, że masz tasiemca. Ów ma-
leńki wąż bywa połykany wraz z mięsem i dostaje się
do żołądka. Sam wąż jest tu u swego ziemskiego celu,
sok żołądkowy niszczy pęcherz, »trawi« go — tak samo,
jak mięso, w którym pęcherz się znajdował. Ale na po-
dobieństwo tego, jak ostało się ongi jajko w twardej
otoczce pośród najszaleńszych zakusów chemicznych,
którym uległy stworzenia rodzicielskie, — tak samo i te-
raz ostaje się owa główka tasiemca, która przez pącz-
kowanie z pęcherzyka wyrosła i w żołądku człowieka
natychmiast się z niego wyzwoliła zupełnie. I z żołądka
przedostaje się teraz do kiszek, nie jako przetwo-
rzony pokarm ludzki, ale jako szczęśliwa zwycięzczyni,
— i teraz znów jesteś na samym początku. Ssący ta-
siemiec w postaci jednej główki, pączkowanie, zapłod-
nianie tasiemców wypączkowanych z narządami płcio-
wymi — wreszcie, jako rezultat 50 milionów jajeczek
w jelitach biednego poety — i t. d.

Nie należy się zanadto przerażać liczbą. Nie wy-
daje się, jakoby naogół liczba tasiemców wzrastała,
każdy tasiemiec, biorąc rzecz tak, jak się dzieje w ży-
ciu, wydaje przynajmniej tylko j e d n e g o nowego.
Z 50 milionów jajeczek zazwyczaj tylko jedno znów
dostaje się do jelit człowieka poprzez zawile pośredni-
ctwo węża, w czem zresztą niema nic dziwnego wła-
śnie ze względu na te perypetye podrózne. A teraz za-
stanówmy się raz jeszcze nad tem wszystkim.

Romans miłosny tasiemca obejmuje oczywiście nie
mniej, niż cztery pokolenia. Prawdziwa miłość
płciowa z nasieniem, jajeczkami i zapłodnieniem — to

cechy pierwszego pokolenia tych młodych tasiemców w jelitach ludzkich, tasiemców, sprzężonych ze sobą na podobieństwo łańcucha.

Ich jajeczka, prawidłowo zapłodnione, wyrastają w węgry.

Z węgry przez pączkowanie wyłania się tasiemiec, składający się tylko z główki.

Z niego znów przez pączkowanie wyrastają dwupłciowe łańcuchy młodych tasiemców.

Przełożmy to sobie na stosunki ludzkie.

Ktoś z żoną swoją płodzi prawidłowo chłopca. Zrazu zapowiada się on zupełnie po ludzku, ale kiedy osiąga pewnego wieku, spostrzega ojciec, że jest jakoś dziwnie do niego niepodobny i sposobi się do zupełnie odmiennego życia. Jeszcze kiwa nad nim głową z podziwu ojciec, aż tu z nosa wyrasta chłopcu inny, znów niepodobny zupełnie do niego samego, natomiast już bardziej podobny, choć jeszcze nie całkiem zapewne, do dziadka. Z wzrastającą ciekawością śledzi on rozwój wnuka: oto z ramienia wyrasta mu trzeci chłopak, który wreszcie najzupełniej podobny jest do owego pierwotnego ojca, zupełnie tak samo, jak on, szuka sobie kobiety i, zamiast ryzykownego rozmnażania się przy pośrednictwie nosa lub ramienia, obiera znowu uznaną powszechnie ścieżkę miłosną, po której kroczył jego pradziad. Czy spostrzegasz podobieństwo z historią meduzy. Ale cały proces jest tu jeszcze zawilszy. Zoolog musiał znaleźć wyraz, któryby rzucił trochę światła w ten labirynt. Zrozumiał on — (i czytelnik sam, gdyby wypadło mu mieć z tym do czynienia — byłby postąpił nie inaczej) — że zwykły krótki szereg: ojciec — syn — wnuk — prawnuk i t. d. tu nie wystarcza.

W naszym obrazie musiałyby się to jakoś w ten sposób nazywać: ojciec — niepodobny syn — chłopak »nosowy«, chłopiec »ramieniowy« = podobnemu synowi.

Zoolog korzysta w opisie przeobrażeń tasiemca z wyrazu »karmicielka«. I ustanawia taki szereg: prawdziwy tasiemiec - ojciec (ogniwo łańcucha w jelitach człowieka) — starsza karmicielka (wągr) — karmicielka (tasiemiec-główka w jelicie człowieka) — prawdziwy potomek tasiemca (nowy młody tasiemiec łańcuchowy, przez pączkowanie z tasiemca-główki zrodzony).

Stąd widać, że cel tego romansu nigdy nie bywa osiągany w jednym pokoleniu, nigdy w tym okresie nie dochodzi do tego, ażeby się tasiemce wzajem »posiąść« mogli. Romans ten musi w tym celu trwać koniecznie poprzez kilka pokoleń. I choć brzmi to więcej, niż dziwnie, to powiedzieć można, że, zanim tasiemiec dotrze do istotnego płciowego celu miłości, musi przedtem przynajmniej raz umrzeć (jako wągr) i dwa razy (jako wągr i jako tasiemiec-główka) przetrwać w ciągu całego okresu w celibacie.

Czytelnik doznaje zawrotu głowy... ale niechaj pozwoli na jedno jeszcze zwrócić uwagę. Należy dokładnie zapamiętać, że w tym romansie zdarza się dwa razy fakt następujący: j e d n o i n d y w i d u m m u s i u m r z e ć, ażeby następne mogło żyć. Ogniwo tasiemca-łańcucha, które pod wieloma względami, jako jedyna postać, zdolna do prawdziwego płciowego zapłodnienia, zajmuje najwyższy szczebel w całym szeregu, musi opuścić za sprawą srogiego losu miłe, ciepłe, pełne pożywienia jelito, gdzie zewsząd sączy się manna w postaci przetworzonych już soków ludzkich, musi pograżyć się nasamprzód w głąb ludzkiego kanału odchodowego, zaś

później w straszną, niszczącą otchłań nazewnątrz ciała ludzkiego i tam musi beznadziejnie uleść rozkładowi. A wszystko dzieje się to w tym celu, ażeby dobrze opancerzone jajko mogło obrać błogosławieństw pełną drogę w kierunku bydlęcia, świni lub szczupaka.

I po raz wtóry wąż musi z bydlęcia, świni i szczupaka wpaść w żołądek ludzki, musi tam zginąć marnie od kwasu żołądkowego, ażeby tasiemiec-główka dotrzeć mógł do miejsca swego przeznaczenia, do jelit ludzkich.

Wprawdzie jedno pokolenie żyje wciąż bez przerwy pomimo i poza wielkiem potomstwem: tasiemiec-główka. Siedzi on u źródła w ciągu 5-ciu, 10-ciu, w pewnych razach i 20-stu lat, poza jego plecami wyrastają wciąż nowe pokolenia, a on siedzi sobie bez troski wszelakiej, niby patriarchy, o którym śmierć snadź zapomniała. Do niego zastosować można słowa Busch'a: »on ma wszystko po za sobą i jest, Bogu dzięki, cnotliwy«. Dopiero wtedy, kiedy jego człowiek-gospodarz umiera, i on ginie od śmierci głodowej. A jednak on właśnie jest tylko owym stworzeniem drugiego stopnia, ową »karmicielką«, której obce pozostają wyżyny miłości, gdzie dwoje — »ja i ty« — ze sobą obcuje...

Skoro z jednego wielkiego przykładu poznaliśmy już teraz rozmnażanie przy pośrednictwie karmicielek, możemy jeszcze, jako ilustracye tego pojęcia, dodać kilka historyj miłosnych, które właściwie prostszy jeszcze stanowią wyraz stosunku pomiędzy rodzicem a dzieckiem.

Pozostaliśmy przy tasiemcach.

Nie możemy tu rozważkiwać całej klasyfikacyi robaków — jest to rzecz rozpaczliwie trudna. Dość już z tego powodu swarów w gronie samych zoologów,

i już dawno powiedział gruby Karol Vogt w Genewie, że już najlepiej byłoby powiesić całą tę systematykę na kołku i zgodzić się na wiersz Busch'a: »Długość robaka jest rozmaita«. A więc tylko słów parę w celu niezbędnego porozumienia się. Rozrzucmy sobie poprostu wszystkie robaki na trzy gromady.

Jedna — to płazińce. Tu należą również znane profanom tasiemce. Ta gromada robaków stanowi najniższą latorośl drzewa genealogicznego; prawdopodobnie powstały one bezpośrednio z owego pocziwego pierwotnego brzuchacza, gastraei, o której mówiliśmy wyżej.

Z płazińców w biegu rozwoju historycznego rozwinęły się dopiero później właściwe, albo prawdziwe robaki, olbrzymia gromada stworzeń, o 15-stu, conajmniej, klasach i niezliczonych nazwach grup. Mamy tu: wrotki, niciowce, cierniogłowy etc.

Jako profan, czytelnik zna z tej całej pstrej rzeczy — jestem tego pewny prawie — tylko rzeczywistych przedstawicieli jednej jedynej grupy, a mianowicie niektóre niciowce, bowiem do nich należą: włosień, przyjaciel człowieka; glista, która również wiedzie w jelitach ludzkich życie pasożytnicze; octówki, co używają sobie życia w butelce z octem i t. d. Więc to są t. zw. robaki prawdziwe.

A teraz oddziel sobie jeszcze trzecią gromadę — pierścienice. Właściwie odbiegły one już daleko od właściwego typu robaka. Należy zapamiętać, że z prawdziwych robaków rozwinęły się w biegu historii wszystkie wyższe grupy zwierzęce: nasze ślimaki, mątwy, rozgwiazdy morskie, jeżowce, raki, pająki, owady, ryby, płazy, gady, ptaki, ssawce, wreszcie na samym końcu

i człowiek. Oczywiście, były również grupy przejściowe, które niezupełnie jeszcze wyzbyły się wszystkich cech robaka, ale jednak już nie odpowiadały mu całkowicie. Taką grupą przejściową są pierścienice: ich pierścienie stanowią pomost pomiędzy istotnymi robakami, a rakami i owadami. A tu właśnie należą te »robaki«, które znamy najlepiej: dżdżownica i pijawka, i teraz oto, wzięwszy po jednym lub po dwu przykładach, możemy uprzytomnić sobie wszystkie trzy główne grupy pokolenia robaków: to wystarcza dla celów naszych.

Mimochodem (dla przestrogi) zaznaczymy tylko jeszcze jedno. Cała masa żyjątek, które zwykliście nazywać »robakami«, ze stanowiska zoologii bynajmniej nimi nie są: wszystkie owe grube żyjątka w gnijącym mięsie, w »żywym« serze limburgskim, w »robaczywym« jabłku, — wszystko to są czerwce czyli nierozwinięte jeszcze postaci młodociane owadów. Kiedy oglądać przez pewien czas czerwca w serze lub mięsie, to zauważyć można, że przeobraża się on wreszcie w prawdziwą muchę, która jest nieskończenie bardziej złożonem, wyżej uorganizowanem zwierzęciem, niż istotny robak.

Przez chwilę zatrzymamy się jeszcze przy płazińcach, a więc na samym dole tej drabiny. I tu mamy dosyć dziwacznych historyj miłosnych.

— Oto mamy przed sobą t. zw. diplozoon (zwierzę podwójne), mały potworek, wiodący życie pasożytnicze na skrzelach karpia. Wyobraźmy sobie, rozumie się w miniaturze, dwa zrosnięte ze sobą na krzyż ogórki. Każdy ogórek jest właściwie sam przez się robakiem; każdy z nich wałęsał się też przez pewien czas samodzielnie; wtedy nie miał jeszcze nawet śladu narządów płciowych, a mimo to pewnego dnia objęło go dziwa-

czne pożądanie: przyłączył się do drugiego osobnika tego samego gatunku. Jeden z nich chwytą teraz drugiego przy pomocy małego otworu ssącego na brzuchu za mały wyrostek, umieszczony na plecach po obu stronach, i sprzężeni w ten sposób na podobieństwo bliźniąt syamskich, utworzyli odtąd jedno poniekąd zwierzę. Teraz dopiero, jako »zwierzę podwójne«, dojrzewają płciowo, i przytem każda połowa posiada zarówno męskie, jak i żeńskie narządy płciowe. Oto mamy potwór erotyczny z 4-ema ogółem narządami płciowymi, które zapładniają się na krzyż w tem ciele podwójnem...

A oto inny blisko spokrewniony płazinic, który słusznie nosi nazwę »gynaikoforus« czyli »nosiciel kobiecości«.

Jest on wyjątkowo zupełnie płciowo wyodrębniony, ale dla pewności samica i tu zespala się z samcem, wślizgując się na stałe w specjalną szparę na brzusznej stronie opiekuna-samca, tak, że prawie powiedzieć byłoby można, że samiec wyobraża sobą, jakby coś w rodzaju kangura, który swoją połowicę, jak dziecko, nosi w worku. Zwierzątko to specjalnie upodobało sobie pęcherz moczowy małych negrów i, ssąc tam tkankę, jak wszystkie te pasożyty, wywołuje najgroźniejsze krwotoki.

Ale to wszystko nie było jeszcze właściwie tem, co chcieliśmy dodać w uzupełnieniu historyi o ta-siemcu.

Przenieśmy się raz jeszcze w kunsztowną fabrykę chemiczną ustroju, zajętego trawieniem — tym razem,

przypuśćmy, u barana. Specjalnie ważna hala tej fabryki nazywa się wątroba. Tu przekraplanym bywa przepyszny ekstrakt, stanowiący niezbędną potrzebę całego systemu fabrycznego: — żółć. Na progu hali znajduje się duży rezerwoar dla tego ekstraktu, pęcherz żółciowy, a z hali, jak i z rezerwoaru prowadzi specjalny kanał do sali głównej, gdzie pracują aparaty trawiące; jest to przewód żółciowy, który wpada do jelit.

Tu, w tym ważnym przewodzie fabrycznym, żyje sobie motyllica, która, jako płazinię, również jest tylko korsarzem i niepowołanym współbiednikiem, jak tasieniec w jelitach.

Motyllica jest poniekąd samodzielniejszą od tasienca: ma ona jeszcze swoją prawidłową głowę i jelita. I dlatego właśnie jest tem niebezpieczniejszą dla fabryki, do której się wślizgnęła; pije nie żółć, ale po prostu krew wątroby i naciera na ścianki jej kanałów. Tworząc na jednym miejscu całe roje, motyllica doprowadza wreszcie fabrykę do bankructwa: barany zdychają na t. zw. gnicie wątroby.

Ale tymczasem, dopóki dochodzi je jeszcze pożywienie, używają sobie motyllice w swym przewodzie żółciowym poza kulinarnymi i miłosnych uciech. Będąc same obojniakami, uprawiają one na wzór pierścieni tasienca miłość na krzyż i wrzucają znaczne masy zapłodnionych jajeczek (miliony całe) do jelit, a jajeczka te wydostają się bez przeszkody na zewnątrz wraz z odchodami.

Baran uczynił teraz to, co do niego należało, i może odejść. Deszcz splókuje łąkę, gdzie rozrzucone zostały owe odchody fabryczne: jajeczka motylic dostają się do wody, i z pękniętej otoczki wyskakują żwawy mały

zarodek, poczwarka motylicowa, która przy pomocy gęstego płaszczyka cienkich włosów rzęsovatych wiruje swobodnie w wodzie i posiada nawet oko, ażeby mózdz napawać się światłem. Wprawdzie szła jego swobody trwa dość krótko. Migotliwe futerko znów znika, i mała motylica, jak prawdziwy robak, wchodzi już po krótkiej chwili swawoli do ciała jednego z owych ślimaków stawowych z rodu *Limnaea*, których misterne mieszkanka tkwią wszędzie w ile naszych wód. Domyślamy się już: staje się ona, jak to było z tasiemcem, »węgrem«. Ale wszak musi ona znów dostać się do wnętrza barana; a barany nie zwykły właśnie jadać muszli. Naogół cała sprawa przyjmuje tu przebieg daleko bardziej zawiły.

Kiedy robak nasz dostaje się do ciała ślimaka, ma on we własnym ciele jakieś dziwaczne sensacje. Jeżeli przodkowie jego stanowili groźbę dla fabryki chemicznej wewnątrz barana, to teraz w samym tym małym robaczku, zda się, coś takiego się zapowiada, co jak *Nemesis* działa. Nie są to napewno właściwe rozkosze miłosne, bowiem do tego nie posiada on odpowiednich narządów; i wogóle, jak przypuszczać można, nie są to żadne rozkosze.

W jego ciele coś pączkuje — wyrastają młode zwierzątka o postaci rurkowatej w coraz to większej i większej liczbie. Wkrótce wypełniają one całe ciało starego robaka, narządy zanikają, skóra napina się, jak pęcherz, całe zwierzę rodzicielskie, w którego łonie wyrasta ten potwór, obumiera, przybierając postać wielkiej dookoła zamkniętej łupiny w kształcie kielbasy, gdzie czasowo znajduje dobre schronienie nowe pokolenie robaków w postaci małych, włożonych jedna w drugą kielbasek.

Śmierć ofiarna, — nowe życie... Czekamy, rychło

małe kielbaski w odpowiedniej chwili rozerwą łupinę i dążyć poczną ku własnym celom życiowym. Wszak same one nie są tylko otoczką, ale, jak się zdaje, są zupełnie gotowe do życia indywidualnego, z gębą i jelim, na podobieństwo początkowych motylic w przewodzie żółciowym barana... Atoli sprawa nie dochodzi do wyłuskiwania się z łupiny. Małe motylce-kielbaski leżą jeszcze nieruchomie w wielkiej, pustej łupinie matczynej, a oto już w żywych, dopiero co do życia powołanych kielbaskach wre odnowa: w nich samych znowu wyrastają młode przez pączkowanie, tym razem najmniejsze już motylce z ogonkiem-sterem, które wyglądają prawie jak miętusy. I znów te małe trzeciego rzędu wzbierają, dopóki ich robak-rodziciel nie stanie się martwą skórką; mają one na końcu ciała swego, odpowiadającym głowie, żądło-świder, przy którego pomocy przedziurawiają potem wszystkie otoczki; rojem wysypują się do wielkiego ślimaka, stanowiącego ich schronisko, a wkońcu i stamtąd uciekają na zewnątrz i płyną na wody otwarte, skąd ongi powstał ich przodek w swym płaszczu z włosków-migawek. Wraz z wodą dostają się daleko na zalane łąki; tu w dogodnym miejscu, u rośliny jakiejś, zatrzymują się, odrzucają ogonek; gruczoł jakiś wydziela lepki śluz, który, zasychając, tworzy szybko otoczkę dookoła całego potworka. Teraz nastaje okres wyczekiwania. Otoczka jest równie dobrą ochroną, jak ongi jajko dla przodków. Po pewnym krótszym lub dłuższym czasie, zależnie od losu, zjawia się baran i zjada roślinę wraz z drobnutką otoczką: otoczka roztapia się, motylca z żołądka przedostaje się do jelit, a stamtąd do przewodu żółciowego... i po trzykrotnym uśmiechu szczęścia zdobywane bywa pierwotne

położenie, baran dostaje gnicia wątroby, a miłość w przewodzie żółciowym sprawia, że miliony jaj motylicowych odnowa wydostają się na wędrówkę.

Oto jest romans motylicy. I ten romans wyobraźcie sobie w trawestacji »ludzkiej«.

Bierzesz żonę i płodzisz z nią normalne dziecko, które jednak jest dość do ciebie niepodobne. Kiedy dziecko dorasta pewnego wieku, spostrzegasz nagle, że dostaje ono jakichś poważnych bólów. Nigdy nie znalazło ono miłości, a mimo to wyrastają w nim wnuki w przerażającej liczbie, odsuwają je samo w jego własnym ciele ku ścianie, aż wreszcie staje się ono pustą otoczką dookoła złośliwego pomiotu. A wewnątrz wnuków w groźnym stopniowaniu tego dramatu wyrastają już prawnuki i znów na śmierć gniotą wnuków — aż wreszcie cały ten potwór-grzyb pęka, i te prawnuki rojem wysypują się nazewnątrz. One później wyrastają i przybierają postać człowieka, do ciebie podobnego, który znów na podobieństwo twoje znajduje rozkosz w miłości niewieściej...

Tu masz ten sam łańcuch, co u tasiemca: motylica płciowa — piastunka starsza — pośrednia — prawdziwa motylica mała. I tu po dwukrotnym celibacie następuje dwukrotna śmierć ofiarna, dopóki znów w tym łańcuchu nie pojawi się miłość w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Tylko że tu ta śmierć ofiarna rodzicielskiego indywiduum nie jest już spowodowana przez zewnętrzne, młodym indywiduum sprzyjające warunki, jak pogrążanie w ustępie, wywierającym wpływ rozkładowy, lub w pożerającym kwasie żołądkowym: tu następuje zmiżdżenie samej rodzicielki tak, że zostaje się z niej tylko łupina; i rosnący wewnątrz jej własnego

ciała pomiot czyni z niej jakby pozbawiony życia rozpięty parasol... Czy nie masz tego wrażenia, jak gdyby trzepotał się ponad tobą ów sławetny pelikan z owej chrześcijańsko-zoologicznej legendy, co pozwala dzieciom swoim ssać swą krew serdeczną...?

Nawet na to się odważają te biedne robaczki, że wysysają pierś matczyną w najśmielszym wyrazu tego znaczeniu... Mówiliśmy już, że środkowa, najobszerniejsza kondygnacya tego miłego pokolenia robaków, obejmuje obok licznych innych grup i t. zw. nitkowate, do których należą trychina i octówka. Niechaj nam wolno będzie dla uzupełnienia obrazu o tasiemcach zatrzymać się na chwilę przy tej ostatniej.

Kiedy weźmiesz pod światło butelkę z octem lub, jako prawdziwy literat, butelkę z klejem, płyn skłóciśz i pośród powstałych mętów wprawisz w ruch wirowy tych drobniutkich przyjaciół domu, co nie gardzą ani kwasem ani klejem, to ani się domyślasz, w jak zabawne dostałeś się towarzystwo, zabawne w owym dobrotliwym znaczeniu naiwnej przyrody, niewyczerpanej w swych romansach miłosnych.

Oto zaraz na wstępie masz wężyka pszenicy, co jako poczwara posiada trwałość mumii, lata całe spoczywa w suchych ziarnach pszenicy, czeka w nadziei, rychło wreszcie ziarna będą posiane, ażeby módz swe wyższe życie miłosne pędzić aż w pączkach kłosów przyszłych. Oto tu znów Heterodera, t. zw. »robak-niciowiec«, przyczyna zagłady roślin rzepowych, którego romans rozwojowy rozgrywa się na szmacie świata pomiędzy powłoką zewnętrzną buraka, a jego wnętrzem, i naodwrot.

Człowiek żyje we wszechświecie, szuka wzrokiem

gwiazd najdalszych, i olbrzymia ziemia zaczyna być za małą dla niego. Zaś oddawna już jest za małą dla myśli jego. Już nawet niedługo za małą będzie dla zwykłej podróży poślubnej. Atoli tutaj mamy objętość buraka, a na części tej przestrzeni rozgrywa się cały romans życiowy, nadzwyczaj zawiły, pełen zachwyceń i radości oraz najcięższych tragedii, — życie, miłość i śmierć — a wszystko na części przestrzeni, zajętej przez burak.

Pełen kwitnącej siły życiowej rośnie burak w ziemi. Aż oto w najcieńsze końcowe rozgałęzienia jego korzeni wświdrowują się przy pomocy ostrych żądeł drobne robaczki, których długość nie dochodzi nawet $\frac{1}{2}$ milimetra. Powoli posuwają się one ku górze w soczysty rdzeń korzenia, przerywając go wszerz i wzdłuż, zażywając w nim takiej rozkoszy, jak owo dziecko z bajki o górze z pierników — i wreszcie pewnego dnia spotykają się tuż pod ścianką zewnętrzną buraka — na rubieży nowego świata. Teraz przedziurawienie ostatniego tunelu wystarcza, ażeby przemknąć się i przez otoczkę korzenia, ową furtkę, wiodącą w świat poza buraczany.

Ale teraz właśnie, na samej granicy pomiędzy jedną i drugą stroną buraka, pośród wędrowców powstaje jakieś dziwne wrzenie, budzi się w nich dziwna tęsknota: jeszcze w buraku samym obejmuje je sen miłosny. Dotąd nie posiadali nic, co mogłoby napomykać o miłości: żaden z nich nie był ani samcem, ani samicą — wogóle brak było wszelkiego zawiązku narządów płciowych. Ale teraz nagle następuje przeobrażenie, i z prostego robaczka powstaje nowy zupełnie twór. Każda z drobnutkich żywych niteczek stłoczo-

nych tuż pod zewnętrzną ścianką korzenia, nabrzmiewając, przybiera postać, przypominającą małą butelkę. Każda z tych buteleczek stopniowo grubieje, już się elastyczna otoczka korzeniowa uwypukla nazewnątrz, jak gdyby stare buraczysko miało przez pączkowanie wydać na świat pokolenie dziwacznych młodych buraczków. I w rzeczy samej: część tych butelek wciąż grubieje, aż butelka staje się podobną do brzuchatej cytryny, która napiera wciąż i napiera — i wreszcie — trzask — pęka skórka rośliny, ostry koniec cytryny przegląda na zewnątrz. A w istocie ten »wścibski« koniec cytryny — to żywy odwłok robaka. Okazuje się, że jest tam otwór, otwór płciowy, żeński. Zwierzątko »cytrynowe« pocichutku stało się samicą. Wysunąwszy w ten sposób swój odwłok z otworem płciowym, czeka nieruchomo wydarzeń następnych.

I niedługo czekać na siebie dają. Nie wszyscy wędrowcy z pod znaku buraka nabrali tam wewnątrz cech żeńskich. Niektórzy z nich, najadłszy się do syta i przybrawszy kształt butelki, wkrótce potem sami wydobywają się ku dołowi z tej butelkowej otoczki, jak kiełbasa, która wychodzi z własnej skórki. I oto każde z tych niesfornych stworzeń, odnowa przybrawszy postać robaczków-niciowców, stało się jednocześnie z tą zmianą ubrania wierzchniego »mężczyzną« — z prawidłowym męskim narządem płciowym. I oto, ta partya przynajmniej, sił nowych świadoma, zdaje się ostatecznie uprzykrzyła sobie stary korzeń buraczany: ci świeżo upieczeni »panowie« przedziurawiają w rzeczy samej błonę roślinną, łożą wzdłuż dachu swego więzienia i pod urokiem starej tajemniczej siły erotycznego »przyciągania« szukają, miłością gnani, »wiecznie ko-

biecego«. A ono tuż: wszak zewsząd wystają nazewnątrz owe samice-cytrynki. I sposobność natychmiast jest wyzyskana.

Tylko upojenie zbyt przemijające! »Miłość wędnie, tylko płód wzrastać musi«.

Zaledwie jajeczka zapłodnione zostały i zaczynają dojrzewać, rozpoczyna się w samicy-cytrynce niepowstrzymany zanik wszystkich narządów wewnętrznych. Macica pęka i wyrzuca jajeczka wprost do brzucha, natomiast rozpływają się jelita. I szybko kroczy naprzód w swym rozwoju tragedia macierzyństwa: jajeczka nie przeobraziły się jeszcze w istotne młode stworzenia, kiedy z całego macierzystego indywiduum nie pozostało nic, prócz brunatnej torebki, która drętwą i martwą tkwi w błonie korzenia. Pewnego dnia spada ta torebka zupełnie z pnia buraczanego, niby owoc dojrzały, i teraz wreszcie pęka i ona od naporu młodych robaczków z wewnątrz — a one rojem rozsypują się po czarnej ziemi i odnowa szukają sobie korzenia buraczanego. Samce, wygnani z ojczystego buraka-karmiciela, również tymczasem przepadły oddawna. A w końcu, jako ostatni akt tragedyi, ginie cały burak na skutek zatrzymania się procesu wzrostu, od »znużenia« — co równa się końcowi świata dla robaków.

Inny jeszcze obrazek kalejdoskopowy. Oto Sphaerularia bombi. Z bombą nie ma ona nic wspólnego. Bombus — to nazwa łacińska bąka. A więc chodzi o wężyka bąkowego.

Czy znasz bajkę ludową o garnku zaczarowanym, w którym miało się wciąż gotować, dopóki nie padnie

słowo zaklęcia, wstrzymujące to gotowanie? Słowo to poszło w niepamięć, i oto w garnku wciąż się gotowało, aż wreszcie cała wieś utonęła w słodkim odwarze ryżowym. Straszna historia, którą tu opowiemy, przypomina tę bajkę, ale jest jeszcze okropniejszą. Początek brzmi wprawdzie tak słodko, jak idyla miłosna.

Młode wężyki bąka przemieszkują zdala od swego gospodarza. Wszyscy razem przemieszani żyją sobie w ziemi, dojrzewają tam i kochają się wzajem. Zapłodnienie nastąpiło — samice mają zapłodnione jaja w sobie, a samiec umiera. I tu rozpoczyna się dopiero najszańsza epepeja świata robaczego, coś w rodzaju historii Jules'a Verne'a.

Samica wraz z jajeczkami wdziera się podstępnie w ciała samic-bąków, zimujących pod ziemią, i przyczepia się mocno u ścianki ich jelita. I wydaje się teraz, że złoży ona tam wewnątrz swe jajeczka. Zdaje się, jakoby ona sama do tego się przygotowywała. Bowiem, rozgościwszy się wygodnie w nowem schronieniu, rozpoczyna zupełnie spokojnie wysuwać swą otoczkę przez otwór płciowy, niewątpliwie z tym szlachetnym zamiarem, ażeby tą najprostszą drogą możliwie jaknajprędzej wydobyć nazewnątrz swój żywy ciężar. Ale cóż to się dzieje?

Zamiast, ażeby młode wyszło i dało spokój matce, otrzymuje się wrażenie, jakgdyby wypchnięta błona sama żywą się stawiała.

Pręży się, rośnie, wzbiera i nadyma się, jak balon, co się urwał z uwięzi i chce się przez wąski otwór wydostać.

Garnek z warzą w bajce! Oto teraz jest to brzydactwo już takie wielkie, jak cała matka umęczona,

teraz już jest większe, już dwa razy takie wielkie, trzy razy, dziesięć—sto razy—jakby olbrzymi wąż gumowy o potwornych rozmiarach, i jeszcze wciąż rośnie. Jak owa wioska zniknęła, utopiona w warze, tak samo i tu ciało maczyne kurczy się, staje się zwykłym dodatkiem, — już potwór ów jest 1000 razy większym od ciała maczynego, — i jeszcze nie koniec. Wreszcie różnica w rozmiarach przekracza 15,000 razy...

Jeżeli wyobrazić to sobie w zastosowaniu do człowieka i wziąć ten wzrost na długość, to, jako przykład, dać możemy wypadnięcie macicy, która wystaje na metr, 10, sto metrów, póki wreszcie nie zajmie jednego kilometra przestrzeni. Przypominacie sobie historyjkę Jana Paul'a o jednym panu, który miał taki długi nos, że wystawał na milę, na dwie godziny przed właścicielem ukazywał się z poza bramy miejskiej i był za-aresztowany, bo nie miał przy sobie paszportu.

A od tyłu ciało maczyne ginie pod potwornym ciężarem swego płodu. Jeszcze chwilka — i oto odpada ono zupełnie, jako uschnięty, mikroskopijny, bezpożyteczny ogonek swego własnego potwornie rozrosłego narządu — i w trzmiel wpada na podobieństwo dojrzałego strączka grochowego owa olbrzymia otoczka, wypchana wesołym drobiazgiem świeżo wylęgłych młodych Sphaerularia.

Ale i to wszystko znowu w nawiasie. Właściwa rzecz, dla której wprowadzamy czytelnika w to towarzystwo, dotyczy robaka-niciowca z pokolenia tych pasożytów, których zoolog ochrzcił mianem Rhabditis

(rhabdos — znaczy po grecku sztaba), ściślej mówiąc Rhabditis czarnożylna (*nigrovenosa*).

Rhabditis — samiec i samica — zrazu płciowo wyraźnie rozgraniczeni, zjawiają się w postaci bardzo drobnych stworzeń w ile; samiec ma $\frac{1}{2}$ milimetra długości, samica prawie milimetr cały. Szybko się wzajem odszukują i pokochują się szybko w sobie, w miękkim ile, jako wolni, zupełnie pozbawieni instynktów pasożytniczych, obywatele świata.

Dla tej całej grupy robaków-niciowców przyroda ustanowiła zupełnie prawidłowy akt zapłodnienia. Większa samiczka posiada swój otwór płciowy pośrodku albo blisko środka ciała, mały samiec — na końcu; u samca otwór płciowy jest jednocześnie otworem jelita. Dla aktu płciowego nie wystarcza jednak zetknięcie się obu otworów; znajdujemy jeszcze specjalne narządy zapładniające, mające duże znaczenie. Po większej części samiec posiada u swego otworu jelitowego parę mocnych żądeł, które w zwykłych warunkach spoczywają w specjalnym uchyłku i wysuwane bywają tylko w celu zapłodnienia. Czasami wydłuża się cały odwłok w postaci dzwonu małego, który obejmuje samicę ruchem ssącym.

Zaledwie mijają chwile miodowe z ich całym aparatem miłosnym, w ciele sytej miłości samiczki poczynają się dziać zupełnie niezwykle cuda. Jak wszystkie jej podobne, posiada i pani Rhabditis w brzuchu prawidłową macicę, która oto teraz zawiera w sobie po dokonanej akcji płciowej zapłodnione jajeczka. W krótkim czasie rozwijają się z nich młode, drobniuśkie Rhabditiski, które już mogą zupełnie swobodnie wywędrawać na wielki obszar iłowy. Ale nic z tego. Jest

ich niewiele, najwyżej cztery, często bywa tylko jedno jedyne. Ale prężą się, zwijają — i trzask, pęka ścianka macicy wewnątrz zwierzęcia-matczyngo — i teraz sytuacja staje się przykrą — a mianowicie dla matki. Małe robaczki — pelikany zaczynają żreć w dosłownem znaczeniu jelita swej własnej matki, — i nie wcześniej ustają, dopóki nie pożrą jej całej aż do powłoki skórnej, aż wreszcie ona stanowi pustą, martwą powłokę, otaczającą dzieci swe — morderce...

Po chwili rozrywają również i skórę matczyną, i młode Rhabditiski wypełzają w ił. Jeszcze jako istoty bezpłciowe przedostają się z iłu do płuc żabich. Tu stają się pasożytami o dziwnie zmienionej postaci, pozostają przez czas dłuższy i rozwijają każde dla siebie oba rodzaje narządów płciowych na jednym i tem samym ciele, w zupełnem przeciwieństwie do rozdzielnopłciowych swych rodziców. Dopiero pokolenie, zrodzone z wzajemnego podwójnego zapłodnienia, dokonanego pomiędzy nimi, znów przez jelito wydostaje się z żaby, wraca w ił, i tu tworzą się rozdzielnopłciowe pary Rhabditis o pierwotnej postaci.

Może ze specjalnych względów warto byłoby zapamiętać sobie ten przykład.

Kiedy świętoszkowie jacyś zechcą ze zbyt wielkim zapalem i lekkomyślnością przekonywać was o tem, że przyroda zbudowana jest na miłości; kiedy wam kazać będą, że najmniejszy robaczek czci miłość dla swego twórcy — wtedy niechaj, jako wizya, wypłynie w waszej świadomości biedna mała Rhabditis, wijąca się w ile nadbrzeżnym, jako ofiara kanibalizmu swych własnych dzieci...

Już dawniej, wspominaliśmy raz o naszym najwe-

wnętrznieszem przekonaniu, że »miłość« mogłaby nas znów wrócić ku istocie świata; że moglibyśmy pewnego dnia odnowa pojąć, jak wyraz ten, nawet w sensie zupełnie realistycznym brany, stać by się mógł naszym najgłębszym symbolem: symbolem przewyciężenia całego bolesnego i tęsknego osamotnienia jednostki, symbolem uśmiechniętej śmierci, co nie jest prawdziwą śmiercią, ale rozwojem... Dziś raczej przeczuwamy to, niż uświadamiamy sobie zupełnie, — ale kiedyś świadomość ta przyjdzie napewno. Atoli ten kwiat myśli, co wyrośnie z kielków w dzisiejszej duszy ludzkiej zasianych, wznosić się będzie nieskończenie wysoko ponad starymi upiorami, co, jako piasek w morzu, pomiędzy nami dziś się tłuką. I niczem innym, jak takim upiorem właśnie jest wiara w to, że przyroda w znaczeniu prostem od samego początku swego opiera się na subtelnościach wyższej ludzkiej miłości, ludzkiego wszechmiłosierdzia, i zgodnie z temi uczuciami jest urządzona. Jeden krwawy świadek taki, jak Rhabditis — i cała ta wiara upada. Filozofia drobniotkiego robaczka miazdzy w tym względzie wszystką mędrkującą filozofię ludzką.

O robakach wogóle dałoby się napisać niejedną jeszcze dziwaczny rozdział miłosny.

Tuż obok wężyków napotykaemy pośród robaków-niciowców syngamusa. »Syn« — znaczy po grecku — razem, a »gamos« — małżeństwo. Oto mamy rzeczywiste stworzenie, co bierze małżeństwo rozpaczliwie poważnie. Jednocześnie syngamus stanowi piękny przykład tego, że można mieszkać w s z ę d z i e. Wpadł ci np. włoszek dość głęboko nie w to gardło należyte, jak mówią nad Renem,

tak ci przykro z tego powodu, że omal nie dusisz się od kaszlu. W tej pouczającej chwili wyobraź sobie, że włoski przeobraził się w żywego robaka, który obrał sobie twoją tchawicę, jako zwykłe miejsce pobytu, jako jadalnię i łożo miłosne.

Duża liczba ptaków, jak sroki, szpaki, bażanty, kaczki i inne, jest w tem zazdrości godnem położeniu, że syngamus zamieszkuje to miejsce ich ciała, jako najbardziej nadające się do tego celu. Robaczki wiją się u wielkiego wentylacyjnego otworu tchawicy, jak drobne, czerwone o barwie płomienia, kiełbaski w kominie, i w pewnych warunkach dochodzi do tego, że zapychają sobą cały kanał, aż ptak zginąć musi uduszony. Dorosłego syngamusa napotyka się zawsze w postaci podwójnej, w ten sposób powstałej, że samiec w ciągu całego swego życia, przy pomocy swego otworu płciowego na końcu ciała umieszczonego, pozostaje w bezpośrednim zetknięciu z takim samym otworem samicy, znajdującym się mniej więcej pośrodku jej ciała. Dzieje się to bądź dlatego, że stały prąd wdychanego i wydychanego powietrza powiększa znacznie niebezpieczeństwo rozłąki dla wszystkich zakochanych par, bądź to ze względu na żar miłości samej. Oto mamy przed sobą zwierzątko, o którym z małą przesadą powiedzieć można, że żyje w »wiecznem zapładnianiu się«. Zdaje się, że jeszcze krok jeden — a płcie wyrastałyby w rzeczywistości znów razem: z samca i samicy powstawałyby jeszcze znów podwójno-płciowy obojniak; ale tu w każdym razie zgodnie z prawem o kazirodztwie, bezpośrednie zapłodnienie musiałoby za jednym zamachem być przerwane (na samym końcu nastąpiłaby niejako druga ostateczność), i trzebaby było szukać drugiego

obojniaka. Zapamiętajmy sobie ten dziwaczny wypadek; w wywodach naszych jeszcze raz doń powrócimy.

Pobok Syngamusa masz oto Bonellię, z przydomkiem »zielona«, jeden z najdziwaczniejszych robaków na świecie, stanowiący prawie wyjątek pod względem sposobu zawierania małżeństwa.

Istnieje wesoła legenda u bataków na Sumatrze. Zły przyjaciel domu pragnie koniecznie skłonić do zdrady żonę jakiegoś poczciwego małżonka. Napróżno, nie znajduje furtki do jej serca. Cóż czyni? Przeobraża się w słodkie jabłko i błyszczy ponętnie na drzewie. Kobieta akurat doznaje chętki, zdarzającej się podczas ciąży, zrywa jabłko i zjada je. Wtedy — jak brzmi legenda — ów młodzieniec zdradziecki wykrzyknął wesoło, wewnątrz w żołądku siedząc: »Hej-że, jednak dopiąłem swego«. Dobrodusznemu batakowi nie wiele zależy na anatomii: wszystko mu jedno, czy serce, czy żołądek. Ale kiedy zapoznajesz się ze stosunkami małżeńskimi Bonellii, wydaje ci się, że ta piękna historyjka jest legendą, specjalnie stworzoną dla ilustracyi pochodzenia Bonellii.

W zwykłej postaci swej przypomina ona mały, ciemno-zielony ogórek, około pięciu centymetrów długości, z którego wyrasta coś w rodzaju rozciągliwej łodygi, albo kielka, coś jeszcze kilka razy dłuższe, co z przodu rozwidla się na kształt gałązki winnej. W tej postaci spoczywa ona pod kamieniami w ile nadbrzeżnym Adryatyku; ogórek — to jej ciało, a łodyżka — to jej ryjek; całe to brzydkie stworzonko jest jednak tylko samicą Bonellii. Problem, polegający na wykryciu obok niej

samca, jest o wiele trudniejszy od znanego pytania humorystycznych pism: »gdzież kot?«

Czy znacie piosenkę o dużej kobiecie, co poszła na tańce, i o małym mężu, który »również chciał z nią się zabrać«. Jestto jeszcze jednak nic wobec stosunków małżeńskich, panujących w domu Bonellii. Obok samicy, której długość wraz z wyciągniętym ryjkiem przechodzi 20 centymetrów, stoi samiec, mający zaledwie dwa milimetry miary. Jestto mniej więcej różnica taka, jak pomiędzy człowiekiem i muchą. Najpewniejszy sposób, ażeby być »zabranym«, powinienby dla takiego miniaturowego małżonka polegać poprostu na wślizgnięciu się w kieszeń swej »dużej żony«. I w samej rzeczy linię męską pokolenia Bonellii wymacywać wypada w dosłownym znaczeniu tego wyrazu w głębi ciała samicy.

Takie zielone stworzenie stanowi wielki przytułek, pod którego dachem znajduje schronienie nie jeden tylko liliput, ale po większej części kilku. Czasami znajdywano ich do osmnastu. Nasamprzód, kiedy mężowie ci zjawiają się jako bardzo niedoświadczeni jeszcze młodzieńcy, szerokie usta ich damy serca wydają mu się najbliższym i najlepszym otworem. W przelyku (a więc prawie, jak ów amant batacki) czepiają się oni ścianki na podobieństwo tasiemców i przez pewien czas wiodą szczęśliwy żywot pasożytniczy. Najedzeni do syta zaczynają odczuwać dreszcz miłosny, do którego w zupełności uprawnia ich olbrzymia, w stosunku do ich nędznego ciała, cewka nasienna. Przelyk nie wydaje im się już teraz miejscem odpowiedniem. Wyłażą znowu przez gardziel przyszłego przedmiotu swej miłości na zewnątrz, schodzą po zielonym ogórku trochę na dół

i natrafiają na lepszy otwór — na otwór płciowy samicy. Wobec stosunku w rozmiarach, jaki tu panuje, i ten otwór, narówni z tylko co opuszczoną przez nich gębą, jest nie mniej obszerny. O akcie zapłodnienia w zwykłym rozumieniu rzeczy, nie może być oczywiście żadnej gawędy, bowiem otwór sam jest szerszy, aniżeli taki samiec w najgrubszym miejscu ciała. Więc musi się to odbywać inaczej.

Jak Münchhausen wjechał śmiało z całym swoim tem do brzucha wieloryba, tak samo i nasi lilipuci podążają w naturalnej wielkości wgłąb, jako świadomi celu swego odkrywcy. Pochłonięci raz przez przepaść, nadal już tam pozostają; osiedlają się tam na stałe w wewnętrznych narządach płciowych samicy, w tem miejscu, gdzie opuszcza się macica, a jajeczka, żądne zapłodnienia i przygotowane do tego aktu, tuż przed nimi bywają składane. Pomimo swych drobnych rozmiarów, pomimo, że przypominają oni raczej ciała nasienne, niż całkowitych samców, znajdują się jednak teraz w pewnem zupełnie miejscu i mogą z zupełnym spokojem dokonywać zapłodnienia: wszak całe olbrzymie ciało zielonej samicy stanowi ochronne sklepienie ponad całym aktem i dzieli zarówno samców, jak i młode od wszelkich potworów morskich, dopóki każdemu jajeczku nie udzieli się potrzebna część ojcowstwa. Gotowe jajeczka znajdują oczywiście potem drogę nazewną. Ale mali Tannhäuserzy aż do końca życia swego pozostają wewnątrz góry Wenus.

Od lat wielu swarzą się między sobą zoologowie, w jakiej klatce wielkiej menażeryi robaczej należy umie-

ścić właściwie Bonellię. Poprzednio zaliczano ją do t. zw. robaków gwiazdowatych, które bezpośrednio sąsiadują z prawdziwymi robakami (a więc z owymi niciowcami, jak trichiny i wężyki). Stawiano ją obok t. zw. Priapulusa, który tę nazwę złowróbną zawdzięcza swej dość ciekawej — przyznać trzeba — postaci. Dziś przypuszczają, że Bonellia jest silnie zwyrodniałą pierścienicą, znajdującą się w stanie rozwoju wstecznego. W ten sposób zbliżylibyśmy się już dzięki niej do najwyższej grupy robaków, do owej trzeciej gromadki, o której mówiliśmy.

Tu jest miejsce dla dżdżownicy i pijawki, przedstawicielk wytwornego towarzystwa, w porównaniu do owego dzikiego roju tam w dole.

Z nimi jesteśmy specjalnie spoufaleń, bowiem biorą one niejako udział w historii ludzkiej kultury. Pijawka odegrała swą rolę w historii rozwoju medycyny. A dżdżownica, ta cicha robotnica, co rozgniata i rozorywa ziemię, bez ustanku wyrzuca w górę okruchy gruntu i czyni to tak długo, aż dopóki nie zagrzebie całej powierzchni swego terenu w głąb i nie stworzy w ten sposób powierzchni nowej, — dżdżownica była od lat tysiąca cichą pomocnicą archeologa, bowiem dzięki jej potędze zagrzebywane były i przekazywane potomności podłogi mozaikowe, cokóły posągów, monety i ozdoby.

Życie miłosne pijawki i dżdżownicy jest prawie jednakie i stosunkowo dość niezłożone.

Dżdżownica, jak i pijawka są to obojniaki, albo hermafrodyty o iście typowej doskonałości. Każdy z tych robaków nosi w sobie oba rodzaje narządów płciowych. Atoli pamiętamy wszak o wielkiem prawie, które panuje w całym świecie organicznym, prawie, które głosi: i nie

będziesz sam siebie zapładniał. Otóż i dżdżownice, zarówno jak i pijawka znajdują się w sferze jego niewzruszonego działania.

W chłodną wilgotną noc, kiedy żaden wróg się nie porusza, kiedy żaden promień świetlny nie dotyka ich bezokiego, a jednak dziwnie wrażliwego na światło końca głowy, i nie budzi w nich strachu, wyłazą dwie dżdżownice z czarnej bryły ziemi. Przysuwają się blisko bardzo wzajem do siebie, przytem w ten sposób, że ich przednie końce skierowane są w strony przeciwne.

Teraz przypatrujmy się im uważnie. Ciało ich składa się z dobrze znanych pierścieni czerwonych, jak mięso surowe. Zewnętrznych różnic nie spostrzegamy, bowiem nie jest to samiec i samica, a każdy robak jest jednocześnie jednym i drugim. Ale gdyby owe rozmiłowane w sobie pierścienie mogły się teraz stać we wnętrzu swoim przezroczystymi, jak kryształ, to zobaczylibyśmy, co następuje.

W dziesiątym i jedynastym pierścieniu każdego ciała (licząc od głowy, gdzie znajduje się gęba) ujrzełybyśmy u każdej z nich dwie pary jąder (wytwarzających nasienie), które przez wielkie przewodniki otwierają się nazewnątrz w pierścieniu piętnastym. W tych samych pierścieniach, gdzie znajdują się jądra, istnieje również u każdego osobnika para t. zw. torebek nasiennych; przyjmują one zzewnątrz nasienie męskie i w odpowiedniej chwili dostarczają go do nieco bardziej ku tyłowi położonych jajowodów, gdzie ono zapłodnić może kobiece jajeczka, gromadzące się tu z jajnika.

Otóż każdy robak-obojniak stara się teraz przybliżyć ową »krytyczną« okolicę, obejmującą pięć pierścieni,

(od 10-go do 15-go) do swego współtowarzysza w ten sposób, ażeby jego własny otwór, przez który wypływa nasienie, trafiał na pustą torebkę nasienną drugiego, zaś ażeby własną torebkę nasienną przytknąć do otworu nasiennego towarzysza. W chwili pobudzenia gruczoły skórne odnośnych pierścieni wydzielają czynną szybko schnący płyn, który w ciągu całego aktu tworzy coś w rodzaju wspólnego garnituru kąpielowego dookoła całej okolicy płciowej obu osobników, zaś jednocześnie tak mocno spaja ich zzewnątrz, jak gdyby czasowo istotnie byli zrosnięci. Pod osłoną tego bandażu wypływa teraz u obu płyn nasienny i przedostaje się do przeciwległych torebek nasiennych.

Z chwilą kiedy się to skończyło, zrywa się również natychmiast ów wiążący oba osobniki pierścień, i każdy robak, uwolniwszy się od swego własnego nasienia, nosi w sobie natomiast rezerwoar, wypełniony obcem nasieniem, przy którego pomocy zapładniać może obecnie, stosownie do zapotrzebowania, swe własne jajeczka żeńskie; bowiem uchylone zostało niebezpieczeństwo istotnego samozapłodnienia.

W bardzo podobny sposób odbywa się akt miłosny u pijawki, z tą różnicą tylko, że w wodzie. Na wiosnę para pijawek kładzie się obok siebie w ten sposób, że główki i ogony obu zwrócone są w jedną stronę. Torebek nasiennych tu niema, i nasienie wprowadzane tu bywa zobopólnie przez narząd spółkujący do żeńskiej pochwy.

Jeżeli wyobrazimy sobie, że i u tych obojniaków na wzór wyższych, nie obojnackich zwierząt oba rodzaje narządów płciowych obdarzone są zdolnością specjalnego, silnego odczuwania w stosunku do aktu

płciowego, to nie da się zaprzeczyć, że w danym wypadku każda pijawka musiałaby jednocześnie doznawać podwójnych uczuć płciowych, zarówno tych, co związane są z wyładowywaniem energii płciowej, jak i tych, które towarzyszą jej przejmowaniu.

Przypomina nam się w tem miejscu cesarz rzymski Holiogabal, który w swym obłędzie królewskim wyznaczył nagrodę temu, kto sprawi, że poza jego męskością doznawać będzie mógł jeszcze osobiście uczuć, związanych z aktem płciowym u kobiety. Atoli nie podlega dyskusyi, że zasadniczy rozdział płci, odziedziczony również przez tego ukoronowanego szaleńca, jako przez wyższe zwierzę kręgowę, stanowił właśnie jeden z najważniejszych warunków wyższego i idealnego rozwoju, którego ku wielkiej naszej szkodzi musielibyśmy się wyprzeć. Obojnactwo jest to etap w miłości, który po prostu zostawiliśmy i zostawić musieliśmy poza sobą. Przypatrzmy się sztuce, która w przyszłości przypuszczalnie coraz więcej składać będzie dowodów, że w niej, jako w przezroczem zwierciadle, mamy przed oczyma odbicie właściwej historii przyrody, naturalnej historii rozwoju ludzkości. Jak biedzili się jeszcze grecy nad tem, ażeby wykuć z marmuru hermafrodytę, postać idealną, która miała łączyć w sobie mężczyznę i kobietę! Już się to im nie udawało, a to co w tym rodzaju powstawało — było dziwołogiem.

W pijawce jest to jeszcze przejaw prawdziwej, wzwyż dążącej przyrody; zaś u ludzi w epoce Fidyasza jest to bezpłodnem sztukowaniem.

Przeciwieństwo pomiędzy mężczyzną i kobietą, ten jedyny podział pracy, który w najdoskonalszym nawet ustroju wybiegł po za kres, gdzie kończy się indywi-

duum fizyczne — stanowi źródło siły ludzkiej; tu tkwią jej wszystkie korzenie, stąd wyrastają wszystkie jej kwiaty.

Gdybyśmy zapragnęli wstrząsnąć gmachem tych faktów przy pomocy myśli o przyszłości, musielibyśmy już pójść drogą ducha. Zapewne, i nam już w tej wędrówce wykwita słaba jutrzienka przypuszczeń, że i to przeciwieństwo mogłoby się kiedyś w jakikolwiek sposób wygładzić, wtedy, kiedy dokonałoby ono ostatecznie swej pracy nad stworzeniem człowieka. Ale wtedy to nie może się stać w tym sensie, że dokonał by się jakiś ruch wstecz. Droga dla takich przeobrażeń prowadzi poprzez dziedzinę ducha, tu w tych wyższych kondygnacjach mogłyby się one dokonać. A kiedy później nastąpi powrót w dziedzinę ciała, wszystko wyda się zupełnie nowem, zupełnie innem. Ale może ciało, może wszystkie te dzisiejsze pojęcia nie będą miały żadnego znaczenia dla przyszłości, która wybiegła daleko drogą duszną, — może wyda się to wszystko pustą powłoką przeszłości, powłoką, którą zdarła potęga ewolucyi, jak usunąć musiała robaka, ażeby wznieść się do człowieka...

Atoli chciałbym właściwie przetrzymać jeszcze przez czas jakiś uwagę czytelnika nad rozmnażaniem się piasunkowem i nad mniej lub więcej pokrewnymi zjawiskami, ażeby dać mu możność z tej interesującej zasady wydobyć wszystko, aż do jej najtajniejszych głębin filozoficznych.

A więc: romans miłosny Rhabditis doprowadził nas szczęśliwie do tej krawędzi, gdzie rozmnażanie się nie-

tylko obejmuje, jako konieczność, śmierć ofiarną indywiduum matczynego, ale gdzie potomstwo poprostu pochłania matkę, jak kurczę w jajku stopniowo połyka żółtko odżywcze. Narządy wewnętrzne matki okazały się w stanie, zapowiadającym wyniszczenie, a skóra jej przez pewien czas służyła potomstwu, jako zwierzchnia otoczka ochronna, jako coś w rodzaju takiego narządu, który od matki na nie przeszedł.

Łatwo możnaby przypuścić, przesadzając jeszcze trochę myślą w tym kierunku, że młode wrośnie na stałe w tę skórę matczyną, jak w swoją własną, albo że przejmie jednocześnie ten lub ów jej narząd. Przepuszczenie to nasuwa się wtedy, jeżeli się zechce wyobrazić sobie coś najdziwaczniejszego w tych sprawach.

Wyobraźmy sobie kobietę; w niej wzrasta płód dziecięcy; dziecko już w łonie matki dostaje zębów i poczyną wyjadać wewnątrz matki. Atoli nie zjada jej całkowicie. Przypuśćmy, że zostawia ręce i twarz; — oto naciąga na siebie te ręce i twarz w ten sposób, że te części wprost zrastają się z nim, stają się jego własnością. Znacie zapewne historję, którą pobożny Antoni z Padwy podaje w formie świętobliwej, zaś Edel z Münchhausen w potocznej, — jak to niedźwiedź wpija się od tyłu zębami w osła lub w konia, podczas kiedy jeździec jeszcze siedzi na nim, i zaczyna go pożerać stopniowo, aż wreszcie wyjada całkowicie biedną ofiarę z pod jeźdźca, i oto nagle sam, zamiast pierwszego zwierzęcia, w uździe i siodle niesie już świętego czy rycerza. Osłem w naszym wypadku jest matka, niedźwiedziem — owo młode zwierzątko, a uzdą — nos matki; tylko że nos miał się wprost zrosnąć z dzieckiem, co stanowi tak szalony pomysł, że nawet legenda

nie odważyła się nań zdobyć na użytek swych najbardziej rozpieszczonych dzieci. Ale chcielibyśmy przedstawić czytelnikowi zwierzę, gdzie odbywa się, jeżeli nie to samo, to conajmniej coś zdumiewająco podobnego. Ale oczywiście musimy już w takim razie opuścić królestwo robaków!

Proszę odświeżyć sobie raz jeszcze w pamięci kolejność wyższych organizmów zwierzęcych. Z prostego pierwotnego zwierzątka jelitowego, gastraei, powstały z jednej strony polipy, chełbie, gąbki, zaś z drugiej — robaki, które rozpadają się na 3 grupy główne: płazińce (tasiemce i inne), właściwe robaki (niciowce, jak trichiny i wiele innych) i pierścienice (dżdżownica).

Ponad robakami znajdujemy cztery najwyżej stojące rody królestwa zwierzęcego: mięczaki (ślimaki i inne), stawonogi (raki, owady i inne), kręgowce (do których należy sam człowiek wraz z rybą, ptakiem, jaszczurką itd.), oraz t. zw. szkarłupnie, dla których typem niechaj będą nam jeżowiec morski i rozgwiazda. Wszystkie te cztery wielkie grupy powstały historycznie z robaków, ale nie jedna za drugą, lub jedna z drugiej, ale jedna obok drugiej. Nigdy rozgwiazda nie stała się muszlą, ani muszla — rakiem, ani oraz rak — rybą. Raczej w każdym z tych wielkich działów ujawnił się samodzielny i swoisty etap rozwojowy robaka. Pewnego dnia powstały na ziemi rozgwiazdy, muszle, raki i ryby z których każde znów dla siebie rozwijały się dalej, poto ażeby nigdy więcej nie spotkać się już w wyższych kondygnacjach. Z pnia, który (mówiąc powierzchownie) rozpoczyna się od muszli, rozwinęła się, jako forma najwyższa — małwa. Z raka, idąc wwyż, rozwinęła się, przypuścmy mrówka. Ryba w ciągu lat tysięcy

wydała człowieka. A najmniej rozwijały się postępowo rozgwiazdy i jeżowce morskie; rozgwiazda jakby sama już stanowi szczyt rozwoju w swej gałęzi.

Oto ten stosunek właśnie, owe wszystkie cztery wyższe acz nierówne co do długości swej paralele, spoczywające na wspólnej, niższej podstawie, którą stanowią robaki — ten stosunek należy mieć podczas następnych naszych wywodów ciągle przed oczami, ażeby nie wpaść w gmatwaninę.

Skończyliśmy z robakami, i oto teraz mamy do opowiedzenia cały Dekameron, złożony z historyj miłosnych rozgwiazd, muszli, raków i kręgowców, tj. ze wszystkich czterech wyższych pni równoległych: musimy jednak z góry uprzytomnić sobie dobrze, że odtąd opisywać będziemy ogółem c z t e r y romanse główne, których rozdziały, wprowadzicie zamknięte w sobie, następują po sobie, ale nigdy nie sięgają poza obręb jednego romansu.

Rozpocznijmy od linii rozgwiazd, bowiem tu jednocześnie znajdujemy się w pasie dziwnych nadmiernie cudów w sensie wyżej zaznaczonym.

Wyobraźmy sobie jeżowca morskiego takim, jakim go widzieliśmy w akwarjum lub kiedyśmy go sami na brzegu morskim znaleźli. Odrazu rozumiemy, dlaczego cała ta grupa zwierzęca ochrzczona została mianem »szkarłupni«. Oto leży przed nami zwierzątko z wyglądu zupełnie przypominające owoc kolczasty: twarda skorupa z kolcami na wszystkie strony. Dopiero z tego, że się to coś porusza, wnosimy, że nie jest to żaden owoc kasztanu, zabłąkany w morzu, ale zwierzę.

Przy bliższem oglądaniu wykryć można łatwo u większości gatunków na każdym biegunie kuli po jednym otworze, wiodącym do wnętrza. Górny, północny

biegun kuli kolczastej, to otwór odchodowy i płciowy, zaś dolny — to gęba; a pomiędzy temi otworami leży w skorupie, odwrócone głową w dół, prawdziwe dobrze rozwinięte zwierzę, które pod wieloma względami jest bardziej rozwinięte od robaka. Najwygodniej skojarzyć to sobie w myśli z takim robakiem, pomyśleć sobie, że się skulił w ten sposób, aż powstała kula z otworem odchodowym u góry i z gębą u dołu, a potem wyobrazić sobie, że miękka skóra przeobraziła się w twarde pancerz przez osadzenie się płytek wapiennych, pancerz, na którym dla doskonalszej jeszcze ochrony tkwią ruchome kolce. Dalsze szczegóły zoologiczne możemy sobie dla naszych celów odrzucić; są one, odpowiednio do dzwacznej budowy zwierzątka, dość zawiłe.

Nasz zwierzęcy kasztan z kolcami ma oto swoją historję miłosną i dość ciekawą nawet.

Rybak włoski nad morzem Śródziemnem dobywa sobie pewnych jeżowców jednego gatunku, a inne odrzuca. Te pierwsze przydadzą mu się; rozłamuje skorupę i wyjmuje sobie pięć złocistych tworów w postaci gron, które zalicza do delikatesów na swoim stole. Te złote twory to jajniki, i te wybrane jeżowce morskie to wszystko samice. Owe wybrakowane nie miały jajek-gron: — były to wszystko samce.

Oto patrzcie: po tylorakiem stykaniu się z obojnactwem jesteśmy znowu w dziedzinie ustalonego już zupełnie rozdziału płci.

Kiedy księżyc w pełni ściele po sennem, marzącem morzu swą srebrną poświatę, kolczasta kula — samica w głębi morza wyrzuca z siebie do wody dojrzałe jajeczka, zaś samiec natychmiast wylewa na nie swe nasienie, przyczem nie ma miejsca właściwe wewnętrzne

zapłodnienie. Ta najprostsza postać miłości płciowej, możliwa oczywiście tylko w wodzie, jest w środkowej kondygnacji królestwa zwierzęcego szeroko rozpowszechnioną; nawet u ryb jest ona jeszcze prawidłem. Kormórka nasienna i jajowa spotykają się w otwartym morzu dla stworzenia nowego szkarłupnia. Atoli zanim bywa on zupełnie gotów, dokonywają się najdziwniejsze rzeczy.

Z zespolenia się nasienia i jajeczka tworzy się drobnutki przezroczysty twór, pozornie o zupełnie skończonej budowie, ale raczej do wszystkiego bardziej podobny, niż do szkarłupnia z gromady jeżowców morskich. To galaretowate, miękkie ciało posiada gębę, jelito i otwór odchodowy (odwłok) i pływa wesoło po otwartym morzu przy pomocy żywo poruszających się włosków rzęsowatych. Sądząc z całej budowy, należy uważać je za młodego, rozwijającego się robaka, i gdyby ono pewnego razu dojrzało pod względem płciowym i z kolei wydało na świat młode, podobne zwierzątka, należałoby je bezpośrednio zaliczyć do pewnej kategorii robaków. Atoli nie dosięga ono dojrzałości płciowej. Dostaje dziwacznych jakichś kolców i wyrostków, i powstaje w ten sposób twór, który wygląda prawie jak mała pikelhauba. I pewnego dnia we wnętrzu tej pikelhauby zaczyna się pączkowanie: w pustej przestrzeni pomiędzy ścianką brzucha i żołądkiem rozwijać się zaczyna nowe zupełnie zwierzątko o zupełnie odmiennej budowie.

Pikelhauba nie była niczem więcej, jak dopiero »tymczasowem« niejako indywiduum, w którym przez pączkowanie rozwija się dopiero właściwe stworzenie.

Pączkujący twór-wnuczek jest, jak łatwo teraz

poznać, rzeczywistym małym jeżowcem morskim. Rośnie w postaci tabakierki we wnętrzu żywej pikelhauby w ten sposób, że włącza w skład swego ciała jej żołądek. Poprostu przyjmuje go, jako własny narząd. Pikelhauba, pozbawiona łączności przez narastającego gościa z własnym narządem odżywczym, oczywiście zanika, umiera i wreszcie, ssychając się, spada z młodego jeżowca, jak zwiędły kwiat. Oto ów niedźwiedź z bajki Münchhausena wdział na siebie uzdę! Jeżowiec morski, po dokonaniu wewnętrznego przepoławienia swej matki, szczęśliwy z posiadania matczynego żołądka, którego czynność została zachowaną, nie troszczy się o to, że tam coś z niego spada: żre, rośnie; doskonali się i wreszcie staje się dojrzałym płciowo, jak byli jego dziadkowie.

Nie chcieliśmy tu wszczynać zawilej dyskusji zoologicznej nad tem, ażali ten proces bajeczny stanowi przykład istotny rozmnażania się przez piastunkę (pikelhauba grałaby tu rolę piastunki) w sensie historii miłosnej tasiemca, czy też zasługuje na inne miano. Nie jest to jeszcze dotąd zupełnie wyjaśnione, i ostateczna decyzja zależy głównie od tego, jak wyobrazić sobie z punktu widzenia darwinizmu pierwotne powstawanie takiego jeżowca morskiego ze zwierzątka, podobnego do robaka. Oczywiście, że myślącemu przyrodnikowi, który zgłębić się stara »historję« świata zwierzęcego i doniosły związek pomiędzy pniami oddzielnych grup zwierzęcych, zawiała ta historia dostarczyć może momentów niezwykle pouczających. Przypomina on sobie wtedy o owem wielkiem zasadniczym prawie rozwoju organicznego, według którego w niezliczonych wypadkach stworzenia późniejsze przebiegają wewnątrz jajka,

jako zarodek lub poczwarka, raz jeszcze szybko szereg form organicznych swych przodków.

Człowiek w łonie matki jeszcze raz staje się stworzeniem podobnym do ryby z kończynami na podobieństwo płetw i ze skrzelami na szyi. Żaba w okresie kijanki staje się rybą i krzeczkiem. Tak samo, zdaje się, mały jeżowiec morski musi nasamprzód jeszcze raz stać się robakiem dla przeprowadzenia dowodu, że przodkowie jego byli robakami. Jest to w każdym razie zajmujące i uwagi godne — atoli rozwiązanie tej zagadki ze stanowiska logiki jest, jak to łatwo zrozumieć dla przyrodnika, twardym orzechem do zgryzienia, i długo jeszcze będzie się nad nią mozolił. Nas interesuje tu ta rzecz głównie ze względu na jej przebieg czysto zewnętrzny, interesuje nas ona, jako nowy zaułek w »labiryncie«, jaki przedstawia pojęcie o indywiduum. Ta cała historia jeżowca morskiego, aż do jej ostatniego etapu rozwojowego, kiedy młode nie tylko pożera, jako ciała obce, swą matkę, piastunkę czy nad-poczwarkę, (wszystko jedno, jak to nazwać), ale po prostu dobiera jej narząd, który wrasta w jego własne wnętrze — ta cała okropna historia powinna by pobudzić niejednego filozofa do najgłębszych rozmyślań nad indywiduum wogóle...

I oto spójrzcie! Poprzez tyle tasiemców, motylic, wężyków i wreszcie jeżowców wywody nasze siłą własną wracają napowrót do tego, co mówiliśmy o nieśmiertelności. Mieliśmy dosyć przykładów, gdzie jedno indywiduum w rzeczy samej całkowicie spotrzebowane zostało dla podtrzymania egzystencji bliźniego — widywaliśmy to aż wdół idąc do naszego jeżowca morskiego, gdzie

jedno indywiduum musiało pozostawić swój żołądek, dzięki któremu pozyskało zdolność do życia inne.

Powiecie zapewne: cóż to wszystko obchodzić może człowieka, dla którego właściwie przecież wszystkie rozprawy o nieśmiertelności się toczą. Nie zapominajcie jednak, że człowiek jest zwierzęciem, że, jako najwyższe zwierzę kręgowce, również powstał z takich robaków, i że ów sposób rozmnażania się przy pośrednictwie piastunek zapewne był jednym etapem również i w jego historii rozwoju, jeżeli już dziś nie istnieje dla niego, jako coś, co zdoła on przewyciężyć.

Dlaczego — pytam — miałyby indywiduum w tym rozwoju stać się czemś tak ważnym, ażeby zasługiwało na nieśmiertelność, sięgającą jeszcze po za zwykłe przeobrażanie się we własne potomstwo?

Albo czy owe namacalne przykłady niedostatecznie wyjaśniły wam, że powinniśmy uważać problemat, dotyczący indywiduum, za nieskończenie zawilszy, aniżeli obejmuje go zwykły lot naszej wyobraźni?

Jest rzeczą oczywistą, że dokonywamy tu manewrów filozoficznych z pojęciem, które ze stanowiska historyczno - przyrodniczego przedstawia się w postaci nierozwikłanego kłębaka problematów poszczególnych. Dobrze ci jest wygłaszać z emfazą zdanie: indywiduum powinno być nieśmiertelne. Ale co czynić, kiedy wszędzie, im głębiej zstępujesz w królestwo zwierzęce i roślinne, samo to indywiduum niknie ci gdzieś pod palcami? Chcę być dobrze zrozumianym: niknie nie w otchłani śmierci, ale w fali życia.

Rodzice dzielą się, tworząc dzieci, dzieci wrastają w rodziców, rodzice i dzieci zespalają się ze sobą tak ściśle, że wreszcie wspólny posiadają narząd, jak żołą-

dek np... wszędzie widzimy płynącą falę, przejście od życia do życia — i oto z pośród tych falowań wyłania się pewnego pięknego dnia sam człowiek, jeszcze w każdym fibrze zwierzę zupełnie określonego gatunku, nic innego, jak zespół komórek, zwierzę rozmnażające się płciowo przy pomocy nasiennych i jajowych komórek, zwierzę kręgowie, ssące... Nie możemy przecież dla niego specjalnie coś wynajdywać, przecież wszystko to nasze o nim mędrkowanie musimy umieć zastosować również i tam wszędzie, poniżej.

Widzę wahanie z waszej strony — dotąd nie ilustrowaliście sobie tego wszystkiego przy pomocy takich faktów. Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć. Nie chcielibyśmy burzyć tego, co wam jest drogie, co jest wam niejako potrzebne do życia. Pragnąłbym tylko podać wam fakty; wnioski możecie sobie potem wyprowadzać sami zgodnie z tem, czego wam potrzeba. Jedno tylko musicie sobie dobrze uświadomić. Musicie to wszystko, czego dostarcza wam przyrodnik, wprowadzić do waszych spekulacyj. Nie wolno wam przejść obok tego, jak faryzeusz obok człowieka z wrzodami, który leżał w pustyni. Nie wolno wam ani przez chwilę łudzić się co do tego, że całe konwencyjonalne podłoże waszych idei o świecie, o indywiduum, o wieczności, nieśmiertelności, o życiu i śmierci, o waszym »ja« i »ty«, o waszej matce, dziecku i t. d., że podłoże to zostało wam przekazane z tych czasów, które nie miały jeszcze najślabszego wyobrażenia o wyniku naszej wiedzy przyrodniczej.

Na tej nikłej podstawie powstały wprawdzie dziwnie głębokie spekulacje, a świetność myśli sprawiła, że wciąż zapominaliśmy o owem nikłym jej podłożu.

A tymczasem nauka niestrudzenie w ciszy pracowała nad tem, ażeby tam w dole nanowo podmurowywać, i wreszcie dokonała swego. Ale oto teraz mamy prawo wymagać, ażeby ta praca była przynajmniej uszanowaną.

Ogromna masa ludzi sądzi wprawdzie, że z chwilą, kiedy przyzna się przyrodnikowi to prawo, zniknie wszelkie rozmyślanie, na zagładę skazaną będzie wszelka filozofia, wszelki wielki wolny polot myśli. Jest to największem głupstwem. Wszak wszystko, czego on dostarcza, jest samo przez się znów materiałem zupełnie wolnym. Naszą powinnością jest tylko ten materiał przyjąć; a od nas już zależy, co z nim zrobimy, jak to zresztą i dawniej bywało. Możecie, jak dawniej, tak i teraz snuć sobie myśli najśmielsze o indywiduum, życzę wam wszelakiego powodzenia. Ale wysnuwajcie je na podstawie tego materiału i przy jego pomocy. Bierzcie z góry w rachubę rozmnażanie się tasiemca przy pomocy piastunek—przypominamy to, jako przykład, chociaż jest on tylko jednym z nieskończonego szeregu— a zresztą zdobywajcie się na takie wyniki, jakie zechcecie. Wtedy jesteście panami sytuacji. Badanie naukowe jest w tych warunkach ową pewną planetą, która cię chroni i prowadzi. W przeciwnym razie pozostanie ono zawsze dla was groźbą w postaci góry magnesowej, która wciąż wyrywać wam będzie gwoździe z waszych okrętów filozoficznych.

I z większością ludzi tak dziś jeszcze bywa. Badania przyrodnicze kładą się na ich myśli, niby kłoda, której nie umieją z miejsca ruszyć.

Wszystko pieni się, traci równowagę i tonie. A jednak nauka o przyrodzie jest czemś prawdziwie wiel-

kiem, co epoka nasza dodaje wam, jako coś swego własnego; dzięki niej myśl nasza zakwitnie, jak odmłodniała. Rozumiecie dobrze, o co mi chodzi, jeżeli mówię myśl wasza; to znaczy myśl w każdym sensie tego wyrazu. I dotyczy to wyników, które mogą być tak śmiałe, jak tylko we śnie moglibyśmy o nich zamarzyć, i dotyczy to problemu o indywiduum. Niechaj potęga jego idealna zmartwychwstanie dopiero właśnie jako pheniks z pośród ogromu komplikacyj, w jaki wplątuje je nagle przyrodnik...

A tymczasem opowiemy jeszcze drugą historię o szkarłupniach, ażebyście mieli w tym względzie jeszcze jeden piękny przykład.

Nazwać ją można historią miłosną tylko z zastrzeżeniem, bowiem chodzi tu wprawdzie o rozmnażanie się, ale sprawa cała wygląda raczej na rozwód, niż na zawarcie małżeństwa; jest to rozwód o specjalnym zupełnie, subtelnym odcieniu, jakiego dotąd nie wyzyskał, zdaje się, żaden romans obyczajowy, mianowicie, że stworzenie jakiegoś, on albo ona, rozwodzi się samo z sobą.

Chwilami wydaje mi się, że taki rozwód w zakresie własnego »ja« byłby celem pożądanym dla niejednego zbyt konsekwentnego indywidualisty pośród nas — ludzi.

Ludzie tacy odgraniczają się murem od reszty świata, i małżeństwo budzi w nich grozę, mogłoby bowiem pogwałcić ich wolność osobistą. Jest wielka myśl w takim dążeniu, jeżeli jest ono pozbawionem wszelkich przymieszek obcych. Ale kto jest dość silny, ażeby wytrwać? Samotność — to nowa próba ogniowa. A to, co właściwie mąci spokój, tkwi w samym najwewnętrzniejszym

»ja«; i oto widzimy konsekwentnego indywidualistę, jak się tuła z mglistą tęsknotą w duszy, z tęsknotą, której daje wyraz w okrzyku: »o, gdyby teraz jeszcze ktoś uwolnił mnie odemnie samego, rozwiódł mnie ze mną samym!“

Napróżno! Możesz sobie być szkarłupniem w sensie duchowym, ile ci się tylko podoba: jako człowiekowi pozostaje ci jeszcze do wyboru ostateczność — okazywa własnej śmierci — jak mówi Busch, ale jeżeli pozostajesz przy życiu, to rozdzielić się już nie możesz. Musiałbyś już wtedy stać się szkarłupniem w sensie zoologicznym.

Przypominacie sobie owe pierwotniaki jednokomórkowe, które rozmnażały się poprostu w ten sposób, że rozpadały się na dwa lub więcej kawałków. Z punktu widzenia problemu, dotyczącego indywiduum, problemu, nad którym dopiero co dyskutowaliśmy z takim zapałem — już i ten fakt stanowi sprawę dostatecznie zawiłą. Ale ostatecznie można byłoby powiedzieć, że u tych najniższych istot właśnie całe pojęcie o indywiduum jest jeszcze tak chwiejnym, a istota towarzyszących rozmnażaniu wzruszeń tak niezbadaną, że nie należy z tego zanadto wniosków wywodzić. Ale przyjrzyjcie się następującemu faktowi.

Najbliższa krewniaczka jeżowca morskiego — to rozgwiżdza.

I ona również jest szkarłupniem, choć już bez owej okrągłej, kolczastej otoczki jeżowca. Jeżeli przy opisie jeżowca prosiłem czytelnika, ażeby wyobraził sobie grubego robaka, zgniecionego pięścią na bryłkę, to teraz musicie sobie w wyobraźni postrzepić robaka w ten sposób, ażeby przybrał taki kształt, jakoby wydawał z sie-

bie pięć młodych robaczków, które jeszcze jednak w dolnych częściach byłyby ze sobą spojone i tworzyły prawidłową gwiazdę-robaka. Taki obraz tembardziej jest uprawnionym, że przyrodnicy pierwszorzędni w pewnym okresie skłaniali się ku hipotezie, orzekającej, że w biegu rozwoju historycznego rozgwiezda istotnie powstała w ten sposób: a mianowicie że pięć pojedynczych robaczków się zrosło ze sobą wzajem. Trzeba dodać jednak, że dziś już hipoteza ta została zarzuconą.

Taka rozgwiezda w stanie dorosłym i płciowo dojrzałym, jest bezsprzecznie dobrze rozwiniętem, cielesnie i duchowo jednolitem »indywiduum«. Jej rozwój młodociany odbył się tak samo, jak u jeżowca morskigo: i ona już kiedyś swej matce-piastunce wydarła za życia żołądek, a później odrzuciła zbyteczne ciało matczyne, jak zrzuca się z głowy czepek nocny. Ale potem pozostał »jednolitym«, w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu i jest ostatecznie, biorąc naogół, poprostu takim samym indywiduum, jak niem jest człowiek.

Chociaż taka rozgwiezda w tej postaci, w jakiej znajdujemy ją na wybrzeżu morskiem, wygląda tak nieruchomo, jak skórka od pomarańczy, to jednak nie należy mieć żadnych co do tego wątpliwości, że jest ona stworzeniem o zupełnie dobrze rozwiniętem życiu duchowem. Złożony ustrój nerwowy z wielkim pierścieniem nerwowym, od którego rozchodzą się promieniami nerwy, dowodzi, że stanowi ona duchową jednostkę o pewnej tężyznie. W przeciwieństwie do większości innych szkarłupni posiada ona nawet wyraźnie zaznaczone oczy w postaci załamujących światło czerwonych punktów na końcach przednich kończyn. Daleką jest ona od tego, ażeby w »ciszy morza« grać rolę bier-

nego gościa; owszem, wiecie ona tam życie prawdziwego drapieżnika, napada i połyka dowolnie małe raczki, ostrygi i ryby w purpurowych głębinach morza. I wreszcie w niektórych gatunkach znajdujemy coś, co może silniej niż wszystko inne utrwala wrażenie o rozgwieździe, jako o indywiduum skończonym pod względem cielesnym i duchowym.

Dorośla rozgwiadza-samica, która ongi sama powstała dzięki bezwzględniemu zniszczeniu swej piastunki, wykazuje zupełnie wyraźnie pewne uczucia macierzyńskie wobec swego własnego potomstwa. Widzimy oto rozgwiadzę samicę, jak z zagiętymi ramionami siedzi, niby kokosza, wysiadująca jaja, nad swymi zapłodnionymi jajeczkami i wylazającymi z nich młodem rozgwiadzkami. — Jest to dziwny obraz i jednocześnie wzruszający pierwszy etap olbrzymiej drabiny, której szczyt najwyższy widzimy w uduchowionej miłości ludzkiej dla dziecka, w Madonnie z dzieciątkiem u piersi...

I oto może dojść w pewnych warunkach do tego, że to »pocziwe indywiduum« mimo całej swej złożonej indywidualności jeszcze raz rozpaść się może na dwa indywidua, jak jakiś pierwotniak, pozbawiony narządów. Przy towarzyszeniu najokropniejszych drgawek nagle powstaje w gwieździe wewnętrzna rysa wzdłuż całej długości. Jedna część ramion gwiazdy chce jakby oderwać się od innych; ale to możliwe jest tylko wtedy, kiedy i część środkowa poprostu rozcięta będzie przez połowę. Wszystko pęka: zrywają się nerwy i naczynia, łamią się twarde części szkieletu, nawet żołądek bywa rozplątany i dzielony na 2 otwarte połowy.

Literalnie obraz przypomina tę zwrotkę piosenki,

gdzie to »na prawo i na lewo po połowie turka spada«. Ale każda połowa żyje. Jeżeli gwiazda miała 5 promieni, to zwykle jedna część zachowuje 2, a druga 3 ramiona. Przy 8-miu albo 6-ciu ramionach podział następuje na równe części: po 4, lub po 3. Wkrótce potem straszna rana szarpana zrazu się zamyka, a później zabliznia się zupełnie w ten sposób, że te części, których brak, poprostu w każdej połowie odrastają odnowa. I ramiona brakujące stopniowo wyrastają, tak że prędzej czy później oba indywidua są znów »całe«.

Tylko, że oto zjawily się 2 indywidua zamiast jednego pierwotnego. Teraz wmyślic się proszę w stan duszy indywidualnej tej początkowej rozgwiazdy przed podziałem i wziąć wyobraźnią udział samemu w tym podziale... co może zwierzątko »myśleć« sobie podczas takiego aktu? Jak długo może ono »myśleć«, jako »ono«, jako »jedność«, i od jakiej chwili dwie dusze powinny tworzyć jego »myślące ja«. Czy podział taki równa się »śmierci«, kiedy indywiduum »umiera«, czy też jest on krokiem naprzód ku szerszemu życiu, rozmnażaniem się, podczas którego indywiduum przechodzi w wyższą formę?

Może skorzystasz, czytelniku, z wolnych chwil podczas pobytu nad morzem północnem, gdzie fala codzien przynosi ci pod nogi małe i duże, czerwone i żółte gwiazdki swego błękitnego nieba wód — ażeby pomysleć kiedyś nad temi kwestyami. Bądź pewien, że zaprowadzą cię one dalej, aniżeli wiele z tych dróg, na jakich wiążą cię spekulatywna filozofia i teologia. A dokąd zajść wtedy zechcesz — to już jest obojętnem.



czyłeś się w szkole rozmaitych pięknych rzeczy.

Gdybym cię zbudził pogrążonego we śnie i zaczął: panis, piscis, dokończyłbyś: crinis, finis. Jeszcze jako staruszek, kiedy się najesz trochę za dużo sałaty z homara, recytować będziesz w obliczu gniotącej cię zmory sennej greckie słówka nieprawidłowe albo zdania warunkowe o treści nierealnej, jąkać się będziesz, i posadzą cię do kozy. I na takich rzeczach strawiłeś na szarej ławie szkolnej swe najpiękniejsze lata, kiedy wyobraźnia twoja puszczała pędy, jak młody ogród kwiatny. To było twojem wyposażeniem humanistycznym, na którego podłożu miałeś później skonstruować idealną stronę twego poglądu na świat.

Ale kiedy zapytam cię, nie podczas snu, a w najbardziej trzeźwej chwili twojej, co to jest oto ta ostryga, którą masz na stole, — będziesz stał bezradnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

I pocieszasz się co najwyżej tem, że ostryga nigdy nie może mieć żadnego związku z twoim na świat poglądem.

Zarabia się pieniądze, ażeby mózdz zapłacić za nią, a potem się ją zjada z cytryną lub bez. Tyle wiedzieli również owi starzy hulacy przy stole Horacego i czynili to samo, tak samo nie wiedząc, co to za stworzenie. Ale oni znali zdania warunkowe i przekazali je nam, i oto należą one odtąd, jako niezbędnie potrzebna część składowa, do naszego wykształcenia humanistycznego. Ale właśnie co do tego zdałoby się trochę pospierać.

Atoli ostryga w każdym razie jest przedmiotem zbyt przyjemnym, ażeby się o nią spierać, a więc strośmy od tego.

Dla mnie każda ostryga posiada w sobie sporo poezji.

Przypominają mi się ciche godziny mego życia, które tak pragnąłbym zachować w pamięci, godziny, kiedy zwykła rozkosz przeobrażała się w jakieś świętobliwe uduchowienie. Wdzięku pełne główki dziewicze wyłaniają się w mojej wyobraźni — i rozmaite podobne rzeczy... To pewna, że ze wszystkich przednich dań kulinarnych ostryga stanowi jedno z naidealniejszych. Bardzo niewiele może z nią iść w porównanie, i — co jest charakterystyczne — tylko te »czyste« potrawy, t. j. takie, które nie wymagają zupełnie właściwego przyrządzenia, np. trufel. A dalej ostryga ma wonność pewną, co zresztą powiedzieć można tylko o napojach, o winie np. I ma ona również perspektywę. Podobnie jak zapach trufla prowadzi wyobraźnię waszą daleko w zacisze zakłętego lasu, gdzie wśród poplątanych korzeni kryje się leśna różyczka, nad grobem Merlina, który śpi pod tysiącioletnimi dębami o lśniącej zieleni, — tak samo i na widok ostrygi wędrujesz wyobraźnią daleko nad morze śródziemne, przypominasz sobie jego oddech słony, jego pianę, spoglądasz okiem duszy w przepastne głębiny czarnozielonej bajki — wiecznego olbrzyma morza, który wyrzuca swe białe grzebienie i ponad którem, jak płatki śniegowe, bujają mewy.

A duch wraz z mewą buja od jednej bajki do drugiej. I marzy o tem, jak to kiedyś zasięda ludzie, wszyscy bez wyjątku, przy ostrygach i reńskim winie, w zgodzie i harmonii zupełnej, czując się wreszcie u siebie na tej

bogatej ziemi, opływającej w ostrygi i winne grona...
A stać by się to mogło, gdyby ludzie chcieli pomóc
sobie wzajem, gdyby się chcieli porozumieć...

»Jak w muszli dźwięczy świętego morza

Żal i rozmarzenie,

Tak w mojej duszy zawodzi śpiewnie

Marzące utęsknienie...«

Ostryga — to zwierzę. To wiemy przynajmniej
z pewnością, nieprawdaż?

Zwierzę bardzo łagodne wprawdzie, wszak daje się
przez nas zjadać żywcem i nawet się nie rusza. Wła-
ściwie ze względu na sen roślinny, w którym, zda się,
jest pogrążona, należałoby zastanowić się, ażali jest ona
istotnie zwierzęciem. W każdym razie, zgadując, zali-
czałbyś ją do bardzo nisko uorganizowanych. Wyobraź
sobie, jakby się wykręcał robak, gdybyś mu zniszczył
jego kryjówkę i przyniósł go na talerzu, jeszcze żywego,
do oświetlonego elektrycznością gabinetu restauracji
wielkowiejskiej. A jednak ta nieruchoma męczenniczka
posiada organizację wyższą, aniżeli robak.

Od niej zaczyna się druga z owych czterech kon-
dygnacji wyższego życia zwierzęcego, które stoją po-
nad robakami.

Stoimy wobec mięczaków.

W życiu napotykasz na każdym kroku dwie grupy
takich mięczaków, dwie grupy, które zazwyczaj mie-
szamy ze sobą. W mowie zupełnie słusznie odróżniamy
je od siebie dzięki dwóm oddzielnym wyrazom, ale
profan nie umie właśnie prawidłowo używać tych wy-
razów i po prostu uważa je za jednoznaczniki.

Jeden wyraz — to małż, a drugi — to ślimak...

Jeżeli chodzi o różnicę powierzchowną, o wyodrę-

bnienie z gruba, to da się ją określić w ten sposób: małż to mięczak, który siedzi pomiędzy dwiema skorupkami, jak skrawek czerwonej szynki pomiędzy dwoma białymi kawałkami chleba. Pyszna ostryga w niepozornej swej sukience jest właśnie takim małżem... Natomiast ślimak jest albo nagi, jak nasz wielki czerwony, czarny lub białawozielony ślimak przydrożny, albo też posiada, jak nasz jadalny ślimak winnic, pojedynczą, przeważnie zwiniętą skorupkę, »domek«, z którego dowolnie może wyłazić lub chować się w nim.

Ślimak jest pod każdym względem wyżej uorganizowanym mięczakiem, aniżeli małż. Ma on wyraźnie wyodrębnioną głowę, po większej części zaopatrzoną w ruchome macki i oczy; żyją ślimaki nie tylko w wodzie, gdzie oddychają przy pomocy skrzelii, jak to czynią bez wyjątku wszystkie małże, ale istnieją również ślimaki lądowe, które wchłaniają powietrze wprost przy pomocy płuc, jak ludzie.

Co dotyczy rozwoju historycznego obu grup, to stosunek ich wzajemny przedstawia się prawdopodobnie w ten sposób. Przed dawnymi czasy z robaków powstawały pra-ślimaki, z których po jednej stronie rozwijały się dzisiejsze ślimaki, zaś po drugiej, drogą przystosowania się do konsekwentnie osiadłego trybu życia i związanego z tym faktem bezsprzecznego zwyrodnienia, powstały małże. A więc, podczas kiedy w postaci ładnego ślimaka winnicowego pochłaniamy najwyższą ozdobę królestwa mięczaków, w bezkształtnej bryłce ostrygi łykamy zbutwiałego i nieco zwyrodniałego pachółka i filistra tego samego królestwa.

I oto przeciwieństwo odzwierciadla się bardzo

widocznie również i w życiu miłosnem ślimaków i małży.

O ile w domku ostrygi i jej cichych uciechach tkwi dużo poezyi, o tyle o jej miłości nie daje się przy najlepszych chęciach opowiedzieć coś zajmującego.

Większość małży jest dwupłciową, ale nie mają one narządów rozrodczych i radzą sobie w najbardziej pierwotny sposób, tylko w płynącej wodzie możliwy do skutecznienia. Samce i samice, siedząc blisko siebie w swych skorupkach, wytwarzają i wydzielają o pewnej porze jajeczka i nasienie.

Samica zatrzymuje jeszcze przy sobie swe jajeczka, tymczasowo wchłaniając je po prostu narządem oddechowym, t. zw. skrzelami, niby więcierzą rybacką. Samiec natomiast wyrzuca wytwór swój na zewnątrz, i czasami wszystka woda przed rozwartą skorupką samicy wypełniona jest samem nasieniem. Samica oddycha głęboko, t. j. wciąga spory łyk wody w swe skrzela — i rzecz gotowa: nasienie i jajeczka są razem.

Potem młode wylatują z matczynego uchyłka oddechowego. Mówię: »wylatują«, bowiem musimy sobie raz na zawsze uprzytomnić, że młode, tylko co wylęgte małże mają wprawdzie już małą skorupkę, ale zwykle nie odznaczają się jeszcze wcale skłonnością do życia osiadłego, jak to bywa u dorosłych. Zwłaszcza młode małże morskie pływają i roją się gromadnie po otwartym morzu ze swymi podwójnymi skorupkami jeszcze przez czas dłuższy, szukając sobie odpowiedniego miejsca, ażeby osiąść na stałe, aż wreszcie w samej rzeczy obierają sobie stałe miejsce zamieszkania,

zniewolone wzmagającym się wciąż ciężarem ich naturalnego domku.

Młode małże wód słodkich przynajmniej, czepiają się ryb i często dają się przez nie w ciągu kilku miesięcy ciągnąć w wodzie po spacerach.

Ten prosty proces stanowi właściwie, na ogół biorąc, cały romans miłosny naszej ostrygi. Jedną tylko ma ona właściwość; jako wyjątek pomiędzy siostrami swemi, jest ona właściwie obojniakiem: wytwarza w jednym i tym samym organizmie, nieomal w jednym i tym samym narzędziu zarówno jajeczka, jak i nasienie. A mimo to zapłodnienie odbywa się zupełnie tak samo, jak opisaliśmy powyżej. Oto przyroda znowu z naciskiem zadokumentowała prawo, wymierzone przez nią przeciw samozapłodnianiu.

Wprawdzie ten sam narząd jednej i tej samej ostrygi wytwarza nasienie i jajeczka, t. j. produkt męski i żeński, ale wytwarza je nie jednocześnie, a naprzemian: to jedno, to drugie. Dziś rodzą się i wyłaniają nazewnątrz jajeczka, pływają sobie wzdłuż ciała matczyne w narzędziu oddechowym matki; matka łyka wodę, przepojoną nasieniem sąsiadki, — i zapłodnienie odbywa się prawidłowo w jednej ostrzydze za sprawą drugiego indywiduum. A jutro ta sama nasza ostrygamatka staje się nagle ojcem i wytwarza tylko nasienie; natomiast obok u sąsiada dzieje się teraz przeciwnie, nastął »dzień matczyny«: tam mamy zamiast nasienia — jajeczka; a nasienie, pochodzące z tej strony, witane jest przychylnie w postaci łyku, który zapładnia gdzieindziej jajeczka.

Wobec takiej podwójnej pracy miłosnej staje się omal nieprawdopodobną ta masa jajek, którą wytworzyć

może oddzielna ostryga: jedna starsza w miłosnych sprawach doświadczona ostryga może w ciągu roku wytworzyć więcej niż milion jajeczek. Pełnego rozwoju dosięga z tej liczby oczywiście tylko drobna odsetka. Mimo to nie ulega wątpliwości, że dzięki racjonalnej hodowli, która postawiłaby sobie za zadanie troskliwą opiekę nad wylęgającymi się młodymi, dałoby się właśnie w taki sposób pomnożyć liczbę ostryg na wszystkich wybrzeżach morskich, że mogłyby one stać się najtańszą potrawą ludu, aż po kraje zdala od morza leżące.

Powiadają, że o pełnym brzuchu nauka nie idzie sprawnie. Z punktu widzenia społecznego jestto straszny nonsens. Z sytym, rozumnie odżywianym brzuchem dopiero wogóle wziąć się można do nauki. Ażali właśnie ze względu na oświatę ludzkości nie byłoby pożyteczniej trochę więcej troszczyć się o ostrygi, aniżeli o nieprawidłowe słówka greckie i zdania warunkowe... nierealne?...



rzy pomocy barw, jakich używał Watteau, wymalujmy sobie w wyobraźni miły obrazek.

Na liściach winnych, o pozłocistej zieleni, zbliżają się ku sobie z dwu stron przeciwnych dwa duże ślimaki ogólnie znanego gatunku, z grubym brunatnym domkiem o niezliczonych prążkach. Chwieją się i podnoszą głowy. Nagle widzimy: szare ciała ślimaków przeobraziły się w różowych aniołków, małych filutów-amorków, którzy jakby na żarty wsadzili sobie na główki, niby czapeczkę błazeńską, długie, zgrubieniem zakończone, macki.

I oto wyciągają obaj psotnicy z pod swych daszków ochronnych ładne łuki, celują do siebie i ostrzeliwują się wzajem drobniutkiemi, srebrnemi strzałami, strzałami miłosnemi, które trafiają wprost w serce, choć nie sprawiają rzeczywistych ran krwawych...

A kysz... czar prysł... znowu mamy przed sobą tylko dwa stare, tłuste, obżarte ślimaki winnicowe. A jednak oczyma poezji widzieliśmy coś, o czem umie również na swój sposób opowiedzieć historia naturalna.

W historii miłosnej ślimaków wspomina również i nauka ścisła o »strzałach miłosnych«, któreimi posługują się kochankowie, z tą tylko różnicą, że cała sprawa odbywa się raczej w duchu Arystofanesa, niż w duchu Petrarcki...

Taki ślimak jest zawsze w całej swej budowie dla profana o wiele zrozumialszym, aniżeli ostryga. W porównaniu do pozornie bezkształtnej papki, jaką przedstawia ostryga po otworzeniu muszli, papki, która prawie tak wygląda, jakby ją już ktoś raz rozgryzł i wy-

pluł, wydaje się ślimak zupełnie proporcjonalnie zbudowanym.

Widać, gdzie głowa i odwłok, gdzie plecy i brzuch. Wprawdzie nie ma nóg, a na głowie zamiast wyraźnych oczu i uszu sterczą owe dziwaczne, wyciągliwe macki, które tylko przez dzieci nieświadome rzeczy zwane są »uszami«. Większa z dwu par macek ma w istocie po jednym małym, dość kiepskim oku...

Niedaleko w tył po za prawą macką, opatrzoną okiem, znajduje się mały otwór, a jest on niczem innym, jak otworem płciowym, choć mieści się w tak niezwykłym miejscu, niedaleko głowy. Chcąc dojrzeć ten otwór na żywym ślimaku, należy tylko pamiętać, ażeby nie pomylić tego otworu z otworem oddechowym, który leży jeszcze dalej ku tyłowi.

Trudno znaleźć drugie stworzenie, któreby w głębi, pod tak prostym otworem miało taki zawity narząd, jak ten poczciwy ślimak pod swoim otworem płciowym. Jako fakt zasadniczy, należy pamiętać, że ślimak winny jest tak samo zupełnie, jak ostryga, obojniakiem. W głębi, wewnątrz ciała posiada on t. zw. gruczoł obojnacki, w którym w sposób iście cudowny wytwarzane bywają razem obie substancje, nasienie męskie i jajeczka kobiece.

Atoli i tu nie wolno tym dwom materiom zetknąć się dla zapłodnienia w jednym i tem samym łonie macierzystem. Z gruczołu obojnackiego prowadzi w dół aż do owego otworu płciowego niezwykle zawity system kanałowy, przez który sprowadzane być mogą na dół zarówno jajeczka, jak i ciała nasienne. W jednym miejscu odchodzi od głównego kanału, który prowadzi prostopadle do otworu, cienki kanał poboczny, dokąd

dostać się mogą wyłącznie ciała nasienne. Kanał ten jest krótki i kończy się w olbrzymim rezerwoarze, który wyobraża sobą ogromny, dający się wysuwać członek rozrodczy. Ten ostatni narząd kończy się tuż obok otworu zewnętrznego, a kiedy się wysuwa nazewnątrz, to może równie dobrze w odpowiednich warunkach wyrzucić nazewnątrz ciała nasienne, jak z ciała matczyngo wprost przez otwór wychodzą jajeczka, kiedy tego zachodzi potrzeba.

Ale nasamprzód przez pewien czas pozostają ciała nasienne w głębi, we wciągniętym członku rozrodczym i stroją się jeszcze tu trochę. Tu wydzielany śluz zlepia je w jednolitą bryłkę, w t. zw. nabój nasienny. Ten nabój nasienny ma swój cel specjalny, jak to zaraz zobaczymy.

Nie koniec jeszcze na tych zawiłych sprawach. Narząd ślimaczy posiada jeszcze dwie maszyny poboczne o złożonej budowie. Nasamprzód jest tu jeszcze próżny kocioł, połączony również kanałem specjalnym z wielkim otworem płciowym. Od wewnątrz nie zapełnia się kocioł ów niczem, ani jajkami, ani nasieniem. Wydaje się, jakoby istniał po to, ażeby przez ten otwór przyjmować coś zzewnątrz — i o tem też zaraz się dowiemy.

A pozatem jest jeszcze tuż obok otworu płciowego czwarta rzecz, oczywiście najdziwniejsza. Jest to otwierający się ku otworowi futerał, workowata pochewka, w której siedzi mały jakiś przedmiot o kształcie ostrej szabelki lub strzałki. I ta zagadkowa rzecz niema absolutnie żadnego bezpośredniego związku z jajeczkami i nasieniem: musi ona najpewniej na coś czekać, co ma przyjść zzewnątrz.

Opuśćmy teraz wnętrze naszego ślimaka, gdzie odkryliśmy wszystkie te dziwy, i przypatrzmy się przez chwilę całemu zwierzęciu zzewnątrz. Jego produkty płciowe burzą się w nim od żrałości bujnej, a mimo to nie może ono samo nic począć z nimi. Samozapłodnienie byłoby wprawdzie dość łatwe do uskutecznienia ze względu na budowę samego aparatu. Ruchomy członek rozrodczy uzbrojony w swój nabój nasienny winienby tylko zagiąć się trochę ku górze i dostać się do wielkiego kanału, przez który schodzą jajka, i wystrzelić swój nabój na te jajka, znajdujące się już tu teraz w stanie zupełnie gotowym do zapłodnienia. Albo, gdyby na razie jajeczek jeszcze nie było, wystarczyłoby tylko wsunąć tymczasem nabój w ów bezcelowy napozór i pusty rezerwoar-kociołek, a nabój mógłby potem w odpowiedniej chwili, kiedyby jajeczka znalazły się u dołu, spaść im na łeb.

Ale ślimak nasz daleki jest, zdaje się, od takiego bezsprzecznie »przewrotnego« postępowania, przewrotnego, ze stanowiska zakazu, wydanego przez przyrodę przeciwko samozapłodnieniu. Pozostaje on na gruncie »moralności«, oczywiście w sensie takiego postępowania moralnego, które wypływa raczej z pobudek utylitarnych, aniżeli z imperatywu kategorycznego. Spodziewa się on czegoś osobliwego, czegoś, czego samozapłodnienie nigdy by mu dać nie mogło. I to »coś« wyłania się oto zaraz w samej rzeczy — poprostu w postaci innego ślimaka jego gatunku.

Oto w wilgotny dzień majowy nadchodzi ów towarzysz z powagą, właściwą ślimakom. Ma on tę samą budowę, co i pierwszy — wyrazy »narzeczony« i »narzeczona« są tu nie na miejscu — i też same żywi

pragnienia. Ale poznać odrazu, że nie ma się do czynienia z bardzo nisko stojącymi zwierzętami. Przybywa element psychiczny.

Oba ślimaki nie atakują się odrazu. Okrążają się nasamprzód wzajem jakimś komicznym ruchem tanecznym, zanim się dotkną. Potem nagle unoszą się obydwaj w górę, przyciskają się do siebie, o ile na to pozwala położenie, brzuchami; przez pewien czas flirtują mile mackami. Kiedy wreszcie zbliżą się do siebie dostatecznie oba otwory płciowe, każdy z zakochanych wypuszcza nagle ze swej pochwy ową małą spiczastą strzałkę zwapniałą: strzałkę miłosną.

Cel tego ruchu, — cel nie zawsze w zapale miłosnym osiągany, polega na tem, ażeby trafić dokładnie w otwór miłosny drugiego osobnika. Prawie z pewnością chodzi tu o szczególne jakieś podrażnienie płciowe, którego szczegółów wykryć zupełnie jasno nie umiemy naszym ograniczonym rozumem ludzkim, bowiem przy jego pomocy nie możemy wejrzeć w tajniki zakochanej duszy ślimaczej. Z chwilą kiedy strzała miłosna wyciągniętą została z kołczana, właściwy akt przyrodzony odbywa się już dalej prędko i gładko. A kiedy już ona dokonała swojej czynności, wtedy okazuje się dopiero, dlaczego był tam wewnątrz ów pusty kocioł.

We wnętrzu tego kotła wchodzi teraz członek płciowy towarzysza i składa tam ów dobrze zawinięty nabój nasienny w tym celu, ażeby jego zawartość przy nadarzającej się sposobności spływała deszczem dobroczynnym na tłoczące się pobok jajeczka i dokonywała zapłodnienia.

A więc i tu każdy ze ślimaków przyjmuje, jako samica, i jednocześnie oddaje, jako samiec. Ale z chwilą

kiedy akt doniosły został dokonany, to każdy ślimak pozostaje przede wszystkim jednym tylko, a mianowicie matką.

Zapłodnione jajeczka osiągają zupełnej dojrzałości w ten sposób, że specjalna wydzielina gruczołowa otacza je jeszcze w ciele matki piękną twardą skorupką wapienną, która nadaje im cechy wyjątkowego podobieństwa do białosnieżnych jajeczek ptaków, oczywiście ptaków naszych swojskich gatunków z niezmiernie lilipucimi jajeczkami o przecznicy najwyżej 6-milimetrowej. Ale w południowej Ameryce są ślimaki lądowe, które — mówimy zupełnie poważnie — kładą tak wielkie jajka, jak gołębie. Nasz ślimak winnicowy składa przeciętnie jedną kupkę jajek za drugą, z 60-u do 80-u sztuk złożoną. Ale zanim rozpoczyna tę czynność, buduje sobie sam coś w rodzaju kołyski. O ile zwykle nigdy nie myśli o rozkopywaniu ziemi, teraz nagle wdraża się przednią częścią ciała na tyle, na ile zdoła wydostać się ze swego domku, głęboko w wilgotną ziemię, dopóki nie utworzy głębokiej dziury długości mniej więcej 7-u centymetrów. Potem ślimak przysuwa się do tej dziury w ten sposób, ażeby domek jego z góry wszystko przykrywał. Wtedy dopiero w przeciągu dwu dni jajka się leżą i kryją w tej dziurze, a kiedy się ona zapełnia, troskliwa matka znów przysypuje ziemią tę całą kołyskę, tak, ażeby nie można było znaleźć nawet śladu po niej. Po miesiącu dopiero młode, zupełnie rozwinięte i przygotowane do życia na swobodzie, wyłazą wesolo ze swego grobu-kołyski.

Znów na drabinie, wiodącej od rozgwiadzy do Madonny, staje wam przed oczyma nowy szczebel: — zamiast dzikiej śmierci ofiarnej za lęgnące się młode, której

obrazy tak potworne wykazywał robak, mamy tu wzruszającą troskliwość żywej matki o dobro stających się dopiero dzieci. Troskliwość macierzyńska, ta część składowa rozlewnej, ku nowym celom dążącej miłości płciowej, staje na rubieży pomiędzy bierną śmiercią, a czynnym życiem — i oto mamy znowu dowód, jak w miłości łączą się ze sobą życie i śmierć, i jak wyższe postaci miłości podnoszą jednocześnie śmierć do wyższego życia...

Pozwólcie, że obraz miłości ślimaczej zakończę jeszcze dzikiem widowiskiem, które wyłania się z wód, jako istny dytyramb krańcowej energii miłosnej.

Pamiętacie małą motylicę, o której opowiadaliśmy poprzednio?

Z przewodu żółciowego barana, przechodziły młode zwierzątka w ciało owych ładnych ślimaków iłowych z rodu *Limnaea*, które mamy w stawach naszych. Tam w każdej drobnej motylicy wyrastało nowe pokolenie, które miażdżyło wewnątrz matki lub piastunki; a w owych najmniejszych motylicach, zanim jeszcze zdążyły rozerwać skórę matki-trupa, zaradzały się znów mniejsze jeszcze motyllice-wnuczki, które znów dla poprzednich były przyczyną zniszczenia. Ta ohydna piramida trupów piętrzyła się, jak już było zaznaczone, we wnętrzu ślimaków, a ślimaki same zupełnie o to nie dbały.

A teraz pozostajmy już zupełnie przy tych ślimakach i przypatrzmy się z zewnątrz, jakie własne piramidy miłosne one wznoszą pomiędzy sobą.

Ci mieszkańcy bagnisk są prawdziwymi ślimakami, zupełnie tak samo jak i nasz stary ślimak z winnic; są one też wewnątrznie obojniakami, samcem i samicą w jednym osobniku, jak i tamten. Odrębność ich po-

lega jedynie na tem, że zamiast jednego otworu płciowego, skąd wychodzą obie materye, mają takich otworów na ciele dwa: jeden męski, blisko macki, a drugi żeński trochę dalej ku tyłowi, bliżej otworu oddechowego. Ten rozdział powierzchniowy stanowi podłoże dla nowych komplikacyi w zapładnianiu, które znacznie przekraczają napotykanę u ślimaka winnicowego.

Wyodrębnienie dwu otworów płciowych wytworzyło nasamprzód ten skutek, że pomimo obojnactwa płcie spotykają się zazwyczaj tylko w ten sposób, że jedno występuje jako samiec, a drugie, jako samica. Więc tu nie zapładniają się osobniki nigdy tak, że każdy ślimak daje coś z siebie towarzyszowi, a wzamian od niego coś otrzymuje. Tu jeden ślimak obejmuje drugiego tylko w ten sposób, że przyciska swój męski (bardziej ku przodowi leżący) otwór do kobiecego otworu (bardziej ku tyłowi umieszczonego) drugiego ślimaka i zapładnia go, jak samiec samicę.

To byłoby prostsze, niż owa historia w winnicy. Ale zważcie z matematyczną ścisłością ciąg dalszy. Jeden ślimak znajduje się w stosunku do drugiego, jak samiec do samicy; jego własny, żeński otwór płciowy, leżący bardziej ku tyłowi, nie bierze oczywiście udziału w tej czynności. Ale oto zjawia się obok niego trzeci ślimak, również do męskiej funkcji płciowej przygotowany, znajduje wolny otwór żeński i rozpoczyna tu swe dzieło. Z konieczności więc ów drugi ślimak, zgodnie z wolą swą czynny tylko, jako samiec, staje się teraz jeszcze samicą dla trzeciego. W tym akcie z kolei otwór żeński w tym trzecim ślimaku pozostaje wolnym, i tu znów zjawia się dla załatwienia czynności samiczej czwarty ślimak. W ten sposób powstaje wre-

szcie cały łańcuch. Dopiero ostatni ślimak pozostaje istotnie wolnym pod względem żeńskim i, jako jedyny wyłączenie po męsku czynny ślimak, zamyka szereg, którego pierwsze ogniwo, jak biegun przeciwny, jest wyłącznie samicą, podczas kiedy wszystkie ogniwa pośrednie biorą udział w akcji płciowym czynnie, jako samiec, i biernie, jako samica.

Jeżeli w tej dziwacznej arabesce dodamy jeszcze jedno pociągnięcie pędzla; jeżeli pomyślimy sobie, że może w każdym z tych ślimaków rozgrywa się jednocześnie ów okropny dramat włożenia wzajem w siebie, jak w młodych motylicach, — będziemy mieli wtedy piękne pojęcie o tem, co istotnie oznacza ów stary zwrot o »dzikiej sile twórczej przyrody«. Jeżeli jesteście dość silni, ażeby spojrzeć przyrodzie w oblicze, musicie poczuć tu dreszcz, jak przed czemś wzniosłem, dreszcz tak potężny, jak kiedy szaleje ocean, lub kiedy grzmi lawina śnieżna. Ten ocean, co w oczach twych szaleje — to ocean życia; a lawina, co stacza się ponad twą głową, to lawina nieskończonego stawania się.



eż pająka, osadz mu w głowie nieruchome, szklane oczy łupaka; nadaj ciału jego wilgoć, oślizgłość, miękkość i tę absolutną nagość ślimaka; wyciśnij z kończyn stawy, tak ażeby one stały się wreszcie jelitami, ażeby mogły się zwijać, jak jelita, w kłębek nieruchomy i wlokły się tylko z miejsca na miejsce wraz z grubem ciałem workowatym pająka dzięki jakiejś tajemniczej sile ssącej, która im pozwala przylegać to tu, to tam, gdzie się poruszają na podłożu. A pozatem pozostaw pająkowi wszystką dzikość, napastniczość i drapieżność jego natury, pozostaw mu jego siłę i wytrwałość, jego inteligencyę, która pozwala mu zapanować nad każdą sytuacyą. A w końcu zrób go jeszcze wielkim, jak pięść, jak głowa, jak wół, jak wieloryb wreszcie — i oto będziesz miał mątwę.

Jest ona niezaprzeczenie ogromnie podobna do pająka. Ale nie jest pająkiem, nie jest mu nawet zwierzęciem pokrewnem, — jak również nie jest rybą.

Jest to mięczak, bezpośrednio zbliżony do owych muszel i ślimaków, z tego samego pnia, co ostrzyga i ślimak z winnicy. Jest między nimi tylko ta różnica, że mątwa w znacznym stopniu towarzyszy swoich prześcignęła.

Rozłup jajko z zalęgłem dopiero co kurczęciem i wyrzuć te masę na talerz; masz oto przed sobą jakąś dziwną, o nieokreślonej postaci grudkę galaretową, która leży jak martwa; porównaj z kurą dorosłą, jak spogląda na ciebie wzrokiem, który pochodzi z mózgu i w innym mózgu tonie; jak ona biega, szpera, gdacze i lata; taki mniej więcej istnieje kontrast pomiędzy marnym

i jeszcze prócz tego zwyrodniałym mięczakiem, — ostrygą z jednej strony, a wysoko stojącą na drabinie rozwojowej czernicą — z drugiej.

Mątwą — to korona swego rodu.

Silny mózg w głowie — to ognisko jej sił duchowych; i chociaż naogół w miękkim jej ciele kości jest bardzo mało, to jednak mózgowi temu jako ochrona służy, jak u wyższych zwierząt kręgowych, — u żaby, ptaka lub człowieka, — czaszka, która napewno nie byłaby się rozwinęła, gdyby tu nie było do ochraniań czegoś poważnego i kosztownego. A intelekt związany jest zawsze, — można to uważać prawie za prawo, — ze znaczną ruchliwością. I w tym względzie ostryga pozostała znacznie w tyle: mątwą pływa, biega, łązi, nawet ma zdolności budownicze, umiając urządzać dookoła siebie barykadę z kamieni: w morzu nie ma w tym kierunku współzawodnika. Tylko w postaci zewnętrznej pozostało na niej piętno dziedzictwa rodowego; jest coś dziwnaczego, waryackiego w jej budowie: ramiona wyrastają z głowy ponad oczami i dookoła żarłocznej gęby i chwytają swą zdobycz, wpijając się w nią z całą niewzruszoną mocą przy pomocy szeregu pijawek. Przez wielkość swą, która graniczy z kolosalnością, potwór ten więcej zwraca uwagę.

Największe gatunki mątew — to »potwory« legend rybackich; osobniki tego rodzaju mają po 20 metrów długości. Pająk tej wielkości byłby bezsprzecznie najstraszliwszym zwierzęciem lądowym i przedmiotem okropnych bajek dla wszystkich narodów.

Mątwy istnieją już od czasów prastarych. Zjawiają się one w liczbie olbrzymiej już w tem miejscu, gdzie w biegu historii ziemi wiedza nasza podnosi zale-

dwie zasłonę z ponad życia. Już z samego początku, jak się zdaje, ześrodkowała się w nich cała inteligencja rodu mięczaków. Są one wogóle najbardziej »uduchowione« ze wszystkich postaci zwierzęcych, jakie dotąd rozpatrywaliśmy. Atoli napotyamy tu duszę dziką i drapieżną, cały intelekt zogniskowany jest na walce bezwzględnej, którą toczą zarówno z obcymi, jak i pomiędzy sobą. Daje się też przewidzieć, że u istot tak mądrych i wojowniczych i miłość nie może być idyllą. W samej rzeczy wydaje się ona probierzem całej charakterystyki zwierzęcia: bowiem ujawnia się w niej intelekt, natura drapieżna, wreszcie i wspomniane już dziedzictwo mięczakowe mające w sobie coś szalonego, skleconego z kawałków, niemożliwie dopasowanych.

Wyobraźcie sobie, że cel ostateczny aktu płciowego nie polegałby tylko na tem, ażeby płyn nasienny męski dostał się we wnętrze macicy, ale że katastrofa końcowa raczej przebiega w ten sposób, że członek męski ze strasznym impetem odrywa się od ciała samca i ginie na zawsze w pochwie samicy. W takiej sytuacji znajduje się samica.

Właściwie małta i pod względem płciowym stoi na wysokim stopniu rozwoju.

Nie ma w niej nic ani z płciowego obojnactwa, uprawianego w takim szerokim zakresie przez ślimaki, ani z nieokrzesianego rozrzucania nasienia na chybił-trafił, jak to się dzieje u ostryg. Małta jest stale prawdziwym zwierzęciem dwupłciowym: jest małta-samiec i małta-samica.

I wydaje się, jakoby obie płcie stworzone były z ich długimi ramionami do prawidłowego zapłodnienia w chwili najściślejszego zespolenia się wzajemnego. I w samej

rzeczy, wewnętrzne zapłodnienie zwierząt, jak już to wiecie i jak już w toku naszego opowiadania wielokrotnie u zwierząt niższych spostrzegać mieliście sposobność, odbywa się w przeciwieństwie do innych postaci zapłodnienia w ten sposób, że część ciała samca wprowadzoną być musi do ciała samicy. Niema wątpliwości, że dla samego celu zapłodnienia metoda ta jest dość pewną. Ale ma ona również niezaprzeczalnie swe ciemne strony.

W miarę tego, jak zwierzęta stawały się coraz bardziej złożonemi, jak stawały się wielkimi, wolnymi, poruszającemi się maszynami, tem niewygodniejszym stawał się ten sposób rozmnażania. W całym wyższym rozwoju zwierzęcym spostrzedz daje się tendencya, oddalająca zwierzęta od wszystkiego, co jest związane z umacnianiem się na jednym miejscu na stałe. I dlatego też stawiamy mątwę o wiele szczebli wyżej ponad ostrygą, bo nie jest już ona przytwierdzona do ziemi, ale w ciągu całego życia porusza się, jako wolne indywiduum, mając własny swój cel, odpowiednio do tego, z jakiego w danej chwili korzysta bezpieczeństwa. W najwyżej stojącym rodzie całego królestwa zwierzęcego, u kręgowców, wogóle niema zupełnie istot, któreby stałe były z jednym miejscem zrosnięte. A właśnie akt rozrodczy jest owym momentem, gdzie w każdym razie powinno mieć miejsce przynajmniej na krótką chwilę takie zrosnięcie się. Wobec tego zrozumiałem się staje, że to wywołuje całą masę możliwie największych niewygód, niemożliwych aktów i pozycji. Człowiek ma prawo powiedzieć o tem intermezzo wyższego życia zwierzęcego, co mówił Helmholtz o oku ludzkim, że, gdyby jakiś mechanik przyniósł mu aparat z tyłoma

brakami i z tyłu zbytecznymi utrudnieniami, to pomimo wyrazów uznania, które należałyby mu się za całość wykonania, odprawiłby go jednak, jako partacza, wraz z jego dziełem. Takie »niepraktyczności« w przyrodzie są wszak pouczające ze stanowiska wyższego. Dowodzą one, że świat zwierzęcy nie jest uplanowaną z góry mądrością twórczą, ale wynikiem nieskończonej długiego, trudnościami najeżonego »stawania się samoistnego« w okresie niezliczonych pokoleń. Atoli w życiu praktycznym mimo to odczuwa się ten chochlik niewygody.

W mątwie widzimy ruchliwość indywiduum posuniętą o krok olbrzymi w porównaniu z taką np. ostrygą; a dlatego właśnie ujawnia się podwójna, potrójna trudność prawidłowego zakorzenienia się samca w ciele samicy przy zapłodnieniu.

Właściwe narządy płciowe, gdzie odbywa się cała sprawa rozrodcza, mają mątwę-samiec i samica w głębi swego workowatego ciała, związane ściśle z resztą jelit. Samiec ma tu swe jądro (jedno tylko), gdzie wytwarzane są ciała nasienne, samica swój jajnik (również o jednej podziałce), który dostarcza niezapłodnionych jajek. Każdy warsztat, zarówno nasienny jak i jajowy, ma oddzielny otwór zewnętrzny, przez który wytwory mogłyby pójść w obieg; i byłoby oto najzrozumialszem, gdyby samiec podczas owych dzikich obejmowań, które były powyżej opisane, podsuwał swój otwór nasienny do żeńskiego otworu jajowego i w ten sposób dokonywał zapłodnienia.

Ale niestety, nie odbywa się to tak prosto; tu właśnie trzeba wziąć pod uwagę całą szaloną dziwaczność w budowie ciała mątwy. U góry ma ona prawidłową głowę, widoczną dzięki dwu wytrzeszczonym

oczom i gębie. Dookoła gęby są ramiona. Resztę ciała stanowi zwykły, z zewnątrz niezróżnicowany już worek, który wydyma się ku górze, jak jeden wielki odwłok, kiedy zwierzę biega na swych nogach, głową zwrócone ku dołowi. Wzorem innych zwierząt wyższych należałoby oczekiwać, że na końcu tego workowatego ciała znajduje się drugi otwór, który służyłby jako otwór oddechowy lub płciowy. Ale odytu jest tu wszystko okrągłe i gładkie, jak w jabłku. Natomiast pod głową na stronie brzusznej znajdujemy szparę, podobną do skrzelowej np., jaką ma ryba w celu oddychania. Obok szpary widać jeszcze jeden osobny mały otwór, jakby otwór jakiejś rury. Zarówno szpara, jak i rura prowadzą niezależnie od siebie wewnątrz do dziwaczного wgłębienia, które widać u brzucha, jako zewnętrzną torbę. Kiedy się ją otwiera, okazuje się, że cały worek mątwy składa się właściwie z dwu worków: z wewnętrznego, rzeczywistego worka, stanowiącego ciało i zawierającego jelita, jądro, jajnik i t. d. i z zewnętrznego worka skórniego, który otacza worek wewnętrzny, jakby płaszczem luźnym. To, co napozór wydaje się torbą, nie jest niczem innym, jak otwartą wnęką na stronie brzusznej pomiędzy istotnym workiem-ciałem a płaszczem zewnętrznym. Dopiero z tą przestrzenią przy pomocy prawdziwych otworów komunikują się przez worek wewnętrzny leżące w głębi warsztaty płciowe. Gdyby więc podczas zapłodnienia nasienie męskie, przy pośrednictwie jakiegoś narządu samca, miało być przeniesione do miejsca, gdzie są istotnie jajka żeńskie, musiałby nasamprzód odnośny narząd męski być wprowadzonym przez wspomnianą szparę lub lejek do wielkiej owej przestrzeni pustej. Wyobrażacie sobie, że trzebaby

było w tym celu olbrzymiej długości członka rozrodczego. Kiedy nastaje odpowiednia chwila, spostrzedz można, jak do tego przystępują. Ale już dość dziko wygląda to zzewnątrz.

We wspaniałych basenach na stacyi zoologicznej w Neapolu, gdzie tyle trwożliwych zwierząt głębin morskich musiało ujawnić najdyskretniejsze serc swych tajemnice, spostrzegano również od czasu do czasu noc weselną mątwy.

Tuż u wewnętrznej powierzchni okna w aquarium pochwyliły się wzajem dwa z miłości oszalałe »potwory« i rozpoczęły — opowiada widz naoczny — taniec, że miało się wrażenie, jakgdyby szło o śmierć i życie. Zwierzęta kołyszą się nawpół swobodnie we wodzie, na podobieństwo pająka, który chwieje się na swej pajęczynie. Tu sieć, służącą jako podparcie, stanowią niektóre z samych ramion, które przy pomocy swych przysawek przytrzymują się z jednej strony szyby szklanej, z drugiej — kamiennej ściany basenu, i w ten sposób kołyszą się swobodnie dwa grube ciała. Pozostałemi ramionami obejmują się wzajem, tworząc nierozzerwalny kłęb, jakgdyby chodziło o skrępowanie ofiary, która ma być pożarta. Oczy błyszczą, okrągłe brzuchy, które u mątwy, jak u kameleona, mają właściwość przybierania rozmaitych barw, stają się ciemnobrunatnemi i kręcą się i nabrzmiewają tak potężnie, że woda zaczyna się burzyć okropnie. To miłosne baraszkowanie trwa więcej niż godzinę. Bywa tak, że jedno z nich nieomal pęka od uścisków, to znów przylgłte ramiona odrywane bywają z taką gwałtownością, że skóra rwie się w strzępy.

Atoli w tych wszystkich okropnościach niema nic dziwnego: akt rozrodczy bowiem u mątwy, jeżeli analizować jego szczegóły anatomiczne, czyni niemożliwe możliwem, jak mówi Ibsenowski mistrz Solness. Sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowaną, jeżeli się przekonywamy, że ta przestrzeń i jej otwór zewnętrzny służą zwykle swemu właścicielowi jeszcze i dla innych celów. Nasamprzód pośredniczą w jego oddychaniu: do tej przestrzeni otwierają się jego skrzela, które opłukuje woda morska, przedostająca się przez szparę, i w ten sposób dostarcza im tlenu. Pozatem ta przestrzeń pusta służy, jako niezwykle mądrze pomyślany aparat do pływania: woda przez szparę przedostaje się do wnętrza tej przestrzeni; potem szpara bywa mocno zaciskana, a woda przez wspomnianą wyżej małą rurkę, obok szpary umieszczoną, wypierana bywa z siłą, i w ten sposób wytwarza się silne uderzenie, które odpycha z szybkością strzały lekką mątwę wtył.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakgdyby samiec-mątwy nie tylko nie miał odpowiedniej wielkości członka płciowego, ale jakgdyby go wcale nie posiadał. Jego ciało workowate wydaje się takim samym całkowitym jabłkiem, jak u mątwy samicy, ze szparą i rurką, ale bez znaku jakiegokolwiek specjalnego narządu męskiego. Atoli spostrzegacz owej dzikiej walki małżonków doznaje wrażenia zupełnie nieoczekiwanego.

W chwili, kiedy namiętność, z jaką się obejmują te zwierzęta, dosięga szczytu, samiec nagle jedno ramię wkłada w szparę, prowadzącą do pustej przestrzeni wewnątrz samicy, a ta przyjmuje w siebie całe ramię, jakgdyby chodziło o członek rozrodczy.

Jest nim tutaj ramię właśnie.

W braku takiej części ciała w zwykłym sensie, po prostu jedno ze zwykłych ramion samca-mątwy jest przystosowane do przechowywania ciałek nasiennych w specjalnych fałdach skóry albo wgłębieniach. W odpowiedniej chwili pogrąża się ono, niby olbrzymia łyżka aptekarska, w przestrzeń pustą samicy i wylewa drogocenną materię życiową w odpowiednim miejscu tam, gdzie znajdują się otwory jajnika. O ile ten akt przenosi łączy się po obu stronach z duchowem uczuciem rozkoszy zmysłowej, trudno oczywiście orzec stanowczo — to pewna tylko, że natychmiast po wprowadzeniu ramienia następuje spokój, który pozwala przypuszczać, że wtedy następuje również uczucie wyzwolenia, uczucie przewyciężenia. Wątpić jednak należy, czy akt ten może wywoływać uczucie przyjemności, biorąc rzecz mechanicznie: wszak fakt pozostaje faktem, że ramię wchodzi wprost samicy przez tchawicę do wnętrza.

Nasuwa się myśl, że byłoby przynajmniej nadzwyczaj korzystnem, gdyby zamknięte drogi oddechowe możliwie prędko znów były wolne. I w tendencji do zdobycia tej korzyści tkwi bezsprzecznie właściwa przyczyna tego, że akt płciowy dosięga tu takiego napięcia, które stanowi dopiero szczyt wszystkiego, co było dotąd.

U niektórych gatunków mątw w chwili, kiedy samica ma już w swoim wnętrzu ramię zapładniające, ono poprostu odrywa się u nasady swej i wpada, jak połączona zdobycz, w jamę; a podczas tego okaleczony samiec idzie spokojnie swoją drogą, jakgdyby tak właśnie być musiało.

Romans miłosny, od którego włosy stają dęba, nie kończy się jeszcze na tem. Oderwana część ciała samca wije się w jamie ciała samicy, jak robak; i pierwsi spostrzegacze, pomiędzy nimi i wielki Cuvier, uważali go też w naiwności ducha za takiego robaka, który wiedzie tam w głębi jelit żywot pasożytniczy, i nadali mu piękne miano: hectocotylusa, robaka o stu przy-sawkach.

I oto teraz na dole ma przed sobą ów hectocotylus do rozporządzenia żeński otwór jajowodowy, i w chwilach wolnych może rozpocząć swą pracę zapłodnienia. Ma się to wrażenie, jakgdyby on wyobrażał we wnętrzu samicy małą armatkę, która automatycznie wydaje strzał za strzałem: jest to niby mitralieza miłosna, którą samiec tylko nastawia, jako dobry mechanik, a potem pozostawia ją sobie samej. I w samej rzeczy: podobnie jak współczesna armata wyrzuca nietylko zwyczajne kule żelazne, ale i eksplodujące szrapnele, które z każdego strzału czynią deszcz ulewny niszczących pocisków żelaznych — tak samo i owa erotyczna armata hectocotylusa wyrzuca nietylko poszczególne ciała nasienne, ale istne kartacze nasienne, podłużne twory, wypełnione ciałkami nasiennymi.

W chwili kiedy taki kartacz nasienny uderza, rozwiera się z przodu wysoce artystycznie utworzone zamknięcie, i ładunek nasienia dzięki elastyczności ścianek wybuchowo bywa wyrzucanym.

Takiej świadomej celu kanonadzie przy pomocy szrapneli nie może się oczywiście oprzeć żadne dojrzałe jajko żeńskie: pomimo nieskończonych manowców, jakimi szła cała sprawa, i tu wreszcie wypełnia się wielkie misterium, którego świadkami byliśmy teraz

tak często: owo *Mysterium magnum* przyrody, do którego jednak mimo najniemożliwszych powikłań prowadzą w końcu wszystkie drogi, *Mysterium*, dzięki któremu indywidualium przeskakuje do gatunku i wkracza w życie tysiãcoleci.



to obraz zupełnie nowy.

Ponad wonnym kobiercem swawolą różnobarwne motyle, podobne okwiatom, co w górę się uniosły i dzięki sile zwierzęcej poruszają się swobodnie w przestworzu niebieskiem. A pod ciemnym sklepieniem lasu, w tajemniczym półmroku starych sosen, mrowie małych tworów, o dziwnie delikatnej budowie, tworów, co mieszkają w miastach, bór swój przerzynają ulicami, posiadają coś w rodzaju mowy i moralności, żyją nie pojedynczo, ale w trwałej wspólności państwowej, prowadzą społem wojny; tworów, co wzniosły się do tego stopnia kultury, gdzie istnieje hodowla bydła i rolnictwo...

Majaczy nam się coś, jakgdybyśmy się zbliżali do owej wielkiej smugi świetlanej w ciemnym obłoku, do miejsca, gdzie zwierzę staje się człowiekiem. Ale to nie człowiek jeszcze. Nawet nie kroczymy dalej po tej linii, na której przedłużeniu człowiek się wyłonił. Idziemy obecnie wzdłuż owego trzeciego korytarza bocznego w górnej kondygnacji królestwa zwierzęcego — w tej najwyższej kondygnacji, która wyłoniła się obok ostatniej, stanowiącej szczyt wszystkiego, szczyt, gdzie wyrosnąć miał człowiek, — wyłoniła się zwolna w nieskończonym szeregu lat, w ciągu których ta stara planeta-ziemia istnieje i życie na swej powierzchni posiada.

Mamy tu na myśli tę linię, która kończy się mrówką. Gdyby pominąć na ziemi człowieka i ów ściślejszy łańcuch zwierzęcy, który do niego należy, jako to: rybę, salamandrę, jaszczurkę, ptaka oraz niższe i średnie zwierzę ssące, — to prawdopodobnie okazałoby się wtedy, że mrówka stanowi pod względem intelektu

szczyt wszystkiego, co jest na ziemi. Można byłoby doskonale wyobrazić sobie planetę, gdzie istniałby taki właśnie stan rzeczy. Cały ład stały tej planety przez pracę lat milionów wyobrazić sobie przekształconym w krainę kulturalną: olbrzymie miasta, najeżone kopułami i budowlami o najrozmaitszej postaci; sieć prostolinijnych dróg, rozchodzących się promienisto; aż pod widnokrąg sięgają nieskończone, jednostajne pola, zasiane roślinami pewnej określonej hodowli, poprzerzynane tylko miejscami przez ogrodzenia, gdzie pasie się dziwaczne jakieś bydło i w odpowiednim czasie bywa dojone. A panami tej planety kulturalnej wyobrazić sobie można nie dwunożnych, pionowo trzymających się ludzi, ale twory o wiele mniejsze, o sześciu nogach, i dziwnie pocłonkowanem ciele, a mianowicie mrówki; mrówki tego najwyższego dziś jeszcze istniejącego u nas gatunku, które, żyjąc w związkach społecznych z szeroko zakreśloną działalnością, budują swoje wspaniałe budowle, umieją hodować pewne, miłe dla nich, gatunki traw i sprzyjać ich rozmnażaniu się, umieją więzić mszyce, niby krowy, ochraniać je i przez dojenie pozabawiać ich soku cukrowego; mrówki, którym niczego nie było trzeba po za absolutnie wolną konkurencją i po za czasem potrzebnym po to, ażeby całą swą planetę sobie ujarzmić, jak to od kilku lat tysięcy począł czynić energicznie człowiek kulturalny.

Znasz mrówkę, choć nie wiesz może, że stoi ona na tak wysokim stopniu rozwoju; znasz również i motyla. Zarówno mrówka, jak i motyl, to owady. Są to zwierzęta, których ciało jest pokarbowane, podzielone na kilka części oddzielnych. Do owadów, prócz mrówki i motyla, należą zwierzęta, które otaczają cię na każdym kroku.

Oto mucha siadła ci na nosie — to również owad. Owadem jest świerszcz, co brzęczy u komina twego, zarówno, jak i upiorny czarny karaczan, co nocą plądruje ci w spiżarni; owadem jest pchła wierna, której nic ludzkiego obcem nie jest, i pluskwa, co chciałaby dzielić z tobą łożo. Owadami są też mszyce, co wysysają soki z kwiatów twych u okna, i ładniutka czerwona biedronka, która zjada te mszyce, a jednak, jako rzekomego »wroga kwiatów«, miazdżysz ją bezlitośnie znakiem krzyża, ruchem, którym ludzie witają swych dobroczyńców. Jako pszczelarz, hodujesz owady w ulu; owadem jest również szarańcza zielona o barwie trawy, stanowiąca co najwyżej postrach dla rozpieszczonej panienki, tak samo, jak szerszeń, o którym mówią, że para ich wystarczy, ażeby człowieka uczynić niezdolnym do walki. I grube termity, co w krajach podzwrotnikowych wznoszą swe grody na wysokość 5 metrów, to również owady; i delikatna ważka, co jak duch błękitny towarzyszy ci w przejażdżce łódką po stawie, obramowanym kwiatami, to owad tak samo, jak i straszna filoksera, co zagraża butelce twej, umieszczonej troskliwie w cichym kąciku.

Wszystkie te owady bardzo podobne są do siebie pod względem budowy wewnętrznej, jakby na jedno stworzone kopyto. Atoli przyznać trzeba, że kopyto to prawie zupełnie odmienne jest od tego, według którego zbudowana jest twoja drogocenna osoba.

Człowiek jest t. zw. zwierzęciem kręgowem i przedstawia typ zupełnie inny, niż owad. Najmniejsze znaczenie ma tu wielkość: nietoperz, który tak samo jak człowiek, jest kręgowcem najczystszej wody, przeważnie nie jest większy od olbrzyma w rodzie motylim,

owego chińskiego przędnika atlasu, o barwie cynamonu, pokrewnego jedwabnikowi i mającego 23 centymetry długości. Gdyby wyobrazić sobie owad tej wielkości nawet co człowiek, to jednak odnaleźlibyśmy w nim zasadnicze rysy jego budowy.

Człowiek ma wewnątrz ciała swego mocne rusztowanie kostne, które podtrzymuje części miękkie, niby sztaluga drzewna w miękkiej figurze glinianej. Mięśnie przyczepiają się do zewnętrznych części kości. I wszędzie widzimy to samo: zarówno u nietoperza, jak u psa, kota, u koguta, spacerującego po podwórzu, u jaszczurki, łażącej po błocie ogrodowym, u karpia, pływającego w sadzawce. Wszystko to są na równi z człowiekiem kręgowce, nazwane tak od najważniejszej części owego wewnętrznego szkieletu, tj. od kręgosłupa.

Ale owad nie posiada nawet najmniejszego śladu takiego wewnętrznego szkieletu kostnego. Natomiast cała jego zwierzchnia powłoka skórna odznacza się specjalną jakąś trwałością, dla której trzeba było wyszukać wyrazu »szkielet zewnętrzny« lub »szkielet skórny«. Tam osadza się pewna niezniszczalna substancja, coś w rodzaju drzewa, mianowicie chityna; ten pancerz chitynowy wraz z powłoką skórną wdraża się nawet w głąb, w system rurkowy wewnątrz ciała owadu i nadaje całemu ciału znaczną moc, którą stwierdzić można i wtedy nawet, kiedy owa powłoka chitynowa nie wydaje się nam bezpośrednio »twardą« na dotyk.

Komar jest dla nas prawie wzorem nadzwyczajnej miękkości, a mimo to i on powleczonej jest takim szkieletem-skorą, dość mocnym względnie do małych rozmiarów samego owadu.

A dalej: człowiek posiada rdzeń kręgowy, który poza gardzielą bezpośrednio przechodzi w mózg. U owadu odpowiedni sznur rdzeniowy leży po stronie brzusznej, jest tu więc rdzeń brzuszny, zamiast kręgowego, rdzeń, który od przodu otacza, niby pętlica, otwór gardzieli i dopiero powyżej tworzy coś w rodzaju mózgu. U zwierzęcia kręgowego serce leży w piersi od przodu, kiedy natomiast u owadu widzimy prawidłowe serce po stronie przeciwnej. Jeżeli nadto zważymy, że my ludzie mamy tylko cztery kończyny (żaden ssak, ani ptak, ani gad nie posiada kończyn więcej), zaś owad zawsze ma kończyn sześć, a mianowicie 3 pary prawidłowych nóg, to będziemy musieli przyznać, że naogół pomiędzy człowiekiem a owadem istnieje różnica olbrzymia, różnica, która poprostu wyłącza myśl o tem, że człowiek mógłby kiedykolwiek powstać z owadu, chociażby ten był nawet tak mądry, jak mrówka (posiadająca olbrzymi mózg). Z mrówki powstać by mogła zawsze tylko »nadmrówka«, która posiadałaby może mózg tak subtelny, jak ludzki, ale skądinąd miałyby szkielet-powłokę, rdzeń brzuszny i serce od strony pleców; natomiast mała ze swym szkieletem wewnętrznym, rdzeniem kręgowym i sercem już zupełnie zbliżała się do człowieka i potrzebowała tylko jeszcze dzielniejszego mózgu, ażeby się stać w rzeczy samej człowiekiem.

Natomiast istnieje jaknajściślejszy związek pomiędzy owadami a innymi zupełnie grupami zwierzęcymi.

Siedzisz przy poważnej pracy — i nagle spoglądasz w górę: z sufitu twej pracowni spuszczają się ku tobie wesoło dwa zwierzątka. Spuszczają się po długich nitkach i nie troszczą się ani o Boga, ani o ludzi, zajęte

widocznie bardzo poważną pracą. Przez sekundę są razem, a oto znowu poruszają się osobno, niby dwa wahadła. Nagle jedno z nich, jak strzała, mknie ku górze, przyczem ma się to wrażenie, jakgdyby połykało ono własną nitkę i w ten sposób unosiło się z brzękiem pionowo ku sufitowi. Po pewnym czasie i drugie idzie w ślady towarzysza.

Mamy tu parę pajaków, uwikłanych w grę miłosną. Pajak nie jest owadem. Pozwala sobie mieć 8 nóg zamiast 6-ciu i pozatem pod innymi względami jest wybitnym indywidualistą. Ale jeżeli mierzyć go miarą kręgowca, to ze względu na jego rdzeń brzuszny, na serce, umieszczone na plecach, i na szkielet chitynowy, tak zupełnie przypomina typ owadowy, że trzeba go conajmniej pomieścić bardzo blisko owadów. To samo dotyczy zwierzęcia, które u nas jest nieszkodliwe, ale w krajach podzwrotnikowych dość często z natrętną uprzejmością spada z wysokości sufitu, wynoszącej więcej, niż ćwierć metra, prosto w jadło, spożywane przez podróżnika, a pozatem kąsa jeszcze trująco; mówimy o stonogu. Dalej, to samo powiedzieć można o skorpionie, dostatecznie chyba znanym, i wreszcie o jednym z największych humorystów pośród zwierząt — o raku.



ak należy do tych tworów, z którymi profan najmniej radzić sobie umie pod względem systematyki zoologicznej. — Uważa się go za coś samoistnego. I w rzeczy samej pod wielu względami jest on też tak samodzielny, że można byłoby nie mieć nic przeciwko temu, ażeby tę godność swą zachował. Atoli z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że i rak ma najważniejsze cechy wspólne z owadami, pająkiem, skorpionem i stonogiem. Jego wodny sposób życia, pozornie tylko wyłączający inne sposoby, traci swe znaczenie, skoro uprzymiemy sobie, że zwierzęta rakowate odnaleźć można nie tylko w źródłach, na skrajach ogrodów ludzkich, ale również poza beczkami i pakami w wilgotnych piwnicach. Kryje się tu stary, wierny przyjaciel domu, o niepozornej szarej barwie, nie przejawiający żadnej chęci zapoznawania się z człowiekiem przy świetle. Mowa tu o t. zw. ośliczce piwnicznej. Nie jest to ani nic lepszego, ani nic gorszego, niż rak-karzątek, co zabłąkał się na ład i z trudnością tu odycha; należy on do najdziwniejszych zwierząt w naszych domach, choć mało nań zwracamy uwagi. Nie trudno nam będzie ośliczkę piwniczną zaliczyć do zwierząt, zbliżonych do owadów albo przynajmniej do stonogów. To też popробować możemy to samo uczynić z rakiem, który nadto szczególnie wyraźnie wyświeśla pojęcie szkieletu-skóry u tych zwierząt: u raka powłoka chitynowa w samej rzeczy dzięki złogom węglanu wapnia nabrała takiej twardości »kostnej«, że u wielkich homarów potrzeba użyć toporka, ażeby dostać się do wewnętrznych części miękkich. Pozatem u tych samych właśnie homarów części

chitynowe sięgają aż do żołądka, powiedzieć by można, że te zwierzęta posiadają jeszcze szkielet w samym żołądku, dzięki czemu przełknięty pokarm podlega wewnątrz jeszcze raz rozgryzaniu, jakby przy pomocy zębów.

Ponieważ owady, pająki, skorpion, stonóg i rak wykazują między sobą tak dokładne podobieństwo w budowie, połączono je wszystkie w systematyce zwierzęcej w jeden ród czyli w jedno grono stawonogów, tak samo, jak pod ogólną nazwą kręgowców łączymy ssaki, ptaki, gady, minogi i ryby. Owady stanowią przytem najwyższą latorośl rodu, zaś raki — najniższą. Nie należy sobie jednak wyobrażać, że wszystkie główne grupy danego rodu szeregowały się historycznie jedna za drugą i w prostej linii jedna z drugiej się rozwijały. Naogół będziemy musieli bezsprzecznie uznać, że i stawonogi wyprowadzają się z robaków; owa gromada robaków-pierścienic, do której należy nasza dżdżownica i pijawka, i dziś nawet jeszcze stoi tak blisko stawonogów, że niektórzy badacze z dużą słuszością łączą je poprostu w jedną wspólną grupę główną zwierząt »członowatych«. Z takich robaków rozwinęły się może już w odległej przeszłości raki, a potem już niezależnie powstały stonogi, które też w postaci swej zewnętrznej wykazują stanowczo pewne cechy podobieństwa do robaków.

Bezpośrednia, bardzo pouczająca postać przejściowa od robaka do stonoga żyje jeszcze teraz w pasie podzwrotnikowym: jest to t. zw. *Peripatus*. Ze stonogów rozwinęły się prawdopodobnie, znowu jako równoległe wzajem gałęzie, skorpiony (niedźwiadki), pająki i właściwe owady.

To, co powiedzieliśmy dotąd, niechaj służy nam, jako nić Arjadny pośród labiryntu najdziwaczniejszych postaci zwierzęcych, jaki przejść musimy teraz na drodze naszych poszukiwań miłosnych.

Zaczynamy od dołu — od raka.

Przypuszczam, że znacie 4 gatunki raków i umiecie je odróżniać. A więc rak rzeczny, »rak« poprostu, ten czerwony bohater naszych biesiad od maja do sierpnia; dalej homar, który właściwie nie jest niczem innym, niż bardzo powiększonym rakiem rzeczonym morza; t. zw. krab, ów ładniutki, prawie przezroczysty elf rakowaty, który jednak smakoszowi dostarcza swym ogonem tak solidnego kąska, i wreszcie okrągły rak kieszonkowy, krab właściwy, który ożywia wszystkie wybrzeża morskie, jako zabawny djabełek, i stanowi przeważnie strawę ludową, zaś brak go w handlach delikatesów.

Cztery gatunki. Zgodnie z nauką jest ich mniej więcej 8 tysięcy. I wszystkie one uprawiają miłość lub też — jeżeli wymarły teraz — uprawiały ją niegdyś w zamierzchłej przeszłości w zapomnianych źródłach i zatokach morskich...

Zasadnicza melodia miłości raków, jak wogóle miłości wszystkich zwierząt członowatych aż do najwyżej uorganizowanych owadów, jest oczywiście ta sama, jaką spotykamy wszędzie prawie. Mamy tu miłość dwupłciową: samca i samicę. Samiec posiada jądro, gdzie wytwarza się męskie nasienie z komórkami nasiennymi, samica zaś — jajnik, gdzie tworzą się komórki jajowe. Przy zapłodnieniu nasienie styka się z jajeczkiem, a z zapłodnionego jajka powstaje nowe stworzenie. Ten ciągle powtarzający się szablon nuży poprostu; zdawało by się, że znudzić się może wreszcie ten

odwieczny motyw zasadniczy. Atoli przyroda wyczarowuje z tego prostego tematu wciąż nowe cuda świetlane. Ośm tysięcy gatunków! Gdyby można było zbadać w każdym z nich najbarwniejszą, najbajeczniejszą część życia — proces rozmnażania się, — otrzymałoby się nie tysiąc i jedną bajkę, a ośm tysięcy bajek, tak zajmujących, że żaden sułtan nie mógłby zasnąć, słuchając ich.

I jeszcze jedna bardzo ważna rzecz przybywa, coś co odtąd, w miarę tego, jak posuwamy się dalej, staje się już cechą ogólną wszystkich zwierząt i dotyczy nie tylko raka. Chodzi o to, że wzruszenia miłosne indywiduów, biorących udział w zapłodnieniu, nabierają większego ożywienia w sensie t. z. »duchowości«. Rak lub nawet mrówka — to istoty zupełnie inaczej reagujące na wzruszenia miłosne, niż pijawka lub jakiś tasiemiec. Byliśmy już świadkami przebudzenia się takich uczuć u mątwy. Miłość staje się teraz — jednym słowem, — coraz bardziej sprawą mózgową.

W życiu ludzkim powiada się wprawdzie, że mózg i szal miłosny wzajem się wyłączają, że miłość czyni człowieka głupim i jest w istocie upojeniem, pod którego wpływem słabną najlepsze zdolności ludzkie. — Ale te sentencje mają najwyżej wartość w stosunku do człowieka, w którym świadoma władza nad wszystkim i ślepy popęd naturalny od paru tysięcy lat zmagają się ze sobą niejako; a nawet i w stosunku do człowieka wszystko to właściwie ma znaczenie jednostronne i połowiczne.

Atoli w całym biegu rozwoju zwierzęcego mózgu i narządy płciowe znajdują się wzajem do siebie w zupełnie nierozzerwalnym i wysoce płodnym w następstwa

stosunku. Miłości właśnie potrzeba w pierwszym rzędzie mózgu, i naodwrot nie ma żadnej wątpliwości, że w miarę tego, jak życie płciowe u zwierząt, wraz z wszystkim, co tej strony życia dotyczy (opieka nad potomstwem i t. d.) staje się bardziej ożywionem, dzielniejszym i przenikliwszem, tem widoczniej kształtuje się »mózg«, jako jednolita instancja kierownicza dla wszystkich tych czynności—instancja najwyższa, która na najrozmaitsze zapotrzebowania zzewnątrz płynące za każdym razem reaguje możliwie najbardziej celowo.

Zwierzęta mózgowe są oraz zwierzętami miłości w sensie subtelniejszym; jestto twierdzenie niezbite.

A więc teraz, kiedy wznosimy się do sfer, gdzie mózg zaczyna rosnać w potęgę, oczekiwać wypada całej masy nowych, bardziej interesujących wzruszeń miłosnych.

Nie można znaleźć bardziej odpowiedniego i miłego przykładu dla zobrazowania życia miłosnego raków, niż stworzenie, które na wyżynie swego istnienia jest miłością samą. Przyznać trzeba, że dzieje się to w formie, która nie każdemu przypaść może do gustu.

Mówimy o raku korzeniowym.

Należy on do tych zwierząt, które trudno tak prosto opisać; trzeba się weń poniekąd »wmyśleć«.

A więc wyobraźmy sobie nasamprzód coś w rodzaju czerwonej kiełbaski frankfurckiej bez członków i kończyn, opatrzonej tylko dziurą. Wewnątrz niema ani jelit, ani serca, są tylko jajniki; dziura wydaje się żeńskim otworem płciowym.

Ta komiczna kiełbaska płciowa nie pływa bynajmniej sama po morzu. Ażeby ją upolować, należy nasamprzód zorganizować połów pewnych raczków najpospolitszych, np. zwykłych krabów nadbrzeżnych, u północnego morza. U spodu tego lub innego kraba zauważyć wtedy można naszą czerwoną kiełbaskę-straszdyło, uczepioną u krótkiego, pod brzuch zawiniętego ogonka (to, co zazwyczaj zwie się ogonem, jest właściwie odwłokiem raka). Wygląda to tak, jakgdyby z ciała kraba wyrastał jakiś specjalny narząd płciowy żeński. Atoli w rzeczy samej krab posiada swój własny narząd płciowy w głębi swego ciała, a mianowicie jeden jedyny, męski lub żeński, zgodnie z obowiązującym tu porządkiem. Kiełbaska zewnętrzna jest stanowczo czemś obcem.

Przyglądamy się, jak ona mocno uczepiła się kraba i oto nastaje chwila pod każdym względem obrzydliwa.

Z jednego boku kiełbasy wdraża się w ciało kraba, splot jakiś, z wyglądu zupełnie podobny do korzenia roślinnego. Korzeń wplata się głęboko w ciemnie brzucha krabowego, docierając aż do jelit i wątroby, i ssie soki kraba zupełnie tak samo, jak to widzieliśmy u tasiemca. Wprawdzie przez to oczywiście odżywianie kraba samego cierpi; ale, jak się zdaje, ten korzeń niebezpieczny, który niby dziób orła prometeuszowego tkwi w wątrobie kraba, nie zagraża poważnie jego życiu, tak samo, jak nie zagraża życiu większości ludzi ich olbrzymi współbiednik-soliter.

Kiełbaska wraz z owym splotem żarłocznym: wszystko to razem tworzy raka korzeniowego.

Jest to więc rak, zupełnie taki sam, jak krab; tylko że pierwszy wiezie na drugim żywot pasożytniczy. Dla porównania wyobraźmy sobie człowieka, w którego

brzuch wgrzył się mocno zębami drugi mały człowieczek. Wyżarł dziurę w dużym brzuchu ludzkim i owinał się wokoło jelit olbrzymim językiem, którym żłapie ożywczą krew amfitryjona. Ani własnego żołądka, ani jelit, wogóle jakichkolwiek własnych narządów dla odżywiania nie potrzebuje ów człowieczek - pasożyt i nie posiada też ich w rzeczy samej. We własnym workowatym ciele ma tylko własny narząd płciowy.

W powyższym obrazie porównawczym wspomniałem o »języku«. W rzeczywistości okropny splot, wpuuszczony przez sakkulinę (nazwa łacińska naszego raka) w biednego kraba nadmorskiego, niby rura, która nie-strudzenie w ciągu całego życia wciąga pożywienie, stanowi wprowadzie kanał odżywczy sakkuliny, nie zaś język właściwy. Szlachetne to stworzenie tak samo, jak nie ma właściwego żołądka, nie ma również i prawidłowego otworu ust, ani też języka. Ażeby zrozumieć, jak ów korzeń żarłoczny powstaje, należy przyjrzeć się, do jakiej szczuplejszej kategorii raków zaliczyć wypada raka z korzeniem, a wtedy wyjaśnia się również, dlaczego można go wogóle uważać za rzeczywistego raka w tych jego stadyach, kiedy podobny jest do kiełbaski i kiedy posiada już korzeń.

Rak z korzeniem należy do tej grupy rakowatych, które oznacza się mianem wąsonogów.

W młodości swej niełatwo dają się one odróżnić od innych młodocianych raczków. Pływają one wesoło po otwartym morzu. Poznać wprowadzie po nich, że nie są jeszcze dojrzałe, że są jeszcze czemś w rodzaju poczwarki; ale wszystko w tej poczwarcie przemawia za tem, że rozwinie się z niej prawdziwy rak. Aliści pewnego dnia staje się z nimi coś niezwykłego.

Młody, dotąd tak ożywiony rak-wąsonóg wyszukuje sobie odpowiednie miejsce, momentalnie staje na głowie i ze specjalnego gruczołu, umieszczonego na mackach u głowy, t. zw. gruczołu cementowego, wypuszcza mocny kit; przy pomocy tego kitu przylepia się w literalnym znaczeniu do podłoża głową na dół, ażeby już odtąd stale pozostać na raz obranem miejscu, na podobieństwo rośliny. Po większej części podłoże to stanowi kawał drzewa lub koral, albo też poprostu, nie krępując się, obiera sobie taki raczek miejsce stałego zamieszkania na grubej skórze żywego wieloryba. W wielu wypadkach miejsce, gdzie wydziela się kit, wydaje się wydłużonem w postaci łodygi, powstaje tedy coś w rodzaju grubego pączka kwiatowego, z którego szpary (stanowiącej w istocie szparę w otoczce stojącego na głowie i tak przyklejonego raczka) wyłazi cały pęk nówek rakowych, powyginanych na podobieństwo wąsów, niby w rozkwitającym kwiecie wystające nazewnątrz pylniki.

Było to niezgorszą łamigłówką — wykryć w tym umocowanym wąsonogu raka.

Zdawna znano cały ten twór w jego stadium końcowem, ale nawet nie przypuszczano, czem on jest właściwie. W naiwnej ludowej zoologii powstał, Bóg raczy wiedzieć, skąd, i tkwi dotąd uporczywie pogląd, że owe mistyczne pączki z czerwoną szypułą i niebieską koroną, zwieszające się w grubych wiązankach na deskach rozbitych przez burzę okrętów, — to jakieś jaja ptasie tajemniczego gatunku, z których dzięki samoródtwu powstają gęsi z obwódka na szyi. Wydaje się, jakby te dziwaczne zwierzęta do worka swego schowały i rozum ludzki. Atoli trzeźwe badania wykryły

w nich wreszcie raka, i tylko nazwa »muszla kacza« zachowała dawny, mistyczny charakter.

I nasz rak z korzeniem stanowi tylko poszczególny wypadek tego żywota wąsonogów z opuszczoną na dół głową. I on pływa sobie po otwartem morzu, jako prawidłowa poczwarka raka, z której równie dobrze rozwinąć by się mógł maluchny raczek morski. Ale pewnego dnia nastaje i dla niego chwila krytyczna — staje na głowie. Tylko zamiast deski okrętowej lub grubej skóry starego wieloryba, nie ustępującej nazbyt drzewu co do twardości, szuka sobie nasz rak z korzeniem bliższego krewniaka: kraba. Nietylko o przyrośnięcie mu chodzi. Zamiast przylepić się przy pomocy cementu, włazi krabowi — a wybiera sobie stale jeszcze bardzo młodego — pod ogon i wstępuje z nim w najściślejszy, okropności pełen, związek.

Pograża mianowicie we wnętrze kraba coś w rodzaju pustej szypuły i przez tę szypułę sam później niejako wślizguje się do wnętrza, wydobywszy się ze swej dotychczasowej otoczki.

Wyobraźcie sobie człowieka, który splata się z kimś drugim serdecznym pocałunkiem, — a potem sam wyłazi ze skóry i jednym susem wszystek wślizguje się w usta tego drugiego i tam znika. Nie tak łatwo sobie to wyobrazić, nieprawdaż? Proszę przynajmniej o dobre chęci w tym kierunku.

Dotarłszy do wnętrza nasz mały złośliwy korzeniowiec wytwarza ów grozą przejmujący splot, o którym mówiliśmy już poprzednio: poprostu »opajęcza« jelita swego mimowolnego gospodarza i tam jaknajlepiej się najada. Dwa lata prawie trwa takie życie wewnętrzne. Właściwych narządów mu do tego niepotrzeba.

Krab zdobywa sobie pożywienie, żre, trawi i w ten sposób z trudem wytwarza w sobie soki odżywcze, które niejako przelewa w swego gościa. Krab poluje, żre i trawi i za niego już. I tylko jedna jedyna pozostaje mu czynność samodzielna: kochanie.

To nie odbywa się wewnątrz kraba. Wprawdzie nasz raczek posiada narządy płciowe, — nawet zrazu ma zalążki dla obu rodzajów: męskiego i żeńskiego. Atoli znacie przecież stare, niewzruszone prawo, które głosi: »niema samozapłodniania«. I w rzeczy samej: narząd męski zanika w nim jeszcze na długo przed okresem jakiegokolwiek możliwości korzystania z tego narządu, a w rozkwicie ery miłosnej czuje on w sobie wyłącznie przynależność do rodu żeńskiego.

Cóż czynić? Pcha się teraz znowu wtył i wysuwa większą część swego bezkształtnego ciała z wnętrza kraba. Wewnątrz pozostaje tylko owo ssące przedziwo korzeniaste; a z zewnątrz ukazuje się teraz owa zabawna czerwona kiełbaska frankfurcka. Ona przechowuje w swoim wnętrzu jego jajniki, i w niej znajduje się żeński otwór płciowy.

Ale oto następuje się nowe pytanie. Skąd wziąć samca? Dotychczas rozmyślnie nie mówiliśmy nic o samcu raka-korzeniowca...

Jeżeli wyobrazić sobie go również przyczepionym do odwłoku jakiegoś kraba, to kwestya staje się rzeczywiście bardzo poważną: jak też teraz jeden pasożyt ma zetknąć się z drugim, ażeby dokonało się zapłodnienie. Tak, musiałyby nasamprzód do aktu płciowego przystąpić dwa kraby, i podczas tego kiedyby oba duże, ruchome stworzenia dokonywały aktu miłosnego, musiałyby również uczynić to samo owe małe, uczone

odtyłu stworzonka. Dobrze pomyślany sposób. Ale na przeszkodzie staje nowe nieszczęście. Krab, obarczony rakiem-korzeniowym, nie ginie wprawdzie, jakieśmy to już zaznaczyli, ale jednak jego chęć do życia, oraz siła życiowa zostaje w tym stopniu upośledzoną, że bynajmniej nie zwykł on uprawiać zagonu miłości. I sytuacja byłaby ostatecznie rozpacзлиwa, gdyby właśnie nie ratowała jej ogólna dziwaczność tych wąsonogów, z której, jako logiczny wniosek poszczególny wypłynąć może ów ratunek.

Wąsonogi wraz ze swym najbardziej leniwym bratem, rakiem-korzeniowcem, stanowią bajeczną jakąś rzeszę, która nie nadarmo przez najlepszą część życia swego ma głowę, zwróconą ku dołowi. A ich życie miłosne jest w nich najbardziej podziwu godnem. Trudno byłoby temu dać wiarę, gdyby podstawy naszych wiadomości w tym względzie nie dał stary Darwin, tak nieskończenie ostrożny spostrzegacz.

Naogół wąsonogi są obojniakami, jak to również przynajmniej w zarodku widać i u korzeniowca. Pomyśleć by można, że u tych zwierząt, przyrośniętych na podobieństwo dojrzałych osobników w rodzaju muszelkaczek, proces zapłodnienia odbywa się, jak u ostryg: plenniki i jaja wydostają się naprzemian i odszukują się wzajem w wodzie, albo pod rozwartą muszlą. Ale najwidoczniej ta metoda nie była wystarczającą. Zapoznawania doboru naturalnego przez samo-zapłodnienie należało oczywiście również unikać, o ile się dało. I oto ukształtował się następujący przepyszny wzór erotyczny.

W całym szeregu wąsonogich raków istnieją obok podwójno-płciowych obojniaków jeszcze specyjalni samce, którzy wytwarzają wyłącznie nasienie. Samcy (po-

dobnie jak u owej sławetnej Bonellii) są maleńkie, tak maleńkie w stosunku do obojniaków, że mogą się na nich ulokować, jako pasożyty, niby coś w rodzaju wszy rybich. »Siedzą na obojniakach«, wyraża się o tem obrazowo przyrodnik. Co dotyczy budowy, to często składają się one prawie wyłącznie z samodzielnie żyjącego narządu płciowego męskiego: są to męskie istoty erotyczne w najśmielszym znaczeniu tego wyrazu. Niekiedy na dużym osobniku-obojniaku sadowi się nie jeden tylko, ale dwa i więcej takich karzełków, w trosce serdecznej o to, ażeby tego starszego brata uchronić od niebezpieczeństw kazirodztwa, które dojść może wreszcie do wyłącznego samogwałtu.

Zachowanie się tego brata-obojniaka, który jednocześnie jest gospodarzem, tragarzem i towarzyszem pod względem płciowym swych usługnych małżonków, jest rozmaite u różnych gatunków. Albo wytwarza on w dalszym ciągu jaja i plemniki i poprostu zezwala tylko na to, ażeby samce przez otwór w twardej pokrywie jego ciała przysparzali jeszcze samodzielnie trochę obcego nasienia męskiego i w ten sposób zmniejszali przynajmniej w znacznym stopniu niebezpieczeństwo kazirodztwa: w tym wypadku samce noszą nazwę »samców dodatkowych, kompletujących«. Albo też zdaje sobie sprawę z tego, co mu przez otwór w dachu jego domostwa wspaniałomyślnie bywa dostarczanem, i wtedy do połowy zmniejsza swoją produkcję, przynajmniej co dotyczy nasienia.

Wszystkie jaja jego korzystają teraz z zapłodnienia przez obcych karzełków. A że beczynny narząd na-

sienny dużego obojniaka wkrótce zupełnie zanika, to pierwotny obojniak właściwie staje się rzeczywistą samicą: olbrzymią samicą, z głową wdół opuszczoną, samicą, którą, jak wszy, obsiedli wielbiciele.

Zupełnie tak samo sprawa ma się również i u żeńskiego raka-korzeniowca.

U wejścia do wnętrza jego ciała, mającego kształt czerwonej kiełbaski frankfurckiej, lokuje się 3 — 6 karzełków-samców i zapładnia mu jaja pod koniec drugiego roku jego interesującego i pracowitego żywota.

Z tych jaj — i tu rozpoczyna się jeszcze jedna osobliwość — nasamprzód rozwija się pokolenie młodych, które wyłącznie wyrasta na prawdziwych żeńskich raków-korzeniowców. Na wiosnę i lato roku następnego jeszcze kilka razy składane bywają jaja, o których niewiadomo napewno, czy wogóle są zapłodnione, czy nie.

A z tych późniejszych jaj rozwijają się teraz wyłącznie owi karzełkowie-samcy, nie osadzeni na jednym miejscu... jestto tajemnicza zmiana, której przyczyny do dziś jeszcze nie są wyjaśnione. W tym względzie pozostawimy jeszcze niektóre uwagi poniżej, kiedy będzie mowa o pszczołach.

Dopiero na zimę w czwartym roku życia swego obumiera wreszcie z powodu starczej słabości matka-korzeniówka i spada ze swego kraba w wielki grób-morze.

Miły szmat życia zwierzęcego, nieprawdaż?



owy obraz... Po tragedyi, rozgrywającej się we wnętrzu kraba, mamy oto teraz komedię wewnętrzną, bardziej niewinną, ale niemniej romantyczną, o której opowiemy obszerniej; bowiem posłużyć może, jako przykład, w jakie awanturnicze perypetye zawikłać się może akt rozrodczy, choć pozornie, zdawałoby się, przebiega zupełnie prosto.

Dorosły rak-korzeniowiec złączony jest, jak to widzieliśmy, z krabem pod postacią czerwonej kiełbasy i wżerającego się korzeniowego splotu i otoczony rojem drobniutek samców-dodatkowych. Ale teraz w tę kiełbasę znowu wpija się często jeszcze trzeci rak.

I to jest pasożyt. I on wżera się jakby gąbką (tym razem jest to prawdziwa głowa) w raka-korzeniowca i znowu wysysa z niego tę krew odżywczą, której ten pozbawił kraba zdradnie. I w nim zanikają wszystkie narządy; wisi on na zewnętrznej powierzchni raka-korzeniowca, niby na jednej kiełbasce druga mniejsza, również nie posiadająca wewnątrz nic prócz jajników.

A na nim znów siedzi wreszcie jego własny samiec-dodatkowy, mający widoczną jeszcze postać raka.

Czy nie wydaje wam się, że macie przed sobą piramidę zwierzęcą, w której rodziny i pokolenia ugrupowane są jedne nad drugimi w trzy i więcej kondygnacyj, jak ludzkie mieszkania w wielkomiejskiej kamienicy — koszarach.

Ten pasożyt trzeciego rzędu, o którym teraz mówimy, sam nie należy już jednak więcej do raków-wąsonogów, ale do grupy owych dziwnych raków-stonogów, o których była już mowa powyżej i do których należy nasz poczciwy stonóg.

O nim, jeżeli pozwolicie, pomówię tu obszerniej.

Stonóg, ów »rak lądowy«, jak powinna by brzmieć jego nazwa racjonalna, nie pozwala sobie samemu na żadne wybryki erotyczne w sensie obojactwa i uzupełniających kadrów samczych, jak to widzieliśmy u wąsonogów.

Pozostaje on wytrwale przy starej zasadzie: samiec-samica: prawidłowe zapłodnienie. Atoli w tym filisterskim, że tak powiemy, zakresie swoim ma to dziwaczne stworzenie swoje wysoce konsekwentnie uwydatnione cechy swoiste.

Stonóg, jako rak, oddycha jeszcze przeważnie przy pomocy skrzel, jak prawdziwy mieszkaniec morza, i życie jego na lądzie nie o wiele różni się od tego, jakie wiedzie ryba, rzucona gdzieś w miejsce suche. Przy pomocy swego narządu oddechowego gromadzi on sobie z olbrzymim trudem i męką potrzebny do oddychania tlen, — i udaje mu się to zupełnie tylko w wilgotnych, oparami przesiąkniętych miejscach, jak np. w głębokiej piwnicy. Tam jest on w swym żywiole i tam też spotykają się samiec i samica.

Akt weselny po największej części odbywa się w kwietniu i maju. Nasienie męskie bywa zupełnie prawidłowo przenoszone na samicę; na stronie brzusznej piątego pierścienia piersiowego znajduje się najodpowiedniejsze po temu miejsce, a mianowicie nawet dwa otwory płciowe zamiast jednego. Dotąd nie byłoby w tem wszystkim nic uwagi godnego. Ale gdyby stonóg mógł przejąć ostrem spojrzeniem wewnątrz swej małżonki, to zapewne po dokonanej akcji opadły by go pewne wątpliwości, ażali cały jego trud miłosny nie poszedł na marne.

Bowiem wspomniane otwory u samicy stonoga nie wiodą wcale do właściwego narządu płciowego, do jajowodu, któredy zstępować mają jaja z jajnika. Są to poprostu ślepe pochwy, zarośnięte u góry, jakby błoną dziewiczą, nierozzerwalną nawet podczas aktu płciowego.

Właściwego stonoga nic to nie obchodzi; załatwia on swoją sprawę bez skrpułów anatomicznych. Ale stonóg-samica spokojnie wyczekuje wydarzeń, które tu nastąpić mają.

Plemniki poruszają się w ciągu kilku dni w pustych wnękach ciała, jak więźniowie przed zaryglowanymi drzwiami. Aż nagle pęka ścianka tylna więzienia, i całe dziedzictwo męskie wlewa się we wnętrze brzucha o jedną kondygnację dalej, tym razem już tam, gdzie należy: t. j. do jajowodu. Teraz już oczywistym jest kierunek drogi do jajnika, gdzie jajka czekają na zapłodnienie.

Dzielnie prą plemniki ku górze, — ale — o zgrozo: — jajnik od jajowodu zamknięty jest nowymi drzwiami. Wszystko znowu zakorkowuje się — i nowe oczekiwanie!

I znowu po pewnym czasie i ta zaporą się rozwiera. I teraz wreszcie nastaje akt właściwy, przynajmniej dla jajek, które właśnie są już doń zupełnie przygotowane. Nieco później zapłodnione już jajka tłoczą się ku dołowi: zdawałoby się, że przez szparę, którą wytworzyło sobie nasienie, zstępują one poprostu z powrotem do pochwy i w ten sposób, drogą odwrotną do przebytej przez nasienie, na światło dzienne wychodzą.

Atoli — o nowa zgrozo — cała matka-stonóg tymczasem zmieniła powłokę skórną, a w nowej powłoce nie ma już otworów pochwowych.

Tam, gdzie były one rozwarte dla samca, teraz jest twarda ścianka brzuszna bez najwęższego chociażby przejścia. W innym miejscu, pomiędzy piątym a szóstym pierścieniem piersiowym, jest wprawdzie teraz nowy otwór, którego pierwiej nie było, otwór, jakby stworzony specjalnie w tym celu, ażeby przezeń wychodziły dojrzałe jaja. Ale jak dostać się teraz do niego z zamkniętego od dołu workowatego przejścia?

Znów nastąpić musi akt gwałtu: jeżeli przedtem pochwa pękła w kierunku wewnętrznym, to teraz ścianka jajowodu pęka jeszcze bardziej ku wnętrzu; pęka ona w stronę jamy brzusznej samicy, i tam wpada jajo za jajem. U człowieka byłby to szczyt zgrozy, ażeby macica pękła, i płód miał przedostać się do wnętrza brzucha, gdzie znajdują się jelita. Ale naszemu stonogowi najwidoczniej nic a nic to nie przeszkadza.

Ma ona teraz swoje jaja tam, gdzie jej potrzeba. Bowiem właśnie w tę jamę brzuszną prowadzi ów świeżo powstały zewnętrzny otwór płciowy, i z chwilą kiedy jaja przedostają się do jamy brzusznej, wydzielą się one tędy na zewnątrz. Wprawdzie nie wychodzą one jeszcze zupełnie na wolność: na pięciu pierwszych parach nóg samicy powstały tymczasem w liczbie pięciu t. zw. płytki załączkowe, razem tworzące zewnętrzny uchyłek, w którym teraz dopiero jaja wygodnie dojrzewać mogą. Stonóg w samej rzeczy stał się czemś w rodzaju kangura: ma on woreczek, w którym włóczy ze sobą jaja, dopóki młode nie dojrzeją do tego stopnia, ażeby mogły wyleźć. Po krótkiej chwili już to następuje. Rój pełnych nadziei latorośli stonożnych opuszcza kołyskę matczyną i na własną rękę rozpoczyna życie w wielkim kosmosie stonogów.

A kołyska nie opróżnia się jeszcze zupełnie. W jajniku tymczasem rozwinęły się nowe jaja. Część plemników, »jako rezerwa«, pozostała jeszcze w jajniku i zapładnia nowy przychówek. Po raz wtóry zdolne do rozwoju jaja wpadają w otwartą jamę brzuszną matki i przez otwór rodny zaraz dostają się do próżnej kołyski, gdzie dają życie nowemu pokoleniu stonogów. A kiedy i te już poszły w szeroki świat, samica czuje się wolną od wszelkich obowiązków, raz jeszcze linieje na czysto i wpada wtedy w sen zimowy.

A oto teraz pora na nagrodę za sumienne spełnienie obowiązku. Z wiosną, która wprawdzie piwnicy nie oświetla, ale zapewne w jakikolwiek sposób i tam znać o sobie daje, wstaje ze snu ten sam stonóg, co dwukrotnie był żoną, matką i kanguru rodzinnym, wstaje znów, jako niepokalana dziewica.

Podczas owego ostatniego jesiennego linienia spadła znów kołyska dziecięca, otwór rodny, jak i otwór jajowodowy znowu zarosły, odnowa natomiast rozwarły się pierwotne pochwy brzuszne: nowa narzeczona czeka nowego stonoga — samca.



domu rodzica mego, nad pięknym Renem, stała na starej zakurzonej półce od książek, w nawpół zapomnianym kąciku, stara poźółkła czaszka ludzka.

Znaleziono ją przed laty w pobliżu rzymskich terakot i przyjmowano na dobrą wiarę, jako czaszkę rzymską. Całe pokolenia wesołych pokojówek bały się ją zdejmować do okurzenia. I dzięki temu stała się ona królestwem dla równie długiego szeregu pokoleń szarych ośmionogich zwierzątek, które wylazły w tyle z poza węgla ciemnego i w niej gniazda swe zbudowały. Ponad starymi, ponurymi oczodołami budowały nowe, delikatne, mięciutkie powieki, a po za nimi miały swe łoże weselne i swą kołyskę.

Kiedy myślę o pająkach, znów widzę przed sobą ową wesołą karczmę pajęczą pod godłem »czaszka trupia«.

Jestem dzieckiem i nic nie wiem jeszcze o miłości, ani o ludzkiej, ani pajęczej. Tylko czaszka wydaje mi się prastarą, a małe ośmionogie zwierzątka, rojące się po za ich szaremi, o barwie pyłu, jedwabnemi chorągiewkami, wydają mi się młodziutkimi chochlikami, których nic nie obchodzi starość czcigodna.

Dziś zaprzętałbym się innemi kwestyami. Myślałbym o tem, ażali człowiek, do którego ta czaszka należała, również już przed tysiącem ośmiuset latami kochał istotnie, czy kochał, jak człowiek, jak człowiek kulturny. Pająk atoli ma twarz prawdziwie starczą, jego miłość jest szarą i jak lód chłodną, niby z innej zupełnie planety. Jest w tem jakieś prastare, nierozwiązane zawikłanie.

W życiu miłosnem pająka, które wraz z nim samym sięga może aż okresu węgla kamiennego, tkwi

nierozwiązany jeszcze dotąd problemat, który właściwie sięga dna wszelkiej miłości; problemat różnicy pomiędzy odżywianiem się i miłością.

Przypomnijmy sobie, co niedawno słyszeliśmy, — przypomnijmy sobie historię o karłach. Pamiętacie, jak miłość wogóle się poczęła. Odżywianie się było koniecznością już dla komórek pierwotnych. Kompensowało ono w komórce wieczne spotrzebowywanie, umożliwiało materji przemianę, przy której ciało pozostawało jednakim. Pozatem umożliwiało również prócz zwyczajnej kompensaty i pozytywny wzrost: ciało rosło. A ten wzrost znów prowadził do rozpadania się jednego indywiduum na dwa, — prowadził do najprostszej postaci rozmnażania się.

W tym sensie pojmować należy zdanie, że odżywianie się stanowi pierwszy warunek miłości, — że nie jest jej przeciwieństwem, owszem czystą przesłanką logiczną.

Ale potem nastąpiła miłość płciowa, miłość, w której jedno życie stapia się z drugim, jedna komórka z drugą, komórka jajowa z plemnikiem. Z tej spójni wziął początek wzrost intensywniejszy, i w ten sposób stała się owa miłość płciowa istotnie jakimś wyższem poniekąd odżywianiem się.

Wyższem odżywianiem się, ale ze specjalną wybitną różnicą. Przy zwykłym odżywianiu się wchłaniało w siebie stworzenie bezsprzecznie »martwy« pokarm. Bądź to wchłaniało i przetwarzało substancje poprostu nieorganiczne, mineralne, na wzór dawnych roślin, bądź

też, zgodnie z metodą zwierzęcą, niszczyło życie w danym już żywym materiale roślinnym i wchłaniało go. W każdym razie i tu ustrój posiadał dość siły, ażeby znów samodzielnie przetwarzać na żywą materię budowlaną nagromadzony materiał martwy.

Ale to znów nie było niczem innym, jak wtórnym, samodzielnym stwarzaniem życia nanowo, stwarzaniem, które ściślej wiązało się znów z tajemnicą przemiany materii i wzrostu. Fakt zasadniczy pozostawał ten sam: »martwe« w znaczeniu popularnym służyło, jako materiał odżywczy.

Natomiast w życiu płciowym jedno życie bez reszty stapiało się z drugim, jedno życie pożerało drugie, jako takie, jeżeli wolno mi użyć tego wyrazu (przy którym pragnąłbym pozostać przynajmniej dla obrazowości). Albo też jedno życie dawało się przez drugie pożerać, co w danym wypadku na jedno wychodzi: ani jedna, ani druga strona nie była przytem zniszczona, ale obie stapiały się ze sobą dla bardziej intensywnego życia.

Oto i tutaj, jak widzimy, jest pewien łańcuch logiczny, zaś jednocześnie spoczywa tu jądro pewnego przeciwieństwa. A teraz wyobraź sobie te rzeczy, sięgając myślą wzwyż po drabinie zwierzęcej: tu przeciwieństwo to musiało się zaraz uwydatnić w sposób wybitny.

Roślina odżywiała się naogół tylko minerałami, natomiast dla »pożywienia miłosnego« używała żywej materii, zawartej w komórce rośliny pokrewnego gatunku. W obu materjach istniała tu wprawdzie różnica, ale nie było jeszcze możliwości konfliktu. Ale oto nastaje chwila w królestwie zwierzęcem, kiedy w życie wcho-

dzi owa odmienna metoda zwykłego odżywiania się: zwierzęciu nawet w prostym pożywieniu potrzeba już substancji komórkowej (pomijam tu oddychanie, a myślę teraz tylko o żołądku!). Wprawdzie substancja ta może nie być żywą, ale jednak niedawno dopiero życia pozbawioną. Kiedy są rośliny, wtedy droga jest najprostsza, bowiem zwierzę spożywa właśnie materiał roślinny: ssie go, zrywa, rozgryza i trawi rośliny, jako zwykłe pożywienie — i staje się zwierzęciem roślinożernem.

I teraz jeszcze zrazu niema wciąż konfliktu z miłością, chociaż różnica w stosunku do metody odżywiania się, uprawianego przez rośliny, jest już sama przez się olbrzymią.

Zwierzę dla celów zwykłego odżywiania się żre rośliny, przywykając powoli do gwałcenia ich własnego życia. Natomiast w celach miłosnych »pożera« ono pokrewną sobie żywą materię zwierzęcą, która jednak nie może być zniszczoną; owszem następuje tu zupełnie pokojowe zespolenie, przyczem obie strony pozostają przy życiu. Widzicie oto tutaj, że kontrast jest już olbrzymi, ale niema jeszcze konfliktu!

Konflikt występuje dopiero w chwili następnej.

Niezliczone mnóstwo zwierząt przywyka powoli brać również owe organiczne, ale martwe »pożywienie zwykłe« już nie od roślin, a od zwierząt samych. Zwierzęta nietylko miłość uprawiają z innymi zwierzętami, ale, czując zwykły głód, chwytają zaczynają również zwierzęta, niszczą je przez rozgryzanie lub w jakikolwiek inny sposób i pożerają, jako zwykły, odpowiadający celowi swemu materiał odżywczy. I oto mamy przeciwstawione sobie dwa fakty: zwierzę szuka zwie-

rzęcia, ażeby w żywym połączyć się z nim uścisku dla harmonii najwyższej, z absolutnem poszanowaniem cudzego życia. A z drugiej strony zwierzę szuka zwierzęcia, ażeby wchłonąć je w siebie jako materię, organiczną wprawdzie, ale taką jednak, którą naprzód należy uśmiercić: tu panuje absolutna dysharmonia i następuje zniszczenie cudzego życia.

Aliści królestwo zwierzęce nie znikło, owszem rozwinęło się wzwyż aż do przepychu, którego wyobrazicielem jest duch ludzki. Jestto dostatecznym dowodem, że ów konflikt nie mógł być dla królestwa tego istotną przepaścią. Powstały mianowicie, ogółem biorąc, pewne koniunktury pomocnicze, podobnie do tego, jak to miało miejsce w owym niebezpiecznym konflikcie, wynikającym z nieprzestrzegania prawa doboru, o czem mówiliśmy powyżej.

Im wyraźniej wyodrębniały się zwierzęta w oddzielne gatunki, tem silniej utrwalalo się w sprawach miłosnych owo podrzędne prawo, głoszące, że dla »żeru miłosnego«, t. j. dla związków płciowych unikać wprawdzie należy rodzeństwa, a szukać »obcych« — ale ci obcy muszą jednak zawsze należeć do tego samego gatunku zwierzęcego; żaba nie może miłować muchy, ani rozgwiadza morska ostrygi! Tu nastęczał się pewien sposób rozwiązania kwestyi. Miłować się mogą wzajem tylko ostryga z ostrygą, rozgwiadza z rozgwiadzą, mucha z muchą, żaba z żabą.

Natomiast rozgwiadza może bez przeszkód pożerać w zwykłym znaczeniu tego wyrazu ostrygę, jakoteż żaba muchę. A więc niechaj istnieje prawo: nigdy żaba niech nie pożera żaby, ani rozgwiadza rozgwiadzy, ażeby nie powstał konflikt pomiędzy odżywianiem się

a miłością. Natomiast może rozgwiada spokojnie spożyć ostrygę, a żaba muchę. Innemi słowy: przedstawiciele jednego gatunku ograniczają swój stosunek wyłącznie do pięknej harmonijnej postaci pożerania się miłosnego, ale co dotyczy przedstawicieli odmiennych gatunków, to wśród nich niechaj panuje zwykle niszczące pożeranie się wzajemne—wszak tu nie może ono wpaść w konflikt z miłością, bowiem i tak jej prawa tutaj nie obowiązują.

Ale pamiętać należy, że i takie prawa nie spadają pewnego pięknego dnia z nieba. Musiało się to dopiero skryształizować pośród tysiącznych przeszkód, zrazu często chwiejnie, niedostatecznie. Powiedzieć można po prostu, z pewnem zastrzeżeniem wprawdzie, że »prawo« to istniało tylko dla całego szeregu grup zwierzęcych mniej lub więcej teoretycznie: przynajmniej połowa faktów konkretnych stanowiła »wyjątek, który potwierdza regułę«. Jeszcze dziś istnieją zwierzęta, które niejako w nawyknieniach swoich skamieniały na rubieży i stanęły w rozwoju. Niema nic bardziej dziwaczego, jak takie pod względem nawyknień swych twory kopalniane.

Zamiast starych kości znajdujemy w skale twory żywe, snujące w dalszym ciągu starannie nić żywota swego. A mimo to w tem życiu, w tym określonym, wytrwale przechowywanym sposobie życia, przebłyskuje twarz Ahaswera, która patrzy dopiero w głębię stawania się wszechrzeczy. Wydaje się, jakoby wybudowany został most. Przy pierwszym ruchu motyką był obecny człowiek, którego ktoś zahypnotyzował. Dziś stoi most w całym blasku swym, jako budowla skończona. A u dołu przy słupie wciąż jeszcze stoi ów człowiek i pcha rydel w ziemię, i wiecznie odnowa pierwszy wykonywa ruch...

Pająk — to taki zahypnotyzowany pan.

Dziś jeszcze nie rozumiał dobrze, że nie należy na przedmiot miłości swej, z którego życiem złąć się powinien dla nieśmiertelności gatunku pośród najidealniejszej uczyty miłosnej, rzucać jednocześnie lubieżne spojrzenia, jako na tłusty kąsek, przeznaczony dla powszedniego profana-żołądka.



rzędź, córuchno, nie próżnij, jutro przyjdzie luby twój».

Dziwaczna, zaiste, córeczka, i dość niebezpieczne zaloty!

To samica i samiec — pająki z rodu krzyżaków.

Samiec słusznie wymieniony jest tu na drugim miejscu, bowiem jest o wiele mniejszy od samicy, prawie o dwie trzecie...

Piękny poranek wrześnieiowy... W ogrodzie dojrzałe, rozśonecznione kwiaty prężą ramiona swoje złote ku jasnemu błękitowi jesieni. Płoną astry pośród trawy, jak gwiazdy podwójne, czerwone i błękitne. Ponad starym, spróchniałym płotem zielonym stoi pełen powagi las sosnowy, korony drzew spowite w szary dym — jakaś w mrok przeszłości zapadająca bajka. Na płocie gdzieś wielka siatka. Od wielu miesięcy snują tu swe życie pająki, samiec i samica; ale każde z osobna dla siebie, nieprzystępne jedno dla drugiego, z zapamiętałą nieprzyjaźnią nawet względem sąsiada z własnego rodu.

Każdy z tych pajaków jest już u celu życia swego. Ma on poza sobą życie długie, życie silne i pracowite. Długie jest ono wprawdzie tylko w rozumieniu pająka, który z innego punktu widzenia mierzy życie, aniżeli my. Dla nas nie jestto nawet rok jeden, jedna wędrówka ziemi dookoła słońca.

Atoli dla pająka był ten rok światem całym. Okres ten dzielił się na dwie wielkie epoki kosmiczne. Nasamprzód była epoka lodowa — zima, kiedy wszystkie pająki spoczywały jeszcze nawpół senne w maleńkiem jajku; takich żółtych jajeczek było ze sto w jednym ciepłym gniazdku.

A później nowe, nieprawdopodobne przeobrażenie — i oto nastał nowy okres. Stopniała ciężka opona śnieżna, pękły pączki zielone. Wiosna! Promień słońca zawadził o gniazdo jajek, i pajęczki rozsadziły swą błonę jajową. Jeszcze w ciągu 8-miu dni gniazdo udzielało gościny wesołej gromadce. Później rozleciał się w różne strony rój sióstr, i żadna już nie zwracała uwagi na drugą.

Pająk nie zna życia w postaci poczwarki, — na wzór wyższych owadów, jak mucha-jednodniówka lub motyl. Pająk wyłazi z jajka takim, jakim jest, tylko bezbarwny i drobniutki. Potem rośnie w swej sieci — i w ciągu jednego lata dosięga rozmiarów strasznego drapieznika, staje się owym grubym krzyżakiem, który oto przeraża ciebie samego. Oczywiście, że taki szybki wzrost ma swe źródło tylko w niesłychanej żarłoczności.

Smagany biczem głodu pająk w ciągu paru miesięcy letnich staje się prawdziwym artystą w mordowaniu zwierząt. Przędzie wspaniałą sieć — ale jedynie w tym celu właśnie. Ginie w niej ofiara za ofiarą. Całe to życie od maja do września — to jedna orgia mordercza, orgia żarłoczności w sensie »zdobywania pożywienia«. Przejawia się tu olbrzymia działalność intelektu, skierowana wyłącznie na ten jeden punkt. Po części jestto intelekt odziedziczony po przodkach, jeżeli chodzi o ogólne uzdolnienie w budowaniu gniazd; ale pozatem widzimy tu najwyższe napięcie sił intelektualnych w każdej oddzielnej jednostce, bowiem ona obrac sobie musi należyte miejsce dla takiej sieci i w tysiącnych przypadkach poszczególnych zmieniać musi odpowiednio to, co jest w budowie najlepiej przystosowane oraz nowe rzeczy wymyślać. Jestto intelligencja, co potrafi zdobyć, ocenić, co zna własne siły; intelligencja, która

umie liczyć się z pogodą i kierunkiem wiatru: prawdziwa, mała aureola ducha lśni dookoła tego drobnego, a ściśle na jednym punkcie ześrodkowanego mózgowia. A wszystko dzieje się siłą jednego zaklęcia: pożeranie na usługach zwykłego wzrostu, pożeranie w tem rozumieniu, które skazuje nasamprzód bezlitośnie na zagładę drugi twór, cudze życie najwpierw morduje, — niszczy.

Dzika naganka. Wciąż przed oczyma stoi nam rycerz-drapieżnik, co na zamku swym zdobyczy wyczekuje. Cokolwiek się zjawi, bywa chwywane, o ile tylko siły na to pozwalają. Naprzód, wciąż naprzód, wzwyż, aż do pewnego stopnia wznieść się pod względem wzrostu. Oto była przed chwilą w sieci mucha, która musiała uwierzyć w to i oddać za tę wiarę swoją krew serdeczną. Teraz wpada mniejszy pajaczek tego samego gatunku. Co tam pokrewieństwo! I jego chwyta się tak samo, jak wszystko inne, oplątuje się go w łąso, knebluje gębę i wysysa. To był pajak-samiec, — samce są wszak mniejsze. Wszystko jedno, co tam płęć! Głód! A więc zreć i rosnać! W ciągu pięciu miesięcy z komicznego żółtego karzełka wyrasta wielki potwór. I ten cel uświęca i wyjaśnia wszystko.

Jesień złota, błękit wrześniowego nieba. Nastaje chwila wielkiego przeobrażenia, wielka chwila, kiedy się spełnia przeznaczenie.

Cóż takiego? Wzrost? Wszak pajak już wyrósł, — a stało się to wciąż dnia jednego. Więc, cel zda się, osiągnięty, pozycja obroniona. Żołądek zrobił wszystko, co do niego należało. Ale cóż się okazuje? Cały wzrost nie był zupełnie zamkniętym w sobie i ostatecznym celem; było to tylko stopniem, wiodącym do czegoś wyż-

szego. W tej samej chwili, w której cel ów został osiągnięty, już wyłania się z niego coś zupełnie innego.

Ciało dorosłego, dojrzałego pająka nagle w narządach płciowych wytwarza plemniki i jajka. Pierwsze wytwarza samiec, drugie samica.

I nagle snuć się poczyną pomiędzy plemnikiem a jajkiem zupełnie nowa, niewidzialna nić niezbędnego pożądania. Nagle, jako rezultat wszystkiej tej żarłoczności i całej owej dzikiej pogardy cudzego życia, wyłania się tęsknota miłosna za życiem cudzem, jako za życiem właśnie...

Tu zaczyna się w małżeństwie pajęczem to, co w myśl tragedyi w wielkim stylu nazwać byłoby można walką obowiązków. Zarówno samiec, jak i samica przywykli do tego, że pożera się bezlitośnie każde zbliżające się mniejsze stworzenie, choćby to był nawet pająk-samiec. Co dotyczy tego ostatniego, to pająk-samica orientuje się niejako czynnie, a pająk-samiec — biernie. Wie pająk-samica, że i takiego maleńkiego pajęczka oplątuje się w sieć, jako dobrą zdobycz, i pożera się go, jeżeli śmiałek zbyt zblizko odważy się podejść. Zaś samiec wie, że należy się porządnie strzec grubej pani samicy i trzymać się możliwie najdalej od jej energicznego sąsiedztwa. Ale oto wyłania się koflikt: miłość. Oboje powinni naraz spotkać się w »miłości«, poprostu szukać się wzajem powinni.

Samica i samiec krzyżaków, jak wogóle cała rzesza pajęczka, wykazują bardzo ścisły podział płci. On posiada dwa długie przewody nasienne w ciele, ona dwa jajowody, podobne z formy do gron. Niema tu zapłodnienia na chybił-trafił poprostu, jak to bywa u leniwych ostryg, bowiem to jest wogóle możliwe tylko

w wodzie i pozatem u takich zwierząt, które już same przez się wiodą życie stowarzyszone, sąsiedzkie. Tu nic nie pomaga: tu oboje zetknąć się muszą.

Narządy płciowe, ukryte głęboko w odwłoku pajęczym, kończą się zarówno u samca, jak i u samicy zwykłym otworem po stronie brzusznej. Byłoby więc najodpowiedniejszym, gdyby samiec i samica w tym wypadku wyjątkowym raz przynajmniej zawarli pomiędzy sobą na seryo pokój i gdyby zetknęli się ze sobą w sieci, należącej do jednej ze stron, w ten sposób, ażeby otwór dotykał się otworu. Byłoby to odpowiedniem, gdyby tylko nie było tak niebezpiecznem. Pająk-samiec oczywiście boi się najbardziej.

Jeżeli w istocie odważa się uczynić propozycję miłosną i włązi w cudzą siatkę — to wtedy otrzymany koszt znaczy tu więcej, aniżeli rana, prosto w serce zadana.

Kto tu zostaje odpalonym, tego oplątują nie miłosne nici sercowe, ale bardzo realne powrózła konopne — a wtedy nie czeka go pocałunek z usteczek różowych, lecz prawdziwe uderzenie nożem, osadzonym w okropnej gębie, który szybko z ofiarą swą się załatwia.

Ale oto śmieje się słońce jesienne, wre wszystko od tęsknoty: oto tam kołysze się w swej srebrnej sieci najbardziej miłości godna królowa — pająk; on musi popróbować, musi iść na śmierć i — miłość. Ale zanim się ruszyć zdoła, odbyć się musi jeszcze, jako niezbędny akt przygotowawczy, jedna z rzeczy najtrudniejszych.

Widzieliśmy mątwę, która miała naboje nasienne w jednym ze swych ramion, dokoła głowy umieszczonych.

Na brzegu morskim istnieje zwierzątko o zabawnym

wyglądzie, podobne do pajęczaków, t. zw. raczek-pająk, u którego również kończyny grają rolę decydującą dla narządu płciowego, do tego stopnia, że tu samiec i samica mają w każdej z 8-miu kończyn po jednym narządzie płciowym, a więc razem 16-cie. A ponieważ zarówno jajko, jak i plemniki wytryskują bezpośrednio z długich nóżek pajęczych, można więc o tych dziwnych wielonożkach (naukowa nazwa tej grupy brzmi pantopoda, t. j. całonogi) twierdzić z zupełną pewnością, że cały akt rozplodowy odbywa się u nich prawidłowo noga za nogą. I nasz pająk na płocie ogrodowym obrał sobie niejako ten sam dziwny sposób, z tą tylko różnicą, że on dopiero przygotowuje się do tego czynienia, podczas kiedy tamte stworzenia posiadają już wszystko z natury.

Popatrzcie, co on robi. Jeszcze nie posuwa się ku samicy; nasamprzód jeszcze zapobiegliwie jest sobą samym zajęty. Jego otwór płciowy — to zwykły otwór — bez jakiegokolwiek śladu członka rozrodczego. I oto gdy tak siedzi sobie i ciało na prawo i na lewo kołysze, namysławiając się w tęsknocie swojej, ażali przejść ku kochance, czy też nie, nagle płyn nasienny sam przez się wypływa z małego otworu na siatkę w postaci drobnutkiej kropelki. Natychmiast potem zmienia nasz bohater swe położenie i w ten sposób się wywraca, że spodnia część głowy z okolicą gęby dotknąć się może owej kropelki. Wygląda tak, jakgdyby chciał ją połknąć. Taki fakt dałby początek możliwie największemu zamieszaniu w sprawie antagonizmu pomiędzy pożeraniem w sensie odżywiania się a stapianiem się w jedno, albo »żarciem wyższego rzędu« w sensie miłosnym.

Aliści do tego nie dochodzi.

W każdym razie wszakże kropelka najoczywiściej znika u otworu gęby, jakgdyby w istocie była wchłanianą. Ale sprawa tak się przedstawia. Należy sobie jeszcze przedtem uprzytomnić dziwaczne urządzenia dookoła gęby takiego pająka.

Gęba sama przez się jest prawidłowym otworem przednim narządu odżywczego, przez który pokarm dostaje się, jak u ludzi, do żołądka — jestto więc dziura. A około tej dziury są silne jak dłoń, ruchome szczęki (zuchwy) dla chwytania, zabijania i opanowywania pokarmu, zupełnie tak samo, jak człowiek posiada do tego celu ruchomą zuchwę i dwa rzędy mocnych zębów.

Tylko zuchwy pająka wyglądają nieco dziwacznie i bardzo odmiennie w porównaniu z ludzkiemi, a to po prostu dlatego, że zupełnie jawnie zdradzają jeszcze swe pierwotne pochodzenie od kończyn. Tak jest, od kończyn. Górna i dolna szczęka takiego pająka nie są właściwie niczem innem, jak parą małych nóżek, które umieszczone są z przodu na głowie, nieopodal otworu gęby, zupełnie w ten sam sposób, jak bardziej ku tyłowi istniejące cztery pary t. zw. zazwyczaj prawdziwych nóżek pajęczych. Trzeba wyobrazić sobie, że pająk, jak wszystkie wyższe stawonogi, pochodzi od pewnych tworów, do robaków podobnych, których całe ciało wespół nawet z głową rozpadało się na pierścieniowate, »zakarbowane« części, a u każdego z tych pierścieni umieszczona była para nóżek. Jeszcze stonóg bardzo dosadnie odtwarza wam ten stopień rozwoju, choć nie jest już robakiem, a stoi już blisko naszych pająków, może nawet poprostu jest ich przodkiem. U wyższego

stawonoga, jakim jest pająk, to długie ciało robaka, że się tak wyrazimy, ściągnęło się. Sam pająk właśnie nie posiada już nawet głowy, oddzielonej od tułowia, ale wszystko to u niego zrosło się w jedną część, i tylko pomiędzy tym „głowotułowiem« a resztą ciała pozostało dawne zakarbowanie, jak u robaka, coś jakby w rodzaju »przerwy«.

Ale nóżek pozostała i tak jeszcze liczba dostateczna. Wprawdzie głowa i tułów zlały się w jedno, ale jednak na tej jednej części było jeszcze sześć par nóżek. Wobec faktu ścisłego skupienia się ciała, wobec tego, że z długiego robaka powstał w ten sposób krótki a gruby pająk, ta liczba nóżek okazała się dla biegania zbyt wielką. I oto w ten sposób stopniowo cztery pary nóżek w rzeczy samej używane były odtąd do biegania, zaś dwie pierwsze pary ściślej zespoliły się w swych czynnościach z sąsiadującą z nimi gębą: z długich nóżek, które dawniej służyły do chwytania zdobyczy i biegania, powstały drogą skrócenia się narządy gębne dla chwytania i gryzienia — poprostu nóżki te przeobraziły się w szczęki.

Przyjrzyjmy się innemu, dziś wyżej jeszcze pod względem rozwoju stojącemu stawonogowi, który zapewne powstał równolegle z pająkami ze stonogów, a przedtem jeszcze z prawdziwych pierścienic (robaków), — mamy tu na myśli chrabąszcza. Tam widzimy, że proces wyżej opisany poszedł dalej jeszcze: z 6-ciu par nóżek aż trzy zużytkowane zostały, jako szczęki, a zamiast czterech zostały, jako nóżki do biegania, tylko 3 pary; — i oto chrabąszcz ma sześć nóżek, zamiast ośmiu, jak pająk, ale za to ma trzy rodzaje szczęk, zamiast dwojakich szczęk pajęczych.

Ta krótka wycieczka darwinistyczna ułatwi wam już zrozumienie tego, co robi nasz pająk-samiec; a jestto rzecz sama przez się niezmiernie dziwna.

Chociaż owe szczęki u gęby pajęczej przedewszystkiem działają, jak prawdziwe szczęki w celach odżywczych, to jednak zachowały one jeszcze w dokładnej miniaturze swój kształt ogólny kończyn. Można by pomyśleć, że zdałyby się one przy okazji jeszcze i do innych celów. Wyobraźcie to na sobie samych: zamiast szczęk z zębami macie, przypuśćmy, dookoła ust cztery małe ramiona, dwa u góry i dwa u dołu. Te małe ramiona przystosowane są, przypuśćmy, do ramion prawdziwych, jak górne i dolne zęby pomiędzy sobą, i działają również mniej więcej w ten sam sposób, jak i zęby, trąc się jedne o drugie. Natomiast małe ramiona dolne i rączki kończą się ku przodowi swobodnie i mogłyby zapewne mieć jeszcze czynność specjalną.

Zupełnie tak samo jest i u pająka. Małe nóżki ustne, czyli szczęki, pocłonkowane są, jak ludzka ręka, nawet jeszcze w bardziej zawikłany sposób. Części najbardziej ku dołowi umieszczone (powiedzmy górne części ramienia, przenosząc to na stosunki ludzkie), przylegają do siebie ściśle, jak prawdziwe szczęki. Następne części (powiedzmy obrazowo: przedramię i ręka) wystają u dołu i u góry właściwych szczęk w postaci cieniutkich ostrych koniuszczków ku przodowi. U góry ma pająk dzięki temu po małym ostrym zębie z każdej strony, gdzie wylewa się trująca zawartość gruczołka, mająca na celu obezwładnienie ujętej ofiary. U dołu natomiast wystają te ostre końce z każdej strony, jak dłuższe macki — niby dwie wysunięte w dziób wargi ludzkie — (trawestujemy to na stosunki w układzie ust

ludzkich, choć porównanie może być tylko bardzo niedostateczne). Końce te swobodnie sobie macają dookoła, podczas kiedy głębiej odbywa się energiczne żucie.

A więc dobrze; cóż z tego? Oto tym koniuszczkiem dolnej szczęki pająk-samiec chwyta swą własną, w samotności wydzieloną kropelkę — i wsysa ją w siebie. Te »wargi w dziób« są specjalnie do tego przystosowane: wsysają one nasienie do wydrążenia, jakby do małego tymczasowego rezerwoaru, nie uchybiając przytem zupełnie wielkiej gębie pajęczej na tylnym planie. Wyobraź sobie, czytelniku, bardzo zgruba, żeś wywinął wargę ku dołowi i trzymasz przypuśćmy ołówek pomiędzy wargą a podbródkiem. W taki mniej więcej sposób trzyma pająk-samiec nasienie w najbardziej nazewnątrz wystającym, na podobieństwo warg, koniuszczku szczęki dolnej; oczywiście czyni to jedynie z tym szlachetnym zamiarem, ażeby przenieść je naprzeciwno pani swej w ten sposób, jakby na tacy i jednocześnie w możliwie uprzejmej postawie, z uśmiechem.

Zaraz przekonać się możecie o tem, że na tem polega jego zamiar, i jak on go w czyn wprowadza.

Śmiało kroczy naprzeciwno na brzeg drugiej siatki. Gruby wielki pająk pośrodku siatki spostrzega przybyśza. I teraz możliwe są różne ewentualności.

Możliwe jest, że on, jako indywiduum, nie podoba się samicy. Może jest za mały, nieładny, z rysunkiem na ciele nie dosyć wyraźnym, słowem z jakiegokolwiek powodu nie przypada jej do gustu. Wtedy zgóry cała sprawa przedstawia się rozpaczliwie. Samica czatuje na niego zupełnie, jak na muchę.

Ale sprawa może nie wziąć takiego obrotu. Pająk-samica ogląda konkurenta, i on jej się podoba. Wtedy

powoli schodzi ze swego tronu ku brzegowi siatki, gdzie czeka potulny samiec. Niewątpliwie i ona sama odczuwa tęsknotę za miłością.

Przemożne, po świecie całym rozlane uczucie tłumi na godzinę indywidualne pragnienie odżywiania się. Z plecami, odwróconymi ku dołowi, z głową wysuniętą naprzód, z nogami jakby przykurczonymi wiesz się pająk-samica na pajęczynie — i czeka na samca... Czy będzie Zygfydem? Czy też spotka go los biednego króla Gunthera, którego Brunhilda w noc ślubną związała i powiesiła u sufitu?...

Ale jeszcze ostateczny rezultat daleko. Jest jeszcze inna możliwość. Na jedną samicę czekać może z nadzieją w sercu u rąbka pajęczyny kilku samców. Na ogół stosunek procentowy przedstawia się w ten sposób, że jedna samica przypada na tuzin samców. Wtedy występuje niebezpieczeństwo konkurencji. W chwili kiedy kochanka trapią jeszcze, zda się, pewne wątpliwości co do dobrych lub złych zamiarów bohaterki romansu, nagle, ni stąd ni zowąd, spostrzega on atak ze strony rywala. Chwila kłótni, obrony, zapasów. Bohaterka czeka, kto zwycięży. Zwycięzca to najniezawodniej osobnik najenergiczniejszy. Jestto więc wyrok boski. I oto, przypuśćmy, że silniejszym jest w rzeczy samej nasz pająk. Rywal cofa się. A teraz — od walki ku miłości.

Wciąż jeszcze ostrożnie zbliża się pająk ku swej pani z plecami ku dołowi, jak i ona sama. Teraz dotyka się nóżkami jej ciała, a ona zezwala na to. Z kwadrans głaszcze ją tylko — jak człowiek, który powoli uspokaja i niewoli sobie tchórzliwe zwierzę. A jednak wiarogodni uczeni byli jeszcze podczas tego ostatniego

kwadransa pieszczot świadkami nagłej katastrofy: zupełnie nagle, jakgdyby pierwotny pospolity instykt żeru jeszcze opanował jednak w końcu subtelniejszy głód miłości i pograżył go na dno, jak kłodę, — samica zrywa się i w mgnieniu oka chwyta, omotyje, nagryza i wysysa biednego grzesznika-pajaka.

U pewnych gatunków pajaków, gdzie samiec jest bardzo malutki, można zauważyć nawet, jak mały pajaczek-Gunther przezornie wskakuje sobie prosto jednym susem na plecy grożącej mu niebezpieczeństwem Brunhildy i stamtąd dopiero ją pieści; — jestto miejsce najpewniejsze, gdyż samica już wtedy ująć go nie może, gdyby nawet nagle przysła jej ochota ku temu.

Oczywiście ta krańcowa sytuacja przedstawia właśnie najwięcej niebezpieczeństwa. Jest ona absolutnie nieobliczalną; jestto moment, gdzie najjaskrawiej występuje to, o czym wspomniałem poprzednio, a mianowicie ów właściwy konflikt, owa problematyczna, niezdecydowana chwila całego życia pajaka, chwiejącego się na rubieży dwu instyktów.

A mimo wszystko, u szczytu tego momentu krytycznego odważa się samiec na krok najbardziej stanowczy, oczywiście pod wpływem popędu, którego opanować już niepodobna. W szybkim obrocie rzuca się na drugą stronę i, prześlizgując się przez wiszącą na pajęczynie samicę, wskakuje na nią z góry. W tej samej chwili również wsuwają się owe ostre macki jego żuchwy, dźwigające na sobie ładunek nasienia, w pochwę samicy. W tej pochwie jest dość dziwne narzędzie: coś w rodzaju prawidłowego, wysuwalnego członka zapładniającego, który nasienie odbiera.

Oto jest moment istotnego zapłodnienia, który trwa

oko pół minuty. A potem pająk-samiec zeskakuje natchmiast od tyłu tak samo szybko, jak przyszedł, i wogóle zupełnie odsuwa się teraz od pani Brunhildy. Dopiero po kwadransie zabawa powtarza się znowu, a potem jeszcze częściej, prawdopodobnie dopóty, dopóki ostatnia resztką nasienia samca nie będzie złożona we właściwym miejscu.

Oczywiście, że pająk-samica może znieść tyle, ile tylko jej będzie dostarczonem. Bowiem nasienie zupełnie lub też częściowo spływa w jej ciele znowu do jednego z owych doskonałych rezerwoarów czy składów, do t. zw. kieszonki nasiennej, w której plemnikowa »rezerwa« tak długo może schronienie, aż dojrzeją wszelkie jajka, a nawet może tak długo, aż będą złożone. Widujemy przecież jak samice pajaków po złożeniu jajek jeszcze potem czemś je opryskują: jestto prawdopodobnie to rezerwowe nasienie. Stanowi to zabawną analogię do owego aktu przygotowawczego, podczas którego samiec dopiero co dla siebie samego nasienie wydzielił.

Ten akt ostatni zresztą albo właściwie epilog całej tej tragikomedyi — stosunek samicy do potomstwa — jest wzruszający nad wszelki wyraz. O ile miłość i małżeństwo w tem chaotycznym życiu pająka były pełne problemów, o tyle macierzyństwo odznacza się czystością absolutną.

Krótką resztą jesiennego okresu w życiu pająka spływa na pełnieniu obowiązków macierzyńskich. Z nadzwyczajną zręcznością przygotowuje matka dla jajek gniazdko z najsubtelniejszych nitek pajęczych. Po złożeniu w niem jajek i po sumiennem zapłodnieniu ich we wspomniany wyżej sposób, wszystko to razem matka omotuje pajęczyną i potem strzeże i broni z nie-

zwykłą troskliwością: to stanowi ostatnie zadanie życiowe starej samicy-pajaka.

Wylęganie się młodych nie wchodzi już do ziemskiego programu matki. Kwiaty słoneczne więdną i uginają się, astry pewnego dnia się kurczą. Znowu nastaje »epoka lodowa« — zima i koniec świata.

Młode nie potrzebują już żadnej obrony przeciwko zimie; drzemiąc w swem gęstym futrze-pajęczynie, same zimna nie czują, i drzemią tak swobodnie aż do wiosny; — natomiast wrogowie, którzy by mogli mu czemś grozić, giną wszyscy od mrozu, który zabija również starą, zwiędłą matkę-pajaka: niby zgłodniały, zmarznięty liść jesienny, znajduje się ją pewnego dnia obok potomstwa, które jej już nie potrzebuje więcej...

Czy widzicie blask oczu Madonny ponad starym zielonym płotem ogrodowym? Blask, co obejmuje w swej wędrówce nieskończonej miliony lat, rozpięty ponad drogą, wiodącą od krwi do ducha?

Oto dzika samica pajaka, co wzrosła ponad grozy pełną jaskinią morderczą, co waha się jeszcze, czy nie pożreć z zimną krwią samca, który jej swą miłość ofiaruje, jak to uczyniła ze wszystkimi jego poprzednikami, spoczywającymi w dole morderczym... A oto matka, co do ostatniego tchnienia czuwa nad kołyską... Z takich kontrastów ukuła przyroda to, co dzisiaj zwie się miłością.



rzerzucmy się teraz od omotanego paję-
czyną płota na skraju lasu sosnowego
— nad morskie wybrzeże...

Chodzi tylko o chwilę jedną. Pobok
bajki o pająku muszę tu zaraz dla kon-
trastu opowiedzieć drugą, choć z innej
zupełnie dziedziny. Niechaj stawonogi znikną wam znów
na chwilę za błękitnym oparem obłocznym. Wrócimy
do nich niebawem. Teraz tylko małe intermezzo, zapo-
życzone z innego pnia zwierzęcego, z kręgowców. Z Ga-
straei powstał robak. Z robaka po jednej stronie powstał
rak, stonóg, pająk, a z drugiej ryba pierwotna, minog,
rekin, jesiotr i ryba właściwa, np. śledź. Przypominacie
sobie, jak śledzie uprawiały miłość. Tu, w dziedzinę
śledziom pokrewną, zstąpcie na chwilę wraz ze mną;
w zieloną, szmaragdową toń, w której roi się od ryb.
I znów widzimy tu tłumiony konflikt; i tu również znowu
wyłaniają się oczy Madonny.

Miałem znajomego, którego cała filozofia streszczała
się w zwrocie: przykrą jest kobieta. W chwilach, kiedy
było mu najgorzej, myślał o tem, ażali kobieta nie jest
zbyteczną, ażali nie stanowi zapory w rozwoju kultury.
Może jest tylko wyczarowaną przy pomocy praktyk spi-
rytystycznych obok mężczyzny, niby zły cień jego świe-
tlanego ducha, niby widmo, które go naśladuje. A z pun-
ktu widzenia darwinistycznego może jest tylko gatun-
kiem niższym, który człowiek wlecze za sobą, jako prze-
żytek, będąc zespolonym z nim przez jakieś dawne nie-
szczęśliwe powikłania w rozwoju.

Potem stwarzał jedną utopię za drugą, które miały
na celu uratować mężczyznę od tej »kobiety«. A więc
absolutne wyodrębnienie społeczne; »ludzkość«, którą

stanowiłyby narody, składające się z niezależnych, silnych duchem mężczyzn. Tylko gdzieś, możliwie daleko, istniałoby coś w rodzaju obozu cygańskiego, gdzie żyłyby stworzenia kobiece. Od czasu do czasu mężczyzna miałby ciężki obowiązek do spełnienia, polegający na tym, że przez krótki bardzo czas zająć by się musiał tym obcym dla siebie światem. Ale — istotnie czyniłby to tylko z przykrego obowiązku — zużywałby na to możliwie mało czasu. Potem wracałby znów do domu, do prawdziwego wielkiego królestwa ducha, jak wraca człowiek kulturalny z bieguna północnego. Wychowanie dzieci należałoby wyłącznie do mężczyzn. Przyszłość musi przynieść coś w tym rodzaju... niewątpliwie. Przynajmniej było w tym wszystkim wielkie pragnienie przejrzenia mgły, przesłaniającej przyszłość..

Jeszcze go widzę, jakby to było dzisiaj, kiedy mi wywodził to wszystko w szarych barwach, ten szary, bezbarwny człowieczek. Był dzień dżdżysty, woda się lała. A ja myślałem o metamorfozach Owidyusza i o tym, w co przeobraziłby tego zółcią przepojonego syna ziemi ów duch starego, pogodnego poety.

Ciało twoje, kochanku (myślałem sobie), i tak już przez żółć skurczone, zmniejszyłoby się do rozmiarów drobniutkich — do 8 centymetrów. Z tyłu wyrósłby ci zgrabny ogonek rybi, kończyny twoje stałyby się pletwami, plecy twoje i brzuch połyskiwałyby delikatną srebrno-zieloną łuską.

A wszystka szorstkość twego ducha i pogarda dla kobiet wyobrażoną byłyby przez parę długich, ostrych, jak włos, kolców, które sterczałyby z ciała, jako mordercze ostrze; tak że najszerszy szczupak byłby cię z przyjemnością wypluł, gdyby mógł to zaraz uczynić, bo wpi-

jałbyś mu się w podniebienie, jak jeź wpija się kolcami w psią mordę.

Jednym słowem byłbyś naszą najswawolniejszą rybą — ciernikiem. A spotkałoby cię to nie tylko, jako kara za twoją duszę kolczastą, ale i dlatego, że ten ciernik tam w milczących głębiach wód urzeczywistnił już wszystko to, czegoś ty się spodziewał od przyszłości, przepojonej nienawiścią dla kobiet.

O, jakżeż kruche są nasze sny ludzkie. Tworzymy najwspanialsze utopie, rozpinamy nowe sklepienia niebieskie ponad tajemnicą obłoków, sięgamy 3000-go roku i lat jeszcze późniejszych. A przyroda w istocie od dawna już nas w tem wszystkim wyprzedziła, wszystko to wypróbowała skrupulatnie przez doświadczenie, zdobyte w ciągu dawno minionych stuleci; sądziła jednak, że jestto zbyt łatwe m, ażeby mózdz wcielić to w wielką linię świetlaną, łączącą zwierzę z człowiekiem. I oto dziś ma to tylko dla nas znaczenie jakby relikwii, czegoś w rodzaju urokliwych oczu, wytrzeszczonych na nas z zapadłego jakiegoś bagniska...

Samiec, potrzykroć samiec jest bohaterem całego eposu życiowego ciernika. Samica jest tam w najlepszym razie tylko epizodem. Samiec jest wyobrazicielem całej moralności gatunku i istnieje nietylko, jako indywiduum, dla celów własnych, ale jest niejako obywatelem wyższej społeczności, która, jako gatunek, trwa poprzez tysiącolecia. Samica jest wobec tego rzeczywiście niczem innym, jak cyganką-tułaczką, co żyje z dnia na dzień bez poczucia jakichkolwiek obowiązków. Ażeby tak być mogło, potrzeba w każdym razie powikłanej historii romantycznej, która snuje się w zielonych głębiach wód.

Pan ciernik ma z natury w swym charakterze coś gderliwego, despotycznego, niesympatycznego. Swarzy się bezustanku ze swoimi towarzyszami, i tylko wtedy, kiedy w pobliżu ukaże się nagle jakiś wróg wspólny, np. jakaś ryba drapieżna, która nie boi się lub nie zna zgoła kolców małych potworków naszych, wtedy całą bandę takich swarliwych cierników ogarnia przemijające uczucie solidarności w celu wspólnej obrony.

Dla kolczastego indywidualisty o zakusach zbójnika nie istnieje wcale samica w sensie istoty, miłości godnej, lub w charakterze wiernej towarzyszki w godzinach walki i pracy.

Zdarza się niekiedy, że podczas wyprawy na łup, dostaje się pomiędzy »kobiety«, które trzymają się zazwyczaj zdaleka w postaci wyodrębnionej grupy, po większej części w pobliżu powierzchni wodnej, podczas kiedy samce zamieszkują głębie. Ale i podczas takiego przypadkowego zetknięcia zamiast miłości natychmiast wybucha kłótnia, bijatyka i klucie się wzajemne, które trwają tak długo, aż dopóki samiec nie rozpędzi samic i nie odbierze im łupu, albo też dopóki jakaś specjalnie dzielna samica nie zada porządnego ciosu natarczywemu samcowi, i ten, jak marny strzelec, któremu nabił guza jeleń, nie cofnie się do swego powiatu.

Tak bywa w dniu powszednie. Ale nastaje chwila, kiedy ciernik-samiec odczuwa jakieś dziwne podniecenie wewnętrzne, podniecenie, które w życiu tworów zwierzęcych tak bezwzględnie przejawia się nazewnątrz. Z wielkiego związku komórek, stanowiących ciało samca, odezwały się pewne komórki: w oznaczonym miejscu wewnątrz ciała samca nagromadziła się substancja, w której niezliczone małe indywidualia komórkowe dążą

ku wyzwoleniu: nasienie posiadało swą siłę rozpędową i chce się wydostać nazewnątrz, ażeby również i istnienie indywidualne ciernika przedłużyć w życie gatunku, nadać mu cechę nieśmiertelności, z gatunkiem związanej.

Jestto święta chwila, chwila, kiedy czasy młodzieńczej bezwzględnej dewizy »pogardzaj kobietą« zwykle przeobrażają się w okres wielkiej namiętności, w pełen radości i smutków okres szukania i odnajdywania cech wiecznej kobiecości!

Ale u naszego ciernika dzieje się zupełnie inaczej. Ferment i jego również wyprowadza z równowagi. Już przedtem, w chwilach silnego afektu, w gniewie i w największym zapale walki, posiadał on zdolność nagłego przeobrażania bladych, zielonych i srebrnych barw swego ciała w barwy błyszczące jaskrawo: wtedy brzuch przez błyskawicowe przemknięcie się fali barwnej stawał się purpurowym, plecy przybierały barwę szmaragdową, a tęczę oka ciemno-zieloną. Teraz, kiedy pod wpływem stałego podniecenia wibrują wszystkie nerwy, te wspaniałe barwy stają się strojem zwykłym: nastaje okres, zwany »strojem weselnym«. Ale ciernik zdaje się teraz być jaknajdalej od myśli o weselu.

Jeżeli przedtem był mąciwodą i niepoprawnym zawadyką, to teraz, kiedy wdział na siebie ową pstrą szatę, o władnęła nim, jakby najzupełniejsza pogarda dla świata i współtowarzyszy rybiego rodu. Jego żółciowy temperament teraz znajduje sobie ujście istotne i owa barwa czerwona, niby cecha weselna, wyobrażać ma tylko rozindyczonego na stałe fanatyka indywidualizmu, fanatyka, którego wścieka już sam widok innego stworzenia.

Naraz zaprzestaje on swobodnego bujania po wodzie. Szuka sobie stałego miejsca, skąd, jak się zdaje, nie ma już zamiaru ustępować. Ktokolwiek się zbliża, bądź samiec, bądź samica, tego przepędza z wściekłością. Ale kiedy teren jest wolny, kiedy dokoła panuje cisza, pozwalająca na pracę w zupełnej samotności, wtedy rozpoczyna on swe dzieło tajemnicze.

Zrazu gromadzi on wszelki materiał, jakiego dostarczyć może dno morskie: korzenie, kawałki roślin wodnych, trzcinę i źdźbła rozmaite. Niejedną rzecz odpowiednią wyrywa on dopiero siłą stąd czy zowąd i na próbę raz jeszcze wypuszcza z łap, chcąc się przekonać, czy jest może materiałem zbyt lekkim, który unieść może płynąca woda, czy też padnie na dno i sama własnym ciężarem utkwi gdzieś mocno w ziemi.

Bierze tylko rzeczy cięższe, liść ciężki lub takąż trzcinę, bo takie tylko przydać mu się mogą. I podobnie jak szpak wlecze za sobą nitki słomy, jakby chorągiewkę, tak samo i ciernikowi nie robi żadnej różnicy wędrować z kawałami roślin w gębie o większej długości, niż całe jego ciało.

Zdobyty materiał surowy nagromadzany bywa w odpowiednim miejscu, w wodzie słodkiej (bowiem żyje on tak samo tu, jak i w morzu) przeważnie na dnie piaskowem, gdzie woda nie stoi, a płynie szybko i przezroczo, i tam z niezmierną skrzętnością ciernik stopniowo z tego materiału tworzy kunsztowną i trwałą budowlę.

Fundament stanowi zagłębienie w piasku, ziarenka żwiru służą za podporę. Na tem wznosi się stopniowo okrągławe sklepienie z materiału roślinnego. Ściany rosną wciąż dzięki temu, że mały budowniczy (ciernik

wszak nie ma przeważnie nawet 10 centymetrów długości, a często daleko mniej) układa korzenie i źdźbła, warstwę za warstwą, i zlepia je kitem, jak prawdziwy mularz.

Wapno czyli kit ma on we własnem ciele; kiedy warstwa surowego materyału leży niezlepiona z resztą, wtedy rozciąga się on na niej swem ciałem i skrapia ją grubą kroplą lepkiej jakiejś substancyi, która zaraz mocno zlepia materyały pomiędzy sobą i z podstawą. Od czasu do czasu, kiedy stanęła już szczęśliwie część ściany skupionej, rzuca się całym ciałem na swe dzieło, próbując, ażali może być jeszcze zniszczone przez nacisk, albo też gwałtownym ruchem pletw burzy ponad swą budowla wodę, ażeby mocą pewnego rodzaju doboru porwane zostały przez wir wszystkie niezupełnie jeszcze umocowane części, niby plewy, i ażeby w ten sposób ujawniły się miejsca, gdzie należy użyć jeszcze kitu.

Cała praca wyda się tem cudowniejszą, jeżeli zważymy, że mularz jest przecież rybą, która nie ma rąk a niezręczne pletwy, że właściwie chwytą on literalnie całym ciałem, że łączy wszystko pomiędzy sobą, przesuwając się, naciskając, wywijając i wirując, albo najwyżej pomaga sobie gębą, gdzie w szczękach przeprowadzony jest bardzo delikatny ścieg miękkich, jak aksamit, zębów.

Tak upływa godzina za godziną naszemu samotnikowi w niestrudzonej czynności. Potrzeba tylko czterech godzin, ażeby budowla stanęła, zaś kilka dni pełnych trwa odrobienie szczegółów.

Wreszcie dzieło sztuki jest gotowe: jestto teraz mocne sklepienie mniej więcej wielkości pięści, od góry

zupełnie zamknięte, natomiast z boku posiada otwór szerokości ciernika. W końcu jeszcze obsypuje on swoją budowlę wielokrotnie iłem lub piaskiem, tak że za tym otworem wogóle niema do niej żadnego dostępu, ani nawet jej widać.

Ciernik budował nietylko dla siebie.

Celem istotnym jego pracy nie była cela pustelnika. Zbudziła się w nim owa zagadkowa struna, owo tajemnicze przecucie jakiegoś istnienia po za własnem, przecucie tych młodych istot, które jego nasienie ma dopiero stworzyć i w których przetrwać ma gatunek.

Owa cela na dnie stawu, z takim trudem sporządzona, jest gniazdem, przeznaczonem na to, ażeby ochraniać tam młode w okresie najwcześniejszym ich rozwoju.

To tylko jest właściwością ciernika-samca, że, jako przyszyły ojciec, buduje to gniazdo zupełnie niezależnie od samicy.

Jej nigdy by to na myśl nie przyszło. Samice ciernika z cygańską swobodą wałęsają się w dalekich głębiach wód, a temsamem samotnikowi w tajemniczej wizyi wyłania się pojęcie »potomstwa«, i oto bierze się on do pracy dla gatunku, posłuszny głosowi wewnętrznego obowiązku. A teraz, ponieważ gniazdo jest już gotowe, więc już same cele zachowania gatunku wymagają tego, ażeby, chcąc nie chcąc, chociaż na pewien czas zająć się »samicą« — tu modlitwa nie pomoże, jak mówi Falstaf.

I oto teraz musi ciernik zakosztować trochę kwaśnego jabłka, okrzesać trochę na pewien czas swą szorstkość pustelniczą i sam zdobyć w jakiejkolwiek postaci owo przykre, ale niezbędne uzupełnienie — »samicę« Postępowanie jego w tym względzie niepodobne jest

coprawda do uczciwych konkurów, a raczej ku wielkiej rozpaczyp przypomina niezmiernie zachowanie się rozpustnego kawalera, który zapalił sobie w piecu w swym ładnym pokoiku i szuka sobie na ulicy kobiety dla celów bardzo przemijających...

Ciernik odpływa od swego gniazda i po pewnym czasie wraca do domu z jakąś samicą. Zdobywa on ją bądź w ten sposób (tu zdania uczonych się rozcho-
dzą), że wykrył ją gdzieś, kiedy przepływała w pobliżu, i zwabił ją swą budowlą, bądź też inaczej, że wdarł się w sam środek obozu niewieściego i tam wyjątkowo (być może ze względu na swe barwy weselne) nie został, jak to bywa zwykle, obity, a znalazł uprzejme przyjęcie ze strony jakiejś bardziej zgodliwej istoty.

A kiedy już wreszcie ciernik zostaje na cztery oczy z cyganką, idzie mu to oczywiście w smak. Radośnie pieści ogonkiem samicę, która, jak się zdaje, sama jeszcze nie wie dobrze, na czym polega jej rola przed ową pustelnią.

Samiec w jej obecności wpada przez otwór w gniazdo, zamiata dokładnie wewnątrz jeszcze po raz ostatni i przy pomocy rozmaitych ruchów daje jej do zrozumienia, że byłoby do życzenia, ażeby sama pani Ciernicka we własnej osobie raczyła wniknąć. Jeżeli teraz ona udaje głupią, to w samcu ujawnia się poniekąd jego dawna szorstkość: dość obcesowo napiera na nią, lechce ją kolcami i bije ogonem; powinna i musi wejść do wnętrza gniazdzka.

Jeżeli i to nie pomaga, wtedy cierpliwość narzeczonego z obowiązku się wyczerpuje: może mieć »więcej kobiet«, jeżeli zechce, więc wygania brutalnie idyotkę i sprowadza sobie drugą samicę.

Ale w końcu pierwsza, czy też któraś następna nabiera rozumu, wślizguje się do gniazda i wtedy naraz pojmuje oczywiście właściwy sens tego wszystkiego: tam złożyć powinna swoje jajka...

Jak u wszystkich ryb, tak i tu potrzebny jest u samicy pewien stopień pobudzenia płciowego, które miało dość czasu się nagromadzić w ciągu długiego okresu, poprzedzającego właściwe odwiedziny gniazda, i oto teraz wyładowuje się ono w normalny sposób. Prawdopodobnie i samiec daje jeszcze ostatni impuls płciowy, wsuwając się za samicą do gniazda i z boku trąc ciało swoje o jej ciało. W każdym razie samica rzuca gwałtownie dwa albo trzy jajka, wtedy dzikim rzutem wy-dostaje się z gniazda po przeciwnej stronie, które w ten sposób ma już teraz drugi otwór, i ucieka do domu do swych towarzyszek, do swobody cygańskiego obozu samiczek-Ciernickich.

Tymczasem samiec również dosięgnął szczytu w swych uczuciach miłosnych: zaledwie samica złożyła jajka i uciekła, on już jest na nich i wylewa na nie potrzebną ilość nasienia, ażeby je zapłodnić. Losy samicy samej od tej chwili zupełnie go już nie obchodzą.

Z jednego tylko zdaje sobie sprawę, że z tą parą jajek daleko mu jeszcze do wypełnienia obowiązków względem gatunku. Nie tylko może, ale musi mieć jeszcze więcej samic. Nazajutrz znowu udaje się na wyprawę, znów według tej samej zupełnie modły sprowadza sobie odpowiednią narzeczoną, która mu też składa większą liczbę jajek. Pojęcia monogamiczne są mu najzupełniej obce. »Kobieta« (w cudzysłowie) ma dla niego jedno tylko przeznaczenie, mianowicie składanie jajek; jakowaś indywidualizacja tych istot cygańskich

nie wchodzi zupełnie w rachubę, jeżeli pominiemy fakt, że niektóre z nich są tępione, jako zupełnie nieudolne, które nie nadają się nawet do składania jajek. Z chwilą, kiedy uzyskaną została dostateczna liczba jajek, ustaje wogóle wszelka przyjaźń z samicami.

Biada samicy, bez względu na to, czy to jest ta posiadana, czy też obca, biada tej wogóle, co zechce się zbliżyć do gniazda, które odtąd znów jest wyłączną posiadłością samotnika. Wygania się ją wtedy z bezwzględną brutalnością. Brutalność ta nabiera zresztą łagodniejszych odcieni, skoro się zważy, że samice, a mianowicie te, które samiec był posiadał, pozbawione są zupełnie uczuć macierzyńskich i o nic nie starają się tak usilnie, jak o to, ażeby potem jeszcze raz zdobyć siłą gniazdo, zrabować jajka zwyczajem cygańskim i pożreć je, co przewyższa już nawet sposób obchodzenia się z dziećmi cygańskimi...

Jeżeli takie niebezpieczeństwa nie grożą, znowu rozpoczyna się dla ciernika, który już teraz jest ojcem, okres cichego, poważnego, ale oględnego pełnienia obowiązków, podobnie jak to miało miejsce wtedy, kiedy w samotności budował gniazdo swoje.

Jajka spoczywać muszą około dziesięciu dni w sklepieniu iłowem, ażeby dać życie drobnym młodym rybkom.

W ciągu całego tego czasu ciernik stary ani przez chwilę nie opuszcza gniazda. Czujnym wzrokiem spozstrzega on najdrobniejsze uszkodzenia w małej kuli kunsztownej, stwarzane przez wir wodny, i naprawia je natychmiast. Często zjawia się u któregośkolwiek otworu w gnieździe, albo wewnątrz i z cicha podryguje tam swemi pletwami piersiowymi i w ten sposób poruszając wodę dostarcza jajczkom tlenu, którego potrzebuje ich

ukryte życie zarodkowe. Ma się to wrażenie, jakgdyby każdy taki ciernik-rodzic ujawniał w swem postępowaniu nieskończony łańcuch zbawiennych doświadczeń, doświadczeń, które sam w swem bytowaniu indywidualnem zdobyć żadną miarą nie mógł i które przydadzą się nie jemu samemu, ale dopiero nowemu pokoleniu osobników, pozostających w okresie tajemniczego stawania się...

Wreszcie pewnego dnia zjawiają się młode, nieskończone małe istoty, widoczne tylko przy pomocy szkła powiększającego, istoty, którym zrazu więcej jeszcze potrzeba opieki, aniżeli jajeczkom, ukrytym w gnieździe z iłu. W tej porze zachowanie się ojca wykazywać poczyna rysy wzruszające. Z trudem niszczy on dach gniazda ponad wylęglętem już maleństwem, ale nie puszcza je jeszcze na wolność w wir życia wodnego. Jeżeli one same, nabierając stopniowo sił, odważnie puszczają się w świat szeroki, sprowadza je ojciec ostrożnie z powrotem do domu, a czyni to w ten sposób, że płynie za nimi, połyka je poprostu i po powrocie znów wypłuka je do wnętrza gniazdka.

Jeszcze przez dłuższy czas małe, skupione gęsto w jednym miejscu, wydają się na fali jakby srebrnym płatkami, troskliwie strzeżonym przez starego grubego ciernika z czerwonym brzuchem.

Dopiero kiedy młode dosięgają pewnej wielkości i umieją same dostatecznie się wyżywić (bardzo młode rybki w pierwszych czasach spożywają zawartość woreczka z żółtkiem, który zawlokły ze sobą), wtedy słabnie dbałość starego ciernika, i kolonia rybek rozprasza się po szerokim wód obszarze.

Moc uczuć ojcowskich, które ożywiają ciernika

w ciągu całego tego czasu, uzupełnioną została przez najlepszych badaczy szeregiem długim rysów poszczególnych.

Ciernik, który obrał sobie nierozumnie takie miejsce dla swego gniazda, gdzie bywa odpływ morza, i wraz z uciekającą falą ustępować musiał, wracał za każdym razem wraz z przyływem i naprawiał uszkodzenia w swem gnieździe. Inny znów, którego gniazdo przeniesione zostało z jednego basenu do innego, odnajdywał je i w dalszym ciągu dbał o nie. Ten sam wierny ojciec zapracował się na śmierć, walcząc z innymi samcami, chciwymi zdobyczy, podczas kiedy od tyłu jego własne obrzydliwe samice zniszczyły mu gniazdo i pożarły jajka. »Marną jest kobieta«.

Rozumiesz teraz, dlaczego opowiedziałem ci o cierniku bezpośrednio po pająku.

Tam byliśmy świadkami współzawodnictwa pomiędzy zwykłymi niejako instynktami drapieżnymi i uczuciem miłosnem; widzieliśmy, jak samica jeszcze w chwili szaku miłosnego żywi względem samca zamiary krwiozercze. A później ta sama samica jest idealną matką.

Tu natomiast u ciernika spotykamy się z konfliktem pomiędzy instynktami drapieżnymi i uczuciami matczynymi: widzieliśmy tu matki, które gotowe są pożreć własne potomstwo.

Ale, jako kontrast, jesteśmy tu świadkami takiego krańcowego wzmożenia uczuć ojcowskich, że fakt ten pokrywa wszystko inne.

W obu wypadkach płcie stoją bardzo daleko od siebie do tego stopnia, że, pomijając jedną krótką chwilkę,

zachowują się wobec siebie, jak wrogowie, jak bezwzględni konkurenci, albo nawet, jako przedmiot zdobyczy w walce o byt.

Zdajcie sobie sprawę z odległości, jaka dzieli was od zabawnego syngamusa — przypominacie go sobie — zamieszkującego w przewodzie oddechowym kaczki, gdzie małżonkowie w ciągu całego życia trwali w najściślejszym zespoleniu płciowym; przypomnijcie sobie również owo dziwaczne diplozoon (zwierzątko podwójne), gdzie dwa obojniaki zrosły się ze sobą na krzyż.

Zarówno pająk, jak i ciernik zajmują w łańcuchu rozwojowym miejsce niezmiernie wysokie ponad diplozoon i syngamusem. Czy nie mogłoby się wydawać, że w miarę rozwoju zwiększa się rozdział pomiędzy płciami, że małżeństwo i ściśle zespolenie płciowe coraz bardziej chylą się ku upadkowi? Aliści jest to tylko złudzenie.

Właściwie pająk i ciernik stoją jeszcze poniżej tego punktu w rozwoju wszechświata, gdzie się zaczyna rzeczywiste małżeństwo. Wprawdzie już przebłyskuje niewątpliwie idea małżeństwa pośród świata zwierzęcego gdzieś daleko poniżej człowieka. Atoli ucieleśnić się mogła ona tylko, jako następcze ponowne zespolenie się dwojga osobników, duchowo w sobie niejako zamkniętych, zupełnie samodzielnych pierwotnie. A takie indywidua były dopiero możliwe, począwszy od pewnego stadium w rozwoju duchowym.

Z chwilą nastania takiego okresu — zrazu pierwszym jego przejawem musiało być wyodrębnienie zewnętrzne przedstawicieli obu płci.

Od bezmyślnego zrastania się diplozoów i syngamusów do prawdziwego związku małżeńskiego dwojga

wyższych osobników zwierzęcych, gotowych nieść sobie pomoc wzajemną, gdzie podział pracy sięga daleko po za sferę płciową i wkracza w szerszą dziedzinę społeczną — prowadzi droga poprzez otoczone zewsząd tajemnicą stadium różnicowania, kiedy indywidua — i te nawet, które pod względem płciowym wzajem od siebie zależą — wyodrębniły się od siebie, uzyskały pewną samodzielność. Dopiero kiedy utrwała się taka ściślejsza indywidualizacja, mogła znów mocą postępu ukształtować się postać wyższego zespalania się.

I nie ulega wątpliwości, że dziwaczne komedye miłosne zarówno u pająka, jak i u ciernika noszą na sobie ślady tego stanu przejściowego.

Zastrzedz się jednak należy, że widzimy tu tylko stężały kraniec tego niezbędnego okresu przejściowego; tu mamy do czynienia z tą krańcową ostatecznością, gdzie dwie płcie jednego gatunku pajaków, wyodrębniając się indywidualnie, tak daleko odbiegły od siebie, że wreszcie, kiedy się jeszcze z konieczności zetknąć muszą, następuje konflikt dwu instynktów: odżywczego i miłosnego.

Atoli, oba wypadki (pająk i ciernik) pomimo to wszystko zbliżają nas bardzo ku owemu wyższemu związkowi małżeńskiemu w świecie zwierzęcym, związkowi, który właśnie znów idealniej łagodzi owo spotęgowane przeciwieństwo pomiędzy indywidualnościami płciowymi; najlepiej wyrozumieć się to daje, kiedy zważymy na nadzwyczajne spotęgowanie uczuć rodzicielskich, poprostu z siłą żywiołową szukających sobie ujścia. Zgoda, że w każdym wypadku uczucia te dotyczą tylko wyłącznie jednej płci, — ale znamienym jest fakt, że w każdym wypadku chodzi o inną:

raz chodzi o samicę-pająka, a drugi raz o ciernika. Przy innej sposobności pomówimy jeszcze słów parę o tych uczuciach; uczynimy to wtedy, kiedy w miarę zbliżania się do człowieka cały szlak rozwojowy tych uczuć zaznaczać się będzie coraz intensywniej i dosięgnie wreszcie najwyższego stopnia stężenia. A teraz przypuśćmy tylko, że chodzi o zasadnicze zjawisko życiowe, wprawdzie już teraz zjawisko o bardzo uduchowionem obliczu, które staje się dopiero wyraźnem u zwierząt od chwili, kiedy przejawiać się poczyna duch ludzki.

W każdym razie przez wyłanianie się tego nowego powołania dla indywiduum przerzucony został nowy most do wyższej małżeńskiej, lub przynajmniej cechy takie posiadającej pracy wspólnej i bardziej idealnego ponownego zespolenia się dwu płci po za właściwym aktem płciowym, i to samo przez się musiało działać, jako czynnik regulacyjny, przeciw ich nadmiernej indywidualizacji i wyodrębnianiu się.

Pająk i jego samica, ciernik i pani Ciernicka stanowią każde najściślej wyodrębnione indywidua, do tego stopnia, że dochodzi tu do zaparcia się wszelkich uczuć miłosnych, wszelkich stosunków płciowych, wszelkiego »głodu miłosnego«, który hamuje lub niweczy drapieżne instynkty żołądka wobec towarzysza innej płci. Akt płciowy i tu wprawdzie jest nieunikniony, bowiem w przeciwnym razie runęłoby całe ich dalsze istnienie, ogranicza się jednak do jednego odstręczającego momentu, już pomijając to, że w jednym wypadku na skutek konfliktu sprzecznych instynktów związany jest ten moment poprostu z niebezpieczeństwem dla życia. Wydaje się, jakobyśmy stali tu na przeciwległym zupełnym krańcu tego, co rozumiemy pod rozwojem małżeństwa. A jednak

i tu, pośród takiej fazy krańcowego rozdziału płci, wyłaniają się w stosunku do potomstwa gorące uczucia macierzyńskie u samicy pająka, zaś u ciernika odpowiednio silne i trwałe uczucia ojcowskie.

I oto indywiduum dotarło w swym rozwoju do takiego punktu, kiedy mogłoby się wyzwolić z więzów płciowych, i oto pod pewnym względem, mającym znów przynajmniej pośredni związek z płcią, czuje się z czemś zespolonem, co sięga poza samodzielność indywidualną. A co by się stało wtedy, gdyby stąd jednak znowu wyłoniła się nowa potrzeba współżycia? Gdyby się okazało, że samica pająka i ciernik s a m i nie umieliby dostatecznie sprostać swym obowiązkom rodzicielskim i drugiej potrzebowałiby do tego istoty?

Oczywiście, że druga płć byłaby i tu naturalną towarzyszką. Gdyby więc tak się stało, że budową gniazda zainteresowałiby się również pająk i samica ciernika, zamiast, żeby czynność ta spoczywała wyłącznie na barkach samicy pająka i ciernika?

Czy widzisz, jak rozprasza się gęsta mgła poranna, a w tem miejscu jawi się szlak purpurowy...?

Nie będzie to nowy jakiś związek syngamusowy, gdzie małżonkowie w ciągu całego życia złączeni są ze sobą cieleśnie, jak dwie zrosnięte kielbasy. Będzie to zupełnie nowy związek obronny pomiędzy dwoma osobnikami, zrazu zupełnie ściśle wyodrębnionych indywidualnie, związek, zawierany w celu obrony małych, budowania gniazda i jego ochrony.

A potem z tego nowego idealnego związku, który sam stanowiłby krańcowe przeciwieństwo ponownego zrastania się i skłąbiania cielesnego, wyłoni się zwykły popęd miłosny mężczyzny do kobiety, niejako na dro-

dze rozwoju wstecznego, ale też nową siłą brzemienny, wywyższony, uduchowiony popęd, któremu towarzyszyć będzie zupełne poszanowanie wzajemne dla obu indywidualności płciowych — powstanie wyższe małżeństwo w świecie zwierzęcym. A to wyższe zwierzę — to człowiek!

Rzućcie raz jeszcze przelotne spojrzenie na całą drogę przebytą — wstecz aż do mgławicy, która spowija starą bajkę o karzełkach. Na początku wogóle nie było zupełnie rozdziału płci; pierwsze rozmnażanie się przychodziło do skutku przez podział komórki. Później niejako z potrzeby przewyciężenia tego zwykłego podziału następuje w drodze powikłanego rozwoju okres zlewania się, stanowiącego etap wyższy w rozmnażaniu się istot żywych. Dwie komórki szukają się wzajem — i stapiają się ze sobą; jedna mała — męska i jedna wielka — żeńska. Komórki poszczególne tworzą później zrzeszenia komórkowe; każde z tych zrzeszeń wytwarza pewną liczbę męskich albo żeńskich komórek w celach następczego zlewania się wzajemnego: i oto powstają męskie i żeńskie osobniki wielokomórkowe, jakby ustroje drugiego stopnia.

W tych samcach i samicach walczą teraz dwie zasady. Jedna — to wciąż naprzód postępująca sprawa indywidualizacji, która wyodrębni a jedno zwierzę od drugiego, jedno indywiduum od drugiego, wreszcie samca od samicy. Druga zasada — to prastary instynkt miłosny, który zniewala oboje wzajem do siebie conajmniej do jednego aktu, do aktu zapłodnienia, ale i naogół musi od czasu do czasu budzić w nich uczucia pewnej sympatii wzajemnej, której wynikiem ostatecznym będzie całkowite, trwałe zespolenie się. Niekiedy

w biegu rozwoju spotykamy się z przewagą ostatniej zasady; widzimy przypadki, gdzie dochodzi do ponownego zrastania się ze sobą dwu istot: oto diplozoon, które już przedtem było hermafrodytycznem stworzeniem, dalej syngamus — i wiele innych jeszcze. Atoli w tych próbach prostackich w jednym widzimy kierunku jakiś pierwiastek wsteczny: widzimy upadek indywidualności ściśle wyodrębnionej; jakże mizerni są np. owe samce dodatkowi u raków-wąsowców, jakże śmieszni są ci tannhäuserzy w zielonej bonelii. To krok wtył! Wszakże właśnie ta druga zasada, mająca przedewszystkiem na celu odgraniczać i indywidualizować — jest niewątpliwie wyższą. Naogół biorąc tak! Ale jeżeli staje się zbyt krańcową, to i ona ma złe strony. Niekiedy rozgraniczanie płci sięga tak daleko, że prawie zupełnie odbiegają od siebie. Wtedy niema zupełnie miłości pomiędzy niemi, zdarzają się tylko wstrętne, podstępne chwile, w których odbywa się zapłodnienie. Widzieliśmy małżeństwo pajęczę, które się wzajem pożera; widzieliśmy, jak ciernik sprowadza sobie samice, niby prostytutkę, ażeby ją zaraz potem wypłoszyć. A więc i tu jest coś nienaturalnego. A jednak jest to pomost, ku czemuś wyższemu wiodący. Poprzez usprawiedliwiony system indywidualizacyi i nawet wyodrębnianie osobników dwu płci przechodzi przyroda do nowej postaci współżycia. Oto pielęgnowanie dzieci! Uczucia rodzicielskie nakazują rodzicom przestawać ze sobą dłużej, niż tego wymaga sama chwila zapłodnienia. Chwila ta podporządkowuje się nowej, wyższej, idealnej sile tego dobroczynnego pierwiastku, który stanowił jednak jądro i owej drugiej zasady (zespolenia płciowego). I na tem podłożu rozwija się współżycie rodziców również i w okre-

sie właściwego obcowania płciowego, kiedy dzieci jeszcze niema, współzycie, które pozostawia jeszcze swobodę indywidualności; następuje wreszcie zupełnie pokojowy związek pomiędzy płciami, który jednak jest tak daleki od wszelakiego zrastania się ze sobą, jak niebo od ziemi, a raczej zachowuje charakter wyższego, uduchowionego związku społecznego. I powstaje małżeństwo.

Jeżeli w ten sposób, w perspektywie rozwoju historycznego, spoglądać na małżeństwo, to natychmiast również spostrzedz można niebezpieczeństwa ruchu wstecznego, które dziś jeszcze i nad nami wciąż wiszą. Największe z nich — to niebezpieczeństwo znów wzbierającego prądu, którego treścią jest pogwałcenie j e d n e j płci, niebezpieczeństwo powrotu do typu, którego wyobrazicielami są bonellia i rak-korzeniowiec. Tam samce byli zwyrodniali; ale i samica może przejąć na siebie tę rolę. U pająka samica jest jeszcze silniejszą fizycznie, a u ciernika — już nie. Wyobraźmy sobie teraz chwilę, kiedy rozwój zwierzęcy wstąpił w krąg świetlany, na którym widniał napis »człowiek«, — z samica słabszą! Czy wyobrażacie sobie tę wielką walkę, którą przebyć musiała ludzkość?

Wraz z ludzkością w s z y s t k o wypłynęło na światło dzienne, wszystko, co się wywyższyło, zostało uświęcone wśród walk tysięcznych; i uświęcone zostało małżeństwo, otoczone aureolą tego, co jest najwyższym wyrazem człowieczeństwa. A w małżeństwie został jednocześnie przyłożony topór do owego starego korzenia, z którego tyle wyrosło nieszczęść: starano się uniknąć pogwałcenia w małżeństwie jednej indywidualności płciowej. Zostało uratowane małżeństwo samo,

ale zarazem uratowaną została absolutna indywidualność kobiety, jako człowieka, żyjącej obok człowieka.

Z pająka-samicy, która pożera samca, oraz z cieniaka, którego samica prowadzi gnuśny żywot cygański, powstało małżeństwo pomiędzy człowiekiem i człowiekiem, oparte nie na jakichś małostkowych prawidłach chwilowo obowiązującego kodeksu moralnego, ale na potężnym motywie użyteczności, na zasadzie idealnej stowarzyszenia się w celach obrony. Obowiązuje w nim jednak niechybnie jeden niezbędny warunek; absolutna swoboda wewnętrzna obojga indywiduów, jako takich, zarówno mężczyzny, jak i kobiety; najslabsze uchybienie temu warunkowi niszczy całą budowlę. Wiadomo wszak, do jakich nieskończonych zawikłań to dziś jeszcze prowadzi. Prastary konflikt nie znalazł jeszcze w nas ludziach ostatecznego swego rozwiązania. Istotne małżeństwo po większej części dopiero zdala nam przyświeca, niby prawdziwa gwiazda przyszłości, zamiast być prastarą, uświęconą tradycją, w którą »wierzyć« tylko należy, ażeby ją osiąść. Nie wstecz, a przed siebie patrzeć musimy, ażeby takie małżeństwo zrozumieć. A dziś zwłaszcza oszalała nas potok sprzeczności, bardziej wezbrany, niż kiedykolwiek, potok, którego źródło sięga po przez miliony lat do najodleglejszych początków świata zwierzęcego, i jest o wiele starszy, aniżeli człowiek wogóle.

Na podłożu epoki historycznej, która usiłowała raz jeszcze pogwałcić, poniżyć godność kobiecą, piętrzyć się znów zaczyna przed oczyma waszemi protest, domagający się wolności indywidualnej. Reakcja ta sroży się z taką siłą, że, zda się, pochłonie małżeństwo całe. Ale szal minie, przeciwności znów się zrównoważą.

Przyjdzie czas, kiedy się to wszystko ułoży, a wtedy wy, ludzie dzisiejsi, będziecie znów tylko tem, czem są dla was obecnie diplozoon i syngamus, Bonellia i rak-korzeniowiec, pająk i ciernik. Dlatego też nie pogardzajcie tymi starymi bojownikami. Uczcie się od nich. Nie zakrywajcie sobie oczu, jakgdyby to był dawny jakiś obłęd przyrody, któremu się przyglądacie. To wasz własny obłęd, jeżeli to jest obłędem. Atoli jeżeli wierzycie w światło nieskończonego następstwa wszechrzeczy, z którego, niby pył srebrny, padają światy, jeżeli wierzycie w światło w was samych, w waszych oczach, przesłonecznionych, słońcem pijanych — to zrozumiecie, że i to, co tam żarzy się cicho, niby gwiazdka błękitnawa, jest już waszem światłem...

Ciernik jest rybą, należącą do klasy t. zw. ryb cierniopletych. Niedaleko poniżej tej klasy odchyliło się drzewo genealogiczne człowieka od takiegoż drzewa ryb, ażeby poprzez trytona, płazy i gady wytworzyć ssaka. A ryba stanęła na etapie rozwojowym ciernika; zaś z ssaka powstał człowiek. Dziś odległe gałęzie wielkiego pnia rodowego znów naginają się ku sobie. Jeden jest panem ziemi i prędzej czy później rozstrzygnie o losach drugiego według swego widzimisie. Mały ciernik nie przedstawia nic dla podniebienia ludzkiego — niektórzy uważają go poprostu za coś niezdrowego; więc zapewne pewnego dnia człowiek wytępi go wraz z jego dziwaczniemi tradycjami miłosnemi.

Atoli mimowoli wyobrażamy sobie taki moment: gdyby przeciwnie w stawaniu się człowieka sam ciernik był jednym z licznych ogniw? Gdyby dziś nie człowiek

był panem ziemi, jak to jest w istocie, ale jacyś potomkowie cierników, mieszkańców wód modrych?

Ciernik, przeobrażony w zwierzę pierwszego rzędu, zwierzę, uposażone duchowo, byłby może pośród innych przemian przekazał kulturze swoją zawiłą metodę miłosną! Jakżeby to na pozór zmieniło sytuację! U podłoża historii kultury stanąłby taki kodeks moralny, który uważałby matkę za naturalnego wroga jej dzieci. Prawo, które ujęłoby to w formę lapidarną, musiałoby ściśle przestrzegać dwu zasad odrębnych: czcij ojca twego — i nienawidź matkę swoją. A mędrzec nad jeziorem Genezareth w tej ludzkości, z ciernika powstałej, mędrzec, który pragnąłby tak szeroko pojąć miłość, jak nikt jeszcze przed nim tego nie uczynił, któryby dla miłości zechciał odwrócić wszystkie obowiązujące dotąd prawidła moralne, doprowadzając je do ich ostatecznego przeciwieństwa, nie mógłby znaleźć bardziej jaskrawego, bardziej potwornego przykładu ponad aforyzm: »Kochajcie nawet matkę swoją...«

Prądy ówczesne wezbrałyby wtedy zapewne z siłą szaloną i pochłonęłyby owego mędrca za takie żądanie kacerskie. Ale później, stopniowo, z trudem, prawie z rozpaczą przyzwyczajając się do tego, współcześnie byłiby wreszcie uwierzyli, podobnie jakżeśmy zrozumieli albo przynajmniej rozumieć poczynamy, że należy kochać wszystkich ludzi.

Atoli, najbardziej interesującym w takich marzeniach to świadomość, że na ogół rzeczy jednak w końcu byłyby się ukształtowały tak samo, jak dziś.

Walka ludzkości o wolność toczyłaby się może musiała u jednej krawędzi o parę tysięcy lat dłużej. To, co nasza ludzkość odziedziczyła już po zwierzętach,

tamta musiałaby dopiero zdobywać w zakresie własnej kultury. Ale jednak zdobyćby to musiała — z absolutną pewnością! Rzeczywiście zjawiłby się pewnego dnia ów wielki zwiastun miłości macierzyńskiej. Miłość macierzyńska to etap po drodze ku wszechludzkiej miłości. My mieliśmy tę miłość macierzyńską za punkt wyjścia; tam trzeba byłoby dopiero ten etap zdobywać; ale nastąpićby to musiało tą samą drogą logicznego rozwoju.

Na tem właściwie polega cała pouczająca strona tego procesu myślowego, i oto dlaczego zaprzętnąłem nim tutaj waszą uwagę: Oczywiście, że w przebiegu historycznym było to koniecznością wewnętrzną, że »człowiek« wywiódł się nie z ciernika i jego potomków, a z innej linii kręgowców, stanowiącej wcześniejsze rozgałęzienie tego pnia ogólnego. Musiały istnieć po temu pewne poszczególne przyczyny w przebiegu rozwojowym. Atoli często właśnie się zdarza dziś, że ktoś powierzchownie obznajmiony z pojęciami darwinistycznymi, chętnie uważa »wypadki« w takim rozwoju, jako coś bezwzględne. Co więcej, poczytywanem bywa za rzecz wypadkową wszystko, cokolwiek w procesie stawania się człowieka przekazane było dziedzicznie tą drogą, a nie tamtą tj. poprzez salamandrę zamiast przez ciernika: kawałek giętkiej materii kostnej, kawałek substancji nerwowej lub wreszcie jakaś odmienność w sposobie oddychania! I gdyby nie było tego nikłego cienia przypadkowości, to według tego rozumowania — wystrzelili u szczytu inny zupełnie fajerwerk!

Ale ile jest w tem prawdy? Przecież koniec końców wszystko opóźnienie musiałoby być powetowaniem,

i rezultat byłby jednak ten sam. Gdyby »przypadek« pokierował inaczej, naogół nie zmieniłyby się zupełnie właściwy bieg rzeczy, mógłby tylko pewny szereg porządkowy zjawisk uleść pewnemu kalejdoskopowemu przesunięciu. Pewne rzeczy, które w innych warunkach stałyby się wcześniej, musiałyby być później powetowane, natomiast w innych rzeczach znowu działałyby się przeciwnie.

Rozumiecie, o co mi chodzi, nieprawdaż: właśnie tak krańcowo odmienne wyobrażenie sobie wszechrzeczy, jak w przykładzie z ciernikiem, może raczej wszystko inne mieć, jako rezultat, niż zachwianie pod nogami naszymi gruntu, na którym oparte są nasze rzeczywiste ludzkie zdobycze kulturalne. Owszem, grunt ten umacnia się właśnie dzięki temu. Dopiero wtedy po za wszystkimi możliwymi zmianami, zależnymi od przesuwania się kalejdoskopu zewnętrznych zjawisk i »przypadków«, uświadamiamy sobie dokładnie i niewzruszenie to niezmiennie, nieubłagane logiczne »wzwyż«. Tylko w jednym wypadku doznacie niezadowolenia, jeżeli zamiast przysięgać na ideę rozwoju, uczepicie się jakiegokolwiek zewnętrznej formułki moralnej, jakiegoś zjawiska etycznego, na drodze, którą przebyła kultura ludzka, i w czym zechcecie gwałtem doszukiwać się jakiejś gwarancyi absolutnego »porządku świata« przez stałe zespolenie się z tem zjawiskiem.

Zaprzepaść głowę swą w dziko rosnącym wrzocie, niby w czerwonej koronie cierniowej, tę twoją umęczoną głowę ludzką, na której ciąży tyle filozofii, tę głowę, która ma pojąć wszystko: od płomienistego pasa

Oriona aż do kuli Volvox, toczącej się, niby cały świat odrębny, po kropli wody ziemskiej.

Zaprzepaść głowę swą w tym wrzosie — i słuchaj. Słyszysz cichy brzęk pszczoły, co spieszy z kwiatka na kwiatek? Oto rozplywa się w poświacie, jako błyszczący pyłek słoneczny, i delikatna melodia jej skrzydełek dźwięczy w oddali. I tu filozofia, wszędzie filozofia. I tu znów, w tej małej pszczołce we wrzosie, odkrywa się przed oczyma naszymi cały świat problemów i cała głębia filozofii miłości.

Czy znacie legendę o tym świętym, który skarżył się swemu Bogu, że świat jest za ciasny dla szerokiej myśli jego. Wtedy Bóg odsłonił przed oczyma jego tajemnice w pyłku słonecznym zawarte. Minęło lat tysiące, zanim Bóg ów zjawił się znowu na ziemi, a święty wciąż jeszcze siedział z oczyma wlepionymi nieruchomo w pyłek słoneczny: dopiero był na początku samym...

Idźcie myślą swą wślad za pszczołą. I jej ciche, senne, delikatne brzęczenie stanie się dla was potężną melodią. Naraz owionie was atmosfera miłości, która stała się państwem miłości, co w państwie weszła i choć spojona trwałymi więzadłami »państwa«, w końcu mimo to napotkała mur nieprzebyty...

Smutna to właściwie melodia, ale potężna zato, jak mało jaka. Znasz ją zaledwie trochę. Zapewne słyszałeś o pszczołce i jej państwie, o trutniu i o matce-królowej. Słyszałeś pobieżnie, jak się słyszy dziś o tysiącu rzeczach. Przecież to jest właśnie cechą charakterystyczną współczesnego wykształcenia, że wrzuca ono w głowę niezliczoną masę rzeczy, od Oriona począwszy aż do wymoczka — ale wszystko, jako wyraz.

I wszystko, zdaje się, kończy się na wyrazach,

ale istota rzeczy pozostaje obcą, jak gdyby zabił ją wyraz.

O właściwej miłości u pszczoły nic nie wiesz i nie przypuszczasz, że rozpoczyna się tu znów niezmiernie pouczający rozdział, który sięga również sedna najważniejszych kwestyj ludzkich. Posłuchaj więc.

Oto idzie jedna z tych małych, włochatych ślicznotek, oto druga i trzecia. Przechodzi z kwiatu na kwiat, według znanej każdemu dziecku metody pszczelej. Nie jest to jednak bezpożyteczne przyzwyczajenie, ani też tylko łakomstwo. One coś zbierają, one »pracują«. Tu wchłaniają miód z kwiatów, tam wodę; tu pył kwiatowy (nasienie) przykleja się w postaci spodenek do nóżek tylnych, które specjalnie są do tej czynności przystosowane, tam znów wosk. Ale nasamprzód wiedzieć trzeba, czym jest wogóle taka pszczoła?

Jest owadem.

Jeszcze raz zbiegnij w dół po tej wielkiej drabinie. Z jednokomórkowego prazwierzątko powstała gastrea, gdzie pierwszy raz napotykamy coś w rodzaju żołądka. Stąd na lewo droga wiodła do polipa, a na prawo do robaka. Z robaków rozwinęło się kilka wielkich rodów zwierzęcych, z których jeden wydał kręgowców i człowieka, a drugi poprzez dżdżownicę poprowadził do raka, stonoga i pająka. Aż wreszcie w tej linii ostatniej znalazły się w końcu i owady.

Owad stanowi najwyższy wytwór swego rodu, t. zw. rodu stawonogów.

Prawdopodobnie rozwinął się też koniec końców ze stonoga, jak pająk. Liczne nogi stonoga zlały się ze sobą i utworzyły 6 par nóg, jakieśmy to już wzmiankowali mówiąc o pająku. Z liczby tych 6 par, 3 sto-

pniowo stały się narzędziami do chwytania i przetwarzania pokarmów, a reszta służy do biegania. Właściwych nóg jest więc 6 i po tem poznać też można każdy prawdziwy owad. Skrzydła, jakie poza tem widzimy u wielu owadów, nie mają gienetycznie nic wspólnego z temi nogami: powstały one z fałd na skórze grzbietu — w zupełnem przeciwieństwie do skrzydeł u kręgowców, np. u ptaków albo nietoperzy, gdzie skrzydła są zawsze prawdziwemi nogami przedniemi, przekształconemi tylko nieco w zastosowaniu do latania.

A teraz wyobraź sobie jeszcze poszczególnie, że te owady od samego początku swego istnienia dzieliły się na cały szereg grup, dość różnych pomiędzy sobą. Takie grupy stanowiły motyle, bąki, muchy, pluskwy, szarańcze, ważki i muchy-jednodniówki. Wreszcie jedną taką grupę obok innych tworzyły t. zw. błonkoskrzydłe czyli pszczoły.

Zwykła w mowie potocznej używana nazwa »pszczoła« obejmuje dla przyrodnika i to, co nosi nazwę pszczoły, trutnia i szerszenia, a i mrówka wreszcie również dodatkowo tu należy.

Bez wahania możecie te wszystkie błonkoskrzydłe uważać istotnie za najwyższy wytwór pokolenia owadów. A że owad już sam przez się stanowi szczyt rozwoju dla stawonogów, to brzęcząca pszczołka stanowi najwyższy szczebel tej wieży, ponad który nic u tej krawędzi nie wybiegło. — Można sobie nawet pozwolić na śmiałe porównanie, że pszczoła i ściśle związana z nią mrówka, jest to »człowiek« swego pokolenia, jest ona w rzeszy swych sześcionogich przodków takim samym szczytem, jakim jest dwunogi człowiek w rodzie kręgowców (ryb, płazów, gadów, ptaków i ssaków).

Jest tylko ta różnica, że człowiek na ogół wywyższył się nieskończenie dalej, aniżeli nawet najmędrsza pszczoła.

Tu przerwiemy naszą ponowną wycieczkę w dziedzinę darwinizmu. A teraz przejdźmy znów do spraw miłosnych. A więc pszczoła jest owadem takiego a takiego rzędu. Ale czemuż jest ona w danym wypadku właśnie pod względem płciowym? Czy ta pszczoła jest tu samcem czy samicą? czy jest jedną z owych potwornych postaci hermafrodytycznych? I oto — widzicie — zaraz po drodze mamy coś z dziedziny cudu.

Niedawno badaliśmy erotyzm pająka-krzyżaka. Byliśmy wtedy jeszcze na bardzo niskim szczeblu w rodzie stawonogów, a mimo to już tam zarysowały się pewne cechy bardzo wyraźnie. Widzieliśmy już nadzwyczaj ścisły rozdział płci na samca i samicę. A każde z nich, zarówno samiec, jak i samica, stanowiły już dwa biegunowo różne od siebie indywidua. Przeciwnieństwo pomiędzy nimi zarysowało się tak wybitnie, że nie było mowy o »małżeństwie«; były tylko przelotne spotkania w celach zapłodnienia — a po za tem płęć jedna wobec drugiej zachowywały się wrogo.

Atoli podaliśmy to właśnie, jako przykład krańcowy. Mówiliśmy wtedy, że ścisła indywidualizacja obu płci była sama przez się czemś niezbędnem, częścią wewnętrznego postępu, zapowiedzią wolności wogóle. Musiała ona nasamprzód nastąpić kiedyś, a wtedy dopiero niejako »dojrzało« ponowne ciążenie obu płci ku sobie — dopiero pod warunkiem owej indywidualizacji mogła rozwinąć się pomiędzy samcem a samicą wyższa, wolna postać stowarzyszenia obronnego, mogło rozwinąć się małżeństwo w naszym wysokim rozumieniu.

Ale wtedy też powstać to musiało. Już wzmiankowaliśmy, gdzie prawdopodobnie leży punkt wyjścia dla tego powtórnego pojednawczego postępu, że tym punktem wyjścia jest piecza nad potomstwem. Widzieliśmy samotną samicę-pająka oraz samotnego ciernika-samca. Teraz przypomnijmy sobie parę ptaszęcą, gdzie owa wyższa postać małżeństwa zarysowuje się wybitnie, gdzie oboje rodzice karmią tu swoje małe i opiekują się nimi, a będziemy mieli przed sobą całą drogę, która musiała obie płcie doprowadzić znów do pojednania.



toli zatrzymując się na pszczole, dalecy jesteście jeszcze nawet od jaskółki lub słowika, choć podnieśliśmy się już o spory kawał ponad pająka-krzyżaka. Wiecie też zapewne, że pszczoły i mrówki żyją gromadnie, w czym oczywiście daleko wyprzedziły pająka na drodze pojednania się obu płci, i że troskliwie dbają o dzieci swoje. Spodziewam się przeto, że już tutaj przynajmniej bliscy jesteśmy owego wyższego etapu rozwojowego małżeństwa. Pszczoły, jakieśmy widzieli, »zbierają« coś tam we wrzocie, chcą coś dokądś ponieść. Cóż prostszego, że przynoszą one to coś, co zbierają, swoim młodym, swoim larwom?

Przypadkowo już sam proces zbierania jest stałym aktem miłosnym — nie dla samych pilnych pszczoł, ale dla odwiedzanych przez nie kwiatów. Już wspominaliśmy kiedyś o skrzyżowanym zapładnianiu się roślin. Mówiliśmy o tem, jak zakaz gwałcenia doboru naturalnego w przyrodzie nie pozwala im zapładniać się samym, nawet kiedy w jednym okwiecie oba rodzaje narządów płciowych posiadają (męskie pylniki i żeńskie słupki) i jak we fruwających tam i sam owadach znalazły szczęśliwie swą pocztę miłosną, z której korzystają z konieczności, bowiem same dla dopełnienia aktu miłosnego zbliżyć się ku sobie nie mogą. Otóż obławowują one w jednym miejscu gościa pyłem nasiennym, a gdzieindziej znów wyciągają ku niemu gotowe do zapłodnienia żeńskie narządy, które chciwie odbierają, niby mannę życiową, to obce nasienie. I pszczoła to taki wieczny *postillon d'amour*, co mimowoli unosi ze sobą cząsteczki pyłne i, zrzucając je w odpowiednim miejscu, przysłu-

guje się w ten sposób roślinom. A obok tego dla własnego użytku gromadzi w sobie całe składy pyłu kwietnego i miodu i zabiera ze sobą. Ale to wszystko po to tylko nadmieniliśmy tu w nawiasie, ażeby zwrócić uwagę, jak pszczoła po drodze swej codziennej, szarej pracy na chleb, pozostawia za sobą smugę świetlną miłości — dla innych.

A jak z jej własną miłością? Jeżeli ta skrzętna zbieranina dokonywa się dla młodych, które z rozdziawionymi, głodnymi pyszczkami w domu czekają, to należy przypuścić, że sama ona ma już po za sobą żywe uczucia miłosne...?

Schwycić jedną. Broni się, kłuje. Ale oto jednak właśnie zginąć musi, na niechybną skazana jest śmierć, bowiem ostry sztylet, którym się broni i który zostawia w ranie, zadanej człowiekowi, nie był jakimś przyrządem zewnętrznym, a członkiem jej ciała własnego, a z chwilą, kiedy on odpada, pszczoła raniona jest śmiertelnie. A więc poświęćcie ją już, rozejrzyjcie się w jej narządach wewnętrznych, jej narządach płciowych i odpowiedzcie sobie na wielkie pytanie, z czym macie do czynienia: z samcem, czy z samicą?

I znajdujecie rzecz dziwną. Prawie, że żal wam waszej ofiary. Oczywiście, napotkaliście na biedną męczenniczkę w sprawach miłosnych, którą już życie samo dość niemilosiernie napiętnowało.

Jeszcze po ogólnym składzie ciała poznać można, że to samica, ale właśnie samica pod względem płciowym zupełnie nędzna. Narząd, gdzie wytwarzają się jaja, tak jest zniszczony, że zaledwie poznać w nim można jeszcze jajnik, opatrzony parą pustych wyrost-

ków w miejscu, gdzie można było oczekiwać liczne grube przewody.

Zanikłem i niedrożnem znajdziecie wszystko, co mogłoby służyć do zapłodnienia. Jest to więc westalka z przymusu, pozbawiona wszelkich małżeńskich i macierzyńskich rozkoszy. A mimo to biedne to stworzenie zajęte było zbiorem! Dla kogo ono zbierało?

I wzruszenie ogarnia na myśl, że może samo macierzyństwa pozbawione pracuje dla cudzych dzieci — w bezwiednej tęsknocie ku drodze do Madonny...?

Ale cóż się dzieje! Chwytnie drugą, trzecią z tych szperaczek po wrzosie. Wciąż ta sama smutna zagadka. Wszystkie wydają się, jakgdyby były w stanie zaniku, wszystkie prawie bezpłciowe. Wszystkie te tam setki, tysiące, co wciąż bręczą po lesie, nad miedzą waszą, po waszym ogrodzie kwietnym — wszystkie bezpłodne, do życia płciowego niezdolne.

Pełen wesela obraz przesłania się jakby mgłą. Wszędy miłości szął; każde odwiedziny pszczoły w dojrzałym kwiecie — to uroczystość tworzenia; wszędy bąki, muchy, ważki znajdują się wzajem, chwytają i zapładniają; różnobarwny motyl to tylko wyzwolony elf miłosny; błękitne przestworze przepojone złotym pyłem miłosnym od przepylonych kwiatów, które z upragnieniem żarliwym wyczekują owadów dla stosunków płciowych. A pośród tego wszystkiego kładzie się cień. Najmilszy dla nas, najbliższy nam, najzważniejszy rój pszczoł stanowi biedne, samotne, szare zrzeszenie istot wydziedziczonych, które nigdy nie brały i nie będą brały udziału w miłości... Ale nastęcza się oto teraz pytanie jeszcze poważniejsze: dla kogo one zbierają? Jeżeli wszystkie są istotami bezpłciowymi — to dla jakiego,

dla czyjego potomstwa owe zbiory? Jakim sposobem wogóle ród ich się rozmnaża?

Poniechajcie mordowania tych istot i idźcie w ślad za jedną taką westalką w jej wędrówce życiowej. Oto już zbierała dosyć, obładowana unosi się w górę i leci do domu. W bliskości zielonego płotu, gdzie czyniliśmy spostrzeżenia nad parą pajęczą, stoją ogólnie znane ule, owe domostwa sztuczne, pozostawione przez człowieka pracowitej pszczole, które ona wewnątrz oporządza.

Człowiek nawiązał z pszczolą taki sam stosunek, w jakim ona sama pozostaje do wydzielających pył kwiatów. Człowiek okazuje pszczole pomoc w zakresie jej potrzeb życiowych, a wzamian odbiera jej wciąż pewien nadmiar owoców jej pracy w postaci smacznego miodu dla swych celów osobistych.

W otworze takiego ula znika nasza obładowana westalka. Jest u siebie w domu. Dom ten, to odrębny cudowny świat, który rozwiązuje również zagadkę jej własnego biednego, bezpłciowego życia. W porównaniu z tym cudem przyrody wszystko to, co opowiedzieliśmy dotąd z dziedziny miłości, stanowi zabawkę dziecinną. Nawet tasiemiec nie może tu iść w porównanie. Jestto poprostu wyjątek. I gdyby planeta nasza nie wytworzyła nic ponadto, gdyby nie było człowieka, ludzkiego raju, ani ludzkiego obłądu, byłaby już nosiła znamiona planety, wyobrażającej szczyt cudu.

A więc westalka wsuwa się do wnętrza ula. W tym sztucznym domku żyje tysiące pszczoł w najściślejszym zrzeszeniu. Gdyby nie miały domku od człowieka, musiałyby zadowolić się dziuplęm w drzewie lub czemś

podobnem. Atoli człowiek od lat tysiąca tak konsekwentnie tych mieszkań im dostarcza, że osiedlanie się dowolne prawie zupełnie w rachubę nie wchodzi. A to, co poczyną sobie pszczoła w tym domku sztucznym, jest w każdym rysie równie konsekwentne i stanowi znów jej najosobistszą własność. I dlatego tylko warunkowo można ją nazywać »zwierzęciem domowem«. Pies, który służy wiernie człowiekowi i zdaje się mieć odpowiedni spryt, przystosowany do wszystkich celów ludzkich, ten pies w pewnej mierze istotnie »stworzony« został przez człowieka.

Pszczołę człowiek otaczał opieką, ale nie mógł wpływać na jej ustrój wewnętrzny. Ze swymi bajecznymi, szalonymi zwyczajami miłosnymi, ze swą próbą stworzenia państwa własnego, stanowi pszczoła dla człowieka prastarą, a ciągłą tradycję, która, jako taka, spogląda na jego parę tysięcy lat kultury, jak na drobniutki ułamek czasu. On stanowi młodzież na planecie naszej, młodzież najmłodszą, ona zaś wyobraża czasy najdawniejsze. Owe rośliny kwiatowe, którym dla zapłodnienia potrzeba odwiedzin owadów, istnieją conajmniej od epoki kredowej, kiedy były dopiero dziobaki i workowate, a może pożeracze owadów, do jeżowców podobne, ale nie było jeszcze małąp, ani zwierząt. I tak dawno zapewne istnieją również i pszczoły. Napewno były one już w epoce trzeciorzędowej, kiedy człowiek laził jeszcze po drzewach, jako małąpolud. I oto jak potężną może być tradycya ich obyczajów. Czem-że są wobec tego państwa ludzkie, czem są te parę tysiącoleci, które w gruzy zamieniły Persepolis i Palmirę, a Ateny i Rzym przeobraziły w muzea archeologiczne...?

Ale do rzeczy... Nasza mała westalka włazi do

ula. Dookoła niej, po celach i kurytarzach, gwar, szum. Szczupłe, poprostu niepokój budzące, jedno na drugim spiętrzone zabudowania, czynią prawie wrażenie starej Troji, odkopanej przez Schliemana. Komora przy komorze, cela przy celi. Oto komory, zapasów pełne, gdzie bądź leży ów chleb słodki, ubity starannie z pysznego pyłu kwiatowego, bądź przelewa się niemal złoty miód pachnący; i wydaje się, jakobyśmy istotnie patrzyli w głąb jednej z owych olbrzymich kruz w grodzie trojańskim, które większe były od człowieka. A tam znów pokoje dziecięce, gdzie budzą się do życia małe, głodne »robaczki« albo śpią w białej kołysce jedwabnej. Dzieci! ale skądże się one wzięły?

Przecież wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz lub staniesz, u wejścia do celek, we wnękach wszelakich, u wielkiej bramy, wiodącej do grodu pszczelego, wszędzie widzisz tylko westalki same, które przylatują i odlatują bez przerwy. Naliczyć ich można na dziesiątki tysięcy: zwykle w jednym ulu jest ich od 10 do 30 tysięcy. I przekonać się można teraz dosadnie, że mimo ich płciowości zanikłej, jedno istnieje jeszcze niezaprzeczenie — to uczucia macierzyńskie. Wzruszenie ogarnia poprostu na widok troskliwości, z jaką karmioną jest i podejmowaną w pokojach dziecięcych liczna rzesza maluczkich w ulu, dopóki one same wreszcie, jako pszczołki małe, nie opuszczają swych kołysek. Ale te młode są znowu westalkami; są to znów westalki, absolutnie bezpłciowe istoty. Wypełniają one luki, stwarzane przez śmierć w szeregach już istniejących. Z chwilą kiedy dojrzewają zupełnie, wylatują one z ula, znoszą zapasy do domu, opiekują się najmłodszym pokoleniem, które tymczasem się narodziło. Ale wciąż pow-

staje to samo pytanie. Skądże się wzięło nowe błogosławieństwo?

Najwidoczniej bocian spełnia tu swe czynności bez żadnego współdziałania samych pszczół-westalek. W ciągu okresu letniego życie takiej pojedynczej westalki nie trwa przeważnie dłużej, niż sześć tygodni. Ale w ciągu tych sześciu tygodni jest ona świadkiem nieprzerwanego naradzania się pokoleń dziecięcych w ulu, które natychmiast stają na miejsce zmarłych.

Dzięki krótkiemu okresowi czasu można dokładnie zorientować się w sytuacji. Nie odbywa się to tak, że wszystkie czy też część westalek przed końcem ich sześciotygodniowego żywota nagle płęć swą odzyskują. Ani mowy o tem niema. Dorastają one w którejkolwiek celce dziecięcej, starsze westalki opiekują się nimi, potem przechodzą one drogę swego naturalnego rozwoju, przez okres gąsienicy o wyglądzie robaczka i otulonej larwy, po upływie mniej więcej 3 tygodni zjawiają się już w ulu gotowe i przystępują do pracy, ofiarując swój współdziałanie w pielęgnowaniu młodszych pokoleń, poczem umierają; urodziły się, jako westalki; jako westalki, złożyły daninę swoją na ołtarzu życia, i, jako takie, umierają. Niewątpliwie są one pierwszorzędnej wartości pielęgniarkami dziecięcymi, i to najwidoczniej z najwewnętrzniejszego powołania, ale mimo to z rodzeniem dzieci nie mają absolutnie nic wspólnego. Rozmnażanie odbywa się bez ich bezpośredniego współdziałania, odbywa się ono, niby misteryum, w ciemni zakulisowej.

Po długich dociekaniach w tej sprawie rozumowi ludzkemu udaje się wykryć co następuje.

Nasamprzód zwraca uwagę spostrzegacza pewna

garstka pszczół w ulu, które różnią się od całej rzeszy wyglądem swym i rozmiarami. Jest ich dwie lub trzy setki pośród wielu tysięcy innych; wydaje się, jakgdyby one nie wylatywały, nie pracowały wcale, a dawały się tylko karmić, a dzieje się to wszystko pomimo to, że są one zupełnie rozwinięte, a nawet wyróżniają się wzrostem i siłą. Dziwną gromadę leniuchów stanowią one w olbrzymim gospodarstwie, gdzie zresztą wszędzie kipi i wre praca.

Jeżeli schwycić jednego takiego darmozjada i przyrzyć mu się dokładnie, stwierdzić można ze zdziwieniem, że istotnie jest to samiec, t. z. truteń, zupełnie normalny samiec z całym aparatem męskim. Oczywiście postąpiliśmy już o krok ku wyświetleńiu sprawy. Pośród dwudziestu tysięcy westalek wykryliśmy teraz dwieście zdolnych do życia płciowego samców. Ale zagadka nie jest jeszcze całkowicie rozwiązana. Dobrze, samce! Ale przecież te samce i westalki nie mogą nic wzajem ze sobą począć! Czyż mamy tu przypuścić taki wypadek monsturalny, że samcy, pozbawieni samicy, płodzą sami przez siebie młode? Poprostu niemożliwe! I też nic podobnego się nie dzieje. Te leniwe trutnie nie robią faktycznie nic. Nawet nie ubiegają się za życiem płciowym, ani dbają o powstawanie i przeżycie młodych — poprostu lenią się w najdosłowniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Atoli pewnego pięknego dnia czeka skrzętnego poszukiwacza nowa niespodzianka. Jest chwila, kiedy spostrzedz można, że taka pojedyncza pszczoła, wykazująca w swej postaci zewnętrznej zaledwie nieznaczne różnice w porównaniu ze zwykłą westalką, krząta się jakoś około pustej celki dziecięcej. Wydaje się, jakoby

działo się z nią coś niezwykłego. Inne pszczoły otaczają ją gorliwie dokoła, głaszczą ją, pieszczą, karmią i zachowują się wogóle przyjaźnie i ulegle — aż tu nagle owa pszczoła podejrzana wsadza swój odwłok do celi — i składa ładne, małe, mlecznobiałe jajko. Oto mamy przed sobą owo tajemnicze stworzenie, zwane »królową«. Wobec świeżo złożonego jajka okazuje się, czem ona właściwie jest: jest to pszczoła-samica. Napróżno szukalibyśmy w całym ulu stworzenia tego samego rodzaju.

Mamy teraz na dwadzieścia tysięcy skromnych z konieczności westalek i na dwieście samców — jedną jedyną prawdziwą samicę.

Wszystka progenitura rodu całego, wszystkie zastępcze młode westalki, wszystko to pochodziło wyłącznie od tej jednej nie-westalki, od tej prawdziwej samicy, tej jednej i prawdziwej matki. I podczas kiedy owe biedne bezpłodne dziewice zjawiają się wokoło niej tysiącami, i tysiącami giną, jak liście na drzewie, ona siedzi pewna swej egzystencji, pełna wybujałej siły samica, siedzi już od wiosny wciąż ta sama i kładzie wciąż jaja w nieskończonej liczbie.

W ciągu jednej wiosny i lata złożyć może do 60 tysięcy jajek. Wobec takiego rozmnażania się, które nasuwa myśl o piasku w morzu, nie ma żadnej możliwości pielęgnować osobiście młode. Ale tem właśnie, zamiast niej, zajmują się ze wzruszającą troskliwością westalki z pokolenia w pokolenie. Ona może tylko kłaść jajka i pozwalać się karmić, ażeby jej sił starczyło — wszystko inne odbywa się samo przez się, jak w automacie.

Atoli to karmienie to nie taka prosta rzecz, jakby

się zdawać mogło. Kładzenie jajek jest samo już czynnością dość wyczerpującą i wymaga dobrego odżywiania się królowej, która w ciągu swego połogu stale zajmuje jedną celę. Ale przypominacie sobie, że wyraz: »karmienie« w sprawach miłości ma jeszcze znaczenie zupełnie specjalne. Jako правило uznawaliśmy przynajmniej dotychczas, że dla powstawania nowego tworu każde jajko żeńskie potrzebuje jeszcze jakiegoś specjalnego pożywienia, a mianowicie męskiej komórki nasiennej.

A tej tajemniczej biesiadzie sprzyja tylko jedna okoliczność, a mianowicie proces zapłodnienia.

To też mamy wszak w naszym państwie owych dwieście samców; przecież powinno ich starczyć dla jednej jedynej samicy... Mimowoli żywa wyobraźnia czytelnika przedstawia sobie, że w tej olbrzymiej świątyni Westy, wypełnionej dwudziestoma tysiącami starych i młodych dziewic, istnieć musi przynajmniej w jednym kąciku specjalne małe sanktuarium Afrodyty, gdzie oddawanoby żarliwie hołd miłości pośród tego olbrzymiego rozpasania sił rozrodczych...

Ale nic z tego, próżną byłoby pracą starać się dojrzeć coś podobnego. Ani jeden z owych leniuchów nie rusza się.

I królowa, która na równi z wszystkimi innymi mieszkańcami ula, stanowi wszak w swej pożytecznej działalności wzór pilności, zdaje się również nie interesuje się zupełnie leniwym odłamem pracowitej rzeszy. A więc i tu nic? I tu nie znajdujemy rozwiązania dręczącej nas zagadki?

Kiedy coraz dalej badać będziemy, a lat całych będzie nam już teraz potrzeba dla tych badań — coraz to nowych dowiadywać się będziemy rzeczy.

Nasamprzód przypatrujemy się uważnie królowej podczas jej samotnej i beznadziejnej czynności. Oto leży znów świeżo złożone jajko.

Weźmy je pod mikroskop. Widzimy komórkę jajową, którą wydał jajowód królowej samicy bez obcej pomocy. Ależ oto widzimy tuż i ciałka nasienne! Niewątpliwie w chwili, kiedy jajko zostało złożone, spadł na nie poprostu deszcz nasienia męskiego. Skądżeż się ono wzięło?

Kiedy weźmiemy królowę i rozetniemy jej brzuch, zagadka się wyjaśnia. Obok jajowodu znajdujemy duży gruby »worek nasienny«, wypełniony nasieniem męskim. Przypominamy sobie ślimaki w winnicach i pająki. One zaopatrywały komórki jajowe w nasienie nietylko wprost podczas zapłodnienia, ale miały jakby w rezerwie specjalne worki w ciele swoim, wypełnione nasieniem, które później w miarę potrzeby wydzielały na dojrzałe jajka. Zagadka się wyjaśnia.

Królowa nasza może złożyć nawet sześćdziesiąt tysięcy jajek w ciągu jednego roku; wystarczy jej w tym celu być zapłodnioną r a z j e d e n na samym początku. Wtedy napelniony został jej rezerwoar nasienny. I od tego czasu jest ona dwupłciową w najidealniejszym sensie tego wyrazu: wobec tego, że owe obce raz przyjęte ciałka nasienne żyją sobie swobodnie w tajemniczym uchyłku jej wnętrza, ma ona każdej chwili pod ręką dość pierwiastku męskiego, ażeby »zapłodnić« samodzielnie bez dalszej prawdziwej pomocy męskiej wszystkie swoje 60,000 jajek w miarę tego, jak jej

w kolei dojrzewają i wyłaniają się z niej w szeregu miesięcy; może ona zaopatrzyć je w potrzebny pokarm na drogę życia w sensie naszej prastarej bajki o karłach.

I tak jest w rzeczy samej. Był na wiosnę dzień jeden, kiedy królowa, podówczas panną jeszcze będąc, opuściła gród swój. »Kiedy wszystkie pąki się rozwierały«, bujała ona wysoko po przestworzach. Wtedy i leniwe trutnie poleciały wraz z nią i towarzyszyły jej. Aż do tej godziny weselnej była i ona westalką, ale tylko ze względu na brak chwili sposobnej, a nie, jak owe inne tysiące w państwie ze względu na niezdolność cielesną, na którą skazane zostały przez niszczący wyrok natury. I była ona westalką aż po ową godzinę — ale nie dłużej. Po powrocie ze swej wycieczki szalonej, była królowa już na zawsze — samicą zapłodnioną. Atoli już nigdy więcej, raz na zawsze, nie trzeba jej było samca. Jej worek nasienny, raz wypełniony po brzegi, dostarczał już materiału zapładniającego dla niezliczonej liczby jajek.

Istnieje przypuszczenie, że i wewnątrz ciała kobiecego przechowywać się może przy pewnym zespole okoliczności nasienie męskie, nie tracąc swej siły żywotnej. Jeżeli teraz wyobrazić to sobie na przeciąg miesięcy i lat, to wyrozumieć zdołamy sytuację, w jakiej znajduje się »raz na zawsze« zapłodniona królowa-pszczoła.

Tak, to może trwać lata. Życie tego cudu przyrody, zwanego »królową-pszczołą«, nie ogranicza się wcale do jednego lata, o którym mówiliśmy dotąd. Królowa przeżywa okres miłości, napęlnia swój worek nasienny, kładzie jaja.

Westalki, które otaczały ją jeszcze przed dokonaniem się aktu miłosnego, wykarmiły pierwsze pokolenie i powoli same zamarły po upływie 6-tygodniowego okresu ich biednego, pracowitego żywota. Znikło pierwsze pokolenie westalek; pozostało nowe. I pozostała również Afrodis; a obok niej ostały się i trutnie, choć odtąd już w najwyższym stopniu bezcelowo. Nastaje nowy okres kładzenia jaj. I tak dalej. I tak upływa całe lato: z jednej strony niewyczerpana a dostojna potęga macierzyńska królowej, zaś z drugiej ofiarna pieczołowitość, roztaczana przez tysiączne rzesze miłych, biednych dziewczec o efemerycznej egzystencji oraz wielmożne próżnowanie trutniów-samców. A cóż dalej?

Wydaje nam się, że sam czytelnik podczas poprzedniego opowiadania oczyma duszy zerkał już wstecz, w stronę nowej kwestyi, a mianowicie kwestyi, dotyczącej początku całej sprawy. Tysiące bez przerwy wyłaniających się westalek — to dzieci jednej konsekwentnej pszczoły-samicy w całym ulu, dzieci królowej. To zrozumiałe. Nasienia dla tak olbrzymiej, masowej produkcji dostarczyły królowej trutnie. Przypuśćmy, że i to jest jasne, choć tu już uderza pewna nieokreśloność, sumaryczność tego zjawiska. Ale oto konsekwentnie następuje się nowa kwestya, wymagająca sumiennego zbadania. Skąd pochodzi królowa? Skąd powstają ojcowie-trutnie, których istnienie na wiosnę było poprostu założone, jako coś zrozumiałego? I skąd wreszcie się bierze pierwsze pokolenie westalek? Wszak zrozumiałem jest, że jedno takie pokolenie musiało istnieć, zanim wogóle mogła rozpocząć się owocna czynność znoszenia jaj

przez królowę. To pierwsze pokolenie musiało nasamprzód pobudować cele dziecięce, dokąd nasza pani-matka miała składać swoje jaja. A przy pierwszej seryi jajek musiały owe pierwsze westalki nakarmić awangardę wykluwających się, bezradnych robaczków, — bowiem w przeciwnym razie cały ten piękny mechanizm byłby wogóle utknął na samym początku.

Ażeby odpowiedzieć na trzy te pytania, powinni bylibyśmy właściwie teraz badać wszystkie zjawiska po drodze wstecznej. Ale w tym świecie cudów nie zrobi to żadnej różnicy, jeżeli poprostu pójdziemy dalej. Wąż znów uchwyci się zębami za ogon; tak samo rok rozpoczyna się od wiosny i poprzez lato, jesień i zimę znów do wiosny powraca.

A więc prostą drogą dalej. Około jesieni następuje w ulu nasamprzód straszna katastrofa. W jedną noc — istną noc św. Bartłomieja — leniwe trutnie masowo padają z rąk westalek. Napadają one na nich brutalnie, pędzą przed siebie, głodzą i wreszcie zakłuwają. Precz z nimi! Pracowite dziewice ula opanowuje jakby jakiś nagły szal czyścicielski, wprowadzie dość ordynarny.

»Precz z wszystkim, co zbyteczne!« — brzmi hasło. Wszak nie nastęcza się wcale myśl, że opaśli darmo-zjadzi mogą się jeszcze na coś przydać. Przeciwnie — nastanie zima, kiedy i tak dość trudno będzie przebie-dować najważniejszym członkom wielkiej rodziny. Pocóż tu jeszcze współbiednicy bezcelowi!

Po tych strasznych ofiarach, które padły z racyi czysto ekonomicznych, nastaje istotnie zima. Dobrze schowany ul i ciasnota pomieszczenia chronią od zmarznięcia, a zapasy nagromadzone — od śmierci głodowej. Rozmnażanie się, oczywiście, ustaje. Atoli królowa

i ostatnie pokolenie bardziej wytrzymałych westalek, których życie, jak się zdaje, nie jest tak ściśle ograniczone do okresu 6-tygodniowego, szczęśliwie ostają się do nowej wiosny. Cóż dalej? Teraz właściwie następuje to najdziwniejsze ze wszystkiego.

Słońce, kwiaty... Westalki, które zimę przetrwały, znów wylatują z ula i znoszą świeże pożywienie z nowotworzonego targu. A królowa — odnowa zaczyna składać jaja; wciąż jeszcze te same, normalne jaja. Wciąż jeszcze korzysta macierz z owego niewyczerpanego źródła, owego starego worka nasiennego, który jest dla niej tem, czem była dla Fortunata jego złotem brzemienne sakiewka. Wciąż jeszcze wylewa ona stamtąd na każde jajko potrzebną ilość siły męskiej. Jest to siła żywa, pozostała po owych dawno zapomnianych i po-grzebanych trutniach z roku ubiegłego, są to owe ciała nasienne, które przetrwały teraz o rok cały dłużej, niż sam akt miłosny, a więcej niż o pół roku, niż ostatnie trutnie... Wyrastają nowe westalki — i wszystko, zda się, rozpoczyna się odnowa w tym samym porządku. Aż tu naraz coś absolutnie nowego.

Westalki nasze, które nietylko chleb i nektar znoszą, ale czynne są nieprzerwanie w ulu samym, jako zmyślni budowniczo- wie, cichutko przygotowały cały szereg przegródek dziecięcych, większych, niż zwykle. I kiedy nasza kochana królowa zajęta jest zaopatrywaniem celek w potrzebny materiał życiowy, jednocześnie dokonywa ona jakiejś wręcz nowej czynności.

Składa ona wprawdzie swoje zwykłe jajka w każdą z owych przegród olbrzymich. Ale jeżeli wziąć takie jajko pod szkło powiększające, to łatwo się przekonać, że nie zrobiła ona czegoś, co zwykle czyni niechybnie.

Jajo nie otrzymało swego niezbędnego chrztu nasiennego! Widocznie panując zupełnie nad zamykaniem i otwieraniem swego worka nasiennego, pani nasza prosto tym razem rozmyślnie rygielek zasunęła. I mamy jaja niezapłodnione. Toż to wydaje się zabawką dziecinną. Więc wielkie przegrody mają według planu pozostać puste zapewne.

Atoli cóż widzimy! Westalki nasze, jak wszędzie, tak i tu, około tego niezapłodnionego jajeczka gromadzą słodkie pożywienie, więc najwidoczniej one, pomimo wszystko, spodziewają się i tutaj rozwoju. I w rzeczy samej: wykluwa się robaczek (gąsienica), one karmią go dalej, powstaje larwa — i na dwudziesty czwarty dzień wychodzi z przegródki dziecięcej — tłusty truteń.

Zagadka nad zagadkami. Królowa dowolnie panuje nad zapładnianiem swych jaj przy pomocy nasienia męskiego. Jeżeli nie chce, to nie zapładnia pewnych jaj w specjalnie wielkich przegrodach dziecięcych ula — i z tych niezapłodnionych jaj wykluwają się wtedy zawsze zgodnie, jak się zdaje, z żelaznem prawem natury prawdziwe, do płciowego życia zdolne, trutnie, a więc samce, zamiast niedorozwiniętych płciowo westalek.

Na chwilę odwróćmy wzrok swój od państwa pszczół i zastanówmy się tylko nad tym jednym interesującym faktem, na któryśmy się natknęli.

Partenogenezą (dzieworództwem) zwie się on, według terminologii przyrodniczej. Wyraz ten pochodzi od greckich słów: *parthenos* — dziewica i *genesis* — powstawanie albo płodzenie. Atoli dla naszego przykładu wyraz ten nam się nie przyda.

Bowiem królowa-pszczoła już oddawna oczywiście pozbawioną jest dziewiczości: w ciągu jednego roku złożyła ona około sześćdziesięciu tysięcy prawidłowo zapłodnionych jaj, a we wnętrzu swoim nosi jeszcze od czasów zeszłorocznego zapłodnienia olbrzymi worek z zapasami nasienia, którego starczy jeszcze na zapłodnienie przynajmniej miliona jaj. Jedno tylko jest faktem niewzruszonym, że jaja trutniów, które ona składa, stanowią niejako jaja dziewicze, których, jako takich, nie tknęło nasienie męskie.

Ale to jedno wystarcza aż nadto, aby mówić tu o cudzie.

Mamy tu do czynienia z jednym z tych faktów, wobec których przyrodnikowi wyrwać się może ów stary, paradoksalny okrzyk rozpaczy: widziałem, ale nie wierzę temu. A co do samego faktu niema już dziś więcej żadnej wątpliwości.

I stwierdzony został wielokrotnie przez najskrupulatniejsze badania. I u innych stawonogów wykazano szereg faktów pokrewnych, które nadają temu zjawisku u trutnia pewne znaczenie ogólniejsze.

Jeżeli brać rzeczy, jak są w istocie, to napozór mamy tu do czynienia z najjaskrawszem odstępstwem od wszystkiego tego, co zresztą w całym wyższym świecie zwierzęcym i roślinnym stanowi »żelazne prawo zapłodnienia«. Jestto wyjątek z tego prawa, według którego w akcie zapłodnienia, mającym swe źródło w normalnym narządzie płciowym (jajniku samicy), musi, jako moment nieodzowny, istnieć zlanie się komórki nasiennej z komórką jajową. Prawo to opiera się na tradycyi miriada istot żywych, które niezbitie same tak powstały i w dalszym ciągu tak tworzą dalsze pokole-

nia. Wywody nasze wykazały, jak to się stało, i że się tak stać musiało, a dowiodła tego nasza historia o karłach. A jednak właśnie w tym względzie istnieje wyjątek!

Trudno jest to sobie dobrze uprzytomnić.

W pierwszej chwili powiedzieć można jedno. Więc jeżeli coś podobnego możliwym jest jednak jeszcze u tak wysoko uorganizowanego zwierzęcia, jakim jest pszczoła — jeżeli możliwym jest prawdziwe wytwarzanie się potomstwa z jajek żeńskich bez udziału nasienia męskiego, — to poco ta cała wielka komedia z podziałem płci, z wyodrębnianiem mężczyzny i kobiety, z prawdziwą dziewiczością i zapłodnieniem, poco — słowem — ta nieskończenie spleciona sieć, z której wysnuwa się tak kunsztownie całe wyższe życie miłosne w jego tysiącznych przejawach? Dlaczego nie odbywa się to wszystko o wiele prościej? Atoli po chwili namysłu odrzucić należy takie rozumowanie powierzchowne, bez względu na całą dziwaczność kwestyi. Nasamprzód przypomnieć sobie należy o jednej rzeczy.

Widzieliśmy jeszcze u stułbii, że rozmnażanie płciowe, którego źródłem jest stapianie się komórki nasiennej i jajowej, stanowi przynajmniej w niższym świecie zwierzęcym (i roślinnym również!) tylko jeden sposób rozmnażania się, wprawdzie sposób wyższy, niejako pomost ku czemuś wyższemu. Ale pobok tego istnieje jeszcze sposób prostszy, pierwotniejszy — zwykle »pączkowanie«.

Wiemy, że u stułbii wyrastali jeszcze potomkowie wprost z ciała na podobieństwo gałęzi, lub małych lato-rośli u rośliny — niezależnie od męskich lub żeńskich narządów płciowych danego zwierzęcia.

Później u meduzy, a lepiej jeszcze u tasiemca widzieliśmy, jak ten sposób rozmnażania się przez pączkowanie występował naprzemian z rozmnażaniem płciowym. Widzieliśmy takie zwierzęta, które zapładniały się prawidłowo, gdzie jednak później z takiego prawidłowo zrodzonego potomka wyrastały, niby gałęzie, jedno lub dwa pokolenia przez pączkowanie. Zaś później trzecie, albo czwarte pokolenie dopiero odnowa powraca do zasady rozmnażania się płciowego.

Ale to wszystko nie zupełnie stosuje się do tego, o czym mówimy obecnie.

Jeżeli zważymy dobrze, to się okaże, że młode trutnie wcale nie powstają z królowej-pszczoły przez pączkowanie zewnątrz jej ciała lub wewnątrz, natomiast powstają z prawidłowych »jajeczek«, wytwarzanych w normalnym jajniku i składanych nazewnątrz — a więc powstają niejako już napół przez rozmnażanie się płciowe, tylko, że wyrastają na dorosłe zwierzątka bez współdziałania nasienia męskiego, t. j. nie odbywają drugiej połowy zwykłej drogi, jaką kroczy rozmnażanie płciowe. Zapewne, sprawy te nie są identycznymi, ale i tu znowu analogia może być dla czytelnika pouczającą.

U stułbii rozmnażanie płciowe i metoda pączkowania istniały w życiu jednego zwierzątka obok siebie. U tasiemca ta współrzędność rozciągnęła się niejako do następczości w czasie: u jednego i tego samego zwierzęcia następowali po sobie regularnie potomkowie zrodzeni przez obcowanie płciowe i przez pączkowanie. Odrzućmy teraz na chwilę różnicę pomiędzy jednym i drugim sposobem rozmnażania się i miejmy tylko na uwadze ową współrzędność i następczość obu zjawisk.

Oto mamy przed sobą pierwszy lepszy owad. Rozmnaża się on zrazu zupełnie normalnie w myśl wielkiej prawdy, jaką kończy się nasza stara bajka o karzełkach, t. j. w sposób płciowy. »On« szuka »jej«, łączą się ich dwie komórki płciowe »nasienna« i »jajowa«, i z wytworu tego zespolenia się, gdzie nasienie i jajko jakby »wzwały« się wzajem w siebie, wyrasta nowy, młody owad. Ten nowy owad (przypomnijmy sobie bajkę o karłach!) jest znowu albo męskiego, albo żeńskiego rodzaju. Para owadów-rodziców wydaje na świat młode przez stosunek płciowy — i tam wśród tych młodych mamy obok siebie samce i samice.

Ale teraz proszę sobie wyobrazić, że i w tym »płciowym« wypadku, dzięki jakiemuś cudownemu powikłaniu zdarzeń ta »współrzędność« zamieniła się na »następczość«. Przypuśćmy, że stało się w sposób następujący. Dwa owady rodzicielskie, samiec i samica, zapładniają się prawidłowo na sposób płciowy. Jako wytwór tego stosunku jednak rodzi się nie takie potomstwo, wśród którego znajdują się samce i samice jednocześnie, ale natomiast powstają, jak u tasiemca, jakby dwa szeregi, rozdzielone pewnym okresem czasu: nasamprzód np. rodzi się samica, która jednak posiada zdolność, po pewnym czasie już bez powtórnego zapłodnienia wyłonić z siebie jeszcze samca. Dopiero po tym samcu byłoby nieodzownym nowe zapłodnienie, które rozpoczęłoby łańcuch odnowa.

Rozumiemy łańcuch ten przynajmniej teoretycznie, nieprawdaż?

Ale jeszcze możliwe są, oczywiście, komplikacje. Najprostsza np. polegałaby na tem: pierwsza samica posiadająca zdolność bez aktu płciowego stworzyć z ja-

jeczek swoich jednego, lub więcej samców, potrafi, przy-
puśćmy, oprócz tej swojej właściwej sobie czynności
jeszcze wejść w prawidłowy stosunek płciowy z jakim-
kolwiek samcem i rozpocząć w ten sposób po za wła-
snym szeregiem bezpłciowym, nowy niezależny łańcuch,
którego byłaby pierwszym ogniwem; to znaczy, że znów
płodzićby mogła samice, które jako takie (jako ogniwa
tego nowego łańcucha) byłyby znowu samotwórcze
i wydawałyby na świat samców bez zapłodnienia. Wobec
tego główny łańcuch przedstawiałby się w ten sposób:
akt zapłodnienia pomiędzy samcem i samicą, jako rezul-
tat jego — samica; samica ta może bezpośrednio z sie-
bie przez t. zw. akt połowicznie-płciowy (tylko dzięki
jajeczkom swoim!) wydać na świat dowolną liczbę sam-
ców; ale może też ona stosownie do okoliczności na
podobieństwo rodziców swoich zrodzić nowe samice
przez akt prawdziwie płciowy (z jajeczek zapłodnio-
nych!); pokolenie samców potrzebuje dla prawidłowego
zapłodnienia nowych samic i wraca w ten sposób na
początek łańcucha, zajmując stanowisko dziadków; zaś
samice, zrodzone z owej pierwszej przez akt płciowy,
tworzą natomiast nowy łańcuch i postępują tak samo,
jak ona.

Tymczasem wszystko idzie nam gładko, nieprawdaż?
A już teraz jest to dość twardy orzech do zgryzienia.
Ale krzepmy się: już wszak jesteśmy w tej samej zu-
pełnie kategorii zjawisk, do której należy nasz wypadek
poszczególony z królową-pszczołą. Zastanówmy się! Ma
ona oczywiście w sobie moc cudowną wydawania na
świat bezpłciowo dwóch następujących po sobie po-
koleń.

Jest ona samicą, która rodzić może z siebie bez

powtórnego zapłodnienia jeszcze trzecie pokolenie na poły płciowo (przez jajka niezapłodnione), — pokolenie samców-trutniów. Może ona to zrobić. Ale obok tego może ona również sama jeszcze nanowo nawiązać stosunek płciowy z samcem. Widzieliśmy, jak królowa nasza w istocie zaraz na początku swego żywota wesoło spełniła ten akt dnia pewnego z trutniami, które były wtedy w ulu. A potem kładła ona normalnie jajka, które zostały zapłodnione — i z nich powstały samice. W naszym poszczególnym wypadku były to nasamprzód samice, pod względem płciowym kaleki, niedorozwinięte: były to owe tysiące westalek. Ale to znowu jest rzecz inna: w każdym razie jednak i tu były samice — a tem samym wypełnione są warunki drugiego, pośredniego pokolenia.

Teraz jeszcze jedna zachodzi kwestya. Czy królowa sama powstała z prawidłowego aktu płciowego pomiędzy samcem a samicą? A dalej czy owe samce, przez partogenezę z królowej zrodzone, owe wiosenne trutnie drugiego roku, nawiązują powtórnie prawidłowe stosunki płciowe z samicami, tak, że łańcuch ciągnie się dalej? Ale to właśnie doprowadza nas do właściwego punktu, w którym przerwaliśmy nasz wątek, i jeżeli go tylko nawiążemy nanowo, to przekonamy się, że istotnie pod jednym i drugim względem wszystko zgadza się zupełnie z tamtym przykładem teoretycznym.

Ale nasamprzód jeszcze jedno wyjaśnienie. Dotąd królowa nasza wydała na świat z zapłodnionych swych jajeczek tylko westalki, samice wprawdzie, ale niezdolne do czynności płciowej. Teraz, kiedy powstały jeszcze

(bezpłciowo) i trutnie, następuje niejako, jakby korona wszystkiego, trzeci fakt: taż sama królowa rodzi jeszcze samice, pod względem płciowym doskonałe. Rozumieć to jednak należy w pewien określony sposób.

Z chwilą, kiedy zbudowane zostały i wypełnione komórki trutniowe, zapędy nowatorskie westalek-pracowniczek przejawiają się niespodziewanie w dziwniejszem jeszcze dziele. Budują one mianowicie przegródki jeszcze większe i trwalsze o formie butelkowatej; przeważnie ograniczają się tym razem do dwóch, ale mają one odegrać najważniejszą rolę w ulu. W nich wyrosnąć mają ni mniej ni więcej — tylko nowe królowe; przynajmniej jedna, a ewentualnie nawet i więcej.

Oto są już gotowe te piękne królewskie komórki — prawdziwe pokoje dla królewiatek. Teraz tylko jedno pytanie: skąd się biorą jajeczka, z których rozwinąć się mają królowe? Ale wszak stara królowa dotąd tak sumiennie tu wszystko płodziła i składała, co płodzić i składać należało, że potrafi i z tą ostatnią sztuką się uporać. Niechący musimy zastanowić się nad sposobami, które do tego prowadzą. Wszak taka przyszła królowa będzie znów samicą, nieprawdaż? A więc w żadnym razie nie może być tu mowy o jajeczku niezapłodnionem, bo wtedy byłby się urodził samiec-truteń.

Ale czy wystarczy na ten cel nawet jajeczko zapłodnione? Przecież dotąd każde zapłodnione jajko — a było ich tysiące — wydawało wprawdzie »samicę«, ale zawsze jakąś niezupełną, z niedorozwiniętym jajnikiem i niezdatnymi narządami płciowymi: powstawała westalka. Czyżby królowa posiadała jeszcze w zana-

drzu specjalny jakiś gatunek jajeczek, któreby i ten szkopol przezwyciężyć potrafiły?

Na nic! Ona sama niema już żadnej »trzeciej skrytki«, z którejby czerpać mogła.

A jednak niespodzianie występuje na widownię zzewnątrz coś jeszcze, to »trzecie« właśnie. Do komórki królewskiej wpada zwykle jajeczko, z którego rozwinąć się powinna w normalnych warunkach westalka. Otrzymuje ono święcenie w postaci deszczu nasienia męskiego z nieśmiertelnego worka Fortunata, i na tem kończą się obowiązki królowej, jako matki. Ale teraz znowu występują westalki-pielęgniarki ula. Wszak ich dziełem była już ta odrębna nieco kołyska dla tego uprzywilejowanego dziecięcia. I oto teraz w myśl z góry nakreślonego planu dalej prowadzą one dzieło swoje, podając inne i obfitsze pożywienie owemu pie-szczochowi, od pierwszej chwili jego narodzin. I w rezultacie tej czynności odżywczej rozwija się prawdziwa, pod względem płciowym nieupośledzona samica...

Zamiast westalki w komórcie królewskiej powstaje prawdziwa nowa królowa, t. j. pszczoła-samica z rozwiniętym dostatecznie jajnikiem, z normalnym, zdającym do zapłodnienia otworem pochwy i normalnym uchylkiem nasiennym. Fakt ten posiada, jak łatwo zrozumieć, nadzwyczajną wagę dla zdania sobie sprawy z całej cudowności, jaką otoczona jest wogóle rodzina pszczół!

Ale też odrazu przez to rozwiązuje się powyższa zagadka, dlaczego z zapłodnionych jajeczek wychodzą westalki, nie zaś dojrzałe płciowo samice. W istocie każde zapłodnione jajeczko królowej posiadało zawsze i posiada zalążek prawdziwej, normalnej samicy. Ale

stosownie do tego, jak ono w dzieciństwie bywa odżywianem, samica ta albo nie rozwija się dostatecznie i staje się westalką, albo też dojrzewa w samej rzeczy, i wtedy powstaje królowa.

Innemi słowy, westalka, jako taka, jest, ściśle rzecz biorąc, wytworem sztucznym, powstałym następczo przez rozmyślne niedostateczne odżywianie. W ciągu całego poprzedniego lata westalki uła w charakterze pokojówek rozmyślnie hodowały wciąż westalki, a teraz również naumyślnie po raz pierwszy zasadę tę pogwałciły i dzięki napozór »lepszemu«, a właściwie dzięki stosowanemu po raz pierwszy w normalnej mierze karmieniu dziecięcia pozwoliły wyrosnąć z niego królowej.

I z faktu już teraz wyrozumieć możemy, że istotny bieg rzeczy u pszczół odpowiada najzupełniej naszemu przyjętemu powyżej wypadkowi. Nasamprzód odbywa się tu prawdziwy akt płciowy pomiędzy samcem a samicą, t. j. pomiędzy trutniem a królową; a z tego aktu powstaje nie jedno pokolenie z istniejącymi obok siebie osobnikami męskiego i żeńskiego rodzaju, ale dwa pokolenia o płci rozmaitej, to jednej, to drugiej naprzemian: królowa pszczół, samica, która bez zapłodnienia wytwarza z siebie raz jeszcze trutnie-samce.

Jedną jeszcze tylko, bez zasadniczo sprzecznego znaczenia, komplikację stanowi zarówno u pszczół, jak i w tamtym wypadku ten fakt, że ta sama królowa, jeszcze zanim przez dzieworództwo, a więc bez ponownego zapłodnienia wydała na świat samce, również dała się zapłodnić i dzięki temu zrodziła bądź prawdziwe, płodne królowe, bądź niedorozwinięte płciowo samice, ale w zasadzie jednak również samice, westalki.

W każdym razie cudowny »akt dzieworództwa«

trutniów przynajmniej z tego stanowiska traci coś ze swego paradoksalnego i wywrotowego charakteru. Zasada zapłodnienia, polegająca na łączeniu się dwu komórek: plemnika i jajka ostaje się mimo wszystko: wszak widzimy, jak niezbędnym jest zapłodnienie, ażeby nie wstrzymywać ruchu maszyny całej. Zasada ta wydaje się tu tylko raczej rozciągniętą, elastyczniejszą: decydujący rozmach nadawany jest tu kołu maszyny z peryodycznymi przestankami, podczas których jednak toczy się ono od gwałtownego pchnięcia trochę naprzód samo przez się, jakby pod zakłębieniem prawa inercyi.

Mamy więc teraz na wiosnę w ulu: po pierwsze starą, zapłodnioną przed rokiem królowę, która dotąd przynajmniej jeszcze wciąż wykazuje żywotność swoją rozrodczą; powtóre, olbrzymio liczny ród westalek, które wciąż jeszcze się mnożą, wreszcie w jednej co najmniej »kołysce królewskiej« tuczy się nowa królowa — a może być ich i więcej. I co dalej? Logicznie wypływałby jeden, bardzo prosty wniosek.

Nowa królowa wyłonić się winna pewnego dnia, jako już zupełnie gotowa, zaprzyjaźnić się z trutniami i odtąd sama objąć całą produkcję dalszą: w ciągu lata całego rodzić się będą westalki, następnej wiosny nowe trutnie i nowa królowa. A stara królowa-matka po tak skomplikowanych trudach, związanych z całorocznym wytwarzaniem potomstwa, zabastuje wreszcie i cicho zniknie z widowni, »idąc« w ślad za wieloma pokoleniami westalek, które już przeżyła.

Ale robimy rachunek bez gospodarza. Nie doceniamy w ten sposób dwu czynników: po pierwsze niepożytej żywotności tej właśnie królowej-matki, a powtóre takież niepożytości owych zeszłorocznych, a żyjących

dotąd w jej wnętrzu plemników, które wciąż żyją dalej w jej uchyłku nasiennym, co zdaje się nadal gwarantować powstawanie niezliczonego szeregu westalek i królowych. Pierwsza część naszego łańcucha logicznego istotnie się spełnia, tylko wobec dalszego pomyślnego istnienia królowej-matki musi to doprowadzić do wypadków trochę burzliwych.

Nie może wszak być dwu królowych o pełnej sprawności rozrodczej w jednym państwie. Liczba westalek musiałaby natychmiast wzrosnąć olbrzymio i musiałby wogóle powstać nadmiar wszystkiego, co związane jest z macierzyństwem, a to zakłócałoby wszelki porządek. Już i teraz, wobec ostatnich częstych powodzeń wiosennych starej królowej, ul jest przepelniony. Co robić? Musi wszak nastąpić podział całego personelu na dwa roje, z których jeden tylko może zostać na miejscu, a drugi musi wywędrować. Oczywiście, że każdy rój miałby swoją królową — jeden pozostałby z dawną, drugi wzięłyby ze sobą — nową. Na podobieństwo starych rodów italskich, które w czasach ciężkich bogom oddawały całe pokolenie dojrzewających młodzieńców i dziewic, jako »wiosnę świętą« zmuszając ich do opuszczenia ojczyzny, — i tu musi jeden z rojów, jako »wiosna święta«, poddać się niepewnym losom wygnania i szukać nowej ojczyzny.

Różnica tylko polega na tem, że według starodawnego zwyczaju w świecie pszczół, porozumiewa się ze sobą w tym względzie nie niedojrzałe i młode pokolenie, ale właśnie to rozumne i starsze.

Pewnego dnia okres poczwarkowy młodej królowej dobiega końca. Z zamkniętej jeszcze kołyski królewskiej odzywa się dziwnie dźwięczący ton. To sygnał. Dokoła

starej królowej gromadzi się rój, złożony z 10—15 tysięcy westalek, i w drogę. »Główny« rój porzuca ul, jak mówi hodowca pszczół. Dobrowolnie daje się rój ten schwytać przez pszczelarza i zamknąć do nowego domu, gdzie natychmiast zajmuje się urządzeniem wewnętrznym i zaludnia go na przeciąg jednego roku szybko narastającą liczbą domowników.

A tymczasem w starym ulu odbywa się wszystko zgodnie z prawami najściślejszej logiki. Jeżeli wykłuła się tylko jedna młoda królowa, ona otwiera poprostu cykl cały: ona wyfrunie, wstępować będzie w związki płciowe z trutniami, płodzić będzie dzięki temu w ciągu lata tysiące samic, które ze względu na niedostateczne odżywianie wciąż jednak tylko będą westalkami i t. d.

Jeżeli natomiast wkrótce po zjawieniu się pierwszej młodej królowej w sąsiednich kołyskach królewskich dają znać o sobie inne jeszcze małe królowe, to staje się zaraz potrzebną nowa »wiosna święta«: pierworodna młoda królowa, zamiast objąć władzę w ulu, zwołuje do siebie natychmiast znowu część pozostałego roju i jako »rój następczy« udaje się wraz z nim na wygnanie, w daleką dal, szukać nowej przystani. Ale może się też zdarzyć, że rój jest za mały, ażeby mógł powtórzyć taki eksperyment, wtedy owe królowe ponad liczbą zrodzone bywają bezlitośnie zgładzane przez westalki, zupełnie tak samo, jak później ku końcowi lata leniwe trutnie padają od ukłuc śmiertelnych, jako ofiary bezradne.

Bardziej jednak uwagi godnym, niż to wszystko, jest ten fakt, kiedy owa pierwsza kolonia macierzyńska opuszcza ul ze starą królową. Wtedy dopiero ujawnia

się w pełnem świetle cała sprawność życiowa tej dostojnej matrony. Z nową kolonią wstępuje ona teraz w okres nowego lata, wciąż jednak kładąc bez przerwy jajka tysiącami; a w ciągu całego lata zapładnia ona powtórnie wszystkie te tysiące jajeczek z zasobów swego starego, teraz już $1\frac{1}{2}$ roku istniejącego uchyłka nasiennego.

Nie następuje już żadne zapłodnienie nowe — już teraz tej skromnej wdowy nie tyka więcej żaden samiec. A jednak jeszcze wciąż ma ona w tym uchyłku dość nasienia z czasu owego dawnego wiosennego zapłodnienia, tak że każde jajeczko może dostarczyć po jednej westalce.

I znowu nastaje zima, znowu przezimowuje ona z resztką najodporniejszych westalek. Ale na wiosnę znowu — a więc już na trzecią wiosnę życia — ma ona jeszcze w sobie dość owej siły dzieworódczej, przekazanej jej od urodzenia, ażeby teraz wydawać na świat niezapłodnione trutnie, a potem w ciągu tej samej wiosny starczy znowu zawartości jej uchyłka nasiennego dla wyprodukowania jednej lub kilku prawdziwych zapłodnionych królowych. Na skutek tego nastąpi znowu wyprawa »wiosny świętej«: prastara królowa stanie po raz drugi na czele drużyny wygnanych westalek.

Na trzeci rok, powtarza się cały przebieg po raz trzeci. Potęga starej matrony staje się widocznie trochę mniejszą, już nie kładzie, jak w pierwszym roku 60,000 jajeczek, ale jednak wciąż jeszcze czynność tę spełnia. I mija rok trzeci: po raz czwarty zaczyna się to samo!

Zastanawiając się nad tem wszystkim, dochodzimy do przeświadczenia, że oto znów stoimy wobec jednego

z największych cudów tak nieskończenie cudownego życia płciowego pszczoł... I na tym cudzie kończy się bajka pszczelna. Niekiedy taka królowa-matrona żyje jeszcze przez rok piąty z rzędu. Ale wtedy (a przeważnie już wcześniej) wreszcie dobiega ona kresu swego: niewyczerpane, cudowne źródło życia wysycha, uchylek nasienny pustoszeje, i zamiera siła dzieworódstwa — ginie wreszcie właściwy nerw życia — koniec.



le pofilozofujmy jeszcze trochę na temat państwa pszczół.

Wyraz »państwo« stanowi właściwie, jak wiemy, niebezpieczne źródło nieporozumień. Tembardziej, że przywykliśmy tu mówić wciąż o »królowej«. W wyobraźni wstaje obraz pewnej monarchicznej formy państwowej na wzór ludzki: królowa stoi na czele rządu, trutnie — to rodzaj arystokracji próżniaczej, — a wielką masę narodu stanowi mniej lub więcej uciskany proletaryat roboczy. Rzeź trutniów czyni wrażenie istotnej rewolucyi, dokonanej przez ścieśnioną po gardło samą warstwę społeczną, i oto w ten sposób gromadzić można jeszcze więcej analogii. Ale przy pomocy takiej luźnej analogii dotrzeć nie można do jądra kwestyi, zdawać sobie można sprawę wprawdzie z rzeczy głównych, ale nie z tego, co wywnioskować byłoby można w sposób istotnie pouczający z takiego państwa pszczelego w zastosowaniu do spraw ludzkich.

Należy jasno sobie wyrozumieć, że państwo pszczół, nazwijmy je mimo wszystko państwem (boć jest ono niewątpliwie zjednoczeniem wielu osobników) opiera się zgodnie z całą istotą swoją na jednej jedynej zasadzie: na miłości. Jest ono »państwem miłości« w najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu. O prawdziwym samowładztwie z prawdziwą samowładczo-panującą królową nie może tu być zupełnie mowy, wyraz »królowa« nie daje należytego obrazu rzeczywistych stosunków.

Tak samo i trutnie nie stanowią bynajmniej panującej, wyzyskującej, próżniaczej kasty, ani »pracownice« nie są wyzyskiwanymi proletaryuszkami z punktu widzenia takich kast i klas społecznych.

Rzekoma »królowa« jest niczem więcej, ani niczem mniej, tylko »samica« państwa całego. Jedną samica. Rzekomi arystokraci, owe trutnie są to samce państwa. Rzekome pracownice natomiast są to »piastunki dla dzieci« w państwie, rodzice-opiekunowie, którym przypada w udziale wyłącznie troska o młode pokolenie; niejako dodatkowo objęły one również jeszcze i opiekę nad rzeczywistymi rodzicami — nad trutniami i królową, tak że w samej rzeczy noszą one na swych barkach całą pracę w ulu z wyjątkiem tylko zapładniania i składania jajeczek.

A więc samica, samce, opiekunki dzieci i dzieci same. Z zespołu tego widzimy, że zasadniczy motyw tego państwa stanowią poprostu najistotniejsze części składowe pojęcia: »rodzina«. Całe to olbrzymie skupienie wielu tysięcy zjednoczonych społecznie zwierząt nie stanowi w najwewnętrzniejszej budowie swej nic innego, jak jedną olbrzymią rodzinę. W każdym razie szczegóły są jednak w wysokim stopniu dziwne. Przedstawiają one nam pszczołę jeszcze raz, jako dziwną indywidualnie eksperymentatorkę w stosunku do wielkiej sprawy, która kryje się poza wyrazami: miłość, małżeństwo, rodzina. Jest ona do szaleństwa śmiała, ale właściwie nieszczęśliwą.

Nasamprzód niezbędnem jest dla jasnego rozwiązania następujących się tu zagadek ustalić sobie jakiś punkt wyjścia, w myśl którego dokonywano eksperymentów. Przypomnijmy sobie stonoga i pająka. Oba są stawonogami, które pod względem organizacji stoją znacznie niżej od pszczoły, znajdują się w pewnej łączności z jej przodkami. Cóżżeśmy tam widzieli? Był samiec, samica i dziecko, ale nie było specjalnej »pia-

stunki«. Natomiast rzecz się miała tak. Samiec i samica łączą się ze sobą przygodnie dla dokonania aktu płciowego, poczem samiec znika, nie troszcząc się o następstwa; a samica płodzi młode i troszczy się o ich dobro, o ile może: bądź, że, jako samica stonoga, tuli je w swym worku brzuszny, jak kenguru, bądź, że, jak to czyni pająk, buduje przynajmniej zabezpieczone gniazdko dla jajeczek i strzeże je wiernie aż do końca dni swoich w jesieni.

A więc piastunka istnieje jednak, tylko, że jest ona oraz i żoną i matką w jednej osobie.

W innym, ale co do treści zbliżonym wypadku, u ciernika, widzieliśmy, że i ojciec czasami może objąć dozór opiekuńczy nad dziećmi, i zaznaczyliśmy wtedy już wszystko to, co dało się z tego faktu wywnioskować dla kwestyi małżeństwa w sensie wyższym. Ale to nas w danej chwili nic nie obchodzi. Jeszcze raz teraz przebiegamy tę samą drogę poprzez pająka i stonoga, ażeby zobaczyć, co uczyniła pszczoła z zasady, którą znajdujemy już u tych zwierząt.

Najoczywiściej oparła się pszczoła na panującej tam zasadzie, niby na programie pierwotnym.

Truteń-samiec również nie opiekuje się zupełnie pielęgnowaniem dzieci; więc też niema tu mowy ani o stosunkach, panujących u ciernika, ani tem mniej o tej doskonałej harmonii, gdzie oboje rodzice poświęcają się dzieciom. I tu sprawa ta należy wyłącznie do samicy. Widzieliśmy však, że i westalka była pierwotnie« samicą«, choć »samicą« niedojrzałą, a mimo to dzieje się rzecz nader dziwna: ta sama westalka pielęgnuje nie własne swoje dzieci, ale dzieci królowej. Mamy tu właśnie dwa rodzaje »kobiet«.

Jedna królowa — jest matką tylko w tym sensie, że daje się zapładniać i kładzie jajka. Druga — jest naodwrot matką tylko w tym sensie właśnie, że owe jajeczka, złożone w rzeczy samej przez tamtą, oraz wyklute z nich młode pielęgnuje.

To, co samica pająka łączyła w sobie samej, miłującą i płodzącą dzieci małżonkę oraz matkę - opiekunkę, podzielonem zostało na dwie osoby: jedna — to »kochająca i płodząca dzieci małżonka«-królowa, zaś druga — to pielęgnująca matka-westalka.

Ten prosty fakt jest oczywiście kluczem do zrozumienia całego ustroju w państwie pszczół. U pająka i stonoga mamy zrazu dwa osobniki z pewnym podziałem pracy w sprawach płciowych: z jednej strony samica z nasieniem, z drugiej samica z jajeczkami. Miłość macierzyńska następczo już wyłoniła się z tego, jako jednostronna praca specjalna samicy.

U pszczoły pierwszy podział pracy pozostał zachowanym wobec istnienia trutni i królowej; ale pozatem mamy tu jeszcze nowy podział pracy, dotyczącej samej już strony kobiecej: owa »praca specjalna« samicy, jako opiekunki dzieci, wtłoczoną zostaje na barki pewnemu podrzędnemu typowi »kobiecemu«, który całkowicie poświęca się tej pracy — i oto powstaje nowy typ niezapłodnionej i zazwyczaj samodzielnie jajek nie kładącej westalki, która natomiast aż do ostatnich sił swoich poświęca się pielęgnowaniu obcego potomstwa.

Widzimy teraz, co stanowi zasadniczą cechę ustroju państwowego u pszczół. Ale oto następczą się natychmiast dwie dalsze kwestye. Popierwsze: w jaki sposób coś podobnego mogło powstać? I powtóre: czy to, co

się stało, było bardzo pożytecznem i dokonało się w duchu postępu.

Na pierwsze pytanie łatwo odrazu odpowiedzieć, jeżeli się tylko zastanowimy, jak teraz jeszcze w istniejącym ulu westalki powstają. Każda westalka należy właściwie z natury swej do prawdziwego rodzaju żeńskiego; jedynie jej strona płciowa jest niedorozwinięta. Atoli ten niedorozwój jest, jak to widzieliśmy, nie wrodzonym brakiem organicznym, ale rezultatem niedostatecznego pożywienia w stanie niemowlęctwa. To otwiera przed nami głęboką bardzo perspektywę historyczną. Pomyślmy tylko.

Była sobie kiedyś jakaś pra-pszczoła, która posiadała owadom właściwą cechę normalną: przez zapłodnienie (a poza tem jeszcze dzięki wrodzonej owadom specjalnie zdolności dzieworódstwa) kładła olbrzymią masę jajeczek. Poczwaraki, które się z tych jajek wykłuwały, wymagały pewnej opieki. Stara pszczoła miała również dosyć uczuć miłosnych, ściągała też dla pożywienia wszystko cokolwiek mogło tę masę potomstwa przy życiu utrzymać.

Ale istniał jeden fatalny plus.

Jej siła rozrodcza przewyższała o wiele jej umiejętność opiekowania się dziećmi. Mąż nie dopomagał — więc cóż było robić? Mimo największej gorliwości było niemożliwem zatkać w dostatecznej mierze te głodne gardziołka. Po pewnym czasie zjawiał się pierwszy transport młodych pszczołek. Ale o zgrozo! Niedostateczne pożywienie sprawiło, że się nie rozwinęły należycie; ich narządy płciowe stały się zupełnie do zapłodnienia niezdatnymi, i były one jakby na zawsze pozbawione własnych rozkoszy płciowych. Siedziały oto, te biedne

»dziewczęta«. Co z nimi było począć? Widziały one, jak stara matka, która miała jeszcze taką masę dzieci w powijakach, mimo to wszystko dokładała wszelakich starań, ażeby im pomódz. I wtedy oto, wyzbywszy się zupełnie same tęsknoty miłosnej, »dzieweczki« te zabrały się do tego, ażeby pomagać matce. I one znosić zaczęły pożywienie. Niewiadomo, czy to robiły przez naśladownictwo, czy też dlatego, że zbudziły się w nich uczucia macierzyńskie i przez nie również w dziedzictwie otrzymane, choć dzieci przez nie karmione nie były ich własnymi dziećmi. Wszystko jedno, dlaczego; dość, że matce ujęły pracy, wszędzie jej pomagały energicznie i wreszcie sprawiły, że jednak obok niedorozwiniętych znowu od czasu do czasu wiele pszczoł dojrzewało płciowo, przez co zapewnioną była trwałość gatunku.

Do doskonałego »państwa pszczoł« pozostaje nam jeszcze krok pokaźny. Ale jednak już można wyrozumieć, że od tego punktu sprawy mogły pójść drogą wiadomą. Przynajmniej domyślać się można, że pierwotnie ongi możliwem się stało owo zróżnicowanie pomiędzy płodzącą królową a westalką, poświęcającą się wyłącznie wychowaniu dzieci.

Los samców z czasem również wreszcie układa się według pewnej reguły: zamiast marnie ginąć w przestrzeni, przez pewien czas są jeszcze na łaskawym chlebie, ażeby jednak wreszcie paść podczas rzezi ogólnej, dokonywanej z tem większą bezwzględnością. I pewnego dnia mamy wreszcie państwo pszczoł. Teraz jeszcze potrzeba tylko, ażeby człowiek dostarczał domków wygodnych — i jesteśmy u celu.

Należałoby omówić jeszcze kwestyę drugą. Zapewne,

interesującą jest historia o pszczole. Ale oto pytanie, ażali tkwi w niej istotnie zasada postępową? Chciałoby się wierzyć, że musi to być istotnie jakiś wielki postęp, skoro się widzi tak wielkie zjednoczenie społeczne.

Nie jest to zjednoczenie według znanej zasady, która legła u podstawy zrzeszenia cewiopławów. Pamiętamy wszak, jak chełbie zrosły się ze sobą na podobieństwo króla-szczura i utworzyły coś w rodzaju nadzwierzęcia. Wtedy nie zastanawialiśmy się dłużej nad krytyką tych stworzeń. Zbudowane były one na podstawie doskonałego podziału pracy. Całkowite indywidua zwierzęce stawały się znów »narządami«, jedne stawały się żołądkami, inne dzwonami płodnymi itd. W całym wyższym świecie zwierzęcym powyżej robaków nic podobnego nie było możliwem; i miało to oczywiście swoją przyczynę, której zresztą łatwo dociec. Przyczyna polega na coraz to większej indywidualizacyi. Im osobniki są bardziej trwałe, tem trudniejszym staje się ten rodzaj jednoczenia się społecznego przy pomocy zrastania się cielesnego, aż wreszcie staje się to niemożliwem zupełnie.

Więc, jeżeli powrócimy do pszczoły, to, jak już powiedzieliśmy, i ona również nie sięgnęła napewno wstecz do typu państwa cewiopławów. Poprostu nie mogła tego zrobić; nie można już było wyobrazić sobie pszczoł, zrosniętych ze sobą, jako oddzielne indywidua. Ale czyż z tego wypływa, że przez pszczoły wykrytą została już droga ku owemu wyższemu, wolnemu zespołowi społecznemu? Odpowiedź musi być przeczącą. Państwo pszczoł stanowią tysiące »osobników«, nie zrosniętych wprawdzie ze sobą na wzór cewiopławów; a jednak nosi ono w sobie cechy wsteczne.

Państwo pszczoł oparło się na płciowości, i na tem

polega zarówno jego rozmach, jak i jego tragiedya. Oparło się ono na tym czynniku, który w całokształcie rozwoju zwierzęcego stanowił kamień węgielny małżeństwa. O wiele później, u człowieka, miało małżeństwo odegrać rolę wybitną na drodze ku idei państwowości. Ale pszczoła utworzyła państwo na takim stopniu rozwoju, kiedy samo pojęcie małżeństwa nie było jeszcze zupełnie wyświetlone. I to właśnie było jej nieszczęściem.

W chwili zawiązku państwa pszczoł istniała zasada zupełnego zróżnicowania osobników męskich i żeńskich i wiernie przechowaną została, choć nie znać było najmniejszej tendencji do jej pogłębienia. Zapłodnienia dokonywa samiec i samica w jednej i tej samej chwili — i na tem polega »małżeństwo«; zupełnie tak samo, jak u pająka, tylko bez instynktów pożerania się wzajemnego. Uczucia rodzicielskie pozostają po stronie żeńskiej. Na samca-trutnia przypada rola małoznaczna, tylko chwilowy udział w zapłodnieniu. Całe życie zresztą pędzi on próżniacze i bezcelowe, jego śmierć gwałtowna jest równie nędzną, jak śmierć samca-pająka, którego pożera większa samica, i jest to nawet u trutnia prawidłem stałem. A więc tu nie widzimy żadnego postępu, raczej już objaw upadku.

Ale teraz zwróćmy się do samicy. Wyobraża ona jakby indywiduum podwójne: z jednej strony królową, z drugiej — westalkę. Jeżeli rozpatrzyć to bliżej, to przy tem rozdwojeniu ciężko ucierpiał każdy z osobników żeńskich. Królowa postradała zupełnie swe uczucia macierzyńskie (ale tu właśnie napotykamy olbrzymi postęp duchowy); i poza tem pozbawioną została poniekąd wolności: musi być np. karmioną przez innych. Natomiast westalka wyzbyła się całej najszlachetniejszej strony

życia płciowego, wogóle wyrzuconą została po za widnokrąg małżeństwa, jako zrzeszenia wyższego rzędu; ona zna tylko samca, jako gościa-darmozjada, którego się w odpowiedniej chwili zabija, jej życie jest skrócone — słowem, na każdym kroku widzimy strony ujemne.

Jako rezultat tego wszystkiego otrzymujemy zubożenie osobnika w każdym kierunku. Nędznym jest truteń, nędzną królowa, nieskończenie nędzną — wstarka. Państwo pszczół, z urządzeniami społecznymi, jak dla owadów, bardzo doniosłego znaczenia, oparte zostało całe na życiu płciowym, na rozmnażaniu się, na miłości; a mimo to wyobraża ono krok wstecz w obrębie tej miłości, stopień niższy na drabinie jej uduchowienia. Jest to ogromnie pouczającym i wybiega daleko po za pszczołę, brzęczącą we wrzosie. Jeżeli państwo pszczół dalekiem jest od typu państwa w zwykłym rozumieniu ludzkim, to stanowi ono jednak nader wymowny przykład tego, co nazwać by można »upaństwowieniem stosunków płciowych«. Atoli jednocześnie jest to przykładem złowróbnym. Widzimy tu, jak z pojedynczych miłości żądnych osobników państwo tworzy jednolite, samo przez się niewątpliwie wysoce kunsztowne, zrzeszenie. A że jako podstawa dla tego zrzeszenia przyjętą zostaje wadliwa metoda miłosna, więc zamiast torować drogę prawdziwemu postępowi, wytwarza ona olbrzymie więzienie, którego postać ściśle skrytalizowana niejako zdumiewa pod względem estetycznym, ale natomiast osobnik sam i jego droga świetlana wzwyż są tu w najokrutniejszy sposób gwałcone. Wyłania się tu przed nami coś w rodzaju tablicy z napisem ostrzegawczym. Z jednej strony mamy wielki niezaprzeczony plus w zrze-

szeniu społecznem, zawiązanem w celach najszerzej samoobrony, gdzie każdy osobnik oprzeć się może na wielu tysiącach takich osobników i gdzie w poszczególnych kwestyach gospodarstwa domowego możliwym jest jaknajpomyślniejszy podział pracy. Zaś z drugiej strony czujemy wielkie niebezpieczeństwo, że pewne urządzenia (jak tu np. wadliwe i prostacze uregulowanie stosunków płciowych), mogą być podnoszone do godności racyi stanu, tem samem tracą swoją tendencję do dalszego rozwoju i wreszcie, jako coś skamieniałego, bezdusznego, ciężą nad stowarzyszonymi, tamując i paraliżując ich rozwój osobniczy.

W każdym razie pszczoła sama nie znalazła już wyjścia ze swej własnej pagody miłosnej; tu zatrzymała się, jakby stężała. Oczywiście, że podobne »tworzenie państwa« było w całym rodzie stawonogów jakby szczytem wszelkiego rozwoju, szczytem, który upierał się w twarde, nieprzenikliwe sklepienie.

Obok państwa pszczelego mamy jeszcze w świecie owadów dwa przykłady, gdzie istnieje wyraźna tendencya do tworzenia państwa. W obu wypadkach są to w mniejszym lub większym stopniu państwa »na miłości« oparte i jako takie w obydwu wypadkach — bezpłodne.

Jedno — to państwo mrówek. W przeciwieństwie do państwa pszczoł brak tu nawet jakiegokolwiek cienia konstytucyi monarchicznej. Zresztą jak tam, tak i tu, widzimy trzy kategorie obywateli: samce, samice i pod względem płciowym zupełnie niedorozwinięci »robotnicy«. Często ci ostatni dzielą się jeszcze na prawdziwych robotników, opiekujących się dziećmi i na żołnierzy-obronców o wielkich głowach. Ale dla sprawy miłości jest to

rzeczą drugorzędną. I tu widać ów olbrzymi kontrast pomiędzy osobnikami. Mamy samców, których całe zadanie kulturalne (a takie państwo owadów jest bezsprzecznie już objawem pewnej »kultury«) sprowadza się do jednej jedynej chwili zapłodnienia; dalej samice, które na ogół nic nie robią po za tem, że się dają zapładniać i kładą jajeczka. Ostatecznie obie strony wiodą życie haremowe. A cała właściwa praca państwowa spoczywa w rękach dożywotnych przyrodzonych eunuchów, dla których miłość stanowi świat absolutnie nieznaną.

Drugi przykład — to państwo t. zw. termitów. Widzieliście zapewne w spiżarni owych czarnych nicponiów, zwanych karaluchami lub prusakami. Gospodyni uważa je za »chrabąszcze«. Ale nie są one chrabąszczami, choć są, jak i tamte, owadami. Stanowią one grupę owadów, bliższą szczympawkom i szarańczom, niż chrabąszczom. Obok tych prusaków umieścić należy również i termitów, do mrówek podobne zwierzątka, które tak samo nie są mrówkami, jak prusaki nie są chrabąszczami. Słyszeliście zapewne o budowlach podzwrotnikowych termitów, o tych kolosach, jakich żadna mrówka nigdy nie jest zdolna wybudować. Tam właśnie istnieje całe państwo termitowe. I ono jest państwem miłości. Są tam samce, które zapładniają, jest »królowa«, kładąca jajka, która w pełni rozwoju sił swoich nabrzmiewa, jak kartofel, od nadmiaru jajek, a dalej dwie kategorie zupełnie bezpłciowych osobników, stanowiących rdzeń właściwy całego państwa: »robotnicy« i »żołnierze«. Jak tam, tak i tu atmosfera haremu i eunuchów. I we wszystkich trzech wypadkach, zarówno u termitów, jak u mró-

wiek i pszczoł, u szczytu całego rodu stawonogów, widzimy zatamowanie rozwoju miłosnego.

To też rodowi temu nie sądzonem było odegrać roli doniosłej.

Nie stawonóg, a zwierzę kręgowe miało świat ruszyć z posad, zwierzę kręgowe, które wzniosło się do człowieka.

Ale tu dźwięczy już nowa melodia...



7235

5887

wiek i pszczoł, u szczytu całego rodu stawonogów, wi-
dzimy zatamowanie rozwoju miłosnego.

To też rodowi temu nie sądzonem było odegrać
roli doniosłej.

Nie stawonóg, a zwierzę kręgowie miało świat ru-
szyć z posad, zwierzę kręgowie, które wzniosło się do
człowieka.

Ale tu dźwięczy już nowa melodia...



7293

